



Iny Lorentz

Kastratka

Iny Lorentz

Kastratka

Z języka niemieckiego przełożyła
Barbara Niedźwiecka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski
Korekta: Marta Chmarzyńska, Edyta Malinowska-Klimiuk ISBN: 978-83-8110-805-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część pierwsza. Przemiana

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

Część druga. Mantua

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

Część trzecia. Wzloty i upadki

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

Część czwarta. Rzym

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

Część piąta. Na dworze cesarskim

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

Część szósta. Vincenzo

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

CZĘŚĆ PIERWSZA

Przemiana

Matka uderzyła ją w twarz tak mocno, że Giulia czuła, jak płonie jej policzek. I choć do oczu napłynęły jej łzy, to uniosła głowę, wysuwając przekornie brodę do przodu. Nigdy, przenigdy nie zrozumie, dlaczego matka nie pozwala jej śpiewać tych samych pieśni, które na górze, w opactwie, pilnie ćwiczy chór chłopięcy, i dlaczego mówi, że to grzech.

Dziewczynka najczęściej była ostrożna i śpiewała tylko wtedy, gdy sądziła, że jest sama, albo gdy ojciec dał jej na to wyraźne przyzwolenie. Tego ranka z jej ust wymknęło się kilka taktów cudownej melodii, którą usłyszała podczas swej ostatniej potajemnej wycieczki i która od tamtego czasu wciąż chodziła jej po głowie. Giulia myślała, że nikt nie usłyszy jej cichego śpiewu, zwłaszcza że matka od iluś dni leżała chora w łóżku. Ale jak na nieszczęście w tym akurat momencie schorowana niewiasta stanęła w drzwiach za plecami Giulii.

Za karę kazała córce wyręczyć służącą i zanieść pranie na łączkę. Trzeba je było tam porozkładać, aby schło na słońcu. Kosz z bielizną okazał się o wiele za ciężki dla jedenastoletniej dziewczynki. Ramiona bolały ją od ciężaru i najchętniej opuściłaby go na ziemię. Ale pomyślała o matce, która za coś takiego urządziłaby jej w domu piekło. Tak więc dalej dźwigała kosz, idąc w dół po schodkach wąską uliczką. Po drodze mijala zbudowane z tłuczonych kamieni domy, z których dobiegał kwaśny zapach.

Smętnie pomyślała o Assumpcie, która chętnie sama zaniósłaby pranie na łączkę. Leciwa służąca nieraz robiła wyrzuty matce dziewczynki, że powierza dziecku zbyt ciężkie prace. Maria Fassi była jednak przekonana, że tylko w ten sposób oduczy córkę śpiewania i z powrotem sprowadzi ją na drogę cnoty. Giulia nie rozumiała swojej rodzicielki, gdyż czuła się tak niewinna jak anioł w niebie. Cóż mogła poradzić, że pieśni, które z takim trudem ćwiczyli chórzysci, zapadały jej głęboko w pamięć, nawet jeśli słyszała je tylko raz?

Gdy dotarła do Piazza Vendetti, odwróciła się i spojrzała tęsknie w górę, na klasztor Świętego Hipolita, który wznosił się majestatycznie na wzgórzu porośniętym drzewami oliwnymi. Miała wrażenie, że słyszy głosy chłopców z chóru, którzy o tej porze mieli tam próbę. Najchętniej z miejsca pobiegłaby na górę, wcisnęłaby się w swoją kryjówkę pod małym okienkiem i słuchałaby, jak ćwiczą. Mimowolnie pomyślała, że podsłuchiwanie chórzystów też jest może grzechem.

Po krótkim zastanowieniu odrzuciła tę myśl. Chórzysci z Saletto każdej niedzieli śpiewali w kościele, a tam musiała przecież słuchać ich śpiewu. Niedzielne pieśni mogłaby zaśpiewać przez sen – kompletnie już jej się znudziły. Bardziej interesowało ją słuchanie, jak chłopcy ćwiczą nową mszę, którą mają zaśpiewać w Dniu Świętego Hipolita. Giulia rozmarzyła się, przypominając sobie pierwsze strofy solowej partii, do której wykonania wyznaczono chłopca o imieniu Ludovico. W tym momencie znów przyłapała się na tym, że mruczy pierwsze takty. Natychmiast zacisnęła usta i się rozejrzała. Jeszcze jedna z sąsiadek doniesie matce, że jej córka nie nuci dziecięcych melodii, na które dziewczynki miały przyzwolenie, lecz znowu pieśni, które mogą wykonywać tylko chłopcy i mężczyźni ku chwale Boga Najwyższego.

– To niesprawiedliwe, że jestem dziewczyną, a nie chłopcem – mruknęła pod nosem. – Ciągłe tylko słyszę, że tego nie wypada, tamtego nie można...

Rozgniewana szła dalej. W końcu ciężar kosza sprawił, że musiała oprzeć go na wystającym kawałku muru. W tym momencie pojawiła się obok niej ich stara sąsiadka Lodrina. Wyglądem przypominała wronę, gdyż jako wdowa nosiła czarne ubranie, kiwała się bezustannie, a na dodatek miała sterczący nos do złudzenia podobny do ostrego dzioba. Przywitała Giulie, siląc się na nieszczera uprzejmość i odsłaniając przy tym resztki żółtych zębów.

– Niesiesz pranie na łączkę? Jesteś dzielną dziewczynką.

– Muszę się spieszyć, Lodrino. Jestem już spóźniona.

Giulia wciągnęła głęboko powietrze do płuc, podniosła koszyk i szybko ruszyła dalej, chcąc uniknąć rozmowy z kobietą. Nie lubiła Lodriny, bo staruszka często podkradała się do niej bezszelestnie, a gdy usłyszała, że Giulia śpiewa, zaraz skarżyła na nią matce. Obie uważały, że dziewczynka, która śpiewa święte pieśni, narusza Boże przykazania. Lodrina już kiedyś wyzwała Giulie przy ludziach od czarownic i zapowiedziała, że pewnego dnia dziewczynka zostanie za te śpiewy spalona na stosie i będzie się smażyć po wieki w ogniu piekielnym. Od tego czasu Giulii często śniło się nocą, że ogarniają ją płomienie, i budziła się potem z płaczem.

Otrząsnęła się, żeby przegnać z głowy koszarne myśli. Przeszła przez wąską furtkę w murze miejskim i skierowała się na łączkę, którą miejskie kobiety wykorzystywały do bielania prania na słońcu. Na jej nieszczęście najlepsze miejsca były już zajęte i musiała podejść do stóp zamkowej góry, żeby znaleźć dość wolnej przestrzeni.

Zamek i klasztor były dwoma biegunami, między którymi toczyło się w Saletto życie miejskie. Na górze, w zamku, rezydował hrabia Gisiberto Corrabialli, który był świeckim władcą miasta i jego mieszkańców. Ale nad ludzkimi duszami czuwali klasztorni mnisi i ich opat Francesco della Rocca.

Giulia energicznym ruchem podrzuciła pierwsze prześcieradło i rozpostarła je na trawie. Podczas pracy próbowała sobie wyobrazić twarze obu mężczyzn, z którymi jej życie było tak ściśle splecione. Nie pamiętała ich dobrze. Pewnie dlatego, że obaj przyjeżdżali do Saletto co najwyżej raz albo dwa razy w roku. Przebywali głównie w Rzymie, gdzie wypełniali zaszczytne funkcje na dworze Ojca Świętego. Ojciec Giulii, Girolamo Fassi, służył hrabiemu Gisibertowi jako kapelmistrz i nadworny kompozytor, ale on też nie widywał swego pana częściej niż inni. Nie był zadowolony, że hrabia zostawia go w Saletto. W czasie nieobecności swego pana Fassi pomagał jako korepetytor ojcu Lorenzowi kształcić wokalnie chłopców z klasztornego chóru.

Ledwo Giulia zaczęła chodzić, ojciec nauczył ją pierwszych piosenek. Już w wieku pięciu lat przestały jej wystarczać proste dziecięce strofy i przyśpiewki ludowe. Tak więc zaczęła naśladować o wiele bardziej skomplikowane śpiewy chórzystów. Dorosłych najpierw to bawiło, nawet ją do tego zachęcali. Ale wkrótce matka zakazała jej jakiegokolwiek śpiewu i kłóciła się z ojcem, gdy ten pozwalał córce na wykonywanie świeckich piosenek. Giulia nie potrafiła pod tym względem być posłuszna matce. Miała uczucie, że się udusi, jeśli nie będzie mogła śpiewać.

Ostrożnie rozejrzała się po okolicy i z radością stwierdziła, że jest sama. Teraz mogła uwolnić tony, które nagromadziły jej się w krtani. Partia solowa nowej mszy była po prostu cudowna. Giulia słyszała te strofy dopiero raz, gdy Ludovico, osławiony solista chłopięcego chóru, wykonywał je przed ojcem Lorenzem, była jednak pewna, że potrafi zaśpiewać równie dobrze, co ten gbur.

Giulia śpiewała zwrotkę po zwrotce, zapomniawszy o całym świecie. Miała wrażenie, że tworzą one drabinę do nieba, po której mogłaby się wspinać z lekkością anioła. Była tak zaabsorbowana śpiewem, że nie zauważyła chłopca w koszuli chórzysty, który szedł właśnie od strony klasztoru i zamierzał skręcić w kierunku młyna. Usłyszawszy głos Giulii, przystanął, zmarszczył czoło i zacisnął

dłonie w pięści. Na jego puciołowatej twarzy pojawiła się złośliwa mina. Cicho podkradł się do strumienia, nabrał w dłoń szlamu i rzucił nim Giulii prosto w twarz.

Przerwała śpiew w pół słowa i wypluła błoto.

Młody chórzysta roześmiał się drwiąco.

– Pożałujesz tego, Ludovico! – zawołała i schyliła się po kamień.

Chłopiec znów rzucił w nią błotem, ale się odsunęła. Brudna breja wylądowała na najlepszym prześcieradle matki. Dziewczynka krzyknęła przerażona. Przez moment nie wiedziała, czy ma odpłacić chłopcu pięknym za nadobne, czy szybko sprząć brud z tkaniny, zanim plama się utrwali. Pomyślała, że gdy wróci do domu z brudnym prześcieradłem, wówczas dostanie od matki lanie, chwyciła więc płótno i nie patrząc na Ludovica, pobiegła do strumienia.

Chłopiec podszedł do niej bliżej i ze złośliwym uśmiechem przyglądał się jej staraniom.

– Ej, Giulia – powiedział – masz głos jak tarka. Nie dziwota, że kobietom nie wolno wykonywać świętych pieśni. Ciężko grzeszysz swoim śpiewem. Ojciec Lorenzo mówi, że święty apostoł Paweł zabronił kobietom śpiewu. Kobiety nie mogą otwierać ust w kościele. Napisał tak w liście do Koryntian, to wszystko można przeczytać w Piśmie Świętym. Powinnaś być mi wdzięczna, że powstrzymałem cię od dalszego łamania Bożych przykazań.

Giulia ze złością popatrzyła na swego dręczyciela. Ludovico był jedynym spośród miejscowych chłopców, którego przyjęto do chóru. Inni chórzyci zostali wybrani przez ojca Lorenza, który na polecenie opata szukał najlepszych głosów po całej Umbrii. A że Ludovico pochodził z Saletto, cieszył się szczególnym upodobaniem u hrabiego. Chłopiec wykorzystywał swoją uprzywilejowaną pozycję jak tylko się dało. Wyśmiewał inne dzieci, bił mniejszych od siebie, a starszym pokazywał język, ponieważ dobrze wiedział, że nikt nie odważy się coś mu zrobić. Gdyby ktoś podniósł rękę na Ludovica, dostałby szpicrutą po grzbiecie od hrabiego Gisiberta albo spotkałaby go jeszcze sroższa kara. Giulia kilka razy widziała, jak hrabia chłoscze poddanych, i uznała, że dobrze zrobiła, nie rzucając kamieniem w chłopca. Dla Gisiberta Corrabiallego nie było różnicy, czy ma przed sobą mężczyznę, kobietę czy dziecko.

Jej dręczyciel nie dawał za wygraną. Znów nabrał w dłoń szlamu ze strumienia i zaczął jej grozić.

– Powiniennem pobrudzić ci całe pranie za to, że śmiałaś śpiewać moją partię tym swoim nędznym głosem. Proś mnie na kolanach o wybaczenie, bo naprawdę to zrobię.

Giulia zorientowała się, że Ludovico mówi poważnie, i zeszywniała. „Nie ulegnę temu szantażowi – postanowiła w duchu – nawet jeśli w domu czeka mnie lanie”.

Ludovico zrozumiał, że w ten sposób nie zdoła zastraszyć Giulii. Spojrzał niepewnie na błoto w ręce. Fajnie byłoby pobrudzić Giulii pranie i mieć tę satysfakcję, że zostanie w domu ukarana. Ale co z tego, skoro i tak nie zobaczy, jak dziewczyna dostaje lanie od rodziców? Popatrzył na jej drobną, ale silną sylwetkę i oblizał się po wargach. Nauczy tę flądre, co to znaczy wchodzić mu w paradę.

Na myśl o tym, co Giulia ma pod spódnicą, poczuł lekkie ciągnięcie w okolicach pachwin, którego doświadczył już kilka razy, gdy razem z innymi chórzystami kąpał się potajemnie nago w stawie. Sapnął głośno i wykrzywił usta w obleśnym grymasie.

– Mam lepszy pomysł. Chodź ze mną w krzaki i ściągnij kieckę. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz na dole. Będiesz też mogła zobaczyć mojego pindola i wziąć go do ręki. Jeśli to zrobisz, zostawię twoje pranie w spokoju.

Mówił tak skrzekliwie, że Giulia poczuła ból w uszach. Jego żądanie oburzyło ją do granic możliwości. Chłopcu nie wypadało zaglądać dziewczynie pod spódnicę, a ten bezczelny Ludovico

zażądał, żeby zdjęła sukienkę. Coś takiego to na pewno wielki grzech, o wiele większy niż śpiewanie przez nią kościelnych pieśni.

– Proszę bardzo, pobrudź mi pranie. Powiem mamie, że to zrobiłeś, a wtedy ona powie wszystko twojej matce.

Giulia udawała w tym momencie dzielną, ale wcale się tak nie czuła. Miała nadzieję, że Ludovico nie wie, iż jej matka choruje, nie wychodzi z domu i nie dałaby rady dojść do młyna, żeby poskarżyć się młynarce na jej syna. Giulia mogła się raczej spodziewać, że matka o wszystko obwini i ukarze własną córkę.

Na szczęście Ludovico faktycznie nie miał o niczym pojęcia. Zagryzł wargę i pomyślał o swojej matce, która w przeciwieństwie do ojca nie dała się oszołomić łaskawością, jaką okazywał chłopcu hrabia. Kobieta gotowa byłaby mu przyłożyć, gdyby uznała, że należy mu się lanie.

– Jesteś bezbożną zołą! Czarownicą, którą powinno się spalić na stosie! – zawołał, wymachując w bezradnej złości pięściami, po czym odwrócił się i odszedł.

Po kilku krokach zauważył, że jego ręce ciągle jeszcze są całe w błocie. Odruchowo wytarł je o klasztorne ubranie chórzysty. Zorientował się, co zrobił, i zaklął jak parobek. Ojciec Lorenzo był równie srogi, co jego matka. Nie spoliczkuje go ani nie wysmaga różgą, ale zamknie na kilka dni w kozie. A to byłoby dla chłopca sroższą karą niż chłosta, bo przez ten czas pozbawiono by go dobrego jedzenia gotowanego przez matkę. Chórzyści mieszkający w klasztorze dostawali tylko dwa skąpe posiłki dziennie, żeby nie rośli za szybko i głos im za wcześnie nie zmętniał.

– To przez tę lafiryndę – burknął, złoścąc się na dziewczynę, że mu nie uległa i nie pokazała, co takiego ma pod spódnicą.

Giulia tymczasem uprała prześcieradło, ale plama całkiem nie zeszła. Cóż więc miała zrobić? Zniosła płótno z powrotem na łączkę i rozłożyła je obok innych. Pomyślała z nadzieją, że może matka nie zauważy zabrudzenia. Wracając do miasta z pustym koszem, zapomniała o praniu. Jej myśli uleciały ku mszy, którą chórzyści ćwiczyli w klasztorze. Skomponował ją specjalnie na Dzień Świętego Hipolita sam Giovanni da Palestrina, kompozytor i papieski chórmistrz. Podobno opat Francesco musiał zapłacić mu za ten utwór kilkaset dukatów. Ojciec powiedział o tym Giulii i dodał, że msza jest warta każdego denara. Giulia przyznała mu w duchu rację i była bezgranicznie zła, że ten nikczemny chłopak Ludovico ma wykonywać partię solową.

– Co za bezczelność! Chciał mi zajrzeć pod spódnicę!

To żądanie wciąż jeszcze napełniało ją oburzeniem. Najchętniej poskarżyłaby się rodzicom, ale uznała, że nie powinna tego robić. Matka wpadłaby jeszcze na pomysł, by wezwać do siebie młynarkę i powiedzieć jej, że Ludovico dybał na niewinność Giulii. A matki miały dziwną skłonność do swatania małżeństw. Giulia zaś była jeszcze za młoda na małżeństwo. Ale najpóźniej za dwa, trzy lata matka zacznie rozglądać się za odpowiednim kandydatem i na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby jej córka dostała za męża młynarskiego syna, który na dodatek cieszy się wielką przychylnością hrabiego. Giulia ponownie poczuła głęboki żal, że jest tylko dziewczyną.

Gdy Giulia znalazła się w domu, jej ojciec zdążył już wrócić z klasztoru. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, tak że jej dusza napełniła się nadzieją. Ale wtedy z sypialni dobiegł jazgotliwy głos matki.

– Giulio, czy to ty? Gdzie tak długo byłeś? Powinnaś wrócić dawno temu. Na pewno znowu się wałkoniłaś.

– Nie wałkoniłam się!

Giulia pomyślała ze złością o Ludovicu, bo to z jego powodu musiała ponownie uprać prześcieradło. Jej matka nie zadowolila się tą odpowiedzią, tylko nadal zrędziła. Giulia zacisnęła usta, żeby nie wymknęła się jej jakaś niestosowna odpowiedź. Nie była przecież tak głupia, leniwa, uparta czy niezręczna, jak ciągle zarzucała jej matka.

Ojciec chyba nie zgadzał się z opinią żony, bo położył Giulii rękę na ramieniu i spojrzał na nią życzliwie.

– Pójdź teraz do ogrodu i pomóż Beppowi przy pracy – podpowiedział jej, aby zniknęła z oczu nerwowej matce.

Giulia skinęła głową i zbiegła szybko po schodach.

Girolamo Fassi odprowadził ją wzrokiem. Gdy z motyką na ramieniu wyszła z domu, poszedł do sypialni, żeby zobaczyć, jak czuje się jego żona. Pod drzwiami natknął się na Assumptę. Służąca nie miała jeszcze czterdziestu lat, ale już posiwiiała i wyglądała staro. Służyła u Fassiego razem ze swoim mężem Beppem; na więcej czeladzi nie mógł sobie pozwolić.

– Pani znowu gorzej się czuje – szepnęła do niego.

Przygnębiony Fassi skinął głową. W ciągu ostatnich tygodni aż nazbyt często słyszał te słowa. Przekroczywszy próg, przystanął i spojrzał w głąb mrocznego pomieszczenia. W środku było tak ciemno, że jego leżąca w łóżku żona wyglądała jak nieokreślony cień. Westchnął, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Maria Fassi zaprotestowała głośno:

– Co robisz? Wiesz przecież, że źle znoszę światło!

Girolamo popatrzył na nią w milczeniu. Bardzo schudła. Skórę na twarzy miała napiętą, kości policzkowe wystające, a cienkie, już siwiejące włosy kleiły jej się do głowy. W ogóle nie przypominała radosnej dziewczyny, z którą ożenił się dwadzieścia lat temu. Ojciec obecnego hrabiego naraił mu córkę zdolnego nadwornego śpiewaka chyba w nadziei, że dzięki temu pozyska do chóru chłopców, którzy odziedziczyliby talent po rodzicach. Fassi poczuł gorycz w ustach na myśl, że ulubieńcem nowego hrabiego nie jest jego potomek, tylko Ludovico, syn młynarza.

Ponieważ nic nie mówił, jego żona wpadła w irytację.

– Co się dzieje? Czy na mój widok odebrało ci mowę?

– Nie powinnaś się denerwować, Mario.

Sam już nie wiedział, ile razy w ciągu dnia wypowiadał to zdanie. Jak na razie jego słowa nie odnosiły skutku. Także tym razem jego żona zareagowała histerycznie i dała upust swej frustracji, wylewając na niego wszystkie żale. Od wielu lat musiał wysłuchiwać jej narzekań i pretensji, znał je wszystkie na pamięć i tylko czekał, aż Maria zacznie skarżyć się na ich córkę jedynaczkę.

– To twoja wina, że Giulia jest taka krnąbrna i uparta. Gdybyś nie zabierał jej do klasztoru, gdy była małym dzieckiem, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby naśladować anielskie głosy chórzystów. Po coś ją tam prowadzał, skoro kobietom nie wolno tam wchodzić?

Tym oskarżeniem przerwała potok słów i spojrzała na niego jadownicie.

– Nie zabierałem Giulii do klasztoru! – zaoponował. – Kilka razy, kiedy była jeszcze mała, poszła tam za mną, a furtian wpuścił ją do środka. Przebywała wyłącznie w sali prób, a ta znajduje się w internacie dla chłopców, poza właściwym klasztorem.

Fassi już nieraz jej to tłumaczył i powtarzał wciąż na nowo właściwie z przyzwyczajenia, bo i tak wiedział, że równie dobrze mógłby mówić do ściany.

– Giulia jest skaraniem boskim. Dlaczego to ona przeżyła, a mój mały Pierino musiał tak wcześnie umrzeć?! – Maria Fassi zaniósła się niepowstrzymanym szlochem.

Jej mąż był rad, że odesłał dziewczynkę, ponieważ okrutne słowa matki z pewnością sprawiłyby jej dużo bólu. Zastanawiał się, ile razy Maria wysuwała tego typu oskarżenia w obecności Giulii. On też nosił w sercu żalobę po synu, który zmarł kilka miesięcy temu w wieku siedmiu lat. Dwa tygodnie później jego żona przedwcześnie powiła martwe dziecko i od tego czasu chorowała. Oskarżała przy tym Giulie o to, że będąc jej jedyną córką, pozostała przy życiu, podczas gdy siedmiu synów umarło w jej łonie albo we wczesnym dzieciństwie.

Maria Fassi wyciągnęła ramię i z zadziwiającą siłą zacisnęła palce na kaftanie męża.

– Gdyby mój Pierino wciąż żył, to on, a nie ten gnojek, bachor młynarza, cieszyłby się teraz przychylnością hrabiego! To Pierino śpiewałby partię solową, a hrabia sownie by cię za to wynagrodził.

Fassi westchnął i pokręcił głową.

– Pierino byłby jeszcze za mały, ale mógłby już śpiewać w chórze.

Jego żona nie dawała się zbić z tropu.

– Pierino śpiewałby partię solową i hrabia byłby ci przychylny. Ale umarł, a my nawet nie wiemy, czy w przyszłym roku nadal będziemy mieć dach nad głową.

– Wcale nie jest tak źle – powiedział Fassi ostrzej, niż zamierzał.

– Jak to nie jest? – drwiła jego żona. – Gdybyś cieszył się przychylnością hrabiego, to teraz wystawiana byłaby twoja msza, a nie kogoś innego. Poza tym Lodrina powiedziała mi, że hrabia planuje w przyszłym roku zabrać Ludovica do Rzymu, aby chłopak się tam kształcił na kompozytora. Potem da mu twoją posadę i przepędzi cię jak psa.

– Nawet jeśli Ludovico byłby dość utalentowany, a moim zdaniem nie jest, potrzebowaliby wielu lat, żeby nabyć umiejętności kompozytora i kapelmistrza.

Mimo że próbował uspokoić żonę, czuł, że złość wzbiera w nim niczym gorzka żółć. Maria doskonale wiedziała, że jeszcze nigdy żadne jego dzieło nie zostało wykonane podczas uroczystości poświęconych Świętemu Hipolitowi. Mógłby jej wyjaśnić, że do tej pory nie dostał takiego zlecenia ani nie dano mu dość czasu, by mógł skomponować coś tak długiego i skomplikowanego jak śpiewana msza.

Jego żona dogryzała mu tymczasem dalej:

– Ludovico wyjeżdża do Rzymu. A kiedy to hrabia zabrał tam ciebie po raz ostatni?

Przez moment Girolamo stał jak zamurowany. Maria poruszyła temat, który już od dawna go dręczył. Od wielu lat hrabia nie zabierał go ze sobą do Rzymu ani chociażby do Perugii. Fassi miał wielką ochotę pogłębić swoją krótką znajomość z Giovannim da Palestrina, kompozytorem nowej

mszy. Z wielką przyjemnością przestudiowałby też jego najnowsze dzieła. Od czasu, kiedy zaprezentował hrabiemu jedną ze swoich kompozycji, minęło też już kilka długich miesięcy. Gisiberto Corrabialli wyraził wtedy bardzo powściągliwą aprobatę i nawet nie wypłacił mu należnego za to dzieło wynagrodzenia.

Fassi spojrział na swoją pozbawioną wdzięku żonę, która nie była w stanie dać mu syna. Z nadzieją pomyślał, że może wkrótce Bóg go od niej wybawi. Był jeszcze dość młody i gdyby związał się z inną kobietą, mógł doczekać się silnych, udanych synów. Te myśli musiały w jakiś sposób odzwierciedlić się na jego twarzy, ponieważ Marię ogarnął dziki gniew.

– Chcesz się mnie pewnie pozbyć, ty draniu. Ale Bóg jeszcze nie wzywa mnie do siebie, chociaż śmierć wydaje mi się czasem wybawieniem.

– Mario, o niczym takim nie myślałem.

Fassi przeraził się tym, że jego uczucia schodzą na manowce, dlatego postarał się, by mówić łagodniej niż kiedykolwiek w ciągu minionych tygodni.

Jego żona uspokoiła się trochę. Na jej twarzy dało się nagle dojrzeć słabą nadzieję.

– Jeśli Bóg da, wkrótce wyzdrowieję i będziemy mogli mieć syna, którego oboje pragniemy.

– Bardzo by mnie to uradowało, Mario.

Girolamo nie wierzył, że coś takiego nastąpi, ale czule ścisnął dłoń żony. Nazbyt często jego marzenia i oczekiwania kończyły się wielkim rozczarowaniem.

– Pójdę teraz do siebie, muszę przygotować się do jutrzejszych lekcji.

Puścił rękę żony i ruszył do wyjścia.

– Musisz jeszcze raz wyraźnie powiedzieć Giulii, że nie wolno jej biegać do klasztoru! – zawołała za nim.

Fassi skinął potulnie głową i zamknął za sobą drzwi. Opuściwszy pokój przepelnięty zapachem kamfory i rumianku, poczuł ulgę. Ale nie zapomniał o żądaniu małżonki. Gdy Giulia wróciła z ogrodu w towarzystwie chudego, pochylonego do przodu Beppa, wezwał ją do siebie.

Zaciekawiona wślizgnęła się do środka.

– Czego sobie życzysz, ojczy?

Fassi kiwnął ręką, żeby podeszła do okna, po czym zmierzył ją poważnym i, jak miał nadzieję, nieco nagannym spojrzeniem.

– Muszę z tobą porozmawiać, dziecko. Pod jednym względem twoja matka ma rację: nie wypada, żebyś podkradała się pod klasztor i podsłuchiwała śpiew chórzystów. Musisz mieć na uwadze to, że niedługo staniesz się kobietą i będziesz należała do jakiegoś mężczyzny. Twoje zachowanie jest nie tylko niestosowne, ale też popełniasz wielki grzech, ponieważ wodzisz na pokuszenie pobożnych braci.

Giulia mogła mu wyjaśnić, że wcale nie wchodzi na teren klasztoru, lecz słucha prób chóru przez małe okienko od strony porośniętego dziką roślinnością zbocza. Uznała, że dla ojca nie będzie to stanowiło różnicy, a ona swoim wyznaniem zdradzi dogodną kryjówkę. Dlatego przyjęła naganę ze stoicką miną.

Fassi popatrzył na jej przekornie wysuniętą do przodu dolną wargę.

– Czy mnie zrozumiałaś, moja córko?

Giulia skinęła głową, nie patrząc mu jednak w oczy.

– Zrozumiałam. Nie mogę chodzić do klasztoru, bo to grzech.

Zaakcentowała słowo „do klasztoru” i nie wspomniała o chórze. Bo chociaż dla rodziców jedno i

drugie było tożsame, to ona nie chciała wypowiadać kłamstwa przed Bogiem i Dzieciątkiem Jezus.

Ku jej uldze ojciec zadowolili się tą obietnicą i obrócił ku pulpitowi do pisania. Zachowywał się, jakby zapomniał o obecności córki, bo zmarszczył czoło i z przesadną precyzją kreślił nuty na papierze. Nagle podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

– Skomponowałem nową pieśń. Jeśli chcesz, możesz ją zaśpiewać.

– Chętnie, ojcze.

Giulia wzięła do rąk kartkę z nutami i zanuciła pierwsze takty. Melodia była dość ładna, ale po zapoznaniu się z mszą Palestriny Giulia uświadomiła sobie, że jej ojciec jest co najwyżej przeciętnym kompozytorem. Mocno dotknęła ją ta świadomość, bo go kochała i byłaby szczęśliwa, gdyby to on był najlepszym muzykiem w kraju i odnosił duże sukcesy.

Ojciec z uśmiechem słuchał jej śpiewu, a gdy skończyła, zaklaskał w dłonie.

– Cudownie, Giulio. Jak widzisz, wcale nie zabraniam ci śpiewu. Chcę tylko, byś wybierała pieśni, które są stosowne dla dziewcząt i kobiet.

– Takie płytkie rzeczy jak ta piosenka?

Giulia sama przestraszyła się swoich słów i ze łzami w oczach dostrzegła, jak mocno dotknęła ojca. Na moment uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć, ale tylko wyrwał kartkę z jej ręki i rzucił w kąt.

– Mówisz jak twoja matka. Napuściła cię na mnie?

Głos Fassiego się załamał. Rozpacz w jego spojrzeniu uświadomiła Giulii, że ojciec zdaje sobie doskonale sprawę ze swojej przeciętności.

– Przykro mi. Nie miałam nic złego na myśli. Ta pieśń jest naprawdę śliczna.

Giulia przymusiła się do tych słów, bo nie lubiła kłamać.

Ojciec pokiwał ze zmęczeniem głową.

– Jeszcze ją przerobię. Może będziesz ją potem mogła zaśpiewać hrabiemu, gdy wróci do Saletto. Ale oczywiście tylko w prywatnym kręgu, bo inaczej nie wypada.

Giulia posłusznie skinęła głową, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, że pieśń spodoba się wielkiemu panu. Zauważyła przy tym, że ojciec mierzy ją badawczym, a zarazem nieco rozczarowanym spojrzeniem. Girolamo Fassi miał nadzieję, że jego córka będzie dość urodziwa, żeby wzbudzić zainteresowanie hrabiego, ale także ta nadzieja zdawała się płonna. Dziewczynka była zbudowana dość masywnie, miała zbyt szerokie barki i daleko jej było do eterycznej elegancji owych dam, które obecnie cieszyły się popularnością wśród wielkich panów. Gisiberto Corrabialli nie interesował się głosem kobiety, tylko jej wyglądem. Giulia miała zatem marne szanse, żeby hrabia poczuł do niej pociąg.

W chwilach przygnębienia Girolamo Fassi często pocieszał się tym, że odzyska przychyłność swego pana, gdy jego córka zostanie metresą hrabiego. Maria na pewno byłaby zła, jeśliby wiedziała, że jej mąż nosi się z takimi grzesznymi planami wobec ich dziecka. Ale gdyby wszystko potoczyło się po jego myśli, byłby wolny od wszelkich trosk i zgrzytot związanych ze swoim urzędem. „Bóg nie jest sprawiedliwy – pomyślał z goryczą. – Sprawił, że moi synowie zmarli, a jedyna córka przypomina wiejską niezdare, którą nie zainteresuje się żaden szlachetny pan”.

Giulia nie wiedziała, jak źle myśli o niej ojciec. Z pewnością nie zapowiadała się na jakąś wyjątkową piękność, ale wprawne oko doświadczonego mężczyzny byłoby w stanie dojrzeć w niej zadatki na uroczą i powabną kobietę. Przez chwilę nie odzywała się w nadziei, że ojciec da jej okazję do przeproszenia za niestosowną uwagę. Na dodatek w głębi duszy kołatało jej kilka pomysłów, w jaki sposób można by było uczynić jego pieśń bardziej porywającą. Zorientowała się

jednak, że w tej chwili nie zależy mu ani na jej przeprosinach, ani na radach. Urażona wymruczała słowa pożegnania i opuściła pokój.

Na zewnątrz spotkała służącą, która właśnie wносиła do środka kosz z suchą bielizną. Giulia podbiegła, żeby jej pomóc.

– Przykro mi, Assumpto, ale całkiem zapomniałam o praniu.

– Nic takiego się nie stało, dziecinko. Dość się już na dzisiaj napracowałam – powiedziała służąca, po czym spojrzała na nią, przekrzywiając głowę. – Nowe prześcieradło nie było całkiem czyste, a jestem pewna, że wyprałam je jak trzeba.

Przygnębiona Giulia kiwnęła głową.

– To sprawka Ludovica. Rzucił we mnie błotem, bo usłyszał, jak śpiewam.

– Na pewno znowu śpiewałaś którąś z klasztornych pieśni, a nie powinnaś tego robić.

Zawstydzona Giulia spuściła głowę.

– Nie chciałam, ta pieśń wydobyła mi się z ust sama z siebie. Wiesz przecież, że nie robię tego z przekory. Śpiew wychodzi z mojego wnętrza, nic nie mogę na to poradzić.

Służąca uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Zawsze byłaś śpiewającym ptaszkiem. Powinnaś się była urodzić chłopcem tak jak biedny Pierino. – Przycisnęła na moment Giulie do swoich kościstych żeber i pogłaskała ją po kręconych, czarnych włosach, które trudno było okiełznać i uczesać w warkocze, po czym mówiła dalej: – Moje ty biedactwo. Twój ojciec umiera ze strachu, że straci przychyłność hrabiego, a matka myśli tylko o zbawieniu swojej duszy ze szkodą dla siebie samej i całej rodziny. Pani Maria całkiem zapomina, że nie każda radość jest grzeszna. Gdyby mogła, kazałaby ci zaszyć wargi, żeby z twojego dzióbka nie wydostał się żaden dźwięk. Nie mam pojęcia, czy to faktycznie grzech, jeśli kobieta zaśpiewa w kościele pobożną pieśń, ale jedno wiem na pewno: dużo większym grzechem jest pobrudzić bieliznę obcym ludziom. Ludovico powinien się wstydzić.

Assumpta chwyciła kosz i posapując, ruszyła wąskimi schodkami na strych. W ich połowie obróciła się i spojrzała na Giulie.

– Jeszcze raz upiorę to prześcieradło, żeby twoja matka niczego nie zauważyła.

Powiedziała to cicho, aby te słowa usłyszała tylko dziewczynka, a broń Boże pani domu.

– Dziękuję, Assumpto! – Giulia odetchnęła z ulgą i mocno postanowiła, że przez następne dni nie będzie przysparzać zmartwień ani ojcu, ani matce.

Maria Fassi chciała zniechęcić Giulię do śpiewu, obarczając ją pracą ponad siły jedenastoletniego dziecka. Assumpta po raz kolejny wstawiła się za dziewczynką, ale jej pani była głucha na wszelkie obiekcje służącej.

– Giulia nie jest już dzieckiem. Musi się nauczyć, jak prowadzić gospodarstwo. Za kilka lat wyjdzie za mąż. Nie chcę, żeby mąż i teściowie się na nią skarżyli. Poza tym to moja córka, a nie twoja! – powiedziała lodowatym, nietolerującym sprzeciwu tonem.

Assumpta wyszła więc na dwór i zobaczyła, że Giulia niesie do domu ze studni dwa skórzane wiadra z wodą. Koryto w przybudówce było niemal puste, więc należało je pilnie napełnić, ale zrobiło jej się żal zmęczonego dziecka. Gdy Giulia po raz trzeci wspinała się pod górę obciążona wiadrami, wzięła je od niej i sama wylała ich zawartość do koryta.

– Resztę wody doniosę sama, a ty zanieś Beppowi do ogrodu miseczkę z nasionami. Zapomniał jej zabrać – powiedziała do dziewczynki.

Na spoconej twarzy Giulii pojawił się uśmiech. Chwyciła miseczkę i wybiegła na zewnątrz. Ruszyła w dół stromą uliczką po schodkach, kierując się ku bramie. Wkrótce potem znalazła się na niewielkim poletku, które hrabia podarował jej ojcu. Beppo właśnie przekopywał ziemię.

Gdy zobaczył Giulię, wyprostował się, westchnął i otarł pot z czoła.

– Przyniosłaś mi coś do picia?

Giulii zrobiło się przykro, że musi go rozczarować.

– Niestety, tylko nasionka, o których zapomniałeś. Ale jeśli masz jakiś dzbanek albo kubek, mogę szybko pobiec do studni.

Stary ogrodnik przez moment się zastanawiał, po czym skierował się do małej szopy, która została sklecona ze starych desek. Wszedł z niej, niosąc pękaty dzbanek.

– Mam coś takiego, Giulio. Tylko dobrze go wypłucz, jest strasznie zakurzony.

Giulia wzięła naczynie i pobiegła zwinnie jak wiewiórka. Niedługo potem wróciła z pełnym dzbankiem. Beppo akurat wysiewał nasiona. Wziął dzbanek, opryskał sobie wodą ramiona i zwilżył czoło, dopiero potem się napił.

– Tak trzeba robić, żeby się ochłodzić. Niedobrze jest pić, jak człowiek jest rozgrzany – wytłumaczył Giulii poważnym tonem.

Dziewczynka uśmiechnęła się pobłaźliwie, ponieważ wysłuchiwała tych nauk co najmniej pięć razy w roku, po czym zapytała go, czy jeszcze czegoś nie potrzebuje.

– Nie, nie. Możesz już wracać do domu. Powiedz mojej staruszce, że dzisiaj jestem wyjątkowo głodny.

Te słowa też były rytuałem, który Beppo chętnie powtarzał.

Giulia obiecała mu to, ale nim zawróciła do miasta, jeszcze raz przeszła się wzdłuż zagonów z warzywami. Po drodze dopadła ją nagle przemożna chęć zaśpiewania pierwszej części mszy Palestriny. Mocno zacisnęła szczęki, żeby stłumić owo pragnienie. Ale niewiele to pomogło, dlatego w końcu zanuciła lekką piosenkę skomponowaną przez ojca. To wprawdzie nie było to samo, ale przynajmniej nikt nie mógł jej za coś takiego zbesztać.

Gdy skończyła, powtórzyła utwór jeszcze raz, zmieniając zgodnie ze swym wycuciem kilka krótkich pasaży. Piosenka brzmiała teraz lepiej niż oryginalna wersja stworzona przez ojca. Doszlifowała ją jeszcze trochę i stwierdziła, że nie komponuje wcale gorzej od ojca, a wręcz przeciwnie.

Kierowana pragnieniem, by zrobić mu przysługę, nie poszła natychmiast do matki, lecz wślizgnęła się do niewielkiej komnaty, którą Girolamo Fassi wykorzystywał jako swoją pracownię. Stał tu nie tylko pulpit, przy którym komponował, ale też *viola da braccio*, z której był szczególnie dumny. Giulia już nieraz prosiła ojca, żeby nauczył ją gry na tym instrumencie, bo już potrafiła grać na lutni i flecie poprzecznym. Girolamo Fassi jak dotąd zawsze się wymigiwał, twierdząc, że *viola da braccio* nie jest stworzona dla kobiecych rąk. Giulia miała jednak nadzieję, że kiedyś zdoła go przekonać. Może nawet dzisiaj, po tym jak zaśpiewa mu poprawioną wersję jego melodii.

Ta myśl jej nie opuszczała. Patrzyła na leżącą na pulpicie pustą kartkę, zaostrome pióro i zamknięty kałamarz. Czuła, że coś przemożnie ciągnie ją do tych przedmiotów. Ojciec nauczył ją czytać nuty, ale nigdy nie wymagał, żeby je zapisywała. Ona jednak dość często przyglądała mu się podczas pracy i sądziła, że sama poradzi sobie z zapisaniem tej nieskomplikowanej melodii. Kreśląc nuty, nuciła poszczególne pasaże, żeby utrafić we właściwą tonację. Prawie skończyła, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły – stanęła w nich matka. Maria Fassi wykrzywiła ze złości twarz i krzyknęła:

– Ty nieposłuszny leniuchu! Wymigujesz się od pracy, którą ci zadałam, a na dodatek bazgrzesz po cennym papierze ojca!

Oburzona Giulia pokręciła głową.

– Nie, wcale nie. Chciałam tylko szybko zapisać kilka poprawek do nowej kompozycji tatusia, które akurat przyszły mi do głowy.

– A więc nie tylko chcesz śpiewać, tak jak on kiedyś śpiewał, gdy był jeszcze chórzystą, ale na dodatek chcesz zastąpić go przy komponowaniu! Na krew przelaną przez Chrystusa, jesteś zepsuta do szpiku kości. – Kobieta chwyciła kartkę z nutami i zaczęła nią walić Giulie po głowie. – A masz! – wołała jak opętana. – To za to twoje komponowanie! A teraz marsz do roboty! Trzeba wynieść gnój z kurnika!

– Przecież zawsze zajmuje się tym Beppo! – zawołała z rozpaczą w głosie Giulia, ale matka nie uległa.

– Dzisiaj ty to zrobisz – powiedziała zimno i wyszła z pracowni zmęczonym krokiem, jakby ten wybuch gniewu odebrał jej resztkę sił.

Giulia odprowadziła matkę wzrokiem i tupnęła nogą. Była rozzalona nie z powodu powierzonego jej zadania, ale przede wszystkim dlatego, że matka odbierała jej nawet najmniejszą radość.

– Byłoby lepiej, gdybym to ja umarła, a nie Pierino – mruknęła pod nosem Giulia, a po policzkach pociekły jej łzy.

Spróbowała rozprostować pomiętą kartkę z nutami, aby ojciec mógł rozczytać melodię, po czym wyczyściła pióro. Nie mogła zanadto zwlekać, jeśli chciała porządnie uprzątnąć gnój z kurnika.

Wzięła skrobak, szufelkę i kosz do noszenia na plecach. Przeszła wąskim przejściem oddzielającym dom jej rodziców od domu sąsiadów. Kurnik był mały i tak niski, że musiała się schylić, żeby doń wejść. Z tego powodu Beppo nie czyścił go nazbyt często. Pięć kurek, które mieli, zaczęło w popłochu bić skrzydłami i gdakać, jakby Giulia chciała dobrać się im do gardeł. Dwie pierzchy jej nawet między nogami, próbując wydostać się na zewnątrz. W ostatniej chwili

dziewczynka chwyciła uciekinierki i wepchnęła je z powrotem do kurnika.

Nienawidziła tego zajęcia, bo pył, który unosił się z zaschniętego kurzego łajna, drażnił jej nos i gardło. Kaszłała, aż rozbolały ją płuca, i raz za razem kichała. Przez to wystraszyła kury, które biegały w popłochu, machając skrzydłami i wzbijając jeszcze więcej pyłu. W końcu Giulia obwiązała sobie twarz chustką, żeby w ogóle móc oddychać.

Skrobakiem odsunęła kury na bok i zaczęła pakować gnój do kosza. Stał się tak ciężki, że ledwo mogła go wyciągnąć z kurnika. Szybko zamknęła za sobą drzwiczki i popatrzyła w zwątpieniu na ciężar, który musiała teraz zanieść Beppowi do ogrodu. Pomyślała, że mogłaby połowę wysypać i potem po nią wrócić, ale pył wpadłby do domu i matka znowu by ją ukarała.

Z jękiem dźwignęła kosz, postawiła go na pieńku do rąbania drew, potem wsunęła ramiona w szelki i spróbowała podnieść ciężar na plecach. W pierwszej chwili się zatoczyła, ale złapała równowagę i wąskim przejściem wyszła na ulicę, po czym ruszyła schodkami w dół, kierując się do ogrodu.

Beppo na jej widok załamał ręce i natychmiast pomógł jej zdjąć kosz z pleców.

– Na Świętą Panienkę i Dzieciątko Jezus! Co ci przyszło do głowy, żeby czyścić kurnik z gnoju?

– Mama mi kazała – odpowiedziała Giulia, zgrzytając zębami z wysiłku i zarazem ze złości.

Beppo pokręcił głową i dobrotliwie ją zganił:

– To dla ciebie za ciężkie. Jeszcze dostaniesz przepukliny.

Giulia wzdrygnęła się na samą myśl. Mąż Lodriny miał przepuklinę, która wyglądała okropnie, prawie jak wielki wrzód, który przerwał powłoki ciała i wydostał się na zewnątrz. Mężczyzna zmarł przed rokiem i wielu było zdania, że właśnie z powodu przepukliny. Z zakłopotaniem spojrzała na Beppa.

– Następnym razem załaduję mniej.

– Wystarczy ten jeden raz – odpowiedział surowo. – Teraz odpoczniesz. Resztę ja uprzątnę. Twoja matka i tak pewnie nie wyjdzie z domu, żeby sprawdzić, kto się tym zajmuje.

Giulia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Na pewno znowu się położyła i nawet nic nie zauważy.

– Mam nadzieję, że leży w łóżku, bo wtedy ci nie dokucza. – Leciwy parobek uśmiechnął się do Giulii i dał jej prztyczka w nos. – Idź nad strumień i umyj sobie twarz. Ubrudziłaś się i czuć od ciebie kurami.

Zajął się gnojem, a ona poszła za jego radą i pobiegła w dół, nad strumień. Gdy umyła sobie twarz, ręce i nogi, mimowolnie spojrzała w górę, na zabudowania klasztorne. O tej porze chórzyci mieli próbę. Kusilo ją, żeby wspiąć się pod klasztorne mury i posłuchać ich śpiewu. Dzięki temu, że Beppo przejął jej robotę, miała dla siebie całą godzinę. Rozejrzała się badawczo. Nie zobaczyła nikogo poza kilkoma kobietami, które w dalszym ciągu znajdowały się na łączce, zbierały prześcieradła i plotkowały.

Giulia otrzepała sukienkę, pobiegła do zarośli, w które chciał ją zwabić Ludovico, przemknęła wzdłuż nich i wpadła do znajdującego się ciut wyżej, na drugim zboczku, klasztornego ogrodu. Tam, gdzie teren był płaski, pobożni bracia uprawiali warzywa i porzeczki. Niżej rosły stare drzewa oliwne, które w nocy wyglądały jak groźne upiory, co Giulii aż nazbyt dobrze wryło się w pamięć. Dzisiaj był jednak słoneczny dzień, a oliwki łagodnie kiwały gałęziami na lekkim wietrze. Giulia przemykała od drzewa do drzewa, uważając, żeby nie dojrzano jej z klasztoru.

Chwilę potem znalazła się przy warzywniku. Przeszła przez niski murek, który oddzielał go od

zagajnika oliwnego, i kryjąc się za kilkoma rozłożystymi krzakami porzeczki, dotarła do zewnętrznych murów klasztoru. Tam, od strony porośniętego dziką roślinnością stromego zbocza, na wysokości kolan znajdowało się małe okienko, które służyło do wentylacji piwnicznego pomieszczenia, w którym odbywały się próby. Przez to okno wszystko było słychać tak doskonale, że Giulia najczęściej zapominała o całym świecie. Ale dzisiaj w środku panowała całkowita cisza, tak że w pierwszym momencie dziewczynka poczuła rozczarowanie i doszła do wniosku, że próba już się skończyła. Ale chwilę później zabrzmiał pełen słodczy i zaangażowania śpiew chłopców.

Giulia skuliła się, przyłgnęła do ściany i słuchała z przejęciem. Fragment mszy, wykonywany na wiele głosów, był naprawdę przepiękny. Słyszała go już kilkakrotnie i powtarzała w swoim rejestrze głosowym. Najbardziej zainteresowana była jednak partią solową. Słuchała, jak chłopcy anielskimi głosami śpiewają „Alleluja!”, i czekała na występ Ludovica. Jak zawsze zaczął ułamek sekundy za późno. Giulia wyobraziła sobie, że ojciec Lorenzo i jej ojciec kręcą w tym momencie głowami, i nie mogła się powstrzymać od jadowitego uśmiechu. W tym samym momencie nadstawiła uszu.

Z głosem Ludovica coś było nie tak. Już przy trzeciej nucie zabrzmiał nieczysto. Gdy zepsuł swój występ kolejnymi fałszywymi tonami, Giulii przypomniało się zabrudzone prześcieradło i uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją. Nie były to wielkie błędy, czasami ledwo dało się je usłyszeć. Ale dla niej były jak drobne rysy na wypolerowanym kamieniu szlachetnym. Teraz bardziej niż kiedykolwiek nabrała przekonania, że potrafi śpiewać lepiej niż tak przez wszystkich wychwalany Ludovico, i uznała, że świat jest niesprawiedliwy.

Siedząc w cieniu pod ścianą i słuchając chóralnego śpiewu, Giulia straciła poczucie czasu. Dźwięk kościelnego dzwonu przywołał ją w końcu do rzeczywistości. Chórzyści powtarzali teraz poszczególne fragmenty mszy, co do których wykonania ich nauczyciele mieli pewne zastrzeżenia. Giulia poczuła się znudzona i opuściła kryjówkę. Okrężną drogą zeszła na łączkę do suszenia bielizny, by stamtąd wrócić do miasteczka. Idąc, mimowolnie zanuciła pierwszą część solowej partii Ludovica.

Przestraszona zasłoniła sobie usta dłonią i się rozejrzała. Kobiety, które tu wcześniej widziała, zdążyły spakować już swoją bieliznę i wróciły do Saletto. Ponieważ nikogo wokół nie było, Giulia postanowiła skorzystać z okazji. Schowała się w krzakach za kilkoma sterczącymi skałami obok oliwnego zagajnika i stłumionym głosem zaintonowała mszę. Powoli rozkręcała się coraz bardziej, zapominając o dyskrekcji, aż w końcu zaczęła śpiewać pełną piersią.

Ojciec Lorenzo odesłał chórzystów do pokojów i razem z Girolamem Fassim wyszedł do przyklasztornego ogrodu, żeby coś z nim jeszcze omówić. Chwilę spacerowali w milczeniu pod szpalerami drzew owocowych. Potem chórmistrz westchnął, jak gdyby przygniatał go olbrzymi ciężar.

– Dzisiejszy występ Ludovica nie zanadto mi się spodobał. Niektóre tony zaśpiewał niezbyt czysto, a parę miejsc całkiem zepsuł. Obawiam się, że popełniliśmy duży błąd, powierzając mu partię solową.

Fassi wzdrygnął się, jakby ktoś sieknął go biczem po karku.

– Nie sądzę. Przecież nie mieliśmy innego wyjścia. Hrabia Gisiberto wyprosił ten honor dla swojego ulubieńca, a opat Francesco chciał się przysłużyć hrabiemu.

– Jeśli Ludovico zawiedzie podczas mszy, to żaden z nich nie będzie poczuwał się do odpowiedzialności. W razie klapy obwinia nas przed swymi wysoko postawionymi gośćmi. Ocenia, że nie potrafiliśmy przygotować chóru do występów. Słono zapłacimy, jeśli dojdzie do kompromitacji.

Ojciec Giulii roześmiał się nerwowo.

– Nawet nie mam odwagi o tym myśleć – powiedział. – Trzymam się kurczowo nadziei, że dzięki nowej mszy hrabia stanie się wobec mnie przychylniejszy. Na Boga, na uroczystości przyjedzie tu pół Umbrii i wielcy panowie z Rzymu. Musi się udać.

– Mistrzu Girolamo, rzeczywiście pracowaliście ciężko, aby odnieść sukces. Śpiew chóru jest prawdziwą ucztą dla uszu. Teraz wszystko zależy od partii solowej Ludovica. Jeśli nie popełni jakichś rażących błędów, hrabia będzie z nas zadowolony. Oczywiście powiem mu i opatowi, z jakim zaangażowaniem i poświęceniem przygotowywaliście tegoroczną mszę.

Tym razem to Fassi westchnął głęboko.

– Byłoby miło, gdyby hrabia sobie o mnie przypomniał. Obecnie życie mnie nie rozpieszcza. Syn, w którym pokładałem tyle nadziei, zmarł, moja żona choruje, a córka Giulia...

Urwał, bo właściwie nie wiedział, co mógłby zarzucić córce. Wprawdzie była w dużej części odpowiedzialna za napięcia między nim a żoną, ale nie mógł za wszystko winić dziewczynki.

Przez chwilę kroczył w milczeniu obok ojca Lorenza, zazdroszcząc mnichom. Żyli sobie w zgodzie z samymi sobą i ze światem, wykonywali swoje zadania, którymi zapracowywali na łaski w zaświatach, mieli do dyspozycji dość jedzenia i picia. Nagle poczuł pragnienie, żeby zerwać z dotychczasowym życiem i prosić ojca, by ten pomógł mu wstąpić do klasztoru, ale szybko przywołał się do porządku. Nie mógł zostawić Marii ani Giulii na łasce losu, nawet jeśli ciężar odpowiedzialności za nie ciążył mu niczym kamień młyński u szyi.

Na tę myśl westchnął.

– Jesteśmy nędznymi stworzeniami, nierozzerwalnie związanymi ze swym losem – powiedział.

Ojciec Lorenzo popatrzył na niego przez moment z irytacją, ale potem pokiwał głową, przyznając mu rację.

– Tak właśnie jest, mistrzu Girolamo. Bóg w swojej wielkiej dobroci przyznał każdemu z nas jego

los. Nieliczni, jak papież czy nasz hrabia, otrzymują swoją nagrodę już za życia. My, zwykli śmiertelnicy, musimy jednak poczekać, aż Pan wezwie nas do siebie. W raju nie będziecie musieli kłaniać się Gisibertowi Corrabiallemu; to on przygarnie was do piersi i nazwie swym bratem.

Ojciec Lorenzo złożył dłonie jak do modlitwy i mówił z żarliwością, kierując wzrok ku niebu. Fassi nie potrafił jednak uwierzyć w tę wizję. Hrabia Gisiberto nie był człowiekiem, który mógłby traktować go jak brata, nawet na tamtym świecie. A gdyby jakimś cudem tak się stało, to on i tak będzie przed nim drżał ze strachu i ścisnął czapkę w dłoni.

Fassi otrząsnął się z trudem z tej wizji.

– Porozmawiajmy lepiej o innych rzeczach zamiast o śmierci i o tym, co się może po niej wydarzyć. Wiecie już, jakich gości należy się spodziewać na uroczystościach podczas Dnia Świętego Hipolita?

– Jak słyszałem, będzie to krąg dostojnych osób. Swoją obecność zapowiedział kardynał Pietro Francesco Ferreri, a także Ippolito Farnese oraz Ippolito della Rovere, bratanek księcia Urbino. Dwaj ostatni cieszą się wielkim uznaniem Jego Świątobliwości i na pewno wkrótce zostaną uhonorowani kardynalską purpurą. Ich rodziny mają dość pieniędzy, żeby kupić dla nich te godności.

W głosie ojca Lorenza zabrzmiała lekka irytacja, że owi kościelni dygnitarze, którzy powinni stosować się do słowa Bożego, mogą kupić tytuły za pieniądze, zamiast zasłużyć sobie na nie pracą i poświęceniem.

Fassi nie zwrócił uwagi na to, że nastrój jego towarzysza nagle się zmienił, lecz wysłuchiwał nazwisk kolejnych dostojników, wzdychając przy tym raz po raz. Wielokrotnie też wyraził nadzieję, że Ludovico nie przyniesie im wstydu. Tymczasem doszli aż do końca ogrodu i chcieli już zawrócić. Wtedy w zagajniku oliwnym zabrzmiał czysty, dźwięczny głos, który właśnie śpiewał najtrudniejszy fragment solowej partii będącej częścią mszy.

Ojciec Lorenzo zatrzymał się, przytknął rękę do ucha i nasłuchiwał przez moment.

– Chyba Ludovico wziął sobie naszą krytykę do serca i ćwiczy teraz na osobności. Jeśli podczas uroczystości zaśpiewa tak jak teraz, to obaj możemy sobie pogratulować, mistrzu Girolamo.

Fassi zrobił się nagle błydy jak prześcieradło, ponieważ poznał głos Giulii. Najchętniej by do niej pobiegł, żeby zmusić ją do milczenia, ale nie chciał dopuścić, by mnich się zorientował, że to nie Ludovico śpiewa. Zaśmiał się więc niezręcznie i zawrócił w kierunku klasztoru.

– Proponuję zostawić śpiewaka w spokoju – rzekł. – A poza tym muszę już wracać do domu.

Ojciec Lorenzo go przytrzymał.

– Którędy idziecie? Jeśli zejdziecie na dół wzgórza i przejdziecie przez dolną bramę, będziecie mieli krótszą drogę do domu niż przez klasztor.

Po tych słowach otworzył małą furtkę, która oddzielała ogród od zagajnika oliwnego, i machnął energicznie na Fassiego, żeby ten szedł za nim.

Ojciec Giulii rozpaczliwie szukał w myślach wybawienia, ale było już za późno. Mnich z niestosownym pośpiechem wbiegł do oliwnego zagajnika, zatrzymał się i znów nasłuchiwał, żeby się zorientować, gdzie dokładnie znajduje się śpiewak. W końcu palcem wskazującym wycelował w zarośla i po cichu się do nich podkradł. Gdy dostrzegł Giulie, która śpiewała w skupieniu i z oddaniem, stanął jak wryty.

– A niech to! Mistrzu Girolamo, to przecież wasza córka. Jak to możliwe? Co to za diabelska sztuczka?

Giulia przerwała swój śpiew w połowie słowa, krzyknęła i z osłupieniem wlepiła wzrok w

mnicha, a potem rzuciła się do ucieczki tak szybko, jakby gonił ją sam diabeł z piekła rodem. Ale ojciec dopadł ją po kilku krokach. Chwycił ją mocno, po czym uderzył kilka razy w twarz i silnie nią potrząsnął.

– Ile razy ci mówiłem – zawołał z wściekłością – żebyś nie chodziła do klasztoru i nie podsłuchiwała chóru! Ale ty jesteś głucha na to, co mówię!

Giulia miała wrażenie, że od bicia i potrząśnięcia głowa zaraz spadnie jej z ramion. Ból policzka rozszedł się falą po ciele dziewczyny i wniknął w palce rąk i stóp.

– Przecież nie byłam w klasztorze – z trudem wydobyła z siebie głos. – Tylko w ogrodzie.

Tę odpowiedź ojciec skwitował kolejnym policzkiem.

– Kłamiesz! W ogrodzie nie słyhać, jak chór śpiewa.

Giulia jęczała z bólu.

– Właśnie, że słyhać. Koło porzeczek jest takie małe okienko, przez które słyhać wszystko, co się dzieje podczas prób.

– Kłamiesz! – znów krzyknął ojciec i chciał ją uderzyć.

Ojciec Lorenzo przytrzymał jego ramię.

– Dziewczyna mówi prawdę. Znam to okienko. Przez pierwsze lata mojego pobytu w klasztorze Świętego Hipolita sam często tam przesiadywałem, żeby słyhać śpiewu chórzystów, wśród których wy się wtedy znajdowaliście. Z tego powodu zaniedbywałem nawet swą pracę, aż w końcu czcigodny opat Jacopo di Riezzi powierzył mi kierownictwo nad chórem, a moje wcześniejsze obowiązki przejął jeden z braci.

Była to ciekawa historia, a mnich opowiedział ją z lubością. Wszelako jedynie po części była zgodna z prawdą, bo Lorenzo wstąpił do klasztoru już jako znawca muzyki, aby wspierać ówczesnego chórmistrza. Ale przynajmniej na moment odwrócił uwagę Fassiego od Giulii.

Dziewczynka stojąca przed obydwoma mężczyznami wyglądała jak siedem nieszczęść i żałośnie pociągała nosem. Jeszcze nie widziała ojca tak rozgniewanego. Gdy zobaczył jej spojrzenie, znów się zamachnął, żeby ją uderzyć, ale ojciec Lorenzo osłonił ją swym obfitym ciałem niczym wał ochronny.

– A więc to ty jesteś tym małym słowikiem, którego śpiew właśnie słyszeliśmy. Muszę przyznać, że ojciec doskonale cię wyuczył – powiedział z nutką niepewności w głosie.

Fassi gwałtownie zaprotestował.

– Nie ćwiczyłem z Giulią mszy! Musicie mi uwierzyć, wielebny ojcze. Moja córka nauczyła się jej poprzez słuchanie. Ciągłe się tu podkrada pod klasztor, żeby podsłuchiwać.

Fassi ze strachu odchodził od zmysłów. Jeśli chórmistrz uzna, że uczył żeńską istotę sakralnych śpiewów i doniesie na niego z tego powodu do opata albo biskupa, to będzie po wszystkim. Straci nie tylko stanowisko, ale zostanie mu też wytoczony proces przed sądem kościelnym, a rzadko się zdarza, żeby ten kogoś uniewinnił.

Zakonnik nie zwracał uwagi na korepetytora, lecz surowym wzrokiem lustrował Giulie.

– Czy to prawda, co mówi twój ojciec?

Dziewczynka przytaknęła, mając łzy w oczach.

Ojciec Lorenzo w zamyśleniu potarł czubek nosa.

– Dzisiaj po raz pierwszy ćwiczyliśmy kompozycję mistrza Palestriny *Kyrie eleison*. Jeśli mówisz prawdę, to będziesz potrafiła i to zaśpiewać.

Przestraszony Fassi zaprotestował:

– Wielebny ojciec, nie możecie żądać, żeby dziewczyna zaśpiewała fragment mszy!

– Jestem ciekaw, czy faktycznie opanowała ją sama z siebie, czy może chcecie zamydlić mi oczy.

Chociaż głos mnicha brzmiał łagodnie, to ojciec Giulii poczuł zimny dreszcz na karku. W tym momencie opanowała go nadzieja, że jego córka faktycznie zdoła zaśpiewać tę trudną partię.

– Słyszałaś, co powiedział wielebny ojciec. Zaśpiewaj *Kyrie eleison*.

Dziewczynka spoglądała sceptycznie to na jednego, to na drugiego. W końcu zorientowała się, że mężczyźni mówią poważnie, i zaczęła śpiewać drżącym głosem. Początkowo nie była w stanie dobrać właściwych tonów. Ojciec Lorenzo chciał już pogardliwie machnąć ręką i surowo spojrzeć na ojca Giulii. Ale wtedy dziewczynka wzięła się w garść. Zapomniała o obecności mężczyzn i całkowicie oddała się muzyce.

Ojciec Lorenzo cofnął się o krok, z niedowierzaniem patrząc na dziewczynkę. Gdy skończyła, pokręcił głową.

– Gdyby to nie była pieśń ku chwale Pana, której z pewnością nie naucza żaden demon z piekła rodem, pomyślałbym, że to czary.

Fassi wzdrygnął się, usłyszawszy to słowo po raz drugi.

– Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, wielebny ojciec. Giulia już jako małe dziecko potrafiła zapamiętać każdą melodię, którą usłyszała choćby raz. Wtedy jednak śpiewała piosenki, które przystoją niewieście, a nie nową mszę wielkiego Palestriny. Obiecuję wam, ojciec, że ukarzę ją za arogancję.

Ojciec Lorenzo roześmiał się i machnął ręką.

– Już ją uderzyliście w gorącym gniewie. Nie zgrzeszcie ponownie, podnosząc na nią rękę.

Pogłaskał Giulie po policzku i się do niej uśmiechnął.

– Wracaj teraz do domu, moje dziecko. Aha, w związku z tym, że weszłaś do klasztornej ogrodu, czego jako dziewczyna nie powinnaś była robić, zmówisz jako pokutę dwadzieścia razy *Ojcze nasz*.

Giulia poczuła ulgę, że może oddalić się od mnicha i ojca. Zbiegła pospiesznie w dół zbocza. Ojciec Lorenzo patrzył w ślad za nią, póki nie zniknęła między domami, po czym stanął przodem do Fassiego.

– Jaka szkoda – powiedział – że wasza córka nie jest chłopcem, mistrzu Girolamo. Byłaby chlubą naszego chóru. – Westchnął i pokręcił głową, po czym dodał: – Bóg rozdaje ludziom swoje dary często w taki sposób, że my, śmiertelnicy, nie potrafimy tego zrozumieć. Obdarował waszą córkę wielkim talentem, który może co najwyżej ściągnąć na jej głowę nieszczęście. Tymczasem niektórym poskąpił zdolności, chociaż bardzo by im się przydały.

– Bardzo was proszę, yyy, błagam was, żebyście to wszystko zachowali dla siebie!

Ojca Giulii trzymał w swych szponach strach, że on i jego córka mogliby zostać oskarżeni o czary. Aż za dobrze pamiętał, że stara Lodrina już nieraz nazywała Giulie czarownicą. Ale na szczęście jak do tej pory nikt poważnie nie traktował słów wdowy.

Ojciec Lorenzo uniósł ręce.

– Nie obawiajcie się, mistrzu Girolamo – powiedział uspokajająco. – Zachowam to dla siebie. Ale w przyszłości lepiej pilnujcie córki, żeby śpiewała tylko takie melodie, które przystoją niewieście.

– Przypilnuję jej, wielebny ojciec.

Fassi próbował ukryć niepewność, bo dokładnie wiedział, że nie zdoła dotrzymać tej obietnicy, chyba że trzymałby Giulie przez całą dobę w ciemnej piwnicy. A nawet tam jeszcze by śpiewała,

tego był pewien.

Ojciec Lorenzo nie dostrzegł jego wewnętrznego rozdarcia.

– Jakie macie plany wobec córki? – zapytał.

Fassi mimowolnie spojrział w górę, na zamek, ale wiedział, że nie może osobie duchownej powiedzieć, iż marzy o tym, by podsunąć hrabiemu Giulie jako metresę. Nie wiedząc, co powiedzieć, zaczął sobie wycierać nos, aby mieć czas na wymyślenie czegoś odpowiedniego, po czym bezradnie wzruszył ramionami.

– Chciałbym – oznajmił – żeby za wstawiennictwem hrabiego Gisiberta Giulia została dwórką jakiejś szlachetnie urodzonej damy. Mogłaby jej grywać na lutni i śpiewać wesołe piosnki. Moja żona Maria natomiast najchętniej wydałaby ją za pierwszego lepszego absztyfikanta, gdy tylko Giulia osiągnie odpowiedni wiek.

Ojciec Lorenzo pokiwał głową.

– Cóż za marnotrawstwo nadzwyczajnego talentu.

Giulia czuła złość na siebie i na swojego ojca, a jednocześnie zupełną bezradność. Gdyby była chłopcem, pozwalano by jej na wszystko to, czego jej teraz zabraniano i za co ją bito. Wtedy nawet jej talent wokalny byłby powodem do dumy. Złościła się, że zachowała się tak nieostrożnie i śpiewała w gaju oliwnym. W ten sposób straciła wszelką możliwość podsłuchiwania chóru w przyszłości. Ojciec dotychczas dawał jej za przewinienia co najwyżej lekkiego klapsa. Ale teraz bolała ją cała głowa, a pod oczami miała siniaki. W gaju oliwnym odniosła wrażenie, że ojciec nie jest sobą, że wstąpił w niego zły duch i zamienił go w demona z jej koszmarów.

Była tak rozgniewana, że w pierwszej kolejności wpadła do pokoju ojca, chwyciła nuty, które z trudem uratowała przed matką, zaniosiła je do kuchni i wrzuciła do ognia. Patrzyła z gorzką satysfakcją, jak papier najpierw się zwija, potem w kilku miejscach brązowieje, a na koniec płonie. Chciała pomóc ojcu, aby jego melodia przypadła hrabiemu do gustu. Teraz było jej wszystko jedno. A niech się ośmieszy!

– Giulio, czy to ty? – usłyszała żałosny głos matki.

Przez moment czuła pokusę, by udać, że jej nie ma. Ale potem wysunęła zadziornie brodę do przodu i poszła do pokoju matki.

Maria Fassi siedziała w łóżku złana potem i ciężko oddychała.

– Źle się czuję. Przyrowadź Assumptę. A potem pobiegnij do doktora Bramontone, niech mi dostarczy lekarstwo.

Wobec złego stanu matki Giulia zapomniała o swoim gniewie i wybiegła na zewnątrz. Znalazła Assumptę za domem. Służąca właśnie karmiła kury.

– Idź szybko do mamy! Jest bardzo chora i chce, żebyś do niej przyszła, a ja pobiegnę do lekarza.

Assumpta nie miała dobrego zdania o zdolnościach jedyne go lekarza, który praktykował w Saletto.

– On jej w niczym nie pomoże – powiedziała bez ogródek. – Będzie tylko niezrozumiałe mamrotał i przepisze jej do picia jakąś wstrętną miksturę. Ale mimo wszystko przyrowadź go, jeśli to ma uspokoić twoją matkę.

Gdy niedługo potem do domu wrócił Girolamo Fassi, zastał obok swojej żony i pary służących także lekarza Alcidego Bramontone, który właśnie palił pałeczki siarkowe, żeby przepędzić opary przyprawiające o chorobę. Na widok Fassiego na jego podłużnej, końskiej twarzy pojawił się frasunek.

– Przychodziecie w złą godzinę, mistrzu Girolamo. Wasza żona jest ciężko chora.

– Już od wielu tygodni choruje.

Mina Fassiego zdradziła, że podejrzewa lekarza, iż to przez niego Maria tak długo cierpi i teraz na dobre się rozchorowała.

Bramontone nie dał się sprowokować. Zastygł w dumnej pozie i zaczął cytować jakieś łacińskie słowa, które Fassi rozumiał tylko po części. Na koniec z kieszeni ciemnej togi wyciągnął szklaną buteleczkę i pobujał nią Fassiemu przed twarzą.

– Sporządziłem to lekarstwo według receptury mędrca Arystotelesa. Odgania śmierć od każdego progu – oznajmił zarożumiałym tonem, po czym kazał Assumpcie, by podała mu kubek z wodą, wła-

do niego kilka kropli płynu, pokręcił kubkiem, żeby lekarstwo dobrze się wymieszało, i podał je chorej.

Maria Fassi, wstrząsana atakami kaszlu, wypila roztwór do dna, po czym spojrzała z nadzieją na lekarza.

– Niech Bóg was błogosławi, doktorze. Wydaje mi się, że już mi lepiej.

– Mam taką nadzieję – powiedział lekarz z namaszczeniem.

Wcisnął Assumpcie butelkę do ręki i wyjaśnił, że ma dawać chorej trzy razy dziennie dziesięć kropel rozcieńczonych w wodzie. Potem zwrócił się do ojca Giulii:

– Nie chcę pana niepokoić, mistrzu Girolamo, ale wciąż jeszcze jesteście mi winni honorarium za moją ostatnią wizytę.

Fassi uniósł ręce w obronnym geście.

– Zapłacę wam, jak tylko hrabia wróci do Saletto i przekaze mi zaległe wynagrodzenie.

Ponieważ zarządca Gisiberta Corrabiallego nie spieszył się z wypłatą wynagrodzeń i na dodatek część pieniędzy zatrzymywał dla siebie, sakwa Girolama Fassiego ostatnimi czasy zrobiła się lekka. Pogardliwe spojrzenie Bramontonego trafiło go jak uderzenie obuchem, ale pomyślał, że Maria zapewne będzie potrzebować jeszcze pomocy lekarza. Dlatego przeszedł do pracowni i wyciągnął ze skrytki lniany woreczek z gotówką schowaną na czarną godzinę. Odliczając pieniądze dla lekarza, miał nadzieję, że żona wkrótce wyzdrowieje albo zostanie ostatecznie wybawiona od swoich cierpień.

Bramontone sprawdził skrupulatnie sumę i zwrócił monetę, której waga wydała mu się zbyt mała.

– Dajcie mi lepiej innego skuda.

Lekarz z zadowoleniem schował pieniądze i skierował się ku drzwiom. Na progu zatrzymał się jeszcze raz, uniósł palec wskazujący i pouczającym tonem rzekł:

– Powinniście w ciągu najbliższych dni trzymać się z dala od łoża swej niewiasty. Złe opary mogłyby podczas snu wedrzeć się do waszych płuc i spowodować chorobę także u was.

Ojciec Giulii wiedział, że w Perugii i Rzymie praktykują lekarze, którzy uważają, iż choroby mają inne źródło niż jakieś złe opary. Ale w pewnym sensie Saletto było równie odległe od Rzymu, co od księżycy. Tylko wielcy panowie, tacy jak hrabia Gisiberto, opat oraz ich wybrani towarzysze, mieli możliwość wyjazdu do tych miast. Gdy ojciec Gisiberta jeszcze żył, Girolamo Fassi też należał do grona szczęśliwców, którzy zabierani byli do Rzymu. Ale nowy hrabia gardził w równym stopniu jego muzyką, co towarzysztwem.

Wieczorem Maria Fassi znów poczuła się gorzej. Na żądanie Fassiego Assumpta podała jej lekarstwo, ale nic to nie pomogło. Ponieważ Fassi nie wiedział, co począć, służąca się zaoferowała, że będzie czuwać przy chorej. Z ulgą zaszył się w swojej izbie i przy świetle kiepskiej lampy łożowej pracował nad nową melodią. W końcu doszedł do wniosku, że jego dzieło nie wyrze na młodym hrabim oczekiwanego wrażenia.

Giulia również martwiła się z powodu złego stanu matki. Ale jako że Maria Fassi leżała bezradnie, a ojciec prawie przez cały dzień przebywał w klasztorze, dziewczynka miała spokój. Nikt na nią nie krzyczał, nie złościł się ani jej nie wyzywał. Z łatwością wypełniała swoje domowe obowiązki i pomagała Assumpcie pielęgnować chorą matkę. Nie była jednak w nastroju na śpiewanie, chociaż boleśnie brakowało jej słuchania chóru.

Maria Fassi czuła się coraz gorzej. Rzuciła się półprzytomna w gorączce i często krzyczała tak głośno, że przybiegały sąsiadki. Gdy odzyskiwała świadomość, wzywała żalosnym głosem męża, a gdy do niej przychodził, robiła mu wyrzuty. Atmosfera była tak nieznośna, że Girolamo Fassi nie wytrzymał już w domu. Nocami nie mógł spać, nie tyle z winy żony, co z obawy, co się z nim stanie, jeśli wykonanie mszy Palestriny nie zadowoli opata i hrabiego. W końcu poprosił ojca Lorenza, żeby ten oddał mu do dyspozycji nieużywaną klasztorną celę, w której zamierzał mieszkać aż do Dnia Świętego Hipolita.

Wszystkie jego myśli krążyły teraz wokół chóru. Nie mógł się doczekać wielkiej godziny, ale jednocześnie obawiał się powrotu hrabiego, zwłaszcza że zarządca poinformował go, iż kto inny będzie odpowiedzialny za zapewnienie muzycznej rozrywki gościom podczas ich pobytu na zamku. Gisiberto Corrabialli przyjął w Rzymie na służbę nowego kapelmistrza i powierzył mu organizację zabaw.

Tym samym najgorszy koszmar Fassiego przybrał realne kształty, ponieważ od tego dnia już oficjalnie nie należał do najbliższej świty hrabiego, lecz pozostał zaledwie jednym z wielu drobnych służących, którzy powinni być wdzięczni, jeśli dostaną wynagrodzenie wystarczające na przeżycie. Przez kilka dni żywił jeszcze nadzieję, że jeśli msza Palestriny odniesie sukces, wówczas odzyska przychyłność hrabiego, a ten powierzy mu inne, lepiej płatne stanowisko. Ale potem na horyzoncie pojawiło się następne fatum.

Chór miał na tyle opanowaną mszę, na ile pozwalały możliwości chłopców. Ludovico jednak z dnia na dzień przysparzał coraz większych zmartwień. Chłopiec jakby stopniowo tracił wycucie muzyczne. Z początku były to niuanse, niemniej raziły one Girolama Fassiego i ojca Lorenza. Ale z próby na próbę było coraz gorzej. Na koniec chłopiec mylił tonację nawet o pół oktawy.

A że uroczystość zbliżała się milowymi krokami, również ojciec Lorenzo zaczął się niepokoić. Pierwsi goście już dotarli na zamek, a lada dzień miał przybyć hrabia Gisiberto. Wieczorem, tuż przed jego przyjazdem, ojciec Lorenzo i Girolamo Fassi odesłali chłopców z chóru wcześniej do łóżka i usiedli w pustej sali prób nad kielichem wina. Rozpaczliwie próbowali wymyślić coś, co uchroni ich przed groźącą im katastrofą.

Ojciec Lorenzo oparł głowę na dłoniach, jakby jego szyja nagle nie była w stanie unieść jej ciężaru.

– Boję się o tym nawet pomyśleć, ale Ludovico przechodzi chyba właśnie mutację głosu.

Fassi skinął posępnie głową.

– Popełniliśmy błąd, że nie wyuczyliśmy żadnego innego chłopca partii solowej. Może Luca zdoła ją opanować w ciągu tych kilku dni, które nam pozostały.

– Nie, Luca odpada. Jego skala głosu nie jest wystarczająca. Lepiej nadałby się Ambrogio. Jedynie jego głos dorównuje głosowi Ludovica.

Fassi machnął z rezygnacją ręką.

– Za to Ambrogio potrzebuje najwięcej czasu ze wszystkich chórzystów, żeby przyswoić sobie tekst. Wątpię, czy w czasie, jaki nam pozostał, zdoła wyuczyć się choć połowy.

Ojciec Lorenzo przyznał mu z ciężkim sercem rację.

– Można się załamać. Żaden z chłopców nie jest wystarczająco utalentowany, żeby powierzyć mu partię Ludovica. Możemy mieć tylko nadzieję, że w Dniu Świętego Hipolita głos mu się poprawi. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli chłopcy spartaczą mszę, którą mistrz Giovanni da Palestrina napisał specjalnie dla naszego klasztoru.

Na te słowa Fassi wydał z siebie jęk żałośniejszy od lamentów wydawanych przez jego chorą żonę.

– Hrabia Gisiberto wysmaga mnie biczem i przepędzi jak parszywego psa – zaskomlał. – Moja żona i córka będą musiały iść na żebrzy.

– Ależ nie! Uspokójcie się, mistrzu Girolamo. Na razie nie jest jeszcze tak źle. Właśnie coś mi przyszło do głowy. Słyszałem o lekarstwie, które poprawia barwę głosu i opóźnia mutację. Brat aptekarz powinien posiadać recepturę. Zaraz do niego pójde i poproszę, żeby sporządził tę miksturę. Na szczęście kazałem Ludovicowi zostać na noc w klasztorze. Tak więc jeszcze dzisiaj w nocy będzie mógł wypić lekarstwo. Zobaczycie, wszystko się ułoży.

Ojciec Lorenzo robił dobrą minę, ale wcale nie był tak pewny tego, co mówił. Nie chciał jednak jeszcze bardziej trwożyć całkiem załamanego Fassiego. Poradził mu wypić jeszcze jeden kieliszek czerwonego wina, a potem się położyć. Dla dodania towarzyszowi otuchy poklepał go po ramionach, po czym ciężkim krokiem opuścił pokój, żeby zatroszczyć się o lekarstwo.

Mnich odpowiedzialny za klasztorną aptekę udał się już na wieczorny spoczynek do swojej celi. Gdy ojciec Lorenzo zapukał do jego drzwi, otworzył natychmiast i zgodził się wymieszać niezbędne ingrediencje.

Gdy znaleźli się w aptece, przystąpił do rozcierania w moździerz koniecznie składników.

– Sam już nawet zamierzałem zaproponować ci, bracie, abys podał Ludovicowi tę miksturę, chociaż jej działanie jest ograniczone, a zbyt częste zażywanie szkodzi głosowi – powiedział podczas tej czynności. – Często przystaję pod salą prób i słucham. Też zauważyłem, że chłopcu powoli zmienia się głos.

Ojciec Lorenzo uniósł ręce jak do modlitwy.

– Mam nadzieję, że to lekarstwo pomoże, w przeciwnym razie będziemy potrzebowali cudu, żeby przetrwać gniew naszego opata.

Gdy fiolka znalazła się wreszcie w jego ręce, nie podziękował nawet bratu aptekarzowi, tylko z niestosownym pośpiechem podążył ciemnymi klasztornymi korytarzami do tej części budynku, gdzie mieszkali chórzyci. Zanim wszedł do sypialni, zgasił lampkę oliwną i postawił ją na gzymsie ciągnącym się wzdłuż ściany. Ponieważ przez wąskie, wysokie okna świecił jasny księżyc, sądził, że znajdzie Ludovica, nie budząc pozostałych chłopców.

Gdy dotarł do właściwego łóżka, stwierdził, że jest ono puste. Poczuł, że trzęsie się ze zdenerwowania. Jeśli chłopiec wbrew wyraźnemu zakazowi opuścił klasztor i pobiegł do ojcowskiego młyna, to mikstura nie zdąży zadziałać. Potem pomyślał, że Ludovico zapewne udał się do wychodka. Nie wiedział, czy ma na niego czekać, czy może pójść go poszukać. Jego wzrok powędrował po łóżkach. Wszyscy chłopcy spali spokojnie, tylko łóżko Ambrogia również było puste.

Ojciec Lorenzo, napędzany złymi przeczuciami, opuścił sypialnię przez drzwi prowadzące do sali prób. Na prawo i na lewo od sali znajdowało się jeszcze kilka mniejszych pomieszczeń, gdzie przechowywane były stroje chłopców i instrumenty muzyczne. Mnich nie musiał długo szukać. Przez

na wpuł otwarte drzwi jednego z pokoi zobaczył w świetle księżycy dwa przyciśnięte do siebie ciała. Jedno było nieruchome, drugie natomiast poruszało się rytmicznie do przodu i tyłu.

Oszłupiały mnich gwałtownie otworzył drzwi na całą szerokość. Obaj chłopcy znieruchomieli ze strachu. Ambrogio stał pochylony do przodu, koszulę miał podciągniętą i nadstawiał tyłek stojącemu za nim nagiemu Ludovicowi. Ten trzymał swego kolegę za biodra i patrzył na chórmistrza ze strachem. Mnichowi w pierwszej chwili odebrało głos, dlatego Ludovico zdołał szybko zapanować nad sobą. Na jego twarzy pojawił się ugrzeczniomy uśmieszek. Zaprezentował mnichowi swoje wciąż jeszcze stojące prącie.

– Jeśli chcecie, wielebny ojcze, możecie mieć nas obu. Nic nikomu nie powiemy.

Mnichowi na tę niesłychaną ofertę zapało dech w piersiach.

– Ludovico! Jesteś zepsuty do szpiku kości! Na krew Chrystusa, jak śmiecie w tym świętym miejscu uprawiać grzech śmiertelny sodomii?

– Sodomii? – Przerażony Ambrogio wpatrywał się w mnicha, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, co takiego uczynił.

Tymczasem Ludovico rozglądał się za możliwością ucieczki. Syn młynarza aż nazbyt dokładnie pamiętał, jak ojciec rozmawiał z kilkoma sąsiadami o karze dla pewnego sodomity z sąsiedniego miasta. Najpierw mężczyznę poddano krwawej chłości, a potem wepchnięto mu do odbytu rozgrzany żelazny pręt. Nieszczęśnik zmarł w strasznych męczarniach.

Ludovico chciał czmychnąć, ale nie zdołał się precisnąć przez drzwi zastawione przez ojca Lorenza. Mnich chwycił chłopca i rzucił nim o ścianę.

– To niesłychane! Masz śpiewać dla Bożej chwały w kościele Świętego Hipolita, a przedtem kalasz się jak poganin kałem, wchodząc w jelita, jakby to był otwór niewiasty.

Ambrogio zaczął zawodzić.

– Ja nie wiedziałem, że to grzech. Ludovico mnie tu przyprowadził. Powiedział, że chce mi coś pokazać.

Ludovico wrzasnął dziko:

– To nieprawda! To Ambrogio jest winny. To on chciał, żebym to zrobił. Ja też nie wiedziałem, że to grzech.

Pierwsze słowa wypowiedział falsetem. Nagle jego głos zrobił się tak niski, że chłopiec sam się przestraszył. Na koniec wydał z siebie jakiś przenikliwy dźwięk. Najwidoczniej ów akt sprzecznej z naturą lubieżności sprawił, że Ludovico ostatecznie wszedł w okres mutacji.

W tym momencie ojciec Lorenzo zrozumiał, że żadne lekarstwo świata nie pomoże, a chłopiec nie będzie w stanie zaśpiewać podczas świątecznych uroczystości. Zaśmiał się gorzko. Jeśli Ludovico nadal byłby niezbędny jako śpiewak partii solowej, opat potraktowałby grzech obu chłopców jako naganny wybryk, ale teraz nad ulubieńcem hrabiego zawisło niebezpieczeństwo. I chociaż mnich spodziewał się, że sam niebawem gorzko zakończy swoją karierę chórmistrza i osoby duchownej, to czuł satysfakcję, że chłopiec nie uniknie kary. Nikt, na kim spoczywał grzech sodomii, nie mógł śpiewać w uświęconych pomieszczeniach kościoła Świętego Hipolita w hołdzie Bogu. To jeszcze gorszy grzech, niż gdyby to głos kobiety wznosił śpiewy wychwalające Pana.

Na tę myśl wciągnął głęboko powietrze do płuc. W jego głowie zaświtał pomysł, początkowo nieco niewyraźny, ale dość ponętny. Nagle Ambrogio i Ludovico stali się dla niego intruzami, których musiał się szybko pozbyć.

– Ambrogio, natychmiast wrócisz do sypialni i zmówisz dwadzieścia zdrowasiek, zanim położysz

się spać. Jutro się tobą zajmę. A ty, który nie mogłeś się doczekać, aż staniesz się mężczyzną i Bóg da ci w swej łasce niewiastę, pójdiesz ze mną.

Jedną ręką chwycił Ludovica za kark, drugą za koszulę i wyprowadził energicznie na zewnątrz. Sprowadził go wąskimi schodami do lochów.

– Jeśli mnie uderzycie, poskarżę się hrabiemu – pogroził Ludovico, ale jego słowa nie zrobiły na mnichu żadnego wrażenia.

Ojciec Lorenzo zaciągnął go do klasztornej karcery i wepchnął do jednej z cel.

– Tu będziesz siedział, póki nie zostanie podjęta decyzja, co dalej z tobą zrobić – powiedział gniewnie i założył rygiel.

Ignorując protesty Ludovica, wrócił do sali prób, gdzie Girolamo Fassi właśnie wypił reszkę wina z dzbana.

Mnich podszedł do niego, roześmiał się i chwycił go za ramię.

– Głowa do góry, mistrzu Girolamo. Wiem, co zrobić, żebyśmy wydobyli się z kłopotów.

W środku nocy ktoś zaczął potrząsać Giulią. Obudziła się przestraszona. Zobaczyła, że ojciec stoi pochylony nad jej łóżkiem. Wciąż jeszcze otumaniona snem podniosła ramiona, żeby ochronić się przed biciem. Lampa łojowa oświetlała jego skrzywioną twarz z szeroko rozwartymi, połyskującymi oczami. Fassi odsunął jej ręce i pogłaskał ją łagodnie po mokrych od potu włosach. Jego głos drżał ze zdenerwowania i brzmiał ochryple.

– Nie musisz się obawiać, moje dziecko. Proszę, wstań i się ubierz. Ale cicho, żebyś nie zbudziła matki.

Giulia wślizgnęła się w sukienkę i poszła za ojcem do jego pracowni. Siedział tam ojciec Lorenzo, który zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. Mnich dał Fassiemu znak, by ten zamknął drzwi, po czym uniósł palec wskazujący, jakby chciał wygłosić naganę. Mówił tak cicho, że ledwo go rozumiała.

– Giulio, to, co ci teraz powiem, musi pozostać tajemnicą. Od tego zależy los nas wszystkich. Czy możemy na tobie polegać?

Giulia spojrzała na niego bojaźliwie.

– Tak, wielbny ojczy. Przysięgam wam na serce Jezusa.

Uznała, że to wystarczająco uroczysta przysięga. To, co usłyszała po chwili, sprawiło, że przycisnęła dłonie do ust, żeby nie krzyknąć.

– Zaśpiewasz podczas mszy partię Ludovica – oznajmił jej bez żadnych wstępów zakonnik. – Przechodzi mutację. Poza tym przyłapałem go... Ale to już nie twoja sprawa.

Giulia patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co mam zrobić? Ojczy wielbny, proszę, nie naigrawajcie się ze mnie.

Mnich patrzył na nią poważnie, prawie ze smutkiem.

– Nie jestem w nastroju na żarty, moje dziecko. Musisz zaśpiewać partię solową podczas mszy. Oczywiście nie wystąpisz jako dziewczyna, ale w przebraniu, jako chłopiec. Obetniemy ci włosy i tak wyszykujemy, żeby nikt cię nie rozpoznał.

Giulia złapała się za głowę.

– To niemożliwe. Ludovico na pewno mnie rozpozna. Słyszał, jak śpiewałam. Poza tym kobietom ani dziewczynom nie wolno śpiewać w kościele. Za to grozi kara cielesna. Można trafić na stos, a potem do piekła.

– Ludovikiem nie musisz się przejmować. Siedzi w karczerze klasztornej i na pewno nie zostanie uwolniony przed świętem. A co się tyczy grzechu, jestem gotów wziąć go na moje barki; są dużo szersze niż twoje. – Mnich uśmiechnął się do dziewczyny i pogłaskał ją po włosach. – Giulio, to bardzo ważne, żebyś dla nas zaśpiewała. W przeciwnym razie nastąpi katastrofa, przez którą ja stracę autorytet w klasztorze, a twój ojciec zapłaci czymś jeszcze gorszym. Utraci mianowicie posiadłość hrabięgo.

Fassi gorliwie przytaknął i chwycił córkę za ramiona.

– Musisz zrobić to, co mówi ojciec Lorenzo. W przeciwnym razie stracimy dom i wylądujemy na ulicy jako żebracy. Pomyśl o chorej matce. Nie mielibyśmy pieniędzy, żeby zapłacić za lekarza ani za

jedzenie czy dach nad głową.

Trzymał ją tak kurczowo, że dziewczyna aż wiła się z bólu.

– Ale to niemożliwe, ojciec. Przecież nie znam całej partii solowej. Śpiewałam zaledwie pojedyncze pasażę. A od tamtego dnia w gaju oliwnym nie mogłam już chodzić pod klasztor, żeby słuchać śpiewu chórzystów.

Mnich oderwał ręce Fassiego od jej ramion i otarł mokre od łez policzki dziewczynki.

– Nauczysz się reszty, Giulio. Przecież jesteś mądra i dzielna.

Fassi skrzyżował ręce na piersiach, jakby mimo dusznego gorąca było mu zimno.

– Ojciec Lorenzo ma rację. Poradzisz sobie. Będziemy ćwiczyć w starym klasztornym spichrzu. Znajduje się on dość daleko od miasta, tak więc nikt nas tam nie usłyszy. Jeśli ktoś będzie akurat przechodził, powiemy po prostu, że jesteś obcym chórzystą, którego ojciec Lorenzo i ja potajemnie uczymy, aby mógł zastąpić Ludovica.

Giulia mogłaby podać jeszcze tuzin zastrzeżeń, ale język miała jak sparaliżowany. Jednocześnie w głębi duszy poczuła dziwne drżenie. Czy zakonnik mówi prawdę? Bo może zaraz się obudzi i stwierdzi, że to wszystko był sen. Ale jeśli to faktycznie prawda, to jej największe marzenie może się ziścić. Chociaż raz będzie mogła zaśpiewać przed ludźmi pieśni, które nosi w sercu. To był cud, dar od nieba, który uczyni ją szczęśliwą do końca życia.

– Zaśpiewam – oznajmiła i opuściła głowę w oczekiwaniu, że piękny sen się skończy, ale po chwili z powrotem ją podniosła i zobaczyła, że mnich trzyma w rękach nożyce.

– Musisz teraz wyglądać jak chłopiec – powiedział i nakazał jej, by usiadła na rozkładanym krzeselku, które ojciec wyciągnął zza skrzyni.

Giulia się zawahała.

– Nie rób ceregieli. Usiądź i się nie ruszaj! – zbeształ ją cicho, ale ostro ojciec.

Usłuchała, drżąc na całym ciele. Zamknęła oczy, a nożyczki zaczęły bezlitośnie ścinać jej długie, kręcone włosy. Pół godziny później przemiana się dokonała. Giulia miała na sobie koszulę chórzysty, którą przyniósł ze sobą mnich. Czuła na karku dziwny chłód. Gdy dotknęła rękoma głowy, stwierdziła ze zgrozą, że jej włosy są tak krótkie, iż można je chwycić jedynie koniuszkami palców.

Ojciec Lorenzo z zadowoleniem przyglądał się swemu dziełu. Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła Maria Fassi. Była blada jak śmierć, a oczy błyszczały jej od gorączki.

Na widok Giulii krzyknęła przeraźliwie:

– O Matko Boska! Girolamo, coś ty zrobił? Czy całkiem straciłeś rozum?

– Mario, proszę, nie denerwuj się – błagał ją Fassi. – Wszystko jest w porządku, uwierz mi. To wszystko na prośbę ojca Lorenza.

Mnich również pospieszył z wyjaśnieniami.

– Pozwólcie sobie wyjaśnić, szanowna pani. Chodzi o dobry uczynek. Ludovico, nasz solista, nagle zaczął przechodzić mutację. Żaden inny chłopiec nie jest dość zdolny, by go zastąpić. Tylko wasza córka dysponuje potrzebnym talentem.

Zgorszona Maria Fassi cofnęła się i przeżegnała.

– Nie jesteście sługą Boga, ale szatana, ojciec. Inaczej nigdy byście czegoś takiego nie wymyślili. A ty, Girolamo, będziesz się smażył w piekle, bo sprzymierzyłeś się z diabłem i w zamian za śpiew oddajesz mu duszę córki.

Fassi podszedł do niej i chciał ją objąć.

– Mario, proszę, tu nie chodzi tylko o śpiew. Jeśli msza nie zostanie wykonana odpowiednio

dobrze, utracę posadę u hrabiego. Wówczas staniemy się bezdomnymi żebrakami.

– A więc pieniądze znaczą dla ciebie więcej niż nieśmiertelna dusza twojego dziecka?!

Maria Fassi gwałtownie zaszlochała, odepchnęła go od siebie i chwiejnym krokiem ruszyła ku Giulii. Ale zanim się przy niej znalazła, osunęła się bezwładnie na podłogę. Fassi chwycił ją pod pachy i próbował postawić na nogi.

– Wasze wysiłki są bez sensu, mistrzu Girolamo. Wasza żona straciła przytomność – stwierdził mnich i się wzdrygnął, usłyszawszy kroki na korytarzu.

Chwilę później do pokoju zajrzała służąca i wlepiła wzrok w niezwykłą scenę.

– Czy ktoś mnie wołał? Wydaje mi się, że słyszałam swoje imię.

Fassi wskazał ruchem głowy na swoją żonę.

– Assumpto, Maria straciła przytomność. Pomóż mi ją przenieść do łóżka.

Tymczasem ojciec Lorenzo ustawił się przed Giulią w taki sposób, żeby zasłonić ją przed wzrokiem kobiety. Ale Assumpta zdążyła już zauważyć dziewczynkę i się przeżegnała.

– Na Świętą Panienkę, co tu się stało?

– Bądź cicho, kobieto! – zbeształ ją duchowny. – Udawaj, że nic nie widziałaś. Od tego zależy nasze życie. – Przez moment nad czymś myślał, po czym obrócił się ku Fassiemu. – Najlepiej będzie, jeśli już teraz pójdziecie z Giulią do spichrza. Ja tymczasem pomogę Assumpcie zanieść waszą żonę do pokoju i przekonam ją, żeby trzymała buzię na kłódkę.

Służąca spojrzała na niego gniewnie.

– To rozumie się samo przez się. Skoro to dotyczy naszej małej Giulii, to będę milczeć jak grób.

Najwidoczniej od razu zrozumiała, co się stało, i skinęła Giulii głową, chcąc dodać dziewczynce otuchy. Potem chwyciła w ramiona nieprzytomną kobietę. Gdy z pomocą mnicha udało jej się przenieść Marię Fassi do łóżka, podeszła do okna, spojrzała w górę, na gwiazdy, i złożyła dłonie do modlitwy. W cichości ducha błagała Świętą Panienkę o opiekę nad Giulią.

Stary spichlerz klasztorny był okazałą budowlą z polnych kamieni. Stał prawie milę od miasta, obok na wpół zapadłej kaplicy, w pobliżu kilku innych zrujnowanych budynków. Wcześniej znajdował się tu folwark, ale żołdacy splądrowali go i spalili. Giulia – podobnie jak wielu innych mieszkańców Saletto – bała się tego miejsca, gdzie podobno ciągle jeszcze snuły się duchy pomordowanych mieszkańców. Ignorując obawy córki, Fassi chwycił ją, pociągnął za sobą wzdłuż zwęglonych murów i zaprowadził do spichlerza. Z łatwością przekręcił klucz, jakby ktoś całkiem niedawno naoliwił zamek. Wnętrze było jednak mocno zakurzone i w świetle małej lampy wyglądało na długo nieużywane.

Fassi postawił lampę na starej beczce i spojrzał surowo na Giulie.

– Możemy tu ćwiczyć do woli. Ale musimy się przyłożyć do pracy, bo zostało nam mało czasu.

Giulia skinęła niespokojnie głową.

– Tak, wiem, zaledwie cztery dni.

– Dlatego natychmiast zaczynamy.

Chociaż Girolamo Fassi miał za sobą nieprzespaną noc i był lekko wstawiony, odegnał od siebie senność i kazał Giulii zaśpiewać początek mszy. Ćwiczyli do wschodu słońca i robiliby to dalej, gdyby nie przerwały im czyjeś śmiałe kroki. Trochę się przestraszyli, ale okazało się, że to ojciec Lorenzo przyniósł im duży kosz z jedzeniem i kilka koców. Przywitał się z Fassim i Giulią, po czym z troską oznajmił: – Mistrzu Girolamo, wasza żona wciąż jeszcze pozostaje nieprzytomna. Assumpta się o nią troszczy, ale i tak zapakowała dla was te smakowitości.

Wyciągnął z kosza owczy ser, oliwki i chleb, po czym rozłożył wszystko na beczce.

Fassi pokręcił głową.

– Nie jestem głodny.

Mnich spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Musicie jeść, mistrzu, Giulia zresztą też. W przeciwnym razie opadniecie z sił. Pamiętajcie chyba, że dzisiaj przyjeżdża hrabia z większością gości. Będziecie musieli się pojawić, żeby go przywitać.

Fassi opuścił głowę.

– Czy nowy kapelmistrz też przyjedzie?

Najwidoczniej wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi na to pytanie, bo od razu ostrym tonem kazał Giulii się posilić, aby mogli ćwiczyć dalej.

– Nie przemęczcie dziecka – ostrzegł go mnich. – Niech po śniadaniu trochę się zdrzemnie.

Fassi gniewnie machnął ręką.

– Dobrze wiem, czego mogę wymagać od Giulii.

Najbliższe dni minęły na przygotowaniach do mszy na Dzień Świętego Hipolita. Giulia przekonała się, że śpiewanie poszczególnych pasaży jest łatwe, ale wykonanie całego, wielogodzinnego dzieła wymaga wielkiego wysiłku i niesamowitej koncentracji. Ojciec wciąż był niezadowolony. Krytykował ją często i ostro, a ona nieraz się przez to rozplakała. Girolamo Fassi był wprost opętany myślą, że msza skomponowana przez mistrza Palestrinę za wszelką cenę musi stać się jego sukcesem.

Podczas tych dni spędzonych w spichrzu Giulia nie mogła ani na moment wrócić do domu. Musiała spać na starej słomie. Przerazały ją szczury, które nocą podchodziły do niej tak blisko, że zdarzało się, iż dotknęła futerka któregoś z nich. Jeden z gryzoni nawet ją ugryzł. Zbudził ją ból i wystraszyło gniewne popiskiwanie. Resztę nocy spędziła skulona na beczce i czekała na przyjście ojca, drżąc z zimna.

Fassi nie miał zrozumienia dla skarżącej się córki. Opatrzył dziewczynie ranę po szczurzych zębach i nakazał surowo, żeby ćwiczyła dalej. Ale ze zmęczenia nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. To go w końcu przekonało. Wziął córkę w ramiona i obiecał, że podczas następnych nocy zostanie z nią w spichlerzu, żeby chronić ją przed szczurami. Potem dał Giulii nieco wina i pozwolił, żeby przespała się przez kilka godzin.

W dniu, w którym miały się odbyć uroczystości, Assumpta przysłała z miasta wczesnym rankiem i przyniosła Giulii czystą bieliznę. Wyrzuciła Fassiego ze spichlerza i zaczęła myć dziewczynę od stóp do głów. Giulia nie była tym specjalnie zachwycona, ale Assumpta nie odpuszczała.

– Nie chcemy przecież, żebyś stała przed ołtarzem cała brudna!

Nieco ciszej dodała, że przyniosła wyciąg z orzecha włoskiego, żeby natrzeć nim skórę dziewczyny. Dzięki temu Giulia będzie wyglądała jak wiejski chłopak, który dużo przebywa na słońcu.

Rozdygotana Giulia przyłgnęła do starej służącej.

– Assumpto, tak się boję! Jeszcze nigdy nie śpiewałam razem z chórem.

Assumpta przyklęła przed nią i zaczęła ją łagodnie głaskać.

– Zawsze jest pierwszy raz, mój kotku. Potrafisz tak pięknie śpiewać. Matka Boska na pewno będzie cię wspierać. Uwierz mi, wszystko będzie dobrze.

Giulia uspokoiła się jednak dopiero wtedy, gdy służąca obiecała jej, że będzie przy niej do momentu, kiedy ojciec wróci i zaprowadzi ją do kościoła.

Francesco della Rocca, opat klasztoru Świętego Hipolita albo raczej właściciel beneficjum, przyjeżdżał do Saletto nader rzadko, a na co dzień zastępował go koadiutor. Za to gdy pojawiał się we własnej osobie, był surowy dla poddanych i nie tolerował żadnych niedociągnięć. Ale tego dnia nie znajdował powodów, by krytykować przygotowania do corocznych uroczystości poświęconych patronowi klasztoru. Większość wysoko postawionych gości przedkładała wygody hrabiowskiego pałacu nad skromne mury klasztorne, tak więc nie on, ale Gisiberto Corrabialli musiał zadbać, żeby dobrze się bawili. Oficjalnie jednak to della Rocca był gospodarzem uroczystości. I traktował to zadanie bardzo poważnie, gdyż chciał wspiąć się jeszcze wyżej w hierarchii kościelnej.

Dlatego był bardzo uradowany, że do Saletto przybył kardynał Pietro Ferreri. Swego czasu opowiedział mu wprawdzie dość obrazowo o tutejszym święcie, ale nie sądził, że kardynał faktycznie zdecyduje się na podróż. Także Hipolit della Rovere pojawił się na czas; od dawna miał w zwyczaju przyjeżdżać tu w dzień swego patrona. To samo dotyczyło także Hipolita Farneseego, który przybywał do Saletto zwykle jako jeden z pierwszych gości, ale tym razem nieco się spóźnił. Della Rocca zaczął się już denerwować, ale jednak świeżo mianowany kardynał w końcu przyjechał, by zaszczyścić uroczystości blaskiem swej nowej rangi.

„Już pora, żebym załatwił sobie jeszcze jedno dochodowe beneficjum” – pomyślał della Rocca, krocząc w zdobnym ornacie przez klasztorny kościół, aby w całej krasie pokazać się ciekawemu ludowi zgromadzonemu na placu przed świątynią. Podeszło do niego kilku onieśmielonych mnichów. Opat przywitał się z nimi przyjaźnie, rozbawiony w głębi duszy ich rozanielonymi twarzami. Nauczył się już dawno temu, że dzięki uprzejmemu słowu lub pochlebstwu szybko można trafić do ludzkich serc.

Gdy przechodził przez kościelną nawę, na moment zachwyił się bogato zdobionym retabulum, przedstawiającym Madonnę z Dzieciątkiem Jezus, Świętego Hipolita i Świętą Klarysę. Retabulum było dziełem mistrza Masaccia i stanowiło dumę opactwa, podobnie jak dwa obrazy przedstawiające apostołów Piotra i Pawła, których twórcami byli Rafael i Botticelli. Obu apostołów uważano za symbol przynależności opactwa i hrabstwa do Państwa Kościelnego.

Wcześniejsi opaci zamawiali rozmaite dzieła sztuki, aby przyozdobić kościół. Della Rocca wiedział, że od niego też się oczekuje, iż dalej będzie ozdabiał świątynię. Dlatego zamierzał zapytać swoich przyjaciół w Rzymie, który z młodych artystów ma zadatki, żeby w przyszłości zostać mistrzem w swoim fachu. Od kogoś takiego nabyłby za niewielką cenę obraz albo posąg, a za kilka lat mogłoby się okazać, że dokonał inwestycji zasługującej na wielkie pochwały.

Della Rocca także dzisiaj oczekiwał, że msza wywoła zachwyt słuchaczy, zwłaszcza że musiał wyłożyć sporą sumę, aby nakłonić Giovanniego da Palestrina do stworzenia tego dzieła. Ten wydatek sownie mu się opłaci, jeśli wpływowy kardynał Ferreri wypowie kilka słów uznania w obecności Jego Świątobliwości papieża Juliusza III. Z tą myślą wyszedł na zewnątrz, na świątecznie przyozdobiony plac. Zrobił to w samą porę, aby móc powitać swoich wytwornych gości. Kardynał Ferreri i pozostali dostojnicy nie przyszli oczywiście pieszo, lecz zostali przyniesieni z zamku w wytwornych lektkach.

Pierwszy z lektyki, ozdobionej obficie wyhaftowanymi głowami byków i halabardami – herbem hrabiego von Saletto – wysiadł Gisiberto Corrabialli. Na widok jego odzienia della Rocca mimowolnie się uśmiechnął. Hrabia miał na sobie obcisłe spodnie w żółte i czerwone pasy, z przytwierdzonym do krocza śmiesznie dużym mieszkiem z azurowego złotego jedwabiu. Jego kaftan uszyty był z jasnoniebieskiego adamaszku, po bokach ozdobiony rozcięciami, przez które prześwitywała karminowa podszewka z jedwabiu. Bufiaste rękawy w soczyście zielonym kolorze również miały rozcięcia, przez które widać było jasnoczerwoną podszewkę, a przy tym tak je wykrochmalono, że Corrabialli musiał trzymać ramiona szeroko, aby nie zmiąć materiału.

Della Rocca lekko się skłonił przed hrabią, po czym zwrócił się do kardynała:

– Witajcie w moim skromnym beneficjum, Wasza Eminencjo.

– Zaprawdę skromnym, zwłaszcza jeśli chodzi o komfort mieszkania – zganił go Ferreri, lekko marszcząc nos. Najwidoczniej zamek hrabiego nie przypadł mu do gustu. – W moich diecezjach Ivrea i Vercelli od razu kazałem zburzyć budynki mieszkalne i wznieść je na nowo.

– Nie możecie porównywać małego, biednego opactwa Saletto do tych potężnych siedzib biskupich.

Della Rocca uniósł ramiona, udając zgrozę. Z zadowoleniem zauważył, że pochlebstwo odniosło pożądaną skutek. Kardynał Ferreri machnął protekcyjnie ręką, po czym wszedł do kościoła.

Della Rocca przeniósł teraz uwagę na innych gości. Z przesadną radością powitał kardynała Hipolita Farneseego, następnie ciut mniej wylewnie jego imiennika Hipolita della Rovere, który jeszcze nie doczekał się tak wysokiej funkcji w Kościele. Następnie opat pozdrowił hrabiego Gisiberta i mniej ważnych gości. Dopiero gdy dopełnił powitalnych obowiązków, pozwolił sobie rzucić okiem na kobiety, które hrabia przyprowadził ze sobą. Dzięki doświadczonemu spojrzeniu zorientował się, że Corrabialli ściągnął ekskluzywne kurtyzany, aby zapewnić gościom rozrywkę. Ich suknie błyszczały od adamaszku i jedwabiu, a przez rozcięcia w sukniach widać było tak wykwinętą i cieniutką podszewkę, że prześwitywały przez nią jedwabne halki.

Do opata podeszła jedna z kurtyzan – rosła kobieta o symetrycznej twarzy i wysokiej, kunsztownie ułożonej fryzurze z rudych włosów. Dygnęła i powiedziała:

– Jestem Mirandola z Parmy. Hrabia Gisiberto opowiadał mi o waszych zdolnościach i o sławie, jaką się cieszyacie. Dlatego czuję się szczęśliwa, mogąc poznać was osobiście.

– Jestem nie mniej szczęśliwy, że mogę was poznać, pani.

Della Rocca omiół wzrokiem bujne kształty kurtyzany, które podobnie jak kolor jej włosów dokładnie odpowiadały jego gustowi, podał jej ramię i wprowadził do kościoła. Kardynał Ferreri zdążył już zając miejsce na najwytworniejszym spośród ustawionych z przodu wyściełanych krzeseł i rozglądał się po wnętrzu z miną znawcy.

– Ołtarz jest wykonany przez mistrza Masaccia, a obrazy namalowali Botticelli i Rafael, których osobiście bardzo cenię. Della Rocca, muszę stwierdzić, że niemal wam zazdroszczę.

Opat uniósł ręce w geście mającym wyrażać bezradność.

– Bardzo byłbym rad, mogąc podarować wam tego rafaela, ale niestety zabraniają mi tego statuty klasztorne.

– Szkoda, ale może to i lepiej. W moich kościołach rafael byłby jednym spośród wielu znakomitych obrazów, tu zaś jest czymś wyjątkowym. – Ferreri uśmiechnął się łaskawie i wskazał chłopców w białych koszulach z czerwonymi kołnierzami. – To zapewne słynni chórzyści waszego opactwa.

– Tak, to skowronki Świętego Hipolita – odpowiedział della Rocca z wyraźną dumą.

Skłonił się lekko przed kardynałem Farnesem, którego przychylności na pewno będzie kiedyś potrzebował, podniósł krótko rękę, pozdrawiając chłopców, po czym ostrożnie zasiadł na krześle, starając się, by jego odzienie dobrze się prezentowało.

Nieco z boku chóru stał solista, niski, dość krępy chłopiec o ciemnej cerze; wyglądał jak prosty wieśniak i był bardzo przejęty. Della Rocca z trudem powstrzymał się od nerwowego gestu ręką. „Jeśli to pacholę nie stanie na wysokości zadania, co poniektóre osoby mocno tego pożąają” – pomyślał, ale szybko się uspokoił. Chórmistrz miał opinię doświadczonego, rzetelnego człowieka, który wie, co robi.

Della Rocca dopiero poprzedniego wieczora dowiedział się, że właściwy solista, protegowany hrabiego, zaczął przechodzić mutację, a na dodatek został przyłapany w dość żenujących okolicznościach wraz z innym chórzystą. Opat był z tego nawet zadowolony, bo w takiej sytuacji cała sława premiery przypadnie właśnie jemu, a hrabia Gisiberto nie będzie mógł chwalić się wobec gości swoim ulubieńcem.

Della Rocca kiwnął ręką, pozdrawiając ojca Lorenza i jego asystenta Fassiego, po czym z powrotem zajął się swoją towarzyszką.

– Mam nadzieję, pani Mirandolo, że msza przypadnie wam do gustu. Skowronki Świętego Hipolita cieszą się wszem i wobec sławą najlepszego chóru chłopięcego.

Nie zdołała mu odpowiedzieć, ponieważ do ołtarza podszedł właśnie kaznodzieja, którego della Rocca przywiózł z Rzymu, i zaczął celebrować mszę.

Giulia tak bardzo się denerwowała, że potem nie była w stanie sobie przypomnieć, w jaki sposób dotarła do kościoła. Ojciec Lorenzo łagodnymi słowy uspokoił przebraną za chłopca dziewczynę, po czym przedstawił ją krótko innym chórzystom. Ich twarze wyrażały wszelkie emocje, od ciekawości po niechęć. Przede wszystkim chłopiec nazywany przez ojca Lorenza imieniem Ambrogio patrzył na nią z jawną wrogością. Giulia mogła się tylko domyślać, że zżerała go zazdrość.

I miała rację. Chłopiec uważał, że to on powinien zastąpić kolegę i wykonać partię solową, gdyż miał, nie licząc Ludovica, najlepszy głos pośród chórzystów. Teraz czuł się pominięty. Był przekonany, że potraktowano go tak niesprawiedliwie z powodu incydentu z Ludovikiem. Miał o to pretensje do ojca Lorenza, ale ponieważ nie mógł ich okazać, postanowił, że będzie z całego serca nienawidził sprowadzonego przez niego solistę.

Idąc na postument przeznaczony dla chóru, minął wizerunek Madonny. Zobaczył, że Matka Boska patrzy w jego kierunku. W poczuciu winy pomyślał, że oddał się Ludovicowi w grzeszny sposób. Nagle poczuł strach przed śpiewaniem w kościele. Poprosił w myślach Matkę Boską o wybaczenie i o to, żeby nie opuszczała go podczas tej mszy.

Giulia również modliła się do Bożej Rodzicielki. Wciąż jeszcze była oszołomiona i nie wiedziała, co się z nią dzieje. Z jednej strony miała wrażenie, że wszystko to tylko sen. Z drugiej – strach przed niepowodzeniem zaciskał jej krtań. Ludovico ćwiczył tekst i melodię przez wiele tygodni, ona natomiast zaledwie przez kilka dni. Spojrzała w kierunku ojca Lorenza, który uśmiechnął się do niej życzliwie i wskazał miejsce, gdzie powinna stanąć.

Gdy nowy kaznodzieja recytował wstępne modlitwy i przypominał ludziom o dobroczynnej działalności ich patrona, Giulia rozglądała się ze zdziwieniem. Przyozdobione obficie kwiatami, wielobarwnymi girlandami i udrapowanymi tkaninami wewnątrz kościoła sprawiało wrażenie jaśniejszego niż zazwyczaj. Przyczyniły się do tego też kolorowe stroje gości, którzy podobnie jak opat siedzieli na wyściełanych krzesłach.

Żeby pomieścić tylu wytwornych gości, trzeba było usunąć przednie rzędy ławek. Mnisi także musieli usiąść z tyłu, na zwykłych ławkach, zamiast w przeznaczonych dla nich stallach. Reszta miejsc siedzących była do dyspozycji najbardziej szanowanych obywateli miasta i ich małżonek. Nawet ojciec Ludovica, wyglądający dziś nader posepnie, i lekarz Bramontone musieli stać całkiem z tyłu, obok wejścia do kościoła. Za to stara Lodrina mogła usiąść dość blisko ołtarza, obok przewodniczącego cechu kupców, a to z tego względu, że będąc mamką obecnego hrabiego, cieszyła się pewnymi przywilejami.

Gdy Giulia ją rozpoznała, w pierwszym momencie odwróciła głowę ze strachu przed zdemaskowaniem. Ojciec chrząknął znacząco, żeby przywołać ją do porządku. Stała więc wyprostowana. Cała zeszywniała i miała nadzieję, że staruszka nie pozna jej w tym przebraniu. Potem przypomniała sobie, że Lodrina kiepsko widzi, więc się uspokoiła.

Kapłan właśnie skończył swoją przemowę i wznosił ręce do nieba. Był to dla niej znak, że ma zacząć. Giulia otworzyła usta, a z jej warg popłynęły dźwięki czyste jak dzwoneczki. Przez następnych kilka godzin czuła się jak w transie. Chociaż nigdy przedtem nie ćwiczyła z chórem

Świętego Hipolita, zaśpiewała partię solową mszy tak wyśmienicie, jakby wykonywała ją w tym miejscu tysiąc razy.

Kardynał Ferreri siedział na swym krześle przekrzywiony na bok, oparł brodę na dłoni i słuchał śpiewu ze skupioną miną. Kardynał Farnese pochylił się do przodu, jakby chciał w ten sposób lepiej słyszeć, a opat, siedzący między nimi, zapomniał nawet o pięknej kurtyzanie za swymi plecami, której ręka spoczywała na jego barku. Della Rocca miał wrażenie, że anioł zstąpił z nieba, żeby uczcić jego mszę. Gdy zabrzmiało ostatnie „amen”, zerwał się na równe nogi i wyraził swój gorący zachwyt.

– Cudowne! Wspaniałe! Moje gratulacje, ojcze Lorenzo. Cóż za przepiękne wykonanie, ucztą dla naszych uszu w ten święty dzień.

– Ja również jestem zachwycony – powiedzieli prawie jednym głosem obaj kardynałowie.

Inni goście także chwalili wykonanie pod niebiosa. Della Rocca rozkoszował się ich zachwytami, jakby to on osobiście skomponował muzykę do mszy. Wysłuchawszy wielu gratulacji, przypomniał sobie w końcu o chórzystach i przywołał ich do siebie.

Chłopcy, onieśmieleni, ale ciekawi, podeszli bliżej, Giulia natomiast, nie wiedząc, co robić, pozostała na miejscu. Ruszyła się, dopiero gdy della Rocca machnął na nią energicznie ręką.

– Śpiewaliście jak anioły – opat pochwalił chłopców. – Zasłużyliście na nagrodę.

Pogłaskał wszystkich po głowie i patrząc w pełne oczekiwania oczy, kazał chłopcom, by udali się w ślad za nim. Idąc przodem w trzepoczącym odzieniu, wyglądał jak kura prowadząca swoje pisklęta. Wyszli na zewnątrz i znaleźli się na placu poniżej klasztoru, gdzie stały rozstawione jarmarczne stragany.

Della Rocca przystanął przed stoiskiem ze słodyczami, sięgnął obiema dłońmi do kosza pełnego kandyzowanych owoców i podał Giulii i chłopcom po jednej sztuce. Gdy służący zajął się płaceniem straganiarce, opat wykonał gest ręką, jakby się wachlował, dając tym samym znak chłopcom, żeby wrócili do ojca Lorenza. Następnie obrócił się do swoich gości i powiedział:

– Za każdym razem nie mogę wyjść ze zdumienia, cóż za słowiki śpiewają w moim klasztorze.

Ferreri pokręcił z uznaniem głową.

– Muszę przyznać, że nawet chór w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie nie śpiewa piękniej niż ten tutaj – stwierdził, po czym dodał, że to przede wszystkim zasługa tutejszego solisty.

Kardynał Farnese, któremu najwidoczniej zależało na przychylności swego konfratra, przyznał mu absolutną rację.

Giulia tymczasem wróciła do ojca Lorenza i pociągnęła go za habit.

– Co mam teraz zrobić?

Mnich rozejrzał się krótko po otoczeniu, sprawdzając, czy ktoś nie słucha, po czym odciągnął dziewczynkę dwa kroki w bok.

– Idź do ojca i oboje się stąd oddalcie. Teraz będzie wam najłatwiej, bo na jarmarku panuje największy rozgardiasz.

Giulia skinęła głową i zniknęła między stoiskami. Ojciec Lorenzo poczekał, aż straci ją z oczu, po czym powierzył pozostałych chórzystów opiece innego mnicha. Uczyniwszy to, poczuł pragnienie, by usłyszeć z ust samego opata, jak spodobała mu się tegoroczna msza.

Della Rocca był pochłonięty rozmową z obydwojema kardynałami i dopiero po dłuższej chwili dostrzegł ojca Lorenza. Obrócił się ku niemu z przyjaznym uśmiechem i poklepał go po ramieniu.

– Bracie, osiągnęliście wielki sukces. Opowiem mistrzowi Palestrinie, jakim triumfem była jego msza. To wam zawdzięczamy ten triumf. Ale powiedzcie mi, kim jest solista? Tego chłopca trzeba

koniecznie wykastrować, żeby zachować jego wspaniały głos dla chwały Boga.

Kardynałowie Ferreri i Farnese poparli go, utwierdzając go jeszcze bardziej w tym przekonaniu. Ojciec Lorenzo poczuł nagle palce zaciskające się na jego gardle.

– Nie wiem, Wasza Eminencjo. Ledwo znam tego chłopca. Mistrz Girolamo Fassi... hm... – Mnich w ostatnim momencie się zorientował, że niewiele brakowało, a zdradziłby Giulię. Wziął się w garść i dokończył: – Mistrz Fassi najął tego chłopca. To syn jego dawnego komilitona ze studiów. Nie wiem, czy ojciec chłopca zgodzi się na taką operację. Podobno to jego jedyny syn.

Ojciec Lorenzo miał nadzieję, że tym wyjaśnieniem odwiedzie opata od pomysłu kastracji.

Opat nie zamierzał się jednak tak łatwo poddać. Kiwnął na służącego, który nosił przy sobie sakwę z pieniędzmi, zabrał mu ją i wręczył ojcu Lorenzowi.

– Dajcie to ojcu solisty jako podziękowanie i zachętę, aby poświęcił synowskie jądra dla Bożej chwały. Dajcie mi znać, gdy to uczyni, a chłopiec dojdzie do siebie po zabiegu rzeźni. Wyślę go do Rzymu, żeby kształcił tam swój głos.

Ojciec Lorenzo wlepił wzrok w sakwę, jakby była jadowitą żmiją.

– Popieram słowa naszego przyjaciela – powiedział kardynał Ferreri i kazał swemu kamerdynerowi podać ojcu Lorenzowi kiesę wypełnioną złotymi dukatami.

Kardynał Farnese nie chciał być gorszy, a za przykładem wielkich dostojników poszli też pozostali goście. Po chwili w rękach chórmistrza znalazło się całe mnóstwo bogato haftowanych płóciennych sakw albo skórzanych kies, tak że musiał poprosić, żeby podano mu koszyk. Kurtyzany wrzuciły do niego sporo mniejszych monet, aż wypełnił się po sam brzeg. I tak wiedziały, że hrabia Gisiberto zwróci im te pieniądze w podwójnej, a może nawet potrójnej wysokości.

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby to nie przekonało ojca chłopca do złożenia Bogu tak drobnej ofiary. – Della Rocca uśmiechnął się zachęcająco do ojca Lorenza, po czym znów zajął się swymi gośćmi i zaprowadził ich na przedstawienie znanej trupy kuglarzy.

Ojciec Lorenzo skorzystał z okazji i się oddalił. W pierwszej chwili nie wiedział, co ma zrobić, ale potem obrał drogę prosto do domu Fassiego.

Girolamo Fassi zarzucił na Giulie szeroki płaszcz z kapturem i zaprowadził ją do domu. Gdy znaleźli się w progu, wyszła im naprzeciw Assumpta. Twarz miała bladą jak wosk.

– Mistrzu – wyjąkała – przed niecałą godziną Pan Bóg wezwał do siebie waszą małżonkę.

Giulia, która miała nerwy napięte do granic możliwości, zasłoniła na tę wiadomość twarz dłońmi i zaczęła rzewnie szlochać. Jej ojciec stanął nieruchomo jak słup soli. Spojrzał na Assumptę błagalnym wzrokiem, jakby chciał, żeby cofnęła swoje słowa. Potem otrząsnął się z odrętwienia, odepchnął służącą i wbiegł do pokoju żony. Ułamek sekundy później rozległ się jego krzyk, który zabrzmiał jak wycie śmiertelnie rannego zwierzęcia.

– Mimo tego, co działo się w ciągu ostatnich tygodni, naprawdę ją kochał – powiedziała Assumpta bardziej do siebie niż do Giulii.

Przestraszona dziewczynka uniosła wzrok.

– Gdybym wiedziała, że przeze mnie mojej matce pęknie serce, to nigdy bym nie śpiewała. Bała się o moją duszę i na pewno też o to, że ktoś mnie rozpozna i oskarży o czary. Troska o mnie doprowadziła ją do śmierci. Ach, Assumpto, czuję się okropnie. Nawet nie mogłam się z nią pożegnać.

Daremnie Giulia walczyła ze łzami, które spływały jej potokami po policzkach. Odwróciła się i chciała wybiec na zewnątrz, żeby znaleźć się sam na sam ze swoją rozpaczą. Assumpta przytrzymała ją jednak w ostatnim momencie.

– Na miłość boską, zostań tutaj! Jak cię ktoś zobaczy i rozpozna, będzie po wszystkim. A wtedy i twego ojca spotka sromotna kara.

Giulia zatrzymała się, zwiesiła ramiona i zawróciła. Assumpta przyciągnęła ją do siebie i uścisnęła.

– Jej ostatnie myśli poświęcone były tobie, moja mała, możesz mi wierzyć. Jej błogosławieństwo dosięgło cię, jakbyś była tu przy niej w chwili śmierci.

Była to słaba pociecha, ale Giulii zrobiło się lżej na sercu. Mimo to łzy płynęły jej jeszcze długo strumieniami po twarzy, a tymczasem w pokoju obok ojciec w dalszym ciągu klęczał przy łóżku zmarłej żony i złorzeczył swemu losowi.

W tej pochmurnej atmosferze pojawił się nagle zdenerwowany ojciec Lorenzo. Zobaczył w sieni szlochającą Giulie i usłyszał, jak Fassi skarży się w sypialni na Boże okrucieństwo. Dziwnie onieśmielony mnich postawił koszyk z pieniędzmi na półce, podszedł do ojca Giulii i położył mu dłoń na ramieniu.

– Weźcie się w garść, mistrzu Fassi. Przynoszę złą wiadomość.

Ten spojrział na niego obolałym wzrokiem.

– Maria nie żyje – wyszeptał.

– Niech Bóg będzie łaskawy dla jej biednej duszy. – Ojciec Lorenzo nakreślił znak krzyża, a potem się pochylił, żeby zamknąć nieboszczce oczy. Westchnął głęboko i spojrział bacznie na Fassiego. – To normalne, że rozpaczacie za swoją żoną, mistrzu Girolamo. Ale się uciszcie, później dacie upust swojemu bólowi. Teraz musicie zwrócić uwagę na żyjących, nie na martwych.

Fassi spojrział na niego bez zrozumienia.

– Co macie na myśli?

– Wspaniały głos waszej córki wzbudził niestety aż nadto wielką sensację. Opat, obaj kardynałowie i inni goście wprost rozpływali się z zachwytu.

– W takim razie udało się wam osiągnąć to, czego pragnęliście, wielebny ojciec – odpowiedział Fassi tonem, jakby to wszystko w ogóle go nie obchodziło.

Ojciec Lorenzo zdecydował się wyłożyć od razu kawę na ławę.

– Della Rocca był tak oczarowany, że chce solistę poddać kastracji, aby zachować dla Kościoła jego cudowny głos.

Fassi popatrzył na niego najpierw ze zdumieniem, a potem gorzko się roześmiał.

– Giulia jest przecież dziewczynką!

– O tym wiemy my dwaj, ale nie opat i jego dostojni goście. Dla nich Giulia jest chłopcem i zrobią wszystko, żeby pozyskać ją dla siebie. Nie trzeba mówić, co się wtedy stanie. Dlatego musicie razem z Giulią niezwłocznie opuścić miasto i ukrywać się przez najbliższe tygodnie.

Ojcu Lorenzowi z trudem przyszło zaproponować takie rozwiązanie, ale w jego mniemaniu była to jedyna możliwość, żeby poszukiwania młodego śpiewaka spaliły na panewce, a klasztor został uchroniony przed skandalem, który mógłby dotrzeć nawet do Rzymu, do otoczenia samego papieża.

Fassi pokręcił dziko głową.

– To niemożliwe. Nie mogę zostawić Marii jak zdechłego psa. Kto zatroszczy się o pogrzeb, jeśli odejdę? I jak mam odejść? Hrabia jest mi winien wynagrodzenie za kilka miesięcy, a wszystkie oszczędności, które jeszcze miałem, musiałem oddać lekarzowi. Nie znajdziecie w moim domu ani jednego denara.

Ojciec Lorenzo zdjął z półki koszyk z sakiewkami i podał go Fassiemu.

– Dano mi pieniądze. Są przeznaczone dla ojca rzekomego chłopca. Mają go przekonać, by poświęcił synowskie jądra. Nie wiem, ile tego jest, ale na pewno więcej, niż większość ludzi w tym mieście zdołałaby zarobić przez całe życie. Dzięki tym pieniądzom będziecie mogli bez problemu wyjechać i pozostawać na obczyźnie tak długo, póki sprawa nie porośnie trawą.

Fassi spojrział na monety zboliałym wzrokiem.

– A co z żoną? Mam ją tak po prostu zostawić?

– Zadbam, aby Maria miała godny pogrzeb, za który nie będziecie się musieli wstydzić – obiecał ojciec Lorenzo. – Sąsiadom powiem, że zmarła już po waszym wyjeździe. Assumptę musicie zabrać ze sobą, bo mogłaby się wygadać.

Fassi tak nie uważał, nie miał jednak siły protestować.

– W takim razie Beppo też musi z nami wyjechać – powiedział. – Assumpta nie zostawi męża samego.

– Zróbcie, co uważacie za słuszne, ale się pospieszcie – powiedział z naciskiem mnich. – Muszę wracać do klasztoru. Wmieszam się w tłum świętujących, później wrócę i znajdę waszą żonę martwą. Do tego czasu musicie być już kilka mil stąd.

Assumpta chwyciła Fassiego za rękaw.

– Ojciec Lorenzo ma rację. Chodzi o Giulie. Jeśli wyjdzie na jaw, że to ona śpiewała...

Nie dokończyła zdania, ale Fassi wiedział, co służąca ma na myśli.

– Sądzisz, że ze mną postąpiono by lepiej? – zapytał. – Mógłbym mówić o szczęściu, gdyby mnie poćwiartowano albo połamano kołem, a nie spalono na stosie.

– Zawsze trzeba wcześniej przewidywać skutki swego postępowania – odpowiedziała służąca opryskliwie i wyszła ciężkim krokiem z pokoju, aby zawołać męża, musieli się bowiem spakować.

Fassi wstał, wziął koszyk do ręki i niezdecydowanie nim zabujał. Potem otworzył jedną z sakiewek i wysypał z niej na łóżko złote dukaty, jeden po drugim. W tym momencie zapomniał o śmierci żony. W tej jednej sakiewce było więcej pieniędzy, niż mógłby zarobić u hrabiego przez pięć lat. Spróbował oszacować, ile jest wszystkiego razem, ale nie potrafił zgadnąć.

– Mam nadzieję, że te pieniądze nieco złagodzą wasz ból po śmierci żony.

Ojciec Lorenzo przy drzwiach jeszcze raz się odwrócił, żeby powiedzieć swemu korepetytorowi ostatnie słowa pocieszenia. Ale gdy zobaczył pożądlivy wyraz jego oczu, odwrócił się z westchnieniem i opuścił dom, rzucając na pożegnanie krótkie pozdrowienie.

Następne godziny były dla mnicha prawdziwą męczarnią, ponieważ musiał udawać przed całym światem, że jest pogodnie usposobiony, przyjmować co i rusz gratulacje oraz uczestniczyć w rozmowach, które jak na jego gust były zbyt swawolne i nieprzyzwoite.

Później, gdy nastał wieczór, w imieniu Fassiego poprosił Lodrinę, żeby podczas nieobecności kompozytora zatroszczyła się o jego żonę. Zaprowadził staruszkę do domu Fassiego, gdzie zastali jedynie nieboszczkę.

CZĘŚĆ DRUGA

Mantua

Klatka schodowa była ciemna i brudna. Śmierdziało na niej kwaszoną kapustą i moczem z nieoprózniczanych nocników. Giulia cofnęła się odruchowo, ale ojciec kazał jej iść dalej i pchnął córkę w kierunku wąskich, stromych schodów. Serce waliło jej jak młotem, a każdy krok był dla niej męczarnią, jakby do nóg miała przytwierdzone ciężary. Ciągle jeszcze nie mogła pojąć, dlaczego ojciec jej to robi. Nie było sensu błagać go, by tego poniechał, bo na przestrzeni pięciu lat, które minęły od ich ucieczki z Saletto, ojciec zawsze ignorował jej zdanie.

Tuż po wyjeździe żywiła przez jakiś czas nadzieję, że wkrótce wróci do domu. Była tak naiwna, że uwierzyła mu, iż muszą poczekać, aż włosy jej odrosną, żeby znowu wyglądała jak prawdziwa dziewczyna. Czas mijał, a ojciec ciągle zwlekał z powrotem w ojczyste strony, tłumacząc się strachem przed zdemaskowaniem. Od samego początku musiała nosić chłopięce odzienie, a Assumpcie kazał regularnie przycinać dziewczynie włosy. Ponieważ Giulia nie miała odwagi bawić się z innymi chłopcami, wkrótce zyskała opinię odludka i często źle ją traktowano.

Na szczęście nigdy nie pozostawali długo w jednym miejscu, aby nie zwracać na siebie większej uwagi. Jej ojciec tak często zmieniał miejsca zamieszkania, że trudno jej było zapamiętać nazwy kolejnych miejscowości. Okolicy Saletto unikali jak diabeł święconej wody. Błagała go nieraz, aby pozwolił jej przynajmniej odwiedzić grób matki, ale wszelkie prośby tego rodzaju trafiały w próżnię.

Giulia nie miała pojęcia, czy ojciec już tamtego wieczora powziął tę fatalną decyzję, czy może ta myśl zaświtała mu w głowie później. Wprawdzie ciągle powtarzał, że musi znaleźć sobie nowego protektora, który by go zatrudnił jako kapelmistrza, ale w rzeczywistości wcale się o to nie starał. Gdy mu o tym wspominała i prosiła go, żeby wreszcie stworzył dla nich prawdziwy dom, twierdził, że brakuje mu niezbędnych świadectw i listów polecających. Często zostawiał ją i Assumptę w jakimś obskurnym zajeździe, a sam ruszał gdzieś wraz z Beppem, który od wydarzeń w Saletto całkiem zamknął się w sobie.

Z tych tajemniczych wyjazdów ojciec przywoził jej nowe pieśni, a potem pilnował bacznie, żeby się ich wyuczyła. Na przestrzeni ostatnich lat szlifował jej talent i wyszkolił ją tak gruntownie, jak tylko potrafił. Teraz doszedł do wniosku, że jego wysiłki powinny wreszcie przynosić owoce. Musiał pokonać jeszcze tylko jedną przeszkodę, a to Giulii wydawało się niemożliwe do zrealizowania. Niedługo oszustwo wyjdzie na jaw, a wtedy...

Giulia nie miała odwagi myśleć o tym, co by się stało, gdyby ich zdemaskowano. Ojciec straszył ją tym aż nazbyt często. Lęk ścisnął jej żołądek, a wzrok miała zamglony i mało co widziała. Potknęła się, a ojciec chwycił ją za ramię, ratując przed upadkiem ze schodów. Spojrzał na nią z irytacją i powiedział cichym, ale ostrym tonem:

– Weź się w garść! Pomyśl o tym, co Assumpta ci przytwierdziła. Zachowuj się ostrożnie. Jeśli to coś ci odpadnie albo się ukruszy, zanim dostaniemy opinię, wówczas spalą nas oboje na stosie. Zrozumiałaś?

Zagryzła wargę, żeby nie wymknęło się jej, co myśli na temat ojcowskiego planu. Od czasu ich ucieczki ani razu nie zwrócił się do niej jak do dziewczyny. Używał zawsze męskiego odpowiednika jej imienia i chyba zapomniał, że kiedykolwiek miał córkę. Dziewczyna w tym momencie nie

potrafiła myśleć o niczym innym poza tym, co zrobiła dla niej Assumpta. Służąca ulepiła mianowicie z wosku małe prącie i za pomocą żywicy przymocowała je Giulii w miejscu, gdzie u chłopców występuje ta część ciała. Teraz przy każdym kroku dziewczyna czuła, jak to coś ją ciągnie. Sztuczny członek przeszkadzał jej do tego stopnia, że ledwo mogła stawiać kroki. Całym swym jestestwem pragnęła błagać ojca, żeby zrezygnował ze swego pomysłu, ale nie otwierała ust. Żadne prośby nie miały sensu. Tak więc szła za ojcem, aż wspięli się pod sam dach, gdzie pod ukośnym stropem znajdowały się niewielkie drzwi.

Fassi zapukał najpierw dość nieśmiało, ale pozostały zamknięte, dlatego potem uderzył w nie mocniej. Po drugiej stronie odezwał się jakiś mrukliwy głos:

– Idę, już idę!

Wkrótce potem drzwi się uchyliły, a przez szczelinę głowę wystawił chudy mężczyzna w podeszłym wieku, mający na sobie księzowską sutannę.

Girolamo Fassi skłonił się zamasyście.

– Niech będzie pochwalony, wielbny ojcze. Nazywam się Girolamo Casamonte. Uprzedziłem was o moim przyjściu.

Giulia się skrzywiła, usłyszawszy fałszywe nazwisko, na które ojciec załatwił podrobione papiery. Miała wrażenie, że poprzez zmianę nazwiska zerwali więzi z Saletto, w którym spędziła dzieciństwo. Uważała, że ojciec powinien był raczej załatwić kilka podrobionych listów polecających dla siebie i postarać się o jakąś posiadłość. Ale gdy mu o tym wspominała, odrzucał ten pomysł i kwitował go wyrzutami, oskarżeniami i drwiną.

W ślad za ojcem i księdzem weszła do najmniej przytulnego pomieszczenia, jakie w życiu widziała. W środku było tak ciemno, że ledwo rozpoznawała twarze obu mężczyzn. Nieliczne meble wyglądały w panującym tu mroku jak cienie. Niewielkie okienko w skośnym stropie prawie nie wpuszczało światła do środka. Pod nim stały stół i krzesło bez jednej nogi, a obok, na gładkiej ścianie, wisiała prymitywnie sklecona półka z kilkoma książkami. Leżący w rogu siennik zdradzał intensywnym zapachem zarówno swą obecność, jak i zacny wiek. Była tu jeszcze skrzynia, którą Giulia zauważyła dopiero wtedy, gdy uderzyła się o nią w łydkę.

Gdy ksiądz stanął w pobliżu okna, dostrzegła, że jego sutanna jest okropnie brudna. Z nosa duchownego zwisała kropla, która po chwili spadła, robiąc miejsce następnej.

Ksiądz wymierzył palec wskazujący w Giulie i spojrzał na Fassiego z obrzydzeniem w oczach.

– Czy to o tego chłopca się wam rozchodzi?

W uszach Giulii głos mężczyzny zabrzmiał nieprzyjemnie skrzekliwie.

Jej ojciec skinął gorliwie głową, skłonił się kilkakrotnie i wyciągnął spod kaftana jakiś papier.

– To mój syn Giulio. Mam tu potwierdzenie przeprowadzenia operacji. Wystawił je cyrulik i chirurg Francesco z Rokki, zwany Dellarino.

Chciał podać księdzu sfalszowany atest, ale ten zignorował gest ojca Giulii.

Dziewczyna uznała, że ojciec ma nieco gruboskórne poczucie humoru, ponieważ wymyślił nieistniejącego cyrulika, nadając mu przekształcone nazwisko opata klasztoru Świętego Hipolita z Saletto. Ów wymagany cyrulik wykastrował nieistniejącego chłopca Giulia Casamontego.

Ksiądz usiadł na krześle pozbawionym nogi, utrzymując na nim bez problemu równowagę.

– Jak właściwie do mnie trafiliście, *signore* Casamonte? Przecież ogólnie wiadomo, że nie jestem zwolennikiem okaleczania chłopców. Gdyby Bóg chciał, żeby istnieli kastraci, sam by ich stworzył, a nie powierzałyby tego dzieła nożom jakichś partaczy.

Ta wypowiedź sprawiła, że Giulia poczuła do księdza nieco sympatii. Jej ojciec natomiast przełknął ślinę ze zdenerwowania i gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć.

– Jesteśmy obcy w Mantui, don Giantolo. Pokierował nas tutaj gospodarz zajazdu, dzielny Toldino Bandi. Musimy mieć potwierdzenie kastracji od uznanego duchownego, żeby Giulio mógł śpiewać ku chwale Boga.

Ksiądz mruknął coś, czego nie zrozumieli ani Giulia, ani jej ojciec, po czym spojrzał na dziewczynę ze współczuciem.

– Skoro już doszło do kastracji, to zrobię wam tę przysługę. Rozbierz się, mój chłopcze.

Giulia zeszywniała z przerażenia. Jeśli się teraz obnaży, don Giantolo zobaczy jej piersi, które Assumpta obandażowała szerokim pasem z płótna lnianego, aby były płaskie. „Czy ojciec nie mógł przyprowadzić mnie do tego księdza rok temu, gdy moja klatka piersiowa wyglądała jeszcze jak chłopięca?” – przeleciało jej przez głowę.

Ojciec dostrzegł jej zakłopotanie i dał jej kuksańca w bok.

– Giulio, ruszaj się, chłopcze, ściągnij spodnie!

Dziewczyna usłuchała, dygocząc ze wstydu, odwróciła się jednak do mężczyzn plecami. Ojciec chwycił ją wtedy mocno, aż jęknęła, i przekręcił, aby stała przodem. Na jego twarzy malowało się skrajne napięcie, a nerwowo mrugające oczy wpił w jej nagie podbrzusze. Giulia miała lekką nadzieję, że ksiądz dostrzeże oszustwo, tak bardzo brzydziła się tym, do czego zmuszał ją ojciec. Don Giantolo rzucił jednak tylko przelotnie wzrokiem na pomarszczone prącie, które dokleiła jej Assumpta. To mu wystarczyło, by stwierdzić, że brakuje jąder.

– Niech Bóg będzie łaskawszy dla Ciebie, mój chłopcze, niż twój własny ojciec – powiedział życzliwie i zażądał, żeby z powrotem się ubrała, a potem odwrócił się w poszukiwaniu pergaminu, na którym mógłby wydać zaświadczenie.

Giulia tak szybko podciągnęła spodnie, że sztuczny członek oderwał się jej od ciała. Mocno ją to zabolalo, ale ten ból był niczym w porównaniu z udręką, jakiej doznawała teraz jej dusza. Ksiądz wkrótce był gotowy z zaświadczeniem i podał upragniony dokument Fassiemu *vel* Casamontemu.

Ojciec Giulii rzucił okiem na pergamin, po czym schował go z triumfalną miną. Dzięki temu dokumentowi mógł udać się ze swoją córką do każdego katolickiego kościoła, aby śpiewała w nim jako kastrat. Musiał zadać sobie wiele trudu, żeby znaleźć księdza, któremu mógłby zaprezentować dziewczynę jako rzekomo wykastrowanego chłopca. Don Giantolo był nie tylko na w pół ślepy, ale również uważał, że dotykanie chłopca, nawet kastrata, jest grzeszne. Inni księża byliby natomiast gotowi obmacać organa płciowe w celu obejrzenia blizny po zabiegu.

– Dziękuję wam, ojczy wielbny – powiedział z zadowoleniem Fassi *vel* Casamonte. – Spełniście najgorętsze pragnienie mojej świętej pamięci żony, która tak mocno pragnęła, aby nasz syn śpiewał w kościele na chwałę Boga.

Giulia zacisnęła wargi, gdy usłyszała, z jaką łatwością ojciec wypowiada te oszczercze słowa o jej matce. Śpiew córki był ostatnią rzeczą, jakiej Maria Fassi mogła sobie życzyć. Ojciec jednak w ogóle nie sprawiał wrażenia, że choć trochę krępują go własne kłamstwa. Wyciągnął z zanadru sakiewkę i protekcyjnie wręczył duchownemu kilka skudów.

Don Giantolo z oburzeniem popatrzył na srebrne monety i pokręcił gwałtownie głową.

– Za coś takiego nie biorę pieniędzy!

Wyglądało na to, że chce się nieuprzejmie szybko pożegnać ze swoimi gośćmi, ale jeszcze raz zwrócił się do Giulii.

– Zanim odejdziesz, chcę usłyszeć, czy twój głos wart jest takiej ofiary. Zaśpiewaj *Ave Maria*.

Fassi *vel* Casamonte dał córce kuksańca, aby zaśpiewała.

– Zrób tę przyjemność wielebnemu ojcu.

Giulia przełknęła ślinę i próbowała uspokoić mętlik, jaki panował w jej głowie, i przypomnieć sobie tekst oraz melodię modlitwy. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby się opanować. Jej ojciec zdążył się już zdenerwować, ksiądz natomiast uśmiechał się do niej uspokajająco. Nagle gula w jej gardle znikła, a ona wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Właściwie nie chciała głośno śpiewać, ale nagle pokój stał się za ciasny dla słodkich, przenikliwych dźwięków.

Don Giantolo słuchał z nabożnym skupieniem, jakby chciał wchłonąć w siebie jej śpiew. Gdy skończyła, musiał odchrząknąć kilka razy, nim zdołał wydobyć z siebie słowa.

– Twój głos naprawdę jest boski, mój synu – stwierdził, załamując ręce, jakby toczył walkę z samym sobą. Potem spojrzał niemal przepraszająco na ojca Giulii. – Jeśli naprawdę chcecie mi się odwdzięczyć – powiedział – pozwólcie, by wasz syn tej niedzieli zaśpiewał mszę w moim kościele.

– Ależ oczywiście, wielebny ojcze.

Fassi *vel* Casamonte poczuł ulgę, że tak tanio załatwił sprawę. Pożegnał się z przesadną wylewnością z don Giantolem i opuścił mroczny pokój jak na skrzydłach. Za to Giulia szła za nim, poruszając się jak drewniana lalka, i tak też się czuła.

Gdy wrócili do zajazdu, w którym mieszkali, Giulia wpadła do swojego pokoju i rzuciła się z płaczem na łóżko. Assumpta weszła tam za nią, zamknęła drzwi i usiadła obok.

– Co ci jest, moje dziecko?

Giulia popatrzyła na służącą szeroko otwartymi oczami.

– To było takie obrzydliwe, takie poniżające!

Assumpta spojrzała na nią ze zgrozą.

– Czy ksiądz się zorientował?

– Nie, nie. Prawie się nie przyglądał. Nie mówię o nim, ale o ojcu. Gdy musiałam się rozebrać, tak dziwnie przyglądał się mojej nagości, że aż zaczęłam się bać.

Assumpta wciągnęła ostro powietrze do płuc.

– Jego wzrok podąża za tobą, od kiedy zaczęłaś zmieniać się w kobietę, moje dziecko. Twój ojciec wcześniej często wybierał się gdzieś w drogę. Beppo musiał mu służyć podczas tych wyjazdów jako kamerdyner. Przy okazji niejedno zauważył, a potem opowiedział mi w szczegółach. Twój tata regularnie odwiedzał pewne domy, w których można zabawić się ze sprzedajnymi kobietami. Wydawał tam całymi garściami pieniądze della Rokki. Teraz jego kiesa jest prawie pusta. Nie może już sobie pozwolić nawet na tanią dziwkę uliczną. Diabeł musiał mu podszeptać, że stałaś się już dojrzałą kobietą, i od tej pory chodzą mu po głowie złe myśli.

Giulia nie mogła uwierzyć w to, co właśnie opowiedziała jej służąca. Bezradnie rozglądała się po małej, ciasnej izbie, w której mieściło się łóżko i jej niewielka skrzynia z ubraniami. Gołe ściany pozbawione jakichkolwiek ozdób były kiedyś chyba białe, ale z biegiem lat zrobiły się buroszare. Tynk od nich odpadał, w niektórych miejscach można było dojrzeć kamienie, z których zbudowano dom.

Ostatnio faktycznie mieszkają w dużo gorszych warunkach niż wcześniej. Teraz Giulia przestała się dziwić, że jej ojciec tak bardzo chce, aby zaczęła występować. Mając szesnaście lat, mogła bez problemu podawać się za chłopca. W tej chwili zapragnęła zarobić tyle pieniędzy, żeby ojciec znowu mógł odwiedzać kurtyzany i przestał ją śledzić swym nachalnym wzrokiem.

Assumpta przycisnęła Giulie do siebie.

– To bardzo wielki grzech, gdy ojciec myśli lubieżnie o córce. Ale nie musisz się lękać, moje dziecko. Jeśli mistrz Girolamo faktycznie zechce się do ciebie zbliżyć, wezmę miotłę i obronię cię oraz twoją cnotę.

Giulia mocno uściśnęła kobietę i pocałowała ją w policzek. Assumpta była jej jedyną przyjaciółką i mogła się jej zwierzyć ze wszystkiego.

– Jesteś dla mnie taka dobra – powiedziała. – Gdyby nie ty, byłabym okropnie nieszczęśliwa.

Assumpta pogłaskała ją po ramieniu.

– A gdyby nie ty, nie miałabym dla kogo żyć. Odpocznij teraz, kotku. Ukój nerwy. Zejdę i sprawdzę, czy w tej spelunie uda mi się zdobyć dla ciebie kubek gorącego mleka.

Na twarzy Giulii pojawił się na moment lekki uśmiech.

– Dziękuję, Assumpto. To miło z twojej strony. Zresztą mam w niedzielę zaśpiewać mszę w

kościół Świętej Marii Magdaleny.

Mina Assumpty aż nadto wyraźnie zdradziła, co służąca myśli o swoim panu.

– W takim razie twój ojciec uzyskał to, co chciał. Na Boga, porządny mężczyzna sam by się wziął do pracy, a nie skazywał własne dziecko na życie, które nieustannie grozi śmiercią na stosie.

Chociaż Giulia wciąż jeszcze nie otrząsnęła się ze strachu i obrzydzenia, to nie mogła się doczekać występu w kościele don Giantola. Od czasu ucieczki z Saletto muzyka stała się najważniejszą rzeczą w jej życiu i stanowiła jedyną radość dziewczyny. Podczas śpiewu Giulia przenosiła się do innych sfer, do nieba, i nikt jej nie mógł pozbawić tych doznań. Zapominała wtedy o swoich zmartwieniach, obawach i o całym otoczeniu.

Gdy w niedzielę wraz z ojcem weszła do zakrystii, don Giantolo czekał tam na nich wraz z chórzystami. Byli to prości mężczyźni, mający większe pojęcie o narzędziach rzemieślniczych i pisaniu piórem niż o nutach i instrumentach muzycznych. Denerwowali się, że będą musieli wystąpić z profesjonalnym śpiewakiem, a na dodatek z kastratem.

Z pogardą przyglądali się Giulii, która tego dnia po raz pierwszy miała na sobie wytworne odzienie. Ojciec zamówił je dla niej specjalnie na takie okazje. Nie czując się pewnie, chwyciła śnieżnobiałe i bufiaste rękawy błękitnego kaftana. Naciągnęła ubranie tak, żeby jeszcze lepiej maskowało biust. Właściwie nie było to konieczne, bo Assumpta tak umiejętnie obandażowała jej klatkę piersiową, że płótno doskonale kryło kobiece wypukłości, a jednocześnie nie przeszkadzało nabierać powietrza. Ale strach przed zdemaskowaniem siedział Giulii ciągle na karku niczym demon.

Nie było jednak tak źle, jak się obawiała. Don Giantolo wybrał same proste pieśni, a ona znała je wszystkie. Gdy zajęła miejsce na podeście dla chóru, uświadomiła sobie, że ksiądz szeroko rozpowiedział w swojej parafii, iż podczas dzisiejszej mszy wystąpi „słynny kastrat”. Kościół był pełen ludzi, którzy gapili się z otwartymi ustami.

Nagle Giulie znowu dopadł strach. Najchętniej zerwałaby się z miejsca i uciekła. Żeby się uspokoić, zamknęła oczy. Próbowwała zapomnieć o tłumie zgromadzonym w kościele i skoncentrowała się na tekście pierwszego utworu. Gdy opanowała nerwy, spojrzała ponad głowami ludzi na skromną nawę kościelną Świętej Marii Magdaleny. To był rzeczywiście kościół ubogich, w którym brakowało jakichkolwiek ozdób oprócz nastawy ołtarzowej. Giulia spojrzała na wizerunek Madonny z Dzieciątkiem Jezus. Matka Boska wyglądała jak żywa, a u jej boku stały Święta Maria Magdalena i Święta Anna. Zmówiła bezgłośnie krótką modlitwę.

Poruszenie w nawie kościelnej przywróciło ją do rzeczywistości. Zobaczyła, że don Giantolo staje przed ołtarzem. W czystym ornacie nie wyglądał już jak niechlujny starzec, lecz jak czcigodny pasterz. Giulie zdziwiła ta przemiana, ale właśnie organista zagrał pierwsze tony, a ona weszła głęboko w świat muzyki.

Paolo Gonzaga rzucił za siebie spłoszonym wzrokiem. Z ulgą stwierdził, że udało mu się zgubić prześladowców. Ostrożnie skradał się dalej, czujnie obserwując każdy róg i każdy wylot ulicy. Sprawiał wrażenie osoby spokojnej; wychowanie i wieloletnie nawyki pomogły mu w zachowaniu pozorów, ale w jego wnętrzu szalała burza.

Złotnik Baldassare Pollai zastawił na niego prymitywną pułapkę, ale on w swej lekkomyślności wpadł w nią jak ostatni głupiec. Najwidoczniej całkiem zaślepiła go namiętność, jaką żywił do Leticii, żony Pollaiego. Długo musiał robić podchody, nim na tyle ją omamił, że mógł wyznać jej miłość. Użył prawie całego sprytu, żeby namówić ją na potajemną randkę. Ale zamiast Leticii pojawił się przebrany w jej suknię mężczyzna.

Paolo nie wiedział, czy wybranka jego serca wydała go swemu małżonkowi, czy ten sam się wszystkiego domyślił. W gruncie rzeczy było mu to obojętne. Zamiast gorących objęć Leticii został obity i miał szczęście, że napastnik nie zdołał go ranić sztyletem. „Strach najwidoczniej dodał mi skrzydeł” – pomyślał Paolo i zaśmiał się gniewnie. Cudem zdołał uciec skrytobójcom nasłanym przez Pollaiego. I choć zachował skórę, to jego duma doznała poważnego uszczerbku.

Był bezgranicznie wściekły, że zwykły mieszczanin miał czelność tak postąpić wobec bliskiego krewniaka księcia Mantui. Jednocześnie miał świadomość, że sprawa się jeszcze nie zakończyła. Pollai na pewno podniesie wielkie larum i będzie próbował skompromitować rywala przed całym światem. Dostojny kuzyn Paola, Wilhelm Garbaty, przyjmie do wiadomości tę eskapadę co najwyżej z rozbawionym uśmiechem, ale co powiedzą matka i jej siostra Coelia, tak bardzo przykładająca wagę do obyczajności? Ponieważ ojciec całkowicie znajdował się pod wpływem obu kobiet, mógł z powodu kolejnego skandalu spełnić w końcu swą groźbę i wysłać syna za granicę. Poza Włochami Paolo, chociaż jest z rodu Gonzagów, musiałby zarabiać na życie jako cesarski oficer albo hiszpański marynarz.

Walcząc z posępными myślami, młodzieniec rozglądał się dookoła. Całkiem stracił orientację, gdzie się właściwie znajduje. Podczas ucieczki trafił do obcej mu części miasta. Domyślił się, że to jedna z biedniejszych dzielnic Mantui. Uliczki były tu ciasne i kręte, budynki wąskie, pozbawione ozdób, tynk z nich odpadał, a pomiędzy znajdującymi się naprzeciwko siebie balkonami rozciągały się sznurki z praniem.

Uznał, że chcąc dotrzeć do domu, musi iść na północ, tak więc zawrócił. Po kilku krokach zobaczył, jak z bocznej uliczki wychodzi kilku jego prześladowców. A więc obwiesie nadal go jeszcze ścigali. Westchnął rozczarowany i schował się w wejściu do kościoła. Sądząc po śpiewie dobiegającym z wnętrza, właśnie odbywało się poranne nabożeństwo.

Paolo uśmiechnął się smutnie i wszedł do kruchty. Ludzie Pollaiego na pewno nie będą go szukać w kościele. W środku panował taki tłok, że musiał wciągnąć brzuch, żeby precyzyjnie się przy ścianie. Dla niego była to korzystna okoliczność. Jeśli któryś z prześladowców zajrzy do wnętrza, nie zdoła dojrzeć go w tłumie. A jeśli ci obwiesie zaczną podejrzewać, że jest w środku, i zaczają się na niego przed kościołem, to skryje się za wiernymi i zniknie niezauważony.

Zdjął beret, przeżegnał się i zwilżył czoło święconą wodą, a następnie stanął za kolumną, żeby nie

widać go było od strony wejścia. Powiódł badawczo spojrzeniem po wiernych, sprawdzając, czy nie dojrzy kobiety, którą warto by było bliżej poznać. Krótco omiół też wzrokiem mężczyzn na podeście dla chóru; stwierdził, że mają twarze prostych rzemieślników. Ze zdziwieniem dostrzegł wśród nich młodego chłopca, który w swym wytwornym ubraniu pasował tu jak paw do jednego z podwórek przy tej uliczce.

W tym samym momencie chłopiec otworzył usta i zaczął śpiewać. Paolo słuchał z zafascynowaniem. Zapomniał przy tym o swoich prześladowcach i o wszystkich kobietach na świecie. Śpiewak miał wyjątkowy głos, jaki można spotkać u jednego na kilka tysięcy ludzi. Dopiero teraz Paolo zrozumiał, że ma przed sobą kastrata, i przez moment czuł nawet litość dla tego urodziwego chłopca. Już wiedział, w jaki sposób złagodzi niezadowolenie swojej ciotki Coelii.

Giulia była tak skoncentrowana na śpiewie, że ledwo do niej dotarło ostatnie „amen” wypowiedziane przez don Giantola. Dopiero gdy ojciec chwycił ją za ramię i szepnął jej do ucha, żeby wzięła się w garść, znów odzyskała kontakt z rzeczywistością. Ujrzała pełne podziwu spojrzenia chórzystów i bardziej wyczuła, niż usłyszała zachwyty ludzi zgromadzonych w kościele.

W tym momencie uświadomiła sobie, że kastrat Giulio Casamonte właśnie wkroczył w nowe życie. Teraz już nic nie będzie takie jak do tej pory. Giulia stała się ostatecznie Giuliem. Choć była dumna ze swego osiągnięcia, to ta myśl ją bolała. Obróciła się ku swemu ojcu, szukając pomocy, ale ten, dumny jak paw, podszedł właśnie do don Giantola, żeby przyjąć jego wylewne pochwały.

Nagle Giulia poczuła, że pragnie być sama. Niewiele widząc przez łzy, które napłynęły jej do oczu, ruszyła w kierunku wyjścia. Nie zwracała przy tym uwagi na kobiety, a te rozstępowały się przed nią, jakby się jej lękały. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, który pchał się do przodu, nie zważając na tłum, prawie ją przewrócił. Żeby nie upaść, Giulia uchwyciła się jego szerokiego rękawa. Ale mężczyzna, zamiast przeprosić, splunął i odepchnął ją od siebie tak gwałtownie, że wpadła na kolumnę.

– Nie dotykaj mnie, obrzydliwa poczwaro!

Ten brutalny okrzyk zszokował Giulię tak bardzo, że najchętniej ze wstydu zapadłaby się pod ziemię. Słyszała, że wielu ludzi gardzi kastratami i uważa ich za szczególnie obrzydliwe i nienaturalne stworzenia. Ale jeszcze nigdy nie była źle traktowana z powodu swej rzekomej fizycznej niedoskonałości. Nagle poczuła lęk przed samotnym wyjściem na ulicę i po raz drugi rozejrzała się za ojcem.

Zobaczyła, że rozmawia z dobrze ubranym młodym mężczyzną, który wyróżniał się wśród prostych ludzi jak złocisty bażant wśród kuropatw.

Fassi *vel* Casamonte, który też właśnie rozglądał się w poszukiwaniu córki, kiwnął władczą głową, żeby podeszła.

– Pozwól, synu, że przedstawię ci szlachcica Paola Gonzagę, kuzyna księcia Wilhelma. Pan Paolo byłby rad, gdybyś skorzystał, chłopcze, z jego zaproszenia i dziś wieczorem zaśpiewał w domu jego ojca, szanownego Batisty Gonzagi.

Paolo pozdrowił Giulię z wyrafinowaną uprzejmością, a nawet lekko się skłonił.

– To ma być niespodzianka dla mojej ciotki Coelii, *signore* Casamonte. Uwielbia muzykę i znajduje upodobanie w słuchaniu pięknych głosów. Z pewnością byłaby szczęśliwa, mogąc wysłuchać waszego śpiewu w prywatnym kręgu.

Uśmiechnął się do niej przy tym tak serdecznie i przyjaźnie, że zapomniała o swoim przerażeniu sprzed kilku minut. Spojrzenie młodego mężczyzny wywołało w niej dziwne, przyjemne mrowienie, ale zarazem wprowadziło ją w zakłopotanie. „Czy tak właśnie kobiety odczuwają pociąg do mężczyzn?” – zadała sobie w duchu pytanie, ale nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi.

Ojciec nie zauważył, jakie poruszenie wywołał w niej ów młody szlachcic. Nadskakiwał arystokracie, zapewniał go, że nie pożałuje swego zaproszenia, i wychwalał pod niebiosa talent

„Giulia”. Oboje, ojciec i Giulia, mieli świadomość, że dopisało im szczęście, iż już podczas pierwszego publicznego występu jej śpiew zwrócił uwagę członka panującej rodziny. Tak więc mimo złych przeczuć dziewczyna nie miała innego wyjścia, jak potwierdzić, że zaśpiewa w domu Gonzagów.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość.

Uradowany Paolo skinął głową, powstrzymując się od triumfalnego uśmiechu. W głowie zarysowało mu się kilka pomysłów, w jaki jeszcze sposób mógłby wykorzystać tego niekompletnego chłopca. Giulio Casamonte przyda mu się z pewnością nie tylko tego wieczora.

Pożegnał się bardziej uprzejmie, niż wypadało w stosunku do takich plebejuszy, po czym spojrzał w kierunku wyjścia. Część wiernych już opuściła nawę kościelną, musiał się więc pospieszyć, chcąc niepostrzeżenie wydostać się na zewnątrz.

– W takim razie do zobaczenia wieczorem przy Via Coletta! – powiedział do Giulii i jej ojca, po czym przyłączył się do większej grupy mężczyzn, która właśnie przechodziła przez portal, rozmawiając przy tym o młodym kastracie.

Śpiewaka wychwalano pod niebiosa, tak więc Paolo poczuł się utwierdzony w przekonaniu, że dobrze zrobił. Niezależnie od tego, jakie pogłoski zdążyły już dotrzeć do jego rodziny, gniew ciotki Coelii nie zdoła się oprzeć śpiewakowi obdarzonemu tak niesamowitym głosem.

Gdy Paolo nabrał pewności, że ostatecznie zgubił swoich prześladowców, ruszył prostą drogą do domu. Poczul ulgę, stwierdziwszy, że zarówno jego matka, jak i jej siostra, są nieobecne. Ponieważ zbliżała się pora obiadu, udał się do swego pokoju, żeby zmienić ubranie.

Ciągle jeszcze dręczyło go rozczarowanie z powodu nieudanej randki oraz złość na złotnika. Mimo to wchodząc do jadalni, z powodzeniem udał, że tryska humorem. Na powitanie dał matce całusa i skłonił się nisko przed ojcem. Batista Gonzaga westchnął ciężko i popatrzył na swoją latorośl z wyraźnym niezadowoleniem. To i naganny wzrok matki zdradziły młodzieńcowi, że wylegarnia plotek pracuje pełną parą.

Ojciec natychmiast wziął go na spytki.

– Słyszałem, że dzisiaj bardzo wczesnie wyszedłeś z domu.

Paolo uśmiechnął się do niego i przywitał się z ciotką, która właśnie weszła do pokoju.

– Tak jest – przyznał. – Byłem na mszy porannej w kościele... Yyy... Ach tak, w kościele Świętej Marii Magdaleny! Uczestniczyłem w nabożeństwie.

Ojciec popatrzył na niego sceptycznie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że wstałeś dzisiaj tak wczesnie ze względu na mszę poranną. Kościół Świętej Marii Magdaleny... Gdzie on właściwie jest? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Dzielnica nie jest zbyt ciekawa – wyjaśnił Paolo. – Poszedłem tam tylko dlatego, że doszły mnie słuchy o pewnym kastracie obdarzonym boskim głosem, który miał śpiewać podczas mszy. Nie macie chyba nic przeciwko temu, że zaprosiłem go na dzisiejszy wieczór? Ciociu Coelio, chciałem ci zrobić przyjemność, ale też chętnie bym się dowiedział, co sądzisz o jego głosie.

Matka Paola westchnęła głęboko.

– Och, gdybyśmy tylko mogli uwierzyć w twoje słowa, mój synu. – Uniosła wzrok i spojrzała nań surowo. – Słyszeliśmy coś zupełnie innego. Doniesiono nam, że w bezwstydnym sposób próbowałeś uwieść żonę pewnego praworządnego mieszczanina. Podobno chciałeś ją tej nocy nawet uprowadzić.

Udając oburzenie, Paolo uniosł ręce.

– Z pewnością nie zamierzałem tego uczynić w kościele Świętej Marii Magdaleny, matko. Mogę

tylko powiedzieć, że w tej plotce nie ma ani słowa prawdy. Jestem ofiarą podłych oszczerstw i mogę mieć tylko nadzieję, że występ tego młodego kastrata o cudownym głosie zdoła przekonać was o mojej szczerości.

Batista Gonzaga nie wyglądał na przekonanego. Popatrzył surowo na Paola i się skrzywił.

– Tak się zachwycasz kastratem? To coś nowego, mój synu. Czyżby twój smak tak się zmienił w ostatnim czasie?

Giudetta Gonzaga energicznie uderzyła w stół wachlarzem.

– Proszę, byś darował sobie takie niesmaczne uwagi, Batisto. Nasz syn nie jest być może wzorem cnoty, ale na pewno nie dopuściłby się takiego niemoralnego czynu. Możemy przyjąć, że dzisiaj wyszedł naprawdę tylko po to, żeby sprawić nam przyjemność. Oczywiście, że przyjmiemy tego kastrata, prawda, Coelio?

Paolo uśmiechnął się wyczekująco do ciotki, zapewne wiedząc, że na końcu jej zdanie będzie decydujące. Zimny wyraz twarzy Coelii zdradził mu, że nie tak łatwo będzie ją udobruchać. Mruknęła coś niezrozumiałego, ale w końcu zgodziła się z siostrą, lekko przytaknęła, po czym skierowała rozmowę na inny temat.

Paolo poczuł ulgę. Już się obawiał, że do samego wieczora będzie musiał słuchać wyrzutów. Ale wyglądało na to, że udało mu się przekonać przynajmniej matkę. Jego ojciec i ciotka pozostawali nieufni, ale gotowi byli poczekać, żeby się przekonać, czy jego zapewnienia są zgodne z prawdą. Gdyby doszli do wniosku, że kłamie, gotowi byliby spełnić groźby, które skierowali pod jego adresem przed kilkoma tygodniami, gdy przeskrobał coś innego.

Giulia wróciła do zajazdu targana sprzecznymi uczuciami. Jej myśli wciąż jeszcze krążyły wokół uprzejmego młodego szlachcica, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie. Pamiętała dokładnie brzmienie jego głosu, oczy i zarys ust. Już teraz się cieszyła, że wieczorem znowu go zobaczy.

Assumpta natychmiast zauważyła, że stało się coś niezwykłego.

– Czy ludziom w kościele spodobał się twój śpiew?

Rozpromieniona Giulia skinęła głową.

– Było naprawdę cudownie, chociaż wewnątrz wyglądało dość biednie, a chór pasowałby raczej do jakiejś małej wiejskiej kaplicy.

– Nie na darmo powiada się, że diament błyszczy najjaśniej wśród szklanych paciorków – skwitowała z radością Assumpta, ale odpowiedź Giulii nie do końca ją zadowoliła. – Coś przede mną ukrywasz? – zapytała podejrzliwie.

Giulia roześmiała się pogodnie.

– Ach, Assumpto, ty wszystko zauważysz. Wyobraź sobie, że zostaliśmy zaproszeni do domu pana Batisty Gonzagi. Mam tam zaśpiewać już dzisiaj wieczorem.

Assumpta spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– U Batisty Gonzagi? Słyszałam, że tak nazywa się stryj księcia Mantui. Jeśli to on cię najął, to znaczy, że z miejsca znalazłaś dostęp do najwyższych kręgów w mieście.

– Zagadnął nas pewien młody mężczyzna. Przedstawił się jako kuzyn księcia Wilhelma. Wyglądał naprawdę dostojnie i poprosił, żebym zaśpiewała w pałacu jego ojca.

Assumpta była pod wrażeniem, ale szybko otrzeźwiała.

– W takim razie zdejmij ubranie – powiedziała do Giulii. – Muszę je wyszczotkować. Jeśli chcesz odnieść sukces, musisz dzisiaj wieczorem zrobić dobre wrażenie.

– Żeby odnieść sukces, muszę dobrze zaśpiewać – zauważyła z uśmiechem Giulia.

Z powrotem przypomniał się jej Paolo Gonzaga i poczuła, że się rumieni. Natychmiast skarciła się w duchu. Dla tego młodego mężczyzny była tylko kastratem, istotą, która zainteresowała go wyłącznie ze względu na głos.

Ta myśl ją zabolala, ale jednocześnie była zadowolona, że jej przebranie tworzy przepaść między nią a tym fascynującym młodym szlachcicem. Nie powinna pozwolić sobie na to, żeby uczucia kierowały jej postępowaniem. Bardzo długo przygotowywała się, by występować jako kastrat i poświęcić życie śpiewowi i muzyce. Gdyby Paolo rozpoznał w niej dziewczynę, i tak nie mogłaby liczyć na trwałe szczęście u jego boku. Zbyt wiele ich dzieliło. On był krewnym księcia Mantui, a ona tylko córką dawnego kapelmistrza.

Gdy się zorientowała, dokąd zmiierzają jej myśli, poczuła niepokój. „Czy każdy przystojny młody mężczyzna będzie w przyszłości tak na mnie działać?” – zadała sobie w duchu pytanie. Przez chwilę chciała prosić o radę Assumptę, ale uznała, że nie będzie jej dostarczać kolejnych powodów do zmartwień, a poza tym wstydziła się przyznać, że szlachcic wywołał w niej taką lawinę uczuć.

Żeby zająć myśli czym innym, wzięła do ręki kilka kartek z nutami i przypomniała sobie pieśni, które zamierzała zaśpiewać wieczorem. Wśród nich znajdował się dość długi chorał, który był dużym

wyzwaniem dla jej głosu. Skomponował go Baldassare Donato, kapelmistrz z bazyliki Świętego Marka w Wenecji. Giulia co prawda bardziej ceniła kompozytora Giovanniego da Palestrina, ale ponieważ Donato cieszył się dużą sławą, w dobrym tonie było mieć w swym repertuarze choć jeden z jego utworów. Zwłaszcza teraz, kiedy dopiero zaczynała swoją karierę, nie mogła sobie pozwolić na rezygnację z jego kompozycji.

Dzięki temu, że skoncentrowała się na nutach, Giulia zdołała okiełznać swoje myśli. Po lekkim obiedzie, który Assumpta przygotowała samodzielnie wbrew ostremu sprzeciwowi właścicielki zajazdu, Giulia położyła się na trochę i wstała wieczorem wypoczęta. Assumpta pomogła jej się ubrać, uważając, żeby nie pomiąć starannie wyprasowanego odzienia. Wreszcie obciągnęła nieco kaftan Giulii i wyprostowała mieszek u jej spodni, po czym zadowolona odstępowała od niej.

– Powodzenia, maleńka – powiedziała do niej na koniec.

Podczas gdy Giulia zdołała się uspokoić, jej ojciec miotał się jak spłoszona kura i zarzucał ją zupełnie zbędnymi, a czasem wykluczającymi się radami.

– Wiesz, że ten występ ma decydujące znaczenie dla twojej przyszłości. Jeśli twój głos spodoba się rodzinie pana Paola, będzie to dla nas oznaczało dostęp do najlepszego towarzystwa w Mantui. Będziemy dostawać sakiewki ze złotymi monetami, a nie tylko srebrne skudy albo testony – powtórzył wielokrotnie.

Giulii nie pozostało nic innego, jak przytakiwać. Poczowała ulgę, gdy w końcu dotarli do pałacu Batisty Gonzagi. Była to imponująca budowla, która od frontu miała zadaszoną kolumnadę i prowadzące do głównego wejścia szerokie schody z lwami po bokach.

Girolamo Fassi *vel* Casamonte zastanawiał się przez moment, czy mają wejść po schodach i zastukać brązową kołatką, ale zdecydował inaczej. Gdyby Giulia była już znanym kastratem, może by się na to odważył. Teraz jednak skręcił w uliczkę prowadzącą do wejścia dla służby. Zapukał i otworzył mu lokaj w kolorowej liberii, który zmierzył gościa wzrokiem i zapytał zarozumiale:

– Czego chcesz, człowieku?

– Jestem mistrz Casamonte, a to mój syn Giulio. Pan Paolo Gonzaga wezwał nas do siebie na dzisiejszy wieczór.

Lokaj przyglądał im się nieufnie, a w końcu wzruszył ramionami.

– Zapytam państwa – powiedział i zatrzasnął Fassiemu drzwi przed nosem.

Przez jakiś czas nie wracał, a gdy się wreszcie zjawił, zachowywał się nieco uprzejmie.

– Pani Coelia – oznajmił – pragnie zobaczyć waszego syna w swoim salonie.

Odsunął się na bok, żeby wpuścić Giulie, i znów chciał zamknąć przed Fassim drzwi, ale w końcu pozwolił mu wejść do środka i kazał mu usiąść na drewnianej ławce w służbówce.

– Zaproszenie was nie dotyczy, dlatego poczekacie tu na swego syna.

Fassi *vel* Casamonte zaprotestował gwałtownie, ale lokaj nie zwracał na niego uwagi. Dla Giulii było to nawet korzystne, bo na twarzy jej ojca malował się strach przed kompromitacją albo nawet zdemaskowaniem. Nie miał innego wyjścia, został w pomieszczeniu dla służby, inny służący natomiast zaprowadził Giulie do jaśnie państwa.

Dziewczyna czuła się nie mniej przerażona niż jej ojciec i rozpaczliwie obejrzała się kilka razy za nim. Dotychczas jeszcze nigdy nie była zdana sama na siebie i dlatego obawiała się najgorszego. Najchętniej by uciekła i zasyłała się w swoim łóżku. Ale służący o nieruchomych rysach twarzy prowadził ją niezliczonymi i przyprawiającymi o zawrót głowy korytarzami i schodami. Z galerii, którymi kroczyli, rozciągał się widok na zielone dziedzińce wewnętrzne z fontannami i różnymi

dziwnymi posągami. W końcu sługa otworzył dość skromnie wyglądające drzwi i zawołał coś do innego lokaja. Wkrótce potem pojawił się Paolo Gonzaga, który natychmiast powitał ją cały rozpromieniony.

– Cieszę się, że skorzystaliście z mojego zaproszenia – powiedział z wyraźną radością. – Wejdźcie. Chciałbym was przedstawić moim rodzicom, szacownemu panu Batiście Gonzadze, mojej matce Giudette i oczywiście mojej ciotce Coelii Morri.

Giulia spojrzała na trzy twarze, które przyglądały się jej krytycznie. W pierwszej chwili przeraziła się, że rozpoznano w niej dziewczynę. Ojciec Paola zastukał niespokojnie stopą w podłogę, a na jej widok zmarszczył sceptycznie czoło. Spojrzenie jego żony było zaś raczej chłodne i niechętne. Najmniej nieprzychylna wydawała się ciotka, chociaż sam jej wygląd mógł budzić bojaźliwy respekt.

Coelia Morri dała znak, żeby Giulia podeszła bliżej. Kazała jej stanąć przed wielkim malowidłem ściennym przedstawiającym Fryderyka, ojca obecnego księcia Wilhelma, w zbroi rzymskiego imperatora. Giulia usłuchała i rozejrzała się ze zdumieniem. Pomieszczenie było większe niż cały dom, w którym się wychowała, w środku stało jednak tylko kilka wyściełanych krzeseł i stół przyozdobiony misterną intarsją.

Dama wykrzywiła w uśmiechu chudą twarz, która przywiodła Giulii na myśl jadowitą żmiję.

– Zaraz się przekonamy, czy faktycznie jesteście tak dobrym śpiewakiem, jak twierdzi mój psotny siostrzeniec.

Nie zabrzmiało to szczególnie zachęcająco. Giulia zebrała się na odwagę i skłoniła przed kobietą.

– To dla mnie wielki zaszczyt móc zaprezentować swój kunszt przed państwem. Mam nadzieję, że sprawię państwu przyjemność swoim śpiewem.

Mówiła z wytwornym florentryńskim akcentem. Zdaniem jej ojca było to konieczne w kontaktach z wyżej postawionymi osobistościami. Sam zadał sobie wiele trudu, żeby go opanować i nauczył tego samego córkę. Zadowolona Giulia stwierdziła, że jej słowa zrobiły dobre wrażenie, po czym oświadczyła, że zacznie od *Ave Maria*.

Batista Gonzaga i obie kobiety sprawiali początkowo wrażenie nastawionych dość sceptycznie, ale zmieniło to się już przy pierwszej strofie. Po zaśpiewaniu modlitwy nagrodzili ją nieco powściągliwymi brawami. Giulia podziękowała przesadnym ukłonem, a następnie wykonała chorał Baldassarego Donata. Musiała włożyć w to dzieło cały swój kunszt, ale dzięki temu zdołała oprzeć się urokowi Paola Gonzagi, który siedział uśmiechnięty obok swojej ciotki. Udało jej się to lepiej, niż się spodziewała. Mimo panującego w pomieszczeniu napięcia czuła niesamowitą radość, że może występować przed publicznością. W Saletto zawsze o tym marzyła, a przez cały ten czas spędzony później na tułaczce nadzieja, że będzie mogła śpiewać, wydawała jej się światłem wśród ciemnej jak atrament nocy.

Gdy Giulia zakończyła chorał ostatnim, dźwięcznym tonem, słuchacze byli wyraźnie zachwyceni. Batista Gonzaga poklepał syna z uznaniem po ramieniu, a jego żona odetchnęła głęboko z ulgą, że jej podejrzenia względem Paola właśnie się rozwiały. Coelia wstała nawet z krzesła i podała Giulii rękę do pocałunku.

– Wasz śpiew wybornie się nam spodobał. Dzisiaj nie mam już czasu, żeby wysłuchiwać kolejnych dowodów waszego kunsztu, ale w niedzielę zaśpiewacie mszę w naszym rodzinnym kościele.

– Z największą przyjemnością.

Giulia skłoniła się z wdzięcznością i zauważyła, że Paolo mruga do niej okiem.

– Chodzi o kościół Świętego Pawła, mojego patrona – wyjaśniła jej Coelia. – To o wiele lepsza sceneria dla waszego talentu niż ten kościół na przedmieściu, gdzie śpiewaliście dzisiaj rano.

Paolo obrócił się ku ojcu i zapytał go, czy nie znalazłby zajęcia dla młodego kastrata także w ciągu tygodnia.

– Z samych występów w kościołach – podsumował – taki śpiewak jak Giulio Casamonte na pewno nie będzie mógł żyć na odpowiednim poziomie.

Batista Gonzaga zamyślił się na moment, po czym kiwnął na Giulie, żeby podeszła bliżej.

– Zostaw odźwiernemu swój adres, żebym mógł kogoś po ciebie posłać, jeśli będziesz potrzebny.

Zabrzmiało to trochę jak ustępstwo wobec syna, dlatego Giulia tak naprawdę nie wiedziała, co ma sądzić o tym zapewnieniu. Ale nie było to dla niej takie ważne wobec wyczerpującej próby, której ją poddano i którą najwidoczniej pomyślnie zdała. Przez moment się zastanawiała, czy wypada jej poprosić o zapłatę za swe usługi, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Na jej szczęście Coelia Morri zawołała pokojówkę i kazała podać Giulii haftowaną sakiewkę z jedwabiu.

Giulia skłoniła się jeszcze raz przed państwem i poszła za służącym, który bezszelestnie pojawił się w pokoju i aroganckim gestem kazał jej iść za sobą. Zaprowadził ją do drzwi wyjściowych, przy których ojciec czekał już na nią niecierpliwie, i obojgu dał do zrozumienia, jak bardzo jest zadowolony, że może się ich pozbyć. Ledwo ciężkie drzwi zamknęły się za nimi, Girolamo Casamonte dał upust swojej złości.

– Co za beczelna hołota. Jak równie wytworna rodzina co Gonzagowie może zatrudniać takich chamów? Przez cały czas musiałem czekać w małej ciemnej kanciapie niczym uciążliwy petent i nie zaproponowano mi nawet niczego do picia.

Giulia przypomniała sobie, że widziała, jak obaj Gonzagowie oraz panie raczą się trunkami, jej również jednak nie zaproponowano nawet szklanki wody, choć uprzejmość nakazywałaby coś takiego uczynić. Jej ojciec z tego powodu utyskiwał dalej.

– A czy dano ci chociaż pieniądze, czy wielcy państwo też byli ponad to?

Giulia podała mu szybko sakiewkę. Zważył ją w dłoni, ponieważ było zbyt ciemno, żeby sprawdzić monety, po czym mruknął coś pod nosem. Gdy znaleźli się w zajeździe, policzył pieniądze i dało się po nim zauważyć, że zapłata go usatysfakcjonowała.

– Skąpi nie byli. Będziesz się jednak, synu, musiał sporo wysilić, jeśli chcesz zarobić dość pieniędzy.

Pazerność ojca nappełniła Giulie smutkiem. Zabolą ją, że nie usłyszała od niego słowa pochwały. Nawet się nie zainteresował, jak poszło jej u Gonzagów. Gdy nie przestawał narzekać, jak go tam potraktowano, przyszło jej do głowy coś, co mogło skierować jego myśli w inną stronę.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że w przyszłą niedzielę będę śpiewać w kościele Świętego Pawła.

Ponury wyraz twarzy Girolama Casamontego ustąpił miejsca triumfalnej minie.

– Nie mam pojęcia, chłopcze, dlaczego patrzysz tak bojaźliwie. Czy nie powiedziałem ci, że Gonzagowie umożliwią nam wstęp do wytwornego świata? Cieszy mnie, że wzięłaś sobie moje nauki do serca i zdobyłaś następny angaż. Zobaczysz, w Mantui osiągniemy sukces, jakiego spodziewałem się po tym mieście.

Giulia nie wyjaśniła mu, że sama wcale nie przyczyniła się do zdobycia nowego angażu. To by go rozgniewało i robiłby jej nowe wyrzuty. Zamiast tego zaczęła wspominać oba swoje dzisiejsze występy i poczuła dziką radość, że wkrótce znów będzie mogła zaśpiewać. Było jej obojętne, ile pieniędzy przy tym zarobi. Byleby tylko mogli się z nich utrzymać. Dla niej liczyły się jedynie aplauz

i zachwyty słuchaczy. Pod tym względem biedni ludzie w kościele don Giantola byli o wiele bardziej szczerzy niż rodzina Batisty Gonzagi. Ale jeśli chce osiągać trwałe sukcesy, musi pozyskać przychylność wytwornego towarzystwa.

Następnego dnia ojciec Giulii przepadł gdzieś już przed południem i nie wrócił do wieczora. Giulia poświęciła wolny czas na ćwiczenie ostatniej z nowych pieśni, które ojciec dla niej pozyskał. Niebawem trzeba będzie rozejrzeć się za nowymi utworami, mimo że kompozytorzy w Mantui żądają dużo pieniędzy za swoje nuty.

Tuż przed zmierzchem ktoś zapukał do drzwi. Giulia otworzyła. W korytarzu stała karczenna posługaczka, która podekscytowanym gestem pokazała na dół.

– Na dole, w izbie jadalnej, jest jakiś lokaj, który chce z wami rozmawiać – szepnęła, jakby się czegoś bała.

– Ze mną? – zapytała zdumiona Giulia, ale wtedy przypomniała sobie o umowie z *messer* Batistą Gonzagą i musiała najpierw wziąć głęboki oddech. – A tak! Już wiem. Zejdź i powiedz mu, że zaraz przyjdę.

Przed małym lustrem poprawiła na sobie kamizelkę, ponownie przyglądała włosy, a następnie, udając spokój, zeszła schodami na dół. W izbie jadalnej o tej porze było już sporo gości, ale Giulia nie musiała się długo rozglądać. Obok baru stał służący w liberii i z dezaprobatą patrzył na gości, którzy gapili się na niego bez skrępowania.

Giulia podeszła bliżej.

– Chciałeś ze mną mówić?

– Czy to wy jesteście *signore* Casamonte?

Mężczyzna był nieco zdumiony, widząc przed sobą tak młodego chłopca.

– Jestem śpiewak Giulio Casamonte – potwierdziła Giulia, dziwiąc się, że to określenie tak łatwo przeszło jej przez usta.

– Mój pan, czcigodny Cesare Rioli – zaczął mówić lokaj – pragnie, byście zaśpiewali u niego dzisiaj wieczorem na przyjęciu. Mam was do niego zaprowadzić. Pospieszcie się, gdyż mój pan nie lubi czekać.

Lokajowi nie podobało się, że Giulia traktuje go jak służącego, podczas gdy on musiał zwracać się do niej z należytą uprzejmością. W jego mniemaniu kastrat stał w hierarchii społecznej jeszcze niżej niż piekarz czy kwiaciarka z targu, którzy dostarczali swoje towary jego panu, a przy tym kłaniali się nisko służbie w jego domu.

Giulia ucieszyła się z zaproszenia, ale była mocno zaskoczona, że wieść o jej występie u Gonzagów tak szybko się rozeszła. Nazwisko Rioli nic jej nie mówiło. Herb z orłem na liberii służącego wskazywał, że Cesare Rioli pochodzi z bardzo starej albo z bardzo młodej szlachty. Cesarski orzeł przez długi czas nie był nadawany. Dopiero cesarz Ferdynand zaczął przyznawać go w Wiedniu szlachcom, którzy zasłużyli się znacznie dla cesarstwa i dla niego, i pozwalał na umieszczanie go w herbie. Tak czy inaczej, Giulia miała do czynienia z bardzo wytworną rodziną.

Dotychczas była przyzwyczajona, że to ojciec kierował jej krokami. Dlatego w pierwszej chwili chciała poprosić lokaja, aby poczekali na jego powrót. Nie wiedziała jednak, kiedy ojciec wróci, i musiała sama podjąć decyzję. Przypomniały jej się dziesiątki opowieści o uprowadzeniach, morderstwach i innych występkach, którymi skutkować mogłoby takie zaproszenie. To dlatego ojciec

zakazał jej wychodzić dokądkolwiek samej. Ale jeśli odrzuci to zlecenie, może się okazać, że żadnego więcej już nie dostanie. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, co w takiej sytuacji ojciec by z nią zrobił.

– Przebiorę się, a ty możesz poczekać tu na mnie – powiedziała mocnym głosem do posłańca i pośpiesznie udała się na górę.

W pierwszej kolejności zapukała do izby, w której zakwaterowani zostali Assumpta i Beppo. Para służących siedziała na jedynym meblu w ich ciemnej norze – na wielkim sienniku. Assumpta walczyła z nitką, którą przy słabym świetle próbowała przełożyć przez ucho igielne, Beppo natomiast gapił się ponuro na ścianę. Gdy zobaczyli Giulie, oboje natychmiast wstali.

Assumpta spojrzała na nią z troską.

– Czy coś się stało?

Giulia skinęła głową.

– Właśnie lokaj przyniósł zaproszenie na wieczorne spotkanie towarzyskie, podczas którego mam zaśpiewać. Mój ojciec jeszcze nie wrócił, dlatego Beppo musi tam ze mną pójść.

Twarz służącego w ułamku sekundy utraciła ponury wyraz. Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej składany nóż. Zrobił groźną minę i powiedział:

– Niech no tylko ktoś spróbuje podskoczyć, zaraz go tym poczęstuję.

Assumpta roześmiała się i pokręciła pobłaźliwie głową.

– Nie baw się nożem. I uważaj, żebyś sam się nie skaleczył. Pójdę z Giulią do jej pokoju i pomogę jej się ubrać.

Niecały kwadrans później Giulia miała na sobie swoje najlepsze odzienie. Beppo nie posiadał nic poza szarą chłopską sukmaną. Gdy zeszli do sali karczemnej, lokaj zmierzył go pogardliwym spojrzeniem i poprosił Giulie, by za nim poszła.

Droga prowadziła do nieznannej im części miasta. Pałac rodziny Rioli był nieco mniejszy niż domicyl Batisty Gonzagi i nie miał też takiej zbytkownej fasady. Malowidła i wykute w kamieniu arabeski spodobały się jednak Giulii bardziej niż sztywne arkady domu Gonzagów. Tutaj też musiała skorzystać z bocznego wejścia dla służby. Lokaj przekazał ją innemu służącemu, który wyniośle kazał jej iść za sobą. Beppo chciał pójść z nimi, ale wtedy służący uniósł władczo rękę.

– Twoje miejsce jest tam, koło drzwi, człowieku.

– Mam tu warować jak pies? No i dobrze, w pewnym sensie faktycznie czuwam nad Giuli...em Casamontem jak pies.

Beppo niemal użył żeńskiej formy jej imienia, ale w porę się poprawił, bo inaczej ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać. Gdy Giulia odeszła, odprowadzona przez lokaja, usiadł obok drzwi, plecami oparł się o ścianę i przygotował się na długie oczekiwanie.

Gdy Giulia zbliżyła się do drzwi salonu, w którym odbywało się przyjęcie, pierwszą osobą, która wyszła jej naprzeciw, był Paolo Gonzaga. Przywitał ją jak starego znajomego i dał znak służącemu, żeby się oddalił.

– Cieszę się, Casamonte, że was widzę. Muszę przyznać, że maczałem w tym palce, byście zostali tu zaproszeni. W końcu to ja opowiedziałem o was szanownemu panu Riolemu. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Giulia opuściła głowę, żeby ukryć zmieszanie.

– Dziękuję wam z całego serca za pomoc.

– Uczyniłem to z przyjemnością. Ale muszę wyznać, że kierowała mną ukryta intencja. – Paolo

wyciągnął z zanadru złożoną kilkakrotnie kartkę i podał ją Giulii. Była nie większa od wnętrza jej dłoni. – Dajcie ten liścik Isabelli Brazzone, siostrzenicy naszego gospodarza, i powiedzcie jej, żeby przekazała mi przez was odpowiedź. Nie mogę się do niej zbliżyć, bo zaraz wszystkie plotkarki z Mantui wezmą nas na języki. Wy jako kastrat nie dacie im powodu do jakichkolwiek fałszywych podejrzeń.

Giulia poczuła przypływ zazdrości.

– Czy ona jest waszą kochanką?

– Jest moją ukochaną, moim bożyszczem, damą mojego serca.

Egzaltowane wyznanie Paola podziałało na nią odpychająco. Chciała już odrzucić jego prośbę, ale w końcu zdecydowała się ją spełnić. Miała dług wdzięczności wobec Paola i nie mogła urazić mężczyzny. Poza tym Isabella Brazzone powinna sama zdecydować, czy przyjmie skryte zaloty młodego mężczyzny, czy da mu kosza.

Wsunęła bilecik do rękawa i weszła do salonu, w którym dominowały złoto i zieleń. Pomieszczenie, podobnie jak salon u Gonzagów, było bardzo oszczędnie umeblowane. Gdy się krótko rozejrzała, stwierdziła, że Paolo zniknął. Sama się zdziwiła, że ją to rozbawiło. Ponieważ miała przekazać jego miłosny liścik, nie chciała, żeby widziano ich razem. Ta myśl pomogła jej zachować wewnętrzny spokój.

Ponieważ nie została zaanonsowana, nikt na początku nie zwrócił na nią uwagi. Większość gości stała zgromadzona wokół młodego szlachcica, ubranego w lekko powycierany zielony kaftan i wyblakłe czerwone spodnie, który w zabawny sposób wykonywał żartobliwy chanson. Giulia nadstawiała uszu i uznała, że śpiewak ma dość przyjemny głos, chociaż o nieco ograniczonej skali. Ale to wystarczyło do odśpiewania lubieżnej i nieco złośliwej piosenki. Miała nadzieję, że gospodarze nie oczekują od niej podobnie frywolnych tekstów, bo nawet nie miała takich w swoim repertuarze.

Gdy młody śpiewak zakończył swój występ ostatnim akordem na lutni i uklonił się, oczekując oklasków, do przodu wysunął się mężczyzna w średnim wieku, którego Giulia po zachowaniu uznała za gospodarza.

– Twój występ był doprawdy uroczy, Vincenzo. Ale obawiam się, że tego rodzaju przyśpiewki nie pasują do tego domu. Bardziej do jakichś spelunek, w których masz zwyczaj bywać. Mam nadzieję, że następnym razem się zastanowisz, co wypada zaśpiewać w dobrym towarzystwie.

– Biskup z Neri na pewno nie doceni twoich wersów, zwłaszcza że tak otwarcie wyśmiałeś jego zamiłowanie do ministrantów – zadrwił Paolo, który wszedł do salonu jak cień i zachowywał się teraz tak, jakby w ogóle stąd nie wychodził.

Giulia mimowolnie porównała obu młodzieńców. Paolo robił wielkie wrażenie w swoim wytwornym ubraniu, składającym się z granatowego kaftana i srebrzystych spodni. Poza tym miał też urodziwszą twarz. Vincenzo zaimponował jej zaś w inny sposób. Jego ubranie wyraźnie wskazywało, że mu się nie przelewa. Ale jego niebieskie oczy lśniły niezmaconym optymizmem, a pociągła twarz z lekko łukowatym nosem zdradzała pogodne usposobienie. Dłonią w rękawiczce przyglądał sobie falując ciemnoblonde włosy i uklonił się przed gospodarzem.

– Bardzo żałuję – powiedział z lekką drwiną – że moja piosenka się wam nie spodobała, don Cesare, i dlatego proszę was o wybaczenie.

Było to ewidentne kłamstwo, bo wcale nie wyglądał na skruszonego.

– Nie to, że mi się nie spodobała. Problem w tym, że już jutro ulicznicy będą ją śpiewać na

mieście. Wielebny biskup nie będzie tym uradowany.

– Pęknie ze złości – wtrącił ze śmiechem inny mężczyzna. – Tym żartobliwym utworem nie pozyskasz sobie przyjaciół, mój drogi Vincenzo. Jeśli chcesz wysłuchać mojej rady, powinieneś jak najszybciej opuścić Mantuę. W przeciwnym razie biskup może kazać swoim lokajom, by dobrali ci się do skóry.

Vincenzo dziarsko zadarł głowę i oparł dłoń na biodrze.

– Niech spróbują!

Pan domu wzruszył ramionami i uznał, że dość czasu poświęcił młodemu mężczyźnie. Dlatego odłączył się od grupy i rozejrzał po salonie. Gdy zobaczył Giulie, podszedł do niej i popatrzył na nią sceptycznie.

– To wy jesteście ten kastrat Casamonte?

– Tak mnie nazywają.

Giulia skłoniła się, znowu walcząc ze strachem, że zostanie zdemaskowana.

– Słyszałem, że wasz głos mógłby uświetnić moje przyjęcie. Teraz dam wam okazję, byście udowodnili to mnie i moim gościom. Jeśli powiadają prawdę, że tak pięknie śpiewacie, zostaniecie sowicie wynagrodzeni.

Cesare Rioli chwycił ją za ramię i obrócił, aby wszyscy goście mogli zobaczyć kastrata. W tym momencie do salonu weszły dwie kobiety i usiadły z tyłu na krzesłach. Jedna z nich była w średnim wieku i miała na sobie kanarkową suknię, która nieszczególnie pasowała do jej figury i cery. Uroku dodawały jej spięte w wysoki kok cudowne jasnorude włosy i przyjemna twarz. Jej towarzyszką była dziewczyna w wieku co najwyżej osiemnastu lat, w beżowej sukni i białym jedwabnym czepku, wyglądająca na dziecinną i niedoświadczoną panienkę.

W pierwszej chwili Giulia nie wiedziała, która z tych dwóch pań może być ukochaną Paola, ale gospodarz nieświadomie naprowadził ją na właściwą osobę.

– Moja siostra Fabiola Brazzone i jej córka Isabella – przedstawił obie kobiety.

Giulia skłoniła się, nie wiedząc, jak niepostrzeżenie podać Isabelli liścik. W tej chwili było to niemożliwe, ponieważ gospodarz poprosił właśnie gości o uwagę.

– Panowie, po frywolnym występie naszego szanownego Vincenza de la Torre mam przyjemność zapowiedzieć szczególny koncert. Za chwilę przed nami zaśpiewa młody, ale już bardzo znany kastrat Giulio Casamonte.

Giulia zamknęła na moment oczy, żeby się uspokoić. Usłyszała, że gospodarz odszedł na bok, a w salonie zrobiło się cicho. Tylko tu i ówdzie dało się usłyszeć jakieś chrząknięcie. W ostatniej chwili zmieniła kolejność pieśni, które zamierzała wykonać, i zaczęła od pogodnego utworu; jego melodia przypominała dopiero co wysłuchany chanson, ale tekst nie był równie kąśliwy.

Gdy skończyła, rozległy się życzliwe brawa. Cesare Rioli pokiwał głową, jakby sam siebie musiał utwierdzić w tym, że nie popełnił błędu, angażując kastrata. Obie damy także klaskały. Giulia skłoniła się jeszcze raz w ich kierunku.

Tymczasem Rioli zamienił kilka krótkich zdań z jednym ze swoich gości, a potem podszedł do Giulii.

– Czy moglibyście nas uraczyć owym słynnym chorałem Constanza Porty, który w zeszłym roku został napisany dla kastrata z kościoła Świętego Marka?

Giulia zrozumiała, że w ten sposób towarzystwo wystawia ją na próbę. Znała to dzieło i dużo nad nim pracowała. Mimo tego nie była pewna, czy zdoła wykonać je bez żadnego błędu. Nie mogła

jednak odmówić. Dlatego z uprzejmą miną zwróciła się do gospodarza:

– Jestem do waszych usług.

Ponieważ jak do tej pory więcej zajmowała się kościelną muzyką niż świeckimi tematami, udało jej się zaśpiewać dzieło słynnego franciszkanina bez ani jednego fałszywego tonu.

Tym razem aplauz wypełnił salon w co najmniej równym stopniu, co jej głos. Rioli wprost rozpływał się w pochwałach, większość gości także wychwalała głos Giulii. Tylko Vincenzo de la Torre nie przyłączył się do ogólnej radości. Podeszedł do Giulii i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Zaśpiewaliście niczego sobie, *signore* Casamonte. Ale słyszałem już ten chorał w wykonaniu wielkiego Belloniego i brzmiał w jego ustach dużo lepiej. Powinniście śpiewać ciut wyżej, bardziej po kobiecemu, a przede wszystkim nie tak gorączkowo. Obawiam się, że wasze muzyczne wykształcenie pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Giulia w pierwszej chwili była oburzona tą krytyką i chciała zaprotestować, ale w tym momencie Cesare Rioli stanął u jej boku i przerwał uszczypliwemu krytykowi.

– Vincenzo, wystarczy. Wystarczająco źle się stało, że musieliśmy wysłuchać twojej bluźnierczej piosenki o biskupie z Neri. Nie pozwolę, żebyś jeszcze obrażał moich gości.

– Czy kastrat jest gościem, czy najemnym człowiekiem, który w zamian za honorarium ma wykonać swoje zadanie? – zapytał opryskliwie Vincenzo.

– To nie twoja sprawa i nie twoje pieniądze. Mam już dosyć twojego zachowania i byłbym ci wdzięczny, gdybyś opuścił mój dom, zanim obrazisz kogoś jeszcze.

Rioli mówił przytłumionym głosem, tak że tylko kilku stojących obok mężczyzn mogło usłyszeć tę połajankę.

Vincenzo wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Wtem Paolo Gonzaga chwycił go za rękaw i spojrział na gospodarza, kręcąc głową.

– Don Cesare, jesteście zanadto srodzy dla naszego przyjaciela Vincenza. Nie wypada przecież wyrzucić za drzwi członka rodziny de la Torre jedynie z powodu żartobliwej piosenki.

Mówił tak głośno, że kilku innych młodych mężczyzn uniosło głowę i przepchnęło się naprzód, żeby również wstawić się za Vincenzem.

W tym momencie zapomniano o Giulii. Z ciekawością śledziła przebieg kłótni. Nagle zobaczyła, że Paolo daje jej spojrzeniem znak. Zrozumiała, że zaaranżował tę scenę, żeby miała sposobność podania liściku. Odsunęła się od kręgu dyskutantów i podeszła do Isabelli. Ponieważ jej matka akurat rozmawiała z jakimś starszym mężczyzną w habicie franciszkańskim, skłoniła się dyskretnie przed młodą damą i wcisnęła jej do ręki bilecik.

– To wiadomość od pana Paola Gonzagi. Macie mu przeze mnie przekazać odpowiedź.

Chociaż szeptała, miała wrażenie, że mówi tak głośno, iż wszyscy mogą ją usłyszeć. Szybko odeszła więc od Isabelli i przysunęła się do grupy, która wciąż jeszcze gorączkowo debatowała.

Kilku starszych mężczyzn stanęło po stronie gospodarza i zaczęło krytykować dzisiejszą młodzież, która nie ma respektu przed nikim i niczym. Paolo przy wsparciu przyjaciół orędownął jednak za Vincenzem i z widoczną satysfakcją podawał ciągle nowe argumenty na jego obronę. W końcu sam Vincenzo zakończył sprawę, oświadczając, że wystarczająco go tu obrażono, i wyszedł bez słowa pożegnana. Rioli odetchnął z ulgą i zaprosił gości do stołu. Giulii też chciało się pić i chętnie by coś przekąsiła. Ale zaproszenie jej nie obejmowało. „W pewnym sensie Vincenzo miał rację” – pomyślała z goryczą. Nie zaproszono jej tu jako gościa, ale jako osobę, która ma do wykonania zadanie. Już miała zagadnąć Cesarego Riolego o gażę, ale ten sam do niej podeszedł i powiedział:

– Jestem z was zadowolony, Casamonte. Mój ochmistrz wam zapłaci. Gdybym znowu miał ochotę posłuchać waszego głosu, dam wam znać.

Giulia zrozumiała, że może odejść, i ukłoniła się uprzejmie, chociaż miała ochotę się rozplakać. Rioli zdążył się już jednak odwrócić i w ślad za swoimi gośćmi przeszedł do jadalni, z której docierały nęcące zapachy. Giulii zaburczało w brzuchu. W tym momencie pragnęła jedynie jak najszybciej dostać się do swojego pokoju w zajeździe.

– Chwileczkę! – Isabella rozejrzała się gorączkowo wokół i podbiegła do Giulii. – Powiedźcie Paolowi, żeby na mnie czekał jutro rano o ósmej w kaplicy Świętego Witalisa.

Giulia skłoniła się bez słowa. Te wytworne przyjęcia wydały jej się dużo bardziej wyczerpujące niż msza śpiewana w kościele. Gdy chciała poprosić służącego przy drzwiach, by zaprowadził ją do ochmistrza, nagle pojawił się obok niej Paolo i odprawił lokaja gestem ręki.

– No i co? Co powiedziała Isabella?

– Jutro rano o ósmej w kaplicy Świętego Witalisa – szepnęła Giulia. – Pokażcie mi teraz, proszę, gdzie znajdę ochmistrza.

Paolo uśmiechnął się pod nosem i wskazał na drzwi, przed którymi czekał na nią mężczyzna w rudym kaftanie i ciemnobrązowych rajtuzach. Gdy Giulia podeszła do niego, wyciągnął w jej kierunku rękę, w której dwoma palcami trzymał skózaną sakiewkę. Upuścił ją na dłoń Giulii. Panował nad swoją mimiką, ale dziewczyna wyczuła, że się brzydzi.

Już nieraz doświadczyła, że mężczyźni unikają z nią fizycznego kontaktu, i zastanawiała się, czemu tak się dzieje. Nawet Paolo, który do tej pory był dla niej najbardziej życzliwy, nie dotknął jej jeszcze ani razu. Była jednak pewna, że następnego ranka podczas spotkania z Isabellą Brazzone nie będzie tak powściągliwy. Zabolą ją myśli o czułościach, którymi ci dwoje będą się zapewne nawzajem obdzielać. Pomyślała, że nie może sobie pozwolić na odchodzenie od zmysłów, i postanowiła, że przestanie myśleć o tym młodym szlachcicu. Nawet jej to wychodziło, bo w drodze do domu myślała więcej o Vincenzie de la Torre i jego krytycznych słowach niż o Paolu. Sama przed sobą szczerze przyznała, że wprawdzie zaśpiewała chorał Porty poprawnie, ale bez wielkiego zaangażowania. Zresztą ojciec tak ją nauczył, a więc będzie musiała jeszcze sama popracować nad tym utworem.

Gdy Giulia i Beppo wrócili do zajazdu, Girolamo Casamonte siedział przy stole w izbie jadalnej i pił wino z glinianego kubka. Na jej widok głęboko odetchnął.

– Co ja słyszałem? Faktycznie wezwano cię na przyjęcie? Mam nadzieję, że się opłaciło.

Wyrwał Giulii sakiewkę z ręki i natychmiast chciał ją otworzyć. Giulia dostrzegła, że jest wstawiony i dlatego bardziej porywczy niż zazwyczaj. Położyła dłoń na sakiewce.

– Nie tutaj, ojcie – powiedziała. – Chyba nie chcesz, żeby ludzie zobaczyli? Szkoda by było, gdyby ktoś ukradł pieniądze.

Ojciec schował sakiewkę i zamówił jeszcze wina. Giulia i Beppo spojrzeli po sobie. Służący zrozumiał, że ma uważać na pana, i usiadł naprzeciwko niego na ławce. Giulia powiedziała jeszcze ojcu dobranoc i weszła wyczerpana po schodach na górę. Teraz myślała tylko o łóżku.

Nie skończyło się na zaproszeniu do Cesarego Riolego. Po nim nastąpiły kolejne, jakby każdy z wytwornych domów w Mantui chciał uświetnić przynajmniej jeden wieczór głosem młodego kastrata, który nie wiadomo skąd pojawił się w mieście i szczególnie poruszał serca starszych dam. Podczas występów Giulia prawie za każdym razem spotykała Paola Gonzagę, który dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że uważa się za jej odkrywcę i mecenasa.

Bardziej niż Gonzagę wolałaby ponownie zobaczyć Vincenza de la Torre, żeby porozmawiać z nim o swoim śpiewie, a szczególnie o sławnym Bellonim, bo dotychczas jeszcze nigdy nie miała styczności z prawdziwym kastratem. Ale Vincenzo nigdzie się nie pojawiał. Wstydziała się o niego pytać i dopiero później dowiedziała się przez przypadek, że dawno temu opuścił Mantuę. Odebrała to w pewnym sensie jako stratę, bo poza ojcem nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o muzyce. Ale Girolamo Casamonte nieszczególnie interesował się innymi artystami i nie potrafił jej wiele o nich powiedzieć. Dlatego Giulia sama musiała sobie radzić ze swoją niepewnością i kapryśnie zmieniającymi się wymaganiami jej zleceńodawców.

Wytworne towarzystwo w Mantui starało się na wyścigi podnosić atrakcyjność organizowanych przez siebie przyjęć. Pod tym względem rodzice i ciotka Paola nie stanowili wyjątku. Coelię Morri uważano za wielką miłośniczkę muzyki i czyniła wszystko, żeby umocnić tę opinię. Dla niej czymś oczywistym były występy Giulia Casamontego podczas wieczornych spotkań towarzyskich w pałacu jej szwagra. Na swoje następne przyjęcie wymyśliła jednak coś szczególnego.

Gdy Giulia tego ranka została wyzwana do domu Batisty Gonzagi, to poza szwagierką pana domu czekało tam na nią jeszcze czterech mężczyzn w różnym wieku. Chociaż najstarszy miał dwa razy tyle lat co najmłodszy, to wszyscy byli ubrani modnie aż do przesady i tak kolorowo, że Giulia wyglądała przy nich jak kuropatwa wśród bażantów. Z ekscytacją rozmawiali z gospodynią i nie zwracali uwagi na Giulie do momentu, kiedy zagadnęła ją Coelia Morri.

– Witajcie, Casamonte. Pozwólcie, że przedstawię wam panów Grinzonego, Arellego, Cuscia i Zampę. Każdy z nich jest członkiem książęcej nadwornej kapeli i wielkim śpiewakiem.

Giulia skłoniła się uprzejmie, na co panowie zareagowali ledwo zauważalnym skinieniem głową.

– A więc to jest ten kastrat, który ma z nami zaśpiewać – dudniącym basem powiedział jeden z nich, ten, który, jak się Giulii wydawało, nosił nazwisko Arelli.

Coelia Morri uśmiechnęła się zadowolona.

– Tak jest, panowie, oto Casamonte, który w ostatnich miesiącach podbił Mantuę.

Śpiewak wzruszył pogardliwie ramionami.

– Na dworze księcia nic o nim jeszcze nie słyszano.

– No cóż, nasz krewny Wilhelm czasami zachowuje się trochę ekscentrycznie. Na pewno ma to związek z jego fizycznym upośledzeniem.

Coelia Morri nawiązała do książęcego garbu i jednocześnie podkreśliła swoje pokrewieństwo z księciem, żeby zaimponować aroganckim pieśniarzom. Ich miny natychmiast stały się służalcze.

Grinzoni skłonił się głęboko.

– Jesteśmy oczywiście gotowi wysłuchać śpiewu tego wytrzebionego młodzieńca – powiedział.

– Ale dopiero potem zdecydujemy – zastrzegł Zampa – czy będziemy mogli spełnić wasze życzenie.

Giulia jeszcze nigdy nie miała do czynienia z tak zarozumiałymi osobnikami jak ci czterej śpiewacy. Zachowywali się, jakby reprezentowali sobą szczyt maestrii, a ona, Giulio Casamonte, była nędznym robakiem, niezasługującym, żeby stanąć obok nich. A przecież to nie był jej pomysł, żeby ich tu wezwać, tylko Coelii Morri.

Spojrzała pytająco na gospodynię. Ta kiwnęła uspokajająco głową i pokazała teczkę z nutami, która leżała przed nią na małym stoliku.

– Pragnęłabym, żebyście zaśpiewali ten chorał na pięć głosów na imieniny mojego brata. Mój krewny, książę, nie pojawi się wprawdzie osobiście, ale obiecał mi wszelką pomoc.

Pieśniarze nie wiedzieli, czy to prawda, ponieważ Wilhelm Gonzaga nie okazywał swym krewnym szczególnej przychylności. Z drugiej strony był wielkim miłośnikiem sztuki i mógł obiecać wsparcie Coelii Morri. Na dodatek dama miała szeroki gest. Książę rzadko bywał hojny dla swoich podwładnych, tak więc nie mogli sobie pozwolić, by lekką ręką odrzucić dodatkowy zarobek. Wprawdzie nie podobało im się, że będą musieli śpiewać z kastratem, który na pewno ściągnie na siebie uwagę gości, ale musieli robić dobrą minę do złej gry.

Tenor Cuscio uśmiechnął się krzywo. „Tej poczwarze już podczas prób można zrobić z życia piekło” – pomyślał i skinął kolegom zachęcająco głową.

– Czujemy się zaszczytzeni, signora. Pozwólcie, że zaproponujemy trzy dni ćwiczeń, gdyż musimy poznać umiejętności kastrata.

– Trzy próby? – zapytał zdziwiony Arelli.

Cuscio mrugnął do niego konspiratorsko.

– Mniej się nie da. Czy może chcecie skompromitować się przez tego trzebieńca? Pomyślcie tylko, co będzie, jeśli wieść o blamażu dotrze do uszu Jego Książęcej Mości.

Zampa nie do końca zrozumiał, do czego zmierza kolega.

– Książę przecież nie przejmuje się tym, co ludzie mówią na mieście.

– Do cholery, nie bądź taki tępy – szepnął do niego Cuscio. – Podczas prób tak damy do wiwatu temu chłoptasiowi, że nie będzie w stanie śpiewać z nami podczas przyjęcia.

– Silvio, masz głowę nie od parady – pochwalił go przyjaciel.

Chociaż Giulia mimo swego nadzwyczajnie ostrego słuchu stała zbyt daleko, żeby pochwycić co nieco z ich szeptów, wyraźnie zrozumiała, że czterej nadworni śpiewacy są do niej wrogo nastawieni. Nie podobały jej się spojrzenia tej czwórki, ale nie mogła odmówić Coelii Morri, bo obraziłaby całą jej rodzinę.

– To dla mnie zaszczyt – powiedziała do kobiety i stwierdziła, że rzadko kiedy zdarzało jej się bardziej kłamać.

Dopiero następnego dnia boleśnie zrozumiała, co ją czeka. Spotkała się ze śpiewakami w jednym z pomieszczeń pałacowych, żeby wspólnie z nimi ćwiczyć. Coelia Morri nie była obecna, a czterej śpiewacy dawali swobodnie upust swemu niezadowoleniu.

– Idzie ta poczwara – usłyszała na przywitanie obelgę z ust Arellego.

Zampa zaśmiał się drwiąco.

– Jakie to uczucie, gdy się traci między nogami kawałek ciała?

– I to nader istotny kawałek ciała – zaskrzeczał z rozbawieniem tenor Cuscio.

Giulia spojrzała na nich z uprzejmym uśmiechem i skłoniła lekko głowę.

– Dzięki temu mam bardziej dźwięczny głos i złe soki nie dochodzą mi do głowy.

Od pierwszej chwili się zorientowała, że nie może sobie pozwolić, by czterej mężczyźni ją zastraszyli. Irytacja na ich twarzach pokazała jej, że wygrała pierwszą rundę. Ale sądząc po minach tej czwórki, obmyślali właśnie, w jaki sposób mogliby następnym razem bardziej dokuczyć swojemu wrogowi.

Mimo nieprzyjaznej postawy śpiewaków nadwornych Giulia nie zamierzała dać się im wyprowadzić z równowagi. Dlatego wzięła do ręki kartki z nutami i przeanalizowała pierwsze linijki. Autorem chorału był kompozytor Constanzo Festa, ten, który stworzył także *Te Deum*. Utwór stawiał przed wszystkimi śpiewakami wielkie wymagania. Było to już dość stare dzieło tego kompozytora. Ojciec Giulii ćwiczył je za młodych lat, a potem zaznajomił z nim córkę. Dziewczyna ze złośliwą satysfakcją szybko zorientowała się, że wszyscy czterej śpiewacy mają z utworem większe problemy niż ona. Mimo to próba była dla niej męczarnią. Śpiewacy nie kryli ani swojej pogardy dla kastrata, ani zazdrości, że ma większą skalę głosu, i traktowali Julię jak trędowatego.

Dlatego poczuła zadowolenie po ostatniej próbie, a przed nią był już tylko imieninowy występ. Ale wtedy śpiewacy wyciągnęli ostatniego asa z rękawa. Dzięki dobrym dochodom ubrali się tak strojnie, że błękitny kaftan Giulii wyglądał nader skromnie i niepozornie. Zauważyła to natychmiast, ale powściągnęła gniew i powiedziała sobie, że nic nie wyprowadzi jej z równowagi. Zdołała przyjaźnie powitać śpiewaków i ukłoniła się zgrabnie przed Coelią Morri oraz gospodarzem.

Tego wieczora Paolo Gonzaga unikał jej tak wyraźnie, że ją to zdziwiło. Nie wiedziała, że nie chce swoim uważnym rodzicom dawać powodów do niepokoju. Nawet jeśli Batista i Giudetta Gonzagowie często ganili swego syna z powodu jego romansów, to takie związki dałoby się jakoś pogodzić z Bogiem i Kościołem, bo przecież nawet królowie Dawid i Salomon nie cofnęli się przed obcymi żonami. Ale gdyby podejrzewali, że Paolo pożąda kastrata, nawet jeśli ten jest urodziwy, zmuszeni byłiby do natychmiastowego działania. Paolo nie chciał zostać ani żołnierzem, ani trafić na kilka lat do klasztoru, czym ojciec groził mu nieraz, gdy dopadał go największy gniew.

Kastrat Casamonte służył mu za pocztynioną miłości, bo bez podejrzeń mógł mieć dostęp do córek i żon swoich gospodarzy. Paolo chciał to wykorzystać i czerpać z życia pełnymi garściami. Aktualnie miał już dość romansu z Isabellą Brazzone, zwłaszcza że młoda kobieta raz za razem wspominała o małżeństwie. Ale nie miała ani koligacji, ani posagu, który mógłby go usatysfakcjonować. A więc musiał znaleźć nową ofiarę.

Podczas gdy goście jego ojca w napięciu czekali na zapowiedziany chorał, Paolo zastanawiał się, czyja córka albo żona obecnych tu panów wchodziłaby w rachubę. Gdy przyglądał się zgromadzonym wokół pięknościom, jego ciotka Coelia Morri przywołała go do siebie i zaszczyciła go, pozwalając mu usiąść na krześle po swej prawicy.

– Ach, taka jestem ciekawa, jak kastrat Casamonte i śpiewacy wypadną razem – szepnęła mu do ucha.

Paolo wskazał ze śmiechem na całą piątkę wykonawców.

– Mam nadzieję, że ich śpiew będzie bardziej harmonijny niż ubranie. Mój Boże, biedny Casamonte wygląda przy tych pawiach skromnie jak gołąbek.

– Pawie i gołębie są złym porównaniem, bo jedno i drugie nie są dobrymi śpiewakami – stwierdziła ciotka. – No cóż, może Casamonte okaże się słowikiem wśród skowronków. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo Grinzoni ukłonił się, poprosił o uwagę i zaśpiewał

dźwięcznym barytonem, który tu, w salonie, rozchodził się szczególnie dobrze. Gdy jego przyjaciele jeden po drugim dołączyli do chorału, większość gości gratulowała Coelii Morri, że zaangażowała nadwornych śpiewaków księcia, aby uświetnili ten wieczór. Wszyscy jednak w napięciu czekali, jak wśród tych doświadczonych artystów wypadnie młody kastrat. Większość знаła już Casamontego albo o nim słyszała, ale mało kto sądził, że kastrat pozytywnie wyróżni się na tle pozostałych.

Giulia wiedziała, że będzie tego wieczora musiała dać z siebie wszystko, i była na to przygotowana. Bez zawiści wysłuchiwała zaprawionych w śpiewie pozostałych artystów, ale ich kunszt jej nie onieśmielił. Gdy przysła kolej na nią, wystąpiła do przodu i zaczęła dźwięcznie śpiewać.

Obecni wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami. Ci, co już słyszeli jej śpiew, stwierdzili, że tym razem Casamonte przeszedł samego siebie. Czterej nadworni śpiewacy byli wielce niezadowoleni, że nie udało im się odwieść kastrata od udziału w koncercie. Teraz z zawiści prawie odebrało im głos. Z trudem dawali radę dośpiewać chorał do końca, a na koniec musieli jeszcze wysłuchać gratulacji skierowanych prawie wyłącznie do Casamontego. Czterej mężczyźni skłonili się sztywno przed gospodarzami i płonąc z gniewu, opuścili pałac.

Giulia była zbyt wyczerpana, żeby cieszyć się triumfem. Na dodatek miała inne zmartwienia, ponieważ następnego wieczora podszedł do niej Paolo i chciał, żeby przekazała od niego wiadomość pewnej młodej kobiecie. Nie znalazła okazji, żeby go zapytać, czy Isabella Brazzone odrzuciła jego awanse, ale uznała, że tak było, i przekazała jego bilecik pewnej rudowłosej damie o bujnych kształtach, która w ogóle nie przypominała dość dziecinnie wyglądającej Isabelli.

Gdy Paolo zaledwie cztery dni później poprosił ją, żeby przekazała liścik jeszcze innej kobiecie, musiała przyznać sama przed sobą, że jego moralność pozostawia wiele do życzenia. Postanowiła, że w najbliższym czasie będzie mu schodzić z drogi, bo nie chciała być współniczką jego grzesznych przygód. Już wystarczająco ciężko było jej na duszy, że podczas spowiedzi w kościele don Giantola musiała zachować tajemnicę swej płci i milczeć o wszystkim, co związane było z udawaniem kastrata. Ale nie udało jej się uniknąć kolejnych spotkań z Paolem, ponieważ gościł niemal we wszystkich domach, do których ją wzywano.

Giulii zależało, by zadowolić zleceniodawców, a jednocześnie żyła w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem. Dlatego musiała się mocno starać, żeby przetrwać występy. W ciągu dnia prawie nie znajdowała czasu na odpoczynek, ponieważ zawsze starannie przygotowywała się na wieczór, a nocą, gdy leżała w łóżku, nawiedzały ją regularnie koszmary.

Jednego razu przyśniło jej się, że stoi sama na podeście dla chóru i śpiewa. Jakiś chłopiec, przypominający solistę Ludovica Moloniego z Saletto, krzyknął do niej, że jest dziewczyną i za swój grzech musi zostać spalona na stosie jak czarownica. Często jej sny były tak zatrważająco wyraźne, że widziała wokół siebie buchające płomienie, a żar ognia wżerał jej się w skórę, ludzie wokół krzyczeli: „Czarownica! Czarownica!”, a diabeł już sięgał po jej duszę. Ten przerażający scenariusz kończył się tym, że rozżarzone szczypcy piekielnych demonów zaczynały szarpać jej ciało.

Przez cały dzień Giulia nie czuła się dobrze, a wieczorny występ przetrwała ostatkiem sił. Leżąc w łóżku, bała się zasnąć, bo lękała się koszmarów sennych. Przysłuchiwała się donośnym głosom biesiadników, które docierały z sali jadalnej, i pragnęła znaleźć się z powrotem w domu, w Saletto, gdzie mimo trudności i zmartwień przeżyła jednak wiele pięknych dni. Gdy wokół niej zrobiło się cicho, nawiedził ją niespokojny sen pełen powikłanych wizji.

Rano była całkiem rozbita. Na dodatek poczuła nieprzyjemną wilgoć na udach. Usiadła na łóżku, podniosła pled i ze zgrozą popatrzyła na pokrwawioną koszulę. Nie musiała się podnosić z siennika, żeby wiedzieć, iż także na prześcieradle znajdują się duże czerwone plamy. To nie było jej pierwsze krwawienie miesięczne, ale dotychczas jeszcze nigdy nie przeoczyła momentu, kiedy miało nastąpić. Przez dłuższą chwilę Giulia była jak sparaliżowana. „To koniec” – przeleciało jej przez głowę. Teraz wszyscy się dowiedzą, że jest oszustką, i zaciągną ją przed sąd kościelny. W jej głowie zabrzmiał okropny krzyk z koszmarów. Wydało jej się, że słyszy nawet diabelski śmiech. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby się uspokoić. Potem wyszła z łóżka i zapukała w ścianę, za którą znajdował się pokój Assumpty i Beppa.

Służąca przyszła niemal natychmiast. Nawet jeśli się zdziwiła, dlaczego Giulia otworzyła jej drzwi dopiero po tym, jak usłyszała jej głos, to nie okazała tego po sobie. Stała pośrodku

pomieszczenia, wzięła się pod boki i spojrzała na niespodziankę, kręcąc głową. Gdy Giulia zaczęła płakać, wzięła ją w ramiona i próbowała pocieszyć.

– Przykro mi, kotku, ale nie pomyślałam, że to już ta pora. Przyniosę ci teraz wody, żebyś mogła się umyć, i świeże podpaski. Ale zamknij za mną drzwi, żeby nie wpadła tu ciekawska dziewczka karczemna.

Giulia skinęła głową i wskazała poplamione prześcieradło.

– Nie damy rady tego ukryć.

– Jak to nie damy rady? – odpowiedziała wojowniczo Assumpta.

Stała obok łóżka i energicznym szarpnięciem ściągnęła prześcieradło. Sprawdziła, czy wierzchni pled jest czysty, po czym wyciągnęła rękę.

– Daj mi koszulę. Rozpruję ją i zrobię z niej podpaski. Nie mogę jej uprać, nie zwracając na siebie uwagi. Sama bym przecież nie weszła w taką szczupłą koszulę.

– Co chcesz zrobić? – zapytała zmieszana Giulia.

– Zamienię twoje prześcieradło na moje. Niech sobie gospodarze myślą, że dostałam miesiączki. Muszę tylko uważać, żeby nie zauważyli, gdy jej naprawdę dostanę. Byłoby dziwne, gdybym za dwa tygodnie znowu zaczęła krwawić.

Uśmiechnęła się do Giulii, chcąc dodać jej otuchy, po czym opuściła pokój.

Giulia zasunęła za nią zasuwkę i czekała przy drzwiach, póki Assumpta nie wróci. Była zdenerwowana i zaczęła już marznąć, ale służąca długo się nie pojawiała. W końcu rozległo się pukanie. Assumpta za drzwiami poprosiła cicho, żeby jej otworzyć. Przyniosła mały szaflik z drewna i podała szmatkę.

– Woda jest niestety zimna.

– Nie umrę od tego. W domu w Saletto też mieliśmy najczęściej tylko zimną wodę.

Gdy dziewczyna się myła, służąca posłała na nowo łóżko i przygotowałaienne odzienie oraz strój na wieczorny występ. Na koniec zabrała szaflik i zabarwioną krwią szmatkę, po czym obie te rzeczy wyniosła potajemnie z pokoju. Niedługo potem Giulia usłyszała, jak schodzi po schodach i rozmawia z gospodynią. Kilka sekund później zabrzmiał jazgotliwy głos:

– Co? Zniszczyłaś jedno z moich najlepszych prześcieradeł? Jesteś flejtuchem. Ktoś taki jak ty powinien nocować pod mostem. Uprzedzam cię, że cenę tego prześcieradła dopiszę twemu panu do rachunku.

Minęła dłuższa chwila, nim gospodyni zakończyła kanonadę złorzeczeń i wypuściła Assumptę ze swoich szponów. W Giulii aż się gotowało, gdy słyszała te wszystkie wulgarne określenia z ust starego babska, i wstydziła się okropnie, że Assumpta została tak obelżywie potraktowana. Jednocześnie była wdzięczna swojej służącej za ratunek w tej niebezpiecznej sytuacji. Miniony dzień pokazał jej, że nie powinna myśleć wyłącznie o następnych angażach. Odliczyła cztery tygodnie i wyszło jej, że znów będzie musiała uważać w dniu Świętego Januarego. Postanowiła jeszcze raz serdecznie podziękować Assumpcie i podać jej termin następnego krwawienia, żeby w przyszłości obie o nim pamiętały.

Przez moment pomyślała o ojcu. Prawdopodobnie nie zastanawiał się, jaką krzywdę wyrządził jej tą maskaradą. Ale nawet gdyby mu o tym powiedziała, to by go nie interesowało. W pewnym sensie go nie poznawała. W ogóle nie przypominał tamtego biednego, ale pogodnego kapelmistrza z Saletto. Teraz łaknął zarabianych przez nią pieniędzy w sposób, który napawał ją odrazą. Nie potrafiła go już szanować tak jak dawniej i czuła z tego powodu wielki smutek. Ale mimo wszystko wciąż miała

nadzieję, że któregoś dnia wróci tamten szczęśliwy czas, kiedy łączyły ich silne więzi.

Giulia z powodu miesiączki czuła się tak źle, że najchętniej zostałaaby w swoim pokoju. Ale właśnie na dzisiaj zaangażowano ją jako główną atrakcję na duże przyjęcie. Występ miał przebiegać podobnie jak u Cesarego Riolego. Zaplanowano, że kilku szlachciców zagra na lutni i flecie oraz przedstawi własne piosenki, a potem ona wystąpi jako główna atrakcja. Zazwyczaj Giulia lubiła takie imprezy, ponieważ mogła podczas nich przez długi czas pozostawać na uboczu i obserwować innych. Dzisiaj jednak chętnie by z tego zrezygnowała.

Ponieważ przyjęcie odbywało się w położonym kilka mil od miasta domku na wsi, gospodarz przysłał jej wspaniałomyślnie czterokonny powóz, który miał ją i jej ojca zawieźć późnym wieczorem na miejsce. Girolamo Casamonte pożerał wzrokiem ozdobione herbem drzwiczki powozu i służących w liberii. Był dumny, jakby znaczył co najmniej tyle co hrabia Gisiberto z Saletto.

Gdy przybyli do majątku, oczekiwało go jednak gorzkie rozczarowanie, ponieważ bez ceregieli skierowano go do izby jednego ze stajennych, a tymczasem Giulie poproszono na pokoje. Już się przyzwyczaiła, że występuje sama, i wyzbyła się w dużym stopniu niepewności. Ale i dzisiaj nie potrafiła ukryć pewnej tremy. Ponieważ z powodu miesiączki czuła się brudna, cieszyła się tym razem, że mężczyźni trzymają się od niej na dystans. Pan domu, niski, dość tęgi kupiec, który zapewne kupił sobie tytuł i herb, przywitał ją jowialnie i przedstawił jej swoją siostrzenicę oraz dwie córki. Wszystkie trzy panny wyglądały w swoich sukniach wieczorowych – granatowej, zielonej i karmazynowej – bardzo ładnie. Giulia trochę się nawet zdziwiła, że Paolo jej dzisiaj nie poprosił, by odegrała pocztyliona miłości. Rozejrzała się za nim i zobaczyła, że stoi sam, z dala od innych ludzi, z ponurym wyrazem twarzy i spuszczoną głową, jakby przyglądał się podłodze.

Giulia nie miała jednak czasu, żeby się zastanawiać, jakie troski dręczą Paola, ponieważ jedna z trzech młodych panien usiadła właśnie przed wirginałem i uderzyła na próbę w klawisze, podczas gdy pozostałe dwie wzięły do ręki lutnię i skrzypce. Giulia do tej pory jeszcze nigdy nie widziała, żeby kobieta publicznie muzykowała. Ale słyszała, że kilka dam z wysoko postawionych rodów szlacheckich grywa na instrumentach i dość ładnie śpiewa. Mimo to zdziwiła się, że córki i siostrzenica dzisiejszego gospodarza przyjęcia mogą prezentować swoją sztukę obcym ludziom. Jednocześnie znów odezwały się w niej dawne lęki. Jeśli te trzy damy faktycznie zaśpiewają, to potem jakiś gość, lub nawet kilku, rozpozna, że i ona śpiewa żeńskim głosem.

Odsunęła się od towarzystwa, przyłożyła rozpalone czoło do marmurowej kolumny i w rozpacz szukała wyjścia z tej sytuacji. Gdy trzy damy zaczęły występ, zastanawiała się, czy nie powinna wymówić się przeziębieniem i chrypą. Grały naprawdę wspaniale i miały aksamitne, miłe dla ucha głosy. Giulia jednak natychmiast stwierdziła, że wykonują gatunek muzyki odpowiedni dla mało wykształconych osób. W tym momencie była wdzięczna ojcu za ciężki trening, dzięki któremu stopniowo szlifowała głos. Żadna z tych trzech kobiet nie mogłaby zaśpiewać partii solowej podczas mszy skomponowanej przez Palestrinę, nie mówiąc już o chorale Porty.

Po występie Giulia, nieco uspokojona, była nawet w stanie bić należne pieśniarkom brawa. Gdy wreszcie poproszono ją, by zabawiła gości, podeszła z uprzejmym uśmiechem do panny grającej na wirginalu.

– *Buon giorno, signorina.* Pozwólcie, że zadam wam pytanie: czy znacie pieśń o Albercie i Mirabelle, która wyszła spod pióra Nicolasa Gomberta?

Uradowana młoda dama skinęła głową.

– *Si, signore Casamonte.* Jeśli sobie życzycie, wyślę służącą, żeby przyniosła mi nuty.

Gdy czekali na nuty, Paolo Gonzaga wystąpił naprzód.

– Chcecie zaśpiewać w oryginalnym języku czy po włosku, *signore Casamonte*?

Giulia zobaczyła w jego oczach dziwny błysk. Nie mogła zrozumieć, dlaczego właśnie jemu przyszło do głowy sprawdzać jej umiejętności językowe. Ale jeśli sądzi, że ona nie podejmie wyzwania, to grubo się myli. Nauczyła się od ojca nieco łaciny oraz kilku francuskich słów i wyrażań, ale nie na tyle, żeby czytać nieznane francuskie teksty. Ta pieśń należała jednak do jej ulubionych i przed rokiem tak długo zamęczała ojca prośbami, że w końcu przyprowadził do zajazdu, w którym wtedy mieszkali, francuskiego studenta, żeby mogła nauczyć się tego utworu także w języku ojczystym Gomberta.

Teraz się z tego cieszyła, bo miała możliwość zaoferowania słuchaczom czegoś szczególnego. Nie odpowiedziała na pytanie Paola Gonzagi; odpowiedzią miał być jej występ. Niecierpliwie czekała, aż służąca przyniesie nuty i dama przy wirginalu będzie gotowa zagrać. Ponieważ chciała wypaść jak najlepiej na tle trzech śpiewaczek, włożyła w śpiew cały swój kunszt. Chociaż była skoncentrowana, wyczuła zdumienie i podziw słuchaczek. Zdziwiła się, że Gonzaga wygląda na bardziej zadowolonego niż zaskoczonego. Nie ograniczyła się do zaśpiewania francuskiego tekstu, lecz gdy ucichły brawa, poprosiła akompaniującą jej damę o powtórne zagranie melodii. Tym razem zaśpiewała po włosku i tym samym wprowadziła gości w prawdziwe uniesienie.

Gdy wybrzmiały ostatnie takty, dostała owację od gospodarza, który powtarzał gościom stojącym po jego lewej i prawej stronie, że Giulio Casamonte po prostu nie ma sobie równych.

W tym momencie Giulia poczuła przypływ buty. Kątem oka zobaczyła, że Paolo Gonzaga bierze z rąk lokaja kieliszek z winem. Gdy podniósł go do ust, wydała z siebie czysty, przenikliwy ton. Na twarzach ludzi stojących blisko niej pojawił się lękliwy grymas. W tym samym momencie kieliszek w ręce Paola Gonzagi rozprysł się na tysiąc kawałków.

Podczas nauki śpiewu Giulia przez przypadek stwierdziła, że wykonując szczególnie wysokie tony, może powodować pęknięcie szkła. Kilka razy specjalnie wypróbowała tę umiejętność, ale jeszcze nigdy nie czyniła tego przed publicznością. Dzisiaj Paolo rzucił jej wyzwanie i dostał za to zapłatę.

Młody Gonzaga popatrzył na resztkę kieliszka, którą wciąż jeszcze trzymał w dłoni. W tym czasie służący podbiegł do niego i zaczął ścierać wino z jego magentowego kaftana. Gospodarz przyjęcia także patrzył osłupiały na potłuczone szkło. Wyglądał, jakby odebrało mu głos.

– Powinniście byli poczekać – odezwał się w końcu w tonie lekkiej nagany do Giulii – aż kieliszek będzie pusty. Zniszczyliście odzienie panu Paolowi.

Paolo Gonzaga roześmiał się krótko i ostro, po czym uniósł rękę.

– To nieważne, *signore Mareschi.* Kaftan i tak nie był ostatnim krzykiem mody. Noszę się z zamiarem zamówienia kilku nowych strojów według hiszpańskich wzorów.

– Jesteś pewien, że teraz hiszpańskie stroje wchodzi w modę? – zapytał pewien młody człowiek, który cieszył się tym przywilejem, że mógł zwracać się do Paola Gonzagi na ty.

Paolo skinął głową i podał jednemu z krążących po salonie służących to, co zostało z kieliszka.

– Jestem na tyle pewien, że już nawet poleciłem mojemu krawcowi, żeby sprowadził miedzioryty z Madrytu i zaproponował mi kilka projektów. – Obrócił się ku Giulii, szczerząc zęby w uśmiechu. –

Także wy, *signore* Casamonte, powinniście się ubierać z hiszpańska, jeśli chcecie iść z duchem czasu.

– Rozważę waszą opinię – odpowiedziała dość chłodno Giulia, ponieważ wywodami o modzie pomniejszył jej mały triumf.

Mimo to występ był pełnym sukcesem, a gospodarz wypłacił jej sumę większą, niż uzgodnili. Gdy siedziała z powrotem w powozie, który wioził ją do Mantui, przyglądała się z zadowoleniem, jak ojciec liczy skudy. Tym razem także Girolamo Casamonte nie miał powodów, by zbytnio narzekać na gościnę. Służba poczęstowała go winem i zaserwowała mu porządny posiłek, a przy tym wylewnie chwaliła mistrzowski śpiew kastrata Giulia. Casamonte wiele razy zapewnił córkę, że wreszcie znajdują się na właściwej drodze, i zaczął kreślić przyszłość ich obojga w różowych barwach.

W ich zajeździe raz za razem pojawiali się posłańcy z arystokratycznych domów z wiadomością dla Giulia Casamontego. Niebawem Girolamo Casamonte uznał, że dotychczasowe lokum nie odpowiada ich obecnemu statusowi. Dlatego postanowił, że przeprowadzą się do wytworniejszej oberży i wyruszył na poszukiwania. Do gustu przypadł mu Zajazd pod Złotą Owcą przy Via Aperta. Ponieważ nie chciał nagłasniać swojej decyzji, któregoś ranka po prostu kazał zaskoczonej Giulii spakować rzeczy i opuścić lichą kwaterę.

Nie zmartwiła się z tego powodu, bo ciekawość gospodyni powoli zaczynała działać jej na nerwy. Także Assumpta odetchnęła z ulgą. Nieraz musiała nieźle nadrzeć kotów z właścicielką i jej służbą, żeby móc należycie zadbać o Giulie, a ostatnio wystarczyło, żeby weszła do budynku, a już spotykały ją obelgi.

Pokoje pod Złotą Owcą były przestronne, wyposażone w wygodne łóżka i pojemne szafy, w każdym stały stół i krzesło, tak więc Giulia nie musiała już siadać na brzegu łóżka, gdy chciała studiować nuty. Assumpta i Beppo na widok własnego pokoju raz za razem unosili w zdumieniu ręce. Jeszcze nigdy nie mieszkali w tak wytwornych warunkach, jak przyznali z nabożną niemal czcią.

Giulia natomiast wcale nie była uradowana tą wytwornością i z zatroskaniem zwróciła się do ojca:

– Czy Złota Owca nie jest dla nas zbyt droga?

Girolamo Casamonte roześmiał się i machnął ręką.

– Ani trochę. Dzięki pieniądзом, które zarabiasz śpiewaniem, moglibyśmy pozwolić sobie nawet na własne mieszkanie w jednej z tutejszych kamienic. Ale wolę ten zajazd, bo wystarczy zejść schodami, a już można dostać strawę i wino.

– Gdybym to ja gotowała, wówczas własne mieszkanie wychodziłoby taniej – powiedziała gorliwie Assumpta.

Girolamo Casamonte uniósł ręce w geście obrony.

– Kucharz w Złotej Owcy jest znany ze swego talentu. Przychodzą tu nawet najbardziej szanowani ludzie, żeby coś zjeść. Dlaczego miałbym zreć kaszę jak chłop, skoro mogę spożywać pieczone kapłony i faszzerowane karpie?

Zostawił na głowie Giulii i obojga służących rozpakowanie skrzyń i tobołów oraz przystosowanie pokoi do zamieszkania. Sam zszedł na parter, gdzie znajdowało się kilka pomieszczeń o standardzie zadowalającym nawet najbardziej wybredne osoby.

Giulia usłyszała, jak ojciec zamawia wino, i wzruszyła ramionami. Nie podobało się jej, że ojciec tyle pije, ale przecież nie mogła mu tego zabronić. Miała tylko nadzieję, że w stanie upojenia będzie trzymać język za zębami i przez nieuwagę nie roztrąbi, że jego syn nie jest prawdziwym kastratem, tylko kobietą.

Assumpta, której zwierzyła się ze swoich zmartwień, przyciągnęła ją do siebie i uspokoiła cichymi słowy.

– Nie przejmuj się tak, kotku. Twój ojciec już dawno zapomniał, że urodziłaś się jako dziewczynka. A poza tym bardziej lubi pieniądze niż wino i na pewno nie zaryzykuje utraty jedyne

źródła dochodów.

Giulia mogła mieć tylko nadzieję, że służąca ma rację. W tej chwili pieniądze płynęły wartkim potokiem i prawie każdego dnia mogła wręczyć ojcu sakiewkę. Nawet jeśli nie wszyscy jej zleciodawcy płacili złotem, to i tak jednym występem zarabiała więcej niż prosty rzemieślnik przez cały rok.

Jej ojciec dawno nie promieniał takim zadowoleniem. Ale i tak się o nią w żaden sposób nie troszczył, wychodził tylko gdzieś samotnie albo przesiadywał w jednym z saloników w zajeździe i pił tam wino. Giulie to trochę irytowało. Wciąż jeszcze gryzły ją krytyczne słowa Vincenza de la Torre i sama czuła, że powinna dalej się kształcić, jeśli jej głos ma konkurować z głosem Belloniego czy innych słynnych kastratów.

Ponieważ zaczynało brakować jej cierpliwości, zapomniała czasem o respekcie, jakim powinna darzyć ojca, i robiła mu wymówki. Ale reagował na nie bez zrozumienia. Nauczył ją wszystkiego, co sam umiał, i był mocno przekonany, że to wystarczy. Oślepiiony wytwornym światem, który mógł obserwować z pomieszczeń dla służby, wyciągnął z kilku uwag Giulii własne wnioski i uznał, że powinien odświeżyć swój wygląd zewnętrzny i zamówić sobie ubrania zgodne z najnowszą modą. Przy okazji postanowił też zadbać o wizerunek córki. Giulio Casamonte nie powinien występować ciągle w jednym i tym samym kaftanie, albowiem wielcy państwo oglądający jego występy na pewno zaczęliby z tego powodu kręcić nosem.

Ojciec tak przyzwyczaił się traktować ją jak prawdziwego kastrata, że któregoś dnia zapukał do jej drzwi i wpadł od razu do środka, prowadząc za sobą niskiego, kłaniającego się raz po raz człowieka.

Giulia miała wtedy na sobie luźną koszulę, a pod nią nieskrępowane pasem piersi, tak więc stanęła plecami do obu mężczyzn. Miała ochotę zapytać ojca, czy całkiem postradał zmysły. Jeszcze bardziej się przeraziła, gdy Girolamo Casamonte przedstawił swojego towarzysza:

– Oto *signore* Sarto, najlepszy krawiec w mieście. Wezwałem go, żeby uszył nam stroje według najnowszej hiszpańskiej mody. Teraz zdejmie z nas miarę.

Słowa, które cisnęły się Giulii na usta, były grzechem przeciwko przykazaniu nakazującemu czcić ojca i matkę. Gdyby wypowiedziała je na głos, sama by się w ten sposób zdradziła. Z trudem zapanowała nad nerwami, uczyniła zmęczony gest ręką i ziewnęła przeciągle.

– Nie wyspałem się – powiedziała. – Nie chcę, żeby teraz ktoś wokół mnie skakał. Ojczy, idź z krawcem do swego pokoju, niech zdejmie z ciebie miarę. I zawołaj Assumptę, niech przyjdzie do mnie i przyniesie mi coś do picia.

Girolamo Casamonte już chciał wybuchnąć gniewem, ale wtedy dotarło do niego, że popełnił ogromne głupstwo. Chwycił mistrza Sarta za rękaw i pociągnął w kierunku drzwi.

– Mój syn ma rację. Zdejmiecie miarę najpierw ze mnie. Jako ojciec mam przecież pierwszeństwo.

Niedługo potem, gdy obaj mężczyźni odeszli, do środka weszła Assumpta z gniewną miną i postukała się w czoło.

– Twój ojciec chyba zwariował. Przyciągnął tu obcego człowieka, na dodatek krawca, nie dając nam możliwości, byśmy się przygotowały. Naprawdę igra z losem.

Zamilkła jednak na widok przejętej miny Giulii. Wyciągnęła z szafy szeroki lniany pas, aby skrepować i spłaszczyć nim biust dziewczyny. Kazała jej ściągnąć koszulę przez głowę. Przez moment popatrzyła na kształtne, ale na szczęście nie nazbyt duże piersi Giulii i pokręciła głową.

– To hańba kryć dzieło Boże.

Giulia zaczęła chichotać.

– Ależ, Assumpto! Mam może biegać z rozchełstaną koszulą?

Assumpta machnęła ze złością ręką.

– Wiesz, co mam na myśli. Gdybyś mogła prowadzić normalne życie, to teraz krawcowa szyłaby ci suknie i dopasowywała bluzki. Zamiast tego ojciec każe ci udawać jakieś nienaturalne stworzenie, z którego drwią ulicznicy, a panowie z towarzystwa traktują je jako zabawkę. To grzech przed Bogiem i hańba.

– Nie jest aż tak źle, Assumpto – Giulia próbowała uspokoić emocje służącej.

– To przeciw Bożym przykazaniom, a ja nawet nie mogę się z tego wypowiadać. Mam nadzieję, że twój ojciec któregoś dnia odzyska rozsądek i skończy całe to przedstawienie.

Giulia najchętniej by ją spytała, z czego wówczas by żyli, ale się nie odezwała. Assumpta mruknęła coś jeszcze pod nosem, kilka razy głośno sapnęła, po czym wzięła się do roboty. Ponieważ nie chciała dać krawcowi powodów do podejrzeń, tak mocno owinęła tym razem piersi dziewczyny, że ta z trudem mogła oddychać. Giulia zaprotestowała gwałtownie, ale to nie wzruszyło służącej.

– Lepiej, jak się przez kilka minut pomęczysz, niż gdyby ten zakichany krawiec miał cię zdemaskować po tym, jak zdołałaś zmylić nawet don Giantola – powiedziała z naciskiem i przymocowała koniec lnianego pasa szpilką. Jeszcze przez chwilę poprawiała opatrunek, a potem nałożyła na Giulie koszulę. Skinęła zadowolona głową.

– Tak będzie dobrze. Musisz tylko uważać, żeby ten człowiek za bardzo cię nie obmacywał.

Giulia poczuła się nieswojo i schowała szyję w ramionach.

– Może byłoby lepiej, gdybyś ty zdjęła miarę, a *signore* Sarto tylko by ją zapisał.

– Żeby faktycznie zaczął coś podejrzewać? Nie, kotku, wywieziemy tego krawca w pole, zobaczysz.

Giulia nie podzielała optymizmu Assumpty, ale mistrz Sarto przystąpił do dzieła z wielką powściągliwością, co sprawiło, że odetchnęła z ulgą. Najwidoczniej ojciec powiedział mu, że jego syn jest kastratem, ponieważ krawiec w ogóle pominął miejsce między nogami i dotykał ją tylko, gdy było to nieuniknione. Mimo to Giulia ucieszyła się, gdy wreszcie sobie poszedł, a ona mogła przy pomocy Assumpty uwolnić piersi od ciasnych bandaży. Wkrótce potem poszła do pokoju ojca.

– Mam nadzieję, że wyciągniesz naukę z dzisiejszego zdarzenia i zrezygnujesz w przyszłości z podobnych niespodzianek – zbeształa go cicho, ale ostro.

Girolamo Casamonte wzdrygnął się na te słowa.

– Wybacz, moje dziecko. Nie pomyślałem.

– A ja muszę o tym myśleć każdego dnia, o każdej porze. Nie chcę jeszcze dodatkowo mieć się na baczności przed tobą.

Giulia spojrzała na ojca z góry. Przez chwilę ich role jakby się odwróciły. Teraz to ona rozkazywała, a zmieszany ojciec gapił się w podłogę i nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Dotychczas zawsze było na odwrót. Ale teraz Giulia poczuła, że jej stosunek do ojca się zmienił. Przestał być już najwyższą, decydującą o wszystkim instancją, której musiała się podporządkować. Występy przed różnorodną publicznością dodały jej pewności siebie, co dla ojca było czymś nowym, a sądząc po wyrazie jego twarzy, także nieco onieśmielającym.

– Mówiłem już, że mi przykro – powiedział tonem małego dziecka, które przyłapano na podkradaniu brzoskwiń z sadu.

Giulia na tym poprzestała. Mimo że wizyta krawca ją zdenerwowała, to była zadowolona, gdy mistrz Sarto przyniósł zamówione stroje na ostatnią przymiarke. Tak porządnie przyłożył się do pracy, że mógł od razu zostawić większość rzeczy. Tylko ojciec Giulii miał zastrzeżenia do kaftana i kazał to i owo poprawić.

Giulii natomiast nowe ubrania bardzo się spodobały. Odłożyła od razu zielony kaftan przyozdobiony srebrnymi haftami oraz jasnoczerwone spodnie, żeby założyć je na następny występ. Nowy kaftan został uszyty według hiszpańskiej mody i w związku z tym był suto wypchany, dlatego Assumpta nie musiała już tak bardzo rozplaszczać piersi Giulii podczas bandażowania.

Stojąc przed małym lustrem, dziewczyna uznała, że wygląda jak przystojny młody mężczyzna. Jej twarz nie była dość proporcjonalna jak na kobietę. Chociaż miała wielkie ciemnobrązowe oczy i długie, jedwabiste rzęsy, to za sprawą krótkich włosów i męskiego odzienia była osobą o niezdefiniowanej do końca płci. Nie mogła się doczekać, jak na jej nowy strój zareagują wytwornicy znajomi, a przede wszystkim Paolo Gonzaga, który podjął temat hiszpańskiej mody.

Choć Paolowi Gonzadze nie zaszkodziły plotki, które wiązały go z Leticją Pollai, a tymczasem zdołał namówić na randkę niejedną piękność, wciąż jeszcze czuł się upokorzony z powodu doznanej porażki. W pierwszym porywie gniewu najchętniej zacząłby się gdzieś na złotnika Pollaiego i nadział go na miecz. Rozum podpowiadał mu jednak, że księżę Wilhelm nie zaaprobowałby tej zbrodni. A jak zareagowałyby na taki czyn matka i ciotka? Tego Paolo nie był sobie w stanie nawet wyobrazić. Nie chciał jednak wycofać się jak pies z podkulonym ogonem. Zastanawiał się, w jaki sposób dokuczyć Pollaiemu, i doszedł do wniosku, że najlepiej by było jeszcze raz spróbować uwieść Leticję. Aby się zemścić i ukoić gniew, musiał zrobić ze złotnika rozacza.

Informator, którego miał na mieście, doniósł mu, że Leticja Pollai może chodzić na mszę świętą tylko w towarzystwie starszych krewnych i kilku krzepkich pacholców. Poza tym pozostaje przez cały czas zamknięta w wiejskim domu Pollaiego, odległym od miasta o milę.

Paolo snuł rozmaite plany, w jaki sposób przechytryć Pollaiego i jego ludzi i zbliżyć się do Leticji, ale musiał z nich szybko zrezygnować, bo złotnik pilnował żony baczniej niż klejnotów w swojej pracowni. Paolo, chcąc cokolwiek zrobić, musiał skorzystać z usług zaufanych pomocników. Żaden ze służących z domu jego ojca nie wchodził w rachubę; Paolo już się o tym boleśnie przekonał. W końcu obmyślił plan, ale do jego realizacji potrzebował pomocy swego protegowanego – kastrata Casamontego.

Przez ostatnie dni śpiewak trzymał się wyraźnie z dala od niego. Paolo uznał, że Casamonte się gniewa za wykorzystywanie go jako pocztynia miłości bez jakiegokolwiek zapłaty. Sakwa Paola świeciła pustkami nie tylko z powodu kupna nowych strojów. Nie mógł na razie wypłacić Casamontemu należnego wynagrodzenia, musiał poczekać, aż ojciec przekaże mu następne kieszonkowe. Paolo był oburzony, że jego los zależy od kaprysów starego pana. Jakże miał jednak wyjście? Musiałby opuścić Mantuę i zatrudnić się jako sekretarz u jakiegoś wysoko postawionego dostojnika kościelnego albo zaciągnąć do armii jako oficer. Nie był zainteresowany ani jednym, ani drugim. A poza tym nie mógłby wówczas dokonać zemsty.

Tego dnia pojawił się jako ostatni gość na wieczornym spotkaniu towarzyskim u hrabiego Alariego. Zobaczył młodego kastrata w odzieniu, które niewiele różniło się pod względem koloru i kroju od jego własnej nowej kreacji. „Giulio wygląda wytwornie jak paw – pomyślał Paolo – ale i tak nie może się ze mną równać”. Ale czego należałoby się spodziewać? W końcu Casamonte to przecież tylko kastrat, podczas gdy on, Paolo, należy do najbardziej ognistych ogierów na ziemiach należących do księcia Mantui. Ale by zrealizować plan, potrzebował tego ludzkiego wałacha. Z tą myślą w głowie i z pogodnym uśmiechem na ustach podszedł do kastrata.

– *Buon giorno, signore Casamonte.* Jak widzę, poszliście za moją radą, co się tyczy mody.

Giulia nie mogła go zignorować, ponieważ zwracał się bezpośrednio do niej.

– Szczęść wam Boże, *messer Gonzaga.* Jestem wdzięczny za wasze rady, ale muszę przyznać, że hiszpański krój waszego odzienia bardziej mi odpowiada niż mojego. Jakże to kolor wybraliście na dzisiaj? Rzekłbym, że kaftan jest w barwie kości słoniowej z podszewką w odcieniu miedzi, a wasze spodnie są bładoniebieskie.

Mówiąc to, rozglądała się za gospodarzem przyjęcia, żeby móc odejść od Paola.

Ten przejrzał jednak jej zamiar i został u jej boku.

– Pozwólcie, że zamienię z wami kilka słów.

Chociaż mówił łagodnym tonem, zabrzmiało to jak rozkaz.

Giulia zatrzymała się i wyciągnęła rękę w oczekiwaniu, że poda jej miłosną wiadomość dla którejś z obecnych tu dam. Ku jej zdziwieniu jednak skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią tak przenikliwie, że zaczęła się bać, iż przejrzał jej maskaradę.

– Cieszę się, że tak gorliwie chcecie mi pomóc, Casamonte. Ale tym razem nie chodzi o to, aby przekazać liścik.

– Czegóż zatem chcecie ode mnie? – zapytała z rosnącym niepokojem.

Paolo Gonzaga wskazał na ludzi, którzy tłoczyli się wokół nich.

– Musimy najpierw porozmawiać, ale w bardziej ustronnym miejscu, żeby przechodzący w pobliżu goście nie usłyszeli, o co chodzi.

Giulia była w tym momencie przekonana, że Paolo zna jej tajemnicę. W jej wyobraźni przemienił się teraz w kata, podkładającego pochodnię pod stos, na którym ona stoi. W rozpaczy zadała sobie pytanie, czego Gonzaga może chcieć w zamian za milczenie. Cokolwiek by to było, będzie ją to wiele kosztowało. Zdążyła się już tyle o nim dowiedzieć, że uważała go za kobieciarza bez sumienia. Wstrętem napełniła ją myśl, że być może będzie musiała oddać mu swą niewinność. Ale jeśli nie znajdzie się inny sposób, żeby uratować siebie i ojca, poniesie tę ofiarę.

– Możecie mnie jutro odwiedzić w Zajeździe pod Żółtą Owcą – zaproponowała.

Paolo Gonzaga pokręcił głową.

– Nie chcę, żeby ktoś nas razem zobaczył na mieście.

W pierwszej chwili Giulia oburzyła się na tę odpowiedź. Traktował ją, jakby była trędowata. Ale powściągnęła emocje i spojrzała na niego tak spokojnie i obojętnie, jak tylko potrafiła.

– W takim razie to wy zaproponujcie miejsce spotkania.

– Jak nazywał się ten kościół, w którym po raz pierwszy was usłyszałem? Czy nie przypadkiem Świętej Marii Magdaleny?

Giulia potwierdziła. Paolo Gonzaga na wspomnienie lichego kościółka z obrzydzeniem wykrzywił usta. Ale chłodne, ciemne kąty i przejścia między kolumnami stanowiły idealne miejsce spotkania.

– Będę tam na was czekał jutro po mszy porannej. Ubierzcie się jednak w coś, co nie rzuca się w oczy, żeby ludzie nie rozpoznali was już z daleka.

To powiedziawszy, odwrócił się, żeby pozdrowić innego gościa, i pozostawił Giulie, która nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Oczywiście pójdzie jutro rano na spotkanie, żeby nie dopuścić do najgorszego. Myśli kłębiły się jej w głowie. Chyba byłoby dla niej lepiej, gdyby Paolo Gonzaga nigdy nie usłyszał jej śpiewu, nawet jeśli nadal miałyby być nic nieznaczącą dziewczyną w przebraniu chłopca, nie zaś cenionym kastratem Casamontem, a jej występy nie odbywałyby się przed wykwinną publicznością ani nie spotykały się z takim aplauzem.

Tymczasem podszedł do niej pan domu, hrabia Alari, i wyrwał ją z zamyślenia.

– Cieszę się, że przybyliście, *messer* Casamonte, i mam nadzieję, że zaprezentujecie nam próbkę swej sztuki. Ale proszę was, byście nie tłukli moich kryształów.

Kilku gości się roześmiało, gdy usłyszało ten żart. Giulia próbowała przez moment znaleźć wzrokiem Paola Gonzagę, ale ten wyszedł już z pokoju. Poszła za gospodarzem do salonu, zmuszając się do uśmiechu. Miała wrażenie, że idzie na własną egzekucję, a nie po kolejny sukces. Myślała o

tym, że hrabia Alari zwrócił się do niej tytułem, który właściwie przysługuje tylko wielkim panom, a jego wezwanie, by zaśpiewała, ubrane było w uprzejmą prośbę. Czując w sercu dumę, przysięgła sobie, że przed nikim się nie ugnie, nawet przez Paolem Gonzagą. Giulia miała już tak wyćwiczony repertuar, że mimo myśli chodzących jej po głowie zaczęła występ z niezbędnym afektem, a wkrótce porwała ją muzyka, wprowadzając niemal w trans. Po występie potrzebowała dłuższej chwili, żeby dojść do siebie. Zobaczyła wokół wpatrzone w nią zdumione i zachwycone twarze.

– *Bravissimo!* – zawołał hrabia, owacyjnie klaszcząc w dłonie. – Casamonte, śpiewaliście piękniej niż kiedykolwiek!

– Hrabia Alari ma rację. Nigdy nie śpiewaliście lepiej – potwierdził Paolo Gonzaga, po czym zwrócił się do krzepko zbudowanego mężczyzny w lalusiowatych wąskich i żółtych spodniach oraz w niebieskim kaftanie z wieloma rozcięciami i z wystającą czerwoną podszewką.

– A wy jak uważacie, *messer Robaccio*?

Mężczyzna zaczerwienił się z radości, że został zagadnięty przez członka książęcej rodziny, i gorliwie skinął głową.

– Można by odnieść wrażenie, że to anioł śpiewa.

– Głosowi Casamontego nikt nie jest w stanie się oprzeć, ani rozsierdzony mąż, ani nadąsana żona – stwierdził Paolo Gonzaga, uśmiechając się przyjaźnie i nie spuszczając z oczu Robaccia.

Mężczyzna był dobrym znajomym Baldassarego Pollaiego, ale nie na tyle obznajomionym z jego sytuacją rodzinną, by wiedzieć o niedoszłym romansie Leticii – młodej małżonki złotnika. Najwidoczniej dowiedział się, że Pollai ma jakieś problemy z żoną, bo jeszcze raz spojrzał w zamyśleniu na kastrata, po czym zwrócił się pytająco do Paola.

– Sądzicie, że *signore Casamonte* występuje także w skromniejszych okolicznościach, na przykład podczas uroczystości rodzinnych? Pewien mój przyjaciel ucieszyłby się, gdyby śpiewak zaprezentował swój kunszt przed jego żoną, którą dopadła melancholia.

Paolo ani na jotę nie zmienił życzliwego wyrazu twarzy, choć czuł, że rybka jest gotowa połknąć jego przynętę.

– Casamonte ma obecnie duże wzięcie w Mantui. Ale o ile wiem, chętnie śpiewa też dla pojedynczych osób. A przy tym ma niesamowity talent i doskonale utrafia w nastroje i potrzeby kobiet.

Robaccio popatrzył na Paola Gonzagę sceptycznie.

– Uważacie, że śpiewak mógłby występować tylko dla kobiety? Sam na sam? To przecież nie wypada.

Na tę wątpliwość Paolo miał odpowiedź na podorędziu.

– Gdyby ten chłopiec miał takie coś, co mamy my obaj, na pewno by nie wypadało. Ale tego biedaka nawet sama bogini Wenus nie skusiłaby do miłości.

– Zgadza się, to przecież trzebieniec. – Robaccio odetchnął z ulgą. – W każdym razie bardzo dziękuję, panie Paolo. Właśnie bardzo pomogliście mojemu przyjacielowi.

– To była dla mnie przyjemność.

Paolo skłonił się lekko i pożegnał z mężczyzną, następnie poszedł szukać kastrata. Znalazł go na korytarzu, gotowego do wyjścia.

– Chwileczkę, *messer Casamonte*. Zarezerwujcie sobie, proszę, któryś z najbliższych dni na mały, prywatny koncert.

To powiedziawszy, zniknął w tłumie gości. Giulia popatrzyła za nim zmieszana i nie wiedziała, co

ma o tym wszystkim sędzić.

Następnego ranka Giulia pojawiła się punktualnie w kościele Świętej Marii Magdaleny. W głowie myśli kłębiły się jej jak pojmane ptaki w klatce. W ogóle nie mogła się skupić na kazaniu don Giantola. Raz za razem rozglądała się po kościele, usiłując bezskutecznie wypatrzeć wśród wiernych Paola Gonzagę. Gdy ludzie po mszy zaczęli wychodzić z kościoła, doszła do wniosku, że nie przyszedł. Ale nagle u jej boku stanął jakiś mężczyzna w znoszonym kitlu. Dopiero gdy bezczelnie wyszczerzył do niej zęby, poznała w nim młodego szlachcica.

– Widzę, że przyszedliście punktualnie – przywitał ją i dał jej znak, żeby stanęła w cieniu kolumny.

Giulia kątem oka zauważyła spojrzenia, jakie wymienił z młodym chłopakiem w pstrokatym kaftanie i ściśle przylegających do ud spodniach. Młodzieniec ten oparł się o kolumnę w taki sposób, że miał na oku całą nawę kościelną i w każdej chwili mógł ostrzec Paola Gonzagę.

Dla Paola kąć, który sam wybrał, wciąż nie był wystarczająco bezpieczny. Kazał więc Giulii pójść za nim i zszedł schodami do krypty. Było tam tak ciemno, że Giulia widziała tylko zarys jego sylwetki. Serce waliło jej jak młotem. Czy w tych zimnych, wilgotnych murach straci zaraz swoją niewinność? Próbowała wziąć się w garść, żeby nie robić przedstawienia przed tym mężczyzną. Poza tym była w pewnym sensie zadowolona z panującej w tym miejscu ciemności. Jeśli kuzyn księcia Wilhelm zmusi ją tutaj, żeby mu się oddała, to przynajmniej nie będzie widziała wyrazu triumfu na jego twarzy.

Ku jej zdziwieniu Paolo nie zbliżył się do niej ani jej nie dotknął, tylko chodził zdenerwowany w tę i w tę.

– Potrzebuję waszej pomocy, Casamonte – odezwał się w końcu.

– Jeśli to możliwe, chętnie pomogę.

A więc zapewne nadal uważa ją za kastrata. Giulia musiała się powstrzymać, żeby nie odetchnąć zbyt głośno. W jego głosie brzmiał jednak ton, który się jej nie spodobał.

– Pamiętacie dzień, kiedy się poznaliśmy? – zapytał Gonzaga. Gdy cicho potwierdziła, kontynuował: – Miałem wtedy randkę z piękną kobietą. Jej mąż jednak się o tym dowiedział i napuścił na mnie kilku zabijaków. Mogę mówić o szczęściu, że wyszedłem z tego cało. Teraz ten człowiek musi mi za to zapłacić.

– Jak mogę wam w tym pomóc? Stoję tu przed wami zupełnie bezradny pod tym względem.

– Od was zależy, czy moja zemsta się powiedzie – odpowiedział chłodno Paolo Gonzaga. – Mojemu wrogowi nie układa się teraz z żoną. Baldassare Pollai na pewno zrobi wszystko, żeby ułagodzić swoją małżonkę. Poradziłem jednemu z jego znajomych, żeby was zatrudnił i zorganizował dla niej prywatny koncert. Na ile znam Pollaiego, złapie się na przynętę i zapyta was, czy się zgodzicie. Oczywiście, że się zgodzicie. Ale nalegajcie, żeby poza wami i Leticją Pollai nikt nie mógł być przy tym obecny, nawet służba.

Giulia nic już z tego nie rozumiała.

– Wydaje mi się, że to mało przydatny środek do dokonania zemsty.

Gonzaga zaśmiał się w taki sposób, że dreszcz przeszedł jej po plecach. Jego słowa wzbudziły w niej przerażenie.

– Pójdę do Leticii Pollai zamiast was i ją uwiodę. Dopiero jak przyprawię rogi jej mężowi, znów będę spać spokojnie.

– Ale to będzie cudzołóstwo! – zawołała zgorziona Giulia.

Ksiądz w Saletto nazywał taki postępek grzechem śmiertelnym, za który idzie się do piekła.

Paolo Gonzaga ją wyśmiał.

– O co wam chodzi? To nie wy popełnicie ten grzech.

– Ale to i tak niemożliwe. Jesteście prawie o głowę wyżsi ode mnie i nie dysponujecie moim głosem. Nawet jeśli znajdziecie się z tą kobietą sam na sam, to ludzie w domu Pollaiego będą oczekiwać, że usłyszą śpiew.

– Macie rację – przyznał w zamyśleniu Gonzaga, ale natychmiast znalazł na to radę. – Udacie się tam ze mną i zaśpiewacie zamiast mnie. Przedstawię was ludziom Pollaiego jako mojego pazia.

– Nie zrobię tego. Nie chcę grzeszyć przeciwko Bożym przykazaniom.

Giulia była przerażona taką możliwością.

Gonzaga chwycił ją brutalnie za ramię, aż jęknęła z bólu.

– Zrobisz, czego od ciebie żądam, ty żałosna kreaturo. To mnie zawdzięczasz, że wysoko urodzeni mieszkańcy Mantui zwrócili na ciebie uwagę i wzywają cię na przyjęcia. Uwierz mi, wystarczy, że powiem słowo, a wszystkie domy znów będą dla ciebie zamknięte poza tym nędznym kościołem dla biedaków, w którym ledwo zarobiłbyś swym śpiewem na chleb z masłem. Zrozumiałeś?

Potrząsnął Giulią jak snopkiem słomy i w końcu odepchnął ją od siebie. Potknęła się o podnózek i upadła na podłogę. Paolo Gonzaga stanął nad nią jak olbrzym i wyszczerzył zęby, które lśniły bielą w ciemnościach.

– Mam nadzieję, że zrozumiałeś ostrzeżenie. Tu, w Mantui, nikt nie płacze po obcym przybłędzie, który postanowił się wykapać w Mincio i nie wypłynął.

Groźba była bardziej niż jednoznaczna. Najbardziej przerażające wydawało się jednak to, że Gonzaga mówił poważnie. Albo Giulia mu pomoże, albo źle skończy, a być może nawet straci życie. Rozdygotana podniosła się i przeklęła godzinę, w której ona i jej ojciec przybyli do Mantui. Najlepiej by było natychmiast opuścić miasto i szukać środków do życia gdzie indziej. W głębi duszy wiedziała jednak, że ojciec się na to nie zgodzi. Tu, w Mantui, pieniądze sypały im się do rąk. Ojciec nie odstąpi tego źródła mamony, póki ono nie wyschnie. Gdzie indziej musieliby od nowa torować sobie drogę do lepszego towarzystwa.

Nie, nie mogła się spodziewać, że ojciec jej pomoże. Powie to samo co Gonzaga. Że to nie ona popełni cudzołóstwo. Poza tym będzie zdania, że zawsze lepiej jest podczepić się pod bogatego i wpływowego protektora. A nie znajdą lepszego od kuzyna księcia. Niezależnie, z jakiego punktu widzenia próbowała przeanalizować swoją sytuację, wychodziło na to, że jest zdana na łaskę i niełaskę Paola Gonzagi. Z goryczą w sercu wstała na nogi i potarła sobie obolały pośladek.

Paolo Gonzaga poczekał, aż się podniesie, i popchnął ją w kierunku schodów. Gdy znowu znaleźli się na górze, wskazał na chłopca, który stał w pobliżu wejścia do krypty i udawał, że jest głęboko zatopiony w modlitwie.

– Przekażesz mi informację przez Gaetana. Ale nie próbuj mnie oszukać. Nie tacy jak ty już próbowali i źle się to dla nich skończyło.

Co powiedziawszy, zostawił ją w kościele, a sam wyszedł.

Gaetano minął ją, nie zwracając na nią pozornie uwagi, a gdy przekroczył próg kościoła, wsadził sobie ręce do kieszeni spodni. Giulia w rozpacz poprosiła Przenajświętszą Panienkę, żeby pokazała

jej wyjście z tej sytuacji, ale w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że będzie musiała ulec żądaniom Paola Gonzagi.

Gdy wróciła do oberży, ojciec, cały w skowronkach, poinformował ją, że wielce szacowny złotnik Baldassare Pollai pragnie, aby sławny kastrat zaśpiewał dla jego pogrążonej w melancholii żony. Na tę wieść Giulia poczuła się jeszcze bardziej przybita.

– Zaoferował nam gażę – mówił z triumfem Girolamo Casamonte – która przewyższa wszystko, co do tej pory zarobiłaś w Mantui.

Giulia oddychała z trudem.

– Kiedy mam zaśpiewać dla pani Pollai?

– Ustaliliśmy wspólnie, że w czwartek. Na ten dzień nie masz innych planów – powiedział ojciec, nieco zdziwiony tym, że córka nie wykazuje entuzjazmu. – Pollai może i nie jest szlachcicem, ale za to nadwornym złotnikiem księcia Wilhelma i bardzo bogatym człowiekiem. Na pewno wprowadzi nas do domów majątnych mieszczan, tak że przez następne tygodnie nie będziesz narzekać na brak angaży.

Giulia machnęła ociężale ręką.

– Czuję się nieco przemęczona. Nie jest łatwo występować każdego dnia. Poza tym brakuje mi czasu na próby.

Casamonte uznał, że jego córka ostatnimi czasy zrobiła się nieco zbyt krnąbrna, ale nie wiedział, co z tym począć. Gdyby jej przyłożył, to zaczęłyby się jeszcze bardziej buntować i faktycznie odwołałaby występy.

– Kiedyś wreszcie odpoczniesz. Poczekaj, aż twoja sława się umocni. Wtedy, uwierz mi, będziesz mogła bez uszczerbku odrzucać niektóre propozycje, żeby zrobić sobie czasem wolne – obiecał jej bez przekonania w głosie i zostawił ją, a sam wrócił do izby jadalnej, gdzie czekało na niego jeszcze pół dzbanka najlepszego wina, jakie serwowano pod Złotą Owcą.

Giulia zobaczyła przez okno, że przed zajazdem spaceruje w tę i w tę Gaetano. W przypływie gniewu chciała mu zrzucić na głowę dzban z wodą, który miała akurat pod ręką. Ale była świadoma, że nic w ten sposób nie zyska. Najlepiej załatwić nieprzyjemne rzeczy od razu, dlatego wyszła z domu i poczekała, aż Gaetano podejdzie bliżej.

– Możesz powiedzieć swemu panu, że Pollai zarezerwował mnie na czwartek – szepnęła, gdy ją mijał.

Gaetano nie dał poznać po sobie, czy ją zrozumiał. Ale chyba tak było, bo odszedł, nie oglądając się za siebie ani razu.

Następne dni były dla Giulii prawdziwym koszmarem. Paolo Gonzaga już nazajutrz poinstruował ją za pośrednictwem Gaetana, jakie warunki ma postawić Pollaiemu. Pomyślał przy tym o wszystkim. Spotkanie miało się odbyć w położonym na uboczu pawilonie w ogrodzie przy wiejskim domu Pollaiego i nikt poza żoną złotnika nie mógł być przy tym obecny. Giulia zastanawiała się tylko, czy jej dręczycielowi faktycznie uda się dostać w to miejsce w charakterze wykastrowanego śpiewaka. Pollai znał go osobiście i chyba musiałaby go dopaść nagła ślepotą, żeby nie rozpoznać rywala. Z jednej strony miała nadzieję, że oszustwo zostanie zdemaskowane. Ale jednocześnie bała się tego wszystkiego, co zrobiliby z nią ludzie złotnika, gdyby wyszło na jaw, że pomogła Paolowi Gonzadze zrealizować jego perfidny plan.

Gdy Assumpta zapowiedziała jej przybycie lektyki, która miała ją zanieść do willi Pollaiego, Giulia mocniej otuliła się płaszczem, żeby służąca nie zobaczyła, że dzisiaj nie ma na sobie wytwornego stroju uszytego specjalnie z myślą o występach, tylko swój stary kaftan podróżny, w którym przybyła do Mantui. Szybko zbiegła po schodach i opuściła Złotą Owcę tylnymi drzwiami.

– To wy jesteście *signore* Casamonte? – zapytał jeden z czterech wysokich i dobrze zbudowanych tragarzy, który w odróżnieniu od pozostałych potrafił się staranniej wysławiać.

Gdy Giulia skinęła głową, otworzył drzwiczki i wpuścił ją do środka. W świetle lampy, którą niósł mały chłopiec, aby oświetlać tragarzom drogę, zobaczyła, że w lektyce siedzi już Paolo. Na jego polecenie napisała Pollaiemu, że nie musi po nią przysyłać transportu, ponieważ miała dotrzeć do jego domu na własną rękę.

Niechętnie musiała przyznać, że Gonzaga starannie przygotował się do dzisiejszego wieczoru. Założył odzienie, które bardzo przypominało strój, jaki zwykle nosiła. Twarz upudrował tak mocno na białą, że wyglądał, jakby miał na sobie maskę. Jego ręce sprawiały wrażenie dziwnie wiotkich, a biodra i brzuch miał wypchane, tak więc faktycznie wyglądał jak poczwara. W tym przebraniu nie rozpoznaliby go nawet najbliżsi przyjaciele.

– I co? Zadowolony? – zapytał drwiąco, gdy skończyła mu się przyglądać i odwróciła wzrok.

– Wystroiliście się całkiem dobrze. Nie wiem tylko, czy swoją maskaradą zdołacie oszukać Pollaiego. Zazdrośni małżonkowie mają często bystre spojrzenie – odpowiedziała Giulia, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiały emocje.

– Mówisz, jakbyś dysponował wieloletnim doświadczeniem w tego typu sprawach. A przecież pewnie skończyłeś dopiero osiemnaście lat.

Giulia co prawda niedawno skończyła szesnaście lat, ale nie zamierzała mu tego mówić i dlatego zamilkła. Tymczasem tragarze unieśli lektykę i ruszyli ulicą swoim specyficznym, równym kłusem, dzięki czemu pasażerowie nie byli narażeni na wstrząsy. Paolo Gonzaga przybrał zadowoloną minę mężczyzny, który nie zostawia nic przypadkowi.

– Baldassarego Pollaiego w ogóle nie będzie dzisiaj w domu – powiedział. – Pewien mój przyjaciel zaprosił go do siebie. Pollai z pewnością mu nie odmówi, bo już od miesiący gorąco się stara ubić z moim przyjacielem jakieś interesy.

– Jesteście prawdziwym diabłem – wymknęło się Giulii.

– Bardzo dziękuję za komplement.

Giulia nie wiedziała, czy Paolo mówi poważnie, czy tylko z niej drwi. To były ostatnie słowa, jakie między nimi padły, bo właśnie dotarli do wiejskiego domu Pollaiego, odległego od miasta o niecałą milę. Kilku służących wybiegło im naprzeciw, przyświecając lampami, a ochmistrz osobiście otworzył drzwiczki.

– *Buon giorno, messer Casamonte*. Witajcie. Mamy nadzieję, że zdołacie ukoić nerwy pani Leticii. Jest bardzo zdenerwowana i dopiero co oświadczyła, że nie chce was widzieć na oczy.

– Żadna kobieta nie jest w stanie oprzeć się mojemu urokowi – odpowiedział Paolo Gonzaga nienaturalnie wysokim głosem.

W ślad za nim z lektyki wysiadła Giulia. Wyglądała jak kupka nieszczęścia. „Najwidoczniej długo ćwiczył mówienie falsetem” – pomyślała, bo następne zdania również bez problemu wypowiedział takim samym tonem.

– Oto mój towarzysz i paż – przedstawił ją Gonzaga. – Najszlachetniejsze części jego ciała również zostały poświęcone sztuce, ale niestety na próżno, bo później okazało się, że jego głos nie spełni oczekiwań, jakie w nim pokładano. Teraz chłopiec jest u mnie na służbie.

Giulia poczuła się oburzona jego bezczelnością i brakiem wstydu. Tymczasem on dał wolne tragarzom, każąc im wrócić godzinę po północy. Potem zwrócił się do ochmistrza i zażądał, żeby zaprowadzono go do chorej kobiety.

– Jesteście zatem pewni, że zdołacie uleczyć z melancholii małżonkę mojego pana? – zapytał ochmistrz z nadzieją, ale zarazem też pełen zwątpienia.

– Jeśli ja tego nie uczynię, to nikt inny jej nie wyleczy – oświadczył butnie Paolo Gonzaga i pozwolił się zaprowadzić do budynku.

Teraz, gdy Giulia widziała go w świetle lamp, wyglądał jeszcze bardziej groteskowo. Nawet jego rodzona matka by go nie poznała. W każdym razie służba Pollaiego, która widziała go co najwyżej z daleka, nie mogła przejrzeć maskarady. Tak więc Giulii pozostała jedynie nadzieja, że Leticia Pollai odmówi spotkania z kastratem. W pierwszej chwili faktycznie się na to zanosilo, bo gdy zaprowadzono ich do jej komnat, dama odwróciła się do nich plecami. Ochmistrz nie przejął się humorem swojej pani, lecz zamknął drzwi i zostawił ją z gośćmi sam na sam. Tym samym dał Paolowi Gonzadze sposobność, na którą ten tylko czekał.

– Wasza uroda oślepia mnie, szlachetna Leticio. Za pierwszym razem nie dane mi było się nią nacieszyć. Dzisiaj nikt mi w tym nie przeszkodzi – powiedział wprawdzie cicho, ale normalnym głosem.

Leticia Pollai stanęła przodem do nich i popatrzyła z irytacją.

– Paolo? Czy to wy?

Natychmiast przyłożył palec wskazujący do ust, żeby milczała.

– Powinniśmy udać się teraz do pawilonu. – Zabrzmiało to prawie jak rozkaz.

Leticia Pollai wstała natychmiast, ale potem spojrzała niepewnie na Giulie.

– Kto to jest?

– To prawdziwy kastrat Casamonte. Będzie nas zabawiać swoim śpiewem, a jednocześnie chronić. Gdyby przez cały wieczór z pawilonu nie dobiegały żadne inne odgłosy prócz tych, które powstają podczas uprawiania miłości, to służba mogłaby nabrać podejrzeń. Casamonte będzie poza tym stał na czatach i ostrzeże nas, gdyby ktoś chciał nas podejrzeć.

– Jesteście tacy mądrzy, Paolo – powiedziała Leticia z podziwem.

Giulia najchętniej wymierzyłaby tej kobiecie siarczysty policzek. Ale powściągnęła emocje i na znak Paola wzięła lampę, żeby oświetlać drogę do pawilonu. Idąc tam, dostrzegli wiele zaciekawionych twarzy, ale w pobliżu niewielkiego budynku nikt się nie kręcił.

Paolo wpuścił do środka Julię i żonę Pollaiego, po czym zamknął drzwi na klucz. Giulia chciała już zgasić lampę, ale ten szybkim ruchem ręki ją powstrzymał.

– Potrzebujemy światła, bo jak się potem ubierzemy? Poza tym chcę się nacieszyć urodą Leticii.

Dama zachichotała na te słowa i stanęła do niego tyłem, żeby mógł rozpiąć haftki jej sukni. Giulia pragnęła znaleźć się w tej chwili na drugim końcu świata. Postawiła lampę na gzymsie i próbowała nie patrzeć na umizgującą się do siebie parę. Zamiast tego oglądała wnętrze pawilonu, który został urządzony z pozbawioną smaku przesadą.

Posągi przedstawiające faunów i nimfy były kompletnie pokryte złotem, jakby Baldassare Pollai chciał w ten sposób przypomnieć swoim gościom, jakim rzemiosłem się zajmuje. Okna ozdobiono złotymi arabeskami i różami, a kopułę budowli wieńczyło malowidło, na którym jeden z trzech mędrców ze Wschodu przekazywał Dzieciątku Jezus swój dar, oczywiście złoto. Twarz mędrca została przedstawiona bardzo realistycznie i wyglądała tak szpetnie, że Giulia doszła do wniosku, iż próżny złotnik kazał namalować samego siebie. Zszokowało ją umieszczenie obok siebie motywów chrześcijańskich i nagich pogańskich stworów.

– Nie gap się tak, tylko śpiewaj – burknął na nią Paolo.

Giulia drgnęła i spojrzała na niego i Leticję Pollai. Chyba dość długo oglądała pawilon, bo tych dwoje stało przed nią kompletnie nagich. Leticia była nieco niższa od niej, miała cienką talię, pełne piersi, a twarz bardziej krągłą niż pociągłą, ale symetryczną i całkiem ładną. Rozpuszczone czarne włosy opadały jej na plecy. Patrzyła na Paola wielkimi ciemnymi oczami z takim uwielbieniem, jakby był jej bożyszczem. Prawą dłońią przesunęła po jego muskularnej nieowłosionej piersi, płaskim brzuchu, po czym zatrzymała ją na jego napiętym członku. Gdy Giulia uświadomiła sobie, że przypatruje się ich pieśczoitom, odwróciła się przestraszona i zaczęła śpiewać. Mimowolnie zaintonowała religijny chorał.

Paolo się roześmiał.

– Brawo, Casamonte, jesteście jeszcze bardziej sprytni, niż myślałem. Nikt nie pomyśli, że przy takich pieśniach mogą tu odchodzić całkiem inne rzeczy.

Giulia najchętniej przerwałaby chorał i powiedziała temu lubieżnikowi, co o nim sądzi. Ale za bardzo się bała, że wyjdzie na jaw, co się tu dzieje. Tak więc próbowała skupić się wyłącznie na śpiewie, by nie dostrzegać nic z otoczenia. Zwykle udawało jej się to dość szybko. Ale teraz podniecone sapanie Paola i cichy, drżący z pożądania głos kobiety sparaliżowały jej siłę woli i chcąc nie chcąc, była świadkiem ich grzechu.

Giulia jeszcze nigdy nie obserwowała ludzi podczas uprawiania miłości, ale nie była całkiem nieświadoma. W małym, ciasnym domku w Saletto słyszała kilka razy rodziców podczas spółkowania – nie dało się tego uniknąć. A raz zaskoczyła nawet Assumptę i Beppa w przybudówce, gdy leżeli mocno wtuleni jedno w drugie; przestraszyła się wtedy i uciekła.

Paolo nie uprawiał z Leticją Pollai jednak łagodnej i czulej miłości, lecz chędożył ją ostro i brutalnie. Giulia wpatrywała się w ścianę, gdzie płonąca lampa rzucała powykrzywiane cienie, i nie czuła nic poza odrazą. W tym momencie była zadowolona, że odgrywa istotę pozbawioną płci. Leticia Pollai doznawała zupełnie innych uczuć, bo jęczała i wydawała z siebie co i rusz krótkie, namiętne okrzyki.

Giulia przestraszyła się, że ktoś mógłby usłyszeć tych dwoje, zaśpiewała więc głośniej, modląc się przy tym w duchu do Dziewicy Maryi, żeby wszystko jak najszybciej się skończyło. W końcu Paolo jęknął namiętnie ostatni raz i opadł na kobietę. Giulia myślała, że już po wszystkim. Ale Paolo chciał najwidoczniej dopełnić swej zemsty na złotniku, bo zażądał od Leticii, żeby oddała mu się w sposób całkiem inny niż małżonkowi.

Chociaż Giulia stała odwrócona do nich plecami, to wszechobecne cienie pokazały jej, że oto kobieta oddaje mu do dyspozycji usta, a on czerpie rozkosz w taki sposób, jak czynią to ze sobą mężczyźni nazywani przez kapłanów sodomitami. Giulia wiedziała, że taki rodzaj miłości jest grzechem śmiertelnym, ale nie miała odwagi zamknąć oczu, bo się lękała, że ktoś podejdzie do pawilonu, a ona tego nie zauważy.

– Jeśli chcesz, usta Leticii obsłużą także ciebie. Może doświadczysz dzięki temu przyjemności – zaproponował jej na koniec Paolo i kiwnął zachęcająco.

Giulia gwałtownie się otrząsnęła, czując do niego obrzydzenie. Po spojrzeniu kobiety zorientowała się, że Leticia byłaby do tego gotowa. Giulia z trudem powściągnęła złość, zacisnęła zęby i pokręciła odmownie głową.

– Najwidoczniej wycięto ci szczególnie wiele, albowiem znam kastratów, którzy nie omieszkaliby skorzystać z takiej okazji – powiedział Paolo, uśmiechając się współczująco, a zarazem złośliwie.

Giulia się przeraziła. Najwidoczniej jej wiedza o kastratach była mniejsza, niż sądziła. Poczula jeszcze większy lęk przed zdemaskowaniem. Nie wiedząc, co robić, zaintonowała kolejną pobożną pieśń. Niebawem było po wszystkim. Paolo Gonzaga wstał wielce zadowolony i zaczął się ubierać. Leticia Pollai nadal leżała z zamkniętymi oczami i nieobecny wyrazem twarzy. Dał jej klapsa w nagi pośladek.

– Wstawaj i się ubieraj. Czy może chcesz, żeby służący twojego męża wybałuszyli oczy na twój widok? Czyżbym ci jeszcze nie dość dogodził?

Przestraszona Leticia Pollai poderwała się na nogi.

– Chcesz mnie już opuścić?

– Co znaczy: chcesz? Muszę już iść. Czy może mam czekać, by się dowiedzieć, co powie twój mąż, gdy zostanie nas w takiej intymnej sytuacji?

Głos Paola brzmiał teraz jak zadowolone mruczenie tłustego, starego kocura. U żony Pollaiego uzyskał dzisiaj więcej, niż to sobie wyobrażał kilka tygodni temu. Od tego dnia złotnik będzie nosił niewidoczne poroże, tak duże, że nie zdoła przejść przez drzwi. Teraz należało zadbać o własne bezpieczeństwo. Paolo musiał jak najszybciej opuścić to miejsce, bo Pollai mógł w każdej chwili wrócić do domu. Istniało niebezpieczeństwo, że sam zechce zobaczyć i wysłuchać kastrata. Kazał więc Giulii przerwać śpiew i pomóc przy zakładaniu odzienia.

Całkiem naga Leticia Pollai przyłgnęła do kochanka.

– Ale niedługo znowu wrócisz, dobrze?

Paolo Gonzaga obiecał jej wszystko, co chciała, bo wiedział, że kobieta, która uważa się za porzuconą, zapomina o wszelkiej ostrożności. Jeśli teraz zacznie krzyczeć i szaleć, służący jej męża przybiegną tu natychmiast, zanim zdąży uciec. Pocałował ją czule, pogładził łagodnie po plecach i pomógł jej się ubrać.

Gdy już był zadowolony ze swego i jej wyglądu, pocałował ją jeszcze raz i wskazał na taśmę z dzwonkiem obok łóżka.

– Zawołajcie teraz swoją pokojówkę i powiedzcie jej, że Casamonte skończył na dziś swój

występ.

Leticia usłuchała, ale przeszła przez pokój jak lunatyczka.

Gdyby Paolo Gonzaga był tylko służącym albo prostym rzemieślnikiem, ta kobieta nawet by na niego nie spojrzała – Giulia czuła to instynktownie. Leticia Pollai zachowywała się jak klacz w rui, która chce być pokryta przez jak najbardziej wartościowego ogiera. Miłość i wierność w małżeństwie, jak tego nauczał Kościół, nie miały dla niej żadnego znaczenia. Giulie mierzyła ta nikkczemność i była zadowolona, gdy przyszli pokojówka oraz lokaj z lampą.

Nastąpiło krótkie pożegnanie, któremu towarzyszył lekki dreszczyk strachu. Gdy brama posiadłości zamknęła się za Giulią i Paolem Gonzagą, oboje odetchnęli z ulgą. Tragarze lektyki już na nich czekali, żeby zanieść ich do miasta. Giulia była zadowolona, że Paolo Gonzaga ze zmęczenia nie ma nastroju na rozmowę. Dał strażnikom przy bramie miejskiej kilka monet w ramach opłaty za nocny powrót do Mantui, a tragarzom kazał zanieść siebie i Giulie do Złotej Owcy. Na miejscu, zanim dziewczyna zdążyła wyjść z lektyki, powstrzymał ją ostrym słowem i podał jej sakiewkę:

– Przyjmij to w ramach podziękowania. Pomogłeś mi nie tylko się zemścić, ale też spędzić namiętny wieczór.

Giulia popatrzyła na sakiewkę, jakby trzymała w dłoni jadowitego skorpiona. Nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Paolo Gonzaga kazał jej odejść.

– To był męczący wieczór i chcę już wracać do domu. Później mi podziękujesz.

Zmieszana Giulia usłuchała i patrzyła w ślad za oddalającą się lektyką, póki kroki tragarzy nie ucichły. Potem podeszła ze zwieszonymi ramionami do zajazdu i zapukała do drzwi. Otworzył jej chłopiec stajenny. Cały dom był pogrążony w głębokim śnie, nikt więc jej nie zatrzymał i nie zadawał pytań. Z ulgą zamknęła się w pokoju, szybko ściągnęła ubranie i położyła się do łóżka. Ale pierwszy upragniony sen przyszedł do niej dopiero nad ranem.

Obudziła się późno, koło południa, gdy na ulicy wzmógł się hałas. Trudno jej było otrząsnąć się z pogmatwanego snu. Gdy wstała, jej spojrzenie padło na sakiewkę otrzymaną od Paola Gonzagi. Pieniądze wydały jej się srebrnikami Judasza. Dostała je za pomoc przy popełnianiu śmiertelnego grzechu. Zastanawiała się, czy powinna pójść do kościoła i wypowiedzieć się z tego wszystkiego. Bała się jednak. Bo chociaż czuła, że jest niewinna, to każdy ksiądz uznałby, że brała udział w bezceństwie i jest pomocnicą diabła. Dlatego postanowiła cicho pomodlić się za samą siebie i poprosić Maryję Dziewicę o wybaczenie.

Z tym postanowieniem zeszła do jadalni na śniadanie. Ojciec siedział już na wyściełanym krześle i pił wino. Gdy zobaczył córkę, zerwał się na nogi, objął ją i pokazał jej kilka złotych dukatów, które leżały na stole.

– Synu, to podziękowanie *messer* Pollaiego za to, że swoim śpiewem wyleczyłeś jego żonę z melancholii. Dał dwa razy więcej, niż się umawialiśmy, i obiecał, że zarekomenduje nas swoim przyjaciołom.

– Biedny, oszukiwany mąż – szepnęła Giulia ze łzami w oczach.

W tym momencie przypomniało jej się, że chce prosić Maryję Dziewicę o wybaczenie, i wzięła pieniądze ze stołu. Chciała je wrzucić do skarbonki na ofiary w kościele Świętej Marii Magdaleny wraz z kwotą, którą dał jej Paolo Gonzaga.

– Co to ma znaczyć? – zapytał zaskoczony ojciec.

Giulia nie wiedziała, co powiedzieć. Ale musiała mu wyjawic prawdę, skoro zamierzała oddać pieniądze na biednych. Poprosiła go, żeby usiadł obok niej, i wyznała, jaka kuracja wyleczyła żonę

Pollaiego. Usłyszawszy to, ojciec niespodziewanie wybuchł gromkim śmiechem, co szczerze ją zdziwiło. Poinformowała go, że nie chce zatrzymać tych grzesznych pieniędzy, tylko zanieś je do kościoła don Giantola.

W tym momencie jego śmiech gwałtownie zamarł. Popatrzył na nią tak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Zwariowałaś. Nie zamierzam pozwolić, żebyś wyrzuciła w błoto tyle pieniędzy. Oddaj to.

Zabrał jej złote monety i sakiewkę Gonzagi, schował wszystko do kieszeni. Gdy zobaczył zgrozę na twarzy córki, dał jej dwa barbony.

– To chyba wystarczy, żeby ulżyć twemu sumieniu. Żal mi tych pieniędzy, ale nie będę aż taki skąpy.

Giulia spojrzała na jego zadowolone z siebie, lekko nabrzmiałe oblicze, które nagle wydało jej się zupełnie obce, i zrozumiała, że w chwili, kiedy opuścili Saletto, utraciła nie tylko dom i ojczyste strony. Nie miała już także ojca.

CZĘŚĆ TRZECIA

Wzloty i upadki

Giulia przyjrzała się ojcu dokładniej i uznała, że dwa lata dostatniego życia w Mantui pozostawiły na nim głębokie ślady. Znacznie przybrał na wadze, a jego kiedyś raczej szczupła twarz miała teraz wydęte policzki jak u chomika i worki pod oczami. Niczym zamożny kupiec nosił po dwa złote pierścienie na palcach osłabionych rąk. Jego granatowy kaftan upstrzony był złotymi i srebrnymi haftami; wystawała spod niego czerwona podszewka. Także żółte spodnie, które śmiesznie opinały jego otłuszczone uda, zostały uszyte z najlepszego materiału. W kroku nosił tak przesadnie duży mieszek, jakby posiadał przyrodzenie ogiera. Giulia ponownie uświadomiła sobie, że ten człowiek – którego kiedyś kochała i czciła – stał się jej zupełnie obcy. Najwidoczniej żywił wobec córki podobne uczucia, bo nie troszczył się już o nią ani o jej sprawy, inkasował jedynie sakiewki, które kładła przed nim na stole prawie każdego ranka. Dużo czasu minęło też od chwili, kiedy po raz ostatni towarzyszył jej w drodze na koncert. Teraz to zadanie przejął Beppo. Wierny stary służący musiał zamienić chłopską sukmanę na wytworną liberię, w której czuł się nieswojo. Ale Beppo i jego żona Assumpta zrobiliby dla Giulii wszystko. Dziewczyna nawet nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez tej pary.

Girolamo Casamonte, który już dawno temu zapomniał o swym prawdziwym nazwisku Fassi, zaniepokoił się, czując na sobie pogardliwy wzrok córki.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał marudnym głosem małego chłopca, któremu przeszkadzono podczas ulubionej zabawy.

W jego przypadku ową zabawą było picie wina; stało przed nim na stole w wielkim cynowym dzbanie i czekało, aż naleje je do niewielkiego pucharu, który trzymał właśnie w dłoni.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Głos Giulii zabrzmiał ostrzej, niż chciała, ale nie żałowała tego.

– Czego chcesz? Znowu kilka moniaków, żeby wrzucić je don Giantolemu do skarbonki na ofiary? – jęknął, sięgnął pod kaftan i wyciągnął stamtąd kiesę.

Giulia najchętniej by go spoliczkowała.

– Nie chodzi mi o parę groszy, ale o naszą przyszłość.

– Jak to? Przecież wiecie się nam całkiem dobrze.

Casamonte nie rozumiał, czemu jego córka się martwi. Przecież prawie każdego wieczora zapraszano ją na przyjęcie albo koncert i wracała z pełną sakwą. Dlatego machnął tylko ręką.

– Widzisz wszystko w nazbyt czarnych barwach – oświadczył jej.

Giulia czuła się nieskończenie bezradna wobec ojca, ale chciała przynajmniej spróbować wytłumaczyć mu to i owo.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy tylko cztery razy występowałam w pańskich domach. Przed trzema miesiącami tych występów było dziewięć, a miesiąc wcześniej aż jedenaście. Nawet w najmniejszym stopniu nie interesuje cię, czy sakiewki, które ci przynoszę, mają na sobie herb szlachecki czy godło rzemieślnicze. Ale ja widzę wyraźnie, że mój czas w Mantui się kończy. Przed rokiem cieszyłam się tak wielkim wzięciem, że musiałam odrzucać zaproszenia do domów zamożnych kupców i mistrzów rzemieślniczych. Dzisiaj, gdyby nie zainteresowanie mieszczan, musielibyśmy zaciskać pasa.

Giulia spojrzała błagalnie na ojca, ale on się nie ruszył. Zachowywał się tak, jakby to wszystko go nie obchodziło. Jakby nie chciał przejrzeć na oczy i dostrzec, że szlachetnie urodzeni, przed którymi Giulia występowała na początku ich pobytu w Mantui, obecnie prawie całkowicie ją ignorowali i że była angażowana przede wszystkim przez ludzi pokroju złotnika Pollaiego.

Chociaż od wybryku Paola Gonzagi upłynęło wiele czasu, Giulie wciąż jeszcze bolało, że akurat oszukany Pollai otworzył jej drogę do swoich przyjaciół i towarzyszy z cechu. Pamiętała dokładnie, jak bała się w ciągu kilku tygodni po tym zdarzeniu. Gdyby Paolo pochwalił się komuś sukcesem, jaki odniósł u Leticii Pollai, prawdopodobnie źle by się to dla niej skończyło. Ale na jej szczęście niebawem z powodu innego ekscesu popadł w niełaskę u księcia Wilhelma i musiał pospiesznie opuścić Mantuę. Podobno zaciągnął się do hiszpańskiego wojska i służy jako oficer na Sycylii. Na myśl o nim przeszedł ją dreszcz. Nieświadomie potrząsnęła głową, co zirytowało jej ojca.

– Zobaczysz, wszystko znów będzie w porządku, moje dziecko. Przecież dostałaś upragnione zaproszenie od księcia. Będiesz mogła zaśpiewać na dworze i otrzymasz stanowisko nadwornego kastrata.

Wyraz jego twarzy świadczył, że słowa Giulii nie skłoniły go do refleksji.

– Takie zaproszenie dostało jeszcze dwóch innych, prawdziwych kastratów.

Giulia przypominała sobie ze zgrozą pierwsze spotkanie z Giacomem Bellonim, którego nazywano Niezrównanym. Kastrat był groteskową postacią: nie wyższy od niej samej, a przy tym tak otłuszczony, że jego szeroki zad sterczał z tyłu prawie poziomo. Najbardziej przerażały ją jego szeroko rozstawione, falujące piersi, które wypinał jakby na pokaz. Jego twarz też nie miała w sobie nic męskiego, lecz przypominała oblicze grubej kobiety. Początkowo w jej oczach Belloni wyglądał jak kreatura, którą stworzył jakiś chory umysł. Ale w chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszała jasny, doskonale wyszkolony głos kastrata, zapomniała o jego fizycznych niedociągnięciach i zaczęła odczuwać wobec niego najwyższy szacunek.

W kręgach miejscowej arystokracji to Belloni był teraz rozrywany i podziwiany. Drugi kastrat, Sebaldi, młodszy od ponadtrzydziestoletniego Belloniego, a starszy od niej, również był chętnie widzianym gościem w salonach arystokracji, chociaż Giulia uważała, że ma raczej przeciętny głos. Za to dysponował o wiele większym repertuarem niż ona, chociaż także i pod tym względem nie mógł się mierzyć z Bellonim.

Casamonte chrząknął i głośno odstawił dzban z winem na stół. Dopiero to sprawiło, że wróciła do rzeczywistości. Doszła do wniosku, że ojciec jest zadowolony z obecnej sytuacji i nie traktuje jej konkurentów poważnie.

Wzięła się pod boki.

– Ojczy, czy ty nie rozumiesz? Zostałam wprawdzie zaproszona na dwór, żeby wziąć udział w zawodach wokalnych, ale wygrać może tylko jeden kastrat, a na pewno nie będę to ja.

Na te słowa nieco się obruszył.

– Nie możesz tak mówić – zganił ją. – Twój głos nie ma sobie równych.

– Może mój głos, ale nie moje wykształcenie. Ileż to razy prosiłam cię o nowe nuty i pieśni? Nieraz moi słuchacze szeptali między sobą, że mam ograniczony repertuar.

Tym razem Giulia chciała przeforsować temat, który ją dręczył, chociaż ojciec wiał się jak węgorz. Spojrzał na nią z oburzeniem i powiedział:

– Przecież dopiero co w zeszłym miesiącu nabyłem dla ciebie nową kanconetę.

– Tak, od muzykanta z jarmarku, który komponuje gorzej od ciebie. – Giulii było wszystko jedno,

czy jej słowa ranią ojca, czy nie. – Jeśli zaśpiewam taką szmirę, to tylko przyspieszę mój upadek. Teraz mieszkańcy Mantui zachwycają się Bellonim. Sebaldi też zapowiedział, że zatrzyma się tu na dłużej. Wkrótce nikt nie będzie się mną interesować.

Girolamo Casamonte nie odezwał się na te słowa. Wyglądał, jakby jej nie słuchał. Ostentacyjnie bawił się kielichem. W związku z tym postanowiła wyłożyć kawę na ławę.

– Ojczy, już dawno temu powinienes był nawiązać znajomość z kompozytorami nadwornymi i zlecić im, by napisali dla mnie kilka utworów w guście księcia Wilhelma. Wtedy miałabym może jakieś szanse wygrać zawody z innymi kastratami.

Casamonte nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Wypił łyk wina, po czym zwrócił się do córki:

– Czemu miałabym wyrzucać ciężkie pieniądze na kompozytorów księcia, skoro po twoim zwycięstwie będą pracowali dla ciebie za darmo? Ach, dziecko, jesteś po prostu przewrażliwiona i masz tremę. Ale to całkiem normalne. Zobaczysz, jak staniesz przed księciem i zaśpiewasz, wszystko będzie w porządku.

Giulia zrozumiała, że i dzisiaj nie przebije muru z wina, samozadowolenia i egoizmu, jakim się otoczył. Może szybkie i bolesne zakończenie jej pobytu w Mantui ukróci jego arogancję i go przestraszy. Ale i pod tym względem miała wątpliwości. Na pewno winy za jej niepowodzenie nie będzie szukał u siebie, tylko u niej. A przecież robiła, co mogła. Nawet skomponowała sama kilka pieśni, żeby móc zaproponować słuchaczom coś nowego. Ale ponieważ ojciec nigdy nie przekazał jej tajników sztuki komponowania, rezultat nie był przekonujący. Utwory nadawały się co najwyżej na przyjęcie urodzinowe u żony krawca. Przed księciem nie mogła z czymś takim wystąpić.

Z gniewu miała ochotę wytrącić ojcu puchar z dłoni i powiedzieć mu szczerze, co o nim myśli. Ale przez cały ten czas, kiedy żyła przebrana za kastrata, jej drugą naturą stał się prawie kamienny spokój. Nauczyła się panować nad sobą zawsze i w każdej sytuacji. Dzięki tej umiejętności mogła się czuć bezpieczna i nie bać się, że zostanie zdemaskowana.

Zostawiła ojca bez słowa pożegnania i wróciła do swojego pokoju. Czas, który pozostał do wieczornego występu, poświęciła trenowaniu kilku trudnych fragmentów, ale była świadoma, że na chwilę obecną nie może konkurować z Giacometem Bellonim. Prawdopodobnie będzie musiała ustąpić pierwszeństwa także Sebaldiemu.

Gdy Giulia zbliżała się do Pałacu Książęcego, czuła, że serce wali jej jak oszalałe. Beppo też lękał się, jaki będzie wynik zawodów, bo szedł za nią z miną zbitego psa. Nawet dzisiaj, w ten ważny dzień, ojciec znów zawiódł Giulię. Oddawał się właśnie pod Złotą Owcą rozkoszom podniebienia, gdy tymczasem ona musiała stawić czoła dwóm konkurentom – kastratom, których książę wezwał, by stanęli wraz z nią do zawodów. Giulia w ogóle nie знаła muzycznych preferencji Wilhelma Gonzagi. Ojciec, który miał dość czasu, by zasięgnąć języka, całkiem zlekceważył tę sprawę.

Przy bramie stali strażnicy w zdobnych zbrojach, na głowie mieli hełmy z piórami. Zignorowali ich przybycie w sposób niemal obraźliwy. Za to z pałacu wyszedł im naprzeciw lokaj w strojnej liberii.

Giulia podała mu zaproszenie na zawody napisane na kunsztownym papierze czerpanym, na którym widniały trzy książęce pieczęcie.

– *Signore Casamonte* – bardziej stwierdził, niż zapytał lokaj.

Giulia potwierdziła kiwnięciem głowy, zastanawiając się, czy powinna się gniewać, że została zdegradowana z *messer Casamonte* z powrotem do zwykłego *signore*, potem jednak uśmiechnęła się w duchu rozbawiona własną próżnością. Jeśli będzie się przejmować takimi nieważnymi drobiazgami, może od razu wrócić do zajazdu. Niewykluczone, że czeka ją tu spotkanie z czterema aroganckimi śpiewakami nadwornymi, którzy próbowali zniechęcić ją do występów u Coelii Morri. Przez moment miała ochotę odejść, bo jeśli wygrałaby te zawody, co jest mało prawdopodobne, musiałaby potem stale współpracować z tymi czterema jegomościami, a to byłoby nader uciążliwym wyzwaniem. Ale trzeba było jakoś przetrwać dzisiejszą rywalizację, bo gdyby do niej nie przystąpiła, wywołałaby mały skandal, a potem nikt w Mantui więcej by jej nie zaangażował.

– Proszę za mną. – W głosie służącego zabrzmiała lekka niecierpliwość, ale zachowywał się uprzejmie.

Poprowadził ich wzdłuż frontonu potężnej budowli, do bocznego wejścia, gdzie przytrzymał im drzwi. Wnętrze pałacu było tak nieziemsko wytworne, że Giulia na ten widok po prostu oniemiała. Nieraz słyszała, z jakim przepychem urządzona jest książęca rezydencja, ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Nawet w części dla służby, przez którą właśnie kroczyła, ściany i sufity ozdobione były kunsztownymi malowidłami; wszędzie stały posągi przedstawiające pogańskich bohaterów i bogów oraz chrześcijańskich świętych. Wszystkie wyglądały jak żywe, jakby zły czar zamienił ludzi w kamień. Giulia była zdumiona, że wiele postaci przedstawiono nago, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Nawet kilku świętych, o których żywocie opowiadano dzieciom w Saletto. Jedynie symbole męczeństwa pozwalały ich odróżnić od pogańskich bożków.

Służący prowadził Giulię powolnym krokiem korytarzami i salami. Na koniec zatrzymał się przed błyszczącym od złota portalem. Wtedy podszedł do niej mężczyzna, bardziej przypominający dworzanina niż lokaja, i zażądał, żeby okazała zaproszenie. Rzucił na nie krótko okiem, po czym zaklaskał w dłonie. Oba skrzydła szerokich drzwi otworzyły się jakby same z siebie i odsłoniły Giulii widok na małe, ale urządzone z takim przepychem pomieszczenie, że aż zapierało dech w piersiach.

– Oto „komnata małżonków”, *Camera degli Sposi* – szepnął jej do ucha dotychczasowy przewodnik.

Giulia już od kilku ludzi słyszała o wspaniałości tego pomieszczenia, ale nie oczekiwała, że kiedykolwiek będzie mogła przekroczyć jego progi. Jej oczy dosłownie przyssały się do wspaniałych fresków, na których przedstawieni byli jak żywi książęta z rodu Gonzagów i członkowie ich rodzin. Przebywała w Mantui już na tyle długo, że potrafiła rozpoznać większość z przedstawionych władców. Dawniej Gonzagowie nie piastowali godności książęcej, lecz rządili Mantuą jako margrabiowie niemieckich cesarzy i często wchodzili w koligacje ze szlacheckimi rodami z terenów na północ od Alp. Giulia zwróciła uwagę na obraz, który przedstawiał margrabię Ludovica, jego małżonkę Barbarę z Brandenburgii, ich dzieci i dworzan, wśród których nie zabrakło nawet nadwornego karła służącego za błazna. Mimowolnie pomyślała, że obecny książę mimo szpecącego garbu skoligacił się z jeszcze wyższymi kręgami. Jego żoną była księżniczka Eleonora, córka cesarza Ferdynanda i siostra obecnie rządzącego cesarza Maksymiliana II. Ona i jej mąż nie byli chyba przedstawieni na żadnym obrazie.

Gdy rozglądała się za wizerunkiem księżniczki Eleonory, usłyszała pełne nagany chrząknięcie i dopiero w tym momencie zauważyła, że nie jest w pomieszczeniu sama. Przy węższej ścianie w głębokim wyściełanym fotelu siedział dość młody jeszcze mężczyzna w wytwornym ubraniu, cały w złocie i bieli, a na głowie miał beret z czerwonymi piórami czapli. Rękę trzymał opartą na poręczy i patrzył przed siebie zamyślonym wzrokiem. Chociaż Giulia widziała księcia Wilhelma tylko kilka razy z daleka, a mocno wystająca do przodu poręcz fotela tuszowała jego garb, rozpoznała go natychmiast. Jego małżonka była niestety nieobecna. Za to tuż za nim siedziała starsza dama, która miała na sobie ciemną, obszytą futerkiem pelerynkę, która chroniła ją przed wieczornym chłodem. Zapewne była to wdowa po jakimś arystokracie, sądząc po czarnym czepku i welonie w tym samym kolorze.

Nieco z boku za księciem stali trzej mężczyźni w mniej wytwornych ubraniach. Instrumenty muzyczne w ich rękach świadczyły, że są nadwornymi muzykami i kompozytorami Gonzagi. „To z nimi ojciec powinien był nawiązać znajomość, nawet jeśli kosztowałyby go to kilka dukatów” – pomyślała Giulia z goryczą. Mimowolnie powędrowała za wzrokiem trzech muzyków i po drugiej stronie pomieszczenia dojrzała dwóch swoich konkurentów.

Belloni także dzisiaj wyglądał jak karykatura człowieka. Jego twarz emanowała jednak łagodnym spokojem, który udzielał się chyba każdemu w jego otoczeniu. Zachowywał się jak osoba absolutnie świadoma swojej wartości i talentu. Nie popisywał się ubraniem; nosił skromny szary kaftan i szare spodnie. W rękach trzymał beret, który był utrzymany w tej samej barwie, podobnie jak zdobiące go pióro.

W przeciwieństwie do Belloniego drugi kastrat sprawiał wrażenie wulkanu tuż przed erupcją. Sebaldi na pierwszy rzut oka nie wyglądał na trzebieńca. Miał ostrą twarz, kształtne, szerokie ramiona, wąskie biodra i długie, cienkie nogi. Jego zielony kaftan i czerwone spodnie były skrojone przesadnie wąsko, a prowokująco wystający mieszek w kroku wyglądał w oczach Giulii po prostu śmiesznie. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że Sebaldi rozpaczliwie próbuje wyglądać jak normalny mężczyzna. Może był jednym z tych kastratów, o których Paolo Gonzaga twierdził, że odczuwają pewną przyjemność, obcując z kobietami. Na myśl o swym niedawnym ciemieżycielu spojrzała na księcia. Ale ten na szczęście mimo pokrewieństwa prawie nie był podobny do Paola.

Po raz drugi rozległo się chrząknięcie, które ją przestraszyło. Inny dworzanin, którego do tej pory

nie zauważyła, wystąpił do przodu i kiwnął na nią i na dwóch kastratów, żeby podeszli do niego.

– Jego Wysokość Wilhelm Gonzaga, książę Mantui i margrabia Montferratu, okazuje wam dzisiaj tę łaskę, że możecie przed nim zaśpiewać. Najlepszy z was otrzyma laur zwycięzcy i jako kastrat dołączy do chóru nadwornej kaplicy w Mantui. – Mężczyzna umilkł na moment, żeby jego słowa odniosły pożądany efekt, a potem zapytał: – Czy znane są wam reguły? – Chociaż Giulia i dwaj kastraci skinęli głową, dworzanin kontynuował przemowę: – Każdy z was wykona trzy utwory, których łączna długość będzie ograniczona przez tę klepsydrę.

Wskazał przy tym na mały stolik, który został właśnie wniesiony przez dwóch służących. Stała na nim klepsydra trzymana przez kunsztownie przedstawionego złotego anioła.

– Kto zechce, ten może skorzystać z akompaniamentu czcigodnych muzyków książęcej orkiestry – dodał.

Belloni natychmiast pokręcił głową.

– Rezygnuję z akompaniamentu.

Giulii nie spodobało się krótkie spojrzenie, które muzycy wymienili z Sebaldim, dlatego również zrezygnowała z ich usług.

Sebaldi wystąpił do przodu, skłonił się przed Wilhelmem Gonzagą i prawie równie nisko przed muzykami.

– Bardzo byłbym rad, mogąc zaśpiewać dla Waszej Wysokości przy akompaniamencie szanownych panów muzyków.

Giulia zorientowała się, że Sebaldi za wszelką cenę chce wygrać. Ona jednak wolałaby, żeby to Belloni otrzymał laur zwycięzcy.

Dworzanin wziął teraz od służącego koszyczek ze srebrnego filigranu, w którym leżały trzy złote medale, i podszedł z nim do Belloniego.

– Jesteście najstarszym i najbardziej znanym kastratem, którego Jego Książęca Mość zaprosiła. Wyciągnijcie los, żeby ustalić wasze miejsce w kolejności.

Belloni uczynił to z wyraźną obojętnością, jakby było mu wszystko jedno, kiedy ma śpiewać. Nawet nie spojrzął na liczbę, tylko uśmiechnął się zachęcająco do Giulii. Sebaldi natomiast nie potrafił ukryć swojej ekscytacji i natychmiast podniósł złotą płytkę.

– Mam numer drugi.

– A więc będziecie śpiewać między swymi konkurentami – rzekł dworzanin i wyciągnął koszyczek w kierunku Giulii.

Wzięła pozostałą monetę i spojrzała na cyfrę. Jedyńska. A więc miała wystąpić jako pierwsza. Nie była to dla niej korzystna sytuacja, ponieważ dwaj pozostali blaskiem swoich osiągnięć mogli zepchnąć w zapomnienie jej występ. Ale jako że i tak nie liczyła na zwycięstwo, nie przejęła się tym zanadto, lecz wystąpiła do przodu, skłoniła się przed księciem i towarzyszącą mu damą, a potem ustawiła się w pozycji, w jakiej miała zwyczaj rozpoczynać swoje występy.

Giulia wybrała na ten konkurs fragment mszy Palestriny, ponieważ to dzieło miała najlepiej opanowane, oraz swój ulubiony chanson Nicolasa Gomberta. W trzeciej kolejności zamierzała zaśpiewać jedną z własnych kompozycji. Księciu, który ma wyszukany smak, ten utwór może wydać się zanadto skromny, ale żadna inna pieśń nie pozwalała jej tak doskonale zaprezentować całej skali swego głosu. Zobaczyła, że Wilhelm Gonzaga daje znak ręką. Na ten gest „komnata małżonków” napełniła się dworzanami. Gdy drzwi zostały zamknięte, zaintonowała pierwszy ton i dała się ponieść czarowi muzyki.

Dopiero gdy skończyła trzecią pieśń, przypomniała sobie o klepsydrze i w pierwszej chwili nie miała pojęcia, czy śpiewała za długo, czy za krótko. Sądząc po brawach, które otrzymała, jej występ najwidoczniej się spodobał. Zerknęła na księcia, który wprawdzie nie klaskał jak inni, ale łaskawie kiwał głową. Dama obok niego w zamyśleniu oparła policzek na rękę i patrzyła na Giulię spojrzeniem trudnym do zinterpretowania. Także muzycy nie pofatygowali się, żeby zaklaskać, tylko szeptali coś między sobą. Za to Belloni bił jej szczere brawa, Sebaldi zaś zrobił minę, jakby dopiero co zjadł cytrynę.

Giulia czuła ulgę, że ma już występ za sobą, i cofnęła się o kilka kroków. Sebaldi wysunął się zaś do przodu.

– W pierwszej kolejności wykonam najnowsze dzieło czcigodnego *messer* Guantoniego. – Skłonił się przed głównym spośród nadwornych muzyków i poprosił go o akompaniament.

Gdy zaczął śpiewać, Giulia uznała, że jak na kastrata ma on dość niski głos. Podobnie śpiewałby zapewne Ludovico, gdyby go wytrzebiono. Przestraszona Giulia odrzuciła myśli o byłym soliście z chóru chłopięcego przy klasztorze Świętego Hipolita, ponieważ kojarzył się jej z samymi koszmarami. Uznała, że w tym miejscu mógłby to być zły omen. Na dodatek dostrzegła teraz w głębi sali czterech śpiewaków nadwornych. Miała nadzieję, że nie zostaną poproszeni o radę, gdy trzeba będzie wybrać zwycięzcę.

Jak można się było spodziewać, Sebaldi także jako następną pieśń wybrał dzieło nadwornego kompozytora księcia Wilhelma. Najwidoczniej kastrat wyśmienicie przygotował się do zawodów i nawiązał znajomości z osobami ważnymi na dworze, co jej ojciec karygodnie zaniedbał. Z szeptów za jej plecami Giulia dowiedziała się, że nadworni muzycy mają doradzać księciu, i uznała, że w związku z tym zajmie ostatnie miejsce. Będzie się mogła pocieszać jedynie tym, że koneksje wzięły górę nad jej głosem. Również trzecia pieśń Sebaldiego była autorstwa jednego z książęcych kompozytorów. Na koniec występu muzycy zareagowali pełnymi zachwyty okrzykami i owacyjnym aplauzem. Gdy dwór wciąż jeszcze bił brawo, do przodu wystąpił Belloni. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, jakby cały ten konkurs był mu obojętny. Giulia usłyszała złośliwe uwagi kilku dworzan, którzy drwili z groteskowej sylwetki śpiewaka. Szyderstwo utknęło im jednak w gardle, gdy kastrat zaczął śpiewać. Nawet Giulia musiała przyznać, że jeszcze nigdy nie słyszała lepiej wykształconego głosu.

Gdy Belloni zakończył swoją ostatnią pieśń, w sali przez chwilę panowała taka cisza, że można było usłyszeć tupot nóg pająka. Potem fizycznie szpetny, ale niezrównany w swym talencie artysta otrzymał entuzjastyczne brawa. Trzej nadworni kompozytorzy i czterej nadworni pieśniarze spochmurnieli na twarzach. Giulia zorientowała się, że nie ma wątpliwości, kto zwyciężył ten konkurs. Sebaldi, który stał niedaleko od niej, zaklął półgłosem i zazgrzytał zębami. Giulia poczuła satysfakcję z jego nieuniknionej porażki, bo w jej odczuciu był równie antypatycznym człowiekiem co poborca podatkowy. Dworzanin, który objaśnił im reguły zawodów, dał znak Giulii i dwóm kastratom, żeby wyszli z sali.

– Jesteście proszeni o oddalenie się, żeby można było ustalić wyrok.

„Powiedział «wyrok», jakbyśmy stali tu przed sądem” – przeleciało Giulii przez głowę. Miała nadzieję, że wkrótce konkurs się skończy i będzie mogła wrócić do domu, o ile tak można było powiedzieć o jej kwaterze w Zajeździe pod Złotą Owcą.

Zawodnicy czekali na decyzję księcia w pokoju obok. Sebaldi odsunął się od pozostałej dwójki i udawał, że ogląda obrazy na ścianach. Belloni natomiast pozostał obok Giulii i położył jej rękę na

ramieniu.

– Macie wspaniały głos, Casamonte, a nawet więcej niż wspaniały – powiedział z niekrytym uznaniem, po czym dodał, jakie ma zastrzeżenia: – Niestety, wprawne ucho jest w stanie dosłyszeć, że uczyliście się prywatnie i nie studiowaliście w żadnym z wielkich konserwatoriów. Wasz styl jest dość przestarzały, a technika nieszczególnie doszlifowana. Powinniście w najbliższym czasie nieco mniej występować, za to raczej doskonalić swoje umiejętności.

Giulia z pewnym zaskoczeniem przyjęła do wiadomości tę w jej oczach nad wyraz trafną analizę. Dawno temu podobną opinię jak Belloni wyraził już pewien młody szlachcic, o którym nic nie wiedziała, znała tylko jego imię. Ale nawet jeśli przekaże ojcu słowa kastrata, on i tak nie zapewni jej możliwości dalszego kształcenia. Jeśli nie będzie mogła występować, zabraknie im pieniędzy, a na to ojciec nigdy nie przystanie. Część tych gorzkich myśli musiała się odmalować na jej twarzy, ponieważ Belloni spojrzał na nią z litością. Ale zanim zdążył coś powiedzieć, Giulia zdołała zapanować nad emocjami.

– Byliście naprawdę niesamowici, *messer* Belloni. Życzę wam zwycięstwa z całego serca.

Kastrat uśmiechnął się gorzko.

– Ty mi tak życzysz. Inni natomiast najchętniej widzieliby mnie na dnie Mincio.

Giulia nie musiała podążać za jego spojrzeniem, żeby wiedzieć, że ma na myśli Sebaldiego. Nie podjęła jednak tego tematu.

– Jesteście dla mnie tacy uprzejmi – powiedziała. – Chociaż mógłbym stać się dla was konkurencją, gdybym poprawił swoje umiejętności.

– Jestem taki, bo macie dobry głos, Casamonte, i ponieważ wzbudziliście we mnie sympatię, prawie jakbyście byli moim synem, którego nigdy nie będę mieć. Zmuszono nas w dzieciństwie do ofiary, której na pewno żaden z nas nie złożyłby z własnej woli. Często, gdy widzę przed sobą piękną kobietę, zastanawiam się, jak by to było być mężczyzną i móc ją posiadać. – Westchnął boleśnie i pokręcił głową. – Istnieją tylko dwie rzeczy, które mogą w pewnym zakresie powetować naszą stratę, a są nimi złoto i uznanie. Ale to nie jest pełnowartościowy erzac. Chociaż jestem teraz bogaty, często marzę sobie, że stoję jak mój ojciec z uczernioną twarzą przy mielerzu i wiem, że w domu czeka na mnie jędrna kobieta, która w nocy rozłoży przede mną uda, a ja zamiast tego skurczonego flaczka wyciągnę ze spodni potężnego fallusa, którym doprowadzę ją do takiej rozkoszy, że będzie jęczeć.

Giulię przeszedł dreszcz, gdy się zorientowała, jak bardzo Belloni jest rozdarty i jak cierpi z powodu utraty męskości. Czy to stąd brał się jego niezrównany głos? Jednocześnie zszokowało ją, że zwierza się jej tak otwarcie. A potem przypomniała sobie kilka rozmów między mężczyznami, których była mimowolnym świadkiem. Nawet wysoko urodzeni panowie lubili wychwalać przyjemności łoża i te miejsca na ciele kobiet, które dają im tyle przyjemności. Najczęściej wyrażali się przy tym dość ordynarnie. A od Assumpty dowiedziała się, że kobiety w swoim gronie także nie trzymają w tym temacie języka za zębami. Dlaczego więc wśród kastratów miałyby być inaczej? Przecież wszyscy dzielą ten sam los. Gdy wciąż jeszcze nad tym rozmyślała, prawie uroniła następane pytanie Belloniego.

– Jak już mówiłem, mój ojciec był węglarzem. A kim jest wasz?

Giulia energicznie przywołała się do porządku i uśmiechnęła się do swojego rozmówcy.

– Mój był kapelmistrzem pewnego arystokraty.

– I dał się zapewne namówić swemu wysoko urodzonemu panu, żeby was wytrzebić – domyślił się Belloni. Spojrzał na Giulię w taki sposób, że poczuła ból w sercu. – Macie przenikliwy, prawie

magiczny głos, Casamonte. Nigdy bardziej nie czułem mej straty jak podczas waszego śpiewu.

Giulia się przestraszyła. Instynktownie wyczuła, że Belloni mógłby wykryć jej tajemnicę, gdyby ich znajomość potrwała dłużej. Nawet teraz czuła się zagrożona pod jego badawczym spojrzeniem. Na jej szczęście pojawił się dworzanin księcia Wilhelma i zawołał ich z powrotem do „komnaty małżonków”. Nadworni muzycy wyglądali na niezadowolonych; zapewne ich faworyt Sebaldi przegrał zawody. Księżę nadal miał niewzruszoną minę i wyglądał bardziej jak obraz niż żywy człowiek. Natomiast siedząca przedtem u jego boku dama gdzieś zniknęła.

– Wolą Jego Księżęcej Mości ogłaszam następujący wyrok – powiedział dworzanin podniosłym tonem. – Niedoścignionym zwycięzcą zostaje Giacomo Belloni, zwany Niezrównanym, i to on zostaje łaskawie wyróżniony przez Jego Księżęcą Mość.

Nim dworzanin skończył mówić, jeden ze służących wystąpił naprzód i przekazał zwycięzcy złoty wieniec laurowy oraz pokaźnie napełnioną kiesę. Belloni skłonił się nieco niezgrabnie przed księciem i został poproszony przez służącego o udanie się do komnat, w których miał w przyszłości zamieszkiwać.

– W sprawie drugiego miejsca były pewne różnice zdań, ale Jego Księżęcą Mość doszła do wniosku, że należy się ono Giuliovi Casamontemu.

Zaskoczona Giulia przyjęła kiesę, którą jej wręczono, i skłoniła się przed księciem. Jednocześnie dostrzegła urażone miny nadwornych muzyków i rozgniewane czterech nadwornych śpiewaków. Zrozumiała, że Wilhelm Gonzaga zignorował opinie swoich podwładnych. Krótkie spojrzenie na Sebaldiego pokazało jej, że nie posiada się z gniewu i rozczarowania. Wziął sakwę, którą podano mu za zajęcie trzeciego miejsca, i z arogancją niedocenionego geniusza opuścił salę, ukłoniwszy się w taki sposób, że przy dobrej woli można było uznać jego ukłon za dość uprzejmy.

Giulia zrozumiała, że i ona ma się oddalić. Skłoniła głowę przed księciem Wilhelmem i chciała wyjść w ślad za Sebaldim. W drzwiach zatrzymała ją kobieta w skromnej czarnej sukni. Była to szambelanka owej szlachetnej damy.

– *Signore* Casamonte, moja pani, hrabina wdowa di Falena, pragnie z wami porozmawiać. Proszę, chodźcie ze mną.

Głos kobiety nie brzmiał ani szczególnie przyjaźnie, ani nieprzychylnie, lecz raczej oceniająco. Giulia poszła za nią zdziwiona i została zaprowadzona do altanki, której dach i ściany przeplecione były pędami winorośli przebarwiającymi się już na rudo. Dama, która tam czekała, nie była nikim innym jak wdową, która podczas konkursu kastratów siedziała u boku księcia i przysłuchiwała się śpiewom. Zdjęła pelerynkę i miała na sobie tylko czarną suknię. Siedziała na ławce i rozkoszowała się ciepłymi promieniami jesiennego słońca. Gdy zobaczyła, że Giulia się zbliża, na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

– Cieszę się, że was widzę, Casamonte. Nie zdobyliście wprawdzie pierwszej nagrody i podziękowań księcia Wilhelma, ale wasz głos zrobił na mnie wielkie wrażenie, nawet większe niż niezrównanego Belloniego.

Giulia nie miała pojęcia, do czego zmierza wdowa. Dlatego skłoniła się bardzo uprzejmie i powiedziała:

– Cieszę się, że znaleźliście upodobanie w moim śpiewie.

Uśmiech damy stał się cieplejszy.

– Wasz występ niesamowicie mi się spodobał, zwłaszcza ostatnia pieśń. Wprawdzie muzycy księcia kręcili nosem, gdy ją słyszeli, ale utwór ten ukazał całą wspaniałość waszego głosu.

– Jesteście, dostojna pani, zanadto dla mnie łaskawi.

– Wasz głos tak mi przypadł do gustu, że proszę was, byście na czas zimy wstąpili do mnie na służbę.

Ta oferta była dla Giulii tak zaskakująca, że w pierwszej chwili z wrażenia musiała przełknąć ślinę. Nim zdobyła się na odpowiedź, hrabina zaczęła mówić dalej:

– Jestem już starą kobietą, moje dziecko, i zimą, kiedy lodowaty wiatr owiewa otulone mgłą zbocza Apeninów, często nachodzą mnie ponure myśli, które napełniają moje życie smutkiem i goryczą. Ponieważ żadne lekarstwo nie jest w stanie przegnać tych melancholijnych nastrojów, nowy lekarz poradził mi, żebym sprowadziła do zamku śpiewaka o złotym głosie, który mógłby swoimi pieśniami przegnać chłód z mojego serca. Z tego powodu książę Wilhelm pozwolił mi na obecność podczas konkursu. Gdy was usłyszałam, wiedziałam, że to wy możecie być tym śpiewakiem.

Giulia zawołałaby najchętniej: „Tak, z radością najmę się do was na służbę!”. Ten angaż był darem niebios, mógł ustrzec ją i ojca przed niewątpliwą katastrofą, która czekała ich w Mantui. Jak na razie dostała tylko jedno zaproszenie na następny tydzień, ponieważ bogaci i szlachetnie urodzeni mieszkańcy Mantui czekali na rozstrzygnięcie konkursu. Teraz wszyscy będą się bić o Belliniego, a ponieważ Sebaldi również chce zostać na jakiś czas w mieście, będzie stanowił dla niej konkurencję w domach mieszczzańskich. Ludzie chcieli słuchać nowych pieśni, a ona nie mogła ich nimi uraczyć.

– Czuję się bardzo zaszczycony, Wasza Wysokość, ale niestety nie jestem panem swojej woli. Decyzję będzie musiał podjąć mój ojciec. Opowiem mu o waszej propozycji i mam nadzieję, że będzie jej równie przychylny co ja.

Giulia wiedziała, że nie będzie łatwo skłonić ojca, by zrezygnował z przyjemności miasta takiego jak Mantua i zechciał spędzić zimę w samotnym zamku w górach. Może to nawet całkiem niemożliwe. W każdym razie chciała chociaż spróbować go przekonać.

– Jeszcze przez dwa tygodnie będę przebywać w Mantui – oświadczyła hrabina. – Tyle więc czasu macie na podjęcie decyzji. I nie zapomnijcie, że zachowacie się jak dobry samarytanin, jeśli zdecydujecie się mi towarzyszyć.

Podążyła Giulii rękę do pocałowania. Ta dotknęła wargami przywiedłą skórę i się pożegnała. Beppo czekał na nią w domku portiera i razem wrócili do Zajazdu pod Złotą Owcą. Po drodze Giulia walczyła ze sprzecznymi uczuciami.

III

Awantura, jaka tam na Giulie czekała, była jeszcze gwałtowniejsza, niż mogła się tego spodziewać. Jej ojciec szalał ze złości i tak głośno ją wyzwał, że słyszała go chyba cała dzielnica. Nazwał ją głupim i leniwym beztalenciem. Użył jeszcze innych krzywdzących i mocno niesprawiedliwych wyrażań. W pierwszym porywie złości podniósł nawet rękę, żeby ją uderzyć.

Giulia przypominała sobie ich ostatnie tygodnie w Saletto, gdy jej matka dostawała podobnych ataków hysterii. Maria Fassi była chora i na dodatek prawie postradała zmysły po utracie synów. Ojciec natomiast od dawna żył z pieniędzy, które córka zarabiała śpiewem, i nawet nie ruszył palcem, żeby ją wesprzeć.

Na jej twarzy pojawiła się zapewne pogarda, którą czuła do niego, bo opuścił rękę, ponownie nalał sobie wina i zrzędził teraz o wiele ciszej.

– Hrabina wdowa di Falena prosiła mnie, bym na czas zimy wstąpiła do niej na służbę. Na jej zamku moglibyśmy zaoszczędzić dużo pieniędzy, ponieważ nie musielibyśmy ich wydawać na wikt i opierunek. Potem, na wiosnę, mogłabym na kilka tygodni wyjechać do któregoś ze znanych nauczycieli muzyki i pobierać u niego nauki. Belloni jest zdania, że powinnam tak zrobić.

Przez moment miała nadzieję, że jej ojciec ma dość rozsądku, by skwapliwie skorzystać z tej nieoczekiwanej okazji. Ale on tylko patrzył na nią z oburzeniem.

– Dlaczego mielibyśmy opuścić Mantuę? Przecież wiecie się nam tu jak najlepiej.

– Jeszcze wiecie nam się dość dobrze – odpowiedziała lodowatym tonem Giulia. – Ale ile angaży dostałam w ciągu ostatnich kilku dni?

– Żadnego, ale to o niczym nie świadczy. Po prostu nikt nie chciał księciu wchodzić w paradę. Najpóźniej jutro, może nawet dzisiaj wieczorem, ludzie znowu zaczną cię angażować.

Girolamo Casamonte dał córce wyraźnie do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty, i zajął się liczeniem sumy, którą dostała od księcia za zajęcie drugiego miejsca.

Okazało się, że Giulia ma jednak rację. Ani tego dnia, ani w ciągu następnych nikt nie przyszedł do Zajazdu pod Złotą Owcą, żeby zaangażować kastrata. Podczas gdy Girolamo Casamonte siedział nad pełnym dzbanem wina, Giulia przygotowywała się do ostatniego występu, na jaki została zaproszona. Uznała, że źle się stało, iż ojciec nic nie zrobił, aby zaistnieć w Mantui jako muzyk, kapelmistrz albo kompozytor. Przez jego beczynność utrzymanie ich wszystkich zależało tylko od jej głosu i od gotowości ludzi do zaangażowania jej w roli śpiewaka.

Pierwszą osobą, którą spotkała, przekraczając próg willi, do której została zaproszona, był właśnie kastrat Sebaldi. Przeszedł obok niej, nie mówiąc na powitanie ani słowa, ale jego pełne nienawiści spojrzenie pokazało jej, że nie spocznie, póki nie pozbędzie się jej jako konkurencji. I faktycznie, musiał już sprytnie działać w tym kierunku, bo otrzymała nader powściągliwe brawa.

Nieco później usłyszała rozmowę dwóch dam, które z rozmarzeniem rozwodziły się na temat męskiego wyglądu Sebaldiego i nie pozostawiły suchej nitki na Giuliu Casamontem.

– Zawsze twierdziłam, że ten Casamonte jest przeceniany – powiedziała jedna złośliwym tonem.

Druga gorliwie jej przytaknęła.

– Słyszałam, że u księcia podczas zawodów wokalnych nie wszystko wyglądało uczciwie.

Wilhelm Gonzaga nie chciał dopuścić, żeby Sebaldi wygrał, bo to Wenecjanin, a teraz są jakieś napięcia między naszym księciem a dożą. Dlatego zwycięzcą mianowano tę śmieszna figurę Belloniego, a drugie miejsce zajął Casamonte, który już długo tu przebywa i jest uważany za osobę stąd.

Giulia nie wiedziała, jak Sebaldiemu udało się tak szybko rozsiać wśród ludzi te kłamliwe historie, ale już zdążył zakazić nimi i szlachetnych panów, i bogatych mieszczan, od których przychylności zależał jej los. W pierwszej chwili pomyślała, że obrał złą taktykę, udając ofiarę błędnej decyzji księcia. Ale potem uznała, że tutejsi bogacze świadomie będą zabiegać o względy rzekomo poszkodowanego Wenecjanina, żeby wynagrodzić mu doznaną krzywdę. W każdym razie Sebaldiemu udało się zainteresować swoją osobą mantuńczyków. Otoczony nimbem nowości był na najlepszej drodze, żeby ją wygryźć i zostać ulubieńcem mieszczan lubujących się w sztuce.

Tego wieczora Giulia wróciła do zajazdu mocno przygnębiona. Także następnego ranka humor jej się nie poprawił. Girolamo Casamonte wciąż jeszcze chodził z grobową miną i dawał jej do zrozumienia, że uważa ją za nieudacznika. Nikt też nie przyszedł, żeby zaprosić ją na koncert. Dzień później również. Giulia nie mogła znieść przygnębiającej obecności ojca, poszła więc do kościoła Świętej Marii Magdaleny, żeby wysłuchać wieczornej mszy i się pomodlić.

Gdy wróciła do domu, jej ojciec siedział przy dzbanie z winem. Miał czerwoną twarz i obrażoną minę.

– Wiesz, kto tu był? – zapytał ją na wstępie.

Giulia w milczeniu pokręciła głową.

– Pioppo, ten, do którego należy sklep za rogiem. Chciał cię wynająć na urodziny żony.

Giulia poczuła się nieswojo i schowała szyję w ramionach.

– Nie sądziłam, że sklepikarz Pioppo jest na tyle zamożny, by sobie pozwolić na wynajęcie kastrata.

Girolamo Casamonte uniósł z oburzeniem ramiona.

– Wiesz, ile zaproponował za twój występ? Dwa skudy!

Giulia chwyciła się za głowę. Dwa skudy były ofertą nie tylko żalostną, ale wręcz obraźliwą. Skoro sklepikarz miał czelność przyjść i złożyć taką propozycję, to oznaczało, że jej opinia w Mantui ucierpiała już tak mocno, że nie ma co liczyć na kolejne angaże. Spróbowała to wytłumaczyć ojcu. Ten jednak machnął ręką i z niewzruszonym optymizmem pijaka odpowiedział, że sytuacja się odwróci.

Następnego ranka stanął przed nim gospodarz Złotej Owcy i zażądał zapłaty zaległego czynszu. Na dodatek zastrzegł sobie, że jeśli chcą dłużej zostać, mają uścić zaliczkę w odpowiedniej wysokości. To rozgniewało Girolama Casamontego na dobre.

– Nie zostaniemy ani godziny dłużej niż trzeba w tym niewdzięcznym mieście – wrzasnął na gospodarza.

Giulia głośno odetchnęła.

– Jeśli pozwolisz, ojcze, wyślę Beppa do Pałacu Książęcego, żeby przekazał hrabinie di Falena, iż przystajemy na jej propozycję.

– Hrabina di Falena? – zawołał gospodarz mocno zdziwiony. – A ja myślałem, że wy...

– Niech twoje konie myślą, a nie ty, mają większą głowę – zadrwił Girolamo Casamonte, który z powrotem odzyskał dobry humor. – Spędzimy zimę w pałacu hrabiny i będziemy się żywić przy jej stole, na którym na pewno znajdą się lepsze kąski niż w tej waszej plebejskiej knajpie.

Rzucił gospodarzowi zaległe pieniądze pod nogi, mierząc go miażdżącym spojrzeniem, po czym zażądał, żeby ten przyniósł mu jeszcze jeden dzban wina.

Powóz z Giulią, jej ojcem, Assumptą, Beppem oraz całym ich bagażem zbliżył się do ponurej siedziby hrabiny. „Nic dziwnego, że cierpi na zimową melancholię” – pomyślała Giulia. Zamek w ogóle nie przypominał eleganckiego *palazzo*, jaki mieli hrabiowie w Saletto, lecz raczej więzienie. To wrażenie potęgowały starodawne wieże obronne i ciemnoszare mury.

Droga do zamku prowadziła przez maleńką wioskę, która składała się z kilku niewielkich chat zbudowanych z nieciosanych kamieni. I chociaż Giulia rozglądała się na wszystkie strony, nigdzie nie mogła dostrzec zajazdu. Nie było tu też widać żadnego sklepiku, rzemieślnika ani nawet pieca do chleba, z którego mogliby wspólnie korzystać wieśniacy. Najbliższą miejscowość, gdzie dało się coś kupić, minęli przed ponad trzema godzinami. Ale droga, która tutaj prowadziła, była w tak kiepskim stanie, że nikt nie wybrałby się tu bez ważnej potrzeby.

Gdy powóz przejechał przez wieś i potoczył się stromą drogą w stronę zamku, Assumpta i Beppo ponownie musieli umocować bagaże sznurami, które poluzowały się od wstrząsów na wybojach. Ale mimo tego, że okolica sprawiała złe wrażenie, Giulia solennie sobie postanowiła, że wytrzyma tu przez uzgodniony czas. Potrzebowała pieniędzy, które miała tu zarobić, aby dalej kształcić swój głos. Spojrzała na ojca. Widać po nim było, że w ogóle mu się tu nie podoba. Patrzył niechętnie na małe chaty i malowniczo poubieranych wieśniaków, którzy pracowali na maleńkich poletkach, i otrząsał się na ten widok z obrzydzeniem. Giulia mimowolnie zaczęła modlić się do Matki Boskiej, żeby ojciec nie przysporzył jej problemów.

Kilka chwil później powóz przejechał z turkotem przez bramę zamkową i zatrzymał się na stosunkowo małym dziedzińcu wewnętrznym. Budynki były wzniesione z takich samych szarych ciosanych kamieni co mur zewnętrzny. Małe okna, niewiele większe od otworów strzelniczych, świadczyły, że pokoje są tu ciemne. Służba, która podeszła do powozu, zachowywała się oschle, a nawet w nieco odpychający sposób.

Casamonte wysiadł, stęknął i rozejrzał się dookoła.

– Ten zamek był może nowoczesny za czasów cesarza Fryderyka Barbarossy, ale teraz wolałbym mieszkać w pałacu, jaki ma na przykład hrabia Gisiberto Corrabialli.

Giulia podzielała zdanie ojca, ale zawstydziło ją jego niestosowne zachowanie. Nie powinien był w tak demonstracyjny sposób okazywać pogardy wobec tutejszej służby. Dobre relacje z personelem są ważne, bo inaczej mogą dostać wilgotną, niewietrzoną pościel i lodowatą wodę do mycia.

Podeszła do kobiety, której suknia świadczyła, że to ochmistrzyni.

– Nazywam się Giulio Casamonte. Jej Wysokość, pani hrabina, w swej łaskawości zaprosiła mnie, bym występował dla niej podczas zimy.

– A więc jesteście śpiewakiem?

Ochmistrzyni wyraźnie dała do zrozumienia, że nie bardzo ceni artystów.

– Nie jakimś śpiewakiem – wmieszał się ojciec Giulii z oburzeniem. – Mój syn jest najlepszym kastratem, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie.

– A więc to kastrat. Tak sobie pomyślałam, bo wygląda trochę jak niewiasta – powiedziała ochmistrzyni, po czym z powrotem zwróciła się do Giulii: – To nie wasza wina, że taki jesteście. To

inni ponoszą za to odpowiedzialność.

Odraza, która zabrzmiała w jej głosie, nie oznaczała nic dobrego dla ojca Giulii. Na szczęście tym razem się nie odezwał, tylko usłuchał wezwania ochmistrzyni i ruszył w kierunku domu.

– *Signore Casamonte*, wy dostaniecie pokój w budynku głównym, żebyście mogli szybko być na wezwanie naszej pani. Wasz ojciec i para służących zostaną umieszczeni tam, w budynku bocznym. Jeszcze się zastanowię, do czego można by ich wykorzystać.

Ojciec Giulii zbladł, słysząc, że mógłby zostać zmuszony do wykonywania posług służącego, Beppo i Assumpta natomiast odetchnęli z ulgą. Jeśli będą mogli pracować, to dodatkowo nieco zarobią, a ponadto nie będą się tu nudzić tak jak w Mantui.

Pokój, który został przydzielony Giulii, był przestronny i miał nawet własny kominek, który jednak już od lat nie widział ognia. Solidne łóżko, skrzynia, mały stół i trójnożny stołek uzupełniały wyposażenie. Otynkowane ściany pomalowano dawno temu, ale teraz w kilku miejscach błyszczały od wilgoci. Ogólnie trudno było nazwać to pomieszczenie szczególnie przytulnym. Ale najbardziej Giulii przeszkadzało to, że nie dało się go zamknąć od wewnątrz. Nie chciała jednak już pierwszego dnia wyrażać niezadowolenia i postanowiła poprosić Assumptę, by załatwiła jej szczotkę albo kij, którym mogłaby zablokować kłamkę.

Gdy Giulia wciąż jeszcze rozglądała się po komnacie, ochmistrzyni kazała Girolamowi Casamontemu i parze służących pójść za nią. Giulia widziała ich jeszcze przez moment, jak idą przez dziedziniec i znikają w bocznym budynku. Akurat przybył kolejny powóz, który przywiózł bagaże hrabiny. Służba natychmiast podbiegła, żeby rozładować pojazd. Po krótkiej chwili na dziedzińcu pojawiła się ochmistrzyni. Miała taki wyraz twarzy, jakby zjawiała się cała kompania niepożądanych gości, aby opróżnić piwnice i spichlerze.

Nagle drzwi komnaty przydzielonej Giulii otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła służąca. Przyniosła pościel i rzuciwszy na Giulie jedynie pobieżne spojrzenie, zaczęła słać łóżko.

Giulie stopniowo zaczął irytować sposób, w jaki ich traktowano. Można było odnieść wrażenie, że cała służba, poczynawszy od ochmistrzyni, postrzega ją i jej towarzyszy jako intruzów.

– Hej, ty! Jak się wchodzi do czyjegoś pokoju, to się puka.

Służąca wzruszyła tylko ramionami, więc Giulia wytoczyła cięższe działo.

– Jeśli jeszcze raz tak wtargniesz do mojego pokoju bez pukania, jak to właśnie zrobiłaś, poskarżę się Jej Wysokości.

Tym razem słowa Giulii zadziałały. Dziewczyna zacisnęła usta i opuściła głowę. Ponieważ jednak Giulia nie chciała nastawiać do siebie wrogo służby, wyjęła z sakiewki solda i podała go służącej. Ta popatrzyła na monetę, nie rozumiejąc, że przybysz usiłuje zawrzeć z nią pokój.

– To podziękowanie, że posłałaś mi łóżko – wyjaśniła Giulia, mając nadzieję, że nie będzie musiała każdego dnia płacić dziewczynie za taką usługę.

Służąca schowała monetę i spojrzała na Giulie z ukosa.

– Naprawdę jesteście kastratem? Właściwie wyglądacie jak normalny człowiek.

– A czy kastraci nie są normalnymi ludźmi? – odpowiedziała Giulia pytaniem na pytanie.

– No bo podobno, jak im się to na dole obetnie, robią się grubi, brzydki i w ogóle dziwni – wyjaśniła służąca ze szczerością wieśniaczki.

Na ustach Giulii pojawił się rozbawiony uśmiech.

– Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za tłustą, brzydką i dziwną osobę.

– Nie, z całą pewnością nie. Jesteście nawet dość przystojni. Gdybyście byli prawdziwym

chłopcem, mogłabym się w was zakochać – paplała dalej dziewczyna.

– Jak masz na imię?

– Marisa, ale wszyscy mówią do mnie Risa.

– A więc, Riso, mam nadzieję, że będziemy żyć ze sobą w zgodzie.

Giulia podała służącej rękę. Ta ją uścisnęła, chichocząc przy tym nerwowo, ale szybko odzyskała odwagę i pogładziła krótko opuszkami palców policzek Giulii.

– Wy faktycznie nie macie śladu zarostu. Wasza twarz jest gładka jak u dziewczyny.

– Przecież nie jestem mężczyzną.

Giulia podczas pobytu w Mantui przyzwyczaiła się do różnych wypowiedzi tego typu, które nie ujawniały oszustwa narzuconego jej przez ojca, a jednocześnie nie obciążały ją grzechem kłamstwa. Służącą ta odpowiedź jednak zadowolila. Powiedziała, że się musi śpieszyć, aby na czas przygotować pokój pani hrabiny.

Giulia odsunęła się na bok i pozwoliła jej dokończyć pracę. Wkrótce potem wszystko było gotowe i Risa opuściła pokój, dygając przed Giulią nieco niezręcznie, ale z szacunkiem. „To niesamowite, co moneta i kilka przyjaznych słów mogą zrobić z człowiekiem” – przeleciało Giulii przez głowę. Miała jednak świadomość, że o wiele trudniej będzie pozyskać przychylność ochmistrzyni.

Przybycie hrabiny opóźniało się i dopiero w nocy jej powóz wjechał na dziedziniec zamkowy. Nadbiegli służący z latarniami, żeby jej przyświecić. Najwidoczniej coś się stało, bo Giulia ze swojego okna zobaczyła, jak dwóch krzepkich parobków wyjmuje damę ostrożnie z karety i niesie do zamku.

Przez chwilę Giulia czuła się zirytowana, że personel z takim oddaniem odnosi się do swej pani, a o niej chyba całkiem zapomniano. Nikt nie zaprosił jej do stołu ani nie przyniósł kolacji. Miała niemal wrażenie, że służący postrzegają ich jako intruzów, których najchętniej szybko by się pozbyli.

Giulia zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby zachować spokój. „W tej sytuacji powinniśmy może byli zostać w Mantui” – pomyślała, wzdychając. Jednocześnie wiedziała aż za dobrze, że nie mogli dłużej pozostawać w mieście, bo ojciec zachowywał się zanadto biernie, a Sebaldi sprytnie intrygował przeciwko niej.

Gdy Giulia chciała wyjść z komnaty, żeby poszukać kuchni i poprosić o coś do jedzenia, drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadła Risa. Zobaczywszy niezadowolony wzrok Giulii, zasłoniła usta dłonią i przestraszona dygnęła.

– Przepraszam, nie chciałam tak wpadać do środka. Ale martwimy się o naszą panią hrabinę. Celestina, panna szambelanka, prosi was, byście przyszli.

– Dobrze. Ale czy macie tu w zwyczaju morzyć gości głodem? Od dzisiejszego ranka nie miałem nic w ustach, a minęła już czwarta po południu.

Giulia właściwie nie zamierzała odpowiadać tak kąśliwie, ale jej pusty żołądek przejął najwidoczniej dowodzenie nad językiem.

Skruszona Risa rozłożyła ramiona.

– O Matko Boska, całkiem o was zapomnieliśmy! Zaraz zaniosę waszym towarzyszom coś do jedzenia. Ale proszę, chodźcie teraz ze mną do panny szambelanki. Czeka na was pilnie.

Giulia nie chciała się tego wieczora spierać, bo z pewnością źle by na tym wyszła. Tak więc pożegnała się w duchu z kolacją i poszła za Risą, która poprowadziła ją gmatwaniną korytarzy do komnat hrabiny. Szambelanka i ochmistrzyni czekały na nią przed otwartymi drzwiami prowadzącymi do ciemnej sypialni. Miały wielce zatroskane miny i patrzyły na Giulie z takim wyrzutem, jakby to ona przyczyniła im zmartwień.

– Jej Wysokość zachorowała po drodze – szepnęła szambelanka ledwo słyszalnym głosem. – Dostała ciężkiego ataku migreny. Nie wiedzieliśmy, jak uda nam się dowieźć ją do domu.

„Może należałoby poprawić drogę prowadzącą do zamku” – przeleciało Giulii przez głowę. Potrafiła sobie wyobrazić, jakie męki przeżywała hrabina, gdy transportowano ją po wybojach i kamieniach, które stoczyły się z góry. Roztropnie jednak nic nie powiedziała, tylko lekko się skłoniła.

– Dlaczego mnie wezwaliście?

Szambelanka nakazała jej gwałtownym gestem mówić jeszcze ciszej.

– Jaśnie pani okropnie cierpi. Ale uparła się, żebyście zaśpiewali. Ma nadzieję, że wasz głos złagodzi jej bóle.

Oburzona ochmistrzyni pokręciła głową, ale zdołała powściągnąć emocje i powiedziała ściszym

głosem:

– Śpiew! Ha! Nie mam pojęcia, Casamonte, co takiego nagadaliście hrabinie. Każdy przecież wie, że przy migrenie trzeba leżeć w ciemnym pokoju i w ciszy wdychać opary rumianku i kamfory.

– To nie kastrat, tylko lekarz doradził pani hrabinie, żeby słuchała śpiewu – sprostowała szambelanka, mówiąc nad głową Giulii, jakby miała do czynienia z przedmiotem, a nie człowiekiem.

Giulia wyczuła, że obie kobiety są zazdrosne jedna o drugą. Była niezadowolona, że została wciągnięta w ich kłótnię. Ponieważ jej matka również cierpiała na ataki migreny, wiedziała, że najlepszymi środkami leczniczymi są zaciemnione pomieszczenie i cisza. Szambelanka oświadczyła jednak z naciskiem, że hrabina chce posłuchać śpiewu, i kazała jej bez zwłoki zacząć.

Giulia spojrzała z progu w głąb sypialni, gdzie stało wielkie łóżko z baldachimem. W ciemnościach można było dojrzeć tylko jego zarysy. Gorączkowo myślała, jak wywinąć się z tej nieprzyjemnej sytuacji. Jeśli zaśpiewa i hrabina poczuje się potem gorzej, zaprzepaści szansę na przychyłność u szambelanki, a jednocześnie zyska wroga w osobie ochmistrzyni, która zamieni jej pobyt w Falenie w piekło. Ponieważ jednak nie miała innego wyjścia i musiała zaśpiewać, zaintonowała w końcu cichym głosem piosenkę. Mimowolnie wybrała jedną z kołysanek, którą poznała w wieku dziecięcym.

Szambelanka spojrzała na nią z oburzeniem. Najwidoczniej oczekiwała donośnej arii. Nieco udobruchana ochmistrzyni skinęła natomiast głową i podeszła na palcach do łóżka swej pani. Gdy od niego odeszła, powiedziała Giulii, by ta śpiewała dalej.

– Jej Wysokość czuje się już lepiej. Wasz śpiew dobrze jej robi.

Co powiedziawszy, wróciła do sypialni. Nie spodobało się to szambelance, bo prychnęła cicho i poszła za nią. W końcu to ona była odpowiedzialna za komnaty hrabiny, a nie ochmistrzyni.

Giulia zaśpiewała po kolei wszystkie kołysanki, jakie знаła. Starła się przy tym nie być zbyt głośno i unikała wszelkich rażących, wysokich dźwięków. Straciła rachubę czasu i nie wiedziała, jak długo tak stoi oparta o ościeżnicę i śpiewa. W końcu obie kobiety wyłoniły się z ciemnej sypialni. Na ich twarzach malowała się widoczna ulga.

– Jej Wysokość zasnęła. Dobrze się spisaliście, Casamonte.

Ochmistrzyni musiała się przemóc, żeby wyrazić tę pochwałę, ale nie chciała ustąpić pola szambelance.

– Możecie już do siebie wracać – powiedziała ta do Giulii i zamknęła od środka drzwi sypialni.

Giulia chciała poprosić ochmistrzynię o coś do jedzenia, ale ta już się oddaliła i zniknęła w przytłumionym świetle korytarzy. Rozczarowana Giulia ruszyła na poszukiwanie swojej komnaty, którą znalazła po dłuższym błędzeniu. W środku paliła się lampka oliwna, a na stole stała taca z chlebem i zimną pieczenią, a do tego mały dzbanek wina. Giulia podziękowała w duchu Risie i postanowiła, że da jej następną monetę.

Następnego ranka przyniesiono jej wodę do mycia i śniadanie tak punktualnie, jakby ochmistrzyni nieźle pogoniła podwładnym kota. Giulia wciąż jednak znajdowała się w kłopotliwej sytuacji. Żeby porządnie się umyć, a potem ubrać, potrzebowała pomocy Assumpty. A ponieważ nie mogła zamknąć drzwi, musiała się w każdej chwili liczyć z tym, że ktoś wpadnie do środka z miską albo prześcieradłem i zaskoczy ją półnagą. Prawie żałowała, że służący przestali ją ignorować. Wolałaby, gdyby zrzucili jej obsługę na barki Assumpty. Z troską pomyślała, że potrzeba cudu, by jej maskarada nie wyszła na jaw.

W Mantui było jej łatwiej, bo personel Zajazdu pod Złotą Owcą praktycznie w ogóle się o nią nie troszczył, zrzucając nawet najdrobniejsze usługi na Assumptę, która oprócz obowiązków pokojówki musiała przejąć też obowiązki zwykłej posługaczki. Ale tu, na wsi, ludzie inaczej podchodzili do pracy niż w miejskiej gospodzie.

Giulia zdołała się jakoś umyć i założyć specjalny pas ściskający piersi, który zastąpił uciążliwe taśmy z lnu – na szczęście nikt jej nie zaskoczył. Gdy w końcu z ulgą zasiadła do stołu, żeby zjeść śniadanie, pojawiła się Assumpta. Służąca bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby poprawiła na niej ubranie, po czym przygotowała kaftan i beret.

– Paniczu Giulio, jeśli chodzi o moje zdanie, to trafiliśmy do dość szczególnego domostwa. – Assumpta zwróciła się do niej jak do mężczyzny, dając jej do zrozumienia, że muszą być bardzo ostrożne.

Giulia uśmiechnęła się do służącej z ulgą, okazując radość z jej obecności.

– Czy umieszczono was w dobrych warunkach?

– Wystarczających. Nasz pokój nie jest zanadto duży, ale dla mnie i Beppa wystarczy. Wasz ojciec narzeka jednak usilnie i mówi, że nie chce spędzić w tym domostwie ani jednej nocy więcej. Rozumiem jego złość, bo przydzielono mu pomieszczenie dla służących, a ono się nawet nie umywa do pięknego pokoju, w którym mieszkał w Mantui.

Choć w głosie Assumpty zabrzmiało współczucie, Giulia nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że służąca się cieszy, iż jej pan nie mieszka tu w lepszych warunkach niż ona i jej mąż.

Giulia nie miała czasu rozmówić się ze służącą, bo rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, a po chwili Risa ostrożnie wsunęła głowę do środka.

– Jej Wysokość pragnie was zobaczyć.

– Już idę.

Giulia włożyła do ust ostatni kawałek chleba, popiła go rozwodnionym winem, które podano jej jako poranny napój, a potem poszła za Risą do komnat hrabiny.

Wdowa sprawiała wrażenie trochę osłabionej, ale najwidoczniej czuła się już dużo lepiej. Przywołała Giulie z wdzięcznym uśmiechem na ustach i ręką wskazała krzesło obok łóżka.

– Spocznijcie, Casamonte.

– Wybaczcie, Wasza Wysokość, ale jestem przyzwyczajony, aby stać podczas śpiewania.

Giulia skłoniła się i prawą rękę położyła na oparciu krzesła.

– Zapomniałam, że całą duszą jesteście artystą. Ale najpierw spocznijcie trochę. Wczoraj

wieczorem byliście moim aniołem wybawicielem. Nigdy przedtem nie mogłam zasnąć przy tak silnym ataku migreny. A wy sprawiliście cud.

Tymczasem weszła szambelanka, popatrzyła na hrabinę, zapewne, żeby się zorientować, jak ta się czuje, a potem przywołała posługaczkę, która przyniosła tacę ze śniadaniem dla swojej pani. Hrabina zaczęła maczać biały chleb w mleku i jeść. W trakcie jedzenia spojrzała na Giulie i poprosiła:

– Zaśpiewajcie mi jeszcze raz tamte piosenki, które wczoraj zaniósł mi w objęcia Morfeusza. Później zapoznam was z ojcem Franco, moim spowiednikiem, muzykiem i osobistym kompozytorem w jednej osobie, żeby mógł zaznajomić was z pieśniami, których słucham szczególnie chętnie.

– To będzie dla mnie zaszczyt – odpowiedziała Giulia i zaczęła śpiewać dźwięcznym głosem; powtórzyła pieśni, które wykonywała w nocy, za co otrzymała pochwały od swej chlebobdawczyni.

– Dobrze zrobiłam, Casamonte, ściągając was tu. Jestem bardzo wdzięczna księciu Wilhelmowi, że pozwolił mi was wysłuchać.

– Macie gardło ze złota – wmieszał się sympatyczny męski głos. – Czysty mezzosopran. Dość niezwykła gama wokalna jak na kastrata.

Giulia się najeżyła. Czy ktoś zaczął coś podejrzewać? Obróciła się niepewnie i zobaczyła przed sobą starego mnicha w szarym habicie, który wszedł bezszelestnie do środka. Jego pobrużdżona zmarszczkami twarz była uśmiechnięta, a pokaźny brzuch wyraźnie wskazywał, że nie gardzi on uciechami stołu.

– Jestem ojciec Franco, kaznodzieja i muzyk Jej Wysokości. Muszę powiedzieć, mój synu, że Bóg obdarzył was niesamowitym głosem.

– Nazywam się Giulio Casamonte. – Giulia nie sprecyzowała, czy używa pseudonimu artystycznego, czy to jej prawdziwe nazwisko.

– Niestety, wczoraj byłem na wyjeździe – rzekł mnich. – Toteż nie mogłem was powitać. Ale gdy wróciłem na zamek, Risa poinformowała mnie, że działaliście tu cuda.

W głosie ojca Franco zabrzmiała ciekawość.

– Tak, to prawda – oświadczyła z naciskiem hrabina. – Śpiewak Casamonte zdołał uspić mnie swym śpiewem, jakbym była małym dzieckiem, chociaż cierpiałam na straszną migrenę.

– Nie to miałem na myśli. Risa powiedziała mi, że szambelanka i ochmistrzyni były wyjątkowo zgodne i chwaliły młodego śpiewaka. Coś takiego, jak mi Bóg miły, jeszcze nigdy się nie zdarzyło. – Powiedział to tak komicznym tonem, że hrabina roześmiała się głośno.

– W takim razie Casamonte działał dwa cuda, chociaż to właściwie powinno być wasze zadanie. W końcu jako osoba duchowna jesteście bliżsi niebu niż tacy zwykli śmiertelnicy jak my.

– Bóg czyni swoje cuda przez tych, którzy są do tego przeznaczeni, a nie przez tych, którzy się do tego przeznaczają. – Ojciec Franco uniósł pouczającym gestem palec wskazujący, a następnie wyciągnął dłoń w kierunku Giulii. – Witam was serdecznie, mój synu. Bardzo się cieszę, że los was tutaj przywiódł. Rozwieselenie Jej Wysokości było dla mnie samego zbyt trudnym zadaniem, chociaż bardzo się starałem.

Mnich przypadł Giulii do gustu. Uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się do niego.

– Mam nadzieję, że wspólnie odniesiemy sukces. Bo bez waszej pomocy ja z kolei też niewiele zdziałam.

Hrabina ze śmiechem pokręciła głową.

– Casamonte, jesteście albo bardzo uprzejmi, albo bardzo sprytni. Ojczce Franco, nie pozwólcie, żeby ten młodzieniec owinął was sobie wokół palca. Nigdy nie słyszałam bardziej przenikliwego

głosu. Gdyby był mężczyzną, młode kobiety by za nim szalały. – Nim dopowiedziała to zdanie do końca, jej uśmiech zgasł. Chwyliła Giulie za rękę. – Wybaczcie moje nieprzemyślane słowa, Casamonte. Nie chciałam was zranić.

– Wcale mnie nie zraniliście – odpowiedziała Giulia przyjaźnie.

– Mimo to powinno się najpierw zważyć słowa, zanim się je wypowie. Najczęściej ból zadaje się ludziom nie z rozmysłem, ale przez nieuwagę i obojętność.

Hrabina przez moment sprawiała wrażenie, że myślami przeniosła się do dawnych czasów, kiedy to jej zadano cierpienie w ten sposób. Ojciec Franco najwidoczniej znał tę zmianę nastroju, bo dotknął ramienia Giulii i poprosił ją, żeby poszła za nim.

– Jej Wysokość pragnie teraz zostać sama. My tymczasem powinniśmy nieco lepiej się poznać.

– Czy mogę was prosić, byście zapoznali mnie z pieśniami, których Jej Wysokość najchętniej słucha? – zapytała Giulia cicho, żeby nie przeszkadzać zatopionej w myślach hrabinie.

– Chętnie.

Ojciec Franco poprowadził ją kilkoma korytarzami do swego pokoju, który był urządzonej wprawdzie skromnie, ale wygodnie. Łóżko stało ukryte za przeciągniętą w poprzek pomieszczenia kotarą. Z przodu stał klęcznik, stół z dwoma taboretami i kredens, na którym leżało kilka instrumentów muzycznych.

Giulia spojrzała z podziwem na małą, ale cenną kolekcję. Już dłuższy czas na niczym nie grała i nagle poczuła pragnienie, by móc samej sobie akompaniować.

Ojciec Franco właściwie zinterpretował jej spojrzenie, bo podał jej swoją lutnię.

– Potraficie na tym grać?

Zamiast odpowiedzieć, Giulia uderzyła w struny, wykonała kilka akordów i spod jej palców popłynęła bez większych błędów melodia prostej pieśni.

Ojciec Franco skinął z uznaniem głową.

– Powtórzcie ten pasaż i zaśpiewajcie jednocześnie tekst.

Giulia uczyniła to, sama się dziwiąc, że odczuwa przy tym tyle przyjemności. Nie czekając na kolejne wezwanie, zaczęła wykonywać chanson Gomberta i napawała się radością, że brzmi on tak pięknie przy akompaniamencie lutni.

Ojciec Franco słuchał jej z zachwyconą miną i zaklaskał entuzjastycznie w dłonie, gdy skończyła.

– Jej Wysokość nawet nie wie, jaki dobry interes zrobiła, ściągając was tutaj. Nie jesteście jakąś tam małą z chóru wytresowaną przez zgryźliwego korepetytora, ale prawdziwym kamieniem szlachetnym, który tu i ówdzie wymaga jeszcze maleńkiego podszlifowania.

– Bardzo byłbym rad, gdybyście mogli mi pod tym względem pomóc – odpowiedziała Giulia, pełna nadziei, że wreszcie będzie mogła nauczyć się czegoś więcej.

Ojciec Franco potarł w zamyśleniu lekko zarośniętą brodę i w końcu skinął głową.

– Nie jestem wprawdzie nauczycielem muzyki, ale sądzę, że tego i owego mogę was nauczyć. To jest także w interesie Jej Wysokości, bo im lepiej będziecie potrafili utrafić w jej gust i nastroje, tym łatwiej będzie jej zwalczyć ponure myśli. A to będzie dziełem, pozwólcie, że wam powiem, które odsunie w cień wyczyny Herkulesa.

– Tak z nią źle? – zapytała przejęta Giulia.

Mnich skinął smutnie głową.

– Niestety. W zeszłym roku Jej Wysokość nie była nawet w stanie uczestniczyć w *Festa di Natale*. Dla ludzi tu na zamku i na dole we wsi było to gorzkie rozczarowanie.

– Miejmy nadzieję, że nam dwóm uda się poprawić nastrój Jej Wysokości na tyle, że tym razem będzie mogła uczestniczyć w święcie.

Giulia podała odruchowo mnichowi dłoń i zaskoczona zobaczyła, że ten ociera łzę z policzka.

– Jesteście naprawdę w porządku, Casamonte. Kastraci, jakich poznałem, każdy sukces przypisałiby samemu sobie, ale wasze serce wolne jest od fałszu i samolubstwa.

Giulia poczuła się zakłopotana, słysząc tyle pochwał pod swoim adresem. Odłożyła lutnię i zawstydzona opuściła głowę.

Ojciec Franco nie dopuścił jednak, żeby zapanował wśród nich smutek. Pogrzebał w kredensie, wyciągnął z niego kartkę pokrytą nutami i podał ją Giulii.

– Oto pieśń, której Jej Wysokość najchętniej słucha podczas Bożego Narodzenia. Powinniście się jej nauczyć, ponieważ wszystko wskazuje na to, że w tym roku będzie uczestniczyć w obchodach *Festa di Natale*.

Jakiś czas później Giulia wróciła do swojej komnaty z poczuciem, że spędziła przyjemne przedpołudnie. U ojca Franco znalazła zrozumienie, jakiego brakowało jej od dawna u własnego ojca. Mnich zaproponował jej nawet, że tak przekomponuje pieśni, aby dokładnie pasowały do jej skali głosu. Chciał jej też na tych przykładach pokazać, jak mogłaby udoskonalić umiejętność komponowania.

Uskrzydłona otworzyła drzwi i zobaczyła w pokoju ochmistrzynię, która stała, pilnując dwóch służących zajętych czyszczeniem kominka i rozpalamiem w nim ognia. Gdy Giulia weszła do środka, kobieta obróciła się przyjaźnie w jej kierunku.

– Kazałam rozpaścić ogień, żeby jesienne chłody nie wdarły się do waszego pokoju. Nic nie powinno zaszkodzić waszemu wspaniałemu głosowi.

– Dziękuję wam. Przeziębienie dla śpiewaka to faktycznie fatalna sprawa.

Giulia nie wiedziała, czy ma się cieszyć z zaistniałej sytuacji. Póki mało się o nią troszczono, jej tajemnica była bardziej bezpieczna. Jeśli jednak ludzie będą ciągle zjawiać się w jej pokoju, w końcu zostanie zdemaskowana. Postanowiła wykorzystać to, że ochmistrzyni jest w dobrym nastroju.

– Niechętnie się skarżę, ale lubię mieszkać w takim pokoju, w którym mógłbym się zamknąć od środka. Czuję się zawstydzony, gdybym dokonywał ablucji, a do pokoju weszłaby na przykład Risa albo nawet któryś z pacholków.

Nie wiedziała, czy nie żąda zbyt wiele, ale odetchnęła z ulgą, gdy ochmistrzyni przytaknęła niemal z zawstydzeniem.

– Żaden człowiek nie lubi być oglądany nago. Was dotyka to szczególnie, jako że zostaliście okaleczeni.

Co powiedziawszy, ochmistrzyni zwróciła się do jednego ze służących, by przymocował do drzwi zasuwkę. Ten spełnił polecenie tak szybko, że Giulia doszła do wniosku, iż poddani czują lęk przed ochmistrzynią. Potem pomyślała: „Może dzięki temu, że pomogłam hrabinie, znalazłam przyjaciół wśród mieszkańców Faleny”.

Niedługo potem w kominku zapłonął wesoły ogień i Giulia mogła zamknąć się w pokoju, zasuwając solidny skobel. Mogła teraz spoglądać w przyszłość z większą wiarą i nadzieją.

Z przyjemnych myśli wyrwało ją mocne pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zapytała na tyle głośno, żeby można ją było usłyszeć na zewnątrz.

– To ja, Assumpta.

Giulia zerwała się na nogi i otworzyła. Służąca z dumą zaprezentowała jej tacę z jedzeniem i postawiła na stole.

– Powiedziałam ochmistrzyni, że opiekowałam się tobą od małego i nie zamierzam pozwolić, by teraz odsunięto mnie od ciebie – powiedziała, po czym przeniosła zadowolone spojrzenie na płonący kominek. – Ogień pojawił się jak na zawołanie. Będziesz mogła w nim spalić swoje podpaski i zużyty mech.

– To już ten czas? – zapytała Giulia i w myślach zaczęła liczyć.

Faktycznie, za trzy dni powinna dostać miesięczki, a jeszcze nic nie przygotowała, żeby się

zabezpieczyć.

Assumpta dostrzegła jej zdenerwowanie i podniosła uspokajająco ręce.

– Nie martw się, mam wszystko co trzeba.

Wyciągnęła spod sukienki paczuszkę i poszukała bezpiecznego schowka. W końcu ukryła wszystko głęboko w skrzyni z ubraniami Giulii.

– Musisz odpowiednio wcześniej zabezpieczyć się podpaską, żebyś nie zakrwawiła łóżka. Tutaj nie będę miała możliwości niezauważenie podmienić prześcieradła.

– Będę o tym pamiętać – obiecała Giulia z ulgą i uścisnęła kobietę. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Gdybyś miała ojca, na jakiego zasługujesz, wcale byś mnie nie potrzebowała – odpowiedziała gorzko Assumpta.

– A co właściwie dzieje się z ojcem? Nie widziałam go od naszego przybycia na zamek.

Giulia poczuła się nagle winna, że się o niego nie troszczy.

– Siedzi w swojej izbie i się dąsa. – W głosie Assumpty nie było ani cienia współczucia, raczej pogarda.

– A jak czujecie się ty i Beppo? Czy dobrze o was dbają?

– Teraz się cieszę, bo powierzono mi zajmowanie się tobą. Risa ma mi pomagać, gdybym jej potrzebowała. Beppo zaprzyjaźnił się z ogrodnikiem hrabiny i pomaga mu przygotować rośliny do zimy. Brakowało mu pracy w ogrodzie od czasu, kiedy musieliśmy opuścić Saletto.

Assumpta była wyraźnie zadowolona z warunków na zamku. Głęboko westchnęła i ponagliła Giulie, żeby wszystko zjadła.

– Hrabina na pewno będzie dzisiaj chciała znowu usłyszeć twój śpiew. Podobno późno kładzie się spać. Potrzebujesz wiele siły, żeby przetrzymać pobyt tutaj.

– Tak, Wasza Surowość – odpowiedziała Giulia, skłoniła się żartobliwie i usiadła przy stole.

Jedzenie było inne niż w Mantui, typowo wiejskie, ale smakowało wybornie. Giulia zjadła wszystko z apetytem.

Wtem rozległo się pukanie. Była to Risa. Poprzez zamknięte drzwi zapytała, czy Giulia mogłaby udać się teraz do pani hrabiny.

– Takie jest przecież moje zadanie! – zawołała Giulia i rozejrzała się za swoim kaftanem.

Assumpta miała go już w rękach. Pomogła jej się ubrać i dopiero wtedy otworzyła drzwi. Risa dygnęła i chciała wejść do środka, żeby sprzątnąć ze stołu, ale Giulia ją powstrzymała.

– Byłabym rada, gdybyś mnie dzisiaj jeszcze raz zaprowadziła do komnat Jej Wysokości. Mam wrażenie, że rano pokonałam trzy razy dłuższą drogę, niż powinnam.

Potem przypomniała sobie, że chciała dziewczynie dać trochę pieniędzy, i wcisnęła jej do ręki gabelle.

– Ale to przecież za dużo – wyjąkała oszołomiona Risa.

– Weź to! – rozkazała jej Assumpta i obrzuciła Giulie komicznie zropaczonym wzrokiem. – W Mantui ani razu nam się nie przydarzyło, by jakaś posługaczka uznała, że dostała zbyt duży napiwek.

Giulia skinęła przyjaźnie głową i poszła za Risą, która trzymała monetę w zaciśniętej dłoni, żeby jej nie zgubić. Gdy Giulia weszła do komnat hrabiny, ta siedziała grubo opatulona na wyściełanej ławce w niszy okiennej i oglądała krajobraz na zewnątrz. Natychmiast jednak się obróciła, przywitała Giulie niemal radośnie i zapytała ją, jak przebiegła rozmowa z ojcem Franco.

– Dziękuję, wyśmienice – odpowiedziała Giulia. – Jest wspaniałym muzykiem i chyba też dobrym,

pocziwym człowiekiem.

– To faktycznie pocziwy człek. Cieszę się, że jest u mnie na służbie. W klasztorze nigdy nie czułby się szczęśliwy, bo nie jest ascetą ani nie ma w sobie tyle surowości, by nawracać albo nawet karać opornych heretyków. – Hrabina spojrzała z powrotem w zamyśleniu na krajobraz, który w świetle nisko stojącego słońca połyskiwał zielono i przyjaźnie. – Zaśpiewaj mi jedną z pieśni, których nauczył cię dzisiaj rano ojciec Franco – zażądała po chwili od Giulii.

Giulia przyjęła pozę, w jakiej nawykła śpiewać, ale po chwili ją samą to rozśmieszyło. Ponieważ jej chlebodawczyni nawet na nią nie patrzyła, mogła wygodnie oprzeć się o ścianę. Przypomniała sobie w duchu pieśni ćwiczone z ojcem Franco i wybrała taką, która barwnie opisywała światło słońca i czystą wodę w górskim strumieniu.

Hrabina wdowa słuchała ze wzruszeniem, a potem zaklaskała w dłonie jak małe dziecko.

– Jeszcze nigdy nie słyszałam tej pieśni w tak cudownym wykonaniu. Aż nabrałam ochoty, by pójść na spacer.

– Ja też byłbym rad, mogąc to zrobić. Do tej pory widziałem tylko zamek – odpowiedziała Giulia, spoglądając tęsknie za okno.

Pół godziny później pożałowała, że tak lekkomyślnie zadeklarowała chęć spaceru. Hrabina bowiem zachwyciła się tym pomysłem i razem z Giulią oraz szambelanką wybrała się na przechadzkę.

We wsi zbiegli się wszyscy ludzie, żeby złożyć uszanowanie swojej pani. Wlepiali jednak oczy w Giulie z taką intensywnością, jakby miała dwie głowy albo co najmniej olbrzymi garb. Każdy z wieśniaków musiał głośniejsz lub ciszej zrobić komentarz na jej temat. Najwidoczniej nikt z nich jeszcze nigdy nie widział kastrata, ale dużo o nich słyszeli, choć mało dobrego. „Zaczarowany głos” – to było najuprzejmiejsze określenie, jakie usłyszała Giulia. Kilku mężczyzn wyraźnie się od niej odsuwało, kilku wykonywało gesty chroniące przed złym spojrzeniem, jakby się bali, że utracą swą męską witalność już na sam widok rzezańca. Na szczęście nie znalazł się nikt tak bezczelny, nawet wśród małych dzieci, żeby ją dotykać albo nawet chwytać za krocze, co według słów jednej z młodych kobiet było skuteczną metodą uniknięcia niechcianej ciąży. Giulia poczuła dużą ulgę, gdy znowu mogła znaleźć się w zamku.

Tego wieczora hrabina wdowa pozwoliła jej spożyć kolację w swojej obecności. Ponieważ przy stole siedział także ojciec Franco, nie było miejsca na nudę. Giulia uświadomiła sobie, że już dawno nie śmiała się tak serdecznie jak w ciągu tej godziny. Szybko ulotniło się skrępowanie, które opanowało jej duszę podczas spaceru, a na koniec przyłapała się na tym, że w ironiczny sposób parodiuje kilka znanych pieśni. Zamiast ją za to zganić, ojciec Franco bił z zachwytem brawo i na koniec poprosił, żeby zaśpiewała z nim w duecie. Zrobiła to z przyjemnością. Czowała się radosna i szczęśliwa, a gdy na noc musiała wrócić do swojego pokoju, pozostawiła swoją chlebodawczynię w równie pogodnym nastroju.

Dzięki szczęściu i sprytowi Giulia pokonała początkowe trudności i szybko zadomowiła się na zamku. Hrabina wdowa traktowała ją bardziej jak przyjaciela niż najętego śpiewaka, ochmistrzyni ją rozpieszczała, a służba odgadywała wszystkie jej życzenia.

Dwa czy trzy razy Giulia zastała swoją chlebodawczynię w ponurym nastroju, ale wystarczyło, że zaśpiewała kilka pieśni, a smętne chmury się rozchodziły, zwłaszcza jeśli mnich opowiedział dodatkowo kilka dowcipów.

Przed Bożym Narodzeniem mieszkańcy zamku zastanawiali się lękliwie, ale też z nadzieją, czy ich pani będzie mogła uczestniczyć w jego obchodach. Mnich zapewnił ich, że tak będzie, bo głos kastrata Casamontego przepędza melancholijne myśli hrabiny, jak woda święcona przepędza diabła.

Od szambelanki Celestiny Giulia dowiedziała się, że jej chlebodawczyni kilka lat temu pokłóciła się ze swoim synem, obecnym hrabią di Falena, ponieważ ożenił się on z bogatą, ale w jej oczach nieodpowiednią panną. Podobno drzewo genealogiczne młodej damy kończyło się już na jej dziadku, który zaczynał karierę w wojsku u kogoś z rodu Farnese i pełnił tam funkcję poganiacza mułów. Ów dziadek zdefraudował później na wojnie pieniądze i kupił sobie rangę kawalera w papieskich dobrach, a potem tytuł barona. Podczas takich ważnych świąt jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc hrabina wdowa czuła silne pragnienie zobaczenia wnuków. Była jednak zbyt dumna, by prosić synową o wizytę czy nawet samej wyruszyć w drogę do rezydencji syna, który według słów szambelanki znajdował się pod pantoflem żony i pozwalał, by to ona podejmowała wszystkie ważne decyzje.

Giulia czuła się skrępowana, słuchając o rodzinnych problemach swojej chlebodawczyni. Z drugiej strony dzięki tej wiedzy mogła unikać piosenek, które pogłębiłyby melancholię hrabiny. Każdego ranka omawiała z ojcem Franco program dnia i studiowała pod jego okiem muzykę i komponowanie. Potem hrabina wzywała ich oboje do siebie.

Jeśli pogoda była dobra, szli po południu na spacer. Wieśniacy powoli przyzwyczaili się do Giulii i nawet małe dzieci już za nią nie biegały, tak więc czuła się szczęśliwa, mogąc swobodnie wyjść na świeże powietrze. A gdy deszcz padał i zimny wiatr szarpał okiennicami, siadywali przed dużym kominkiem i popijali grzane wino z korzennymi przyprawami, przyrządzane własnoręcznie przez ochmistrzynię. Hrabina wdowa słuchała śpiewu Giulii i często prosiła ją o powtórzenie tej czy owej pieśni, która szczególnie się jej spodobała.

Assumpta i jej mąż zadomowili się na zamku podobnie jak Giulia. Ale Girolamo Casamonte przysparzał córce coraz więcej zmartwień. Na początku prosiła go kilka razy, żeby dołączył do niej i ojca Franco, gdy razem muzykują. Gdyby miał choć odrobinę dobrej woli, mógłby również uczestniczyć w zabawianiu hrabiny, a tym samym zostałyby dopuszczony do jej stołu. Chociaż już się nie dąsał tak dziecinnie jak zaraz po przyjeździe, kazał się długo prosić, nim po raz pierwszy poszedł z Giulią do hrabiny, a potem do pokoju ojca Franco. Pół godziny później Giulia pożałowała, że go do tego namówiła, ponieważ wszczął gwałtowny spór z mnichem. Nie spodobało mu się, jak duchowny interpretuje nuty, miał też inne zdanie na temat wybranych dla Giulii pieśni.

Giulia z początku nie rozumiała, dlaczego ojciec zachowuje się tak okropnie. Ale potem

przypomniała sobie, że zamkowa służba okazuje mu bardziej lub mniej jawną pogardę. Ponieważ Assumpta nie widziała powodu, by go bronić, powiedziała Risie i reszcie służby, że Girolamo Casamonte z żądy pieniądza uczynił swego syna kastratem i teraz żyje jak pączek w maśle z sum zarabianych przez potomka. Gdy Girolamo Casamonte wyzwał ojca Franco od starego dziwaka i durnia, który nie zna się na muzyce, mnich – zazwyczaj tak dobrotliwy – również nie był w stanie powstrzymać się od kilku podobnych określeń.

Kłótnia stawała się coraz bardziej gwałtowna, a na koniec ojciec Giulii wypadł z pokoju mnicha, prychnąwszy ze złości.

– Gnojek! – krzyknął za nim krewko ojciec Franco, potem obrócił się do Giulii i pogłaskał ją po dłoni. – Nawet nie wiesz, jak mi przykro z twego powodu, mój synu. Doprawdy zasłużyłeś sobie na lepszego ojca.

– Ja też nie wiem, dlaczego *papà* stał się taki dokuczliwy. Wcześniej zachowywał się zupełnie inaczej.

Giulii napłynęły łzy do oczu i jak dziecko pociągnęła kilka razy nosem.

– To przez ten diabelski żółty metal, na którym ludziom zależy bardziej niż na wiecznym zbawieniu – wyjaśnił z ponurą miną mnich. – Często byłem świadkiem, jak porządny człowiek ulegał mocy złota i stawał się obrzydliwą kreaturą. Niech Bóg da, synu, byś szybko uniezależnił się od ojca. Wkrótce chyba osiągniesz odpowiedni wiek, żeby się od niego odłączyć.

Przygnębiona Giulia zacisnęła usta. Gdyby była kastratem, mogłaby kiedyś faktycznie porzucić ojca. Ale w jej sytuacji nie wchodziło to raczej w rachubę. Była do niego przykuta tajemnicą swej inności niczym łańcuchem z żelaza. Żeby całkiem się nie załamać i swym smutkiem nie zarazić hrabiny, poprosiła ojca Franco o nuty następnej pieśni i śpiewała z przejęciem, które wyływało z cierpienia.

Troska o panią na zamku nie pozwoliła Giulii długo zaprzętać sobie głowy ojcem. Każdą chwilę poświęcała swemu zadaniu, a nagrodą dla niej były rozradowane twarze ludzi dokoła. Gdy służący przed Bożym Narodzeniem ozdobili wielką salę zamkową zielonymi gałązkami, a w kuchni szykowano smakołyki na przyjęcie, wszyscy byli przekonani, że w tym roku hrabina wdowa weźmie udział w uroczystościach. Wiele wdzięcznych spojrzeń kierowało się ku Giulii, a w świąteczny poranek ochmistrzyni osobiście przyniosła jej talerz z wypiekami o korzennym zapachu i poprosiła o spróbowanie tych pyszności.

– Smakuje wam? – zapytała niemal z obawą.

Giulia skinęła gorliwie głową.

– Wspaniale. Jeszcze nigdy nie jadłam tak dobrych *pasticcini*.

Ochmistrzyni rozpromieniła się, usłyszawszy tę pochwałę, i na chwilę chwyciła Giulie za rękę.

– Dziękuję wam, Casamonte. Dzięki waszemu śpiewowi przeżyjemy wspaniałe *Festa di Natale*. Jesteśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, że Jej Wysokość będzie mogła wziąć udział w obchodach.

– Jeżeli chcecie komuś podziękować, to podziękujcie Bogu – powiedziała Giulia, uważając, że nie zasługuje aż na takie pochwały.

Zapytała ochmistrzynię, czy może się jeszcze poczęstować, na co ta postawiła talerz na stole.

– To wszystko dla was. Jeśli zechcecie, Risa przyniesie wam więcej.

Giulia spojrzała w dół, na swoją talię, i westchnęła.

– Lepiej nie, bo jeszcze napuchnę jak ciasto drożdżowe.

– Kilka funtów więcej wam nie zaszkodzi. – Ochmistrzyni kiwnęła do niej głową, zachęcając do

jedzenia, po czym szybko się pożegnała, bo miała jeszcze dużo zajęć.

Giulia zjadła jeszcze jedno ciastko z tych, które jej najbardziej smakowały, po czym położyła się w ubraniu na łóżku. Pragnęła uwolnić umysł od uporczywych myśli i skoncentrować się na pieśniach, które miała zaśpiewać wieczorem, podczas świątecznej kolacji. Zasnęła przy tym i zbudziło ją pukanie Assumpty. Otworzyła drzwi, a służąca krytycznym wzrokiem zmierzyła jej pomiętą koszulę i pogniecione spodnie.

– Paniczu Giulio! Co wy zrobiliście? Nie możecie tak iść na świąteczną kolację. Poczekajcie, pomogę wam założyć coś innego.

Assumpta głęboko westchnęła i zamknęła drzwi na skobel, po czym zaczęła grzebać w skrzyni.

Giulia tymczasem zdjęła z siebie pomięte odzienie i z pomocą służącej założyła świeże. Dzisiaj – zgodnie z wolą Assumpty – miała wyglądać szczególnie odświętnie. Służąca wybrała kaftan o zielono-złotym wzorze, w którym Giulia występowała przed księciem Wilhelmem, i dobrała wąskie, karmazynowe spodnie. Potem ciasno opasała dziewczynie piersi. Gdy Giulia była kompletnie odziana, Assumpta obesła ją dookoła, robiąc zamyśloną minę. Nagle rozchyliła jej spodnie i lepiej uwypukliła mieszek na łonie.

– Słyszałam, że kastraci lubią przesadzać z tym elementem garderoby. Nie powinnaś się pod tym względem od nich różnić, bo ktoś zacznie coś podejrzywać.

– Spróbuję o tym pamiętać. – Giulia spojrzała z góry na obcisłe spodnie i pokręciła głową. – Jak się spogląda na te mieszki, to kobiety powinny się chyba bać tego, co mężczyźni w nich chowają.

Assumpta machnęła pogardliwie ręką.

– E tam, to głównie wata i tylko trochę ciała. – Na moment zamilkła, po czym spojrzała na Giulie wilgotnymi oczami. – Tak bardzo bym chciała, żebyś pewnego dnia poznała mężczyznę, z którym mogłabyś żyć w zgodzie z naturą.

Giulia pokręciła głową, śmiejąc się sztucznie.

– Nawet nie wiem, jak powinna zachowywać się kobieta. Nigdy się tego nie nauczyłam.

W ciągu ostatnich miesięcy wiele razy wyobrażała sobie, jak by to było nosić damskie suknie i dzięki temu zakosztować miłości. Nie interesowała się za bardzo tym, co mężczyźni noszą w tej części spodni, którą nazywa się mieszkiem, lecz tęskniła za dłonią, która delikatnie by ją głaskała, i za ustami, które czule by ją całowały.

– To niemożliwe – szepnęła smutno.

Potem się wyprostowała, zrobiła głęboki wdech i ruszyła do wielkiej sali, gdzie miała się odbyć uroczystość z okazji Bożego Narodzenia.

Pomieszczenie było świątecznie przyozdobione. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy stołów uginających się od ciężaru potraw, a przy nich stały ławki. Giulie zaprowadzono na sam przód, do hrabiny wdowy, która właśnie zasiadła na wyściełanym krześle. W ten świąteczny dzień nie założyła czarnej odzieży, tylko elegancką bordową suknię. Jej szczupłą szyję przyozdabiał naszyjnik z trzech sznurów pereł, w których odbijał się kolor ubrania, dlatego błyszcząły czerwono. Krok za nią stał ojciec Franco. W ręce trzymał nabożną książkę z zamiarem przeczytania z niej potem jakiegoś fragmentu.

Giulia skłoniła się przed hrabiną i na dany znak również stanęła za jej krzesłem. Przygotowując się wewnątrz do występu, obserwowała, co dzieje się w sali. Większość służby siedziała już na swoich miejscach i patrzyła w kierunku swej pani z dumą i radością w spojrzeniu. Mimo ścisłej hierarchii, która panowała wśród służby, Assumpcie przydzielono miejsce obok ochmistryni.

Niedaleko od niej miejsce miał Beppo, który siedział obok ogrodnika, niskiego żylastego mężczyzny. Giulia próbowała dojrzeć gdzieś ojca. W końcu odkryła go daleko z tyłu, między Risą i jeszcze jedną służącą. Wyglądał na podpitego i raz za razem chwycił Risę za tyłek. Młoda kobieta broniła się przed jego zakusami, ale zupełnie to ignorował.

Giulia wstydziła się za niego, bo wiedziała, że Risa jest zaręczona z woźnicą hrabiny i oboje dostali już nawet pozwolenie na ślub. Jej chłopcu ordynarne zaloty Girolama Casamontego również się nie podobały. Kręcił się nerwowo na swoim miejscu i gniewnym wzrokiem bombardował starego zboreźnika.

Giulia zastanawiała się, czy nie powinna podejść do ojca i poprosić go, by nie zakłócał uroczystości, ale wtedy hrabina obróciła się do niej i chwyciła ją za rękę.

– Mój drogi Giulio, wszyscy oczekujemy, że rozpoczniesz świąteczną kolację swoim śpiewem.

Giulia odwróciła wzrok od ojca, zaczerpnęła powietrza i zaczęła perliście śpiewać.

Girolamo Casamonte siedział z posępną miną na swoim miejscu i złościł się na wszystko, co tylko możliwe, począwszy od niechętej reakcji Risy na jego zaloty, a skończywszy na tym, że posadzono go wśród niższej służby, podczas gdy jego córka cieszyła się przywilejami i przyznano jej miejsce przy stole hrabiny wdowy. Jadło było chłopskie, a wino niesamowicie kwaśne. Z nostalgią wspominał wspaniałe trunki, których mógł kosztować w Zajeździe pod Złotą Owcą w Mantui.

Podczas gdy reszta uczestników przyjęcia była szczęśliwa, że hrabina wyzdrowiała i może świętować Boże Narodzenie, on stawał się coraz markotniejszy. Skrzywił się, gdy usłyszał, jak hrabina chwali jego córkę i ojca Franco za udany występ. Pomyślał sobie, że właściwie to jemu należy się pochwała. To przecież on odkrył głos Giulii i ją wyuczył. Gdyby nie poświęcił tylu lat i mozółu, żeby wykształcić córkę, nie siedziałyby teraz tam z przodu i nikt nie zachwycałby się jej śpiewem.

Żeby zająć myśli czym innym, spróbował jeszcze raz swego szczęścia u Risy, ale ta zamieniła się szybko miejscami z grubą kuchenną posługaczką. W związku z tym Girolamo Casamonte zainteresował się służącą siedzącą po jego drugim boku. Ale ta odwróciła się do niego ostentacyjnie tyłem i z ożywieniem rozmawiała ze swoim sąsiadem, muskularnym stajennym. Miała ładne plecy, na których widok Casamonte poczuł rosnące napięcie w pachwinach. Zastanawiał się, kiedy po raz ostatni miał pod sobą kobietę, i uznał, że musiała to być ta zachwycająca mała kurtyzana w Mantui, którą dość często odwiedzał w ciągu kilku ostatnich tygodni przed wyjazdem z miasta. Tu, w tym nędznym zamku, kobiety były albo stare, albo brzydkie, albo miały krzepkich narzeczonych, przez których nie miał co liczyć na odrobinę przyjemności w łóżku lub na sianie.

Gdy mieszkańcy wsi ustawili się w długim szeregu przed hrabiną wdową, aby złożyć jej życzenia z okazji świąt, ojciec Giulii szukał pocieszenia w winie. Podczas uroczystości piwniczny, który normalnie nie przydzielał mu więcej niż dzban wina dziennie, musiał odkręcić kurek szerokim strumieniem. Girolamo Casamonte postanowił wypić tyle, ile zdoła, chociaż przy pierwszym łyku aż się otrząsnął. „Przy stole hrabiny na pewno serwuje się lepszy trunek” – pomyślał i wlepił pełen zawiści wzrok w córkę. Giulia właśnie skończyła trzecią albo czwartą pieśń, a zachwycona hrabina biła oklaski. Ojciec Franco chwycił nawet dłoń Giulii i potrząsał nią entuzjastycznie.

„Gdyby mnich wiedział, że dotyka ręki kobiety, kazałby odrąbać sobie własną” – przeleciało Girolamowi Casamontemu przez głowę. Ale miałyby satysfakcję, mogąc powiedzieć to na głos, tak żeby wszyscy ludzie usłyszeli. Chciałby zobaczyć ich zdumione miny. Niestety, musiał sobie odmówić tej przyjemności, bo jego własna egzystencja zależała od tej niewdzięcznej dziewczuchy w spodniach, która zapomniała o swoich obowiązkach względem niego. Spojrzeniem powiódł po jej figurze, którą mocno podkreślało męskie odzienie. Dziewczyna miała teraz osiemnaście lat, a więc była dokładnie w wieku, w którym kobiety rozkwitają najpiękniej. Jej symetryczna twarz i wielkie oczy tylko ze względu na krótką fryzurę i beret na głowie wyglądały nie do końca kobieco, a biust, którego obfitość ściśnięta została pasami, dość wyraźnie odznaczał się pod kaftanem.

Girolamo Casamonte zapragnął nagle dotknąć piersi Giulii. Z początku poczuł lekkie wyrzuty sumienia, bo przecież Giulia była owocem jego łona. Ale potem przypomniał sobie pewien fragment

Biblii, w którym była mowa o tym, jak Noe w cielesnej potrzebie sypiał ze swoimi córkami. On też znajdował się w takiej potrzebie, bo napięcie w pachwinach stawało się powoli nie do wytrzymania. Spojrzał na przesadnie duży mieszek przy spodniach Giulii i mimowolnie pomyślał, że kryje on coś całkiem innego, niż ludzie sądzą.

Nagle zrobiło mu się ciasno w jego własnym mieszk. Jęknął z bólu i poszedł pospiesznie do wychodka. Poprawiając sobie spodnie, zastanawiał się, czy grzech Onana ma przed Bogiem mniejszą wagę niż grzech Noego. Ale potem przypomniał sobie, że Giulia z powodu narzuconego jej przebrania nie ma szans na poznanie dobrodziejstw cielesnej miłości. Uznał, że jego obowiązkiem jest rozbudzenie jej zmysłów. Dzięki tej myśli odzyskał spokój i wrócił radośnie podekscytowany do sali, w której trwało świąteczne przyjęcie.

Giulia uznała, że nigdy dotąd nie przeżyła piękniejszego *Festa di Natale*. Nawet jej ojciec, który rzadko bywał zadowolony, odzyskał dobry humor. Przestał pić tak zachłannie i po każdej wykonanej przez nią pieśni wraz z innymi bił z zachwytem brawo.

W końcu nastąpił punkt kulminacyjny przyjęcia. Hrabina wdowa własnoręcznie obdarowała uroczymi drobiazgami mieszkańców wsi, którzy złożyli jej wizytę, a oprócz tego kazała im wręczyć placki. Służba zamkowa też nie odeszła z pustymi rękoma. Kobiety otrzymały po kawałku materiału na nową suknię, mężczyźni po zgrabnym nożu, wszyscy niezależnie od płci także srebrne monety. Ojciec Franco został obdarowany pięknie ilustrowaną książką, którą hrabina nabyła dla niego w Mantui. Przyjął ten prezent ze wzruszeniem i przyglądał mu się uradowany.

Na sam koniec hrabina przywołała do siebie Giulie.

– Dziękuję wam, Casamonte, za ten piękny dzień. Chciałabym, żebyście jako wyraz mojej wdzięczności przyjęli w prezencie ten pierścień.

Podążyła Giulii złoty pierścień, w którego oprawce osadzony był kunsztownie szlifowany ametyst. Szambelanka Celestina przyniosła tacę z papierem, woskiem pieczęciowym i płonąca świecą. Postawiła to wszystko przed Giulią na stole.

– To sygnet do pieczętowania – wyjaśniła hrabina i uśmiechnęła się zachęcająco do Giulii, by go wypróbowała.

Szambelanka rozgrzała wosk i nałóżła odrobinę na papier. Dopiero teraz Giulia otrząsnęła się z letargu i wcisnęła sygnet ostrożnie w miękką substancję, po czym go uniosła. Odcisk ukazywał górę, na której szczycie stoi dom.

– To wasze nazwisko wycięte w kamieniu – wyjaśniła hrabina. – Niech ten pierścień przynosi wam szczęście.

– Dziękuję Waszej Wysokości.

Giulia osunęła się na kolana i ze wzruszeniem ucałowała dłoń damy. Ta pogłaskała ją po włosach, walcząc z cisnącymi się do oczu łzami.

– Zrobiło się późno. Dlatego pójdę już do siebie.

Hrabina gestem ręki przywołała szambelankę i kazała gościom, którzy również chcieli wstać, aby pozostali na swoich miejscach.

– Raczcie się winem i potrawami i świętujcie dalej Boże Narodzenie, póki dzwon nie wybije północy.

Hrabina wsparła się na ramieniu Celestiny i ta wyprowadziła ją z sali.

Giulia popatrzyła na swój talerz i uznała, że zjadła już dość. Gdy służąca chciała jej dołożyć, zasłoniła talerz dłonią.

– Już mi wystarczy, a poza tym jestem zmęczony. Pójdę w ślady Jej Wysokości i udam się na spoczynek. Przecież jutro rano muszę być w formie, aby zaśpiewać w kaplicy zamkowej.

Ojciec Franco skinął z aprobatą głową i życzył jej dobrej nocy. Sam natomiast podał służącej talerz, żeby nałożyła mu jeszcze kawałek pieczeni. Giulia pożegnała się przyjaznym gestem z ochmistrzynią i pozostałymi gośćmi, po czym poszła do swojego pokoju na nieco sztywnych nogach.

Tam zasunęła skobel i zaciągnęła zasłonki wiszące u obu małych okienek, potem się rozebrała i umyła pobieżnie zimną wodą. Wyciągnęła z łóżka dość ciepłą jeszcze szkandelę i wsunęła się z ulgą pod pierzynę. Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć, bo z radości, że Boże Narodzenie się udało, serce biło jej szybciej. Mimowolnie pomyślała o minionych świętach, kiedy jeszcze żyli jej matka i brat Pierino. Wtedy czuła podobny zachwyty, ale była jeszcze beztroską dziewczynką, która nic nie wiedziała o pięknych i ciemnych stronach życia.

Mocne pukanie wyrwało ją z zamyślenia. W pierwszej chwili postanowiła się nie odzywać, ale potem pomyślała, że to pewnie Assumpta chce sprawdzić, czy w kominku płonie ogień, więc wstała.

– Tak? Kto tam? – zapytała na wszelki wypadek.

Wtedy usłyszała głos ojca.

– To ja. Otwórz! Muszę z tobą porozmawiać.

– Czy to nie może poczekać do jutra? Już leżę w łóżku.

Giulia nie chciała, żeby jego widok zepsuł jej samopoczucie przed snem, ale on nalegał.

– To ważne. Chcę ci dać prezent – powiedział.

Giulia trochę się zdziwiła, ponieważ ojciec przez ostatnie lata ani razu nie dał jej prezentu na Boże Narodzenie. Szybko zapaliła lampę fidybusem, który trzymała w resztkach żaru w kominku, założyła na siebie obszerny szlafrok, który tak dobrze maskował jej figurę, że mogła się w nim pokazać nawet Risie i ochmistrzyni, po czym otworzyła drzwi. Ojciec pospiesznie wsunął się do środka, zamknął je za sobą i zasunął skobel. Oczy mu błyszczały, a Giulii zrobiło się aż niedobrze od kwaśnego zapachu wina, który się od niego rozchodził. Cofnęła się do stołu i wzięła do ręki przygotowany dla niego prezent, który miała mu dać następnego dnia. Jednocześnie zauważyła, że nic ze sobą nie przyniosła. Zanim zdołała coś powiedzieć, ojciec złapał ją i przyciągnął do siebie. Rozsunął gwałtownie połę jej szlafroka i próbował schwytać ją za pierś.

– Co to ma znaczyć? – Giulia ze strachu czuła się jak sparaliżowana, ale próbowała odepchnąć go od siebie.

– Jesteś kobietą – szepnął ochrypłym głosem. – Musisz poznać miłość. Ja cię tego nauczę.

– Albo jesteś całkiem pijany, albo oszalałeś!

Giulia szarpała się i wiała, nie mogła mu się jednak wyrwać. Pchnął ją na łóżko; próbowała obrócić się na bok, ale przygniótł ją całym swym ciężarem.

– Nie broń się, spodoba ci się – wyszeptał jej do ucha.

Ściągnął z niej szlafrok, a potem próbował rozsupłać jej koszulę nocną. Nie mógł sobie z tym poradzić, więc rozerwał ją ze złością. Odśloniła się jej lewa pierś. Ścisnął ją tak mocno, że Giulia jęknęła z bólu. Przyssał się mokrymi, zimnymi ustami do jej różowej brodawki.

Do tego momentu Giulia miała jeszcze nadzieję, że ojciec oprzytomnieje i ją zostawi. Ale teraz, gdy zaczął podbrzuszem gwałtownie pocierać o jej podbrzusze i przez materiał poczuła jego nabrzmiąły członek, zrozumiała, że ojciec nie zrezygnuje, póki nie dostanie tego, po co tu przyszedł. Chciała krzyczeć i wołać o pomoc, ale nie mogła tego zrobić – wolałaby sobie odgryźć język. Jeśli do pokoju wpadliby ludzie chcący jej pomóc, wówczas skończyłaby się jej rola kastrata. Z powodu głupoty i żądzy ojca trafiłaby przed papieski sąd inkwizycyjny, a to oznaczałoby śmierć na stosie – o ile przeżyłaby wcześniejsze przesłuchania.

Strach i gniew dodały jej siły. Rzuciła się gwałtownie, uwolniła nogę i uderzyła ojca kolanem. Wprawdzie trafiła go tylko w udo, ale to wystarczyło, by z bólu na moment się uniósł. Wysunęła się spod niego, spadła na podłogę i szybko odczołgała z zasięgu jego rąk. Gdy wstał, zauważyła, że

koszula została na łóżku, a ona stoi naga i bezbronna przed lubieżnym wzrokiem ojca.

– Dlaczego się bronisz? Oboje jesteśmy samotni, moje dziecko. Moglibyśmy się nawzajem pocieszyć.

Wstał i zaczął się do niej zbliżać z rozpostartymi ramionami.

Giulia rozejrzała się rozpaczliwie, czy nie znajdzie jakiejś broni. Ale w zasięgu jej rąk leżał tylko maleńki nożyk, którym ostrzyła pióra do pisania. Czymś takim nie mogła powstrzymać silnego mężczyzny. W tym momencie uświadomiła sobie boleśnie, że nie może też podnieść ręki na własnego ojca. Mimo to chwyciła nożyk i go uniosła.

– Stój, ojcze. Jeśli zrobisz jeszcze krok, to się zabiję.

Dla wzmocnienia swoich słów przystawiła sobie krótkie ostrze do miejsca na szyi, gdzie mocno i boleśnie pulsowała tętnica.

– Nie rozumiesz mnie. Chcę ci tylko zrobić dobrze.

Girolamo Casamonte wpatrywał się w córkę, jakby nie mógł pojąć jej zachowania. Zrobił kolejny krok w jej kierunku. Natychmiast przycisnęła ostrze tak mocno do szyi, że przecięła skórę, a z rany wypłynęła czerwona kropla krwi.

– Będziesz się musiał tłumaczyć przed hrabiną, a później przed władzami.

Jej zdecydowana postawa szybko go otrzeźwiła. Jego dotychczas napięty jak struna członek skurczył się i opadł.

– Nie zrobisz tego – próbował ją wybadać.

– Jeśli podejdziesz bliżej, na pewno to zrobię.

Zabrzmiało to jak przysięga. Z nożem przyciśniętym do gardła stała przed nim wyprostowana. Ręką wskazała drzwi. Girolamo Casamonte uniósł ręce w obronnym geście i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przestraszyło go jej spojrzenie i druga kropla krwi, która popłynęła jej po skórze. Odwrócił się więc, odsunął skobel i wyszedł chwiejnie z opuszczonymi ramionami.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Giulia dopadła do nich i je zaryglowała. Ręce jej dygotały ze zdenerwowania. Nie mogła uwierzyć, że udało jej się uratować przed jego atakiem. Czuła obrzydzenie, a jednocześnie euforię. Po raz pierwszy zdołała się skutecznie przeciwstawić ojcu. Postanowiła, że nie będzie to ostatni raz.

Dopiero teraz zauważyła, że wciąż jeszcze kurczowo ściska nożyk. Odłożyła go ze wstrętem. Przez moment zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej wyznać wszystko hrabinie i zawierzyć się jej łasce. Ale natychmiast odrzuciła tę myśl. Hrabina wdowa to dama o surowych zasadach, częściowo nawet dość skostniałych. Z pewnością nie miałaby litości dla awanturniczki, która wstąpiła do niej na służbę przebrana za kastrata. Nie, Giulia musiała poradzić sobie z tym problemem sama.

Spojrząwszy na porwaną koszulę, uświadomiła sobie, że nie zdoła ukryć zdarzeń dzisiejszej nocy przed Assumptą. W przyпіływie gniewu chwyciła strzępy ubrania i wrzuciła je do kominka. A niech Assumpta pyta, gdzie się podziała koszula. Giulia nic jej nie powie.

Następnego ranka ludzie, którzy słuchali jej śpiewu w kaplicy, mówili, że jeszcze nigdy nie słyszeli, żeby kastrat śpiewał tak pięknie i z takim oddaniem. Hrabinie pociekły rześiste łzy i pocałowała ze wzruszeniem dłoń śpiewaka. Giulia przyjęła te podziękowania z przyjaznym uśmiechem i skryła własne uczucia głęboko w zakamarkach duszy.

Ani tego dnia, ani następnego nie widziała ojca. Girolamo Casamonte pokazał się dopiero na trzeci dzień i zachowywał tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Giulia gardziła nim za to równie mocno jak za próbę gwałtu.

Pozegnanie było krótkie, ale serdeczne. Hrabina wdowa uścisnęła ręce Giulii i przycisnęła je sobie do piersi, ochmistrzyni zaś dała upust łzom. Ojciec Franco chrząknął tylko smutnie, żeby pozbyć się guli ściskającej mu gardło.

– Ale wróćcie w listopadzie, Casamonte, prawda? Obiecujcie mi to! – powiedziała błagalnie hrabina lekliwym tonem małego dziecka.

Giulia miała wyrzuty sumienia, że ją opuszcza. Ale nim zdołała się odezwać, głos zabrał jej ojciec.

– Zapewniam, że wrócimy, Wasza Wysokość.

Było to kłamstwo, jedno z wielu, które wypowiadał szczerym głosem, jakby sam w nie wierzył. Giulia nie wiedziała, czy chciałaby jeszcze kiedyś wrócić do Faleny. Naturalnie spotkała się tu z przyjazną gościnnością, ale myśl o tym, co się stało w noc po uroczystości Bożego Narodzenia, wciąż jeszcze, po niemal trzech miesiącach, była tak świeża, jakby dopiero wczoraj wypędziła ojca ze swojej sypialni.

– Zostańcie z Bogiem.

Podążyła po kolei rękę Risie, ochmistrzyni i szambelance Celestinie, a następnie ojcu Franco, który długo ją przytrzymał, jakby nie miał ochoty jej wypuścić. Po raz ostatni skłoniła się przed hrabiną i wsiadła do powozu, który został im udostępniony, by mogli się udać do Modeny.

Ojciec wszedł tam tuż za nią i opadł ciężko na wyściełaną ławkę. Dopiero wtedy zauważył, że Giulia tym razem usiadła tyłem do kierunku jazdy. Nim zdążył coś powiedzieć, do wnętrza karocy weszła Assumpta i na znak Giulii usiadła obok niej. Beppo, uśmiechając się lekko, zajął miejsce obok Girolama Casamontego.

Oboje małżonkowie dziwili się, czemu Giulia jest tak niechętnie nastawiona wobec ojca. Domyślali się, że między ojcem i córką doszło do jakiegoś niemiłego zdarzenia. Ale teraz nic nie powiedzieli, lecz patrzyli ze smutkiem na gościnne miejsce, z którym niechętnie się rozstawali. Assumpta zdołała zdobyć zaufanie ochmistrzyni, nie zrażając do siebie przy tym reszty służby, a Beppo odczuwał smutek na myśl o roślinach, które jeszcze w zeszłym tygodniu sadił i siał razem z zamkowym ogrodnikiem. Tak by chciał zobaczyć, jak rosną i dojrzewają. Poza tym on i Assumpta byli święcie przekonani, że Falena to jedyne miejsce, gdzie ich młoda pani może przebywać bez narażania życia na szwank.

Giulia wolała jednak opuścić Falenę właśnie ze względu na owo złudne poczucie bezpieczeństwa, choć i tak nie miała innego wyjścia, bo hrabina znów zamierzała spędzić lato w Mantui. „Jeśli mam się uwolnić od ojca – doszła do wniosku dziewczyna – nie mogę się dekwować w takim pozornie sielankowym miejscu”. Było jej w zasadzie obojętne, dokąd pojedą. Musiała sobie radzić na tym świecie, przeciwstawiając się przy tym ojcu. Girolamo Casamonte nic nie wiedział o buntowniczych myślach córki. Wyobrażał sobie, jak cudownie im będzie w Modenie. Oczami duszy widział już, jak Giulia z łatwością zdobywa przychylność księcia Herkulesa II i jest obsypywana złotem.

Trzęsąc się, pojazd jechał kiepską drogą i Giulia raz za razem wpadała na Assumptę. Dumiała o własnych planach, podczas gdy ojciec rozprawiał o swojej wizji przyszłości. Gdy nagle wyciągnął

rękę, by dla wzmocnienia swoich słów dotknąć jej kolana, natychmiast otrzeźwiała. Błyskawicznie chwyciła go mocno za przedramię.

– Nie waż się. Nigdy więcej mnie nie dotykaj!

Chociaż powiedziała to cicho, żeby nie mógł jej usłyszeć woźnica na koźle, to groźny ton przestraszył ojca.

Girolamo Casamonte miał nadzieję, że nieszczęsny bożonarodzeniowy incydent zostanie zapomniany. Przekonał się jednak, że jego córka wciąż jeszcze myśli o tym, co się stało, i przez to widzi w nim wroga. Ta świadomość zaboląła go bardziej, niż gotów byłby przyznać, ale nie zaprzętał sobie tym długo głowy, tylko wybiegł myślami daleko naprzód. Dzięki hojności hrabiny jego sakwa była pełna i już teraz się cieszył, że w Modenie będzie mógł w ramionach kurtyzan zapomnieć o długiej, lodowatej i samotnej zimie.

Podczas gdy ojciec oddawał się marzeniom, Giulia spoglądała na zielony, kwitnący krajobraz, który przesuwiał się za oknami ich karocy, i nagle poczuła się wolna od wszelkich przymusów. Ojciec i Paolo Gonzaga pokazali jej wyraźnie, że mężczyźni są jak lubieżne kozły lub byki i nie cofną się przed żadną niegodziwością, żeby zaspokoić popęd. Jako kastrat nie musiała się obawiać tego typu ataków. Nie sądziła też, że ojciec ponownie spróbuje ją zgwałcić, bo teraz znów znajdzie się w mieście i będzie mógł odwiedzać domy sprzedajnych kobiet, gdzie zapomni, że ma córkę.

O swoją najbliższą przyszłość Giulia nie musiała się martwić, ponieważ hrabina wdowa wyposażyła ją w kilka listów polecających dla znajomych w Modenie. Tego lata dziewczyna chciała występować w stolicy księstwa, żeby zebrać dość pieniędzy na dalsze kształcenie. Może na zimę znowu zamieszka w zamku Falena, by służyć swym śpiewem hrabinie wdowie. Teraz jeszcze nie była tego pewna, ale mocno postanowiła, że nie pozwoli, by ojciec wpływał na jej decyzje.

Przenocowali w Castellarano, niewielkim mieście na skraju Apeninów, a następnego dnia ruszyli z biegiem Secchii do Modeny, do której dotarli późnym popołudniem. Giulia zgodnie z radą ochmistrzyni wybrała zajazd Il Leone, by tymczasowo w nim zamieszkać, chociaż ojciec marszczył nos na czysty, ale jak na jego gust nazbyt skromny przybytek. Nie przeszkodziło mu to jednak oddać się z lubością przysmakom tutejszej kuchni i kosztować wspaniałego toskańskiego wina. Późnym wieczorem, gdy Giulia i oboje służących leżeli już w łóżku, Girolamo Casamonte poczuł ochotę na małą erotyczną przygodę.

– Hej, chłopcze – zawołał do posługacza, który znajdował się w sali karczemnej. Ten podszedł szybko, mając nadzieję, że dostanie napiwek. Casamonte mrugnął do niego i pokazał mu na dłoni błyszczącego solda. – Jesteś bywałym człowiekiem i na pewno wiesz, która kobietka byłaby gotowa wyświadczyć drobną przysługę samotnemu podróżnemu.

– Tu, w Zajeździe pod Lwem, żadna. Gospodyni jest bardzo surowa. – Pacholek już myślał, że musi zrezygnować z monety, gdy wtem przyszło mu coś do głowy. – Ale słyszałem, że wdowa Cotturi przy Via Alfonso prowadzi bardzo wytworny, ale przyjazny dla gości dom i podobno ma kilka ślicznych siostrzenic.

Sold zmienił właściciela. Casamonte wstał i położył pacholekowi rękę na ramieniu.

– Powiedz mi jeszcze, jak dojdę do Via Alfonso.

Chłopak skinął gorliwie głową i wyjaśnił mu, jak trafić pod właściwy adres.

Casamonte z z troskaniem pokiwał głową.

– Nie wiem, czy po ciemku uda mi się odnaleźć drogę.

– Załatwię wam światło.

Pachołek nie czekał na odpowiedź, tylko spieszenie się oddalił i wrócił szybko z zapaloną lampą. Wyglądał na zaniepokojonego, jakby coś ważnego przyszło mu do głowy.

– Nie wiem, czy dobrze wam doradziłem. Pani Cotturi jest podobno naprawdę bardzo wytworna. Nie wiem, czy zgodzi się wpuścić do siebie do domu obcego podróżnego.

– Mnie na pewno wpuści – odpowiedział Girolamo Casamonte ze śmiechem i poklepał się przy tym po pełnej i ciężkiej kiesie, która wisiała mu u pasa.

Podziękował pachołkowi za lampę i w świetnym humorze opuścił zajazd. Opis drogi był tak precyzyjny, że znalazł dom pani Cotturi szybciej, niż się spodziewał. Spojrzał z zadowoleniem na solidne odrzwia z brązu i trzy razy uderzył mocno kołatką.

Drzwi się uchyliły. Podstarzała kobieta wysunęła głowę na zewnątrz i zlustrowała go podejrzliwie wzrokiem.

– Czego chcecie?

– Nazywam się Girolamo Casamonte – przedstawił się ojciec Giulii, robiąc ważną minę, jakby cała Modena powinna go znać. – Dowiedziałem się, że pani Cotturi prowadzi wytworny dom i ma piękne siostrzenice. Ponieważ zamierzam spędzić lato w Modenie, przyszedłem, żeby się przekonać o tym na własne oczy.

Wyczarował skuda z kaftana i podał kobiecie. Ta się zawahała, ale moneta ją skusiła, by wpuścić do środka obcego mężczyznę. Miał na sobie wytworne odzienie uszyte według najnowszej mody, a więc wyglądał na pana z wyższych sfer. Właściwie przed wpuszczeniem go powinna najpierw zapytać swoją panią. Ale nie chciała zniechęcać takiego wspaniałomyślnego pana, każąc mu czekać na zewnątrz, na ulicy.

– Wejdźcie – powiedziała do Fassiego *vel* Casamontego. – Przedstawię was pani Cotturi.

Ojciec Giulii skorzystał z zaproszenia. Uśmiechał się tak błogo, jakby otwarły się przed nim bramy raj. Widok holu napełnił go zdumieniem. Podłogę wyłożono cennym dywanem, jak gdyby z ulicy nie wnoszono do środka brudu. Ściany dość dużego prostokątnego pomieszczenia były ozdobione połączanymi stiukowymi ornamentami, między którymi wisiały obrazy w stylu Botticellego, przedstawiające młode, piękne, a przede wszystkim prawie nagie kobiety. Casamonte podziwiał Wenus, która przesłoniła swą nagość wyłącznie włosami, i z podniecenia poczuł napięcie w pachwinach. Portierka poprowadziła go przez drzwi mające po bokach kobiece posągi naturalnej wielkości, golusieńkie jak Wenus na obrazie. Na ścianach korytarza, który ciągnął się za holem, mógł podziwiać kolejne wizerunki pięknych kobiet z odsłoniętymi biustami i z listkiem figowym na łonie.

Pomieszczenia w domu pani Cotturi wyglądały dużo gustowniej niż u kurtyzan, które odwiedzał w Mantui. Przez moment się zawahał, czy dobrze zrobił, przychodząc do tego lokalu, ale wtedy właśnie znaleźli się w salonie, który był urządzonej z jeszcze większym przepychem. Na ścianach w tonach łagodnej zieleni wisiały duże obrazy z pięknymi kobietami – eleganckimi, a zarazem ponętymi. Po drugiej stronie salonu stał duży, ciężki stół z toczonymi nogami, wokół niego kilka wyściełanych krzeseł. Siedzieli na nich w mało wytwornych pozach trzej młodzi mężczyźni w strojach szlachciców i rozkoszowali się towarzystwem czterech kobiet, które pod względem wyglądu jak najbardziej mogły konkurować z pięknosciami na obrazach. Dziewczyna w wieku szesnastu–siedemnastu lat stała oparta o posąg, który wyjątkowo nie przedstawiał kobiety, tylko nagiego młodzieńca, i śpiewała nieprzyzwoitą piosenkę; akompaniowała jej na lutni starsza kobieta.

Gdy śpiewaczka skończyła, mężczyźni przy stole nagrodzili jej występ brawami. Zachwycony Casamonte również przyłączył się do aplauzu. Nie mógł oderwać wzroku od pięknej dziewczyny i

dlatego nawet nie zauważył, że podeszła do niego starsza matrona.

– Dzień dobry. Nazywam się Olimpia Cotturi, jestem właścicielką tego domu. Czy mogę zapytać, z kim mam zaszczyt?

– Girolamo Casamonte, do usług – przedstawił się ojciec Giulii, skłaniając się przesadnie nisko. – Niedawno przybyłem do Modeny i szukam miejsca, gdzie światowy człowiek mógłby się oddać radościom Wenus.

Olimpia Cotturi była bardziej doświadczona niż służąca, która otworzyła drzwi. Natychmiast zorientowała się, że ma do czynienia z prowincjuszem, który doszedł do pieniędzy. Ponieważ jednak chciała się o nim dowiedzieć czegoś więcej, kazała służącej podać mu wina.

– Dziękuję wam – odpowiedział Casamonte, oczami pożerając cztery młode kobiety przy stole.

Miały na sobie suknie z prześwitującego materiału, przez który można było dojrzeć barwne halki. Dwie kobiety były mocno wydekoltowane, z biustem prawie na wierzchu. Trzecia miała na sobie tylko cienką koszulę, przez którą prześwitywały jej piersi z różowymi brodawkami. Ojciec Giulii obrócił się do pani domu i z uznaniem skinął głową.

– Macie rzeczywiście śliczne, a przede wszystkim ponętne siostrzenice. Chętnie spędziłbym trochę czasu z jedną z nich sam na sam.

Olimpia Cotturi skrzywiła się i uniosła palec wskazujący.

– Jesteście tu obcy, więc nie znacie naszych zwyczajów. U nas nie wchodzi się tak po prostu do środka i kiwa palcem na dziewczynę, żeby poszła do łóżka jak w zwyczajnym zamtuzie. Prawie wszystkie moje siostrzenice są na stałe związane ze szlachetnymi panami z Modeny, a ci pokrywają wszystkie ich potrzeby finansowe. Za to panowie nie tylko otrzymują radości Wenus, ale też mogą poszczycić się pięknymi i mądrymi damami do towarzystwa i przyjaciółkami.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby któraś z tych pięknych sikoreczek została moją przyjaciółką na czas lata – stwierdził Girolamo Casamonte wyniośle.

– Dokonam dla pana rezerwacji. Gdy tylko któraś z moich siostrzenic zostanie zwolniona ze swoich obecnych zobowiązań, będziecie mogli zawrzeć z nią umowę.

– Bardzo chętnie. – Girolamo Casamonte wskazał kurtyzanę siedzącą najbardziej na lewo, której obfite piersi niemal rozsadały suknię. – Jeśli to możliwe, wziąłbym tę.

– Ta niestety nie wchodzi w rachubę. Norina na czas nieokreślony wyświadcza przysługi szanownemu *messer* Torazziemu.

Girolamo Casamonte westchnął rozczarowany, ale potem po jego twarzy przemknął chytry uśmiech. Chwycił gospodynię za ramię i odciągnął ją na bok, żeby nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Mogłaby mnie przecież, hm, obsłużyć dziś wieczorem. A umowę zawarlibyśmy później.

Rozgniewana pani Cotturi odepchnęła go do siebie i zmarszczyła nos.

– Obecnie żadna z moich siostrzenic nie jest wolna.

– Mógłbym wziąć tę małą.

Ojciec Giulii wskazał ręką młodziutką śpiewaczkę.

– Donatella jest moją córką i wciąż jeszcze dziewicą. Ten, kto chce ją wziąć jako pierwszy, musi zapłacić pięćset złotych dukatów.

Olimpia Cotturi podkreśliła słowa „złotych dukatów” i tym samym wprowadziła swego rozmówcę w osłupienie.

– Pięćset złotych dukatów? – powtórzył ze zgrozą Girolamo Casamonte.

Nie stać go było na taką sumę. Giulia wprawdzie w ciągu ostatnich lat zarobiła nawet więcej, ale

życie w Mantui było drogie, a szczególnie wizyty u sprzedajnych dam, tak więc większość jej zarobków się rozeszła. Nawet sowite honorarium, które wypłaciła im hrabina w Falenie, nie wystarczyłoby na zapłacenie dziewczynie za jej cnotę. Mimo to nie zamierzał odejść z niczym.

– Nie musi być od razu dziewica. Jedna z tych czterech przy stole też mnie usatysfakcjonuje. Jest tylko trzech panów, więc czwarta mogłaby się zatroszczyć o moje potrzeby – zaproponował pani domu.

– Gdy któraś z moich siostrzenic zawrze umowę z jakimś panem, wówczas jest tylko do jego dyspozycji i nie zadaje się z nikim innym.

Olimpia Cotturi tupnęła zupełnie nieelegancko. Mówiła przy tym tak głośno, że zagłuszyła następną piosenkę wykonywaną przez młodą śpiewaczkę. Trzej mężczyźni przy stole unieśli głowy i wlepili wzrok w intruza.

Girolamo Casamonte nawet nie zauważył, że ściągnął na siebie ich uwagę. Machnął ręką i się zaśmiał.

– Przecież nikt nawet nie zauważy, jeśli jedna z tych pięknotek uniesie na moment spódnicę.

Jeden ze szlachciców wstał i podszedł bliżej.

– Czy ten gamoń się pani naprzykrza, donno Olimpio?

– Gamoń?! – Girolamo Casamonte był zbyt pijany, żeby tak po prostu przełknąć obrazę. – Albo mnie przeprosicie, albo...

Szlachcic wykrzywił pogardliwie usta i pchnął go dłonią w pierś, tak że Casamonte cofnął się chwiejnie o kilka kroków.

– Albo co, gamoniu?

Wściekły Casamonte zacisnął dłonie w pięści i chciał uderzyć szlachcica, ten jednak zwinnie się odsunął, zamachnął i uderzył mocno przeciwnika w podbródek. Ojciec Giulii wpadł na ścianę. Aby nie upaść, próbował się czegoś przytrzymać i zerwał jeden z obrazów. Bez zastanowienia chwycił go i chciał nim zaatakować szlachcica, nagle jednak stwierdził, że jest otoczony przez trzech przeciwników.

Zanim Girolamo Casamonte się zorientował, ciosy spadały na niego jeden za drugim. Na początku próbował się bronić, ale był za słaby, żeby poradzić sobie z trzema młodymi mężczyznami, a na dodatek wciąż jeszcze szumiało mu w głowie od wina wypitego w Zajeździe pod Lwem. W końcu upadł na dywan, a szlachcice zaczęli go kopać. Gdy jeden z nich wyciągnął sztylet, Olimpia Cotturi zainterweniowała.

– Zostawcie go, panowie. Dostał już za swoje. Jeśli go zabijecie, będę miała problemy. Urzędnicy księcia Herkulesa będą prowadzić dochodzenie.

Szlachcic z żalem wsunął sztylet z powrotem do pochwy, pochylił się nad rannym, chwycił go za włosy i uniósł mu głowę.

– Posłuchaj, gamoniu. Masz zniknąć jak najszybciej z Modeny. W przeciwnym razie wykąpiesz się w Secchii, ale najpierw mój sztylet napije się twojej krwi.

Roześmiał się, jakby opowiedział dobry dowcip, i wraz ze swymi towarzyszami wrócił do kurtyzan.

Olimpia Cotturi patrzyła na półprzytomnego mężczyznę, zastanawiając się, czy mu pomóc. Potem pomyślała o swoich wysoko urodzonych gościach, którzy mieliby jej to za złe, i kazała służącym wyciągnąć tego człowieka na ulicę.

Tego dnia Vincenzo de la Torre nie miał szczęścia. Od rana pukał do drzwi znajomych tylko po to, żeby stwierdzić, iż wszyscy kazali mówić służbie, że nie ma ich w domu. Gdy wieczorem zmęczony, a przede wszystkim potwornie głodny wrócił do swego zajazdu, gospodarz kazał dwóm roslým parobkom, aby wyrzucili go na ulicę. Vincenzo zalegał karczmarzowi z czynszem za dwa miesiące, ale był pewien, że jutro albo pojutrze znajdzie przyjaciela, który pomoże mu wydostać się z opałów. Teraz musiał znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby się przespać i doprowadzić nieco do porządku swój wygląd. Zatopiony w myślach pomacał węzełek, który gospodarz wyrzucił za nim, i zaklął głośno. Drań na poczet płatności faktycznie zabrał ostatnią porządną koszulę Vincenza.

– A niech go pogryzą pchły i pluskwy!

Vincenzo zaklął pod nosem, zarzucił nędzną resztkę swego mienia na ramię i ostrożnie ruszył ulicą, żeby nie potknąć się w egipskich ciemnościach o jakiś bezmyślnie pozostawiony przedmiot. Niestety wiedział aż zanedo dobrze, że sam stanie się ofiarą pcheł i pluskiew, jeśli wkrótce nie znajdzie jakiegoś rozwiązania swoich problemów. Zdążył już zastawić lutnię i szpadę, ale i z tych pieniędzy nie został mu w kieszeni nawet jeden denar. W brzuchu nieprzyzwoicie mu burczało i przyłapał się na tym, że obchodzi jedną z tawern jak marcujący kocur kocią damę.

Ponieważ wiedział, że żaden karczmarz i żadna karczmarka nie dadzą mu bez pieniędzy nic do jedzenia, szedł dalej przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd go droga zaprowadzi. Pomyślał, że najlepszym dla niego rozwiązaniem będzie opuścić następnego ranka Modenę i spróbować gdzieś w drodze dostać coś na ząb. Jeśli nie będzie innego wyjścia, najmie się do rąbania drewna albo pielienia w jakiejś winnicy. „Gdy ktoś z mego stanu rozpozna mnie podczas tego hańbiącego zajęcia, to do końca życia będę przekreślony w towarzystwie” – pomyślał i roześmiał się gorzko. Wyższe sfery tego miasta traktowały go z takim lekceważeniem, że gorzej być nie mogło. Już teraz czuł się jak trędowaty.

Podczas wędrówki trafił na Via Alfonso i spojrzał krótko w górę, na rozświetlone okna domu pani Cotturi. Ze słyszenia wiedział, że mieszkają tu najdroższe kurtyzany w Modenie, nigdy jednak nie miał okazji zawitać do tego przybytku, a raczej brakowało mu zawsze pieniędzy. Gdy mijał po omacku dom, zaczępił nogą o coś miękkiego. W tej samej chwili usłyszał żalony jęk.

Vincenzo pochylił się i pośrodku ulicy wymacał leżącego mężczyznę, który nie mógł wstać. Nagle jego palce natrafiły na pełną kiesę. Przez moment czuł pokusę, żeby ją sobie przywłaszczyć. Nawet jeśli w środku znajdowało się tylko srebro, mógłby sobie za nie kupić nowe ubranie i zarozumiali portierzy nie spławialiby go od razu spod drzwi. Potem jednak pokręcił głową. W rodzie de la Torre w przeszłości nie wszyscy chłopcy śpiewali w chórze kościelnym, ale żaden z nich nie upadł tak nisko, żeby zostać zwykłym złodziejem.

Puścił sakwę, jakby go parzyła, i obmacał głowę mężczyzny.

– Hej, ty! Rozumiesz, co mówię?

W odpowiedzi usłyszał zdławiony bulgot. Vincenzo zorientował się, że mężczyzna zaraz dostanie torsji, i odwrócił go tak, żeby mógł opróżnić zawartość żołądka i się nie zadławić. Minał dłuższy czas, nim mężczyzna skończył wymiotować. Vincenzo jeszcze raz zapytał go, czy rozumie, co się do

niego mówi.

– Tak – wymamrotał żalonym głosem nieszczęśnik.

– Czy mogę ci pomóc? – pytał dalej Vincenzo.

Mężczyzna leżał na ulicy tak bezwładnie, że na pewno nie mógłby prędko podnieść się na nogi. Musiał być mocno pijany i upadł. Niemożliwe, żeby napadli go uliczni rabusie, bo przecież miał przy sobie pełną kiesę.

– Gdzie mam cię zabrać?

– Do Lwa – wymamrotał z trudem mężczyzna.

Vincenzo w pierwszej chwili nie wiedział, co mężczyzna ma na myśli, ale potem przypomniał sobie zajazd o takiej nazwie, który musiał znajdować się gdzieś w pobliżu. Z trudem podniósł bezwładnego jak worek mężczyznę i zarzucił go sobie na plecy.

– Mógłbyś trochę mniej ważyć – powiedział, sapiąc, i ruszył w drogę.

Czuł teraz na własnym ciele, jak osłabiło go niedojadanie w ciągu ostatnich dni. Zakręciło mu się w głowie i musiał przytrzymywać się fasad domów. Jakoś jednak udało mu się dotrzeć do zajazdu. Zakołatał w zamkniętą furtkę prowadzącą na dziedziniec.

Minęła dłuższa chwila, nim w końcu pojawił się parobek z lampą, by wpuścić późnych gości. Na widok Vincenza i jego ładunku na plecach zrobił wielkie oczy.

– Znalazłem tego pana leżącego na ulicy. O ile dobrze go zrozumiałem, mieszka w waszym zajęździe – wyjaśnił Vincenzo.

– To szanowny pan Casamonte. Wejdźcie. Zawołam szybko jego syna i służącego – wykrztusił parobek i oświetlił Vincenzowi drogę.

Ten poszedł za nim i był nieskończenie zadowolony, że może zwalić pijanego mężczyznę ze swoich barków do łóżka.

W świetle świecy zauważył otarcia na twarzy Casamontego. Podbite oczy i rozcięte wargi nie mogły być wynikiem jedynie upadku. Mężczyzna wyglądał, jakby całkiem niedawno ktoś go porządnie pobił.

Gdy Vincenzo zajęty był sprawdzaniem, czy ranny nie odniósł innych obrażeń, do pokoju wpadli Beppo i Assumpta.

– Matko Boska, co się stało?! – zawołała przestraszona służąca.

Vincenzo wzruszył ramionami.

– Znalazłem tego człowieka leżącego na ulicy. Wygląda na to, że zadał się z kimś silniejszym od siebie.

Beppo pokręcił ze zdziwieniem głową.

– Nasz pan jest bardzo spokojnym człowiekiem. Ale jak się upije, może zareagować nerwowo na nieprzyjazne słowa albo sam powiedzieć coś niestosownego.

I choć oboje służący gorliwie zajęli się rannym, to Vincenzo odniósł wrażenie, że nie bardzo mu współczują.

W końcu Beppo się wyprostował i powiedział z zadowoleniem:

– Nie jest tak źle, jak wygląda. Ma złamane żebro albo dwa, kilka wybitych zębów i na pewno wstrząs mózgu. Ale nie sądzę, żeby potrzebował lekarza.

Assumpta chwyciła męża, który już chciał się odwrócić i wyjść z pokoju.

– Jak to nie potrzebuje lekarza?! – krzyknęła oburzona. – Powiedz parobkowi, żeby sprowadził doktora. Nie chcę, żeby pan miał do nas pretensje, że nie zadbaliśmy o niego jak należy. – Odwróciła

się do Vincenza i dygnęła niezgrabnie. – Dziękuję wam z całego serca, że przynieśliście tu naszego pana.

– Spełniłem tylko ludzki obowiązek – odpowiedział skromnie Vincenzo.

Assumpta przyjrzała mu się dokładniej i dostrzegła kilka plam na jego ramieniu.

– Pobrudziliście sobie odzienie. Dajcie mi je, to je wyczyszczę.

Vincenzo w obronnym geście uniósł ręce.

– Nie warto o tym mówić.

W tym momencie dostrzegł młodego mężczyznę w gustownym odzieniu. Ten wszedł do środka i spojrzał z troską na łóżko, po czym zwrócił się do służącej:

– Co się stało? Podobno ojciec miał wypadek.

Jego głos był zbyt dźwięczny jak na młodzieńca. Vincenzo pomyślał, że brzmi dziwnie znajomo. Spojrzał na niego uważnie, próbując sobie przypomnieć.

– Jesteście Giulio Casamonte. Spotkaliśmy się kiedyś w Mantui.

Kastrat w ciągu ostatnich lat mało się zmienił. Zrobił się może nieco pełniejszy w okolicach piersi i bioder, jego twarz wciąż była jednak proporcjonalna i mogła należeć zarówno do przystojnego młodzieńca, jak i ładnej, choć może nie pięknej kobiety.

Giulia wzdrygnęła się lekko, bo nie lubiła, gdy ktoś patrzył na nią tak natarczywie, sama jednak zmierzyła obcego przenikliwym wzrokiem. Potrzebowała nieco więcej czasu, żeby go rozpoznać.

– Wydaje mi się, że was sobie przypominam. Zaśpiewaliście wtedy dość nieprzystojny chanson o jakimś biskupie, a potem ostro mnie skrytykowaliście. Wasi znajomi nazywali was Vincenzo.

– Macie nadzwyczajną pamięć. Tak, jestem Vincenzo de la Torre.

Sam się zdziwił, że to spotkanie go uradowało, bo właściwie nie znosił kastratów. Przyjaciołom mawiał, że na widok trzebieńców bolą go jądra. Wciągnął głęboko powietrze do płuc, nie wiedząc, co dalej robić. Właściwie chciał się tylko pozbyć rannego i nie miał pojęcia, co uczyni potem. Ten Casamonte zaintrygował go już wtedy, w Mantui, inaczej wcale by go nie zagadywał, a teraz chętnie zostałby tu dłużej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym chłopcu z niezwykle głośnym głosem.

Zajęta omywaniem ran Casamontego Assumpta wyprostowała się i powiedziała:

– Paniczu Giulio, ten szlachcic pomógł waszemu ojcu, przyniósł go aż tutaj na własnych plecach. Moglibyście w ramach podziękowania zaprosić go choć na kieliszek wina.

– Dobry pomysł. *Messer de la Torre*, proszę, byście zaszczycili mnie swoim towarzystwem, nawet jeśli zrobiło się późno. Gospodarz na pewno coś nam poda.

Uśmiech Giulii sprawił, że Vincenzo poczuł się jeszcze bardziej zakłopotany. Ale bez zwlekania poszedł za kastratem do jego małego prywatnego salonu i usiadł na wyściełanym krześle.

Wino przyniesione przez gorliwego parobka było wspaniałe. Vincenzo czuł, że nie powinien wypić więcej niż kieliszek. Był tak wygłodzony, że od większej ilości zaszumiałoby mu w głowie. W tym samym momencie jego żołądek przypominał o sobie głośnym burczeniem. Vincenzo zawstydzil się przeraźliwie, Giulia natomiast uniosła głowę.

– Wyglądacie – powiedziała z nutką lęku w głosie – jakby od naszego spotkania w Mantui nie wiodło się wam zbyt dobrze.

– Nie jest tak źle. – Vincenzo próbował zatuszować swoją nędzną sytuację, czuł jednak dziwny przymus bycia szczerym. – Po tym, jak musiałem pospiesznie opuścić miasto, przez jakiś czas wiodło mi się nawet nie najgorzej. Odwiedzałem krewnych, którzy przyjmowali mnie z serdecznością i traktowali jak własnego syna. Niestety, dochodziło do zatargów z powodu moich pieśni, tak więc po

jakimś czasie byłem z reguły proszony, bym się wyniósł. W końcu dotarłem do Modeny i zostałem tu przyjęty z otwartymi ramionami przez młodych szlachciców.

Zdziwiona Giulia uniosła brew.

– Trudno uwierzyć, sądząc po waszym wyglądzie.

– Wszystkiemu winien jest hazard – przyznał Vincenzo bez ogródek. – Moi przyjaciele, o ile można ich tak nazwać, dużo grali, a do tego o duże sumy. Oczywiście nie chciałem od nich odstawać, miałem też nadzieję, że fortuna będzie mi sprzyjała i napełni moją chudą kiesę. Początkowo wygrywałem. Potem jednak stałem się nieostrożny i więcej przegrywałem, niż wygrywałem, nawet więcej, niż miałem w kiesie. Dopadło mnie szaleństwo, żeby się odegrać, pożyczyłem pieniądze, ale je też straciłem. Ponieważ nie mogłem oddać długów, szybko zostałem przekreślony w lepszych sferach. W związku z tym próbowałem naciągać znajomych, żeby chociaż spłacić tych ludzi, od których pożyczyłem pieniądze. Ale niestety, szlachta w Modenie nie jest znaną wspaniałomyślną.

Giulia uśmiechnęła się, sięgnęła po kubek z winem i przepiła do gościa.

– Może wasi znajomi boją się, że wszystko stracie, uprawiając hazard.

– Na pewno bym tego nie zrobił. Waszego ojca też tu przyniosłem, chociaż mogłem zabrać mu kiesę i kupić sobie coś do jedzenia.

Vincenzo wypowiedział te słowa szybciej, niż zdążył pomyśleć. Zawstydził się, ale Giulia natychmiast zawołała posługacza i kazała mu przygotować posiłek dla gościa.

Wtedy zwróciła uwagę na tobolek, który Vincenzo położył w rogu, i wyciągnęła słuszny wniosek, że nie ma on gdzie przenocować. Gdy posługacz wrócił z wielką tacą pełną smakołyków, uniosła rękę.

– Przygotuj pokój dla *messer de la Torre*. Zostanie tu dzisiaj na noc.

– Nie, ja... ja...

Vincenzo nie wiedział, co powiedzieć. Nie chciał mieć zobowiązań względem innych ludzi, a szczególnie względem rzezańca. Najchętniej zerwałby się na nogi i stąd oddalił. Ale pieczeń na talerzu pachniała znaną uwodzicielsko, a biały chleb aż krzyczał, żeby go zjeść. Westchnąwszy głęboko, przewyciężył skrupuły i wyciągnął zza pasa nóż, żeby nadziać na niego największą kromkę.

Gdy następnego ranka Vincenzo się obudził, na dworze było już jasno. Stwierdził, że znajduje się w miękkim łóżku z czystą białą pościelą, i na moment go to zdziwiło. Potem wrócił pamięcią do wydarzeń z poprzedniego wieczora i poczuł wstyd, że przyjął gościnność trzebienia. Szybko wyskoczył z łóżka, chcąc się ubrać i zniknąć z tego miejsca tak, żeby nikt go nie zobaczył. Ale nigdzie nie mógł znaleźć ubrań. Wtedy przypomniał sobie, że służąca Casamontego wieczorem zajrzała do pokoju i zabrała jego rzeczy, żeby je oczyścić. Nie miał więc innego wyjścia, musiał poczekać, aż zwróci mu spodnie i kaftan.

Leżał nadąsany na łóżku i wpatrywał się w czysty, bielony wapnem sufit. W którymś momencie do jego pokoju wdarł się zapach świeżego chleba. Wiedział, że nie opuści zajazdu bez śniadania. Zirytował się na samego siebie, że jest tak słaby. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie niecierpliwie czeka na ponowne spotkanie ze śpiewakiem. Najwidoczniej Casamonte cieszy się popularnością, skoro mieszka w takich warunkach i tak się ubiera. Vincenzo przyjął tę myśl życzliwie i zorientował się, że chętnie by jeszcze raz posłuchał głosu kastrata. Już w Mantui Casamonte śpiewał wyśmienicie, niestety nie opanował jeszcze wystarczająco techniki, więc nie osiągał takiego efektu, jaki mógłby osiągać.

Niedługo potem rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Assumpta.

– Wybaczcie, panie, że to tyle trwało. Ale podszyłam wytarte miejsca w waszej odzieży, żebyście mogli ją jeszcze trochę ponosić.

– Dziękuję.

Vincenzo poczekał, aż służąca wyjdzie z pokoju, i wskoczył szybko w spodnie. Ledwo zdążył je naciągnąć, gdy pojawił się posługacz z ciepłą wodą, mydłem i świeżymi ręcznikami. Była to przyjemność, na jaką Vincenzo od dawna nie mógł sobie pozwolić. Podziękował posługaczowi i poczuł żal, że nie może dać mu napiwku, ale ten najwidoczniej nie oczekiwał, że coś dostanie. Vincenzo umył się porządnie i pół godziny później z mokrymi jeszcze włosami, ale w świetnym humorze wszedł do jadalni, gdzie kastrat już na niego czekał. Podczas wspianego śniadania wymienili kilka luźnych zdań, które dały Vincenzowi do zrozumienia, że Giulio Casamonte również zainteresowany jest rozmową. Gdy posługaczka uprzątnęła stół i przed każdym postawiła dzbanek z rozwodnionym winem, Vincenzo mógł wreszcie zapytać o artystyczną karierę Giulia. W pierwszej chwili był boleśnie rozczarowany, że kastrat nie poszedł za jego radą i nie kształcił się dalej w takim stopniu, jaki byłby konieczny dla jego głosu. Vincenzo powiedział mu to teraz tak wyraźnie, że młody mężczyzna zaczerwienił się jak dziewczyna.

Giulia sama zauważyła, że młody szlachcic ją peszy, nie omieszkała jednak zaprzeczyć jego szorstkiej uwadze i zaśpiewała mu jedną z pieśni, którą ojciec Franco przystosował do skali jej głosu.

Vincenzo słuchał w skupieniu, a potem zaczął bić brawo.

– Tak, to mi się podoba! W taki sposób musicie śpiewać wszystkie pieśni. Macie wyjątkowy głos, jeszcze takiego nie słyszałem. Nawet niezrównany Belloni nie dorównuje wam pod tym względem. Ale powiadam wam, on ma styl. Obecnie żaden kastrat mu nie dorównuje.

Przygnębiona Giulia skinęła głową.

– Znam Belloniego i było mi dane słuchać jego śpiewu. W istocie jest niezrównany. Też poradził, bym się dalej kształcił.

– I zamierzacie to uczynić?

Giulia w geście żalu uniosła rękę.

– To nie zależy ode mnie, ale od mojego ojca. Mogę go tylko prosić, żeby razem ze mną udał się do któregoś z wybitnych nauczycieli muzyki.

– Dlaczego nie wstąpicie do jednego z wielkich konserwatoriów i nie dołączycie do tamtejszego chóru?

Giulia nie mogła mu powiedzieć, że w miejscu, gdzie wielu śpiewaków mieszka na wąskiej przestrzeni, niechybnie została by zdemaskowana. Dlatego wzruszyła tylko ramionami.

– Najbardziej lubię śpiewać solo.

Wiedziała, że to niewystarczająca odpowiedź. Ku jej uldze Vincenzo najwidoczniej zaakceptował taką postawę, bo się nie spierał, tylko stwierdził:

– Uważam, że dużo byście skorzystali, szkoląc się u naprawdę dobrego nauczyciela muzyki. Co sądzicie o Andrei Gabrielim? O ile wiem, niedawno został mianowany organistą w kościele Świętego Jeremiasza w Wenecji. Miasto dożów na pewno by się wam spodobało.

Giulia uśmiechnęła się tęsknie.

– Brzmi wspaniale. Jakże chętnie bym się tam udał po nauki. Może zdołacie przekonać mojego ojca, że to konieczne. On uważa, że wykształcił mnie już wystarczająco.

– Z całą pewnością tego nie zrobił. Porozmawiam z nim.

Vincenzo pożałował swojej obietnicy w tym samym momencie, w którym ją złożył. Stary Casamonte wyglądał wczoraj tak kiepsko, że na pewno nieprędko wstanie na nogi. „Jeśli tu zostanę – pomyślał Vincenzo – będę przez wiele dni skazany na miłosierdzie młodego kastrata”. Na to nie pozwalał mu jednak honor. W rozpacz szukał wymówki, ale w końcu rozbawiły go własne skrupuły. Nawet najbardziej łatwowierna dusza nie uwierzy mu, że interesy lub inne powody nie pozwalają mu zostać tu dłużej. Spojrzał na kastrata, który emanował niezwykle spokojem jak na człowieka swojego pokroju.

– Po zastanowieniu zaproponowałbym jednak Vincenza Galileiego z Rzymu. Jest nauczycielem muzyki, w tym gry na lutni, i rozwinął kilka w mojej opinii fundamentalnych teorii o polifonicznym śpiewie chóralnym. Sądzę, że byłby dla was odpowiednim człowiekiem.

Vincenzo uznał, że skoro już musi zostać i żywić się chlebem rzezańca, to chociaż zrewanżuje mu się radami. Pomyślał krótko i wyjaśnił Giuliowi na podstawie pieśni, która była obecnie dość popularna, na ile teorie Galileiego różnią się od tradycyjnej teorii muzyki. Szybko zauważył, że młody Casamonte w ciągu ostatnich lat zrobił postępy, które zawdzięczał na pewno po części mnichowi z Faleny – ojcu Franco Spalderiemu. Giulio miał najwidoczniej więcej dyscypliny i zapału do nauki niż inni kastraci. Mimo to Vincenzo chętnie poznałby tego zakonnika. Nazwisko Spalderi nic mu nie mówiło, ale wiedział, że w odległych siedzibach szlacheckich często można znaleźć prawdziwe klejnoty. Najwidoczniej mnich był jednym z nich – człowiekiem o podobnym zapatrywaniu na muzykę co on sam.

Gdy Giulia zaśpiewała jedną z bardziej bezczelnych pieśni ojca Franco, Vincenzo pożałował, że nie zna mnicha. Jego własne teksty były jeszcze bardziej cięte, ale za to Franco Spalderi był o wiele lepszym kompozytorem. Vincenzo zdawał sobie sprawę, że on sam jest raczej przeciętnym muzykiem.

Miał bardziej talent do pisania tekstów pod stare i nowe melodie. Spróbował zrobić coś takiego z jedną z pieśni ojca Franco i ku własnemu zdumieniu odkrył, że kastrat z niemal dzieciinną łatwością potrafi zmienić melodię i dopasować ją do nowych słów.

Obaj przesiedzieli prawie cały dzień w salonie, zapisywali kartkę po kartce i nucili pieśni. W którymś momencie Vincenzo bez zastanowienia wyraził swój żal, że musiał zastawić lutnię, bo mógłby wówczas akompaniować do śpiewu. Giulia wezwała Beppę i kazała mu wykupić instrument. Dała służącemu kilka monet, które zaoszczędziła w ciągu ostatnich miesięcy.

Vincenzo czuł się niezręcznie, ponieważ w ten sposób jego dług wdzięczności względem Giulia Casamontego stawał się jeszcze większy. Nie widział jednak innej możliwości podziękowania mu, jak napisać kilka nowych tekstów. Gdy zobaczył, jak bardzo wdzięczny jest mu kastrat za taką ofertę, od razu poczuł się lepiej.

Jakiś czas później Beppo wrócił z lutnią Vincenza i jego szpadą. Wyłożył oba przedmioty na stół i uśmiechnął się trochę niepewnie.

– Lichwiarz nie chciał wydać samej lutni, upierał się, żeby wykupić także broń.

Nie wspomniał, że musiał dołożyć kilka monet z własnej kiesy.

Vincenzo się tego domyślił, bo wiedział, że suma, którą kastrat dał swemu służącemu, nie wystarczyłaby na wykupienie obu przedmiotów. Teraz miał więc na dodatek dług u prostego służącego i nie wiedział, kiedy zdoła go spłacić. Przy tym suma, którą był winien Beppowi, to grosze wobec kwot, które powinien zwrócić kilkorgu ludziom w Modenie. Jeśli ich w miarę szybko nie spłaci, niechybnie uzyska opinię człowieka pozbawionego honoru.

Giulia popatrzyła na Vincenza, który właśnie myślał o nieprzyjemnych rzeczach, co można było odczytać z jego twarzy. Po chwili chrząknęła.

– Dlaczego tak nagle ucichliście?

Vincenzo zacisnął zęby, wziął do ręki lutnię i zagrał pierwsze akordy jednej z nowych pieśni.

Girolamo Casamonte przeleżał pięć dni w łóżku. Zachowywał się przy tym tak, jakby był konający. Gdy jednak w końcu wstał na nogi i w szerokim szlafroku o czerwono-niebieskim wzorze pojawił się w salonie jadalnym na śniadaniu, jego oczy biegały niespokojnie i raz za razem wyglądał lęklawie przez okno na ulicę. Jego zachowanie było takie dziwne, że Giulia i Vincenzo przyglądali mu się oboje mocno zdziwieni.

– Czy coś się stało, ojcze? – zapytała Giulia, która wyczuwała jego prawie namacalny strach.

Ojciec pokręcił głową i jakby zmienił zdanie, bo nagle zaczął odgrywać osobę pewną siebie.

– Nie podoba mi się ta Modena. Dlatego opuścimy miasto najszybciej, jak się da.

– Nie, zostaniemy tutaj! – Chociaż Giulia wypowiedziała te słowa cicho, zabrzmiały jak smagnięcie batem. Jej ojciec się wzdrygnął, ale zanim zdołał coś powiedzieć, Giulia zaczęła mówić dalej: – Hrabina wdowa dała nam listy polecające do znanych jej dam z tutejszego towarzystwa. Tym samym nie musimy się obawiać, czy dostanę angaż, czy nie. Nie zamierzam dopuścić, żeby te listy się zmarnowały, tylko dlatego, że się z kimś powaśniłeś.

Girolamo Casamonte z lękiem stwierdził, że stracił u córki jakikolwiek autorytet. Wcześniej nie ważyłaby się besztać go jak małego chłopca, zwłaszcza w obecności obcego człowieka. Wspomnienie tamtych poniżających chwil w domu pani Cotturi i groźby młodych szlachciców zmusiły go jednak do tego, by upierać się przy swoim postanowieniu. Nie chciał się jednak przyznać do powodów tej decyzji, bo musiałby opowiedzieć o nieszczęsnym zdarzeniu.

– Nie da rady inaczej, synu. Kilka dni temu natknąłem się w tym mieście na kilku łajdaków. I choć byłem, chcę to podkreślić, całkiem niewinny, pobito mnie i mi grożono. Ci dranie zapowiedzieli, że jak spotkają mnie jeszcze raz, to mnie zabiją.

Mina Giulii świadczyła dobitnie, że dziewczyna nie wierzy zapewnieniom ojca, a Vincenzo przypomniał sobie, gdzie znalazł starego Casamontego.

– Czy nie byliście przypadkiem w domu Olimpii Cotturi? Jej siostrzenice są dla was za dużo wytworne i jak sądzę, także zbyt drogie.

– Co jest złego w spotkaniu z kurtyzaną? – mruknął ojciec Giulii, robiąc minę nadąsanego pięciolatka.

– Zazwyczaj nic, ale w tym przypadku może to być dla was niebezpieczne – odpowiedział Vincenzo z gniewnym uśmiechem. – Goście domu Cotturi to najczęściej arystokraci i zamożni próżniacy, których stać, by miesięcznie wydać kilkaset złotych dukatów na piękną kurtyzanę. Moim zdaniem, po tych mężczyznach można się spodziewać, że zabawią się w okrutny sposób z obcym, który podróżuje bez listu żelaznego.

– Mogę zrozumieć, że pobili ojca, ale dlaczego mieliby chcieć go zabić? – W głosie Giulii zabrzmiało przekonanie, że jej ojciec zasłużył sobie na otrzymane ciosy.

Pogardliwy ton w głosie kastrata zszokował Vincenza.

– Młodzi szlachcice w tym mieście są nieobliczalni. Nawet i ja muszę się obawiać, że zostanę zamordowany, jeśli nie dam rady w miarę szybko spłacić długów.

Girolamo Casamonte spojrział na niego z psią wdzięcznością w oczach.

– Rozumiecie więc, że muszą to miasto opuścić tak szybko, jak to tylko możliwe.

Giulia wyskoczyła zza stołu i wypadła przez drzwi na zewnątrz. Niedługo potem wróciła z plikiem zapieczętowanych listów i rzuciła je na stół.

– To są listy, które napisała hrabina wdowa. Mają się zmarnować tylko dlatego, że tak ci się spieszyło, by pójść z nierządnicami do łóżka?

Jej ojciec jeszcze nigdy nie widział jej tak rozgniewanej. Vincenzo też musiał zrewidować swoją ocenę kastrata. Nie był on wcale tak zimny i opanowany, jak się początkowo mogło wydawać. Chociaż młody szlachcic rozumiał frustrację śpiewaka, jeszcze raz podkreślił, jak niebezpieczni mogą być młodzi szlachcice z kręgu Olimpi Cotturi.

– Naprawdę będzie lepiej, jeśli wyjedziecie. Ci łajdacy, którzy poturbowali waszego ojca, wam również mogą wyrządzić krzywdę.

Vincenzo dostrzegł, że twarz kastrata się napięła. Młody rzeźbiarz zmierzył ojca druzgoczącym spojrzeniem. Potem jego emocje zniknęły za miną bez wyrazu.

W Giulii aż się gotowało, ale wstydziła się swego wybuchu emocji, który najwidoczniej szokował ich gościa. Tak więc spokojnie zebrała listy polecające, jakby nie stało się nic szczególnego, i schowała je pod kaftanem.

– Co proponujecie? – Z całą oczywistością wciągnęła Vincenza w rozważania i dała mu wyraźnie do zrozumienia, że przedkłada jego opinię nad opinię ojca.

Vincenzo zamyślił się na chwilę.

– Chciałem pojechać do ciotki w Cremonie w nadziei, że da mi pieniądze na pokrycie długów, które zaciągnąłem w Modenie, i że nie wyda mnie mojemu bratu.

Giulia stłumiła uśmiech zdumienia, który cisnął się jej na usta.

– Czyżbyście uciekli z domu?

– Tak, jeśli chcecie tak to nazwać. Nigdy nie rozumiałem się dobrze z bratem. Jeszcze gdy byłem dzieckiem, Andrea dawał mi odczuć, że to on jest spadkobiercą naszego ojca i że co najwyżej zadba, bym z hiszpańskim patentem oficerskim został wysłany do Ameryki i nigdy stamtąd nie wrócił.

Gorycz, z jaką wypowiadał te słowa, zabolęła Giulie. Miała wrażenie, że widzi go przed sobą jako małego chłopca, który zebrząc o miłość, stoi przed starszym bratem, ale ten traktuje go jak intruza i odtrąca. W jednej chwili Giulia podjęła decyzję.

– Ile wynoszą wasze długi?

Zdziwiony Vincenzo zdradził jej tę sumę. Nie była nadmiernie wysoka, ale ktoś taki jak on, ktoś, kogo los zależał od wspaniałomyślności innych, tylko za sprawą cudu mógł zdobyć tyle pieniędzy.

Giulia zmierzyła ojca chłodnym wzrokiem.

– Proponuję, żebyś pożyczył panu Vincenzowi tę kwotę. Pojedziemy wraz z nim do Cremony, gdzie wprowadzi nas do swojej ciotki. To będzie warte prawie tyle, co listy polecające starej pani hrabiny.

Girolamo Casamonte skinął gorliwie głową. Zrobiłby wszystko, byle córka zgodziła się opuścić Modenę. Vincenzo natomiast znowu toczył walkę z samym sobą. Wszystko w nim broniło się przeciw byciu sprzymierzeńcem kastrata. Ale nie miał wyjścia, jeśli nie chciał iść pieszo z pustym żołądkiem do Cremony, ryzykując, że nadgorliwy lokaj ciotki uzna go za włóczęgę i odeśle z kwitkiem.

CZEŚĆ CZWARTA

Rzym

Vincenzo de la Torre próbował trzymać się prosto w ciasnym powozie, ale przy każdym wyboju rzucało nim raz za razem na Girolama Casamontego. Bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za koniem. Byłoby mu dużo wygodniej jechać wysoko w siodle niż siedzieć w turkoczącej pacy i ciągle się czegoś trzymać. Poczł przyplłw zazdrości na widok Giulia Casamontego, który położył głowę na ramieniu Assumpty i spał mocnym, głębkim snem, a nawet się uśmiechał, jakby niedogodności podróży nie dawały mu się w ogóle we znaki. „Może nawet śni mu się, że śpiewa” – pomyślał Vincenzo, bo tylko podczas występów kastrat sprawiał tak błogie wrażenie, jak w tej chwili.

Kaftan Giulia zadarł się, dlatego Vincenzo mógł się przyjrzeć jego równomiernej figurze, dość nietypowej dla kastrata. Rzezaniec miał krągłości, których z pewnością mogła mu pozazdrościć niejedna kobieta. W damskim stroju i z nieco dłuższymi włosami mógłby uchodzić za całkiem urodziwą niewiastę mimo płaskich piersi i dość surowej twarzy. Ale nie jego uroda ani tym bardziej nieprzystępne zachowanie sprawiły, że Vincenzo od trzech lat podróżował z obydwojma panami Casamonte. Sam nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robi. Może po prostu dlatego, że znaczna część sowitych honorariów kastrata spływała do jego kieszeni.

Pogładził swój złoty kaftan, w którego rozcięciach przyjemnie szeleściła czerwona jedwabna podszewka. Z zadowoleniem przyjrzał się swoim obcisłym zielonym spodniom z najlepszego materiału i czerwonym butom ze srebrnymi klamrami. Radowało go, że wreszcie może ubierać się stosownie do pochodzenia. Mimo to sam nie rozumiał swojego postępowania. Już wcześniej trafiały mu się okazje napełnienia sobie kieszeni. Mógł towarzyszyć różnym zamożnym młodym szlachcom podczas ich wojaży po Europie. Ale ciągle odrzucał propozycje tego typu, bo uważał, że nie są dla niego stosowne. „Dlaczego – zastanawiał się nie po raz pierwszy – robię to teraz dla tego śpiewaka o mieszczańskim pochodzeniu, który na dodatek jest okaleczony w tak istotnym miejscu?”

Vincenzo nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć minęły już trzy lata. Giulio i on przez cały ten czas nie nawiązali na tyle bliskich relacji, żeby można było mówić o zażyłej przyjaźni czy nawet o braterstwie. Ich prywatne kontakty ograniczały się do powierzchownych uwag. Ale na płaszczyźnie artystycznej współpracowali ze sobą zaskakująco zgodnie. Wiele tekstów, dzięki którym Giulio w ostatnim czasie zrobił furorę, pochodziło spod jego pióra, a gdy kastrat śpiewał w prywatnym kręgu, Vincenzo często akompaniował mu na lutni. W ten sposób część swoich gaży zarabiał w rzetelny sposób. Ale mimo ścisłej współpracy nie potrafił powiedzieć, co tak naprawdę siedzi w duszy Giulia. Kastrat zachowywał się wobec niego zawsze tak samo przyjaźnie, ale nadal z takim dystansem, jak podczas pierwszych dni ich znajomości. Ociec Giulia natomiast polubił serdecznie Vincenza i traktował prawie jak drugiego syna. Często z nim rozmawiał i pytał o radę, zwłaszcza jeśli chodziło o kurtyzany i zamtuzy.

Vincenzo dostrzegł, że stosunki między ojcem i synem nie są najlepsze. Dwoje służących, z którymi on sam miał doskonały kontakt, stało po stronie Giulia i oboje dawali wyraźnie do zrozumienia, że mają jego ojcu za złe nie tylko okaleczenie syna, ale też fakt, że Girolamo Casamonte żyje zbyt koźwnie z honorariów potomka. Vincenzo nie ośmielał się osądzać starego Casamontego i nie stawał po niczyjej stronie.

Nagle Giulio poruszył się niespokojnie. Vincenzo zobaczył, że kastrat w geście rozpaczy zaciska dłonie w pięści, a jego wargi boleśnie drgają. Coś podobnego zauważył już wcześniej u Belloniego. Ale w przeciwieństwie do tamtego kastrata Giulio nigdy nie wspominał otwarcie, co stracił przez swoje okaleczenie. Młody kastrat jeszcze nigdy go nie zapytał, jak to jest spać z kobietą, podczas gdy Belloni kazał sobie wyłożyć każdy szczegół, aż po anatomiczną budowę kobiecej szparki. Prawdopodobnie Giulio został tak wcześnie wyrzezany, że uczucie płciowego pożądania pozostało dla niego całkiem obce.

Zapewne poszczęściło mu się pod tym względem, bo wszyscy pozostali kastraci, których Vincenzo poznał, byli mocno rozdarci między pragnieniem fizycznego zbliżenia a wiedzą, że jest to niemożliwe. Giulio natomiast – niczym marmurowy posąg – zawsze sprawiał wrażenie całkiem opanowanego i chłodnego. Tylko czasami w jego słowach pojawiał się gorzki humor, jakby jednocześnie śmiał się i płakał nad swoim losem. Mimo wspaniałego głosu nie miał łatwo, ponieważ nie był wystarczająco przygotowany do życia jako wykastrowany pieśniarz. Vincenzo dostrzegł to zaraz na początku ich pobytu w Cremonie podczas wielkiego przyjęcia w *palazzo* Lestoni.

Giulio całkiem utracił siły, bo jego zachwyceni słuchacze żądali bisu za bisem. Na koniec zupełnie wyczerpany podszedł do Vincenza i poprosił go o pozwolenie wypicia odrobiny wina z jego kieliszka, bo był bardzo spragniony. A przecież wystarczyłoby, żeby Giulio kiwnął na służącego, a ten natychmiast by go obsłużył. Vincenzo poczęstował Giulia, po czym zabrał go ze sobą do jadalni, kazał mu usiąść obok siebie, a służącym rozkazał, żeby podali im dania. Jako syn drugorzędnego muzykanta Giulio nie miał świadomości, że nie musi zginać karku przed wysokimi panami, lecz że jest wielkim artystą, który może stawiać wymagania.

Gdy teraz Giulio gestem ręki przywołuje służącego, czyni to tak wielkopańsko, że wszystkie damy są pod wrażeniem, a wręcz go ubóstwiają. Doszło nawet do tego, że kilka pań prosiło już Vincenza o umówienie ich na randkę z młodym kastratem. Przekazywał te prośby Giulio, choć dziwiła go jego reakcja. Kastrat tylko się śmiał. Najwidoczniej nie darzył kobiet szczególną sympatią. Ale nie wykazywał też innych, nienaturalnych zainteresowań. W pewnym sensie można go było uważać za istotę pozbawioną płci. To wrażenie ulatniało się jednak, gdy zaczynał śpiewać. W jego głosie brzmiała taka namiętność, że wszyscy stawali się zauroczeni.

Vincenzo przypisywał sobie dużą część zasługi, że Giulio tak się rozwinął. Dlatego był zadowolony z siebie i swego podopiecznego, chociaż ten ciągle jeszcze nie pobierał nauk od żadnego z wielkich nauczycieli śpiewu. Ale winy za to nie ponosił ani Giulio, ani jego ojciec, lecz fakt, że każdej jesieni wracali do Faleny i do hrabiny wdowy, ponieważ ta nie chciała za nic w świecie zrezygnować z usług kastrata, którego śpiew działał kojąco na stan jej zdrowia. Vincenzo i ojciec Franco uczynili jednak wszystko, co tylko w ich mocy, by ćwiczyć głos Giulia i dodać mu pewności siebie, aby nie był taki płochliwy w negocjacjach ze swymi zleceniodawcami. Ponieważ hrabina zmarła tego lata, Giulio zdecydował się ruszyć wreszcie w planowaną od dawna podróż do Rzymu.

Z powodu przerażających wieści o zbójcach grasujących w okolicach Rzymu zmówili się z kilkoma innymi podróżnikami i jechali teraz na południe szlakiem Via Flaminia w pięć karoc i w kilka wozów załadowanych bagażami. Przywódca grupy, szlachcic z Kampanii, miał przy sobie gromadę krzepkich jeźdźców. Za jego radą wszyscy się złożyli i w Viterbo wynajęli jeszcze grupkę byłych lancknechtów jako dodatkową ochronę. Tym samym – jak mniemał Vincenzo – wszystko powinno pójść dobrze. Cieszył się, że niebawem ponownie spotka się z jednym z najlepszych nauczycieli muzyki w Rzymie, swoim przyjacielem i imiennikiem, Vincenzem Galileim.

Gdy zamierzał właśnie wrócić wspomnieniem do swego ostatniego nader przyjemnego pobytu w Rzymie, na zewnątrz zrobił się rejwach. Woźnica zaklął wściekle i tak mocno ściągnął cugle, że czwórka pasażerów w pojeździe powpadała na siebie. Vincenzo odchylił skórzaną zasłonkę z okna. Chciał zapytać siedzącego obok woźnicy Beppa, co się stało, ale wtedy sam zobaczył: na pagórkach przy szlaku pojawili się obszarpani mężczyźni i biegli w ich kierunku, krzycząc i dziko wymachując bronią. Vincenzo oczekiwał, że jeźdźcy oraz wynajęci żołdacy przepędzą napastników. Ale ku jego przerażeniu na widok zbójców zaczęli do nich machać i wiwatować i sami grozili podróżnym.

Vincenzo chwycił za rękojeść szpady, która wisiała w powozie na haku, ale szybko się zorientował, że stawianie oporu – choć świadczyłoby o odwadze – nie ma najmniejszego sensu. Zbójcy i sprzymierzona z nimi eskorta po prostu zaskoczyli ich wszystkich. Przed każdym powozem stanęło teraz po kilku ciężko uzbrojonych typów, którzy szyderczo szczerząc zęby, grozili podróżnym i kazali im wysiadać.

– Nie róbcie głupstw, w przeciwnym razie...!

Niski i łysy zbior o imieniu Benedetto, którego Vincenzo do tej chwili uważał za przywódcę kampańskich jeźdźców, zrobił ręką gest podrzynania gardła, natomiast przywódca grupy podróżnych, który podał się za barona, a w rzeczywistości był najprawdopodobniej hersztem zbójców, zaśmiał się szyderczo. Vincenzo poczuł złość na siebie, że nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Giulio był mocno zszokowany, bo ukrył twarz w dłoniach jak płochliwa dziewczyna. Ojciec sięgnął po swoją sakwę i schował ją pod tapicerką ławki. Zdążył to zrobić, a już jeden ze zbójców wsunął przez okno łufę flinty i groźnym głosem zażądał, żeby wysiedli. Nie mieli innego wyjścia, musieli usłuchać.

Giulia nieco się opanowała. Zaciśnęła dłonie w pięści i przyglądała się, jak zbójcy wyrzucają ich bagaże na drogę i je przeszukują. Co lepsze ubrania wędrowały do toreb, które napastnicy mieli przytroczone do siodeł. To samo działo się z biżuterią i sakiewkami podróżnych. Bandyty przetrząsnęli wszystkie walizy i mantelzaki. Ponieważ Giulia świadomie ukrywała część honorariów przed ojcem, w jej kufrze znajdowała się spora kwota. Wyglądało na to, że straci swój mały skarb, a tym samym jej pragnienie, by uniezależnić się od ojca, jeszcze długo pozostanie niespełnione.

Fałszywy szlachcic wraz z kilkoma współnikami podszedł do ich powozu i skłonił się drwiąco.

– *Signori*, widzę, że dźwigacie za dużo złota. Pozwólcie, że uwolnimy was od tego ciężaru.

Vincenzo westchnął, odpiął swoją sakwę i rzucił ją tamtemu pod nogi. Jeszcze nigdy nie posiadał tyle pieniędzy co teraz, ale pocieszył się tym, że przez całe lata żył z dnia na dzień. Przykro mu było z powodu kastrata, który z opanowaniem na twarzy oddał właśnie swoją kiesę zbójcom. Assumpta i Beppo poszli jego śladem, Girolamo Casamonte natomiast nie miał nic przy sobie. Zbójcy zmierzili go szyderczym spojrzeniem. Jeden z nich wsiadł do powozu i wkrótce potem wyszedł z sakwą znaną pod tapicerką.

Ojciec Giulii zrobił się czerwony ze złości i zamachał bezradnie rękoma.

– Żołnierze Ojca Świętego złapią was i ukarzą.

– W tej chwili szukają nas kilkadziesiąt mil na południe od Rzymu. Nim tutaj dotrą, będziemy już daleko stąd.

Herszt zaśmiał się gromko, pozostali zbójcy zaś przeszukiwali ich bagaże i robili przy tym aluzje, jaki los spotka ich ofiary.

Giulia zachowała niewzruszoną minę, gdy zamki do jej skrzyń zostały wyłamane, a zawartość wyrzucona na drogę. Herszt szybkim ruchem zagarnął jej skarb i z zadowoleniem zważył go w dłoni.

Tymczasem inni zbójcy zaczęli gnać podróżnych przed sobą, poszturchując ich flintami. Spędzili

ich jak stado owiec. Herszt kazał zaserwować sobie wina ze splądrowanego wozu. Z kryształowym kielichem w dłoni patrzył na przerażonych ludzi. Wyglądał jak rzeźnik, który wybiera ze stada najtłustsze owce. Dwóch jego ludzi wyciągnęło z grupy handlarza i zmusiło go, żeby rozebrał się do naga. Zbójcy śmieli się rozbawieni, a jeden z nich szpicem miecza dotknął lekko skurzonego członka mężczyzny, udając, że chce go obciąć.

– Nie, na Boga! Litości! – krzyknął piskliwie przerażony handlarz.

– Już ma głos jak kastrat – zadrwił jeden ze zbójców.

– Przecież mamy tu prawdziwego kastrata – nawiązał do jego słów przywódca. – Nie sądzicie, że to będzie pocieszne, jak popędzimy go na golasa do następnej wioski?

Giulia się wzdrygnęła i chciała się cofnąć. Zobaczyła, że Vincenzo zacisnął dłonie w pięści i wygląda, jakby chciał rzucić się między nią a dwóch bandytów. Jeśli jednak zbójcy mówili poważnie, on też nie mógł jej pomóc. Nie miała złudzeń, co zrobią z nią zbójcy, jeśli odkryją, że jest kobietą. Szybka śmierć była na pewno łaskawsza niż zostanie łupem tych bandziorów. Sięgnęła ręką do pasa, ale po nożu została jej tylko pusta pochwa. Zbójcy zabrali jej narzędzie, którym w podróży odkrawała kąski jedzenia, a wokół niej też nikt nie miał białej broni, dzięki której mogłaby uniknąć hańby i gwałtu.

– No, gdzie jest ten Casamonte? – zapytał fałszywy szlachcic, zaśmiał się i wznosił kielich. – Chodź tu, rzezańcu, i pokaż, co tam ci zostało po nożu cyrulika.

W tym momencie Giulie olśniło, jak może szybko zakończyć tę okrutną zabawę. Otworzyła usta i wydała z siebie wysoki, czysty ton, który sprawia, że szkło pęka. Kryształowy kielich zbójcy również nie ocalał. Pod wpływem jej głosu pękł, a wino wymieszane z okruchami szkła zalało mężczyznę.

Zbójca spojrzał na nią takim zdumionym głosem, że mimowolnie się zaśmiała.

Miała nadzieję, że od razu ją zabije. Kilku jego kamratów podeszło bliżej, unosząc broń, ale on powstrzymał ich ostrym głosem.

– Stójcie, nic mu nie róbcie. Chłopczyna jest wprawdzie mały i mizerny, ale ma głos tytana.

Benedetto, który udawał przywódcę kampanjskich jeźdźców, a w rzeczywistości był prawą ręką herszta zbójców, ciągle jeszcze patrzył w osłupieniu.

– Na Boga, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby człowiek samym tylko głosem stłukł kielich.

– A ja tak – oświadczył przywódca całkiem zmienionym tonem. – Zrobił to pewien młody kastrat, gdy go przedstawiono jego panu. Kiedy służący czyścili ubranie szlachcicowi, kastrat wziął odłamek szkła i podciął nim sobie gardło, bo nie chciał dłużej żyć, będąc tak okaleczonym.

– Przykro mi – szepnęła przejęta Giulia.

Rozbójnik przetarł sobie dłonią twarz, jak gdyby chciał przegnać złe wspomnienia.

– To był mój brat – powiedział tak cicho, że poza Julią nikt tego nie usłyszał. Ściągnął kaftan i kazał, by jeden ze schwytanych szlachciców, który miał podobną figurę, oddał mu swój, po czym polecił zbójcom, by byli uprzejmi wobec rzezańca. – Nieczęsto się zdarza, że naszym gościem jest tak znakomity śpiewak.

Gdy z powrotem usiadł na swoim miejscu, kiwnął Giulii zachęcająco głową.

– Przyjacielu, byłbym rad, mogąc usłyszeć próbkę twego wokalnego kunsztu.

Lucretia Gonfale, dama w średnim wieku, wyciągnęła do Giulii błagalnie ręce. Na jej szyi malował się krwawy czerwony ślad. To zbójcy zerwali z niej brutalnie biżuterię.

– Proszę, zaśpiewajcie, Casamonte. Bo inaczej pozabijają nas wszystkich, a nam, kobietom, przedtem zadadzą jeszcze gwałt.

– Ty, stara sroko, możesz się nie bać, ale te twoje trzy gołąbeczki chętnie bym schrupał. – Benedetto zaśmiał się z uciechy na samą myśl, co go czeka, i wlepił lubieżny wzrok w córki Lucretii Gonfale.

Jego przywódca dojrzał to spojrzenie i skrzywił się z niechęcią.

– Fuj, Benedetto. Chcesz, by ludzie mówili, że dzielni ludzie Alessandra Tomasiego gwałcą i mordują niewiasty?

Roześmiał się tak, że Giulia poczuła lęk. Ten mężczyzna był nieobliczalny. W tej chwili współczuł jej, bo przypominała mu zmarłego brata. Ale całkiem niedawno chciał, by jego towarzysze zabawili się jej kosztem. Póki los jej i pozostałych podróżnych pozostawał w jego rękach, nie mogli być pewni, czy ujdą z życiem. Chociaż strach ścisnął jej gardło, musiała zrobić wszystko, by wprawić zbójców, a przede wszystkim ich przywódcę, w dobry humor.

Wystąpiła do przodu, skłoniła się z gracją przed Tomasim i zaczęła śpiewać dźwięcznym głosem. Zbójcy przestali plądrować i zwrócili się ku niej. W ich oczach malowało się niemal dziecięce zdumienie. Także przywódca wpatrywał się w Giulie z otwartymi ustami, a gdy skończyła, w zachwycie zaczął bić brawo.

– Może mój brat nie powinien był się zabijać. Dla takiego głosu warto jest ponieść ofiarę – powiedział tym razem głośno.

– Utrata męskości to jednak zbyt dużo. – Benedetto pokręcił gwałtownie głową. – Ale masz rację, wodzu. Nigdy przedtem nie słyszałem nic równie miłego dla ucha. Powinniśmy zachować chłopczynę, niechże dla nas śpiewa.

Giulia zbladła, usłyszawszy te słowa. Wiedziała jednak, że nie wolno jej okazywać strachu.

– Jakie honorarium oferujecie? – zapytała śmiało łysego draba. – Oświadczam, że kastraci są drodzy i wymagający. Nie sądzę, żeby za posłanie wystarczył mi twardy siennik.

Oburzony tym zachowaniem zbój pogroził jej sztyletem, ale herszt kazał mu odstąpić.

– Benedetto, zostaw go. Jak go zadźgasz, to jak będzie dla nas śpiewał? – powiedział, po czym obrócił się ku Giulii i ostrym tonem kazał jej śpiewać dalej.

Vincenzo uznał, że nadszedł czas, by wesprzeć kastrata. Uniósł rękę, żeby Alessandro Tomasi zwrócił na niego uwagę, i wystąpił kilka kroków do przodu.

– Jeśli oddacie mi lutnię, mogę na niej akompaniować Casamontemu.

– Doskonały pomysł.

Tomasi zabrał jednemu ze zbójców instrument i podał go Vincenzowi. Ten sprawdził jeszcze, czy struny są odpowiednio napięte, i zaczął grać melodię do zabawnego chasonu. Giulia się dołączyła i zaśpiewała szczególnie swawolną piosenkę, która bardzo spodobała się zbójcom.

Przez całą następną godzinę nie mogła odpocząć, bo zbójcy bez przerwy domagali się, by dalej śpiewała. Ale słuchanie nie przeszkadzało im dalej plądrować. Nie byli już jednak tak bezwzględni i przynajmniej nie pozbawili większości ludzi ubrań. Tylko kilku mężczyzn w szczególnie wytwornych strojach musiało ściągnąć kaftany i spodnie. Ku swemu niezadowoleniu należał też do nich ojciec Giulii. Pozwolono mu jednak – tak jak i pozostałym – okryć nagość, wybierając coś z ubrań, które pościągali z siebie zbójcy. Kobiety – poza biżuterią – straciły co najwyżej nerwy. Zbójcy co prawda pozwalali sobie na różne wulgarne uwagi, ale poza tym zostawili je w spokoju.

Na koniec Alessandro Tomasi rozkazał swoim ludziom, aby załadowali łupy do powozów dwóch szlachciców i odjechali z nimi. Sam jeszcze raz podszedł do Giulii i rzucił jej pod nogi skórzaną sakwę.

– To twoje honorarium, kastracie. Doprawdy zasłużyłeś sobie na nie.

Roześmiał się po raz ostatni, po czym wskoczył na konia i ruszył galopem, a jego ludzie za nim. Podróżni patrzyli w ślad za nimi, nie mogąc uwierzyć, że pozostali przy życiu i że damy nie zostały zhańbione. W końcu jeden z podróżnych podszedł do Giulii i podniósł z ziemi sakiewkę.

– Weźcie pieniądze, Casamonte. Uratowaliście nas swoim śpiewem. Bóg wie, jak ci przekłęci zbójcy by nas potraktowali. Dotychczas zawsze się zabawiali, dręcząc swoje ofiary, a tych, których pozostawili przy życiu, wystawiali na ludzkie pośmiewisko.

Lucretia Gonfale skinęła gorliwie głową.

– To prawda. Słyszałam mnóstwo historii o Alessandrze Tomasim, ale nic dobrego.

Giulia pokręciła głową ze zdziwieniem.

– Dlaczego władze nie zrobią porządku z tymi zbójcami?

– Najpierw trzeba bandytę złapać, żeby można go było ukarać – stwierdził kupiec, śmiejąc się z goryczą.

– Ten Tomasi trzyma sztamę z każdym złodziejaszkiem po tej i tamtej stronie Tybru i gra oficerom Ojca Świętego na nosie.

– Poza tym plebs w okolicy jest po stronie zbójców, bo korzysta z napadów. Biedota odkupuje od zbójców tanio ich łupy i rewanżuje się za to żywnością i informacjami – wyjaśnił pełen gniewu szlachcic.

Otrzeptał łataną koszulę i brudne spodnie, które zamierzał założyć zamiast swojej ukradzionej garderoby. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy nie lepiej udać się do najbliższego miasta nago niż w tych żebraczych łachach.

Vincenzo nie brał udziału w gorączkowej dyskusji, lecz wrócił do powozu i zaczął przeglądać bagaże pozostawione przez zbójców, żeby wybrać rzeczy, które mogliby zabrać ze sobą. Assumpta i Beppo pomogli mu przygotować pięć tobołów. Ich trójka wzięła po jednym, najlżejszy był dla Giulii, a ostatni dla jej ojca.

Girolamo Casamonte popatrzył ze zgrozą na toboł, który miał nieść. Uniósł go i z powrotem opuścił na ziemię.

– To dla mnie za ciężkie!

Assumpta prychnęła.

– Ale to nie jest nawet w połowie tak ciężkie, jak toboł pana Vincenza! Nie mamy koni ani pieniędzy, żeby wynająć nowe. Dlatego musimy iść pieszo i nieść dobytek na plecach. A może chcecie zostawić wszystko, żeby mieszkańcy okolicznych wiosek to rozkradli?

Girolamo Casamonte zrobił minę, jakby nie miał nic przeciwko temu. Ale teraz także inni podróżni robili przegląd tego, co nadaje się do zabrania. Nawet Lucretia Gonfale pochyliła się i w zawstydzeniu schowała kilka koszul do koca. Pozostali jednak siedli na skraju drogi i kręcili tylko głowami.

– Dlaczego mamy się stąd ruszać? Wcześniej czy później będzie przejeżdżał tędy jakiś powóz albo furmanka, która nas zabierze – powiedział jeden ze szlachciców zblazowanym głosem.

Jego służący skinął gorliwie głową.

– Jak dojdziecie do miasta, możecie powiedzieć, żeby przysłano po nas powóz.

Giulia zwróciła się w zamyśleniu do Vincenza:

– Nie byłoby lepiej poczekać, aż przybędzie pomoc?

– Pomoc rzadko przychodzi wtedy, kiedy jest potrzebna. Jeśli teraz ruszymy w drogę i się

pospieszmy, to przed wieczorem dojdziemy do miasta. Wolę spać w łóżku, a nawet na sienniku wypchanym słomą niż na gołej ziemi. Poza tym wciąż jeszcze jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wieśniacy z okolicy dzisiaj w nocy przyjdą tu pewnie, by rozszabrować resztę rzeczy, a być może nie obejdą się z nami tak łaskawie jak zbójcy.

Girolamo Casamonte machnął ręką, dając do zrozumienia, że jest zmęczony. Chciał się dosiąść do szlachcica na skraju drogi, ale gdy większość podróżnych, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem, dołączyła do Vincenza, Giulii oraz ich służących, zerwał się z powrotem na nogi, pobiegł jeszcze raz do swojej skrzyni i pogrzebał w niej, zwrócony do innych plecami, żeby nikt nie mógł zobaczyć, co robi. Na koniec sięgnął posepnie po swój toból i ruszył za innymi.

Z powodu napadu potrzebowali dwóch dodatkowych dni, żeby dotrzeć do Rzymu. Chociaż podróżni utracili wartościowe rzeczy, dziękowali żarliwie Matce Bożej i wszystkim świętym za ratunek. Przede wszystkim Lucretia Gonfale nie posiadała się ze szczęścia, że wraz z córkami udało jej się wyjść z tej sytuacji bez uszczerbku. Bo przecież gdyby zbójcy zhańbili dziewczęta, te nie miałyby już widoków na zamążpójście i musiałyby wstąpić do klasztoru albo popełnić jakiś kompromitujący mezalians.

Dlatego Lucretia Gonfale wylewnie okazywała swą wdzięczność Giulii i zaprosiła ją i jej towarzyszy do siebie. Nie posiadała w Rzymie własnego pałacu, lecz zatrzymywała się gościnnie w dużym gmachu, w którym mieszkali jeszcze inni lokatorzy. Giulia była jednak zadowolona, że dostała do dyspozycji trzy pokoiki. W ten sposób mała suma, którą wynagrodził ją herszt zbójców, miała starczyć na dłużej. Beppo i Assumpta pomagali służbie Lucretii Gonfale, a Vincenzo już następnego dnia wyszedł na miasto, żeby odwiedzić kompozytora Galileiego. Miał nadzieję, że jego przyjaciel wciąż jeszcze przebywa w Rzymie i nie przyjął posady gdzieś indziej. Wprawdzie ani on, ani kastrat nie mieli w tej chwili pieniędzy, żeby wykupić lekcje, ale Vincenzo był pewien, że dzięki pomocy nowych znajomych i Galileiego Giulio już w ciągu najbliższych dni otrzyma nowe angaże.

Pierwszy występ Giulii nie wiązał się jednak z honorarium. Lucretia Gonfale poprosiła ją o zaśpiewanie na przyjęciu zorganizowanym z okazji przybycia jej córek. W ten sposób dama dała znać rzymskiemu towarzystwu, że pragnie wydać dziewczęta za mąż. Wszystkie trzy były zdenerwowane i zachowywały się jak trzpiotki. Ponieważ Giulie uważano za anioła stróża rodziny, panienki zdradziły jej swe tajemnice, co traktowała jako wątpliwy przywilej. Musiała wysłuchiwać wad i zalet wszystkich możliwych kandydatów na męża, tak że potem była zadowolona, że sama nie jest córką z bogatego domu. Uważała, że Giovanna, Graziella i Griselda Gonfale nie mają nic innego w głowie poza sukniami i mężczyznami.

Giulia miała wystąpić przed raczej skromną publicznością, ale gdy po południu weszła do salonu, w którym odbywało się przyjęcie, była bardziej zdenerwowana niż zazwyczaj. Zdawała sobie sprawę, że jeśli chce pozyskać następne angaże, musi utrafić w gust wybrednej rzymskiej drobnej szlachty. Jak to miała w zwyczaju, w pierwszej chwili nie patrzyła na ludzi, którzy się tu zebrali, lecz na wyposażenie sali i zdobienia ścian oraz sufitu.

Rodzina Gonfale była drobną, ale dość zamożną szlachtą z prowincji i starała się dorównać wielkim rodom. Ponieważ spodziewano się wielu gości, salon umeblowano skąpo, ale krzesła przygotowane dla szczególnie ważnych osobistości były sporządzone z najlepszego drewna wiśniowego, a poduszki, które na nich spoczywały, lśniły od brokatu. Na ścianach widniały efektowne malowidła o podobnych motywach, choć ich autorami było kilku dość przeciętnych artystów. Obrazy przedstawiały pochlebnie ród Gonfale, jakby należał on do najważniejszych rodzin arystokratycznych na dworze papieskim, i sprawiały zanadto teatralne wrażenie.

Giulia wzięła od służącego kieliszek wina i zwilżyła język, po czym podeszła do gospodyni i się ukloniła. Miała na sobie jeden ze starszych strojów, którym zbójcy pogardzili, ale który wciąż jeszcze był dobry. Lucretia Gonfale natomiast lśniła jak paw. W domu czekało na nią kilka pełnych

skrzyń z sukniami, tak więc ona i jej córki mogły odpowiednio się zaprezentować.

Giulia przywitała się krótko, po czym rozejrzała się za Vincenzem. Wprawdzie nie miał jej dzisiaj akompaniować na lutni, ale tak bardzo przyzwyczała się do jego bliskości, że czuła się pewniej w jego pobliżu. Dojrzała go przy najstarszym synu rodziny, od którego Vincenzo pożyczył też przesadnie zdobny strój. Obok stał jej ojciec, który również został zaproszony. Założył szarzielony kaftan z podszewką z żółtego jedwabiu oraz leżące na nim jak ulał błyszczące brązowe spodnie. Był w wyśmienitym humorze. Spojrzał na Giulie i stwierdził:

– Nie zakładaj już więcej tego kaftana. Źle w nim wyglądasz. Za bardzo opina ci ramiona.

W istocie opinał jej raczej biust. Zirytowana Giulia zadarła głowę.

– Nie mogę sobie w tej chwili kupić nowego. Pieniądze, które zostawili nam zbójcy, wystarczą na tydzień albo dwa na życie. Muszę wprzód coś zarobić. – Chciała odejść, ale zatrzymała ją jego zadufana mina. – Jakże to się stało, że jesteś tak wytwornie odziany, ojcze? Twój strój ani pod względem kroju, ani koloru nie pasuje do naszego gospodarza.

Girolamo Casamonte prychnął oburzony:

– Chyba nie sądzisz, że będę chodził w pożyczonych spodniach. Byłem wczoraj u krawca. Przygotował ten strój dla pewnego szlachcica, ale z grzeczności przekazał mi go, bo zostało mu dość czasu, żeby uszyć nowy.

Giulia wiedziała, że żaden krawiec na świecie nie da obcemu człowiekowi na kredyt takich drogich ubrań. Uznała więc, że ojciec naciągnął gospodarza na pożyczkę. Spojrzała na niego gniewnie.

– Z czego zapłaciłeś za krawca?

– Jak to z czego? Z własnych pieniędzy oczywiście – oświadczył wyniośle ojciec.

– Ale przecież zbójcy wszystko nam zabrali!

– Zabrali to, co mieliśmy przy sobie. – Ojciec mrugnął do niej poufale. – Ale przed wyjazdem część naszych przychodów powierzyłem pewnemu rzetelnemu bankierowi, a on wystawił mi listy kredytowe. Były schowane w podwójnym spodzie w skrzyni i zbójcy ich nie znaleźli. Poszedłem z nimi do tutejszego bankiera i kazałem sobie wypłacić pieniądze.

– Ile tego jest? – zapytała Giulia z niepokojem w głosie.

Ojciec podał z dumą kwotę, na co jego córka zapałała zimnym gniewem.

– Znaleźliśmy tu schronienie jak żebracy i żyjemy z jałmużny innych ludzi, a okazuje się, że jesteśmy dość bogaci, by wynająć mieszkanie i przez kilka miesięcy utrzymać się w tym mieście.

Girolamo Casamonte uniósł ręce, jakby się przestraszył, że córka chce go zaatakować.

– Tych pieniędzy nie jest wcale tak dużo. Rzym w przeciwieństwie do Mantui czy Urbino jest potwornie drogi.

Giulia jednak nie zamierzała odpuścić.

– Wyprowadzimy się stąd jak najszybciej. Poza tym dasz mi część tej kwoty, żebym mogła kupić nuty i zapłacić za nauczyciela. Vincenzo, Assumpta i Beppo też dostaną pieniądze, żeby kupili sobie rzeczy, które zabrali im zbójcy.

– Szastasz pieniędzmi, jakby były twoje – burknął ojciec wyraźnie rozgniewany.

– Bo to moje pieniądze, ja je zarobiłam.

Więcej Giulia nie zdołała powiedzieć, bo podeszła do niej akurat gospodyni z błogim uśmiechem na ustach.

– Najdroższy *messer* Casamonte. Wielka to byłaby dla mnie radość, gdybyście zaczęli śpiewać

waszą pierwszą pieśń.

Od kiedy Lucretia Gonfale się dowiedziała, że Giulia występowała przed księciem z Mantui, traktowała ją niemal z nabożną człołobitnością.

Giulia skinęła głową i podeszła do muzyków, którzy mieli jej akompaniować. Mężczyźni przywitani ją uprzejmie, zachowywali jednak pewien dystans.

– Czy dostaliście spis pieśni, które chcę dzisiaj wykonać? – zapytała, na co muzycy skinęli głowami i wzięli instrumenty do ręki. – Dobrze, w takim razie zaczynamy od dzieła Gabrielelego.

Giulia poczekała, aż muzycy przyszykują nuty, i przybrała odpowiednią postawę. Tak często ćwiczyła tę pieśń, że miała ją już we krwi. Ale gdy pierwszy ton wydobył się z jej ust, uniósł ją do innego świata. Dopiero gdy zabrzmiały brawa słuchaczy, Giulia wróciła do rzeczywistości. Ponieważ miała wykonywać pieśni przez całe popołudnie i wieczór, zrobiła sobie teraz przerwę i skłoniła się z gracją ludziom bijącym brawo.

Poszukała wzrokiem Vincenza, żeby otrzymać od niego szczerą opinię, ale go nie dostrzegła. Zirykowało ją to, bo przyzwyczała się mieć go podczas występów u boku. „Czy już go nie obchodzi, jak śpiewam?” – zadała sobie w duchu pytanie. Potem pomyślała, że mógł przecież spotkać jakiegoś dawnego znajomego i się z nim zagadać. O nic innego nie chciała go posądzać, chociaż na przyjęciu było dużo urodziwych kobiet. Giulia gnioła rękawiczki, które zdjęła, żeby ochłodzić dłonie. Bez celu kroczyła wśród ludzi, póki nie zagadnęła jej Giovanna Gonfale. Giulia obróciła się ku niej i zobaczyła u jej boku przystojnego mężczyznę w mundurze oficera papieskiej gwardii. Wydał się jej znajomy, ale minęła dłuższa chwila nim rozpoznała w nim Paola Gonzagę, który najwidoczniej przeniósł się z Sycylii do Rzymu i służył teraz papieżowi. Nic się chyba jednak nie zmienił, bo wyglądało na to, że dzisiaj też szuka łatwej ofiary.

Giovanna Gonfale chwyciła Giulie jedną ręką za rękaw, a drugą wskazała swego towarzysza.

– Pozwólcie sobie przedstawić szanownego pana Paola Gonzagę. Jest sławnym kapitanem w armii Jego Świątobliwości.

Podziw w jej głosie świadczył, że Gonzaga mógłby Giovannę bez problemu namówić, by się z nim potajemnie spotkała, a nawet by pozwoliła mu na dużo więcej. Znajdując się pod dachem rodziny Giovanny, Giulia czuła się zobowiązana przestrzec dziewczynę przed bezwzględnym podrywaczem.

– Co nieco obilo mi się o uszy na temat tego pana. W swoich ojczystych stronach ma opinię dość frywolnego młodzieńca.

– W każdym razie bardziej frywolnego niż kastrat – odpowiedział Paolo Gonzaga, śmiejąc się irytująco. Potem zrobił przymilną minę do Giovanny i poprosił ją, by nie przykładła wagi do słów rzezańca. – Wiecie, pani, łatwo uzyskać opinię fircyka, wystarczy, że ktoś się chętnie śmieje albo prześle jakiejś pięknej kobiecie całusa. – Zbliżył usta do jej ucha i dodał: – Poza tym nie na darmo mówią, że najlepszymi małżonkami są ci panowie, którzy w młodości dokazywali. Ci natomiast, którzy w młodym wieku zachowywali się grzecznie, później przystawiają się do panien służących i odwiedzają kurtyzany.

Giulia ściągnęła usta.

– Messer Gonzaga, uważacie, że to stosowny temat do rozmowy z młodą, niewinną damą?

Paolo Gonzaga obrócił się szybko i spojrzał na nią gniewnie. Wyczytała w jego oczach, że ma się nie wtrącać. Giulia zastanawiała się, czemu Paolo Gonzaga tak otwarcie stara się o przychyłność Giovanny, chociaż jest ona najmniej urodziwą spośród trzech sióstr Gonfale. Potem przypomniała sobie, że bogaty wuj uczynił Giovannę swoją spadkobierczynią. Czyżby Paolowi Gonzadze zależało

na posagu? Zrobiło jej się żal dziewczyny. Gonzaga nie zmienił się ani na jotę. Nadal będzie szukał zaspokojenia swoich popędów gdzie się tylko da. Giovanna będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli na tyle szybko zajdzie w ciążę, żeby przy dzieciach móc zapomnieć o bezdusznosci męża. Zadowolone spojrzenie, którym Lucretia Gonfale obserwowała córkę i Gonzagę, utwierdziło Giulie w przekonaniu, że umizgi Paola trafiały na podatny grunt i jej ostrzeżeniom nie dano by posłuchu. Giulia była zadowolona, że ojciec okazał się roztropny i uratował dużą część ich pieniędzy, ponieważ pragnęła jak najszybciej opuścić dom rodziny Gonfale. Po pierwsze nie chciała się przyglądać, jak dziewczyna wpada w nieszczęście, a po drugie bała się Gonzagi. Ucieszyła się, wypatrzywszy Vincenza w jednej z nisz. Stał w towarzystwie nieco starszego mężczyzny, który bezustannie coś do niego mówił, trzymając go przy tym za rękaw.

Gdy Vincenzo się zorientował, że Giulia na niego patrzy, oderwał się od mężczyzny i podszedł do niej. Wtedy dojrzał Paola Gonzagę, który spoglądał na kastrata jak na uciążliwego owada. Dostrzegł też napięte, niemal wrogie spojrzenie, które Giulio rzucał na papieskiego oficera. Przez moment między nimi dwoma przepłynęły jakby jakieś fluidy. Vincenzo pojął instynktownie, że Gonzagę i Giulia łączy jakaś wspólna tajemnica, do której nie ma dostępu.

Ku swemu zaskoczeniu poczuł nagle dziki przypływ zazdrości. W ciągu ostatnich trzech lat nikt – oprócz Assumpty – nie był tak blisko związany z Giuliem Casamonte jak on. Ale służąca się nie liczyła. Wyprostował się, podszedł do grupy i dłonią ucisnął ramię przyjaciela.

– Cudownie śpiewałeś, Giulio. Chciałem ci to powiedzieć już wcześniej, ale musiałem się przedtem pozbyć tego gaduły, Michelego Pardenzy – roześmiał się, symulując pogodny nastrój.

Giulia usłyszała dziwny ton w jego głosie, który ją przestraszył, a niezwykle smutek w jego oczach sprawił je przykrość. Szybko przywołała się do porządku i przypomniała sobie, że powinna być uprzejma.

– Pozwól, że ci przedstawię, oto *messer* Paolo Gonzaga.

Vincenzo zrobił coś w rodzaju ukłonu w kierunku oficera, po czym poprosił Giulie, żeby wykonała kolejną pieśń.

Występ Giulii u rodziny Gonfale przyniósł jej nowe znajomości, a tym samym również mnóstwo propozycji. Ale ponieważ przyjechała do Rzymu, żeby kształcić się wokalnie, na początku przystała tylko na kilka większych i lepiej płatnych zaproszeń. Ojciec miał o to do niej pretensje i znowu kwestionował planowaną przeprowadzkę. Giulia wysłuchiwała w milczeniu jego argumentów, a na koniec oświadczyła, że Vincenzo na jej polecenie już znalazł nową kwaterę.

– Nie mam czasu słuchać twoich lamentów – dodała chłodno. – Muszę się przeprowadzić, żeby móc punktualnie pojawiać się na mszy wieczornej w kościele Świętej Urszuli.

Ojciec skrzywił się jak dziecko, które nie chce zjeść kaszki.

– Zostałaś tam zaangażowana, czy chcesz tylko wrzucać pieniądze do skarbonki na datki?

– Gdybyś się choć trochę troszczył o moje sprawy, wiedziałbyś, że każdy śpiewak, który przybywa do Rzymu, może zaśpiewać w środę podczas mszy wieczornej w kościele Świętej Urszuli. Najskromniejszą zapłatą jest kolacja i możliwość noclegu. Dobrzy śpiewacy mogą za to dostać angaż do wielkich kościołów, czasami nawet do Kaplicy Sykstyńskiej w Bazylice Świętego Piotra.

Zostawiła ojca i przeszła do izdebki, w której Assumpta przygotowała już dla niej szary kaftan bez rozcięć ukazujących podszewkę i proste brązowe spodnie. Te ubrania Giulia kazała sobie uszyć właściwie z myślą o podróżach po zakurzonych drogach. Ale strój ten był według niej odpowiedni, by zrobić w nim to, co zaplanowała na dziś.

Już jakiś czas temu usłyszała w Urbino o zwyczaju śpiewania w kościele Świętej Urszuli, także tu w Rzymie kilka osób napomknęło jej, że występ tam otwiera szansę kariery. Miała nadzieję, że swoim śpiewem przekona jałmużnika z kościoła Świętej Urszuli i otrzyma stały angaż, który zapewniłby jej stabilne dochody, a jednocześnie miałaby dość czasu, żeby kształcić głos. Jeśli ciągle będzie się rozglądała za nowymi zaproszeniami i wszystkie przyjmowała, wówczas nigdy nie zostanie śpiewakiem pierwszej kategorii.

Assumpta pomogła jej założyć spodnie, które znów zrobiły się ciut ciaśniejsze niż poprzednim razem, i podała jej kaftan. Nasłuchiwała przy tym nerwowo, czy ktoś nie zbliża się korytarzem. Przekonała się, że pani tego domu nie lubi zamkniętych drzwi.

– Nie chcę narzekać na państwa Gonfale, ale naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy mieli już wkrótce jakieś własne mieszkanie – powiedziała z naciskiem.

– Masz rację, Assumpto. Vincenzo już się za nim rozgląda. Najlepiej zapytaj go dzisiaj wieczorem, czy znalazł coś odpowiedniego.

Giulia przyciągnęła kobietę do siebie i kiwnęła jej zachęcająco głową. Potem usłyszała znajome kroki w pokoju obok i opuściła mieszkanie tak szybko, jakby uciekała.

Zapytała służących państwa Gonfale o drogę do kościoła Świętej Urszuli, ale szybko doszła do wniosku, że nawet najlepszy opis nie na wiele się zda w gąszczu uliczek. Musiała poświęcić kilka monet, które dała gromadzie uliczników. Ci zaprowadzili ją do celu, a po drodze pokazali jej kilkadziesiąt miejsc rozpusty, sugerując, że mogłaby się tam nocą zabawić. Giulia nie poprosiła ich, by po nabożeństwie posłużyli jej znowu za przewodników, więc odeszli rozczarowani.

Święta Urszula nie była ani szczególnie dużym, ani znaczącym kościołem katolickim. Zbudowana

jeszcze w stylu romańskim i wciśnięta jakby na siłę między okoliczne domy, świątynia sprawiała wrażenie ponurej i odpychającej. To wrażenie wzmoгло się, gdy Giulia otworzyła wielkie, obite miedzią drzwi i weszła do środka. Daleko z przodu, w apsydzie, płonęło kilka świec, które ledwo rozświetlały otoczenie. Nawet z miejsc opatrzonych nazwiskami miejscowych rzemieślników ołtarz ledwie było widać.

Giulia poczuła się tu nieswojo. Przez moment miała ochotę zawrócić, ale się przemogła i wyprostowała. „Jeśli będę się cofać przed każdą najmniejszą trudnością jak mała dziewczynka – pomyślała – to nigdy nie uwolnię się od ojca”.

Gdy podeszła do ołtarza, dostrzegła kilku mężczyzn, którzy siedzieli w bocznych rzędach ławek, zastrzeżonych właściwie dla szlachetnie urodzonych i dla ludzi Kościoła. Urywki zdań w różnych językach zdradziły jej, że ludzie ci pochodzą z rozmaitych krajów. Sądząc po ich odznakach i amuletach, większość z nich była zapewne pielgrzymami, którzy chyba podobnie jak ona mieli nadzieję, że zdobędą posadę w jednym z wielu chórów papieskiego miasta.

Gdy Giulia zajęła miejsce, spróbowała ocenić swoich konkurentów. Wśród nich było kilku Niemców albo Flamandczyków – Giulia nie potrafiła rozróżnić dialektów tych dwóch narodów. Jeden z mężczyzn posiadał donośny bas, jego towarzysz natomiast zdawał się bardziej polegać na żarliwości niż czystości swojego głosu. Hiszpana poznała po postawie, a Francuza po cichej modlitwie w ojczystym języku. Pozostali byli Włochami. Niebawem Giulia stwierdziła, że około dwudziestu osób taksuje ją wzrokiem.

Jeden z mężczyzn pochylił się w jej kierunku.

– Skąd pochodzisz?

– Z Cremony – odpowiedziała lakonicznie we florentryńskim dialekcie.

Brzmienie jej głosu sprawiło, że kilku mężczyzn się wzdrygnęło.

Ten, który ją zagadnął, machnął ręką z obrzydzeniem.

– Jeszcze jeden cholerny kastrat.

Jego sąsiad również się skrzywił.

– Czego on tutaj chce? Ci odmieńcy są przecież zawsze zatrudnieni u kogoś na stałe.

Giulia zorientowała się, że ci ludzie widzą w niej groźnego konkurenta i najchętniej by ją stąd przegnali. Przy tym żaden z nich nie był w stanie zaśpiewać utworów solowych napisanych specjalnie dla kastratów. Mężczyzna o nieczystym głosie wstał i podszedł do niej, ale natychmiast usiadł, bo w tym samym momencie otworzyły się drzwi zakrystii i wszedł kościelny. Nie zwracając uwagi na obecnych, przytknął cienki wiór z drewna sosnowego do płomienia świecy, a gdy ten się zajął, zapalił nim pozostałe lichtarze. Poszło mu to szybko, gdyż po wielu latach pracy nabrał wprawy.

Wierni zaczęli napływać do kościoła i zajmować miejsca, jakby kościelny dał im w ten sposób jakiś znak. Giulia zauważyła, że dziesiątki ludzi lustruje wzrokiem ją i innych śpiewaków. Najwidoczniej cotygodniowe występy w kościele Świętej Urszuli były główną atrakcją w tej dzielnicy.

Ironiczne komentarze z pierwszych rzędów sprawiły, że niektórzy rywale Giulii mocno się zdenerwowali. Jej te uwagi nie przeszkadzały, bo była przyzwyczajona występować przed całkiem inną publicznością niż rzymscy rzeźnicy czy handlarze warzyw. Żeby się skupić, przeniosła wzrok na bogato udekorowany ołtarz, który chyba niedawno został ozdobiony nowymi dziełami sztuki. Obok wizerunku Świętej Urszuli wisiał tu obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu i Świętego Piotra. W

przeciwieństwie do reszty dość przestarzałych ozdób oba obrazy zostały namalowane w modnym obecnie stylu.

Gdy Giulia wciąż jeszcze zajęta była oglądaniem wystroju kościoła, znów otworzyły się boczne drzwi i na progu stanął mężczyzna w wytwornym ornacie biskupim. Począł, aż wierni ucichną i go przywitają, okazując należny szacunek. Potem podszedł do misternie rzeźbionego klęcznika z boku ołtarza, wyniośle pozdrowił ręką śpiewaków i wiernych, jak gdyby chciał podkreślić, że to on jest człowiekiem, którego opinia się tu liczy, po czym usiadł. Giulia w jednej chwili skupiła się całkowicie na dostojniku kościelnym, nie zwracając zbytnej uwagi na mnichów i służących, którzy weszli za nim. W głowie miała mętlik, a serce waliło jej jak oszalałe. Mężczyzną tym był nikt inny jak Francesco della Rocca, opat klasztoru Świętego Hipolita w Saletto. Awansował w ciągu ostatnich lat i był teraz biskupem i jałmużnikiem u Świętej Urszuli.

Spojrzenie biskupa prześlizgnęło się po śpiewakach i z zainteresowaniem zatrzymało na Giulii. Spodziewała się, że duchowny zaraz krzyknie z zaskoczenia i wyda rozkaz, by ją aresztowano. Przypuszczała, że wtedy w Saletto wyszło na jaw, iż partię solową mszy zaśpiewała dziewczyna.

Ku jej uldze wzrok biskupa powędrował dalej i zatrzymał się na kapłanie, który zajął swoje miejsce przed ołtarzem. Na znak księdza kościelny podszedł do śpiewaków i podał im listę z pieśniami, które mieli wykonać. Przez chwilę Giulia miała nadzieję, że wszyscy będą śpiewać razem. Szybkie spojrzenie na kartkę mężczyzny obok zdradziło jej, że każdy z nich będzie musiał indywidualnie odśpiewać część mszy. Najchętniej by zrezygnowała, bo nie chciała, żeby della Rocca usłyszał jej głos. Ale nie było już dla niej odwrotu, gdyż jej obecność zdążyła wzbudzić zainteresowanie. Ludzie w przednich rzędach pokazywali ją sobie palcami i coś między sobą szeptali. Usłyszała, że nazywają ją tym odważnym kastratem, który ułagodził swoim głosem okrutnego zbrojce, Alessandra Tomasiego. Kościelny też chyba coś o tym słyszał, bo spojrzał na nią z uznaniem i szepnął kilka słów do ucha służącemu biskupa. Ten zmierzył Giulie wzrokiem, a następnie podszedł do swego pana.

Gdy inni pieśniarze dostrzegli zainteresowanie, jakie wzbudza kastrat, ich spojrzenia stały się wprost mordercze. Na szczęście zaczęła się msza i wszyscy skierowali uwagę na tekst, który miał zadecydować, czy w nagrodę za swój trud dostaną posadę w papieskim chórze, czy zostaną zbyci ciepłym posiłkiem. W tej sytuacji Giulia wolałaby dostać jedzenie. Bojaźliwie obserwowała biskupa, który uczestniczył we mszy świętej z łagodnie zamyśloną miną; z pewnością wiele wysiłku kosztowało go wyuczenie się takiej pozy.

Dopiero grzmiący bas Niemca albo Flamandczyka wyrwał Giulie z dręczących myśli. Mężczyzna śpiewał naprawdę dobrze, chociaż jego głos zdradzał pewne braki warsztatowe. Giulia dostrzegła, że della Rocca kiwa głową z aprobatą. Niemiec bądź Flamandczyk najwidoczniej zyskał przychylność biskupa. Dwaj następni śpiewacy również dysponowali niskim głosem, ale w porównaniu z poprzednikiem wypadli jednak gorzej. Mina biskupa nie zmieniła się ani na jotę, ale nie kiwał tym razem głową.

O wiele za szybko przyszła kolej na Giulie. Przez głowę przeleciała jej myśl, żeby świadomie źle zaśpiewać, bo wtedy były opat nie zwróciłby może na nią uwagi. Ale była zanadto znana. Przygryzła wargę tak mocno, że poczuła smak krwi, i gwałtownie potrząsnęła głową. Nie, nie będzie ukrywała swoich umiejętności. Jak na razie della Rocca nie rozpoznał w niej małej dziewczynki, która kilka lat temu śpiewała w jego opactwie. Pozostawała jej więc nadzieja, że albo nie poznał prawdy, albo nie pamięta już jej głosu. Skłoniła się w jego kierunku w taki sposób, w jaki zawsze przed występami

pozdrawiała swoich gospodarzy, i zaintonowała pieśń, wypełniając nawet swoim dźwięcznym głosem.

Podczas chorału Giulia nie zwracała uwagi na ludzi wokół siebie, nie wyłączając biskupa. Dopiero gdy wyśpiewała ostatnie „alleluja”, znów stała się świadoma obecności innych osób. W kościele było tak cicho, jakby czas się zatrzymał. Dopiero po dłuższej chwili ludzie zaczęli się poruszać. Rozległy się szelesty ubrań i szuranie stóp po posadzce.

Wtem biskup zaczął klaskać. Powoli, ale głośno i wyraźnie. Z uznaniem skinął Giulii głową.

– *Eccellente*. Taki głos może być dany tylko od Boga! – powiedział, jakby najnormalniejszą dla niego rzeczą było przerywanie mszy, po czym dał znak następnemu śpiewakowi, aby kontynuował.

Wezwany i pozostali rywale starali się pozyskać zainteresowanie biskupa, ale żadnemu się to nie udało.

Gdy wypowiedziane zostało ostatnie „amen”, na znak kościelnego śpiewacy zebrali się w półkolu przed biskupem. Della Rocca tronował na swoim klęczniku, jego świta zebrała się wokół niego jak na obrazie, służący natomiast kazał śpiewakom pojedynczo podchodzić do dostojnika. Della Rocca pytał każdego łagodnym głosem o nazwisko i pochodzenie, po czym lekkim ruchem ręki dawał znak służącemu, w jaki sposób pragnie wynagrodzić śpiewaka. Wydawał się tego dnia wspaniałomyślnie usposobiony, bo każdego obdarował srebrną monetą. To przypomniało Giulii scenę w Saletto, gdy opat wręczał chłopcom z chóru kandyzowane owoce. Mimowolnie zachichotała.

Jeden z mnichów chrząknął i spojrział na Giulię z dezaprobatą. Zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby zapanować nad nerwami, i skoncentrowała się na tym, co rozgrywało się przed nią. Bas, który tak naprawdę pochodził z Flandrii, otrzymał oprócz monety dwudziestosoldowej posadę w kościele Świętej Eulalii. Podziękował biskupowi łamanym włoskim. Potem przyszła kolej na Giulię. Serce jej zamarło ze strachu, że zostanie rozpoznana. Della Rocca uśmiechał się jednak życzliwie i osobiście dał jej do ręki kilka monet.

– Cudownie, mój synu. Twój głos jest naprawdę darem Boga Wszechmogącego dla nas, słabych ludzi.

Giulia skłoniła się i spróbowała nie okazywać zdenerwowania.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo. Jesteście zbyt łaskawi.

Della Rocca uniósł ręce w obronnym geście.

– To ja powinienem ci podziękować, synu. Twój śpiew był dla mnie pięknym prezentem. Zgłosisz się do mistrza Giovanniego Pierluigiego, chórmistrza w bazylice Matki Bożej Większej. Na pewno będzie wiedział, jak spożytkować twój niezrównany głos.

Biskup pogładził Giulię po policzku, jakby miał przed sobą małego chórzystę. Wstał i po raz ostatni pokiwał z uznaniem głową, po czym z zadowolonym uśmiechem opuścił kościół.

Della Rocca miał wszelkie powody do zadowolenia. Chór bazyliki Matki Bożej Większej uchodził na równi z chórem Kaplicy Sykstyńskiej za najlepszy w świecie. Mocno wspierał go papież Pius IV, który jeszcze jako biskup Giovanni Angelo de Medici rozmiłowany był w sztuce. Francesco della Rocca uznał, że kastrat z takim głosem może stać się szczyblem do jego własnej kariery. Nie myślał wprawdzie o tiarze, ale w tym momencie purpura kardynała wydała mu się tak bliska, że wystarczyło po nią wyciągnąć rękę.

Gdy biskup oddawał się przyjemnym marzeniom, Giulia stała zdezorientowana i nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Patrzyła, jak podekscytowani wierni opuszczają kościół głównymi drzwiami, dyskutując ze sobą. Dopiero gdy wrócił kościelny, żeby zgasić świece, ona też opuściła

świętynię i wróciła do domu Gonfale. Czekał tam na nią radośnie usposobiony Vincenzo.

– Nie uwierzysz, Giulio, ale znalazłem mieszkanie. Niestety, Rzym jest bardzo drogi, tak więc możemy sobie pozwolić jedynie na trzy pokoje. Assumpta i Beppo mogą mieszkać razem w jednym pokoju. Ty będziesz dzielić jasny, duży pokój z ojcem, a ja wezmę trzeci, najmniejszy.

Giulia zdawała sobie sprawę, że Vincenzo wolałby mieszkać sam, ale nie mogła wyświadczyć mu tej przysługi.

– Nawykłem mieć pokój tylko dla siebie – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Będziesz więc musiał mieszkać z moim ojcem. Chrapie tak głośno, że nie mogę spać, a to szkodzi mojemu głosowi. Mam nadzieję, że będziesz musiał to znosić jedynie przez kilka tygodni. Gdy zarobię dość pieniędzy, wynajmiemy większe mieszkanie.

Vincenzo spojrział na nią z rozczarowaniem.

– Chcesz występować tu tak samo jak w Cremonie czy Mantui, żeby zarabiać pieniądze? Ale wtedy będzie ci brakowało czasu na naukę śpiewu.

Giulia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Wręcz przeciwnie, będę występować mniej. Byłem dzisiaj przed południem w kościele Świętej Urszuli. Większość śpiewaków przybyłych do Rzymu bez listów polecających udaje się do tej świątyni.

Vincenzo pogardliwie machnął ręką.

– Tam chodzą tylko partacze, którzy się cieszą, że udało im się wyłudzić posiłek.

– W takim razie ja otrzymałem ciut więcej niż jedzenie – roześmiała się Giulia wyjątkowo radośnie. – Kazano mi się zgłosić do Giovanniego Pierluigiego, chórmistrza bazyliki Matki Bożej Większej.

Vincenzo był w szoku.

– Pierluigi? Przecież to chodzi o Palestrinę!

– Owszem. – Giulia z radości zrobiła kilka tanecznych kroków.

Twarz Vincenza spochmurniała.

– Skoro będziesz mógł uczyć się u Palestriny, to na pewno nie zechcesz pójść ze mną do mistrza Galileiego.

– Kto tak twierdzi? Nauka u dwóch wielkich mistrzów bardzo mi odpowiada. Zresztą tu jest moje honorarium za występ u Świętej Urszuli.

Podążyła Vincenzowi pieniądze, które wręczył jej della Rocca.

Mężczyzna rzucił na nie okiem i z zaskoczenia aż zagwizdał.

– Hojnie ci zapłacono. Nie sądzę jednak, że będziesz dostawał równie dużo, śpiewając w chórze Palestriny.

– Wystarczy, żeby opłacić koszty utrzymania i sfinansować lekcje u mistrza Galileiego – odpowiedziała Giulia z niezwykłym optymizmem.

Potem odszukała ojca, żeby przygotować go do czekającej ich przeprowadzki. Zgodnie z oczekiwaniami skrytykował jej plany na przyszłość pod każdym względem. Uważał, że to nierozsądne opuszczać miejsce, gdzie mogli za darmo mieszkać i jeszcze ich dobrze karmiono. Giulia próbowała mu uświadomić, że wdzięczność rodziny Gonfale się kiedyś wyczerpie. Nie rozumiał, że Giulia chciała odejść, póki gospodarze będą postrzegać ich odejście jeszcze jako stratę, ale w końcu uległ jej woli.

Giulia poinformowała o nowym mieszkaniu Assumptę, którą ta wiadomość uradowała równie mocno, gdyż do jej uszu doszły różne plotki krążące wśród służby. Dotychczas nie wspominała o nich swej pani, ponieważ nie chciała jej niepokoić przed ważnym występem w kościele Świętej Urszuli. Ale teraz opowiedziała jej o wszystkim wylewnie. Podobno Paolo Gonzaga przekonał panią domu, że śpiewak, nawet jeśli jest nim znany kastrat, to nieodpowiednie towarzystwo dla jej córek. Ponadto nazwał Vincenza łowcą posagów, przed którym należy się mieć na baczności. Dlatego Giulia nie zdziwiła się, gdy Lucretia Gonfale przyjęła wiadomość o ich planowanej wyprowadzce z wyraźną ulgą.

– Nie chciałam was ponaglać, *messer Casamonte*, ale wasza decyzja jest mi bardzo na rękę. Chcę zatrudnić więcej służby i cieszę się, że niebawem zwolnicie swoje pokoje.

Pobrzmiwały w tych słowach chłód i arogancja, dlatego Giulia zrezygnowała z ostrzeżenia damy przed Gonzagą. Jak głosiła plotka, Paolo pilnie potrzebował pieniędzy. W Rzymie nawet ptaszki ćwierkały, że kilku panów z rodu Gonzaga sprzyścięło się przeciwko panującemu księciu Wilhelmowi z Mantui. Także Lucretia Gonfale z pewnością o tym wiedziała, bo sądząc po jej zachowaniu i kilku luźnych uwagach, widziała swoją córkę Giovannę jako księżną Mantui albo przynajmniej margrabinę Montferratu, który również znajdował się w posiadaniu Gonzagów. Giulia uważała, że garbaty pan zasiadający na mantuańskim tronie jest twardym mężczyzną, którego stać na to, by poradzić sobie z krewnymi i się ich bez skrpułów pozbyć.

Tak więc skłoniła się tylko przed damą, mając nadzieję, że nieprędko znowu ją zobaczy.

– Będziemy wam dozgonnie wdzięczni za waszą wspaiałomyślność.

Lucretia Gonfale nie pozwoliła im jednak tak po prostu odejść. Dzień przed ich wyprowadzką do nowego mieszkania zorganizowała przyjęcie, którego główną atrakcją miał być śpiew Giulii.

Paolo Gonzaga został zaproszony jako gość honorowy i starał się z całych sił ignorować kastrata i Vincenza. Giulia się tym nie przyjmowała. Śpiewała swoje pieśni, rozmawiała z gośćmi, którzy wzbudzili w niej sympatię, a gdy stało się to możliwe, wycofała się do swego pokoju. Ponieważ ściany tego domu były wyjątkowo mało dźwiękoszczelne, długo nie mogła zasnąć z powodu hałasu.

Następnego ranka wstała wcześniej i udała się do bazyliki Matki Bożej Większej. To, co słyszała o sławnym kompozytorze, świadczyło, że Palestrina, który cieszył się łaską już kilku papieży, był równie genialnym, co trudnym chórmistrzem. Gdy Giulia się przed nim skłoniła, przyznała w duchu, że z pewnością tak właśnie jest. Był to chudy, pochylony lekko do przodu mężczyzna o zaniedbanej brodzie i skrzywionych ustach. Spoglądał z takim niezadowoleniem, że swym spojrzeniem mógł odebrać głos wszystkim swoim śpiewakom.

Popatrzył na Giulie markotnie.

– Czego chcesz? Przyjdź tu jutro z powrotem. Teraz nie mam dla ciebie czasu.

– Nazywam się Casamonte. Jego Eminencja, biskup della Rocca, kazał mi się do was zgłosić.

– Czyżby? – Giovanni Pierluigi popatrzył na nią jak na owada, który pełźnie po świeżo zamiecionej podłodze. – Hm, masz zaśpiewać. Na cóż, w takim razie śpiewaj, ale szybko. Nie mam czasu dla amatorów.

Rozgniewana takim przyjęciem Giulia postanowiła, że zaśpiewa temu aroganckiemu mężczyźnie początek mszy, którą sam skomponował na uroczystości w Saletto.

Nawet jeśli Palestrina był zaskoczony, usłyszawszy własne dzieło, to nie okazał tego po sobie. Stał prosto, skrzyżował dłonie na piersi i słuchał uważnie jej śpiewu. Po upływie godziny podniósł rękę.

– Starczy. Faktycznie nieźle śpiewasz. Tak myślałem, że potrafisz co nieco. Della Rocca nie przysłała do mnie nikogo, kto by się nie mógł spodobać Ojcu Świętemu. Przyjdź pojutrze o dziewiątej na próbę.

Odwrócił się i odszedł.

Giulia popatrzyła w ślad za nim z konsternacją i nie wiedziała, czy ma pozwolić, by ją tak po prostu odprawił. W tym momencie podszedł do niej jeden z jego pomocników i podał jej grubą książkę pełną zapisów nutowych.

– Mistrz życzy sobie, byście na pojutrze wyuczyli się pierwszych pięciu pieśni.

Przeprowadzka z domu Gonfale do ich nowej siedziby przy Via Aurelia przebiegła bez problemów. Nawet ojciec Giulii pogodził się ze zmianą. Chyba nawet czuł ulgę, rozstając się z gospodarzami, bo pokojówka zmierzyła go na pożegnanie wielce pogardliwym wzrokiem. Giulia domyśliła się w związku z tym, iż jej ojciec znowu próbował szczęścia u niewłaściwej kobiety.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad jego postępowaniem. Próby w bazylice Matki Bożej Większej były bardzo wyczerpujące. W stosunku do innych członków chóru miała wiele do nadgonienia, a na dodatek musiała zmierzyć się z otwartą okazywaną zawiścią. Większość śpiewaków stanowili mnisi, którym w ramach wynagrodzenia przyobiecane zostało zbawienie duszy i życie wieczne na tamym świecie. Palestrina natomiast większą wagę przywiązywał do dóbr doczesnych i otrzymywał od papieża książęce wynagrodzenie. Gdy teraz jeszcze i kastratowi obiecano okazałą gaź, mnisi zaczęli buntować się całkiem nie po bożemu.

Palestrina poczuł się tak, jakby zaatakowano go osobiście. Zrobił się purpurowy na twarzy.

– Widzę, że śpiew Casamontego wam nie pasuje – powiedział ostrym tonem. – Zatem który z was chce go zastąpić?

Brat Mariano, który został przez pozostałych wydelegowany jako rzecznik, uniósł ze zdziwieniem rękę.

– Ależ mistrzu Pierluigi, wiecie przecież, że żaden z nas nie jest kastratem.

– Jak? Nie jesteście kastratami? I macie czelność zazdrościć tych kilku dukatów komuś, kto złożył tak wielką ofiarę sztuce? Skoro Jego Świątobliwość uważa za stosowne podziękować mu finansowo za jego głos, to nie powinniście tego kwestionować. Od kiedy to członkowie chóru Matki Boskiej Większej chcą być mądrzejsi od papieża?

W tej chwili Giulia miała ochotę uściskać chórmistrza. Był małostkowym, uciążliwym człowiekiem, ale gdy chodziło o śpiew, nie dawał się zbić z tropu.

– Dziękuję wam, mistrzu Pierluigi – powiedziała i skłoniła się przed nim ze szczerą wdzięcznością.

– Już dobrze, Casamonte. Nasi dzielni braciszczkowie nie mieli nic złego na myśli. Oni tak jak i my też chcą błyszczeć w wielkie święta przed Ojcem Świętym i jego dostojnymi gośćmi.

Mnisi nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Mieli świadomość, że Giovanni Pierluigi ma wpływ na Piusa IV i nie chcieli stracić prestiżowych posad u Matki Bożej Większej ani zostać przydzieleni do jakiegoś mniej ważnego chóru. Krótco coś tam między sobą poszeptali, po czym pożegnali się uprzejmie z Palestriną i Julią, jakby nigdy żadna chmurka nie zmąciła ich wzajemnych relacji. Brat Mariano podszedł nawet do Giulii i chciał ją na przeprosiny uściskać, ale Giulia zdołała tego uniknąć, bo właśnie Palestrina się do niej odezwał.

– Jeśli masz ochotę, to zapraszam do siebie na kolację. Moja żona gotuje dzisiaj jagnię w sosie bazyliowym.

– To dla mnie zaszczyt. – Giulia znów się skłoniła, ale nie potrafiła ukryć ciekawości. – Wybaczcie, mistrzu Pierluigi. To dla mnie dziwne, że powierzono wam jako żonatemu mężczyźnie prowadzenie chóru w bazylice Matki Bożej Większej. Takie stanowisko przysługuje właściwie tylko

duchownemu.

– Jego Świątobliwość zechciał powierzyć te obowiązki osobie najbardziej kompetentnej – odpowiedział Palestrina pewnym siebie głosem.

– Ocena Jego Świątobliwości Piusa IV jest słuszna ponad wszelką wątpliwość. – Giulia przyznała mu rację nie tylko po to, żeby mu schlebić, bo faktycznie dużo słyszała o zamiłowaniu do sztuki i wspaniałym guście obecnego papieża.

Podczas kolacji Palestrina okazał się zajmującym rozmówcą. Giulia była szczęśliwa, bo jeszcze nigdy nie miała okazji z nikim tak intensywnie i dogłębnie roztrząsać kwestii związanych z muzyką. Miał mocno krytyczną opinię na temat kilku znanych kompozytorów. Uznawał niewielu mistrzów jako prawie mu równych i omówił ich cechy charakterystyczne. Tak więc pochwalił na przykład Orlanda di Lasso, który służył u księcia Albrechta V z Bawarii, i wyraził się z uznaniem o Andrei Gabrielim, który, jak powiedział, przed laty był jego wzorem do naśladowania.

Także Giulia znalazła w jego oczach przychyłność, przynajmniej w odniesieniu do jej wiedzy, tak więc raczył udzielić jej rady.

– Powinieneś uczyć się komponowania, Casamonte. Śpiewacy ulegają zapomnieniu, jak tylko pamięć o ich głosie się zaciera. Ale zapisane dzieło kompozytora trwa wiecznie.

– Do kilku moich pieśni sam skomponowałem muzykę – powiedziała Giulia, czując, że się rumieni, bo nie była pewna, czy te utwory zaspokajają wymagania mistrza.

Palestrina dostrzegł jej zmieszanie i uśmiechnął się uspokajająco. To nadało jego twarzy wyraz ojcowskiej troski.

– Chciałbym, żebyś zaśpiewał coś własnego autorstwa – oznajmił.

Giulia przezwyciężyła nieśmiałość i zaintonowała jedną z pieśni, do których słowa napisał dla niej Vincenzo. Palestrina słuchał uważnie jej śpiewu, a na koniec skinął z aprobatą głową.

– Jak na początek, to całkiem nieźle, Casamonte. Wprawdzie nie mógłbym cię jeszcze polecić Jego Świątobliwości, ale sądzę, że znajdujesz się na właściwej drodze.

– Dziękuję.

Giulia powiedziała tylko to jedno słowo, ale po głosie słychać było, że kamień spadł jej z serca. W oczach dziewczyny uznanie Palestriny było zaszczytniejsze niż pasowanie na rycerza.

W domu powtórzyła Vincenzowi wszystko, co powiedział Palestrina, i dyskutowała z przyjacielem do późna w nocy. W trakcie rozmowy uświadomiła sobie, że nadal chciałaby poznać mistrza Galileiego.

Vincenzo wyraźnie poczuł ulgę.

– Jeśli masz czas, możemy go jutro odwiedzić. Nie może się doczekać, kiedy cię pozna. Już rzekłem mu o tobie to i owo.

Vincenzo opowiedział jeszcze trochę o swoim starym przyjacielem, przemilczał jednak, że ten z wielkim zdziwieniem przyjął jego przyjaźń z kastratem. Vincenzo Galilei dobrze pamiętał o krytycznych i pogardliwych uwagach swego imiennika o zwyczaju kastrowania chłopców i na temat samych rzeźniców.

– Jutro mam czas – powiedziała Giulia, nie ukrywając, że cieszy się na spotkanie z mistrzem Galileim. Był on jednym z najślawniejszych nauczycieli muzyki we Włoszech i uczył śpiewu w niejednym konserwatorium.

Gdy Giulia i Vincenzo zajęci byli swoją muzyką, Girolamo Casamonte potwornie się nudził. Poza członkami rodziny Gonfale nie nawiązał żadnych bliższych znajomości. Ponieważ wino, które przynosił mu od handlarza Beppo, było dla niego niewystarczającą rozrywką, postanowił, że rozejrzy się za jakimś dobrym zamtuzem.

W Rzymie było dużo więcej przybytków płatnej miłości niż kościołów, ale ledwo mogły obsłużyć masy pielgrzymów, którzy napływali do świętego miasta. Ojca Giulii nie interesowały tanie nory, z których korzystali niezamożni ludzie, bo w takim miejscu szybko można było złapać jedną z tych obrzydliwych chorób, na które chorowała duża część prostytutek. Teraz Giulia znowu przynosiła do domu dość pieniędzy, mógł więc pozwolić sobie na wizytę w gościnnym domu jakiejś kurtyzany. Jeden z owych próżniaków, którzy kręcą się po placach i ulicach, żeby oskubać obcych z kilku skudów, zaprowadził go w końcu do domu należącego do damy o nazwisku Rivaccio, która podobno chętnie przyjmowała gości jego stanu.

Nauczony doświadczeniami zdobytymi w Modenie Girolamo Casamonte się nie wywyższał. Pozdrowił służącego, który otworzył mu drzwi, i poprosił go uprzejmie o pozwolenie na wejście do środka.

Portier wpuścił go, zwracając się do niego równie uprzejmie.

– Proszę, wejdźcie, mój panie. Kogo mam zaanonsować jaśnie pani?

– Nazywam się Casamonte. Niedawno przybyłem do Rzymu, zamierzam jednak zostać tu kilka miesięcy.

Ojciec Giulii wcisnął skuda do chętnie otworzonej dłoni. Nie była to duża kwota, ale służący wyglądał na zadowolonego. Skłonił się po raz drugi i zniknął za kotarą, która oddzielała mały hol od korytarza.

Casamonte oparł się pokusie pójścia za lokajem. Usiadł na gustownie rzeźbionym krześle, które stało prawdopodobnie z myślą o gościach, i się rozejrzał. Otwarte drzwi prowadziły do garderoby, gdzie można było odwiesić odzienie wierzchnie, inne – do pakamery portiera. Ściany holu pokrywał zielony materiał i zdobiły obrazy przedstawiające skąpo ubrane kobiety. Wystrój nieco przypominał Casamontemu ekskluzywny zamtuz w Modenie, w którym wizyta tak fatalnie się dla niego skończyła. Tutaj obrazy i dekoracje zostały dobrane z większym smakiem, ale były nieco mniej kosztowne. Na pierwsze wejrzenie dom nie sprawiał wrażenia, że przychodzą do niego butni szlachcice, którzy z nudów gotowi byliby wyrządzić krzywdę obcemu. Casamonte na widok tego wszystkiego poczuł zadowolenie. Nie minęło dużo czasu, a portier wrócił. Za nim wkroczyła odziana w ciemnozieloną suknię kobieta o blond włosach. Dygnęła przed gościem. Jej błękitne oczy patrzyły tak intensywnie, jakby chciały go przewiercić na wylot. Widać po niej było, że nie może się zdecydować, czy zaprosić gościa do środka, czy uprzejmie, ale zdecydowanie się z nim pożegnać.

Casamonte postanowił, że przejmie inicjatywę.

– *Buona sera, signora Rivaccio.* Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Girolamo, ojciec słynnego śpiewaka kastrata Giulia Casamontego, który został przyjęty do chóru przy bazylice Matki Bożej Większej.

Kobieta z zaskoczenia klasnęła w dłonie.

– Casamonte? Czy to nie ten odważny śpiewak, który zamienił okrutnego zbójcę Tomasiego w łagodne jagnię?

Girolamo Casamonte rozłożył ramiona, udając przerażenie.

– Nie mówcie tego zbyt głośno, bo jeszcze bandyta zechce się zemścić na moim synu, aby odzyskać sławę bezwzględnego okrutnika.

– Zapraszam do środka.

Kobieta chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą. Mógł się jej w tym momencie dobrze przyjrzeć. Była zapewne ciut po trzydziestce i miała miłą aparycję. Być może sama przyjmowała gości albo dopiero niedawno przestała ich obsługiwać i zajęła się prowadzeniem tego przybytku. W każdym razie stanowiła apetyczny kąsek, który wzbudzał w nim pożądanie. Jeśli pozostałe kurtyzany są na tym poziomie, miał więcej szczęścia, niż się spodziewał.

Girolamo Casamonte nie popełnił tym razem błędu i nie pchał się na siłę do środka, lecz grzecznie przeszedł za damą do dużego salonu, który również utrzymany był w odcieniach zieleni. Wisiało tu zaledwie kilka obrazów nagich kobiet, ale za to wszystkie były na wysokim poziomie. Służąca podała mu kieliszek wina. Upił trochę i poczuł się mocno zaskoczony. W porównaniu z tym trunkiem wino, które podano mu w zamtuzie w Modenie, smakowało jak posłodzona woda. Również obecne w salonie dziewczęta przypadły mu do gustu. Nie było wśród nich jakiejś szczególnie pięknej, ale wszystkie wyglądały na radosne istoty. Ich usta zapraszały do całowania, a pełne kształty do obściskiwania.

Ojciec Giulii zastanawiał się, którą dziewczynę wybrać, gdy służący gestem ręki przywołał panią domu na stronę. Skłoniła się lekko Casamontemu i podeszła do zdenerwowanego lokaja, który zaczął jej coś szybko tłumaczyć. Ojciec Giulii nie mógł zrozumieć jego słów, ale wiadomość musiała być szokująca, bo dama aż krzyknęła z przerażenia.

– Lassaro jest chory? *Madonna mia*, to nie może być prawda. Dzisiaj przychodzi przecież niemiecki hrabia. Jeśli nie będzie muzyki, od razu poszuka sobie innego lokalu.

– Czy dwaj pozostali muzycy nie mogą zagrać bez Lassara? – wtrąciła się jedna z kobiet.

Zdenerwowana signora Rivaccio pokręciła głową.

– Nie, nie, jeśli nikt nie podaje im taktu, grają tak okropnie, że goście nie mogą tego słuchać. Bez Lassara są tak bezradni, jak wy byłybyście beze mnie.

Dziewczęta zachichotały na jej słowa. Widocznie nie czuły się wcale tak bezradne, jak uważała. Pani domu nie zwracała jednak na nie uwagi.

– Ruvenzo, co tak stoisz i się na mnie gapisz? Idź i sprowadź innego muzyka. Ten Niemiec jest zbyt cennym klientem, żeby ryzykować, że się pogniewa.

W tym momencie Casamonte uznał, że przyszła pora się wtrącić.

– Wybaczcie, pani, ale niechcący stałem się świadkiem waszej rozmowy. Być może mógłbym wam pomóc. Kiedyś byłem kapelmistrzem i potrafię grać na kilku instrumentach.

Twarz pani domu natychmiast się rozpromieniła.

– Ach, naprawdę? To cudownie. Bianca, ruszaj się, przyprowadź muzyków, żeby nasz gość mógł im się przyjrzeć – rozkazała jednej z dziewcząt i z uśmiechem ulgi obróciła się do Casamontego. – Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem wam wdzięczna. Hrabia Waldenheim, który przebywa na dworze Jego Świątobliwości jako poseł księcia bawarskiego, jest bardzo hojnym gościem. Nie chciałabym go stracić, zwłaszcza że chyba jest zakochany w mojej Violetcie.

Ojciec Giulii spojrzał nieco niepewnie na podłogę.

– Cieszę się, że mogę wam pomóc. Ale czuję się nieco zakłopotany, bo nie mam przy sobie żadnego instrumentu.

– Ależ to nie problem. Ja zawsze mam kilka instrumentów w domu na wypadek, gdyby goście chcieli posłuchać, jak grają moje dziewczęta. Niestety, niemiecki hrabia domaga się, by przygrywali mu zawodowi muzycy, gdy okazuje swoją łaskę Violetcie.

Donatella Rivaccio wysłała jedną z dziewczyn po instrumenty. Ta wróciła po chwili.

Casamonte wziął do ręki violę da gamba, z czułością pogłodził jej zaokrąglony korpus i sprawdził struny. Instrument był lepszy niż ten, który posiadał w Saletto jako kapelmistrz hrabiego. Chociaż dawno już nie grał, poczuł, że z emocji krew szybciej pulsuje mu w żyłach. Nastroił violę, przystawił do ciała i przesunął smyczkiem. Zabrzmiały jasne, czyste tony.

Pani domu była zachwycona.

– Doprawdy jesteście mistrzem, *messer* Casamonte. – W tym momencie coś przyszło jej najwidoczniej na myśl, bo przekrzywiła głowę i spojrzała na niego w zamyśleniu. – Ponieważ wasz syn jest słynnym śpiewakiem, zapewne nie chcecie ujawniać wszem i wobec waszego prawdziwego nazwiska. Czy zgadzacie się, żebym przedstawiała was jako pana Girolama Girolamiego?

– Nazywajcie mnie Giroli – poprosił Casamonte i się roześmiał. – Girolamo Girolami brzmi jak nazwisko zbójcy.

– Girolamo Giroli. Muszę powiedzieć, że to nazwisko mi się podoba.

Dama z wdzięcznością uścisnęła ojcu Giulii ręce i szybko wyszła z salonu, żeby przygotować wszystko na przybycie hrabiego. Tymczasem pojawili się dwaj pozostali muzycy. Zdziwili się, zastając obcego, ale nie okazali tego po sobie. Przywitali się uprzejmie i wypakowali instrumenty.

Casamonte ocenił ich jako prostych grajków, na tyle dobrych, żeby zagrać na flecie i na *chitarra*, ale nieposiadających większych umiejętności i nierozumiejących tak naprawdę muzyki. Widać było, że są zadowoleni, mogąc grać w tym domu. Wielokrotnie zapewniali Casamontego, że signora Rivaccio hojnie ich wynagradza. Ojciec Giulii śmiał się w duchu z ich zapału. W końcu nie przyszedł tu po to, żeby zarabiać pieniądze, ale żeby je wydać na którąś z uroczych sikerek. Ale teraz musiał poczekać. On i dwaj pozostali muzycy zajęli miejsce za grubo plecioną kratą i omawiali pieśni, które zamierzali zagrać, a tymczasem pojawił się niecierpliwie wyczekiwany gość.

Hrabia Waldenheim był wysokim, dość niezgrabnym mężczyzną o tubalnym głosie i krzaczastych wąsach, jakich nie miałyby odwagi zapuścić nawet największy włoski półgłówek. Pod niemodnym szerokim niebieskim kaftanem widać było sztywną od potu koszulę. Jego wąskie czerwone spodnie również miały zacieki z potu. Niebieskie oczy hrabiego ślizgały się lubieżnie po stojących w szeregu dziewczętach i zatrzymały się w końcu na drobnej istotce przypominającej elfa. W tym momencie Donatella Rivaccio chrząknęła znacząco. Casamonte zrozumiał, że nadeszła pora na muzykę. Chwilkę potem pomieszczenie napełniły miłe dla ucha dźwięki instrumentów. Niemiecki hrabia z zadowoleniem nastawił uszu. Zamknął oczy i zaczął kiwać głową w takt muzyki. Potem chwycił Violetkę. Ku zdziwieniu Casamontego nie zaciągnął jej do innego pokoju, ale zaniósł ją na otomanę stojącą przy ścianie i zaczął ją tam bez żadnego skrępowania rozbierać. Wielkimi dłońmi obmacywał jej kształtne drobne piersi, potem chwycił jej dłoń i przycisnął do okazałego mieszka u spodni, kryjącego jego genitalia.

Violetta palcami wymacała jego członka i wydała z siebie okrzyk pozorujący przerażenie, ale ochoczo pomogła hrabiemu zdjąć ubranie i rozłożyła uda.

Casamonte miał problem z zachowaniem taktu, a jego własnemu członkowi nagle zrobiło się za ciasno w mieszk, w którym był ukryty. Widział, jak hrabia wchodzi w Violetę w rytm muzyki, i musiał się mocno powstrzymać, żeby nie grać coraz szybciej. W końcu zasapany Niemiec położył się płasko na kobiecie. Casamonte musiał się w końcu odwrócić od pary plecami, bo nie mógł już wytrzymać z pożądania. Sam nigdy nie uprawiał na oczach innych czegoś tak intymnego jak miłość cielesna. Ale ludzie bywają różni.

W końcu Girolamo Casamonte usłyszał przytłumione nieco muzyką namiętne jęki hrabiego i towarzyszące im okrzyki rozkoszy wydawane przez dziewczynę. Z ciekawości się obrócił. Niemiec leżał na kurtyzanie bez ruchu, sapał jedynie gwałtownie. Przygnieciona jego ciężarem dziewczyna nie mogła się ruszyć. Hrabia wstał dopiero po dłuższej chwili. Natychmiast dwie inne dziewczyny podbiegły do niego i pomogły mu się ubrać. Ponieważ pieśń się właśnie skończyła, Casamonte chciał zrobić przerwę, ale signora Rivaccio, gwałtownie gestykulując, dała mu do zrozumienia, żeby kontynuował. Hrabia opróżnił kilka kubków wina jeden po drugim i zaczął domagać się od Violety zapewnień, jaki był tym razem wspaniały i silny. Dopiero potem wyszedł, odprowadzony przez signorę Rivaccio. Gdy pani domu wróciła z zadowolonym uśmiechem na ustach, ojciec Giulii mógł wreszcie odłożyć instrument.

Signora Rivaccio zapłaciła dwóm pozostałym muzykom, którzy odeszli, kłaniając się uniesieniem wiele razy, po czym zwróciła się do Casamontego.

– Nie macie pojęcia, jak bardzo mi pomogliście. Hrabia z Niemiec jest może trochę nietypowym gościem, ale to przyjazny, a przede wszystkim hojny człowiek. Violetta byłaby niepokieszona, gdyby straciła takiego wielbiciela.

W tym momencie kurtyzana, jakby usłyszała te słowa, podbiegła do Casamontego i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję wam, *signore*. Jeśli macie takie życzenie, chętnie zatroszczę się o wasze potrzeby.

Ojciec Giulii spojrzał na nią z żalem w oczach.

– Jesteś bardzo piękna, Violetto. Ale niestety moje gusta są nieco inne niż tego germańskiego bawołu. Wybac, nie chcę się obrazić, ale preferuję nieco krągłejsze kształty.

Przez chwilę Casamonte się obawiał, że popełnił gafę. Na szczęście Violetta roześmiała się tylko na te słowa i żartobliwie uszczypnęła go w zakrywający jego przyrodzenie mieszek u spodni.

– Hrabia Waldenheim powiedział mi, że jego żona to prawdziwa góra tłuszczu, dlatego dla odmiany lubi iść do łóżka z kobietami o drobnej budowie. Ale tu są jeszcze inne ładne dziewczyny, na pewno któraś wam się spodoba.

Natychmiast trzy pozostałe kurtyzany podeszły bliżej, dygnęły przed nim, a on dzięki temu miał możliwość zajrzeć im głęboko w dekolty i zobaczyć cuda natury wciśnięte w ciasne gorsety. Nie miał śmiałości sam z siebie zagadnąć kurtyzan. Spojrzał pytająco na signorę Rivaccio, a ta skinęła mu przyzwalająco głową.

– Wybierzcie sobie jedną z dziewcząt, mój panie. Naprawdę zasłużyliście sobie na to.

Casamonte przyjrzał się jeszcze urodziwej gromadce i wybrał w końcu dziewczynę o imieniu Bianca.

Giulia wieczorem słyszała, jak jej ojciec wychodzi z domu. Rano była zdziwiona, że ciągle jeszcze nie wrócił.

– Na pewno poszedł się zabawiać z dziewczkami. A niech sobie używa, byle tylko znów nie wpadł w tarapaty – powiedziała do Vincenza, po czym zapytała ochotczo: – Pójdziemy dziś do mistrza Galileiego?

Vincenzo uśmiechnął się pogodnie.

– Chętnie, ale dopiero po śniadaniu.

Giulia nie ponaglała, tylko również zajęła się jedzeniem. Z każdej potrawy uszczknęła po troszeczkę. Vincenzo żartował nieco z jej powściągliwości, na co ona z niechęcią pokręciła głową.

– Nie chcę nabrać takich nieforemnych kształtów jak Belloni.

Ale tak naprawdę Giulia nie chciała, by jej figura stała się zbyt kobieca. Jeśli przytyje, wówczas opaska krępująca jej piersi stanie się zbyt ciasna i będzie jej przeszkadzała podczas śpiewu.

Pół godziny później szła wraz z Vincenzem wąskimi uliczkami Rzymu w kierunku mieszkania Galileiego. Hałas na ulicy był ogłuszający. Uliczni sprzedawcy zachwalali swoje towary, żebracy stukali donośnie kosturami i miskami na jałmużnę, a pielgrzymi głośno wychwalali Boga, że dane im było dotrzeć cało i zdrowo do centrum chrześcijaństwa. Całowali przy tym brudne kamienie brukowe, po których swego czasu stąpali Cezar i Oktawian August. W pewnym momencie Giulia zobaczyła sprzedawcę pasztecików, przy którego stoisku wspaniale pachniało. Nie potrafiła się oprzeć pokusie i kupiła kilka sztuk.

– W Rzymie jest tyle smakowitości. Muszę się ograniczać, bo naprawdę przytyję – uśmiechnęła się do towarzysza i z apetytem ugryzła kawałek pasztecika.

Vincenzo popukał ją palcem wskazującym w brzuch.

– Jeszcze ci sporo brakuje, byś nabrał figury swojego ojca. A doprawdy bywają dużo grubszy mężczyźni niż on.

Giulia się przestraszyła. Do tej pory Vincenzo dotykał jej tylko wtedy, gdy było to konieczne, na przykład, gdy potknęła się o kamień. Ale nawet wtedy wzdrygał się, jakby bezpośredni kontakt był mu niemiły. Teraz jednak miał swawolną minę. Może nawet chciał ją połaskotać, ale brakowało mu śmiałości. Popatrzyła na niego, przekrzywiając głowę, i uznała, że jest przystojny. Gdyby była kobietą, mógłby zawrócić jej w głowie. W tym samym momencie pomyślała: „Ale ze mnie głuptas”. Przecież była kobietą, nawet jeśli ukrywała swoją płć. Vincenzo zawsze jej się podobał, ale teraz zdała sobie sprawę, że czuje do niego coś więcej niż zwykłą sympatię. Podczas dalszej przechadzki zastanawiała się, czy nie powinna mu zaufać i przyznać się do maskarady. Ale tym samym stałaby się od niego całkiem zależna, a na to nie pozwalał mur nieufności, który wybudowała w swej duszy już wiele lat temu i który odgradzał ją od reszty ludzi poza Assumptą i Beppem. Nie mogła przewidzieć, jak Vincenzo zareaguje na jej wyznanie, a nie chciała wystawiać na ryzyko ich przyjaźni.

– Czy jeszcze daleko do mieszkania mistrza Galileiego? – zapytała, żeby pozbyć się zakłopotania.

Vincenzo z uśmiechem pokręcił głową.

– Bez obaw. Zaraz znajdziemy się przy Via del Macellaio.

– Na „ulicy rzeźników”? Czy tam nie cuchnie za bardzo?

Giulia była bardzo wrażliwa na zapachy. Odór mógłby zaszkodzić jej głosowi.

Vincenzo zrozumiał, o co chodzi. Zaśmiał się pogodnie i machnął ręką.

– Uchowaj Boże. Już dawno nie zabija się tam zwierząt. Ulica zachowała po prostu starą nazwę.

Niedługo potem dotarli do dużego brązowego budynku z małymi oknami i z zadaszoną kolumnadą dookoła. Vincenzo otworzył drzwi i wpuścił Giulie na klatkę schodową. W porównaniu z połyskującą jasnością letniego poranka było tu prawie zupełnie ciemno. Potrzebowali dłuższej chwili, by oczy przyzwyczyły im się do mroku. Gdyby Giulia zrobiła jeszcze jeden krok, potknęłaby się o pierwszy stopień schodów. Spojrzała niepewnie na prowadzącą na piętro stromiznę, znikającą w pozbawionej konturów nicości.

– Na które piętro musimy się wspiąć? – zapytała Vincenza.

– Na czwarte. Idziesz pierwszy czy puścisz mnie przodem?

– Idź przodem. Będę mógł się ciebie przytrzymać, jeśli się potknę na tych wydeptanych deskach.

Giulia odsunęła się, żeby zrobić mu przejście, ale było tak ciasno, że musiał się obok niej precyzyjnie przesuwać. Gdy się o nią obtarł, przeszedł ją niezwykle dreszcz. Aż zakręciło się jej w głowie. Niewiele brakowało, a zasłabłaby i się zdradziła. Jeśli nie chciała narazić na szwank wszystkiego, co osiągnęła, od tej chwili musi się trzymać w karcach bardziej niż do tej pory.

Na szczęście wspinaczka po schodach w całkowitych niemal ciemnościach wymagała od niej całej koncentracji, tak że zdołała się opanować. Gdy znaleźli się na górze, Vincenzo zapukał do drzwi. Te natychmiast się otworzyły i na zewnątrz wystawiła głowę kobieta w prostej domowej sukience i w chustce na głowie.

– Wreszcie przyszliście, *messer de la Torre*. Wejdźcie! Mój mąż czeka już na was z niecierpliwością.

Vincenzo skłonił uprzejmie głowę i wskazał na Giulie.

– Czy mogę wam przedstawić mojego przyjaciela Giulia Casamontego? Jest utalentowanym śpiewakiem.

W tym momencie zabrzmiał tubalny męski głos:

– W minioną niedzielę słyszałem Casamontego u Matki Bożej Większej. Vincenzo, nie przesadziłeś, mówiąc o jego głosie. Wejdźcie obaj do środka i spocznijcie. Mam nadzieję, że nie odmówicie kubka wina i świeżych ciasteczek brzoskwiniowych. Moja żona właśnie je piecze. Ale się przypała, jeśli dłużej będziecie ją zatrzymywać.

– Co, moje ciasteczka się przypalają?

Przestraszona kobieta wpadła do mieszkania. Vincenzo musiał zamknąć drzwi za sobą i Giulie. Galilei gestem ręki dał im znak, żeby weszli do jego małej pracowni. Zanim podał im rękę, zsunął na kark brudną szlafmycę i obciągnął wyświechtany brązowy szlafrok.

– Witajcie w moich skromnych progach, *messer Casamonte*. Mój przyjaciel i imiennik Vincenzo wychwalał was pod niebiosa. Początkowo uważałem, że blaguje, ale od kiedy usłyszałem was w niedzielę, wiem, że nie przesadzał.

Giulia odwzajemniła mocny uścisk rąk i usiadła na skrzyni, która nie wyglądała wprawdzie na szczególnie stabilną, ale nawet nie zaskrzypiała pod jej ciężarem.

Vincenzo usiadł na trójnożnym taborecie, wyciągnął nogi w kierunku drzwi i zapytał Galileiego o jego najnowszą kompozycję.

Nauczyciel muzyki mrugnął do niego i wyciągnął plik wielokrotnie poprawianych kartek z nutami.

– Już prawie gotowe, tylko nie zdążyłem jeszcze przepisać tego na czysto.

Giulia spojrzała z ciekawością na kartkę na wierzchu i ze zdziwienia uniosła brwi. Melodia była niezwykła. Zanuciła kilka taktów, jak to zawsze czyniła, gdy miała przed sobą obcą kompozycję. Tekst dotyczył pobożnego tematu, a jednak była to bardzo radosna pieśń. Nie mogła sobie wyobrazić większego przeciwieństwa do patosu dzieł Palestriny. Może to dlatego tak bardzo spodobał jej się ten utwór. Poza tym była to pieśń dla solisty śpiewającego przy akompaniamencie lutni. Wzięła resztę kartek z rąk Galileiego i je przejrzała.

– Chętnie bym to zaśpiewała.

Z twarzy Galileiego zniknęło napięcie. Uśmiechnął się niemal swawolnie i wziął do ręki lutnię, żeby zagrać pierwsze akordy. Był nadzwyczajnie dobrym lutnistą i bez wątplenia to on uczył Vincenza. Giulia z uznaniem kiwnęła głową swemu uśmiechającemu się pyszałkowato towarzyszowi.

– Teraz wiem, dlaczego tak dobrze grasz na lutni.

Vincenzo uśmiechnął się z zadowoleniem, a Galilei opowiedział o kilku zdarzeniach z czasów, kiedy Vincenzo de la Torre był jego uczniem. Ten oczywiście wyparł się większości wybryków, które rzekomo miał popełnić, albo przypisał je innym studentom. Giulia nie miała jednak wątpliwości, że Vincenzo był niezłym hulajduszą. Napomknęła pół żartem, pół serio, że jej towarzysz jest teraz bardzo porządnym człowiekiem. Galilei zaniósł się na te słowa śmiechem.

– Nie mów, Vincenzo, że stałeś się praworządnym obywatelem. Nie spodziewałem się tego po tobie. Sądziłem raczej, że twoja rodzina będzie musiała ożenić cię z jakąś sekutnicą, która dałaby radę okiełznać takiego huncwota. Ale widocznie twoja gorąca krew zdążyła już ostygnąć.

Vincenzo żartobliwie się nadąsał.

– Nigdy nie byłem aż tak zły, jak mi się to wmawia. Ale jeśli człowiek żyje sam i nie ma nawet solda w kieszeni, wówczas łatwo o popełnienie jakichś głupstw. Gdy sytuacja finansowa się poprawia, to przestaje się rozrabiać.

Galilei zaniósł się śmiechem.

– Mówisz jak jakiś bogaty geszefciarz, który w sile wieku wspomina młode lata i chciałby, aby zapomniane zostały jego stare grzechy z młodości.

Najwidoczniej nie do końca uwierzył, że jego gość stał się czcigodnym obywatelem. Zanim Vincenzo zdążył jednak zaoponować, pojawiła się żona Galileiego i postawiła na chwiejnym stole talerz pełen ciasteczek brzoskwiniowych. Galilei wstał, otworzył małą narożną witrynę i wyjął z niej dzban wina.

Ciasteczka smakowały wspaniale, dlatego Giulia poprosiła gospodynię o przepis. Była pewna, że Assumpta również zdoła upiec takie rarytasy. Pani domu nieco się krępowała, ponieważ początkowo nie sądziła, że młody mężczyzna przedstawił swą prośbę na poważnie. Ale ponieważ Vincenzo poparł Giulie, w końcu ustąpiła. Gdy Galilei szukał kartki, na której jego żona mogłaby zapisać recepturę, z pokoju obok dobiegł przenikliwy płacz dziecka.

Galilei westchnął.

– Mój synek Galileo jest chory. Jak tylko się obudzi, zaraz płacze. Akuszerka mówi, że to przez ząbkowanie. Naparzyła mu ziółek, ale on je wypluwa. Wezwaliśmy też doktora. Ale równie dobrze mogliśmy wrzucić pieniądze do najbliższej studni. Doktor nawet nie przyjrzał się dobrze dziecku. Uczeni panowie nie wysilają się, żeby pomóc takiemu maleństwu. No cóż, gdyby to był bękart Jego Świątobliwości...

– Vincenzo, nie grzesz – zganiła go żona, kładąc mu rękę na ramieniu, po czym wybiegła do pokoju

obok.

Malec nie przestawał płakać. Matka nosiła go na rękach po mieszkaniu, kołysała i śpiewała mu cicho kołysankę. Dziecko na moment się uspokoiło, a potem rozplakało jeszcze bardziej.

Zdenerwowany Vincenzo zwrócił się do Giulii:

– Może dałbyś radę uspokoić go swoim śpiewem? W Falenie zawsze udawało ci się ukoić nerwy hrabiny wdowy.

Żona Galileiego podała Giulii żałośnie skamlące zawiniątko.

– Och, tak! Proszę, spróbujcie. Już nie wiem, co począć.

Giulia wzięła ostrożnie chłopczyka na ręce i spojrzała na jego delikatną, czerwoną od płaczu twarzyczkę oraz drobne rączki zaciśnięte w delikatne piąstki, którymi bez celu machał w powietrzu. Nagle poczuła bolesne ukłucie w sercu. Gdyby jej życie potoczyło się inaczej, prawdopodobnie sama byłaby teraz matką. Musiała jednak zrezygnować z małżeństwa i dzieci, gdyż jej rodzony ojciec oraz zakonnik Lorenzo zmusili ją do występowania w roli chłopca.

Galilei dostrzegł, że Giulia spochmurniała.

– Wybaczcie mojej niewieście, że tak wcisnęła wam to dziecko. Nie chciała zrobić wam przykrości. Ale nie pomyślała, jakie bolesne musi być dla was, kastrata, przypomnienie, że małżeństwo i dzieci nie są wam pisane.

Chciał zabrać dziecko, ale Giulia odwróciła się od niego i dalej trzymała mocno chłopca. Zaczęła cicho śpiewać, żeby nie przestraszyć niemowlęcia. Przypomniały jej się pieśni z czasów dzieciństwa, a melodie same popłynęły z jej ust.

Mały Galileo się uspokoił i patrzył na Giulie wielkimi oczami. Kilka razy aż zapał z radości, po czym w końcu zamknął oczy. Giulia śpiewała, póki dziecko nie zasnęło. Potem niechętnie oddała je matce.

– Co? Śpi? To cud – zawołał Galilei głośno, aż jego żona się przestraszyła, że z powrotem obudzi dziecko. – Wasz głos naprawdę pochodzi od Boga. Mam nadzieję, że nieraz będę mógł was słuchać.

– Z pewnością – odpowiedział Vincenzo zamiast Giulii. – A przy okazji będziecie go uczyć, aby stał się jeszcze lepszy. Nicco brakuje mu wciąż do doskonałości.

– Zrobię to z wielką radością – odpowiedział Galilei i pogrzebał w swoich pismach, żeby pokazać Giulii nuty kolejnego utworu muzycznego.

Miło spędzone przedpołudnie było wstępem do kolejnych wizyt u rodziny Galilei. Pogodne, a zarazem pouczające rozmowy z mistrzem okazały się dla Giulii miłą odmianą po ciężkich próbach w bazylice Matki Bożej Większej.

Giovanni Pierluigi był może bardziej znanym kompozytorem, ale nie miał takiego pogodnego usposobienia i traktował chórzystów jak osobistych niewolników. Stworzył nową mszę, która miała zostać wystawiona dla upamiętnienia Marcelego II, poprzednika obecnego papieża. Kompozytor pragnął zabłysnąć tym dziełem przed włoskimi elitami. Dlatego każdego dnia zmuszał chór do wielogodzinnych prób; Giulia z trudem znajdowała czas na wizyty u Galileiego, jeszcze trochę i musiałaby krócej sypiać. Na własne występy nie miała już czasu.

Od Piusa IV otrzymywała dość pokaźne wynagrodzenie, ale wystarczało ono właściwie tylko na czynsz i na życie. Ku jej zdziwieniu ojciec nie naciskał, by zarabiała pieniądze na jego przyjemności. Prawie go nie widywała. Z rzadka sypiał w ich wspólnym mieszkaniu. Giulia była z tego zadowolona, bo dzięki temu Vincenzo miał mały pokój najczęściej tylko dla siebie. Mimo to wolałaby wiedzieć, gdzie jej ojciec się zabawia. Zapytała o to Beppa, który poinformował ją, że ojciec prawie cały czas przesiaduje w znanym zamtuzie i najwidoczniej jest mocno spoufalony z pracującymi tam kurtyzanami.

Usługi w takich domach nie były tanie i Giulia bała się, że ojciec wcześniej czy później zacznie domagać się od niej pieniędzy. Ale ku jej zdziwieniu nie wziął od niej nawet skuda. Gdy od czasu do czasu spotykali się podczas posiłku, był cały w skowronkach. Dawno nie widziała go takiego radosnego. Nucił popularne melodie, kilka razy wyciągnął z kieszeni papier nutowy, żeby go przestudiować, i chyba od niedawna znów zaczął komponować.

Nie miała pojęcia, że pod nazwiskiem Giroli występuje jako muzyk w domu pani Rivaccio i zabawia tam gości. Ponieważ wdzięczna burdelmama nie skąpiła mu wynagrodzenia, Girolamo Casamonte mógł prawie każdego wieczora wybrać sobie jakieś dziewczę, które akurat nie miało klienta. Czasami ograniczał się tylko do kieliszka wina i rozmawiał z Donatellą Rivaccio. Była przyjemną partnerką do dyskusji, a jednocześnie skrytym obiektem jego marzeń. Nie śmiał jednak zapytać jej, czy nie poszłaby z nim do łóżka.

Giulia nie miała pojęcia, o czym myśli i czego pragnie ojciec. Trochę się martwiła z jego powodu, ale jednocześnie cieszyła się, że nie musi go znosić przez cały czas. Wkrótce odnosiła wrażenie, że przyjechała do świętego miasta tylko w towarzystwie Vincenza i pary służących.

Któregoś dnia, kiedy zwolniono ją wcześniej z próby, poszła do Galileich. Mistrza nie było akurat w domu, ale jego żona przywitała ją z ulgą.

– Witajcie, *messer* Casamonte. Przychodźcie w samą porę. Mały Galileo płakał przez całą noc i ciągle jeszcze kwili. Bądźcie, proszę, tak mili i zaśpiewajcie mu coś. On tak uwielbia wasz głos. Gdy urośnie, na pewno zostanie kompozytorem jak jego ojciec.

– Albo i nie, bo nie będzie chciał się ze mną mierzyć – powiedział Vincenzo Galilei, który właśnie wrócił do domu i usłyszał ostatnie słowa żony. Przywitał się serdecznie z Julią i poprosił ją, żeby przyjrzała się kompozycji, którą napisał na zlecenie Vincenza. – Wiem, że jesteście teraz pochłonięci

najnowszą mszą Palestriny. Jak ją nazwał? Ach tak: *Missa Papae Marcelli*. Na pewno osiągnie sukces. Ale może rzucicie okiem na tę moją skromną melodię?

– Chętnie. Cieszę się, gdy od czasu do czasu mogę zaśpiewać coś innego niż nową mszę. Mistrz Pierluigi jest może wielkim kompozytorem, ale jeszcze większym pedantem.

Giulia zaśpiewała kilka piosenek dla dziecka, które się w końcu uspokoilo i zasnęło. Potem poszła do pracowni Galileiego i wzięła od niego kartki z nutami. Już na pierwszy rzut oka zorientowała się, że Galilei ubrał tekst Vincenza w poruszającą melodię, która wspaniale eksponuje skalę jej głosu. Po raz pierwszy, od kiedy przybyła do Rzymu, pożałowała, że nie ma czasu dla prywatnych zleceńodawców. Dzięki tej pieśni na pewno wywarłaby na nich wielkie wrażenie.

Poćwiczyła tylko trochę, bo była zmęczona, a nie chciała nadwerężyć głosu. Potem serdecznie podziękowała za kompozycję i pożegnała się z gospodarzami. Gdy w drodze powrotnej doszła do Piazza dei Fiori, rozejrzała się wokół zdziwiona. Zazwyczaj o tej porze roiło się tu od kwiaciarek, ale tego wieczora gwardia papieska odgrodziła dużą część placu, tak że ludzie musieli przeciskać się tuż przy fasadach domów, żeby przejść na drugą stronę. Na wolnej powierzchni stały dwa wózki ciągnięte przez woły i załadowane drewnem. Kilku mężczyzn zdejmowało szczapy i układało je, tworząc wielki stos.

Zaciekawiona Giulia zapytała kwiaciarki, która właśnie pakowała swoje rzeczy, co się dzieje. Kobieta roześmiała się zgryźliwie.

– Mężczyźni układają stos. Chyba nie jesteś stąd, bo byś wiedział, że jutro trzech nędzni heretycy zostaną oddani niebiańskiej sprawiedliwości.

Giulia zadrżała. Oto jej koszmary zdawały się przybierać realną postać. Żeby nie zdradzić się ze swym lękiem, zapytała, udając obojętność:

– Jacy heretycy?

Kwaciarka z ochotą udzieliła jej informacji:

– Hołota z gór, która pogardza świętym Kościołem katolickim i służy prorokom diabła. Byli w drodze na południe, żeby tam głosić swoje zbereżne nauki. Rozpoznano ich w San Giustiano i aresztowano. Jutro odpokutują za swoje bluźnierstwa.

Giulia podziękowała kobiecie i szybko się odwróciła. Od kiedy stara Lodrina przepowiedziała jej śmierć w ogniu za śpiewanie, nieraz śniły jej się stosy i palenie czarownic. Koszmary się nasiliły, gdy ojciec po jej występie w klasztorze Świętego Hipolita oświadczył, że oboje skończą na stosie, jeśli prawdziwa tożsamość Giulii wyjdzie na jaw. Później często używał tej groźby, żeby zmusić ją do odgrywania roli kastrata. Dotychczas radość ze śpiewu przeważała u niej nad strachem przed zdemaskowaniem, a od pierwszego pobytu w Falenie koszmary nawiedzały ją rzadko. Ale teraz strach wpełzł jej na plecy jak lodowaty upiór i wbił pazury w jej serce.

Gdy wróciła do domu, Vincenzo mocno się zdziwił, że nie pochwaliła pieśni, którą dla niej napisał i do której melodię skomponował Galilei. Początkowo był rozczarowany, ale potem zauważył, że jego przyjaciel jest zatroskany, i ostrożnie zaczął wypytywać go o powody.

Giulia zaczęła mówić dopiero po dłuższej chwili.

– Słyszałeś, że jutro na Piazza dei Fiori mają zostać spaleni ludzie?

– Tak. Wszędzie na ścianach wiszą tabliczki, które o tym informują, a ludzie nie mówią o niczym innym. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie interesuje. Przecież chodzi tylko o kilku nędznych kacerzy.

– To ludzie, którzy mają zostać zabici w okrutny sposób – oburzyła się Giulia i dodała: – Będąc

dzieckiem, widziałem, jak kilku chłopców włożyło kota do worka i wrzuciło do ogniska. Biedne zwierzę miauczało przeraźliwie, a smród był potem potworny. – Na samą myśl o tym się otrząsnęła i spojrzęła wrogo na Vincenza. – Chyba ci się podoba, jak ludzie są paleni!

Vincenzo pokręcił gwałtownie głową.

– Uchowaj Boże! Ale jeśli nawrócenie poprzez ogień jest jedyną możliwością, by uratować ich dusze przed wiecznym potępieniem...

Giulia się zdenerwowała.

– W takim razie Bóg musi być doprawdy okrutny i małostkowy. Nie, to niemożliwe, by chciał tak wielkiego ludzkiego cierpienia. Ci, co czynią innym coś takiego, są jak zwierzęta.

Vincenzo był innego zdania, a reakcję Giulii wziął za nadwrażliwość rzezańca i w geście pocieszenia uścisnął jej dłoń.

– Na Boga, Giulio, nie mów takich rzeczy. Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ukryj te myśli głęboko w sercu. Jeśli ktoś cię usłyszy i doniesie Świętej Inkwizycji, też będziesz podejrzewany o bycie heretykiem.

Giulia delikatnie cofnęła ręce i złożyła je do modlitwy.

– Wierzę w Boga Ojca, Syna, Ducha Świętego i Świętą Maryję. Matka Boża na pewno by nie chciała, by dręczono ludzi w imię jedynej i prawdziwej wiary.

– Jesteś małym, zakamuflowanym heretykiem. – Vincenzo próbował dowcipkować, ale szybko spoważniał. – Obiecuj mi, że nigdy nie powiesz nic, co mogłoby się nie spodobać Świętej Inkwizycji. To naprawdę może ściągnąć na ciebie nieszczęście.

Giulia spostrzegła, że Vincenzo się o nią martwi. Była zła, że z takim trudem nauczyła się nad sobą panować, a teraz ta umiejętność ją zawiodła. Heretycy jej nie obchodzili, a więc nie powinna brać sobie tak bardzo do serca tego wydarzenia. Ale tej nocy co i rusz się budziła, bo śniło jej się, że wokół niej płonie ogień, a na koniec płomienie całkiem się nad nią zamykają.

Następnego dnia Giulia czuła opory przed pójściem na próbę do bazyliki Matki Bożej Większej. Chociaż ominęła szerokim łukiem Piazza dei Fiori, nie mogła się potem skupić i rozgniewała swym rozkojarzeniem mistrza Pierluigiego. Tym razem musiała się zmuszać, by odsunąć od siebie uporczywe myśli i skoncentrować się wyłącznie na ukochanej muzyce. W końcu jednak jej się udało. Gdy próba dobiegła końca, miała wrażenie, że uporała się z napadem czarnej melancholii. Poczucie ulgi nie trwało jednak długo. Do kościoła wszedł oficer w złoto-niebieskim mundurze papieskiej gwardii i zaczął cicho rozmawiać z Palestriną. Chórmistrz kilka razy przytaknął głową, po czym uniósł rękę, żeby zwrócić na siebie uwagę śpiewaków.

– Jego Świątobliwość życzy sobie, żeby kilku z was dzisiaj wieczorem śpiewało modlitwy podczas palenia heretyków. Bracie Mariano, wybierz sześciu braci. Dzisiaj po południu zgłosicie się u sekretarza najwyższego inkwizytora. Dla pozostałych dzisiaj wieczorem będą zarezerwowane miejsca na trybunie. Będę tam na was czekać godzinę przed zmierzchem.

Giulia z przyzwyczajenia ustawiła się jak najdalej od brata Mariana, ponieważ – w przeciwieństwie do innych śpiewaków – nieustannie próbował ją dotykać albo nawet przytulać w geście pocieszenia. Teraz wokół niego tłoczyło się tylu śpiewaków chcących, aby ich wybrał, że bez problemu mogła się cofnąć. Poczowała lekką ulgę, że nie będzie musiała śpiewać przy stosie, ale zaproszenie Pierluigiego na egzekucję było równoznaczne z rozkazem. Poczowała, że złał ją zimny pot na myśl, iż będzie musiała oglądać tę makabryczną scenę. Rozpaczliwie zaczęła szukać pretekstu, aby móc nie stawić się na Piazza dei Fiori. Ale zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, chórmistrz zdążył już opuścić nawę. Podekscytowani mnisi rozmawiali o czekającym ich widowisku i jawnie się cieszyli, że zobaczą płonących heretyków. Zanim brat Mariano, który zerkał w jej kierunku, zdążył ją zagadnąć, Giulia szybko wyszła z kościoła.

Gdy znalazła się w domu, ciągle jeszcze nie wiedziała, co ma zrobić. Właściwie po próbie chciała odwiedzić mistrza Galileiego, ale nie miała nastroju na żartobliwe przekomarzanki, a przecież nie mogła mu wyjawiać swoich uczuć. Poza tym w drodze do niego musiałaby przejść przez Piazza dei Fiori albo mocno nadłóżyć drogi. Podczas obiadu rozgniewała Assumptę, bo prawie nic nie zjadła. Próbowała służącej powiedzieć o zgrozie, jaką odczuwa, ale nie znalazła u niej zrozumienia.

Dla Assumpty heretycy byli wrogami ludzkości, których należało wytepić, aby nie mogli sprowadzać bogobojnych ludzi na drogę grzechu. Przyjęła jednak do wiadomości, że Giulia czuje odrazę na myśl, że będzie musiała przyglądać się ukaraniu grzeszników. Próbowała więc przemówić dziewczynie do rozumu. Niestety, Vincenzo był nieobecny. On potrafiłby uspokoić Giulie. Z wielkim trudem Assumpta ukoila nieco nerwy Giulii, która w końcu – blada, ale opanowana – mogła pójść na Piazza dei Fiori.

Na placu stała trybuna mogąca pomieścić około stu osób. Była osłonięta czerwonym płótnem, na którym znajdowały się herby: papieski i Medyceuszy. Zwykle to miejsce tonęło w kwiatach, dziś wyglądało jednak ponuro. Giulia miała wrażenie, że plac jest przedsionkiem piekła. Prości ludzie tłoczyli się wokół stosu i pchali do przodu, żeby lepiej widzieć, trybuna była natomiast prawie pusta.

Giulia z trudem torowała sobie drogę w tłumie. Miała ochotę skryć się w jakimś zakamarku, ale

dostrzegł ją mnich z chóru, chwycił za rękaw, nie dotykając wszelako jej ramienia, i pociągnął za sobą. Giovanni Pierluigi również był już obecny. Rozmawiał z oficerem gwardii szwajcarskiej, która tworzyła pierścień wokół trybuny, żeby odpiierać lud i umożliwić dojście gościom Jego Świątobliwości. Handlarze przeciskali się przez coraz większy natłok ludzi, sprzedawali wino, pieczywo i owoce i powiększali chaos. Giulia słyszała wokół siebie pełen oczekiwania śmiech i zacisnęła zęby. Weszła w ślad za mnichami na trybunę i usiadła na przydzielonym jej miejscu.

Kilku dostojników siedzących na podwyższeniu przywołało do siebie handlarzy i kazało im rozdać wino i ciasto wśród zgromadzonych ludzi. Także Giulia dostała do ręki kubek wina. Nie wiedziała, co z nim począć. W ustach miała sucho, ale nie była w stanie pić. Inni członkowie chóru wychwalali wspaniałomyślnych fundatorów i się częstowali. Giulia postawiła w końcu kubek między stopami i patrzyła na płyn, jakby się bała, że coś z niego wypełźnie.

Przybierający na sile szmer głosów sprawił, że mimowolnie podniosła wzrok. W kierunku placu zbliżał się wóz ciągniony przez woły, z jego obu stron kroczyli szwajcarscy gwardziści z opuszczonymi halabardami. Zachodzące słońce odbijało się czerwienią w wypolerowanych napierśnikach oraz hełmach i spowijało niebiesko-złote mundury żołnierzy niesamowitą poświatą. Z tyłu za wózkiem szło kilku dominikanów w białych habitach i czarnych płaszczach z kapturem. Trzymali w ręce krzyże i się modlili, a ich głos niósł się daleko.

Giulia nie patrzyła jednak ani na odszykowanych gwardzistów, ani na sprawiających ponure wrażenie mnichów, ale na trzy nędzne postacie na wozie, ubrane w zgrzebne białe koszule. Biedacy mieli głowy ogolone na łyso, a ich ciała nosiły ślady brutalnego traktowania. Gdy wóz stanął obok trybuny, Giulia rozpoznała, że to dwaj mężczyźni i jedna kobieta. Heretycy szeroko rozwartymi oczami patrzyli na stos drewna, na którym mieli zginąć. Jeden z mnichów podszedł do nich.

– Żałujcie za swoje grzechy, padnijcie na kolana przed Jego Świątobliwością, a umrzecie bez bólu.

Jeden z trójki heretyków zadygotał. Jego towarzysz i kobieta odwrócili głowy, żeby nie patrzeć na mnicha.

Tymczasem zakonnik grzmiącym głosem mówił dalej:

– Wróćcie na łono jedynie świętego Kościoła katolickiego, a wasze dusze z tego miejsca pójdą prosto do nieba. Jeśli tego nie uczynicie, będziecie przeklęci na wieki!

– Łaski! – krzyknął jeden z mężczyzn. Padł na kolana przed mnichem i chwycił go za połę płaszcza. Dominikanin pochylił się nad nim i podał mu krzyż do ucałowania. Heretyk przycisnął do niego wargi i spojrzał z nadzieją na mnicha. – Żałuję, że odwróciłem się od Kościoła świętego i poszedłem za fałszywym prorokiem! – zawołał tak głośno, że wszyscy na placu mogli go usłyszeć. – Okażcie mi łaskę i darujcie życie.

Dominikanin cofnął się o krok i spojrzał na trybunę.

Giulia podążyła mimowolnie za jego spojrzeniem i dopiero teraz zauważyła, że Pius IV i jego świta zajęli już miejsca. Papież wyglądał na cierpiącego, chorego i starszego, niż był w istocie. Miał na sobie bogato haftowane odzienie z czerwonego i białego jedwabiu, a jego głowa w złotej mitrze zwisała jak pod wielkim ciężarem. Posępna mina nie zwiastowała niczego dobrego dla trzech heretyków. Pius IV uniósł na moment rękę w czerwonej rękawiczce i nakreślił nią znak krzyża. Tylko najbliższej stojący mogli usłyszeć, co mruczał w trakcie tego gestu.

Dominikanin najwidoczniej znał ten gest, bo przywołał kata. Mężczyzna miał twarz schowaną pod skórzaną maską, a na nogach obcisłe czerwone spodnie. Jego muskularny tułów był nagi. W ręce

trzymał cienką linę, którą na znak mnicha założył na szyję nawróconego heretyka i zaciągnął ostrym szarpnięciem. Mężczyzna otworzył usta do krzyku, który jednak nie wydobył się z jego ust, ciało heretyka zadygotało, po czym bezwładnie się osunęło.

Kat z pomocą swoich pachołków zaciągnął uduszonego człowieka na stos i tam przywiązał go do pala. Giulia miała nadzieję, że także dwaj pozostali heretycy będą żałować i przynajmniej szybko umrą. Na ich twarzach malował się strach. Ale gdy mnich podszedł do nich i zażądał, by się nawrócili, odpowiedzieli heretycką modlitwą i błaganiami do Boga, by zabrał do siebie ich dusze.

Dominikanin chwycił krzyż i dał znak pachołkom kata. Chwycili mężczyznę i zaciągnęli na stos. Gdy go wiązali, szarpiąc brutalnie, mężczyzna dalej się modlił. Potem przyszła kolej na kobietę. Nim pachołcy zdążyli ją chwycić, sama zeszła z wozu i podeszła do stosu.

Ludzie na placu drwili i szydzili z heretyczki. Giulia poczuła dławienie w gardle. Miała wrażenie, że pierścień z lodu ściska jej szyję i zaraz odetnie dopływ powietrza. Bała się, że straci głos, który stanowił o jej życiu. Giulia wiedziała, że nie dałaby rady tak mężnie wejść na stos jak ta heretyczka. Lękliwie się zastanawiała, dzięki jakiej sile ci ludzie są tak dzielni, że wolą umrzeć w najstraszniejszy sposób niż skłonić głowę przed następcą Świętego Piotra.

Tymczasem zapadł zmierzch. Ale męki dwojga heretyków nie miały się tak szybko skończyć. Brat Mariano i wybrani przez niego mnisi z chóru Matki Bożej Większej zaczęli śpiewać psalm z *Pieśni nad Pieśniami*, który wychwalał wspaniałość Boga. Pius IV siedział skulony na krześle wyściełanym aksamitem i patrzył na heretyków z taką wrogością, jakby obwinił ich o własną cielesną słabość.

Ludzie ciągle jeszcze pchali się na trybunę, która była dużo za mała dla uprzywilejowanych widzów. Giulia została odepchnięta brutalnie na bok. Kubek u jej stóp się przewrócił i potoczył po desce, na której spoczywały jej nogi, po czym stopa jakiegoś człowieka kopnęła go niechcący i spadł w pustkę. Mnisi od Matki Bożej Większej wciąż jeszcze śpiewali, podczas gdy dominikanin, który, co Giulia sobie teraz uświadomiła, należał do Świętej Inkwizycji, groził zatwardziałym kacerzom mękami piekielnymi, jeśli się nie nawrócą.

– Nigdy! – zawołała heretyczka przeszywającym głosem. – Niech Bóg przeklnie ciebie i twojego papieża!

Dominikanin cofnął się, jakby ktoś go uderzył. Stojący wkoło ludzie zaczęli wrogo szemrać. Na stos posypały się pierwsze kamienie.

– Ta gadzina ma czelność bluźnić przeciwko Jego Świątobliwości! – zawołał z wściekłością mężczyzna siedzący obok Giulii i rzucił w heretyczkę kubkiem wina.

Giulia modliła się w skrytości ducha, żeby to wszystko szybko się skończyło. Śpiewy mnichów ciągnęły się jednak w nieskończoność. Była już ciemna noc, gdy kat wyjął pochodnię z kagańca i demonstracyjnie machnął nią kilka razy nad głową.

– Szatan was spłodził. Wracajcie do szatana! – zawołał dominikanin głosem wibrującym z nienawiści; przeklął heretyków po włosku i po łacinie, po czym się cofnął, żeby kat mógł dokonać swego dzieła.

Mężczyzna w skórzanej masce skłonił się przed papieżem, który pobłogosławił płonąca pochodnię, następnie została ona wepchnięta w stos drewna. Najpierw kilka gałązek zaczęło skwierczeć, a potem płomienie buchnęły tak wysoko, jakby ktoś polał drewno olejem. Długo słyhać było trzaskanie ognia i modlitwy obojga heretyków. W końcu jednak plac wypełniły ich pełne bólu i przerażenia okrzyki. Odór spalonego ciała skaził powietrze i niczym kwas wżarł się w płuca Giulii. Potem nawet nie pamiętała, jak udało jej się przetrzymać ostatnie minuty na trybunie. Choć krzyki

heretyków umilkły, wciąż jeszcze brzmiały jej w uszach i jeszcze nigdy w życiu nie zbierało jej się tak mocno na wymioty.

Tego dnia Vincenzo wrócił późno do domu. Assumpta, którą troska o Giulie przyprawiała o niepokój, zaczepiła go i powiedziała, co jej leży na sercu.

– Drogi panie Vincenzo, nie było pana i nie było. Giulio nie mógł znaleźć sobie miejsca, gdy przyszedł do domu. Jako członek chóru Matki Bożej Większej musi uczestniczyć w spalaniu heretyków.

Vincenzo przypomniał sobie, z jaką odrazą kastrat mówił o śmierci w płomieniach, i się wzdrygnął.

– Ale Giulio nie musi tam chyba śpiewać? To mogłoby zaszkodzić jego głosowi.

– Na szczęście nie. Ale mimo to boję się o ni... niego.

Stara służąca w ostatniej chwili zorientowała się, że niemal zdradziła tajemnicę Giulii. Na szczęście Vincenzo nie zwrócił uwagi na jej zmieszanie, lecz podrapał się z troską po głowie.

– Mam nadzieję, że Giulio nie zrobi żadnego głupstwa. Jeśli chociaż wspomni, że jest przeciwny paleniu heretyków na stosie, ściągnie sobie na kark inkwizycję.

– O Święta Panienko! – zawołała przestraszona Assumpta.

Jeśli Giulia nie będzie trzymać swoich uczuć na wodzy, znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. I nie tylko ona. Oni wszyscy zostaną aresztowani.

– Giulio jest zawsze taki opanowany. Na pewno zachowa spokój. – Assumpta próbowała uspokoić siebie i Vincenza.

Vincenzo uniósł ramiona, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Słusznie. Mimo to się martwię. Podejrzewam, że w piersi Giulia płonie ogień, nad którym trudno mu zapanować.

Assumpta musiała w głębi duszy przyznać rację Vincenzowi. Giulia jako mała dziewczynka była pełna radości życia i nic nie wskazywało, że kiedyś stanie się tak zimna i odpychająca jak bryła lodu. Pod skorupą pozornie idealnego opanowania krył się dziki temperament, który mógł doprowadzić do katastrofy, gdyby dziewczyna dała mu upust w niewłaściwym miejscu. Służąca chwyciła Vincenza za rękaw i spojrzała na niego błagalnie.

– Pójdźcie na Piazza dei Fiori i poszukajcie Giulia! Może potrzebuje waszej pomocy.

– Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku. – Vincenzo usiłował sprawić, by jego głos zabrzmiał dziarsko, ale też czuł niepokój.

Nie wiedząc, jak pomóc Giuliovi, pospiesznie poszedł na targowisko kwiatowe, które dzisiaj nie przynosiło chluby swojej nazwie. Plac był pełen ludzi. Musiał użyć łokci, żeby dotrzeć w poblize trybuny. Tam drogę zastąpiła mu jednak gwardia szwajcarska, krzyżując halabardy.

Vincenzo próbował dojrzeć kastrata w tłumie osób siedzących na trybunie i przyglądających się widowisku. Prościej byłoby znaleźć igłę w stogu siana. Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak uczestniczyć w okropnym zdarzeniu i mieć nadzieję, że Giulio nie straci panowania nad sobą. Przyglądał się skazanym kacerzom i czuł do nich prawie taką samą nienawiść co ludzie wokół niego. Wkrótce jednak widowisko napełniło go odrazą i zaczął rozumieć postawę Giulia. Przecież Bóg nie mógł być taki okrutny. Vincenzo najchętniej opuściłby plac, ale z wszystkich stron napierał na niego

tłum, a na dodatek znajdował się na oku gwardii szwajcarskiej. Odwrócił więc wzrok, żeby nie musieć oglądać ognia i cierpienia palonych heretyków. Wokół niego szalała podekscytowana gawiedź. Tu, w Rzymie, w centrum chrześcijaństwa, żaden kacierz, który podważa autorytet papieża, nie może liczyć na łaskę.

Dopiero dużo później, gdy ogień w końcu się dopalił, na placu zrobiło się luźniej. Pius IV wraz ze swoimi towarzyszami i dostojnikami wrócił do pałacu laterańskiego, tłum natomiast rozszedł się po ulicach i zaułkach Rzymu. Pozostali tylko pomocnicy kata, żeby zamieść do rynsztoka zwęglone resztki heretyków. Vincenzo przyglądał się im ze zgrozą, aż w końcu przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Zaczął się rozglądać za kastratem i w końcu znalazł go skulonego u stóp trybuny.

Giulia zobaczyła zbliżającego się do niej Vincenza i najchętniej by go objęła. Zamiast tego pokręciła tylko głową w osłupieniu.

– Nie rozumiem tego wszystkiego. Ogień miał podobno oczyścić dusze heretyków, żeby mogli otrzymać zbawienie. Ten straszny mnich natomiast groził im wszelkimi mękami piekielnymi. Po co w takim razie tak męczy się tych ludzi na tym świecie, skoro i tak są przeklęci?

Vincenzo próbował zbagatelizować zmartwienia śpiewaka.

– Mówisz prawie jak dziewczyna, Giulio. Dawno temu przestałem podejmować się ziemską sprawiedliwością, a cóż dopiero niebiańską. Wstań i chodź. Zaprowadzę cię do domu.

Giulia wstała posłusznie, prawą rękę położyła sobie jednak na brzuchu.

– Źle się czuję, Vincenzo. Odór palącego się ciała jest okropny. Nigdy go nie zapomnę.

Vincenzo chwycił kastrata za ramię i przyciągnął dla pocieszenia do siebie.

– Głowa do góry, Giulio. Musisz dać radę dojść chociaż do najbliższej ulicy. Jeśli tu zwymiotujesz, pomocnicy kata mogą to zauważyć i potem będą się zastanawiać, co jest z tobą nie tak. Bo według Świętej Inkwizycji zapach spalonego heretyka jest jak rajski woń.

– W takim razie nigdy nie chcę trafić do raju.

Giulia chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie zawartość żołądka znów podeszła jej do gardła. Z całej siły zacisnęła usta i pozwoliła, żeby Vincenzo zaprowadził ją w boczną uliczkę. Tam zwymiotowała i była potem tak słaba, że ledwo mogła się utrzymać na nogach.

Vincenzo chwycił ją pod pachy, tuż koło zasznurowanych piersi. Giulia zeszywniała pod jego dotykiem. Przez wiele lat dotykała ją tak tylko Assumpta. Poczowała błogość, mogąc oprzeć się o jego ramię i być prowadzoną przez niego do domu. Tam zajęła się nią służąca, która umyła dziewczynie brudną twarz i ręce. Giulia nie chciała dotykać ubrania, które przeszło odorem palącego się ciała. Assumpta musiała ją więc rozebrać jak małe dziecko.

Giulia spojrzała na kaftan z obrzydzeniem.

– Spal to, Assumpto. Nie będę już tego nosić.

Assumpta chwyciła ją za ramiona i spojrzała na nią poważnie.

– Na Boga, dziecko, weź się w garść! Jak ktoś zauważy, że nie cieszysz się ze śmierci tych złych heretyków, uzna, że sama jesteś jednym z nich.

– Nienawidzę Rzymu – wyrzuciła z siebie Giulia. – Może i jest piękny, ale dla mnie zbyt straszny.

Assumpta wzruszyła ramionami.

– Rzym nie jest straszniejszy od innych miast. W Saletto też palono heretyków i czarownice. Ale to było długo przed twoimi narodzinami.

Giulia spojrzała na nią wielkimi oczami.

– Czy kiedyś się temu przyglądałaś? – zapytała i podciągnęła wysoko kołdrę, bo drzwi się

otworzyły i Vincenzo wsunął głowę do środka.

– Hej, Giulio, już wszystko z tobą w porządku? – zapytał. – Chciałbym cię przeprosić za te bzdury, które przedtem mówiłem. Martwiłem się, że ktoś zauważy, w jakim jesteś stanie. Uwierz mi, rozumiem cię doskonale. Przez swoje okaleczenie jesteś bardziej wrażliwy niż normalny mężczyzna. Przyznaję, że sam nie mogłem na to patrzeć.

Vincenzo wyglądał na tak załamane, że Giulia poczuła pragnienie, by go pocieszyć. Nie mogła go jednak wpuścić do pokoju, ponieważ kołdra niewystarczająco przykrywała jej niezasnuowany biust.

– Już dobrze, Vincenzo. Nie powiedziałeś nic takiego, czego musiałbyś żałować. Czuję się już lepiej. Dzisiejszy wieczór był taki parny, do tego doszedł odór stosu, stąd moja słabość. Zobaczysz, jutro z powrotem będę na nogach.

Giulia spróbowała się uśmiechnąć. Nie mogła mu przecież powiedzieć, jak bardzo przeraża ją następny dzień. Znowu poczuła mdłości na myśl, że będzie musiała jutro śpiewać ku chwale Boga wspólnie z mnichami, którzy tak bardzo cieszyli się ze śmierci kacerzy. Ale nie mogło jej zabraknąć na próbie, Palestrina nie przyjąłby żadnej wymówki. Po pierwsze, do premiery *Missa Papae Marcelli* zostało już niewiele czasu, a po drugie, mnisi na pewno zaczęliby coś podejrzewać.

– Proszę, nie gniewaj się, Vincenzo, ale czy mógłbyś mnie już zostawić samego? Jutro rano mam próbę, muszę się zjawić w kościele wypoczęty.

Odetchnęła, gdy Vincenzo ze zrozumieniem kiwnął głową, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Pan Vincenzo jest bardzo uprzejmym mężczyzną – stwierdziła Assumpta. – Dobrze by było, gdyby ktoś taki jak on poznał cię jako dziewczynę.

Giulia głęboko westchnęła.

– Możesz sobie pomarzyć. Dla pana de la Torre córka przeciętnego muzyka byłaby tylko przygodą na jedną noc.

Assumpta pogłaskała ją po włosach.

– Przygotuję ci teraz napój na sen, bo przez to wszystko nie dasz rady zasnąć.

Wyszła z pokoju, a po kilku minutach wróciła z parującym kubkiem. Zmusiła Giulie do wypicia mocnego naparu do samego dna. Giulia poczuła mdłości. Miała wrażenie, że zwymiotuje, ale w końcu zasnęła w ramionach Assumpty.

Następnego ranka wciąż jeszcze czuła się rozbita. Nie mogła się zmusić do jedzenia i ledwo wypiła łyżeczek wody. Ale czas nieubłaganie posuwał się naprzód. W końcu nie miała wyjścia, musiała ruszyć w drogę.

Pozostali członkowie chóru byli już na miejscu i omawiali w najdrobniejszych szczegółach zdarzenia z wczoraj.

– Jestem dumny, że zostaliśmy wybrani, aby podczas palenia kacerzy zaśpiewać święte chorały – oświadczył właśnie brat Mariano zakonnikowi stojącemu obok. W tym momencie jego spojrzenie padło na Giulie, która blada i ze szklistymi oczami podeszła do grupy. – Co jest, Casamonte? Czyżby wczorajszy wieczór odbił się wam na żołądku?

W jego słowach zabrzmiała drwina, ale oczami wprost ją pozeroł. Giulia poczuła się tak, jakby była naga. Najchętniej odwróciłaby się do niego plecami i zagłębiła w swojej partyturze. Usłyszała jednak podejrzliwy ton w jego głosie i wiedziała, że musi szybko i zręcznie zareagować. Wzruszyła więc ramionami, próbując zignorować goryczkę, którą miała w gardle.

– Wczoraj śpiewaliście wspaniale, bracie Mariano. Wasz śpiew musiał brzmieć dla skazańców jak głosy anielskie. – Z zadowoleniem stwierdziła, że mnich się rozpromienił, słysząc takie pochlebstwa z jej ust. Żeby jednak całkiem odsunąć od siebie jakiegokolwiek podejrzenia, dodała jeszcze: – Niestety, macie rację, mój żołądek ucierpiał. Wczoraj wieczorem razem z kilkoma przyjaciółmi nieco zbyt hucznie świętowałem zwycięstwo Kościoła świętego i śmierć heretyków. Na moje nieszczęście wino okazało się mocniejsze od mojej głowy.

Mnisi zaśmiali się na te słowa serdecznie, tylko mistrz Pierluigi spojrział na nią gniewnie.

– Nie mam nic przeciwko kieliszkowi wina, Casamonte. Ale jeśli będziesz pił tak dużo, żeby chorować na drugi dzień, ucierpi na tym twój głos i nasz chór. Przez najbliższe dni będziesz żył tak powściągliwie jak dziewica, zrozumiałeś?

– Do premiery mój głos będzie z powrotem w porządku – próbowała dowcipkować Giulia.

Palestrina skrzywił się tylko gniewnie.

– Będziemy śpiewać mszę wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Jego Świątobliwość raczy zaszczyścić bazylikę Matki Bożej Większej już w najbliższą niedzielę, i oczywiście pragnie wysłuchać premiery naszej nowej mszy.

– Już w niedzielę?

Giulia się przestraszyła, ale nie tak bardzo jak mnisi, którzy wpatrywali się w swego surowego mistrza i nauczyciela z otwartymi ustami. Mieli świadomość, że muszą zaśpiewać *Missa Papae Marcelli* bezbłędnie, bo inaczej Palestrina będzie im wbijał różgą do głów każdą zwrotkę aż do najbliższej niedzieli.

Mieli rację, co okazało się jeszcze tego samego dnia. Mistrz kazał ćwiczyć chórowi tak intensywnie, że w końcu mnisi z wyczerpania zaczęli chwiać się na nogach. Giulia objęła kolumnę, żeby nie upaść z osłabienia. W gardle jej zaschło, a język miała sztywny jak kawałek skóry, który za długo leżał na słońcu. Ale Giovanni Pierluigi był bezlitosny i nieustannie przywoływał ją do porządku.

– Casamonte, idzie ci gorzej niż wczoraj! – powtarzał.

Giulia próbowała śpiewać jak najlepiej. Nawet nie sądziła, z jakim trudem jej to przyjdzie. Co rusz zaczynała swoją partię od nowa, aż w końcu Palestrina się zlitował i zrobił im przerwę. Ale nie dał mnichom nawet dość czasu, żeby mogli wrócić na obiad do klasztoru, nie puścił też Giulii do domu, gdzie Assumpta przygotowała coś pożywne. Zamiast tego wysłał dwóch chłopców do najbliższej garkuchni, żeby przynieśli stamtąd jedzenie. Mnisi byli zadowoleni z tego, co dostali. Tłusty posiłek z trudem przechodził Giulii przez gardło, a potem ciążył jej kamieniem w żołądku. Gdy mistrz Pierluigi tuż przed zachodem słońca gestem ręki dał znak, że próba się skończyła, była kompletnie wyczerpana.

– Jutro przyjdziecie na tę samą godzinę – powiedział Palestrina mnichom na pożegnanie, po czym zwrócił się do Giulii. – A ty, Casamonte, od dzisiaj do czasu premiery nie będziesz pił żadnego wina, zrozumiałeś?

Giulia mogła mu to bez problemu obiecać. Wciąż ją mdliło na myśl o wczorajszym dniu i po dzisiejszym obiedzie z garkuchni.

Girolamo Casamonte nie miał pojęcia, jakie męki duchowe przechodzi jego córka. Nie widział jej już od kilku dni, ale też nieszczególnie mu jej brakowało. Właściwie to był zadowolony, że nie musi jej codziennie spotykać i czytać niewypowiedzianych pretensji w jej oczach. Czasami czuł wyrzuty sumienia, ponieważ zmusił ją do udawania kastrata. Dla niego jej maskarada też była niebezpieczna, bo gdyby wszystko wyszło na jaw, czekałyby ich przesłuchania przez inkwizycję i okrutna śmierć na szafocie albo stosie. Często sam straszył Giulie taką perspektywą, nie myśląc o tym na tyle poważnie, na ile powinien. Tego ranka kurtyzany w zamtuzie Donatelli Rivaccio nie mówiły o niczym innym jak o spaleniu heretyków. Od słuchania o tym wydarzeniu zrobiło mu się ciężko na duszy. Zapragnął cofnąć czas o kilka lat wstecz.

Dziewczęta nie zwróciły uwagi na jego małomówność, bo niedawno do Rzymu przybyli nowi, zamożni pielgrzymi, którzy byli zainteresowani ich usługami. Violetkę ciągle jeszcze odwiedzał niemiecki hrabia, ale przyjęła propozycję bogatego kupca z Sieny, aby mu towarzyszyć i osłodzić dzień. Bianca zniknęła z księdzem szlacheckiego pochodzenia, pozostałe dziewczęta jedna po drugiej także poznajdowały szczodrych przyjaciół, z którymi wyszły na miasto. W końcu w zamtuzie pozostali tylko Casamonte i pani domu. Właśnie jedli suty obiad, gdy idyllę gwałtownie przerwało mocne pukanie do drzwi. Signora Rivaccio westchnęła i odsunęła talerz. Poczekwała, aż portier zapowie gościa.

Ruvenzo pojawił się z lękiem wymalowanym na twarzy.

– Pani, ten ważny urzędnik znowu przyszedł.

Signora Rivaccio odruchowo zadarła głowę.

– Czego on może chcieć? Zapłaciłam podatki. No dobrze, wprowadź go do środka. A wy – spojrzała na ojca Giulii – zostawcie mnie teraz samą.

– Czynię to niechętnie, ale skoro tak być musi... – powiedział Casamonte, nie tracąc dobrego humoru.

Gdy jednak dojrzał napięcie na twarzy swojej gospodyni, coś go tknęło. Wyszedł przez boczne drzwi i przymknął je cicho. Po chwili wahania pozostał przy nich i przyłożył ucho do szczeliny.

Gość przywitał się uprzejmie i nic nie zapowiadało, że nastąpi coś niezwykłego. Mimo to głos Donatelli Rivaccio brzmiał nienaturalnie piskliwie i nerwowo.

– Witajcie, *messer* Matoni.

Nazwisko świadczyło, że mężczyzna nie jest szlachetnie urodzony. Casamonte nastawił uszu. Matoni zaczął mówić mentorskim tonem:

– Przychodzę na polecenie kancelarii Jego Świątobliwości, żeby poinformować was o nowych zarządzeniach, które zostały niedawno wydane.

– Znam ostatnie zarządzenia i nie wiem, co miałyby ze mną wspólnego.

Matoni roześmiał się jak koza.

– W takim razie wiecie, że odtąd kobieta tylko w wyjątkowych przypadkach może prowadzić tego rodzaju działalność. Takie ograniczenie jest konieczne dla ochrony moralności.

– Już mi to mówiliście podczas waszej ostatniej wizyty i zrobiliście dla mnie wyjątek, za co wam

dobrze zapłaciłam.

– Z ciężkim sercem poszedłem wam wtedy na rękę – oświadczył Matoni z namaszczeniem. – Chciałem w ten sposób uszanować rolę, jaką wy i wasze dziewczęta odgrywacie w Rzymie. To dobrze, jeśli pielgrzym wie, dokąd może skierować kroki, żeby rozładować napięcie w lędźwiach. W innym wypadku mógłby napastować godne szacunku panny lub mężatki.

– Chcecie przez to powiedzieć, że ja nie zasługuję na szacunek?

– Nic takiego nie sugerowałem. Ale, zdaniem doradców Ojca Świętego, taki dom jak wasz powinien się znajdować pod nadzorem mężczyzny.

– Jakby mężczyzna lepiej poprowadził zamtuza niż ja – odpowiedziała signora Rivaccio zgryźliwie.

– Doradcy Jego Świątobliwości tak uważają, i ja również. – Matoni rozkoszował się władzą, którą miał nad kobietą.

Casamonte najchętniej wpadłby do pomieszczenia, żeby wyrzucić tego bezczelnego typa.

– Czego ode mnie chcecie, Matoni? Wyciągnąć jeszcze więcej pieniędzy, aż w końcu będę zmuszona zrezygnować z prowadzenia tego domu i oddam go wam za miskę soczewicy? – usłyszał głos gospodyni.

– Naszym obowiązkiem jest postępować zgodnie z wolą Ojca Świętego, dlatego nie ma innego wyjścia: władze muszą objąć pieczę wasz dom. Będziecie go nadal prowadzić z mojego polecenia i oczywiście będzie wam przysługiwała stała pensja.

Teraz wszystko było jasne. Gospodyni wydała z siebie okrzyk oburzenia. Casamonte uchylił lekko drzwi. Matoni siedział na krześle jak tłusty, zadowolony z siebie ropuch i wpatrywał się w Donatellę Rivaccio drwiącym, a zarazem pożądlivym wzrokiem. Kobieta podeszła z zaciśniętymi w pięści dłońmi do swego dręczyciela, jakby się zastanawiała, czy lepiej go uderzyć, czy może wydrapać mu oczy.

– To mój dom, *signore*, zapłaciłam za niego własnymi pieniędzmi, a to moje dziewczyny, które z wielkim trudem wyszukałam i wykształciłam. Nie możecie mi tego wszystkiego odebrać, bo tak wam pasuje.

Matoni czuł satysfakcję, widząc jej bezradny gniew.

– Wielcy panowie i Jego Świątobliwość mało interesują się tym, co mi pasuje, a co nie. Ustalają prawa, a ja mam dopilnować ich wykonania.

Donatella Rivaccio pokręciła gwałtownie głową.

– Nie zrezygnuję z mojego domu i pracy tylko dlatego, że tak chce jakiś duchowny w purpurowej sutannie.

– Jeśli będziecie się opierać i pogardzicie ochroną Ojca Świętego, będziemy zmuszeni skonfiskować wasz dom i wygnać was z kraju. Wasze podopieczne dostaną nową zwierzchniczkę, która będzie się stosowała do przepisów.

Casamonte chrząknął, żeby ci dwoje go dostrzegli.

– Uważam, że to przesada angażować Ojca Świętego jako ochronę dla zamtuza, *signore* – powiedział. – Wystarczy w zupełności ochrona, którą ja zapewniam signorze Rivaccio.

Matoni obrócił się gwałtownie. Zamachał rękoma, jakby chciał przegnać intruza. Powoli docierało do niego, co oznaczają słowa tego człowieka.

– Czego się wtrąacie? Jeśli ta burdelmama sądzi, że zdoła ją obronić któryś z jej klientów, to się pomyliła. Papiescy urzędnicy nie nabiorą się tak łatwo.

Casamonte pozostał niewzruszony, chociaż Matoni piorunował go wzrokiem.

– Nie powołujcie się na papieskich urzędników! Mówicie za siebie i swoich żądnych pieniędzy przyjaciół. Będziecie musieli poszukać sobie innej ofiary. A teraz *arrivederci, signore*. Na pewno macie w planach jeszcze inne wizyty.

Matoni wyglądał, jakby zaraz miał pęknąć ze złości. Spokój, którym emanował jego przeciwnik, irytował go. Casamonte wyglądał jak mężczyzna, który ma w ręce wszystkie asy. Matoni nie chciał wzbudzać sensacji, bo jego przełożeni mogliby się dowiedzieć, że wyciąga pieniądze od właścicieli zamtułów i burdeli w swoim rejonie. Uznał, że lepiej będzie robić dobrą minę i odczekać, jak ułożą się sprawy.

– Istotnie, jestem dziś bardzo zajęty. Życzę dobrego dnia – powiedział do ojca Giulii wyniosłym tonem i opuścił zamtuł.

Signora Rivaccio czekała przy oknie, póki nie wyjdzie na ulicę, po czym westchnęła głęboko i obróciła się do ojca Giulii.

– Dziękuję wam za pomoc, *messer Casamonte*. Ale obawiam się, że nic ona nie da na dłuższą metę. Ludzie tacy jak Matoni tak długo grzebią w ustawach, aż znajdą przepis, dzięki któremu mogą pozbawić nas całego mienia.

Zrezygnowana chciała właśnie usiąść, gdy nagle głęboko westchnęła i przenikliwie spojrzała na Casamontego. Przypomniała sobie o jego uprzejmych manierach i o tym, że w przeciwieństwie do innych klientów nigdy nie wchodził w spory z dziewczętami. Ponadto był przyjemnym rozmówcą i użytecznym muzykiem, który przygrywał nie tylko niemieckiemu hrabiemu. Donatella Rivaccio zauważyła, że bardzo ją podziwia, i potajemnie ją to cieszyło. A teraz uświadomiła sobie, jaką ma nad nim władzę. Był pod jej czarem, chociaż w ramach nagrody od czasu do czasu pozwalała mu się przespać z jedną ze swoich kurtyzan.

Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

– Jeśli naprawdę chcecie mi pomóc, *messer Casamonte*, musicie się ze mną ożenić.

Ojciec Giulii z zaskoczenia przełknął ślinę, a jednocześnie spojrzał na nią pożądliwie.

– Dlaczego nie? Żadna znana mi kobieta nawet się do was nie umywa, a w waszym domu czuję się bardzo dobrze.

– Ale nie będziecie już mogli przechodzić z łóżka do łóżka jak do tej pory – dodała, patrząc na niego badawczo.

Casamonte chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie.

– Od samego początku podobałaś mi się dużo bardziej niż twoje dziewczęta, moja droga Donatello.

Przesunął prawą dłoń po jej plecach do góry, po czym przeniósł ją na jej głęboki dekolt. Gdy chciał wsunąć palce między wzniesienia piersi, pokręciła głową i wskazała na wieżę małego kościółka pod wezwaniem Świętego Anioła.

– Jeśli poważnie zamierzacie mnie poślubić, powinniśmy teraz pójść do ojca Antonia, aby pobłogosławił nasz związek. Potem będziecie mieć wstęp do mojego pokoju, i nie tylko do niego.

Zamiast odpowiedzieć, Casamonte wziął ją za rękę i wyprowadził na dwór. Po drodze do kościoła dopadły go wątpliwości. Próbował ogarnąć sytuację, bo nie wiedział, czy postępuje właściwie. Ale to małżeństwo wydawało się dobrym krokiem, dla niego nawet najlepszym. Donatella Rivaccio oferowała mu to, czego od czasu ucieczki z Saletto brakowało mu najbardziej – nowy dom. Nie był dla niej kulą u nogi jak dla własnej córki. Pomyślał, że powinien wprzód poinformować Giulie o swoich zamiarach. Ale mały kościółek był już na wyciągnięcie ręki, więc uznał, że nie ma odwrotu.

Ksiądz – niski mężczyzna w znoszonej sutannie – ucieszył się, że dzięki ślubowi trochę podreperuje swój budżet. Życzył parze błogosławieństwa Bożego i zapytał skrupulatnie:

– Kogo mam wpisać do księgi kościelnej?

– Jestem Girolamo Giroli z Ferrary, a to signora Donatella Rivaccio.

Fassi *vel* Casamonte po raz kolejny zmienił nazwisko, nawet nie mrugnawszy okiem. Z zadowoleniem przyglądał się, jak ojciec Antonio zanurza pióro w kałamarzu i wypisuje dokument. Obecny *signore* Giroli podziękował serdecznie księdzu i wcisnął mu do ręki pięć dukatów.

– Na biednych, wielebny ojcze.

Uszczęśliwiony ojciec Antonio schował monety i z taką żarliwością pobłogosławił związkowi byłej kurtyzany i byłego kapelmistrza z Saletto, jakby stała przed nim młoda, niewinna para. Niedługo potem Fassi-Casamonte-Giroli drżącymi rękoma pomagał żonie rozebrać się z sukni. Przyglądał się jej przy tym z podziwem. Była tak piękna i miała tak obfite kształty, jak lubił. Poczuł, że jego członek twardnieje i z pożądania mało nie pęknie. Było to zupełnie inne uczucie niż podczas obcowania z matką Giulii. Donatellę mógł kochać tak, jak chciał, wiedząc, że nie potępi go za to jako grzesznika. Jego świeżo poślubiona małżonka czuła, jak skóra jej płonie pod jego spojrzeniem. Przez moment była nieco skonfundowana, bo się nie rozbierał, aby pójść wraz z nią do łóżka. Mimowolnie spojrzała na zakrywający jego męskość mieszek u spodni. Nagle poczuła przypływ ogromnego pożądania, jakiego już dawno nie doświadczyła z żadnym mężczyzną. Gdy pracowała jako kurtyzana, klienci wynagradzali ją dużymi sumami, ale traktowali jak przedmiot. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek poczuje coś takiego jak miłość. Świeżo upieczony małżonek podobał się jej i wprost pałała pragnieniem, by poczuć jego prącie w sobie. Nie wiedziała, czy takie uczucia przystoją zasługującej na poważanie kobiecie. A taką kobietą właśnie ją uczynił, biorąc z nią ślub.

Giulia niczego się nie dowiedziała o zmianach w życiu ojca. Przewyciężyła fizyczną słabość i skoncentrowała się na tych częściach nowej mszy, które miała zaśpiewać w niedzielę. Aby je przećwiczyć, zrezygnowała nawet z wizyt u Galileich, za to poprosiła Vincenza, by ich od niej pozdrowił.

– Powiedz im, że muszę dużo ćwiczyć przed nową mszą – dodała z uśmiechem, ale jej oczy pozostały poważne. Widać po niej było, że jeszcze nie całkiem doszła do siebie.

Vincenzo popatrzył na nią z z troskaniem.

– Przekażę to mistrzowi Galileiemu i jego żonie. Na pewno będą żałować, że nie masz już dla nich czasu. Poza tobą nikt nie jest w stanie sprawić, żeby mały Galileo zasnął, od kiedy biedactwo choruje.

– Mam nadzieję, że szybko wyzdrowieje. Prawdopodobnie źle znosi żąbkowanie.

Na usta Giulii wkradł się szczerzy uśmiech. Była smutna, że nieprędko będzie mogła wziąć to dziecko w ramiona. Może nawet nigdy, bo postanowiła opuścić Rzym po wykonaniu *Missae Papae Marcelli*. Nie mogła dłużej przebywać w tym mieście. Za każdym razem, gdy szła ulicami, czuła smród spalonego ciała, którym przesiąkły, a nocami mimo wywarów nasennych Assumpty ciągle śniła o tym, że płonie na stosie.

Gdy Vincenzo poszedł na Via del Macellaio do mistrza Galileiego, skierowała kroki do bazyliki Matki Bożej Większej. Dzięki temu, że przez ostatnie lata nauczyła się dyscypliny, mogła teraz uwolnić ducha od zmartwień i skoncentrować się całkowicie na śpiewie.

Przyszła na próbę jako jedna z pierwszych. Mistrz Pierluigi przyjął to z zadowoleniem. Wszystkich, którzy się spóźnili, obrzucił wyzwiskami.

– Za pięć dni śpiewamy nową mszę, a wy się wałkonicie, jakbyście mieli nie wiadomo ile czasu – krzyknął na brata Mariana.

Mnich zrobił się czerwony ze złości, ale bez słowa zajął swoje miejsce. Palestrina podszedł do niego i wcisnął mu do ręki kartki z nutami.

– Nawet jeśli sądzicie, że znacie już swój tekst na pamięć, powinniście zabierać ze sobą nuty. Pamięć czasami może niespodziewanie zawieść.

Brat Mariano zadarł głowę i wydał wargi.

– Nie moja. Nie wiem, co was napadło, ale zachowujecie się jak dziewica przed swym pierwszym razem, mistrzu Pierluigi.

Palestrina sapnął ze złości, Giulia zaś mimowolnie się roześmiała.

– Czyżbyście jako mnich mieli tyle doświadczeń z dziewicami? – zapytała brata Mariano.

Pozostali zakonnicy zanieśli się śmiechem. Nawet mistrz Pierluigi się uśmiechnął. Tylko brat Mariano zachował niewzruszoną minę, po czym schował kartki z nutami pod habit. Patrzył na nią przy tym tak dziwnie, jakby chciał spojrzeniem wślizgnąć się jej pod skórę. Otrząsnęła się i postanowiła, że będzie jeszcze uważniej schodzić temu mężczyźnie z drogi.

W ciągu następnych dni nie starczało jej czasu na myślenie o rzeczniku mnichów. Ona i inni śpiewacy nie mieli powodów do radości. Palestrina szlifował ich jak surowe diamenty, próbując

stworzyć z nich harmonijną jedność, która śpiewa jednym ustami. Giulia osiągała przy tym tak wysokie tony, jakich często nie potrafili wydobyć z siebie nawet najlepsi kastraci. Ale chórmistrz wciąż nie był do końca zadowolony z rezultatów. Nawet w dniu ostatniej próby wciąż jeszcze miał Giulii coś do zarzucenia.

– Casamonte, musisz włożyć w swój śpiew więcej zaangażowania. Przecież będziesz jutro śpiewał w bazylice Matki Bożej Większej, a nie w jakimś małym, nieznanym kościółku.

Palestrina tupnął i kazał Giulii zacząć od nowa.

Gdy dzień się skończył, czuła ulgę, mogąc się oddalić od tego pedanta. W domu zasnęła nad zupą i nawet nie pamiętała, kiedy Assumpta położyła ją do łóżka. Po raz pierwszy od wielu dni nie dręczyły jej koszmary. Gdy Assumpta obudziła ją następnego ranka, czuła się potwornie zmęczona i była przekonana, że nie da rady przetrzymać premiery.

Po lekkim śniadaniu założyła przy pomocy służącej spodnie i kaftan.

– Życz mi szczęścia – poprosiła. – Jeśli wykonanie nowej mszy się nie uda, to Palestrina na pewno mnie za to obwini.

Assumpta klepnęła ją dla dodania animuszu.

– Tego by jeszcze brakowało! Nie, moja mała, zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze.

Służąca wcale nie była tego taka pewna, choć robiła dobrą minę. Gdy Giulia poszła, ona też opuściła dom, aby w małym kościele położonym w sąsiedztwie poprosić Przenajświętszą Panienkę o pomoc dla swojej pani.

Bazylika Matki Bożej Większej była dzisiaj ozdobiona barwami Medyceuszy, których ponurość została nieco złagodzona przez kwiaty i świeżą zieleń. Na tle takiej scenerii chórzyci stojący przed ołtarzem, ubrani w białe koszule z czerwonymi lamówkami i kołnierzami, przypominali chłopców z Saletto. W pierwszym momencie Giulia przestraszyła się na ten widok, bo do tej pory widywała mnichów jedynie w szarych habitach. Palestrina stał nieco z boku i wyglądał na zatopionego w myślach. Brat Mariano podszedł do Giulii i wskazał ręką drzwi prowadzące do zakrystii.

– Idźcie tam i się przebierzcie!

– Mam się przebrać?

Giulia przywykła do występowania we własnym stroju, Założyła specjalnie na ten dzień szafranowy kaftan i seledynowe spodnie.

Brat Mariano pożerał ją wzrokiem, oblizując sobie usta.

– Dzisiaj w naszym kościele pojawi się Jego Świątobliwość. A więc to oczywiste, że mamy na sobie stroje chórzystów. Może wam pomóc? Chętnie pokażę wam, jak się zakłada taką koszulę.

Chwycił Giulie za ramię i zaczął ją ciągnąć w kierunku zakrystii. Przybliżył usta do jej ucha, tak że czuła na skórze jego wilgotne wargi.

– Jestem przecież waszym przyjacielem, Casamonte.

Giulia zrozumiała, że mnich nieraz atakował ją słownie, aby ukryć lubieżne żądze. Zastanawiała się rozpaczliwie, jak ma się wywinąć z tej sytuacji, nie budząc podejrzeń. Na jej szczęście Palestrina wyrwał się z odrętwienia i spojrzał w ich kierunku.

– Jesteś jeszcze nieubrany, Casamonte. Pospiesz się, a ty, bracie Mariano, nie zatrzymuj go.

Mnich puścił Giulie.

– Chcę tylko pomóc mu się przebrać.

Palestrina skrzywił się z obrzydzeniem.

– Zapewne w taki sam sposób co chłopcom z chóru kościoła Świętego Stefana, gdzie solista ze

strachu stracił głos. Nie chcę, żeby Casamontemu przytrafiło się coś podobnego. A więc zostaw go w spokoju.

Pozostali mnisi uśmiechali się ironicznie. Najwidoczniej dobrze wiedzieli o skłonnościach brata Mariano. Zakonnik wrócił na swoje miejsce z zawiedzioną miną. Giulia dostrzegła w jego spojrzeniu, że nie zamierza od niej odstąpić. „To jeszcze jeden powód, dla którego powinnam opuścić Rzym” – pomyślała. Stała przez moment bez ruchu, na co Palestrina zareagował gniewnym krzykiem:

– Przebierz się wreszcie, niedołęgo. Czy Jego Świątobliwość ma czekać, aż ci się zechce przed nim wystąpić?

Giulia wpadła do zakrystii i kilka minut później wróciła w nieco obcisłym stroju chórzysty. Uważnie się obejrzała, sprawdzając, czy odzienie dobrze kryje jej piersi, i w kilku miejscach je poprawiła, żeby lepiej leżało. Brat Mariano przesunął się, żeby stać obok niej.

– Chyba was nie przestraszyłem, Casamonte? Nie chciałem.

Usiłował nadać swemu głosowi delikatny i przyjazny ton, ale i tak zabrzmiała w nim niecierpliwa żądza, która sprawiła, że Giulia poczuła dreszcz na karku.

– Wcale mnie nie przestraszyliście, bracie Mariano.

Starła się mówić obojętnym tonem, ale chyba nie do końca jej to wyszło. Na szczęście mistrz Pierluigi kazał stanąć jej nieco z boku od grupy, odsunęła się więc z ulgą.

Tymczasem bazylika wypełniła się po ostatnie miejsce. Nie było tu siedzisk oznaczonych nazwiskami. Giulia zauważyła, że młodzi chłopcy w znoszonych spodniach i poplamionych koszulach ustępują miejsc mężczyznom w wytwornym odzieniu i przyjmują za to monety. Najwidoczniej wielu uliczników, których pełno było w Rzymie, zarabiało w taki oto sposób, że za denara zajmowali miejsca zamożnym panom. Damy z towarzystwa wołały jednak posłużyć się własnymi służącymi, które teraz wstawiały i dygając, ustępowały miejsca swoim paniom.

Niepokój w nawie kościelnej przybierał na sile, bo wszyscy czekali na pojawienie się Jego Świątobliwości. Giulia kątem oka dostrzegła, że brat Mariano ciągle jeszcze usiłuje ściągnąć na siebie jej uwagę. Żeby nie spoglądać mimowolnie w jego kierunku, skupiła wzrok na krześle przygotowanym dla Piusa IV i misternie wyhaftowanym na nim papieskim herbie. Palestrinie wydawało się, że odpłynęła gdzieś myślami, i cicho ją złajał. Giulia spojrzała na niego lekko urażona i po cichu zaczęła jeszcze raz powtarzać strofy *Missa Papae Marcelli*.

Gdy znów spojrzała na miejsce papieża, zobaczyła pełen cierpienia wyraz twarzy Ojca Świętego. Patrzył przed siebie pogrążony w ponurych myślach, natomiast biskup della Rocca oraz hrabia z Saletto – Gisiberto Corrabialli, którzy ku przerażeniu Giulii należeli do papieskiej świty, rozmawiali podekscytowani. Corrabialli miał na sobie kaftan i spodnie ze srebrnego jedwabiu, który błyszczał w świetle licznych świec jak klejnoty, a na każdym palcu pierścień. Nieco dalej siedział kardynał Hipolit d’Este, który wyglądał jak posępna ropucha. On też był obecny na uroczystościach w Saletto, kiedy Giulia śpiewała przebrana za chłopca.

Przypomniała sobie, że wtedy też miała na sobie taką koszulę jak teraz, i drżała na myśl o występie. Jeśli chociaż jeden z tych trzech mężczyzn przypomni sobie tamten dzień w Saletto, marnie się to dla niej skończy. Oczami duszy zobaczyła już, jak na Piazza dei Fiori płonie stos, a ona przeraźliwie krzyczy.

Krótko, ale przenikliwa cisza wyrwała ją z zatrwajającego zamyślenia. Zobaczyła, że mistrz Pierluigi daje niecierpliwie znaki, poczuła na sobie oczy tłumy i otworzyła usta. Właściwe dźwięki

jakby same z siebie zaczęły wydobywać się jej z krtani, a świat wokół przestał istnieć. Giulia powróciła do rzeczywistości, gdy przebrzmiał ostatni dźwięk *Missa Papae Marcelli*. Palestrina z wyraźną ulgą skinął jej głową i ledwo zauważalnym gestem wskazał ludzi zgromadzonych w kościele. Większość z nich klęczała nieruchomo na klęcznikach i nie miała odwagi odetchnąć. Nawet papież wyglądał na mocno poruszonego. Della Rocca nie zwracał na to uwagi, tylko gwałtownie coś do niego mówił. Giulia wiedziała, że podobno sfinansował część nowej mszy i kilku śpiewaków wybrał osobiście. Teraz cały sukces przypisywał sobie. Ale także pozostali towarzysze Piusa IV wychwalali nową mszę pod niebiosa. W końcu papież uniósł rękę i nakazał milczenie. Della Rocca wstał, wziął Palestrinę za rękę i przyprowadził go przed oblicze Ojca Świętego, jakby mistrz był jego własnością.

Ojciec Święty pozdrowił Giovanniego Pierluigiego zdumiewająco silnym głosem i wskazał na chór:

– Nie chcę widzieć tylko mistrza, ale też śpiewaków.

Mnisi nie posiadali się ze szczęścia, że będą mogli spojrzeć w oczy następcy Chrystusa na ziemi i pocałować jego pierścień. Giulia natomiast wpadła w panikę. Palestrina kiwnął na nią, żeby wysunęła się naprzód, i kazał jej pierwszej podejść do papieża. Skłoniła głowę najniżej, jak mogła i próbowała się tak ustawić, żeby mieć za plecami della Roccę i hrabiego Saletto.

Pius IV wyciągnął w jej kierunku rękę z pierścieniem.

– Macie wspaniały głos, wprost stworzony, by chwalić Boga.

Giulia lekko dotknęła wargami klejnotu na jego palcu i stała dalej z opuszczoną głową.

– Wasza Świątobliwość jest zanadto łaskawa.

– Chciałbym, byście wy i ten dźwięczny bas – Pius IV wskazał na brata Mariana – śpiewali w chórze Kaplicy Sykstyńskiej.

Oczy mnicha błyszcząły i wprost urósł, Giulia natomiast szukała gorączkowo jakiegoś wyjścia. Członkowie chóru Kaplicy Sykstyńskiej posiadali wprawdzie pewne przywileje, ale mieszkali razem, na niewielkiej przestrzeni. W takich warunkach jej prawdziwa płęć bardzo szybko wyszłaby na jaw.

– Wasza Świątobliwość jest zanadto łaskawa – powtórzyła. – Ale mój kunszt jest jeszcze zbyt skromny, by był was godzien. Chciałbym jeszcze odwiedzić wiele miast i uczyć się u mistrzów, aby osiągnąć wyżyny kunsztu, które umożliwiłyby mi bez rumieńca wstydu wychwalać Boga i was, Ojciec Święty.

Della Rocca się zdenerwował.

– Jego Świątobliwości się nie odmawia!

Pius IV z uśmiechem podniósł dłoń.

– Doceniam wasze zaangażowanie, mój drogi biskupie. Ale ten młody... hm... ten młody mężczyzna mi imponuje. Wypowiedział swe życzenie w odpowiednim czasie. Dopiero co wczoraj planowałem wysłać do cesarza Maksymiliana II takiego śpiewaka, który potrafiłby wykonać dla niego mszę świętą z największą żarliwością. Ten kastrat jest moim zdaniem właściwą osobą, by wypełnić to zadanie. Z mojego polecenia pojedzie do Wiednia.

Giulia uświadomiła sobie, że w tym momencie wyszła spod władzy ojca, a trafiła pod jeszcze potężniejszą władzę papieża. W głowie kłębiły jej się myśli, ale nie znajdowała sposobu, aby wymigać się od wykonania rozkazu. Stojący obok niej brat Mariano zaczął nerwowo oddychać. Odepchnął ją na bok, ukląkł przez papieżem i rozłożył ramiona.

– Ojciec Święty, pozwól, bym towarzyszył Casamontemu w drodze do cesarza.

Giulia zastygła. Przed oczami mignęła jej wizja, że oto stoi naga, a włosy płoną jej od ognia rozpalonego przez tego lubieżnego mnicha. Na jej szczęście głowa Kościoła chrześcijańskiego zareagowała mocno powściągliwie. Rozgniewany tonem, jakim zwykły mnich ośmielił się zwrócić do niego, papież dał znak, żeby brat Mariano się oddalił.

– Wasz głos jest potrzebny w chórze Kaplicy Sykstyńskiej – powiedział i kiwnął na następnego śpiewaka, żeby ten podszedł bliżej.

Giulii ziemia paliła się pod nogami. Miała nadzieję, że będzie mogła się oddalić, zanim ktoś ją rozpozna. Palestrina zauważył jej niepokój i szepnął, żeby poszła do zakrystii i się przebrała, zanim inni mnisi zaczną się tam tłoczyć. Giulia z ulgą oddaliła się od grupy, zerknąwszy za siebie, na brata Mariana. Ale ten stał w kącie z miną krnąbrnego dziecka i słuchał, co mówi do niego inny zakonnik, wykonujący gesty pełne egzaltacji. Giulia miała nadzieję, że będzie mogła odejść bez zwracania na siebie niczyjej uwagi, ale zatrzymał ją urzędnik ze świty papieża. Spojrzał na nią tak, jakby nie wiedział, czy ma do czynienia z robakiem, czy z człowiekiem. Gdy otworzył usta, jego głos zdradził, że dla niego rzezaniec znajduje się na poziomie mniej więcej chłopca na posyłki albo stajennego. Mimo to próbował być uprzejmy.

– *Signore Casamonte*, przyjdziecie jutro rano na Lateran i zgłosicie się do brata o imieniu Angelico. Udzieli wam dalszych informacji na temat podróży.

Nie czekając na odpowiedź, zostawił ją i podszedł do swego pana, żeby dalej grzać się w słońcu jego łaski.

Giulia czuła się, jakby wylano na nią wiadro lodowatej wody. Urzędnik dał jej jasno do zrozumienia, że od teraz będzie traktowana jak własność papieża, którą można posłać wszędzie, gdzie tylko Jego Świętobliwość zechce. „Powinnam być mądrzejsza – pomyślała – i dalej występować sama, nawet jeśli koncerty w domach niższej szlachty i kupców byłyby dla mnie i dla mojego głosu nie tak bardzo wymagające jak śpiewy kościelne”. Ale nie, ona wciąż marzyła, że jeszcze kiedyś zaśpiewa partię solową we mszy Palestriny. Osiągnęła to, ale za jaką cenę? Od teraz będzie stale znajdować się pod obserwacją i będzie musiała tłumaczyć się z każdego kroku. Z lękiem zastanawiała się, jak w tych okolicznościach zdoła kontynuować swoją maskaradę.

Tak bardzo zatopiała się w myślach, że zderzyła się z jakimś służącym w prostym odzieniu. Ten chciał ją w pierwszej chwili zwymyślać, ale potem ustąpił jej z drogi. Przez moment Giulia dziwiła się z powodu konsternacji na twarzy dobrze zbudowanego młodego mężczyzny. Ale była za bardzo zaprzątnięta własnymi sprawami, żeby głowić się nad jakimś lokajem. Ubrała się pospiesznie i bez pożegnania wyszła szybko bocznymi drzwiami. W drodze do domu pomyślała tęsknie, że jeszcze po raz ostatni odwiedzi Galileich. Byli jedynymi ludźmi, za którymi będzie tęskniła. Jej ojciec żałowałby rozstania z większą liczbą osób, a ona aż się bała, że będzie musiała mu oznajmić konieczność szybkiego wyjazdu.

XIII

– Na wszystkich świętych! Mamy pojechać na północ i przeprowić się przez góry? – Assumpta nie potrafiła zapanować nad przerażeniem.

Także Beppo siedział na swoim taborecie blady i przestraszony jak schwytyany ptaszek i nieustannie kręcił głową.

– To nie skończy się dobrze. To nie skończy się dobrze.

Vincenzo przez jakiś czas słuchał utyskiwań obojga służących, w końcu stracił cierpliwość i uderzył pięścią w stół.

– Czy oboje nie macie wstydu, że się tak zachowujecie? Podróż do Wiednia będzie może trochę niewygodna i dłuższa niż do Modeny albo Ferrary. Ale tam też mieszkają ludzie, a nie potwory. Poza tym człowiek pozna i zobaczy coś nowego, a nie tylko w kółko te włoskie uliczki i domy.

Uśmiechnął się do Giulii, jakby chciał dodać jej odwagi. Odwzajemniła uśmiech i poczuła, że znika jej niechęć i zaczyna cieszyć się na podróż z nim. Było jej wszystko jedno, dokąd się udadzą, najważniejsze, żeby Vincenzo jej towarzyszył.

– Byłeś już kiedyś w Wiedniu? – zapytała z ciekawością.

Vincenzo pokręcił głową.

– Nie, najdalej na północy byłem w Mediolanie i Wenecji. Ale na pewno skorzystam z okazji, żeby odbyć podróż na koszt Ojca Świętego. Takie zlecenie to przywilej. Wielu ci go będzie zazdrościć, Giulio. Możesz być z siebie dumny. Pius IV z pewnością nie wysłałby do cesarza jakiegoś dyletanta. Stosunki między Stolicą Apostolską a Maksymilianem II są i tak napięte. Powiedz, kiedy musimy wyruszyć w drogę?

– Tego dowiem się jutro rano. Jeśli chodzi o mnie, to możemy ruszać nawet w tej chwili.

Assumpta westchnęła ciężko.

– Wyślę Beppę, żeby znalazł twojego ojca.

Giulia uniosła rękę w obronnym geście.

– Ojca biorę na siebie. Beppo niech ci pomoże pakować rzeczy.

– Ale przecież nie możesz iść do tego rodzaju domu... Przecież jesteś...

– ...rzezańcem, z którego kurtyzany będą się naśmiewać? Nie mogę ciągle unikać takich sytuacji.

Giulia dokończyła zdanie za Assumptę, bo w porę się zorientowała, że służąca niechęć zdradziłaby jej płęć w obecności Vincenza.

– Przykro mi – powiedziała Assumpta, która też się zreflektowała i w zawstydzeniu opuściła głowę.

– Już dobrze. – Giulia położyła jej rękę na ramieniu i uśmiechnęła się nieco spięta. – Dam sobie radę. Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale Beppo mówił, że ojciec najchętniej chodzi do domu prowadzonego przez niejaką panią Rivaccio. Sprawdzę, czy go tam nie ma. W takim razie idę. Z Bogiem!

– Czy mam ci towarzyszyć?

Vincenzo chciał już wstać, ale Giulia pokręciła głową.

– Lepiej pójdz do mistrza Galileiego i zapytaj go, czy dzisiaj wieczorem znajdzie dla mnie trochę czasu. Chciałbym się z nim pożegnać.

Vincenzo spojrział na nią promiennie.

– Państwo Galilei na pewno byliby rozczarowani, gdybyś przed wyjazdem nie złożył im pożegnalnej wizyty.

Giulia wzdrygnęła się nieco pod wpływem jego spojrzenia, które zdawało się ją gładzić, ale odwzajemniła mu się uśmiechem i opuściła mieszkanie tak szybko, jakby z niego uciekała. Czasami było jej bardzo trudno przebywać blisko Vincenza. Od kiedy przestał być wobec niej taki powściągliwy, nie potrafiła sobie poradzić ze swoimi uczuciami i czasami pragnęła znów być obiektem tej niewypowiedzianej pogardy, którą Vincenzo wcześniej odczuwał do wszystkich kastratów. Nowa sytuacja peszyła ją i trochę napawała lękiem, bo nie mogła sobie wyobrazić, gdzie zaprowadzi ich ta rosnąca zażyłość. Z trudem odsunęła na bok ponure myśli i skoncentrowała się na spotkaniu z ojcem, które miało niebawem nastąpić.

Gdy szła w kierunku zamtuza Donatelli Rivaccio, minęła po drodze kilku stojących apatycznie lektykarzy, którzy spojrzeli na nią wyczekująco. Dotychczas zawsze chodziła pieszo, ale jako śpiewak na służbie u papieża nie musiała już przemierzać na własnych nogach brudnych uliczek i brudzić sobie butów oraz nogawek spodni. Podeszła do mężczyzn, którzy natychmiast energicznie odsunęli zasłonkę lektyki i zaprosili ją, by zajęła miejsce w środku.

– Dokąd mamy was zanieść, *signore*? – zapytał główny lektykarz i skłonił się nisko.

– Do domu pani Rivaccio, ale szybko.

Mężczyźni chwycili drążki, unieśli lektykę i pobiegli, kołysząc nią na boki. Giulia oparła się wygodnie. Pomyślała, że w przyszłości będzie korzystać w dużych miastach z tej formy lokomocji. Na pewno lektyka była wygodniejsza niż marsz i przeciskanie się między wózkami, zwierzętami pociagowymi i chłopkami dźwigającymi kosze.

Niedługo potem lektykarze stanęli przed okazałym budynkiem, którego mieszkańcy na pewno żyli w dobrobycie. Giulia wysiadła, zapłaciła i podeszła do bogato rzeźbionych drzwi wejściowych. Uderzyła kilka razy kołatką w kształcie głowy szpetnego olbrzyma, po czym czekała w napięciu na to, co nastąpi.

Minęła chwila, nim drzwi zostały otwarte. Służący wysunął głowę na zewnątrz i próbował się zorientować, z kim ma do czynienia. Giulia miała na sobie zwykły, codzienny kubrak, który to strój najwidoczniej był zbyt skromny jak na ten dom. Mężczyzna pokręcił głową i powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale chyba źle trafiliście.

– Szukam ojca, Girolama Casamontego. Zastałem go tutaj, prawda?

Giulia wyciągnęła z kieszeni srebrne sanpiero i mu je podała.

Ruvenzo był przyzwyczajony do dostawania srebrnych monet, mimo to skłonił się nisko przed Giulią i poprosił ją do środka.

– Wasz pan ojciec jest w tej chwili zajęty. Proszę, spocznijcie i poczęstujcie się winem.

Giulia zdziwiła się, że służący, który przed chwilą najchętniej zatrzasnąłby jej drzwi przed nosem, tak nagle zmienił swe nastawienie. Traktował ją teraz jak od dawna wyczekiwanego honorowego gościa. Weszła za nim do wnętrza wypełnionego łagodną muzyką. Nie zdziwiło jej to: kurtyzantom wolno było w swoich domach śpiewać dla gości i grać. Ale w salonie już na pierwszy rzut oka dostrzegła muzyków, którzy wydobywali dość przyjemne tony z violi da gamby, *chitarrone* i fletu. Muzykiem grającym na gambie był bez wątpienia jej ojciec.

Teraz on też ją dostrzegł i na moment wypadł z rytmu. Szybko się jednak opanował i grał dalej. Giulia usłyszała gwałtowne sapanie i przeniosła wzrok na dużą leżankę, która stała w pobliżu niszy z

muzykami. Leżała na niej para, która bez skrępowania oddawała się najstarszej czynności, jaką ludzie uprawiają od czasów Adama i Ewy. Kobieta była bardzo drobna, za to mężczyzna wyglądał jak nieforemny olbrzym, który wchodził w swoją delikatną partnerkę brutalnymi pchnięciami. Giulii wydawało się, że drab zaraz ją zabije. Odwróciła głowę, żeby tego nie widzieć. Czowała gniew na ojca, że akompaniuje temu obrzydliwemu widowisku. Tymczasem Ruvenzo udał się do swej pani i poinformował ją o przyjsciu nowego gościa. Donatella Rivaccio, która od niedawna kazała na siebie mówić signora Giroli, z zaskoczenia otworzyła szeroko oczy i popatrzyła na Giulie z drugiego końca salonu. Dostrzegła obrzydzenie, z jakim ta odwróciła się od kopulującej pary. Zdziwiło ją to. Niejeden kastrat płacił sownie, aby móc potajemnie przyglądać się jej dziewczynom podczas pracy. Często kosztowało go to dwa albo trzy razy tyle co normalnego klienta. Czyżby syn Girolama był niezadowolony, że jego ojciec gra na gambie w zamtuzie? Pani domu uśmiechnęła się lekko. W takim razie rzezańca spotka jeszcze jedna niespodzianka! Ale ze względu na męża postanowiła użyć całego swego czaru, żeby młodemu kastratowi poprawić humor.

Kazała Biance nalać najlepszego wina i osobiście zaniósła je swemu pasierbowi. Przez moment się zawahała, czy ma go od razu zagadnąć jak krewnego, czy najpierw powitać jak wytwornego gościa. Zdecydowała się na tę drugą opcję.

– Witajcie, *messer Casamonte*. Wasz ojciec wiele mi o was opowiadał. Wszyscy nie mogliśmy się doczekać, kiedy was poznamy.

Giulia chciała jej już powiedzieć, że nie zamierza tu zawierać żadnych znajomości, ale wtedy potężnie zbudowany klient zaryczał jak jeleń w rui i opadł na swoją partnerkę. Giulii zrobiło się żal dziewczyny i zmierzyła Donatellę pogardliwym spojrzeniem. W tym samym momencie drobna kurtyzana wyślizgnęła się spod mężczyzny, spojrzała na swoją panią, uśmiechając się z zadowoleniem, i poklepała wyczerpanego kochanka żartobliwie po tyłku.

– Dzisiaj znowu daliście z siebie wszystko, mój panie. Żaden inny mężczyzna nie może się z wami równać.

Twarz klienta rozpromieniła się z zadowolenia. Przycisnął swoją szeroką twarz do małych, ale kształtnych piersi kurtyzany.

– Najdroższa Violetto, z tobą to przyjemność odgrywać ogiera. W domu z małżonką czuję się jak stary wałach, który nie realizuje własnych pragnień, ale musi wypełnić przykry obowiązek.

Potem wstał, przeciągnął się, prezentując przy tym przyrodzenie w całej okazałości, i podał swojej partnerce haftowaną sakiewkę z jedwabiu. Ta zważyła ją krótko w dłoni i nie zaglądając do środka, podała innej kurtyzanie – Biance.

– Czy chcecie, panie, wina? Na pewno będziecie chcieli teraz trochę odpocząć.

Violetta nie czekała na odpowiedź, lecz zerwała się na nogi, nago przebiegła przez salon i kazała służącej napełnić kieliszek. Przechodząc koło pani domu, mrugnęła do niej konspiratorsko.

– Hrabia powiedział mi, że udało mu się przesunąć powrót do Bawarii o kilka miesięcy.

Donatella Rivaccio odetchnęła z wyraźną ulgą.

– A więc będziemy go mieć do dyspozycji jeszcze jakiś czas.

Violetta uśmiechnęła się lekko złośliwie.

– Zapytał mnie też, czy byłabym gotowa towarzyszyć mu, gdy wróci do ojczyzny. Nie mógłby mnie wprawdzie ulokować u siebie w pałacu, ale ma jeszcze kilka majątków. W którymś z nich mógłby mnie często odwiedzać.

Pani domu gwałtownie uniosła głowę.

– Chyba się na to nie zgodzisz?

Donatella Rivaccio nie chciała stracić swojej najlepszej kurtyzany. Nawet jeśli hrabia Waldenheim zapłaciłby porządną sumę odstępnego, to dzięki sztuce miłosnej Violetty zarobiłaby dużo więcej. Postanowiła sówiciej wynagradzać dziewczynę, a po jej oczach zorientowała się, że Violetcie właśnie o to chodzi.

– Nie podejmuj pochopnej decyzji, potrzyмай hrabiego w niepewności do czasu, kiedy będziemy mogły porozmawiać o tym w spokoju. Jeśli będziesz pracować tak jak do tej pory, zajdziesz u nas dalej niż w tym ponurym, zimnym domu w Niemczech.

– Mam taką nadzieję.

Śmiejąc się swawolnie, Violetta podbiegła do hrabiego i przystawiła mu do ust kieliszek z winem.

Giulia powoli zaczęła pojmować, że to nie kurtyzanie należy współczuć, lecz niemieckiemu hrabiemu, który wydawał kolosalne sumy, a w zamian otrzymywał odgrywaną dla pieniędzy przychylność. „Czy wszyscy mężczyźni są tacy sami?” – Giulia zadała sobie w duchu pytanie. Najgorszym przykładem był jej własny ojciec, który prawie już nie opuszczał przybytku rozpusty. Najprawdopodobniej świetnie zdawał sobie sprawę, że jego córka nim gardzi. Świadczyła o tym jego mina, gdy do niej podszedł.

Pani domu przysunęła ojcu Giulii krzesło i kiwnięciem ręki przywołała Biancę.

– Proszę, podaj naszemu gościowi wino, mnie i Girolamowi również. – Spojrzała na Giulie, uśmiechając się przymilnie. – Drogi *messer* Casamonte, cieszę się, że was wreszcie poznałam. Mam nadzieję, że będę was mogła częściej gościć.

Jej przyczajony ton odpychał Giulie.

– To raczej nie będzie możliwe. Ja...

Ojciec przerwał jej gwałtownym ruchem ręki, przyciągnął damę do siebie i pocałował ją w policzek.

– Giulio, pozwól, że przedstawię ci moją małżonkę, Donatellę! Pobraliśmy się przed kilkoma dniami.

W pierwszej chwili Giulia była zszokowana. Ona i jej ojciec tak mocno oddalili się od siebie, że nie powiedział jej wcześniej o swoim zamiarze i nie zaprosił na ślub. Może wstydził się nowej żony? Chyba nie, sądząc, po głupkowanym wyrazie dumy, która malowała się na jego twarzy. Przyjrzała się wnikliwie Donatelli. Ta w przeciwieństwie do jej matki wyglądała na kobietę pewną swojej wartości. W tym małżeństwie to ona z pewnością rządzi. Donatella nie będzie robić scen i zalewać się łzami, lecz łagodnie, ale zdecydowanie pokieruje małżonkiem zgodnie ze swoją wolą. Prawdopodobnie wystarczy, że uniesie brwi, by doprowadzić go do porządku. Giulia nie wiedziała, czy ma ojcu gratulować, czy współczuć. Może powinna zrobić jedno i drugie.

Teraz miała się wreszcie z nim rozstać i pojechać bez niego do Wiednia. Było to pożegnanie, na które czekała od lat. Mimo to złościło ją, że ojciec w tak przyjemny sposób wymigał się od odpowiedzialności za nią.

Giulia życzyła mu i jego żonie wszystkiego najlepszego na przyszłość.

– Właściwie przyszedłem tylko po to, żeby się pożegnać – powiedziała na koniec. – Niebawem na polecenie Ojca Świętego wyruszę w podróż do Wiednia, żeby zaśpiewać przed cesarzem Maksymilianem II.

Jej ojciec zbladł i przez moment w jego oczach można było wyczytać czystą zawiść. Trudno było mu zrezygnować z podróży do Wiednia na dwór cesarski. Giulia uśmiechnęła się nieco mściwie. „A

niechże się złości, że przepuścił taką okazję” – pomyślała z zadowoleniem. Ich dwojga nic już nie łączyło. Dystans między grajkiem z zamtuza a śpiewakiem, który występuje przed papieżami i cesarzami, był po prostu za duży.

CZEŚĆ PIĄTA

Na dworze cesarskim

Cesarz był bez wątpienia kacerzem.

Gdy Giulia to sobie uświadomiła, była wstrząśnięta. Wszystko, co rozgrywało się przed jej oczami w kaplicy wiedeńskiego pałacu Hofburg, nie odpowiadało świętym rytuałom prawdziwej wiary. Kaznodzieja zamiast ornatu miał na sobie prosty brązowy habit i odprawiał mszę po niemiecku, a nie, jak powinien, po łacinie. Także pieśni śpiewano po niemiecku. Jak głosiła plotka, kilka z nich napisał osobiście arcykacerz Luter.

Giulia nie śpiewała, bo papieski poseł ją przed tym ostrzegł. Zasłoniła się więc nieznaną niemieckiego. Ale nawet słuchanie wydawało się jej grzechem, bo śpiewy miały w sobie dziwnie zniewalającą moc. Ale najbardziej dziwiło ją to, że śpiewały także obecne w kaplicy kobiety. Gdyby uczyniły coś takiego na nabożeństwach, w których do tej pory uczestniczyła, zostałyby za to wysmagane różgami i wypędzone ze świątyni. Nie bez powodu wielcy doktorzy Kościoła głosili, że kobieta ma milczeć wobec wszechmocy Boga. To dlatego kastrowano utalentowanych chłopców. Ich piękne, dźwięczne głosy musiały zastąpić kobiecą skalę głosu i zamiast białogłów to rzeźnicy mieli wychwalać Boga w katedrach i kościołach.

Giulia pomyślała o Bellonim i Sebaldim, dwóch kastratach, których poznała bliżej. Zastanawiała się, czy rzeczywiście to Bóg chciał, żeby połowie ludzkości zabroniono śpiewać, za to inni byli okaleczani. Potem zobaczyła przed sobą płonące stopy na Piazza dei Fiori i zmroziło ją w środku.

Poczuła brak Vincenza w pobliżu. Odwróciła się, żeby poszukać go wzrokiem. Przydzielono mu miejsce stojące z tyłu, przy lokajach, obok drzwi prowadzących do pałacowej kaplicy, jakby jego obecność miała skalać krąg dostojnych osób, które się tu zebrały. Giulia zaczęła powoli rozumieć, dlaczego zostali przyjęci w Wiedniu tak nieprzychylnie: wierni zwolennicy prawdziwego Kościoła nie byli tu mile widziani.

Powitano ich chłodno i pogardliwie. Przydzielono im dwa nędzne pomieszczenia w najstarszej części Hofburga, które mogłyby służyć raczej za chlewik. Nie było tu kominka, jedynie cztery wiązki słomy do spania. Na widok nieogrzewanych, wilgotnych pomieszczeń Assumpta zażądała, żeby przynajmniej Giulii dano lepszy pokój. Ale potok włoskich słów spłynął po lokajach jak woda po kacze, a Giulia nawet nie dała rady się odezwać, bo służący opryskliwie kazał jej pójść do kaplicy.

Cisza, która zapadła, wyrwała Giulie z zamyślenia. Kaznodzieja powiedział ostatnie „amen”, a obecni chyba nie za bardzo wiedzieli, czy mogą już wstać, ponieważ cesarz nie przymierzał się, by to uczynić. Poseł papieża, Giancarlo Piccolomini, polecił Giulii, by po mszy zaśpiewała chorał Josquina des Présa. W samą porę dostrzegła, że daje jej znak, by zaczęła.

Piccolomini mógł wybrać bardziej współczesny utwór. Uparł się jednak na ten chorał, bo został on wykonany po raz pierwszy podczas koronacji cesarza Maksymiliana I, pradziadka obecnego władcy. Papieski poseł chciał tym dziełem przypomnieć cesarzowi przeszłość, kiedy w Rzeszy Niemieckiej nie było jeszcze ani Lutera, ani kacerzy.

Giulia nie wierzyła, że chorał coś poradzi przeciwko herezji, która rozniosła się po dworze cesarskim, ale to nie była jej sprawa. Posłusznie wstała i przybrała postawę do śpiewu. Ludzie wokół niej zaczęli szeptać. Ponieważ Giulia podczas podróży co nieco załapała języka niemieckiego,

wiedziała, co oznaczają nienawistne słowa padające z ich ust. „Papieska poczwara” i „okaleczony błazen” były najbardziej niewinnymi obelgami. Zmusiła się, by zapomnieć o ludziach wokoło i zaśpiewała pierwsze tony chorału. Natychmiast szmer głosów umilkł. Na szerokich twarzach Niemców pojawił się wyraz zdziwienia i zachwytu. Dźwięk własnego głosu uniósł Giulię i zabrał daleko stąd.

Jej duch wrócił do terażniejszości, gdy przebrzmiał ostatni ton i Maksymilian II zagadnął ją po łacinie:

– Przepięknie śpiewaliście.

Skłoniła się przed cesarzem i mimowolnie pomyślała o jego siostrze, pięknej księżniczce Eleonorze, która wyszła za mąż za garbatego księcia Wilhelma Gonzagę, zagorzałego katolika. Czy wielka pani zaznała szczęścia, mogąc wrócić na łono prawdziwego Kościoła?

– Wasza Cesarska Mość jest dla mnie zbyt łaskawa.

Giulia również odezwała się po łacinie. Zdążyła poznać ten język i władała nim lepiej niż niejeden duchowny.

– Mój małżonek powiedział to, co i ja myślę. – Maria Hiszpańska, siostra Filipa II i małżonka Maksymiliana, podeszła do Giulii i podała jej łaskawie dłoń do pocałowania. Słuchacze zareagowali na tę łaskę cichym pomrukiem, który stał się głośniejszy, gdy cesarzowa odpięła od swego odzienia broszę wysadzaną perłami i podała kastratowi jako nagrodę. – Weźcie to, Casamonte. Mam nadzieję, że często będę mogła słyszeć wasz wspaniały głos.

Giulia ponownie się ukloniła i podziękowała za prezent. Ze słów cesarzowej domyśliła się, że Maria Hiszpańska znów pragnie słuchać śpiewów Kościoła świętego zamiast niemieckich heretyckich pieśni. Wtem Piccolomini położył rękę na ramieniu Giulii.

– Casamonte zawsze będzie do waszych usług, Wasza Cesarska Mość – obiecał cesarzowej.

Jego obietnica była dla Giulii rozkazem – nie mogła rozczarować władczyni.

Maria Hiszpańska skinęła posłowi przyjaźnie głową.

– Dziękuję wam, *monsignore*. Bardzo bym była rada, mogąc usłyszeć śpiew Casamontego podczas nieszporów.

To również był rozkaz ubrany w przyjazne słowa, który obwieszczał wszem wobec, że cesarzowa chce, aby wieczorne nabożeństwo odprawiono według łacińskiego rytuału. Niektórym ludziom ze świty jej małżonka chyba się to nie podobało, bo patrzyli na Giulię gniewnym, a nawet wściekłym wzrokiem. Najwidoczniej uznali, że będzie miała zły wpływ na cesarzową, i postrzegali ją po prostu jako mąciciela. Nie wieszczyło to nic dobrego na czas jej dalszego pobytu w Wiedniu. Giulia była teraz mocno przekonana, że jeden z tych heretyków specjalnie przydzielił jej taką nędzną kwatere, żeby jej głos na tym ucierpiał. Postanowiła, że wieczorem po mszy zagadnie w tej sprawie któregoś z dworzan albo jedną z dam z najbliższego otoczenia cesarzowej. A może Piccolomini zdoła jej pomóc. W końcu papież powierzył mu pieczę nad nią, więc właściwie poseł powinien dbać, aby została zakwaterowana w lepszych warunkach.

Poseł zaprowadził ją do swoich komnat, trzymając za ramię, jakby była koniem albo osłem. Mieszkał w przestronnym pokoju w niedawno zbudowanym Skrzydle Szwajcarskim Hofburga. Pod wyłożonymi boazerią ścianami stały meble z ciężkiego ciemnego drewna, a w kominku płonął ogień, przepędzając zimno oraz wilgoć, które po prawie tygodniu nieustannego deszczu zagnieździły się w budynkach.

Giulia podeszła do ognia, żeby ogrzać zeszywniałe palce, Piccolomini natomiast usiadł na

skórzanym fotelu i z napięciem na twarzy patrzył w pustkę. Wyglądał, jakby coś go dręczyło.

Nagle uniósł głowę, a zaciśniętą w pięść prawą ręką uderzył się w lewą dłoń.

– Sytuacja całkiem wymknęła się spod kontroli. Jest gorzej, niż się obawialiśmy.

Giulia spojrzała na niego zdumiona.

– Nie rozumiem, co macie na myśli, Wasza Eminencjo.

– Zapomnijcie o tych nieprzemyślanych słowach, Casamonte. – Piccolomini wykrzywił usta w uśmiechu, który przypominał raczej szczerzenie zębów, a w jego czarnych oczach zapłonęło ciemne światło. – Byliście bardzo dobrzy – pochwalił Giulie. – Zostały poczynione pierwsze kroki, nic więcej, ale włożyliśmy już stopę w drzwi. Jeśli będziecie sprytni, możecie pozyskać łaskawość cesarzowej. To dla nas ważne, Casamonte, bardzo ważne.

Natarczywy ton w jego głosie zdenerwował Giulie, dlatego jej odpowiedź wypadła dość szorstko:

– Chętnie to zrobię. Ale dlaczego to takie ważne?

– Żeby zatrzymać potok herezji, Casamonte. Jego Świątobliwość nawet nie wie, że kacerstwo rozniosło się po Wiedniu jak gangrena. Musimy zastopować chorobę i przygotować podłoże pod całkowite wyępienie zła.

Gdy Piccolomini zaciśniętą w pięść dłońią groził niewidocznym wrogom, Giulia ujrzała przed sobą stos inkwizycji i zadrżała. Bezradnie rozłożyła ramiona.

– Czego ode mnie żądacie? Przecież potrafię tylko śpiewać.

– Jeśli Bóg zechce, mój synu, twój głos stanie się potężną bronią przeciwko herezji – odpowiedział namaszczonym tonem, ale po chwili w jego głosie znów zabrzmiało wojownicze zdecydowanie. – Posłuchajcie mnie dobrze, Casamonte. Dzisiaj wieczorem zaśpiewacie, jak nie śpiewaliście jeszcze nigdy. Trzeba umocnić ducha cesarzowej, która teraz drży jak ptaszek na lodowatym wietrze. Inne błądzące dusze również należy skierować ku światłu. Teraz idźcie. Skupcie się na swoich obowiązkach i nie pozwólcie, żeby cokolwiek was od nich odciągnęło.

Kiwnął ręką, pokazując Giulii, że może odejść.

Giulia się zawahała.

– Wybaczcie, Wasza Eminencjo, ale mam do was pilną prośbę.

– W takim razie się streszczajcie.

Twarz Piccolominiego zdradzała, że jego myśli zajęte są już innymi sprawami, a obecność kastrata mu przeszkadza.

– Chodzi o kwaterę, którą nam dano. Nie mogę mieszkać w takich warunkach.

– Dlaczego?

– Jest w niej zimno i mokro, nie ma kominka, żeby można było w nim napalić. Boję się zachorować, bo przez to straciłbym głos i nie mógłbym śpiewać.

– Bóg cię ochroni – powiedział Piccolomini tonem, który zamykał jej usta.

„Ty nie musisz mieszkać w takiej norze” – pomyślała niezadowolona Giulia.

Martwiła się nie tylko w powodu mokrych ścian. Wkrótce spodziewała się miesiączki. Bez ognia Assumpcie trudno będzie pozbyć się dyskretnie jej zakrwawionych podpasek.

– Życzę wam dobrego dnia. – Giulia skłoniła się przed Piccolominim, z trudem hamując gniewne słowa, które cisnęły się jej na język.

Na korytarzu przywołała służącego. Ten, nie ukrywając nawet obrzydzenia, zaprowadził ją do jej pokoju.

Assumpta przywitała Giulie nerwowym potokiem słów, przy czym nie tajiła, jak bardzo nie znosi

Niemców. Dla niej byli bez wyjątku nieprzyjaznymi prostakami o strasznych manierach. Ich kwatery można było nazwać skandaliczną, a jedzenie, jakie im tu podawano, okazało się prawie niejadalne.

– Nie powinniśmy byli przyjeżdżać do tego zimnego kraju. Tu Beppo nigdy nie wyzdrowieje – zakończyła żalonym tonem.

Beppo był kolejnym problemem, który leżał Giulii na sercu. Wierny służący przeziębił się podczas przekraczania Alp. Ponieważ nigdy przedtem nie chorował, nie przywiązywał wagi do kataru i kaszlu, a nawet wyśmiewał Assumptę, która chciała go leczyć domowymi sposobami. Teraz w płucach rzeziło mu jak w starym miechu i nie miał siły, by podnieść się z łóżka. Wilgoć i zimno panujące w pokoju były dla niego zabójcze. Ponieważ Piccolomini zbył ją jak uciążliwego petenta, postanowiła, że wieczorem, jeśli nie będzie innego wyjścia, osobiście zwróci się w tej sprawie do cesarzowej. Obiecała to Assumpcie, próbując ją uspokoić.

Służąca odetchnęła z ulgą i przeszła do izby obok, żeby zobaczyć, jak czuje się jej mąż. Giulia usłyszała jej głos – Assumpta powiedziała coś do Beppa. Drewniane ściany rozdzielające poszczególne pomieszczenia były tak cienkie, że doskonale słyszała, co dzieje się obok i na korytarzu. Oznaczało to, że musi być podwójnie ostrożna, także z powodu Vincenza, który spał u Beppa, po drugiej stronie ściany. Giulia miała nadzieję, że znajdzie kogoś, kto w przeciwieństwie do papieskiego posła wysłucha jej prośby. Westchnęła głęboko, przyciągnęła jeden z dwóch stołków, które oprócz chwiejnego stołu, dwóch sienników i jej skrzyni podróżnej były jedynymi meblami w izbie, po czym zdjęła pokrywkę z miski zawierającej obiad.

W naczyniu znajdowało się tłuste mięsivo. Zaczęła grzebać w potrawie, szukając zjadliwych kąsków, gdy wtem otworzyły się drzwi i do środka wpadł Vincenzo. Twarz miał czerwona ze złości i zgrzytał zębami, jego prawa dłoń ścisnęła głowicę szpady.

Przestraszona Giulia uniosła wzrok.

– Czy stało się coś złego?

Minęła dłuższa chwila, nim Vincenzo opanował się na tyle, aby móc jej odpowiedzieć.

– Zagadnąłem Falkensteina o ten chlew, w którym musimy mieszkać, i zażądałem lepszych pokoi. Wiesz, co odpowiedział mi ten drań? – Tak mocno kopnął zmurszałe drzwi, że prawie wypadły z zawiasów. – Oznajmił, że powinniśmy się cieszyć, że w ogóle mamy dach nad głową, bo przecież nikt nas tu nie wzywał.

– To było nieuprzejme z jego strony – przytaknęła Giulia.

Vincenzo opuścił wzrok.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział ponurym głosem. – Chciałem go za tę bezczelność pociągnąć do odpowiedzialności.

Giulia się przestraszyła.

– Wyzwałęś go na pojedynek?

– Nie natychmiast, ale jak wystosował pod moim adresem jeszcze kilka obelżywych uwag, nie miałem wyboru.

– I kiedy będziesz się z nim bił?

Vincenzo roześmiał się tak gorzko, że ciarki przeszły jej po plecach.

– Ten drań jest zbyt tchórzliwy, żeby stanąć naprzeciw mnie. Powiedział, że nie należy mi się satysfakcja, jako że jestem oprowadzaczem jarmarcznego dziwadła. A przecież moi przodkowie służyli cesarzom wtedy, gdy jego ciągle jeszcze byli zwykłymi świniarzami.

– Jarmarczne dziwadło? – Giulia popatrzyła na niego z osłupieniem.

Vincenzo skinął głową.

– Dokładnie tak powiedział. I jeszcze obrzucił mnie innymi obelgami. Zemszczę się za to, przysięgam ci na wszystko, co jest mi święte.

Giulia opuściła głowę.

– Nasza podróż rozpoczęła się pod złą gwiazdą. Beppo zachorował, a nas się obraża i traktuje z wrogością. A przecież nie zrobiliśmy tym ludziom nic złego.

– Co się tyczy Beppa, to czy Assumpta i ja nie powinniśmy zamienić się pokojami? Wtedy mogłaby się lepiej troszczyć o męża. Nie jestem dobrym pielęgniarzem i nie wiem, co mam robić, gdy ten biedak aż dusi się od kaszlu.

W oczach Vincenza była to rozsądna propozycja. Ale w ciasnej izbie Giulia nie mogłaby utrzymać przed nim w tajemnicy swej prawdziwej płci. Na dodatek nie była pewna, jak sama się zachowa. Ostatnio coraz częściej śniła o Vincenzu, a w dzień musiała walczyć z pragnieniem rzucenia mu się na szyję i powiedzenia prawdy. Ale chociaż była pewna jego wierności i lojalności, to uważała, że ani czas, ani miejsce nie są odpowiednie na tego typu wyznania. Na zewnątrz kręciło się zbyt wielu ludzi, a jedno nieprzemyślane słowo lub nazbyt jednoznaczny odgłos mogłyby wszystko zdradzić.

Rozpaczliwie zastanawiała się, jak sformułować odmowę, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń, ale nie znajdowała właściwych słów. Mogła jedynie powiedzieć:

– Przykro mi, Vincenzo. Tak nie może być.

Vincenzo zacisnął dłonie w pięści.

– Cholera, Giulio, tak się wzbranasz, jakbyś był dziewczyną. Czyżbyś nie mógł patrzeć na mężczyzn tylko dlatego, że sam zostałeś pozbawiony męskości? Weź się w garść. To przecież dla dobra Beppa.

– Nie. – Giulia wstydziła się swojej odmowy, ale nie miała innego wyjścia.

Vincenzo ze złości znów zrobił się czerwony na twarzy.

– Jesteś największym egoistą, jakiego spotkałem. A więc dobrze, znajdę sobie w takim razie inne łóżko niż wiązka słomy w Hofburgu. Na mieście jest dość kobiet i dziewcząt, które mają do zaoferowania lepsze lokum niż to tutaj.

Obrócił się na obcasie i wyszedł z pokoju, nie zamykając drzwi.

Giulia jak zwykle zdusiła łzy. Była zła na siebie z powodu bólu, który w niej płonął. Nie chciała zrobić przykrości Vincenzowi i już teraz nienawidziła tej nieznaney kobiety, w której ramionach będzie spędzał noce.

Wieczorem Giulia nie znalazła sposobności, żeby przekazać swoją prośbę cesarzowej. Maria Hiszpańska klęczała zatopiona w modlitwie w swojej małej prywatnej kaplicy i nawet nie podniosła wzroku, gdy Giulia weszła do środka. Ochmistrzyni w surowej hiszpańskiej sukni dworskiej z białą kryzą bez słowa zaprowadziła Giulie do ciemnego kąta i podała jej oprawiony w złoto i skórę modlitewnik z założonymi pieśniami, których tego wieczora chciała posłuchać cesarzowa.

Giulia próbowała zapomnieć o osobistych problemach i chciała dać z siebie wszystko. Pod koniec nieszporów nie wiedziała jednak, na ile dobrze udało jej się zaśpiewać. Cesarzowa ciągle jeszcze siedziała w swoim klęczniku, czoło miała oparte na splecionych dłoniach i cichutko szeptała modlitwy, chociaż Luis de Vega, hiszpański ksiądz, dawno już powiedział ostatnie „amen”. Giulia wyszła z cienia, mając nadzieję, że dostojna dama uniesie wzrok i ją zagadnie. Ale nic takiego się nie stało. Jedynie ochmistrzyni podeszła bliżej, chwyciła ją za rękaw i wyprowadziła na zewnątrz.

– Wybaczcie, ale chciałem porozmawiać z Jej Cesarską Mością – poprosiła cicho Giulia.

Ochmistrzyni pokręciła głową.

– Jej Wysokość nie życzy sobie dzisiaj z nikim rozmawiać.

– A może wy mi pomożecie? Potrzebuję pilnie innej kwatery. W wilgotnych i zimnych pomieszczeniach, które nam przydzielono, stracę głos. A na dodatek zachorował mój służący i w takich warunkach nie będzie mógł wrócić do zdrowia.

– Nie mogę wam pomóc. Zwróćcie się do pana von Falkensteina, który jest odpowiedzialny za zakwaterowanie gości na dworze.

Giulia najchętniej wykrzyczałaby jej prosto w twarz, że to właśnie Falkensteinowi zawdzięcza tę wilgotną norę, ale ochmistrzyni po prostu ją zostawiła i wróciła do komnaty cesarzowej. Giulia widziała jeszcze, jak uklęka kilka kroków za swoją panią i zaczęła się modlić. Potem służący zamknął drzwi i stanął w nich, przybierając groźną postawę. Giulia zrozumiała, że tego wieczoru zrobiła już swoje. Rozgniewała ją odpychająca postawa ochmistrzyni. Poczuli się jak mebel, z którego skorzystano i z powrotem odstawiono do kąta. Nawet zwierzę po ciężkiej pracy dostaje pochwałę – właściciel poklepie je po grzbiecie, powie coś miłego. Jej wysiłek zaś nie został nagrodzony choćby jednym słowem. A przecież dla artysty uznanie liczy się co najmniej tak samo jak brzęcząca moneta.

Pogrążona w ponurych rozmyślaniach wróciła do swojego pokoju, któremu Assumpta starała się daremnie nadać bardziej przytulny wygląd. Gdy Giulia weszła, służąca uniosła głowę.

– Vincenzo gdzieś sobie poszedł i kazał przekazać, że nie wróci na noc.

Giulia poczuła ukłucie w sercu. Mimo to zmusiła się do uśmiechu, bo nie chciała obarczać Assumpty własnymi zgrzyotami. Służąca z powodu choroby męża i tak miała dość zmartwień.

– Vincenzo chciał, żebyś mogła zajmować się w nocy Beppem – powiedziała Giulia. – A ja nie mogłam mu przecież pozwolić, żeby spał w moim pokoju.

Assumpta prychnęła.

– To by było nieprzyzwoite. Nie żebym uważała cię za osobę lekkomyślną, ale Vincenzo to przystojny mężczyzna, a ty...

Przestraszyła się własnych słów, zakryła sobie usta i popatrzyła na ścianę, za którą słychać było czyjeś zbliżające się kroki. Gdy przebrzmiały, zbliżyła usta do ucha Giulii.

– Przebacz mi, starej, głupiej kobiecie. Prawie cię zdradziłam. Słyszałam pod naszymi pokojami podejrzanе odgłosy, jakby ktoś próbował nas podsłuchiwać. Och, dziecko, Ojciec Święty przysłał cię do prawdziwego gniazda żmij.

Giulia się przestraszyła. Jeśli podejrzenia Assumpty są prawdziwe, to naprawdę znajduje się w najwyższym niebezpieczeństwie. Zastanawiała się, czemu traktują ją tutaj jak trędowatego, a może nawet szpiegują, ale nie potrafiła złożyć sobie tego w całość. Przecież wykastrowany śpiewak, który raduje ludzi swoim śpiewem, jest niegroźny.

– Musimy być jeszcze ostrożniejsi – szepnęła do Assumpty. – Będę bardzo zadowolona, gdy wreszcie pozwolą nam opuścić to miejsce.

Assumpta westchnęła i pokiwała głową.

– A co dopiero mówić o mnie. To nie jest kraj dla nas. Im szybciej zobaczymy słońce Italii, tym lepiej.

Giulia chwilę nasłuchiwała, po czym podniosła głos.

– Idź teraz do Beppa. Jeśli Vincenzo wróci w nocy, może się położyć na twoim łóżku w moim pokoju. Chociaż tę stertę słomy trudno nazwać łóżkiem. W naszej ojczyźnie nawet osły mają lepsze posłanie. – Zaśmiała się sztucznie, aby wyprowadzić w pole osoby, które mogły ich podsłuchiwać.

Assumpta domyśliła się jej zamiaru i wyszczerzyła zęby.

– Tak zrobię. Ale powiem mu przynajmniej, żeby nie chrapał. Masz lekki sen, a nie możesz niewyspana pójść na mszę. Twój głos by przez to ucierpiał.

Giulię coś tknęło, gdy usłyszała te mimochodem powiedziane przez Assumptę słowa. Skarżyła się już na kwaterę papieskiemu posłowi. W tym momencie uświadomiła sobie, że zakwaterowano ją w takich warunkach specjalnie, aby straciła głos. Przypomniało jej się, że widziała dziś hrabiego Falkensteina podczas heretyckiej mszy porannej. Był jednym z tych, którzy przysłuchiwali się słowom kaznodziei ze szczególną gorliwością. Czy jej nienawidził, bo przyjechała z papieskim posłem? Czy od samego początku nie chciał dopuścić, żeby swoim głosem wzbudziła zainteresowanie cesarza?

Jeśli takie były jego intencje, to się zawiódł. Giulia nie miała zamiaru pozwolić, by jego plan wypalił. Istnieje dość środków, by chronić i wzmacniać głos. Postanowiła, że następnego ranka wyśle Assumptę na rynek po bulwę kopru włoskiego, szałwię i miód. Potem roześmiała się z rozbawieniem. Sama będzie musiała pójść na rynek, bo Assumpta nie zna niemieckiego, nie da rady dogadać się ze straganiarkami i jeszcze zablądzi.

Pożegnała się z wierną służącą i starannie zamknęła za nią drzwi. Ponieważ nie dowierzała luźnej zasuwie, zablokowała dodatkowo drzwi kijem i zaczęła szykować się do snu. „Assumpta bardzo martwi się o Beppa” – pomyślała, bo dotychczas jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby służąca zapomniała pomóc jej przy rozbieraniu i zdejmowaniu uciążliwego pasa krępującego piersi. Giulia poradziła sobie jednak sama. Zanim się położyła, pościeliła na nowo łóżko, bo nie chciała spać pod śmierdzącymi stęchlizną kocami, które dano jej do dyspozycji. Tak więc położyła na słomianym sienniku koc podróżny i przykryła się płaszczem. W przyływie dobrego humoru pomyślała, że w całym swoim życiu nie spała w tak okropnych warunkach jak na dworze najpotężniejszego chrześcijańskiego władcy.

III

W ciągu najbliższych dni Giulia śpiewała podczas każdego nabożeństwa porannego narzucone jej przez Piccolominiego chorały i fragmenty znanych, chociaż często dość staromodnych mszy, a późnym wieczorem czyniła swoje obowiązki u cesarzowej. Ale nie otrzymała ani wyrazów uznania, ani podziękowania. Papieski poseł wydawał jej rozkazy najczęściej za pośrednictwem służącego i traktował ją jako zło konieczne. Dwór okazywał jej zimną pogardę, a Vincenzo najwidoczniej o niej zapomniał, bo w ogóle nie pojawiał się w Hofburgu. Nie załatwiła również własnych spraw, bo nikt nie chciał wysłuchać jej skarg na wilgotne pokoje. Jedynym błyskiem światła był fakt, że jej śpiew chyba podobał się cesarzowi, bo czasem spojrzał na nią przychylnie, a nawet melancholijnie się uśmiechał. Przez większość czasu władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego pogrążony był w posępnych myślach i prawie nie dostrzegał otoczenia.

Gdy Giulia w końcu spróbowała podejść do Jego Cesarskiej Mości, żeby zagadnąć go na temat jej nieznośnych warunków mieszkaniowych, Falkenstein i kilku innych dworzan zastawiło jej drogę.

– Podążasz w złym kierunku, kastracie – zadrwił hrabia.

– Mam pilną prośbę do Jego Cesarskiej Mości. – Giulia starała się zachować spokój mimo jego obraźliwego tonu.

– Cesarz ma co innego do roboty, nie będzie zajmował się takim kretynem jak ty. – Falkenstein nie powiedział tych słów szczególnie głośno, ale kilka osób z otoczenia usłyszało je i zareagowało pogardliwym śmiechem.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Jeszcze nigdy nie spotkała się z tak okrutnym traktowaniem. Jednocześnie była zła na siebie z powodu tej chwili kobiecej słabości, przez którą kilkoro ludzi zaczęło wskazywać ją palcami. Czowała się bezradna jak nigdy dotąd. Bardziej niż kiedykolwiek tęskniła za Vincenzem. Nie dlatego, że się spodziewała, iż w takiej sytuacji mógłby jej pomóc, bo on również nie poradziłby sobie z arogancją i złośliwością Falkensteina, ale sama jego obecność byłaby dla niej pociechą. A teraz stała sama jedna, mając przed sobą mur bezlitosnych spojrzeń, które przyglądały się jej, jakby była obrzydliwym insektem. W swojej rozpaczycy odwróciła się i pobięła ślepo przed siebie. Na korytarzu nie zauważyła mężczyzny idącego z naprzeciwka, wpadła na niego, straciła równowagę i się przewróciła.

Zawstydzona, próbowała się podnieść.

– Wybaczcie mi, panie.

Podał jej ze śmiechem rękę.

– Najpierw wstańcie na nogi, zanim zaczniecie przeproszać. Wydaje mi się, że ucierpieliście bardziej niż ja.

Pokazał na prawe kolano Giulii, gdzie przez porwany materiał zaczęła przesiąkać krew. Dopiero teraz Giulia poczuła ból i się skrzywiła.

– Ale to moja wina. Trzeba mi było patrzeć, jak idę.

Mężczyzna roześmiał się jeszcze głośniej.

– Wychodzi na to, że ja też nie uważałem wystarczająco.

Giulia przyjrzała mu się teraz dokładniej. Był ubrany wytwornie, chociaż nieco staromodnie, w

kolorze żółtym i czarnym. Wymykające się spod beretu blond włosy nieco mu już posiwiały. Jego rudawa broda także błyszczała, jakby pokrył ją szron, a na twarzy miał pierwsze wyraźne zmarszczki. Na jego piersi wisiał ciężki medalion na masywnym złotym łańcuchu. W tym momencie Giulia go sobie przypomniała. Nie знаła jego nazwiska, ale wiedziała, że to niemiecki książę, jeden z tych, którzy obecnie gościli na wiedeńskim dworze. Cesarz wiele razy wyróżnił go szczególną łaskawością, zapraszając, by podczas porannej mszy zajął miejsce po jego prawej stronie. Teraz tym bardziej zrobiło jej się niezręcznie z powodu zderzenia.

– Nie chcę was dłużej zatrzymywać, Wasza Książęca Mość.

Skłoniła się i chciała go minąć, ale chwycił ją mocno za ramię.

– Jesteście tym śpiewającym kastratem, którego Piccolomini przywiózł z Rzymu?

Giulia skinęła głową.

– Casamonte, do usług, panie.

– Macie wspaniały głos. To przyjemność was słuchać. – Mężczyzna skinął głową na to przyjemne wspomnienie i spojrzał pytająco na Giulie. – Śpiewacie tylko pobożne pieśni czy również takie dla poprawy nastroju?

– Śpiewam to, czego życzą sobie moi słuchacze. We Włoszech ludzie chętnie słuchają pieśni wysławiających miłość i radość.

Uradowany szlachcic skinął głową.

– Nie tylko tam. Nie wiem, czy nie wyczerpują was za bardzo chorały śpiewane podczas nabożeństw, bo chętnie bym posłuchał czegoś innego w waszym wykonaniu. Co jeszcze macie w repertuarze?

Jego zainteresowanie pochlebiało Giulii i zaczęła mieć nadzieję, że ona też kiedyś zobaczy coś innego poza własnym nieprzytulnym pokojem, przeładowaną dworską kaplicą i ciemną komnatą cesarzowej.

– Śpiewam motety i chansons różnych kompozytorów, ale też własne pieśni po włosku, łacinie i francusku.

– A po niemiecku?

Giulia pokręciła głową, na co on poklepał ją po ramieniu.

– Jeśli nie chcecie się ograniczać do umilania modłów w kościele cesarzowi i jego gościom, powinniście nauczyć się paru niemieckich pieśni.

Giulia spojrzała na niego promiennie.

– Chętnie to uczynię.

– W takim razie przyjdźcie dzisiaj po południu o trzeciej do pałacu Kolobanów przy Sonnenfelsgasse. Zapowiem wasze przyście, by serdecznie was tam powitano.

Giulia speszyła się nieco tempem, jakie narzucił szlachcic.

– Jesteście zbyt łaskawi, panie. Pojawię się punktualnie. Ale wybaczcie mi pytanie. Nikt mi dotąd nie powiedział, kim jesteście.

– Zwą mnie książę Krzysztof Wirtemberski. W takim razie do zobaczenia dzisiaj po południu – powiedział i odszedł, zostawiając Giulie samą.

Zdumiona patrzyła w ślad za nim. Niewiele o nim wiedziała, tylko tyle, że – jak się dowiedziała od Piccolominiego – Krzysztof Wirtemberski był głową niemieckich kacerzy. Papieski poseł opisał go jako przerażającego potwora, arcyheretyka, który podważa autorytet Ojca Świętego i zmusza ludzi w krajach niemieckich, żeby przyjmowali fałszywe nauki Lutra. Ona odniosła wrażenie, że to

przyjazny starszy pan. Nie okazał jej wzgardy jako kastratowi ani nie dał odczuć, że pochodzą z różnych klas społecznych. Mimo to nie wiedziała, co sądzić o jego zaproszeniu. A jeśli to pułapka zastawiona po to, żeby usunąć ją jak uciążliwego insekta? W obcym domu łatwiej przeprowadzić taką operację niż w Hofburgu. A może chcą z niej zrobić heretyka i w ten sposób zgubić jej duszę? Otrząsnęła się jak mokry pies, żeby pozbyć się strachu. Na pewno księżę to tylko miły starszy człowiek, któremu spodobał się jej śpiew i chce jej dać możliwość śpiewania pieśni według własnego uznania. Miała już dość bycia marionetką, którą inni sterują. Nie podobało jej się, że może śpiewać tylko to, czego żąda od niej zarozumiały lokaj Piccolominiego albo wyniosły dworzanin z woli cesarza. Przecież Bóg obdarował ją pięknym głosem również po to, żeby dawała ludziom radość. Na tę myśl się roześmiała. Piccolomini powiedział, że jej głos jest boskim orężem. I właśnie dlatego musiała śpiewać przed luterańskimi kacerzami.

Jeśli goście w pałacu Kolobanów okażą się w większości tak przyjaźni jak księżę, znowu będzie śpiewać w atmosferze, którą kocha, i otrzyma brawa, których w Wiedniu brakuje jej tak boleśnie.

Po raz pierwszy, od kiedy przestąpiła próg hofburskiego pałacu, w jej sercu pojawiła się radość. Pobiegła jak na skrzydłach korytarzem do swojej kwatery, żeby opowiedzieć Assumpcie o niespodziewanym zaproszeniu. Zduszone sapanie Beppa i gwałtowny napad kaszlu sprawiły, że znowu wpadła w gorszy nastrój. Służący z dnia na dzień czuł się coraz gorzej. Zatroskana Giulia weszła do jego pokoju, gdzie zastała Assumptę zalaną łzami.

– Potrzebujemy *dottore*. Beppo nie może już prawie oddychać.

– Zajmę się tym.

Giulia obróciła się na pięcie i chciała już wybiec, gdy pomyślała, że mogą jej być potrzebne pieniądze. Dlatego wróciła do swojego pokoju i wzięła kilka tutejszych monet, które wymieniła wcześniej po drodze, w kantorze. Chwilę później na jednym z wielu ciemnych korytarzy Hofburga przywołała do siebie służącego i spróbowała mu wyjaśnić, o co jej chodzi.

Mężczyzna naprawdę starał się zrozumieć łamany niemiecki przeplatany wieloma włoskimi słowami, a na koniec rozłożył z ubolewaniem ręce.

– Tutaj jest tylko jeden *medicus*, lekarz nadworny cesarza. Ale nie zajmuje się takimi prostymi ludźmi jak my. Będziecie musieli chyba pójść do miasta i tam poszukać lekarza.

– Znasz jakiegoś dobrego *dottore*?

– Przy Stiegengasse mieszka taki jeden, który podobno szczerze troszczy się o chorych.

Służący opisał jej drogę, a nawet powtórzył wszystko raz jeszcze, żeby się nie zgubiła.

– Dziękuję ci.

Giulia uśmiechnęła się do niego z ulgą i wcisnęła mu do ręki trzy halerze. Wyszła z Hofburga przez bramę Świętego Michała i bez problemu odnalazła wskazany adres. Chodziło o duży budynek z małymi oknami, którego parter został wymurowany z kamieni, wyższe kondygnacje natomiast wykonano z ciemnego muru pruskiego i pokryto zaprawą murarską. Giulia jeszcze nigdy nie widziała takiego domu z bliska i przez moment zatrzymała się przed nim ze zdumieniem. Dopiero tutaj zrozumiała tak naprawdę, jak daleko za sobą zostawiła Italię z jej budynkami z ciepłego, jasnego piaskowca.

Szyld obok wejścia zapowiadał dużymi literami, że wielce szanowny *medicus* Filibert Scharnagl przyjmuje na drugim piętrze. Po chwili wahania otworzyła drzwi i weszła na zdumiewająco czystą klatkę schodową, bez przykrych zapachów, jakby nie mieszkali tu żadni ludzie. Stopnie wąskich, stromych schodów były wydeptane i skrzypiały pod nogami tak głośno, że jej krok obudziłby nawet

martwych. Gdy weszła na właściwe piętro, potrzebowała chwili, by w panującym tu mroku znaleźć właściwe drzwi, po czym zapukała.

Ktoś zawołał po niemiecku coś, czego nie zrozumiała. Chwilę później drzwi otworzyła krępa starsza kobieta. Giulia nie miała pojęcia, czy to gospodyni, czy małżonka lekarza, która założyła starą sukienkę, aby w niej sprzątać mieszkanie. Dlatego przywitała się z należytą uprzejmością.

– *Buon giorno, signora.*

Kobieta uniosła z zaciekawieniem brwi.

– Jesteście Włochem?

Giulia skłoniła się jeszcze raz i wyrecytowała niemieckie zwroty, których nauczyła się w drodze do tego miasta.

– Casamonte, do usług. Chciałbym rozmawiać z *dottore* Scharnaglem.

– Brata w tej chwili nie ma. Ale możecie usiąść w przedpokoju, jeśli chcecie poczekać. Na pewno niebawem wróci.

Kobieta zapraszającym gestem wskazała krzesło zajmujące prawie połowę pozbawionego ozdób przedpokoju. Z pomieszczenia odchodziło pięcioro drzwi.

Giulia podziękowała jej i usiadła, kobieta natomiast zniknęła w jednym z pokoi i głośno nad czymś pracowała. Informacja, że lekarz niebawem się zjawi, okazała się na wyrost. Minęła zapewne godzina lub więcej, gdy skrzypiące kroki zatrzymały się dokładnie przed drzwiami mieszkania. Wkrótce potem do środka wszedł chudy mężczyzna o bladej twarzy. Miał na sobie płaszcz przypominający kaftan, a na głowie czarny filcowy kapelusz.

– Jestem z powrotem, Traudi! – zawołał głośno.

W tym momencie dostrzegł Giulie i popatrzył na nią badawczo, unosząc brwi. Jej uszyte według najnowszej włoskiej mody ubranie obiecywało dobrą zapłatę, skłonił się zatem przesadnie nisko.

– Witajcie w moim domu, szanowny panie. Czym mogę wam służyć?

– Mój służący ciężko zachorował – powiedziała Giulia po łacinie, mając nadzieję, że w tym języku będzie się mogła lepiej porozumieć z lekarzem.

– Wasz służący?

Scharnagl był wyraźnie rozczarowany. Miał nadzieję, że gość będzie osobiście potrzebował jego pomocy. Za leczenie służącego dostawało się zaledwie kilka groszy, w przypadku szlachcica zaś można było liczyć na kilka dukatów.

– Mój służący przeziębził się podczas podróży i teraz okrutnie kaszle. Ma duże problemy z oddychaniem.

Giulia opisała mu wszystkie symptomy choroby. Lekarz słuchał uważnie, a na koniec skinął z uznaniem głową.

– Dobrze wszystko zaobserwowaliście, szanowny panie. Mogę dać wam lekarstwo dla tego człowieka. Czy może wolicie, żebym poszedł z wami i go obejrzał?

– Proszę, chodźcie ze mną i zbadajcie Beppa.

Dla wzmocnienia swojego życzenia Giulia wyciągnęła z kiesy dwa talary i podała je doktorowi.

Monety wyraźnie zachęciły lekarza do działania. Zakręcił się po mieszkaniu i w końcu podszedł do niej z wielką skórzaną torbą zawieszoną na ramieniu.

– Mam wszystko, czego mi potrzeba, szanowny panie. Proszę, idźcie przodem i wskażcie mi drogę.

Giulia skinęła głową i uśmiechnęła się lekko sama do siebie. Tak jak oczekiwała, lekarz zeszywniał niemal z wrażenia, gdy się zorientował, dokąd idą. Chociaż na ulicy głośno się

przechwalał, jakie to sukcesy odniósł jako medyk, to idąc korytarzami Hofburga, zachowywał się cicho jak myszka. Nawet nędzne pomieszczenie, do którego zaprowadziła go Giulia, chyba w ogóle go nie zirytowało. Mężczyzna nie zrobił na Giulii szczególnie dobrego wrażenia, ale zbadał chorego z troską, która kłóciła się z jego wcześniejszym krzykliwym zachowaniem. Pod tym względem był prawdziwym lekarzem, który chciał dać z siebie wszystko, by pomóc pacjentowi. Zajrzał do wszystkich otworów w głowie pacjenta, osłuchał mu klatkę piersiową za pomocą medycznej trąbki i podał mu w końcu wywar o intensywnym zapachu. Nawet żołądek Giulii zareagował na tę woń silnym skurczem. Beppo odetchnął jeszcze kilka razy świszcząco i chyba poczuł się lepiej. Kaszel się uspokoił i łatwiej mu było zaczerpnąć powietrza.

Gdy Assumpta wylewnie dziękowała lekarzowi po włosku, Giulia dostrzegła jego nazbyt poważną minę. Ale dopiero gdy znaleźli się na zewnątrz, na ulicy, odezwał się tymi słowami:

– Nie chcę was okłamywać, panie Casamonte, ale z waszym służącym nie jest dobrze. Ma ostre zapalenie dróg oddechowych. Jeśli nie zostanie mu zapewniona odpowiednia opieka, może się to przerodzić w zapalenie płuc, a wtedy Bóg tylko wie, czy uda mu się przeżyć.

– Beppo jest silnym mężczyzną, na pewno przezwycięży chorobę – powiedziała Giulia, usiłując pocieszyć samą siebie.

Lekarz sprawiał wrażenie zamyślnego.

– Miejmy nadzieję. Módlcie się za niego, bo modlitwa to najsilniejsza broń przeciwko chorobie, skuteczniejsza niż moje tynktury.

Giulia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ale przecież po tym lekarstwie Beppo poczuł się lepiej.

– Ono jedynie łagodzi cierpienie. Chorobę zwalczyć musi jednak sam.

– Dziękuję wam, że obejrzelście Beppę, i będę rad, jeśli w dalszym ciągu moglibyście mu podawać ten środek. Może Bóg i Przenajświętsza Paniienka sprawią cud.

Giulia wręczyła Scharnaglowi jeszcze kilka monet w nadziei, że będzie starał się pomóc Beppowi w miarę swoich możliwości.

Scharnagl podziękował jej i obiecał, że każdego dnia przyjdzie choć raz i sprawdzi stan chorego. Potem się pożegnał, nadmieniając, że musi odwiedzić jeszcze innego pacjenta.

Dzwony na wieży katedry Świętego Stefana przypomniały Giulii, że obiecała odwiedzić księcia Krzysztofa Wirtemberskiego. Nie miała nastroju na śpiewanie, ale nie pojawiając się w pałacu Kolobanów, uraziłaby jedyne go człowieka, który potraktował ją w tym mieście przyjaźnie. Jeśli zrezygnowałaby z tego występu, groziłaby jej jeszcze większa melancholia, a może nawet nie byłaby zdolna wypełniać swoich obowiązków. Do tej pory takie stany ducha zwalczała dzięki żelaznej dyscyplinie i teraz też nie mogło być inaczej. Musiała stawić czoła światu, nieważne, co działo się w jej duszy.

Giulia spojrzała po sobie i uznała, że nie musi się przebierać. Mimo przechadzki spodnie i kaftan były czyste. Postanowiła więc, że od razu uda się do pałacu Kolobanów. Po drodze mijala katedrę Świętego Stefana i nogi same zaprowadziły ją do środka. Tego dnia nie patrzyła na wysokie kolumny ani na kunsztowne okna z kolorowego szkła. Uklękła przy jednym z bocznych ołtarzy, poświęconemu Przenajświętszej Paniencie, i zmówiła cichą modlitwę. Ponieważ o tej porze nie odbywało się nabożeństwo, w świątyni znajdowała się zaledwie garstka osób, które przyszły, żeby modlić się o pomoc do różnych świętych. Nikt nikomu nie przeszkadzał, nawet mnich, który wymieniał na ołtarzach wypalone świece na nowe. Skończywszy, zgiął kolana przed głównym ołtarzem i opuścił katedrę jak cień, który rozplywa się w nicości.

Gdy zegar na wieży wybił pełną godzinę, Giulia wstała i wrzuciła kilka monet do kościelnej skarbonki na ofiary. Przynęła przy tym Przenajświętszej Paniencie, że zapali dla niej trzy szczególnie piękne świece, jeśli Beppo wyzdrowieje. Po spokoju, jaki panował w domu Bożym, hałas uliczny przetoczył się po niej falą i rozdrażnił jej napięte nerwy, chociaż w Wiedniu i tak nie było aż tak głośno jak na ulicach Rzymu. Mimo to Giulia miała wrażenie, że nigdy nie zdoła przyzwyczać się do tutejszych ludzi.

Trudno było przeoczyć pałac Kolobanów przy Sonnenfelsgasse. Został zbudowany całkiem niedawno we włoskim stylu. Giulia na jego widok odniosła wrażenie, że oto pozdrawia ją ojczyzna. Powstrzymała łzy, które zaczęły cisnąć się jej do oczu, i z mocno bijącym sercem podeszła do potężnego portalu, ozdobionego dwiema głowami lwów z brązu. Dwaj strażnicy przed bramą najwidoczniej się jej spodziewali, bo od razu wezwali lokaja. Ten skłonił się lekko i przytrzymał jej drzwi.

W holu podszedł do niej inny służący.

– Kogo mam zaanonsować jaśnie państwu?

Giulia poczuła zdenerwowanie jak żrebak, który po raz pierwszy czuje na grzbiecie siodło.

– Jestem śpiewakiem, zwą mnie Casamonte – powiedziała. – Przyszedłem na zaproszenie księcia Krzysztofa Wirtemberskiego.

Lokaj najwidoczniej czekał na taką właśnie odpowiedź, bo z zadowoleniem skinął głową. Poprosił ją uprzejmie, żeby poszła za nim, i szerokimi schodami z marmuru poprowadził ją na wyższą kondygnację, gdzie w dużym salonie z wieloma obrazami na ścianach zebrała się już spora grupa ludzi. Ku uldze Giulii dostrzegła w gronie gości księcia. Gdy służący zaanonsował jej przyjście, Krzysztof Wirtemberski natychmiast do niej podszedł i uśmiechnął się życzliwie.

– Witajcie, Casamonte. Cieszę się, że przyszliście. Moi przyjaciele nie mogą się już doczekać, kiedy was usłyszą.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił ją za ramię i zaprowadził do grupy kobiet i mężczyzn, którzy – sądząc po śmiechach – pogrążeni byli w ożywionej rozmowie.

– Przyjaciele, oto obiecany słowiczy głos. Pozwólcie, że wam przedstawię pana Casamontego z Rzymu. – Książę odpowiedział zamiast Giulii na kilka żartobliwych uwag i przedstawił jej gości.

Giulia kłaniała się przed hrabinami i baronami, których nazwiska brzmiały dla niej obco.

Najbardziej zdziwiła ją obecność tak wielu dam. We Włoszech zwyczajem było, że na tego typu uroczystościach obecne bywają tylko panie z domu wydającego przyjęcie, ich kuzynki i kilka starszych niewiast. Niemcy najwidoczniej nie boją się aż tak bardzo o honor swoich kobiet. Potem pomyślała o Paolu Gonzadze, który nie miał problemu ze znalezieniem chętnego łupu mimo trzymania włoskich piękności w odosobnieniu. Może lepiej jest pozwolić kobietom brać udział w wydarzeniach towarzyskich, bo gdy są zanadto chronione, tym łatwiej mogą paść ofiarą bezwzględnych drani?

– To nasz gospodarz, hrabia Koloban.

Krzysztof Wirtemberski wskazał mężczyznę w średnim wieku o miłej powierzchowności, który miał na sobie zielone spodnie i szkarłatny kaftan o żółtej podszewce. Najbardziej zdziwił Giulię jednak wielki srebrny krucyfiks na jego piersi. Takie dzieła sztuki wykonywali głównie złotnicy w Rzymie lub innych miejscowościach będących celami pielgrzymek. Czyżby hrabia Koloban był wierzącym katolikiem? Niemożliwe, bo czy wówczas pozostawałby w tak przyjaznych relacjach z heretykiem z Wirtembergii?

Nie miała jednak czasu na dalsze rozważania, bo podeszła do niej żona hrabiego i podała jej dłoń do pocałunku. Była wyższa od Giulii o pół głowy, ale bardzo kobieca i atrakcyjna dzięki ładnej twarzy i rudawym włosom.

– Cieszę się, że was widzę pod naszym dachem, Casamonte. Od kiedy jesteście w Wiedniu, potrafię należycie docenić łaskę Jej Cesarskiej Mości, że pozwala mi być obecną podczas jej wieczornych nabożeństw.

Skoro Maria Hiszpańska przyznała hrabinie Koloban przywilej uczestniczenia wraz z nią w nieszporach, to ta musiała być katoliczką. Giulia postanowiła, że nie będzie się niczemu dziwić, lecz spróbuje podczas występu zapomnieć o osobistych problemach.

– To dla mnie zaszczyt, że mogę być tutaj – odpowiedziała i skłoniła się elegancko przed hrabiną.

Pani Koloban dała znak służącemu, żeby podał wino. Giulia wypiła łyk i stwierdziła, że goście patrzą na nią wzrokiem pełnym wyczekiwania. Ponieważ nie było żadnych muzyków, musiała śpiewać bez akompaniamentu. Była do tego przyzwyczajona, chociaż wolała wykonywać pieśni przy muzyce. Podczas prywatnych występów najczęściej śpiewała *a cappella*. Zapytała panią domu, od czego ma zacząć.

Hrabina roześmiała się dźwięcznie.

– Jesteście zbyt uprzejmi, Casamonte. Nie znam waszego repertuaru. Nigdy nie byłam w Italii i dlatego nie miałam przyjemności słuchać świeckich pieśni w waszym wykonaniu.

– Co za arogancja! Ten kastrat sądzi, że każdy wie, co potrafi zaśpiewać. – Te obelżywe słowa zepsuły panującą tu pogodną atmosferę wypełnioną życzliwym śmiechem.

Giulia się odwróciła i zobaczyła hrabiego Falkensteina, który energicznym krokiem podszedł do hrabiego Kolobana. Blade oczy szambelana błyszczały od nienawiści. Wskazując palcem na Giulię, zapytał ostro gospodarza, czy ma traktować obecność tego rzezańca za osobisty afront.

Krzysztof Wirtemberski podszedł do Falkensteina i odprowadził go na bok.

– To ja chciałem posłuchać, jak śpiewa kastrat. A więc uspokójcie się i przeproście za wasze nieprzemyślane słowa.

Falkenstein popatrzył na księcia spojrzeniem, które wyraźnie wskazywało, że dworzanin cesarza czuje się osobą ważniejszą od samego niemieckiego księcia.

– Przeprosić to mogę, ale Boga Najwyższego, poza tym przed nikim nie będę się kajał.

Jedna z dam stojących w pobliżu Giulii zadrwiła:

– Przeprosi Boga, ale tylko wtedy, jak będzie miał dobry nastrój, a na to nie ma co liczyć.

Miny innych gości też wskazywały, że hrabia Falkenstein nie jest szczególnie lubiany. Giulia odetchnęła z ulgą, chociaż obraza paliła ją w duszy jak kwas. Gdy uważny służący podał szambelanowi pełen kielich wina, wydała z siebie ton, którego ofiarą padło już niejedno szklane naczynie. Także kielich Falkensteina nie wytrzymał i pękł mu w ręce.

W pierwszej chwili goście osłupieli, potem kilka dam cicho zachichotało, a gospodyni spojrzała z wdzięcznością na Giulie.

– To była imponująca próba waszych umiejętności, Casamonte. Słyszałam o tym, że ludzki głos jest w stanie rozbijać szkło, ale uważałam to za bajkę. Przekonaliście mnie, że to jednak prawda.

Falkenstein chciał zrobić awanturę, ale Wirtemberczyk przytrzymał go żelaznym chwytem.

– Jesteście tu gościem, a więc zachowujcie się stosownie albo się już pożegnajcie.

Szambelan zazgrzytał zębami, gwałtownym ruchem odtrącił rękę księcia i bez słowa opuścił salę.

Hrabia Koloban popatrzył w ślad za nim i wzruszył ramionami.

– Musiałem go zaprosić ze względu na jego rangę. Ale przyznaję, że wolę, jak odchodzi, niż jak przychodzi. Wybaczcie, proszę, ten nieprzyjemny incydent i bawcie się dobrze. Życie i tak dostarcza wielu zmartwień.

Kilkoro gości roześmiało się wymuszenie, a potem wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Giulia widziała jednak, że incydent mocno ich poruszył. Pewien mężczyzna w gustownym, ale dość skromnym ubraniu podszedł do księcia i zwrócił się do niego z troską na twarzy:

– Jeśli nie dojdzie do porozumienia między wyznawcami różnych religii, to będzie wina ludzi takich jak Falkenstein.

Gospodyni podeszła w tym momencie do Giulii i poprosiła ją o zaśpiewanie, aby goście przestali już myśleć o nieprzyjemnych rzeczach.

Giulia zaczęła od żartobliwego francuskiego chasonu. Podczas pierwszych taktów czuła brak Vincenza i jego lutni. Zawsze wykonywali tę pieśń razem. Ale jej towarzysz od kilku dni się nie pojawiał. Było jej przykro, bo za nim tęskniła. Ale i tak jej głos oczarował słuchaczy.

Odsunęła na bok niemiłe myśli i skoncentrowała się na śpiewie. Nie od razu jej się to udało, ale w niczym nie zaszkodziło to jej wykonaniu. Ludzie bili brawo i głośno wyrażali zachwyt. Gdy na specjalne życzenie hrabiny Koloban zaśpiewała chrześcijański chorał, goście nie posiadali się z zachwytem.

Krzysztof Wirtemberski podszedł do niej i uścisnął jej rękę.

– Cudownie, Casamonte. Jeśli kiedyś zaprzestaniecie służyć papieżowi, przyjedźcie do mnie, do Stuttgartu. Zawsze będziecie u mnie mile widziani.

– Wasze zaproszenie to dla mnie zaszczyt, ale...

– Macie obiekcje, bo jesteście katolikiem, a ja luteraninem? Jestem pewny, że to rozróżnienie wkrótce nie będzie się liczyć. Sobór w Trydencie podjął dekrety, które wprawdzie nie prowadzą do ponownego zjednoczenia obu wyznań, ale przynajmniej do przyjaznego współistnienia. Papież i cesarz będą musieli dbać o jedność chrześcijaństwa, ponieważ mają wspólnego wroga, Turków, a jest to potężny i straszny nieprzyjaciel. Musimy się trzymać razem, jeśli nie chcemy, żeby zalały nas armie niewiernych.

Twarz Wirtemberczyka promieniała, gdy wypowiadał te słowa. Giulia wyczuła, że książe jest pełen nadziei, podobnie jak większość osób w tym salonie, w tym hrabia Koloban. Ale widziała, jak

papież obchodzi się z kacerzami w Rzymie, i przez chwilę poczuła taką samą zgrozę jak wtedy na Piazza dei Fiori.

Goście Kolobana podjęli temat soboru. Chwalili przede wszystkim rezygnację z nawracania siłą na katolicyzm tych luteranów, którzy żyją w krajach rządzonych przez katolickich władców, co miało być pierwszym, ale decydującym krokiem do wielkiego pojednania.

Ale nie wszyscy postrzegali sytuację tak optymistycznie. Pewien starszy mężczyzna ze świty władcy pewnego księstwa wykrzywił usta, jakby poczuł żółć na języku.

– Szkoda tylko, że Fryderyk Wittelsbach sprzyja naukom Kalwina. Tym samym osłabia naszą pozycję podczas negocjacji. Katolicycy książęta i biskupi mówią jednym głosem, mianowicie głosem papieża, mimo rywalizacji, jaka między nimi panuje. A my dzielimy reformację, określając się jako zwolennicy Lutera, Zwingliego, Kalwina i innych reformatorów, z których każdy uważa, że zjadł wszystkie mądrości. Przepowiadam wam, że zapłacimy straszną cenę za to rozdarcie.

– Macie skłonności do czarnowidztwa, baronie Schwarzenburg¹. To pewnie przez wasze nazwisko – zażartował Krzysztof Wirtemberski i objął go ramieniem.

Giulia za słabo znała niemiecki i nie orientowała się w polityce, dlatego niewiele zrozumiała z uwag ludzi wokoło. Pojęła jednak, że tacy panowie jak książę z Wirtembergii i hrabia Koloban próbują zasypać przepaść, jaka utworzyła się między Kościołem papieskim a kacerzami. Z całego serca życzyła im sukcesu. Ale pomyślała też o tym, co mówił Giancarlo Piccolomini. Jego słowa wcale nie świadczyły, że papież, a wraz z nim Kościół katolicki, na trwałe pogodzą się z luteranami. Zastanawiała się, czy ma wspomnieć o tym wirtemberskiemu księciu, ale szybko doszła do wniosku, że powinna być lojalna wobec własnej wiary i papieża, a nie wobec obcego człowieka, o którym nie wiedziała nic poza tym, że jest wobec niej życzliwy i ma dobre maniery.

Gdy w zamyśleniu słuchała toczonych wokół rozmów, drzwi się otworzyły i do środka weszli dwaj spóźnieni goście. Giulia z trudem stłumiła w sobie okrzyk ulgi, gdy w jednym z dwóch młodych mężczyzn rozpoznała Vincenza. Nie dostrzegł jej. Wraz ze swoim towarzyszem podszedł do gospodarzy i skłonił się przed nimi.

– Co za niespodzianka, Danilo – powiedział z lekką ironią hrabia, witając się ze swoim młodszym bratem. – Nie oczekiwałem, że cię tu zobaczę. Wczoraj dałeś mi wyraźnie do zrozumienia, jak bardzo się nudzisz, gdy starsi mężczyźni rozmawiają o religii i polityce.

Danilo Koloban uśmiechnął się szeroko.

– Chciałbym przedstawić ci mojego przyjaciela, Ladislausie. Oto Vincenzo de la Torre. Razem studiowaliśmy na uniwersytecie w Padwie. Spotkałem go dzisiaj przypadkiem na mieście i przyprowadziłem.

Wyglądał przy tym jak młody pies, który właśnie aportował kość i czeka na pochwałę.

Twarz hrabiego Kolobana wyrażała nieufność, mimo to przywitał uprzejmie Vincenza.

– A więc to wy jesteście tym szalonym Vincenzem. Mój brat wiele mi o was opowiadał.

Vincenzo popatrzył na przyjaciela morderczym spojrzeniem.

– Gdybyście mogli porozmawiać z innymi ludźmi, którzy mieli przyjemność znać nas w Padwie, dowiedzielibyście się, że wiele psikusów, które mi się przypisuje, uknutych zostało przez Danila.

Młody Koloban zrobił minę, jakby traktował te słowa niczym pochlebstwo, bo zaśmiał się i klepnął przyjaciela po ramieniu.

– Vincenzo, jesteś bezwstydnym zdrajcą.

„Ciekawe, który z nich dwóch był gorszym studentem” – pomyślała Giulia.

Vincenzo opowiedział jej co nieco o swoich studenckich wybrykach, ale znała go tylko jako rozsądnego, rozważnego człowieka, który nie miał w głowie żadnych głupstw. Danilo Koloban natomiast wyglądał tak, jakby ciągle jeszcze garściami korzystał z życia.

Hrabia Koloban westchnął, co potwierdziło wrażenie Giulii. Nie zwracał już więcej uwagi na brata, tylko z powrotem zwrócił się do Vincenza.

– Żałuję, że mój brat dopiero teraz przyprowadził was do mojego domu. Przegapiliście właśnie występ najwyższej kategorii. Naszym gościem jest słynny śpiewak Casamonte.

– Giulio jest tutaj?

Vincenzo obrócił się i popatrzył na Giulie, jakby nie mógł pojąć, jak to się stało, że ją tu widzi.

Zdziwiony hrabia uniósł brwi.

– Znacie się?

– Od kilku lat podróżujemy razem. – Vincenzo zaśmiał się pogodnie. Zdawał się nie przejmować tym, że bliska znajomość z kastratem może przynieść uszczerbek jego renomie.

– W takim razie jesteście szczęśliwsi od nas, bo my będziemy mogli słuchać głosu Casamontego tylko przez krótki czas. – Na twarzy hrabiny Koloban pojawił się przelotny smutny uśmiech, następnie wyprostowała się i poprosiła gości do stołu.

Vincenzo podszedł do Giulii.

– Jak tu trafiłeś?

– Zaprosił mnie ksiązę wirtemberski.

– Przywódca kacerzy? – Vincenzo przestraszył się nie na żarty. – Uważaj, Giulio. Jeśli czarnosukienkowy się o tym dowie, będziesz miał kłopoty.

– Kto? – Giulia nie zrozumiała w pierwszej chwili, kogo Vincenzo ma na myśli.

– No jak to kto? Piccolomini oczywiście. Przecież przyjechał do Wiednia, żeby wypłenić tu kacerstwo ogniem i mieczem. Gdyby mógł robić, co chce, już jutro płonęłyby tu setki stosów.

Giulia chciała go poinformować, że ksiązę z Wirtembergii i jego przyjaciele zupełnie inaczej oceniają sytuację, ale wtedy głos zabrał Danilo Koloban.

– Drogi bracie, na pewno nie masz nic przeciwko temu, że zaprosiłem do nas Vincenza. Mieszka teraz w Hofburgu, ale ponieważ w tym momencie zatrzymało się tam dużo osób, dostał wyjątkowo nędzną kwaterę.

– Twoi goście są moimi gośćmi, mój drogi Danilo. – Po minie hrabiego nie można się było zorientować, czy jest zadowolony, czy nie.

Vincenzo odprowadził Giulie trochę na bok.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tu zamieszkam. Zachowałeś się tak, jakbym chciał, byś mi wystawił tyłek. Doszedłem więc do wniosku, że poszukam sobie innego lokum.

Jego agresywny ton zszokował Giulie. Spojrzała na niego i pomyślała, że to może być koniec ich przyjaźni. Po blasku w jego oczach i zapachu wina zorientowała się, że jest wstawiony. Z powrotem wstąpiła w nią nadzieja. Może wcale nie myśli tego, co powiedział. Jednocześnie poczuła się fatalnie, bo nie mogła mu wyjawić, dlaczego nie chciała dzielić z nim pokoju. Najchętniej wzięłaby Vincenza za rękę i wyjaśniła mu, jak bardzo jest jej przykro. Ale nie miała śmiałości, bo nie wiedziała, jak w takim stanie zareaguje na jej słowa. A więc ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

– Jak uważasz.

Miała nadzieję, że zabrzmiało to dość chłodno. Chciała ukryć przed nim, jak bardzo męczy ją

zaistniała sytuacja. Zdziwiła się, że usłyszawszy te słowa, nagle tak zbladł na twarzy.

Giulia nie miała pojęcia, jak intensywnie zaprzęta myśli Vincenza. Młody szlachcic czuł, że kastrat pociąga go bardziej niż jakikolwiek inny człowiek do tej pory, bardziej niż jakakolwiek kobieta. Ciągłe sobie powtarzał, że to nienaturalne, że popełnia grzech, pragnąc dotyku rzezańca. Ale nie potrafił stłumić w sobie tej żądz. W ciągu ostatnich dni próbował zapomnieć o Giuliu, zabawiając się z prostytutkami oferującymi swe usługi przy Szkockiej Bramie. Ale gdy szedł z którąś z nich do łóżka, widział przed sobą tylko Giulia. Ledwo dawał radę doprowadzić stosunek miłosny do końca. Miał wrażenie, że znajomość z kastratem zepsuła mu przyjemność intymnego współżycia z kobietami. Nienawidził go za to, a jednocześnie najchętniej błagałby go o przychyłność. Ale jak miał to zrobić, skoro kastrat trzymał go na dystans i traktował chłodno jak góra lodowa, będąc równie niedotykalnym co pogańska westalka.

Ponieważ targany sprzecznymi uczuciami Vincenzo się nie odzywał, Giulia odwróciła się do niego plecami i rozejrzała za księciem z Wirtembergii. Ten siedział niedaleko przy stole. Gdy zobaczył, że kastrat na niego patrzy, uniósł pytająco brwi.

– Wyglądacie, jakby coś leżało wam na sercu, Casamonte.

– Nie chcę was zanudzać moimi problemami – powiedziała Giulia z lekkim wahaniem. – Ale wydaje mi się, że hrabia Falkenstein jest waszym przyjacielem.

– Przyjaciół to raczej przesadne określenie... – Książę zawiesił na moment głos, jakby szukał odpowiednich słów, po czym mówił dalej: – No cóż, powiedziałbym raczej, że całkiem dobrze się dogadujemy. Dlaczego pytacie?

– Moja kwatera w Hofburgu nie jest szczególnie przyjemna. Wręcz przeciwnie, jest okropna. Mój służący rozchorował się w podróży i teraz leży w zimnej i mokrej izbie. Czy moglibyście wpłynąć na hrabiego Falkensteina, żeby przydzielił mnie i moim służącym lepszą kwaterę?

Hrabia Koloban natychmiast zaoferował jej swoją gościnę.

– Moje zaproszenie dla Vincenza de la Torre rozciąga się oczywiście na was i na waszych służących.

Krzysztof Wirtemberski pokręcił głową.

– Z poszanowaniem dla waszej propozycji, ale to niemożliwe. Casamonte jest na służbie u papieża i podlega Piccolominiemu. Bez jego zgody nie może opuszczać Hofburga.

– Ale pan de la Torre – wtrącił hrabia Koloban – nie znajduje się na swoje szczęście pod kuratelą papieskiego ambasadora.

Książę w geście ubolewania uniósł ręce i próbował pocieszyć Giulie.

– Porozmawiam z Falkensteinem, żeby przydzielił wam lepszą kwaterę.

– Wasza Wysokość jest dla mnie zbyt łaskawa.

Giulia skłoniła głowę i poczuła się nieco lepiej. Przyjemnie było mieć wokół siebie przyjaznych ludzi. Podczas posiłku kilka razy spojrzała w kierunku Vincenza, ale on uparcie ją ignorował i rozmawiał z Danilem Kolobanem o przyjemnościach, którym można się oddawać w Wiedniu.

Giulia wróciła do Hofburga dopiero późnym wieczorem. Chociaż złe słowa Vincenza mocno ją bolały, czuła się lepiej niż w ciągu ostatnich dni. Zadowolenie ulotniło się jednak szybko, bo na korytarzu przechwycił ją służący i oświadczył zarozumiale, że *monsignore* Piccolomini wzywa ją pilnie do siebie. Początkowo Giulia się zezłościła, bo papieski poseł znów dał jej w ten sposób do zrozumienia, że nie jest dla niego niczym więcej niż lokajem, którego można według uznania wzywać tu i tam. W poczuciu właśnie osiągniętego sukcesu postanowiła okazać Piccolominiemu swoje niezadowolenie, ale gdy znalazła się w jego komnacie, zobaczyła jego gniewną twarz i wzrok skierowany prosto na nią, poczuła się onieśmielona.

– Gdzie byliście, Casamonte? Nie wstydzicie się tak zaniedbywać obowiązków? Jej Cesarska Mość daremnie czekała na was podczas niesporów.

Giulia na śmierć zapomniała o niesporach i cesarzowej. Skruszona opuściła głowę.

– Byłem na mieście, Wasza Eminencjo, i szukałem lekarza. Mój służący jest chory.

Miała nadzieję, że Piccolomini nie przejrzy jej kłamstwa, ale przecież nie mogła mu wprost powiedzieć, że śpiewała w pałacu Kolobanów.

Na jej szczęście poseł nie interesował się powodem jej nieobecności.

– Macie śpiewać podczas mszy porannej i wieczornej, choćby nie wiem co się działo. To wasz święty obowiązek. A teraz idźcie i dopilnujcie, żebym nie słyszał na was żadnych skarg, rozumiecie?

– Podkreślił swoje słowa pełnym oburzenia gestem wskazującym, że zezwala Giulii odejść.

Była tak rada, mogąc opuścić jego komnatę, że prawie zapomniała się przed nim ukłonić. Dostrzegł jej zmieszanie i prychnął gniewnie. Po spotkaniu z nim niemal cieszyła się z powrotu do swej wilgotnej i śmierdzącej stęchłą kwatery, w której zabarykadowała za sobą drzwi.

Dzięki temu, że Assumpta łatwo się budziła, Giulia bez problemu stawiała się następnego ranka punktualnie na mszy porannej. Tym razem Maksymilian II kazał odprawić mszę po łacinie. Giulia błyszczała jako solista i udobruchała zarówno cesarzową Marię, jak i Giancarla Piccolominiego. Resztę dnia spędziła sama jak palec, ponieważ Assumpta nie odstępowała złożonego chorobą Beppa. Późnym popołudniem do Giulii przyszedł wyraźnie rozgniewany lokaj i mrukliwym tonem kazał jej, żeby przeszła wraz z nim do nowej kwatery. Dwaj apatyczni pacholki, których przyprowadził, wzięli podróżną skrzynię Giulii i ruszyli za nimi dwojgiem, dźwigając ciężar.

Podwładny Falkensteina poprowadził Giulie wieloma korytarzami do części Hofburga określanej jako Skrzydło Szwajcarskie, która została zbudowana w stylu włoskim zaledwie kilka lat wcześniej, za panowania cesarza Ferdynanda. Za ciężkimi, bogato zdobionymi drzwiami znajdowała się komnata równie przestronna, co pokój papieskiego posła, z którym Giulia miała teraz mieszkać prawie po sąsiedzku. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego uczucia, które opanowało ją na tę myśl, i uradowana obróciła się ku dużemu murowanemu kominkowi w ścianie na wprost, gdzie płonął niewielki ogień.

Przy ścianie na prawo stało rzeźbione łóżko, na którym piętrzyły się puchate pierzyny i na którego toczonych kolumnach wspierał się drewniany baldachim. Przy lewej ścianie stał stół z czterema krzesłami, dwie duże skrzynie na ubrania i parawan przesłaniający kącik do mycia. Na ścianach

namalowane były sceny z Biblii, które zdradzały, że pomieszczenie zazwyczaj służy jako kwatera dla duchownych.

Lokaj wskazał jej wąskie drzwi przy lewej ścianie.

– Tam znajduje się mniejszy pokój dla waszych służących. Słyszałem, że wasz służący jest chory. Mam nadzieję, że nie jest to zaraźliwe, bo w przeciwnym razie będzie musiał opuścić Hofburg i zostanie umieszczony w hospicjum.

Giulia postanowiła zignorować bezczelny ton mężczyzny.

– To nie zaraza. Beppo mocno się przeziębił i jest leczony przez medyka. Nie zdoła pokonać drogi tutaj na własnych nogach.

– Ci dwaj pachołkowie się nim zajmą. – Głos lokaja ani na jotę nie stał się uprzejmiejszy.

Giulia domyśliła się, że Falkenstein zdecydował o jej przekwaterowaniu wbrew własnej woli i wyładował swój gniew z tego powodu na podwładnych. Ponieważ ten lokaj również był ofiarą złego humoru swego pana, wyjęła z kieszeni dwa talary i mu je podała. Obaj parobcy dostali jako napiwek po trzy grajcarey.

Miny pachołków natychmiast się rozpozodziły, lokaj natomiast nie do końca wiedział, czy ma być teraz wdzięczny, czy nadal chmurny. Zdecydował się na lekki ukłon i odszedł. Giulia poprosiła pachołków, żeby przenieśli Beppa do nowej kwatery. Zerknęła krótko do pomieszczenia dla służby, do którego wpadało nieco ciepła dzięki kominkowi w dużej komnacie. Postanowiła, że odda choremu swój pokój. Gdy ogień z kominka porządnie go nagrzej, Beppo może z powrotem wróci do zdrowia.

Pachołkowie przynieśli chorego. Za nimi przysła całkiem odchodząca od zmysłów Assumpta. Zalewała obu mężczyzn potokiem włoskich słów i przekleństw, których na szczęście nie rozumieli. Najwidoczniej sądziła, że jej męża z powodu choroby chcą usunąć z Hofburga. Gdy zobaczyła Giulie, podbiegła do niej, załamując ręce.

– Co się stanie z Beppem? Nie możesz dopuścić, żeby wyrzucono go na ulicę!

Giulii zrobiło się przykro, że była taka nieprzewidująca. Powinna była pójść do Assumpty razem z pachołkami i wyjaśnić, co się dzieje, służąca bowiem nie знаła ani słowa po niemiecku.

– Nie bój się, wszystko w porządku. Wreszcie przyznano nam lepsze pokoje.

Twarz Assumpty natychmiast się rozpozodziła.

– Już dawno powinni. Nora, w której musieliśmy mieszkać, jest niegodna pałacu takiego wielkiego pana jak cesarz Maksymilian.

Uznała, że wszystko już zostało wyjaśnione, i chciała kazać pachołkom, by wnieśli Beppa do pokoju dla służby.

Giulia ją powstrzymała.

– Nie, moja droga. Ja tam będę spała. Ta komnata jest dla ciebie i Beppa. Jeszcze tylko powiem pachołkom, żeby porządnie napalili w kominku.

Ponieważ poparła swą prośbę dwoma lśnącymi talarami, pachołkowie okazali się bardzo uczynni i szybko w kominku zapłonął wesoły ogień.

Assumpta się rozpromieniła.

– Tu, w tym ciepłym pokoju, Beppo na pewno szybko poczuje się lepiej.

Gdy układała męża wygodnie w łóżku, Giulia grzała sobie zeszywniałe z chłodu dłonie przy kominku, ale szybko musiała się oderwać od tego przyjemnego zajęcia, bo jeden z dwóch pachołków pomagających przy przeprowadzce wprowadził lekarza. Nawet jeśli Filibert Scharrnagl zdziwił się

na widok nowego pokoju, to nie okazał tego po sobie. Przywitał się uprzejmie i natychmiast podszedł do łóżka, żeby zająć się chorym.

Giulia dała pomocnemu pachołkowi jeszcze jedną monetę, po czym zajęła się tłumaczeniem słów lekarza, bo Assumpta chciała dokładnie wiedzieć, co on mówi.

– Powiedz doktorowi, że Beppo tu, w cieple, na pewno wyzdrowieje – zażądała.

Gdy Giulia przetłumaczyła lekarzowi słowa Assumpty, ten pokiwał głową.

– Też mam taką nadzieję. Płuca chorego nie zostały jeszcze mocno zaatakowane. Jeśli nie nastąpi nawrót choroby i Matka Boska pomoże, będzie mógł opuścić Wiedeń zdrowy i wesoły. Ale koniecznie musi nadal leżeć w łóżku i potrzebuje lekkiej, ale pożywnej strawy.

Assumpta skubnęła Giulie za rękaw.

– Co powiedział?

– Mamy podawać Beppowi dobre jedzenie i modlić się do Przenajświętszej Panienki. Wiesz co? Dam ci pieniądze. Pójdiesz do katedry Świętego Stefana, wrzucisz je do skarbonki i poprosisz Przenajświętszą Panią o łaskę dla niego.

Służąca pokręciła energicznie głową.

– Proszę, dziecko, zrób to za mnie. Muszę czuwać przy Beppie.

Giulia skinęła ze zrozumieniem głową i odprowadziła lekarza na zewnątrz Hofburga.

– Powiedzcie, czy nie znalazłoby się jakieś silniejsze lekarstwo dla mojego służącego? Po waszej twarzy zorientowałam się, że wcale nie jesteście przekonani, iż Beppo wkrótce wyzdrowieje.

Scharrnagl pokręcił z z troskaniem głową.

– To prawda, ale nie mogę zaproponować nic lepszego. Moje możliwości są ograniczone.

– Może jakiś inny lekarz w Wiedniu znałby skuteczny środek... – Nim Giulia wypowiedziała te słowa do końca, mocno ich pożałowała, bo nie chciała urazić doktora.

– Oczywiście możecie wezwać innego lekarza, ale nie sądzę, żeby zdołał wam pomóc. – Scharrnagl skrzywił się z obrzydzeniem i rozejrzył, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Od tych konowałów możecie dostać jedynie proszek z ropuszych oczu i kurze łajno, okłady na piersi z dziewiczych sików i maści z tłuszczu powieszonych złoczyńców. To nie są lekarstwa, które mogłyby postawić chorego na nogi. Ale ci *doctores* nie znają niczego innego. Jako dziecko zostałem uprowadzony przez Turków i ponad dwadzieścia lat życia spędziłem jako niewolnik lekarza nadwornego Selima Paszy. Nauczyłem się tam więcej, niż tutejsi lekarze mogą sobie wyobrazić. Przed siedmioma laty zostałem uwolniony podczas ataku cesarskich oddziałów i od tego czasu praktykuję medycynę w Wiedniu. Początkowo mogłem wykonywać zabiegi tylko jako cyrulik, ale szybko stałem się na tyle znany, że władze pozwoliły mi występować jako lekarz. Uczyniły to dość niechętnie, a moi koledzy, o ile można ich tak nazwać, ciągle jeszcze intrygują przeciwko mnie. Moi pacjenci mi jednak ufają i tylko to się dla mnie liczy.

Scharrnagl zrobił przy tym minę, jakby powiedział już zbyt wiele.

Przejęta Giulia spuściła głowę.

– Bardzo mi przykro... że byliście niewolnikiem.

Scharrnagl wzruszył ramionami.

– Była to najlepsza rzecz, jaka mi się mogła przytrafić. U Turków nauczyłem się, że medycyna nie ma nic wspólnego z zabobonem, ale jest sztuką, którą trzeba opanować od podstaw, podobnie zresztą jest w przypadku innych zawodów. Ale zatrzymajcie dla siebie to, co wam powiedziałem. Źle by się dla mnie skończyło, gdyby to się rozniosło. A teraz zostańcie z Bogiem.

Oddalił się pospiesznie zamaszystym krokiem. W zamyśleniu szła za nim. Wieże katedry Świętego Stefana z daleka wskazywały jej drogę. O tej porze w świątyni była tylko garstka wiernych, więc bez przeszkód mogła pogрузić się w modlitwie i tym samym osiągnąć wewnętrzny spokój. Potem położyła kilka grubszych monet w misie przeznaczonej na ofiary i uśmiechnęła się do mnicha, który czuwał obok, żeby niepowołane ręce nie sięgnęły po datki, a następnie opuściła dom Boży.

Vincenzo czuł się nieswojo, chociaż rzadko kiedy wiodło mu się tak dobrze jak teraz. Hrabia Koloban okazywał mu wspaniałomyślną gościnność, a przyjaciel Danilo dostarczał mu rozrywek, ciągnąc z jednego miejsca uciech do drugiego. Ale im bardziej Vincenzo szukał zabawy, tym mocniej dręczyły go wyrzuty sumienia. Chciał pójść do Giulia, by błagać go o wybaczenie za nieprzemyślane słowa, ale powstrzymywała go przed tym obawa, że kastrat przyjmie go chłodno. A na dodatek wolał uniknąć przypadkowego spotkania z hrabią Falkensteinem, który ostatnio szydził z niego i oskarżył go o uprawianie sodomii z Giuliem.

Niewiele wtedy brakowało, a Vincenzo wbiłby szpadę w brzuszysko tego mężczyzny. Falkensteina uratowało pojawienie się cesarza i to, że kilku dworzan powstrzymało Vincenza. Ale od tego czasu młody szlachcic czuł wielkie rozgoryczenie. Obelga tkwiła mu zadrą w duszy i nie dawała spokoju. Był pewien, że Falkenstein oczernia go publicznie, pomawiając o sodomię. Gdy spotykał dworaków poza Hofburgiem, ci patrzyli na niego z ironicznymi uśmieszkami. Najwidoczniej uwierzyli w oszczercze plotki Falkensteina.

Na szczęście Danilo dostrzegł, że Vincenzo nosi w sobie zapiekły gniew i nie może nad nim zapanować, gdy widzi Falkensteina lub kogoś z jego znajomych. Kiedyś nawet chciał wyciągnąć broń na ulicy i ruszyć na hrabiego towarzyszącego konno przejazdowi cesarskiego powozu. Danilo zdążył w porę zareagować, chwycił Vincenza mocno za prawicę i używając siły, zaciągnął go w boczną uliczkę. Musiał przycisnąć go do ściany, żeby sobie z nim poradzić.

– Do diabła, Vincenzo, czyś ty całkiem zwariował? – Wskazał brodą na prześwit między dwoma domami, przez który widać było przejeżdżającą cesarską gwardię. – Nie możesz w obecności cesarza wyciągać broni. Maksymilian ma nazbyt wielu wrogów. Jego straż przyboczna posieka na kawałki każdego, kto wykona fałszywy ruch.

Vincenzo pieniał się ze złości.

– Zabiję tego Falkensteina! Nie widziałeś, jak bezczelnie na mnie patrzył? Brakuje tylko, żeby wytknął mnie palcem i publicznie nazwał sodomitą.

– Trudno będzie go zabić, skoro nie chce dać ci satysfakcji. Jeśli rozplatasz go tak po prostu na ulicy, zostaniesz skrócony o głowę.

– Ten człowiek jest nędznym tchórzem – wysyczał Vincenzo, zaciskając zęby.

Danilo chłodno skinął głową.

– Też uważam go za mięczaka. Ale cieszy się łaskawością cesarza i w razie zagrożenia będzie szukał u niego ochrony. Jeśli chcesz dać mu nauczkę, musisz wymyślić coś innego.

– Już znajdę sposób, żeby się zemścić. – Vincenzo zrobił głęboki wdech, odepchnął od siebie Danila i strzepnął kurz z kaftana. – Falkenstein pożałuje, że ze mną zadarł, przysięgam ci!

Danilo skinął głową i dyskretnie zaprowadził rozdygotanego z gniewu towarzysza do pałacu swego brata. Tam kazał osiodłać dwa konie i namówił Vincenza na wycieczkę do położonej na północny zachód od Wiednia wsi Grinzing. Przyjaciel zgodził się i jechał za nim potulnie jak piesek. Danilo miał nadzieję, że serwowane w tamtejszej gospodzie perliste wino poprawi Vincenzowi nastrój. Ale tak się nie stało. Podczas jazdy powrotnej do miasta Danilo rozpaczliwie się

zastanawiał, jak mu pomóc. Wtem znaleźli się w tłumie ludzi zmierzających na wieczorną mszę do katedry Świętego Stefana. Stanęli w miejscu i nie mogli ruszyć.

Danilo rozglądał się niecierpliwie, chcąc znaleźć jakąś lukę w ciżbie, aby konie dały radę przejechać, nie trając ludzi. Nagle z zaskoczenia uniósł się w siodle, bo wypatrzył osobę, której się tu nie spodziewał. Natychmiast dał kuksańca Vincenzowi i zwrócił mu uwagę na damę z modlitewnikiem w dłoni. Miała na sobie szeroki płaszcz, który prawie całkowicie krył jej postać, i towarzyszyła jej tęga służąca. Nagle wiatr zadarł kaptur i odsłonił śliczną, ale dość spiętą twarz młodej arystokratki.

– A niech mnie wszyscy diabli! Ta dama to żona Falkensteina, pani Rodegarda. Gdyby ten arcykacierz wiedział, że jego ślubna zakrada się na mszę celebrowaną przez rzymskich klechów, to z wściekłości dostałby chyba apopleksji.

Vincenzo przyjrzał się kobiecie. Uznał, że przyszła na mszę nie tyle z pobudek religijnych, co sprowadziła ją tu nuda i przekora małżonki zaniebawanej przez męża. W tym momencie wiedział, jak mógłby zemścić się na Falkensteinie. Uśmiechnął się złośliwie, zsunął z siodła i podał Danilowi cugle.

– Zaprowadź mojego konia do stajni, ja pójdę na mszę.

Danilo uśmiechnął się bez zrozumienia.

– Czyżby twój rejestr grzechów stał się tak długi, że znów musisz się wyspowiadać?

Vincenzo spojrzął po sobie i sprawdził, czy jego odzienie dobrze się prezentuje, wygładził zagnieciony kaftan i zaśmiał się swawolnie.

– Tobie też nie zaszkodziłoby wyznać swe grzechy. Tylko obawiam się, że wielebny, który by cię spowiadał, ze zgrozy by zaniemówił.

– Ej, nie zachowuj się tak, jakbyś był świętoszkiem. To przecież ciebie nazywano szalonym Vincenzem, a nie mnie szalonym Danilem. – Potem przyjrzał się Vincenzowi zmrużonymi oczami. – A niech mnie kule biją! Znowu wyglądasz tak, jakbyś knuł jakiś diabelski spisek.

Vincenzo prychnął śmiechem, ale szybko się opanował.

– Nie gadaj tyle, tylko chodź ze mną, albo zaprowadź konie do stajni.

Danilo zeskoczył na bruk i spojrzął wyzywająco na Vincenza.

– Chyba nie sądzisz, że pozwolę, byś wyciął jakiś numer beze mnie. Ale bądź, proszę, ostrożny, wiedeńscy stróże porządku potrafią być bezwzględni.

– Kto ci powiedział, że chcę z nimi zadzierać? Naprawdę zamierzam jedynie skłonić głowę przed Bogiem i się pomodlić.

– Każdemu innemu bym w to uwierzył, ale nie tobie.

Danilo przywołał ulicznika i kazał mu zaprowadzić konie do pałacu oraz przekazać stajennemu z pozdrowieniami od Danila Kolobana. Chłopak uśmiechnął się szeroko, bo w duchu zobaczył już hojny napiwek. Wyćwiczoną ręką przejął konie. Danilo więcej już na niego nie spojrział, tylko przez Bramę Śpiewaczą wszedł w ślad za Vincenzem do wnętrza katedry. Z początku był mocno rozczarowany, bo jego przyjaciel faktycznie z namaszczeniem słuchał mszy, klęcząc nabożnie. Szybko jednak dostrzegł, że Vincenzo co rusz zerka w kierunku ławek dla kobiet. Danilo domyślił się, że przyjaciel upatrzył sobie hrabinę Falkenstein. Ciekaw był, jak dalej potoczą się sprawy, i czekał cierpliwie.

Do końca mszy nic się nie działo. Gdy Rodegarda von Falkenstein wstała i podeszła do kąpielnicy, uśmiechnięty Vincenzo już tam na nią czekał. Nabrał dłonią wody i jej podał. Z początku

kobieta zrobiła niechętną minę, ale potem przyjrzała mu się bliżej i jej twarz się rozpuściła. Przystojny młody mężczyzna w stroju szlachcica wydał jej się osobą godną uwagi. Przyjęła ofiarowaną jej wodę święconą, dotykając czubkami palców jego dłoni, i odwzajemniła uśmiech.

– Dziękuję wam, mój panie – powiedziała półgłosem, ale Vincenzo dosłyszał zainteresowanie swoją osobą.

– Dziękuję Bogu, że dzięki jego łaskawości dane było mi ujrzeć na oczy tak piękną damę jak wy.

Vincenzo dobrze zdawał sobie sprawę, jak działa na kobiety jego głos. Prawie każda reagowała nań jak na łagodne pieszczoty.

Pani Falkenstein usłyszała obcy akcent i spojrzała z ciekawością.

– Jesteście gościem dworu cesarskiego?

Vincenzo skinął głową, usiłując zachować spokój.

– Tak, pani, ale niestety nie dane mi było was tam zobaczyć. Jakże bardzo bym pragnął jeszcze kiedyś was spotkać, by wam powiedzieć, że nie ma drugiej kobiety o tak cudnej urodzie.

– Nie należę do fraucymeru cesarzowej i rzadko bywam na dworze. Ale możecie mnie jutro spotkać na mszy wieczornej w kościele Świętego Ruprechta.

Uśmiechnęła się do niego obiecująco, lekko zgięła kolana w kierunku ołtarza i wyszła szybko ze świątyni, jakby ją ktoś gonił. Vincenzo poszedł za nią. Zobaczył, jak idzie przez plac Świętego Stefana i znika w bocznej uliczce, a służąca za nią.

Danilo podszedł do niego i klepnął go po ramieniu.

– Vincenzo, jesteś diabłem wcielonym. Jeśli uda ci się zaciągnąć żonę Falkensteina do łóżka, zranisz go bardziej, niż gdybyś wypruł mu szpadą flaki. To dopiero będzie uciecha, mówię ci. Żadnemu mężczyźnie tak mocno nie życzę, żeby został rogaczem, jak temu bezczelnemu bubkowi.

Vincenzo spojrzał na niego ostrzegawczo.

– Do tego jeszcze daleko. A jeśli będziesz o tym rozповідаł, to wyjdą z tego nici. Chcesz, żeby Falkenstein kazał swoim pachołkom obciąć mi najważniejszą część ciała?

– Tę, którą postradał twój przyjaciel Casamonte? – zachichotał Danilo. – Wtedy obaj byście do siebie pasowali.

W ostatnim momencie dostrzegł, że Vincenzo zaciska dłoń w pięść. Ledwo udało mu się odskoczyć, bo postradałby kilka zębów.

Wiadomość o ponownym najeździe Turków na wschodnią granicę sprawiła, że konflikty między katolikami a protestantami chwilowo wygasły. Cesarz Ferdynand, ojciec i poprzednik Maksymiliana II, przed śmiercią zawarł rozejm z osmańskim sułtanem. Ze wschodu dotarły jednak pogłoski, że Sulejman Wspaniały, idąc do raju, obiecał prorokowi Mahometowi dar w postaci „złotego jabłka”, jak Turcy nazywali Wiedeń. Dlatego w Hofburgu panowało poruszenie. Cesarz toczył wielogodzinne narady ze swymi doradcami, kazał pisać dziesiątki listów do wszystkich zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych monarchów i niemieckich książąt, a oprócz protestanckich modłów pozwolił odprawiać także msze według obrządku rzymskiego.

Daniło poprosił brata o ryszturek, bo zamierzał przyłączyć się do oddziałów cesarskich i ruszyć na wojnę. Vincenza kusiło, by pójść w jego ślady. Tymczasem Giulia prawie nie wychodziła z kaplicy dworskiej. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy, począwszy od cesarza i cesarzowej, a skończywszy na ostatnim dworzaninie, wierzą, że cudowny głos kastrata zdoła ubłagać Boga i wszystkich świętych, aby pomogli zagrożonemu chrześcijaństwu. Polecono jej nawet zaśpiewać podczas niedzielnej mszy w katedrze Świętego Stefana, żeby uspokoić wystraszonych wiedeńczyków. Normalnie to zadanie przysługiwało soliście chóru chłopięcego, ale w tym wyjątkowym przypadku kazano mu stanąć z tyłu, wśród swoich kolegów.

Po dwóch tygodniach gorączkowa krzątanina się uspokoiła, ponieważ nadeszła zbawienna wiadomość, że Turcy się wycofali. Pozostawili po sobie dziesiątki spalonych i splądrowanych wsi i zabrali ze sobą kilkuset jeńców. Ci mieli trafić na któryś z orientalnych targów niewolników, chyba że w porę wykupiliby ich krewni lub litościwi ludzie.

We wszystkich kościołach zbierano pieniądze na ten cel. Giulia z dobroci serca oddała broszę wysadzaną perłami, którą podarowała jej cesarzowa. Salezjanie na polecenie cesarza mieli negocjować z tureckim paszą, żeby ocalić jak najwięcej jeńców przed niewolnictwem. Jednocześnie Maksymilian II postanowił osobiście skontrolować umocnienia graniczne i opuścić Wiedeń wraz z trzema tysiącami pieszych żołdaków i kilkoma setkami jeźdźców.

Daniło Koloban uległ powszechnej ekscytacji i przyłączył się do wyprawy. Vincenzo pozostał na miejscu, gdyż uznał, że to zwykła inspekcja granic, bez szans na udział w walce i zyskanie sławy. Nadal cierpliwie zabiegał o względy pani Falkenstein. Urodziwa hrabina zjawiała się na umówionym spotkaniu w kościele Świętego Ruprechta. Ponieważ jej mąż jako szambelan musiał towarzyszyć cesarzowi, Vincenzo miał teraz okazję często się z nią spotykać. Rodegarda pozwalała mu na coraz więcej. Mógł już składać pocałunki na jej rękach i policzkach. Był pewien, że przed powrotem Falkensteina uda mu się dokonać aktu zemsty.

Więcej niż o hrabinie myślał jednak o Giuliu. Ciągłe sprawiało mu ból, że kastrat go odrzucił, chociaż naprawdę chciał tylko dzielić z nim pokój. Odrzucała go myśl o pieszczotach z mężczyzną, nawet jeśli chodziłoby o rzezańca. Głęboko w sercu coś mu jednak mówiło, że jeden miłosny gest Giulia byłby mu bardziej miły niż dziesięć nocy spędzonych na miłosnych igraszkach z Rodegardą von Falkenstein czy jakąkolwiek inną kobietą. Miał świadomość, że to nie z winy Giulia jego uczucia tak zbłądziły. Ale im bardziej za nim tęsknił, tym bardziej pragnął ukarać go za ten odpychający

chłód. Tak więc postanowił, że Giulio stanie się świadkiem jego triumfu nad Falkensteinem.

Giulia myślała o Vincenzu równie często, co on o niej. Ciągłe musiała tłumić w sobie pragnienie, by pójść do pałacu Kolobanów i o niego zapytać. Nie wiedziałyby, co mu powiedzieć. Na dodatek miała jeszcze dodatkowe zmartwienia. Przez kilka dni wszystko wskazywało na to, że będzie musiała wraz z cesarzem ruszyć na wyprawę, a w wojskowym obozowisku trudno by jej było ukryć prawdziwą płęć. Na szczęście energiczny sprzeciw cesarzowej uchronił ją przed wyjazdem. Wprawdzie Maria Hiszpańska traktowała Giulie jak mebel, ale oznajmiła cesarzowi przy wszystkich, że podczas wieczornych nabożeństw nadal chce słuchać anielskiego głosu kastrata. Giulia była jej za to wdzięczna i jeszcze bardziej się starała, żeby ją zadowolić.

Ku zdziwieniu niektórych Piccolomini także pozostał w Wiedniu. Podobno nagła choroba sprawiła, że nie mógł towarzyszyć cesarzowi. Ale jeśli naprawdę niedomagał, to zdaniem Giulii dziwnie szybko doszedł do siebie. Już drugiego dnia po wyjeździe cesarza brał udział w niesporach cesarzowej, a potem poprosił o pilną rozmowę, na którą władczyni wyraziła zgodę. Ponieważ nie odesłali Giulii, usłyszała co nieco z tego, co półszepem mówili, chociaż stała w pewnej odległości od nich.

Papieski poseł natarczywie zażądał, aby cesarzowa podporządkowała się Kościołowi katolickiemu oraz miała cierpliwość dla błędzącego małżonka.

– Bóg sprowadzi cesarza na właściwą ścieżkę – Giulia usłyszała jego głos. – Ufajcie w Boską potęgę, Wasza Cesarska Mość, i myślcie o swoim synu Rudolffie, który na dworze waszego brata wychowywany jest w prawdziwej wierze.

Na myśl o synu na twarzy cesarzowej pojawił się promienny blask.

– Wiem, że mój syn jest wiernym sługą jedyne i prawdziwego Kościoła. O niego się nie martwię, ale tym bardziej trosk przysparza mi jego ojciec. Póki w otoczeniu mojego małżonka znajdują się tacy arcykacerze, jak Krzysztof Wirtemberski, wisi nad nim krwawy miecz wiecznego potępienia.

Piccolomini chwycił dłoń cesarzowej i ją przytrzymał.

– Odwagi, Wasza Cesarska Mość. Bóg nie pozwoli, żeby dusza cesarza cierpiała wieczne męki w czeluściach piekielnych. Kościół też nie pozostanie w tej sprawie bezczynny. Wirtemberski książę wkrótce nie będzie już wodził cesarza na pokuszenie swoimi kłamstwami.

Od szczególnego tonu w jego głosie Giulia dostała gęsiej skórki. Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej, ale Piccolomini zakończył rozmowę i opuścił kaplicę zamkową. Mijając Giulie, przystanął na moment.

– Przyjdźcie do mnie za godzinę. Dostałem kilka nowych pieśni, których musicie się nauczyć.

Następnie machnął na księdza Luisa de Vegę, żeby ten poszedł za nim.

Giulia patrzyła w ślad za nimi dwoma i próbowała uporządkować kłębiące się w jej głowie myśli. Jeśli czegoś nie pokręciła, to poseł knuł coś przeciwko Wirtemberczykowi. I na pewno knowania te nie były po myśli cesarza, który pragnął, by między Kościołem katolickim i kacerzami zapanował pokój. Giulia przypuszczała, że Piccolomini specjalnie został w Wiedniu, żeby dalej dyskretnie realizować swoje plany. Ale nie wiedziała, co poseł chce osiągnąć w mieście, bo przecież Krzysztof Wirtemberski – jak większość arystokratów – wyjechał, towarzysząc cesarzowi.

Szambelanka cesarzowej podeszła do Giulii i pokazała ręką drzwi.

– Jej Cesarska Mość życzy sobie pozostać sama.

Giulia skłoniła się przed cesarzową i damą, po czym opuściła komnatę tak szybko, jakby szalał w

niej pożar. Wracając do siebie, zastanawiała się, jak mogłaby pomóc księciu. Była pewna, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, ale brakowało jej na to dowodów, a poza tym nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać.

Tak zatopiła się w myślach, że pomyliła korytarze. Zorientowała się dopiero pod drzwiami prowadzącymi do komnat Piccolominięgo. Wlepiała wzrok w drewno, jakby było jej wrogiem, i chciała zawrócić, bo jeszcze nie minęła godzina, po której miała się u niego stawić. Ale potem postanowiła, że jednak zapuka, bo spotkanie z posłem chciała mieć szybko za sobą. Ponieważ Piccolomini wyraźnie zabronił przeszkadzania mu podczas ważnych rozmów, przyłożyła ucho do drzwi, żeby sprawdzić, czy jest sam. Usłyszała czyjś ożywiony głos. Nie rozumiała słów, ale rozpoznała hiszpański akcent de Vega. Spowiednik królowej był czymś niezwykle podekscytowany, Piccolomini zaś odpowiadał mu chłodno, prawie ironicznie.

– Uspokójcie się, de Vega. Lepiej znam poczynania kacerzy w Wiedniu, niż sądzicie. Niedługo nadejdzie nasza godzina. Czekam tylko na wiadomość od Bawarczyka.

De Vega wypuścił gwałtownie powietrze z płuc.

– O ile wiem, Bawarczyk zmienił plany. Nie przyjedzie do Wiednia, tylko od razu uda się do cesarza i jego armii. Dzięki niemu na dworze przewagę będą mieli książęta wierni Kościołowi katolickiemu, a kacerstwo straci uprzywilejowaną pozycję.

– I nie tylko to – oznajmił Piccolomini zadowolonym głosem. – Za sprawą Bawarczyka dostaniemy oręż, dzięki któremu będziemy mogli pozbyć się najniebezpieczniejszych spośród wrogów Kościoła, a wpływy pozostałych ukroćmy.

Słyszając to, Giulia zaczęła się bać o księcia Krzysztofa Wirtemberskiego.

– Jakie macie plany? – drżącym z ciekawości głosem zapytał de Vega.

Piccolomini przez moment milczał, jakby się zastanawiał, czy może powierzyć Hiszpanowi tajemnicę, po czym się odezwał:

– Mój plan jest tak prosty, że musi się udać. Zanim przyjechałem do Wiednia, napisałem do naszych braci w Ingolstadt i poprosiłem ich, by znaleźli kilku mężczyzn, na których można polegać. Mają przyjechać wraz z księciem Albrechtem na dwór cesarza i sprzątnąć Krzysztofa Wirtemberskiego.

– Chcecie zlecić zabicie księcia? – De Vega wykrzyknął te słowa tak głośno, że Giulia po drugiej stronie drzwi się wzdrygnęła.

Piccolomini się zdenerwował.

– Cicho, głupcze! Nie chcecie chyba, żeby cały świat się o tym dowiedział?

– Wybaczcie, *monsignore*. Przeraziła mnie śmiałość waszego planu. – W głosie de Vega zabrzmiała skrucha. – Dlaczego sami nie przywieźliście tu zabójców? To byłoby przecież pewniejsze. Po co ta okrężna droga przez Ingolstadt?

– Pomyślcie tylko, jak bardzo naszej sprawie zaszkodziłby najmniejszy nawet cień podejrzenia, że któryś z nas mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Wirtemberczyka. Jeśli zabiją go Bawarczycy, to my będziemy kryci. Jak powszechnie wiadomo, obaj książęta są wobec siebie wrogo nastawieni. Po każdej ze stron są tacy, którzy tylko czyhają, aby szybko zakończyć waśń, czy to mieczem, czy innym narzędziem.

– Jesteście nie tylko dzielni, ale też mądrzy – słuźalczym tonem powiedział de Vega.

– To dlatego powierzono mi tę trudną misję.

Słyszając pochwały Hiszpana, Piccolomini rozplęwał się z zadowolenia. Oburzona Giulia

wpatrywała się w drzwi, dłonie miała zaciśnięte w pięści. Najchętniej powiedziała by papieskiemu posłowi prosto w oczy, jak bardzo nim pogardza. Była tak zdenerwowana, że początkowo nie zwróciła uwagi na kroki w komnacie, które zbliżyły się niebezpiecznie do drzwi. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy ktoś nacisnął klamkę. Na jej szczęście ten ktoś wstrzymał się przez moment, zanim otworzył. To wystarczyło jej, by zniknąć w półmroku korytarza. Po krótkiej chwili z komnaty posła wyszedł de Vega. Nie zwrócił uwagi na cień, który przylgnął do ściany za najbliższym rogami.

Giulia bała się, że przechodząc obok niej, hiszpański ksiądz usłyszy bicie jej serca, które waliło jak oszalałe. Stała, nie oddychając, póki jego kroki nie ucichły w głębi korytarza. Potem wróciła do drzwi, za którymi z pewnością czekał już na nią Piccolomini. Nie miała jednak śmiałości, żeby zapukać i wejść do środka, bo była pewna, że jej twarz i postawa zdradzą, iż poznała ciemną tajemnicę posła. Zdecydowała więc, że zignoruje jego polecenie, i wróciła do swojej komnaty.

Tam rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. Rozpaczliwie zastanawiała się, co ma zrobić. Jako poddana papieża, do tego przez niego zatrudniona, powinna właściwie zapomnieć o tym, co usłyszała. Śmierć Krzysztofa Wirtemberskiego, papieskiego wroga, nastąpi z woli i za aprobatą wszystko uświęcającego Kościoła. Burzyła się na tę myśl. Morderstwo to morderstwo, nawet dokonane w imię wiary. Poza tym ksiądz był wobec niej życzliwy, a ona darzyła go dużą sympatią. Potem znowu pomyślała, że ma związane ręce. Sama nie mogła udać się do obozowiska cesarskiej armii, żeby ostrzec Wirtemberczyka. Nie było też nikogo, kto podjąłby się tej misji zamiast niej. Pomyślała, żeby odwiedzić Vincenza i wtajemniczyć go w tę sprawę. Vincenzo był jednak katolikiem. Nie wiedziała więc, jak zareaguje. Poza tym bała się, że Krzysztof Wirtemberski zlekceważy ostrzeżenie przekazane przez obcego Włocha.

Nagle uderzyła się dłonią w czoło. „Ale jestem głupia – pomyślała. – Przecież wystarczy, jeśli wyjawię ten perfidny plan hrabiemu Kolobanowi, który na polecenie cesarza został w Wiedniu. On będzie wiedział, co trzeba zrobić”.

Giulia nie była pewna, czy nie popełnia wielkiego grzechu, próbując zniweczyć plany Ojca Świętego. Ale może Pius IV nie miał pojęcia, co planuje jego poseł. Jedno było pewne: Bóg, do którego ona kieruje swoje modlitwy, na pewno nie zaaprobowałby spisku i morderstwa, tak samo jak na pewno nie aprobuje stosów, na których w jego imieniu paleni są ludzie.

Nie zastanawiając się długo, ruszyła w drogę. Strażnicy pilnujący bramy dobrze ją znali i nie musiała się przed nimi tłumaczyć, czemu chce wyjść na miasto. Chociaż już się ściemniało, bez problemów dotarła do pałacu Kolobanów. Przed budynkiem jeszcze raz się zatrzymała. Wciąż nie mogła się zdecydować, czy wejść do środka. Pragnęła jednak uchronić Krzysztofa Wirtemberskiego przed ostrzami morderców i to przeważało. Uderzyła kołatką i oświadczyła służącemu, który jej otworzył, że chce rozmawiać z hrabią Kolobanem.

Lokaj rozpoznał ją i wpuścił do środka.

– Proszę, usiądźcie w holu. Zaanonsuję wasze przybycie wielmożnemu panu hrabiemu – powiedział i odszedł dostojnym krokiem.

Kiedy indziej Giulia byłaby rozbawiona takim zachowaniem. Ale dzisiaj nie miała głowy do obserwowania służącego w barwnej liberii ani wytwornie urządzonego holu. Nerwowo chodziła w tę i w tę, zastanawiając się, co ma powiedzieć hrabiemu, żeby jej uwierzył.

– Casamonte, co za niespodzianka! – Ladislaus Koloban zszedł po schodach, żeby osobiście powitać gościa.

Giulia odwróciła się gwałtownie, podeszła do niego i pocałowała z wdzięcznością jego

wyciągniętą rękę.

– Bogu niech będą dzięki, że was spotykam.

Zdziwiony Koloban uniósł brwi.

– Co się stało? Wyglądacie, jakby was ścigał, wybaczcie to porównanie, sam diabeł z piekła rodem.

Giulia rozejrzała się lękliwie i chwyciła go za rękaw fioletowego kaftana.

– Przychodzę, żeby was ostrzec.

– Ostrzec? Przed czym? – Hrabia natychmiast się usztywnił.

– Wiem, że ktoś szykuje napad na księcia z Wirtembergii. Chce go zabić.

– Piccolomini! – warknął Koloban; zabrzmiało to jak przekleństwo.

Rozejrzał się po holu i najwidoczniej uznał, że to miejsce nie jest dość pewne. Chwycił Giulie mocno za ramię i pociągnął za sobą. Puścił ją dopiero, gdy znaleźli się w jego komnacie. Zapropował, żeby usiadła, po czym dodał:

– Opowiadajcie, czego się dowiedzieliście.

Giulia zignorowała zaproponowane krzesło i niczym pojmane zwierzę zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie mam w zwyczaju podsłuchiwać. Usłyszałem to wszystko zupełnie przypadkiem. Wiecie, że mam dobry słuch.

– Dobrze, że mnie ostrzegacie. Będę musiał uważać, co mówię, gdy jesteście w pobliżu – odpowiedział hrabia, śmiejąc się sztucznie.

Giulia się oburzyła.

– Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Macie rację. – Hrabia wyrzwał przez okno, potem odwrócił się do niej i zażądał, żeby wreszcie usiadła. – To wasze chodzenie działa mi na nerwy – stwierdził, po czym sam zaczął chodzić w tę i w tę.

Giulia przyglądała się przez chwilę jego wędrownce po pokoju, a następnie rozpoczęła swoją opowieść. Hrabia Koloban nie przerwał jej ani razu. Na koniec skinął głową i podziękował.

– Bardzo się zasłużyliście Cesarstwu Niemieckiemu, Casamonte. Nie śmiem nawet myśleć, co by się stało, gdyby zamach się powiódł. To poważnie naruszyłoby pozycję cesarza wśród protestanckiej szlachty i dostojęstwa. Oraz zniszczyło zaufanie w to, że katolicy, nawet ci uczciwi, noszą się z dobrymi zamiarami.

Giulia odetchnęła.

– A więc ostrzeżecie księcia. Mimo że jesteście katolikiem.

Ostatnie zdanie powiedziała całkiem spontanicznie i się przestraszyła, jak hrabia na nie zareaguje.

Koloban zamachał pięścią w powietrzu.

– Oczywiście, że go ostrzegę. Jeszcze dzisiejszej nocy ruszę w drogę i osobiście przekażę mu wiadomość. W takim razie będę tam jeszcze przed księciem bawarskim i jego ludźmi. Jesteście pewni, że mordercy należą do świty księcia Albrechta?

– Piccolomini tak powiedział de Vedze.

– Dobrze, w takim razie już wszystko uzgodniliśmy. Wybaczcie, że nie mogę wam poświęcić więcej czasu. Ale wiadomość, którą przynieśliście, zmusza mnie do pośpiechu.

Hrabia jeszcze raz podziękował Giulii. Zapewnił ją, że teraz już nie musi się martwić, i zadzwonił po lokaja, który miał ją wyprowadzić.

– Dobrej nocy, panie hrabio.

Giulia skłoniła się i z ulgą poszła za służącym, którego twarz nie zdradzała żadnej ciekawości, co takiego mogło ją sprowadzić po nocy. Gdy weszli do holu, na zewnątrz ktoś trzykrotnie zastukał kołatką, a odzwierny wyskoczył ze swojej pakamery, jakby czekał na określonego gościa. Chwilę później do środka wkroczył Vincenzo. Miał na sobie cenny kaftan z jedwabiu w kolorze musztardowym, z granatową podszewką rękawów, beret ozdobiony piórem czapli i obcisłe jaskrawoczerwone spodnie z bordowym mieszkim na łonie. Wyglądał tak przystojnie, że Giulia mimowolnie wstrzymała oddech. Gdy ją dostrzegł, nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy żałować spotkania.

Giulię zdenerwował jego niechętny wyraz twarzy i chciała przejść obok Vincenza, pozdrawiając go tylko zdawkowo. Ale zaśmiał się niespodziewanie i ją przytrzymał.

– Giulio, co za niespodzianka. Chciałem cię jutro odwiedzić.

– Odwiedzić? Po co? Żeby zobaczyć, jak czuje się Beppo?

– To wciąż jeszcze jest chory? – W głosie Vincenza zabrzmiało szczere zatroskanie. – Bardzo mi przykro. Ale to nie ze względu na niego zamierzałem do ciebie przyjść, ale dlatego że chcę cię zaprosić na jutrzejszy wieczór.

– Jeśli sobie tego życzysz, to chętnie przyjmę twoje zaproszenie.

Giulia sądziła, że Vincenzo chce z nią porozmawiać gdzieś w spokoju, żeby przywrócić ich dobre relacje, ale w jego oczach dojrzała dziwne błyski.

– Bardzo będę rad, Giulio, jeśli przyjdiesz jutro wieczorem na Korngasse. Na końcu ulicy znajdziesz mały domek, który należy do mojego gospodarza, hrabiego Kolobana. Jest niezamieszkały, ale używa go czasem mój przyjaciel Danilo. Organizuje tam małe przyjęcia i oddał mi go do dyspozycji.

Giulii natychmiast popsuł się humor.

– Czy mam tam zaśpiewać dla twoich gości?

Vincenzo gwałtownie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie zaprosiłem gości. Albo raczej zaprosiłem jedną osobę. – Przyciągnął Giulię do siebie, żeby słyszała jego szept. – Zemszczę się na Falkensteinie i chcę, żebyś stał się świadkiem mojego triumfu. Ale musisz być cicho, żeby mój gość cię nie zauważył. Rozumiesz?

– Właściwie nie...

– W takim razie zrozumiesz jutro. Najważniejsze, żebyś zastosował się do tego, co ci mówię. Dla mnie to bardzo ważne, żebyś przyszedł.

Giulia skinęła głową, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Tymczasem Vincenzo kontynuował swoje wyjaśnienia.

– Domek ma tylko dwa pokoje. W większym znajduje się przepierzenie z cienkich deseczek, za którym doskonale słychać, co dzieje się po drugiej stronie. Ukryjesz się za nim i nie wyjdiesz, żeby nie wiem co się działo. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale nie jestem pewny...

– Nie ma żadnego „ale” – przerwał jej ostro Vincenzo. – Albo zrobisz, co ci mówię, albo wcale nie musisz przychodzić.

Giulia popatrzyła na niego bezradnie, ale nie chciała się z nim kłócić w obecności dwóch lokajów. Jego napięta twarz zdradziła jej, jak bardzo zależy mu na jej wizycie.

– A więc dobrze, przyjdę – szepnęła do niego i wyszła drzwiami, które otworzył jej lokaj.

Vincenzo popatrzył w ślad za nią i natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Wiedział aż nazbyt dobrze, jak bardzo wrażliwy jest Giulio. Ale potem zacisnął dłonie w pięści. „A niechże wreszcie dorośnie – pomyślał. – Jutrzejsza lekcja dobrze zrobi tej mimozie”. Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją. Wreszcie udało mu się namówić Rodegardę von Falkenstein na potajemną schadzkę. Jutro dostanie od niej to, o co starał się tyle czasu. Miał trochę wątpliwości, czy dobrze robi, ściągając Giulia jako widza. Niezdolny do uprawiania miłości cielesnej kastrat może poczuć się zraniony, widząc scenę uwodzenia. Vincenza nagle rozgniewały jego własne obiekcje. Po raz kolejny powiedział sobie, że to Giulio jest winny ich waśni, więc zasłużył sobie na karę. Mimo to czuł się tak fatalnie, że tylko nienawiść, jaką pałał do Falkensteina, powstrzymała go przed odwołaniem randki z Rodegardą.

Następnego ranka stan Beppa nieoczekiwanie się pogorszył. Z trudem łapał powietrze, jakby miał się zaraz udusić. Ponieważ wyciągi i tynktury Filiberta Scharnagla nie pomagały, Assumpta nalegała, żeby wezwać innego lekarza. Jeden z lokajów przyprowadził wielce uczonego doktora Finkenbeina, który podobno był przyjacielem lekarza przybocznego Jego Cesarskiej Mości. Medyk obejrzał sobie chorego pobieżnie, zasłaniając twarz chustką nasączoną aromatyczną żywicą, przy czym wymamrotał kilka bezsensownych słów przypominających łacińskie. Giulia zapytała go, czy zna lekarstwo na tę chorobę, na co zrobił zatroskaną minę i pokiwał z zafrasowaniem głową.

– Tego człowieka dopadła wielce zaraźliwa gorączka, na którą nie ma pomocy. Powinniście natychmiast przewieźć go do hospicjum prowadzonego przez litościwych braci, którzy będą się modlić za jego duszę i ułatwią mu drogę do Boga.

Giulia zaśmiała się hardo.

– Gdyby mój służący cierpiał na zaraźliwą gorączkę, to mnie i Assumptę dawno by ona już dopadła. Według doktora Scharnagla Beppo dostał zapalenia dróg oddechowych, które teraz przeniosło mu się na płuca. Co się zaś tyczy was, to dziękuję wam i rezygnuję z waszych usług.

Lekarz popatrzał na nią z oburzeniem.

– Konsultowaliście się z Scharnaglem? No to się nie dziwcie, że wasz służący jest teraz konający. Ten człowiek to szarlatan, nic więcej. Nie studiował na żadnym porządnym uniwersytecie, sprzedaje tylko wiedzę, którą nabył u bezbożnych pogan i na poły szalonych zielarek. Gdybyście wezwali mnie od razu, ten nieborak byłby już zdrowy.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Giulia nie ukrywała, kogo uważa za szarlatana. Mimo to wypłaciła lekarzowi sumę, której zażądał za swą wizytę, chociaż była ona cztery razy wyższa od honorarium Scharnagla. Nawet Assumpta się ucieszyła, gdy ten nadęty bufon sobie poszedł.

– Niedługo będzie po mnie, co? – Beppo z trudem wykrztusił te słowa między dwoma świszczącymi oddechami.

Assumpta natychmiast zaczęła żałośnie lamentować, ale Giulia pokręciła gwałtownie głową.

– Nie mów głupstw. Oczywiście, że dojdiesz do siebie. Doktor Scharnagl powiedział przecież, że może nastąpić przejściowe pogorszenie. Dalej bierz lekarstwa i niech Assumpta robi ci ziołowe okłady. Za tydzień czy dwa na pewno wstaniesz z łóżka.

Po wychudłej twarzy chorego przemknął uśmiech.

– Jeśli umrę, to taka była wola Boga, moje dziecko.

– Nie mów tyle! – Assumpta skarciła męża. – Bo jeszcze ci się pogorszy.

– Pójdę do Scharnagla i zapytam, czy nie ma jeszcze jakiegoś lekarstwa, które mogłoby pomóc Beppowi. – Giulia pożegnała się ze służącymi skinieniem głowy i wyszła z pomieszczenia tak szybko, jakby uciekała.

Na jej szczęście lekarz był w domu. Dał jej ekstrakt z nasion maku, który, jak powiedział, ukoi ból i pomoże choremu zasnąć.

– Ale nie przedawajcie, bo Beppo mógłby się już nie obudzić – ostrzegł Giulie.

Ta skinęła głową i wyszła z jego domu przy Stiegengasse, mając oczy pełne łez. Z ciężkim sercem wróciła do Hofburga.

Tam korytarze i klatki schodowe aż huczały od często sprzecznych, ale raczej pozytywnych wieści. Posłaniec cesarza przywiózł nowiny z obozowiska, a damy dworu gorliwie powtarzały je na prawo i lewo. Podobno tureckie oddziały wycofały się z terenów przygranicznych, a wyrządzone przez nie szkody były wprawdzie duże, ale do zniesienia. Jednakże większość dworzan żałowała, że Maksymilian II nie zaatakował pogan. Podobno najbliżsi doradcy też nie byli zadowoleni z tej decyzji swego pana. Cesarz kazał przekazać małżonce, że zamierza negocjować z tureckim paszą w sprawie wykupu jeńców, a potem jak najszybciej wróci do Wiednia.

Maria Hiszpańska poczuła wielką ulgę. Z radości kazała natychmiast odprawić mszę, choć była to pora obiadu i cały porządek dnia na dworze został zburzony. Kucharki rozgotowały dania, niektóre potrawy się przypaliły, a wszystko wystygło. Cesarzowej i jej najbliższemu otoczeniu zaserwowano najlepsze kąski, więc nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Za to potrawy, które wydano Giulii i jej służącym, były nie do przełknięcia.

Assumpta nakarmiła Beppa kilkoma łyżkami rozgotowanej zupy, Giulia natomiast tylko pogrzebała w rzadkiej brei, w której pływało kilka kawałków mięsa, i odsunęła od siebie talerz. Położyła się na godzinę do łóżka, mając nadzieję, że Vincenzo poczęstuje ją posilną kolacją.

Po nieszporach przebrała się i poszła na Korngasse. Dom, o którym mówił Vincenzo, był naprawdę niewielkich rozmiarów i przesłaniały go zarośla. Gdy zapukała, otworzył jej mężczyzna w średnim wieku, miał na sobie wytarty kaftan i poplamione spodnie.

– Ach, pierwszy gość pana Vincenza. Wejście, szlachetny panie. Przygotowałem dla was mały poczęstunek i dzban wina, żeby oczekiwanie wam się nie dłużyło.

Zaprowadził Giulie na drugi koniec domu, za cienkie przepierzenie z wiklinowej plecionki, przez którą można było obserwować resztę przestronnego pokoju. W niszy stały dwa meble: mały stolik ze skromnym posiłkiem i krzesło. W pomieszczeniu po drugiej stronie przepierzenia znajdowało się jedynie łóżko. Giulii wydało się to dość dziwne.

Zaufany człowiek Vincenza wskazał na małą lampkę oliwną, która dawała dość światła, by Giulia mogła widzieć talerz.

– Mam wam przekazać od pana Vincenza, żebyście zdmuchnęli światło, gdy drzwi frontowe się otworzą. Nikt nie może zobaczyć, że tu jesteście. Pan Vincenzo kazał was na to uczulić.

Giulia skinęła głową z pozoru spokojnie, ale w środku pełna była wątpliwości. Intuicja podpowiadała jej, żeby wstać i odejść, ale wtedy na pewno ostatecznie zepsułyby się jej relacje z Vincenzem. Na dodatek nie mogła oprzeć się jedzeniu, które stało przed nią. W porównaniu z nieudanym obiadem w Hofburgu pachniało wprost uwodzicielsko. Niezdecydowanie przyglądała się służącemu, który w przedniej części pomieszczenia zajął się zapalaniem świecy w lampie wiszącej pod sufitem. Skończywszy, jeszcze raz rozejrzał się badawczo po pokoju. Najwidoczniej wszystko wyglądało zadowolająco, bo ruszył pospiesznie do wyjścia, wołając do niej przez ramię:

– Zostańcie z Bogiem!

Giulia odsunęła swoje wątpliwości na bok i zajęła się posiłkiem. Chociaż poczęstowano ją tylko chlebem, masłem, zimną pieczenią i tłustą kielbasą, zjadła z przyjemnością, rozkoszując się smakiem. Wypiła kubek lekko kwaskowatego wina i postanowiła poczekać, aby być świadkiem spotkania Vincenza i jego gościa, bo po to ją przecież zaprosił. Ledwo popiła ostatni kęs, usłyszała na zewnątrz odgłosy. Zdmuchnęła lampę i nastawiła uszu. Vincenzo nie był sam, bo przemawiał do kogoś

uspokajająco. Ten ktoś jednak milczał.

Chwilę później drzwi pomieszczenia się otworzyły i do środka weszła postać w szerokim płaszczu, zapewne kobieta, a za nią pojawił się mocno spięty Vincenzo. Ponieważ stanął dokładnie pod lampą, Giulia mogła zobaczyć głębokie zmarszczki na jego twarzy. Nie wyglądał na szczęśliwego. Pomagając kobiecie zdjąć płaszcz, zerknął ukradkiem kilka razy na przepierzenie. Giulia zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby mu dać znak, że jest obecna, aby dama jej nie spostrzegła. Ale nie było na to sposobu.

Vincenzo zajął się kobietą, która wyglądała na wystraszoną. Spotkanie w tym pokoju najwidoczniej nie przypadło jej do gustu, bo rozglądała się, kręcąc głową, i przyciskała sobie dłoń do serca. Na jej twarzy malowała się chęć ucieczki.

– Mam nadzieję, że nikt nas nie widział. O Matko Boska, gdybym wiedziała, że będę się tak bała, nigdy w życiu bym tu nie przyszła.

Vincenzo przyciągnął kobietę do siebie.

– Łaskawa hrabino! Najdroższa Rodegardo, bądź pewna, że nikt nas nie widział. Odesłałem nawet służącego, żebyś nie czuła się skrepowana. Jesteś teraz całkiem sami.

– Ale co będzie, jak ktoś u mnie w domu się zorientuje, że wyszłam sama, bez służącej?

– O tym już przecież mówiliśmy. Jesteś teraz w kościele Świętego Ruprechta i modlisz się o szczęśliwy powrót małżonka, a służącej dałaś wolne, żeby odwiedziła chorą matkę. Nikt niczego nie będzie podejrzewał.

– O Matko Boska! Przecież zgrzeszyłam przeciw mojemu mężowi, w ogóle tu przychodząc.

Vincenzo zorientował się, że Rodegarda von Falkenstein gotowa jest uciec. Stoczył krótką wewnętrzną walkę, w wyniku której jakoś udało mu się odsunąć nieustannie zaprzatające mu głowę myśli o Giuliu. Przyciągnął kobietę do siebie i westchnął głęboko, udając pożądanie, ale nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to sztucznie. Prawą dłonią pogładził ją po plecach, zsunął rękę na pupę kobiety i łagodnie zaczął ugniatać jej pośladki.

Hrabina zaczęła oddychać szybciej. Żarliwie odwzajemniała jego pocałunki. Tak prędko zareagowała dziką namiętnością na jego pieszczoty, że na pewno była długo zaniedbywana przez męża. Vincenza zaskoczył jej temperament. Nagle poczuł, że niewielkie pożądanie, jakie czuł do tej kobiety, zaczyna gasnąć. Nawet myśl, że zaraz dokona aktu zemsty na jej mężu, nie potrafiła rozniecić w nim ognia. Znów pomyślał o Giuliu, o tym, że siedzi on pewnie za ścianką działową i przygląda się temu wszystkiemu. Zawstydziło go to. Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie cały gniew i całą nienawiść do małżonka kobiety, która właśnie wiła się w jego ramionach z rozkoszy. Usiłował skoncentrować się na tym, co ma do zrobienia. Ale w pachwinach czuł chłód. Nagle uzmysłowił sobie, że posunął się za daleko. Zabawiając się z hrabiną na oczach Giulia, poniża wrażliwego kastrata. Po wszystkim straci go już ostatecznie.

Z rosnącą zgrozą Vincenzo obserwował, że myśl o Giuliu czyni go niezdolnym do fizycznej miłości. Przeraziło go to. Nie, nie może teraz zawieść, bo w przeciwnym razie już nigdy nie będzie mógł rozkoszować się miękkim ciałem kobiety. Tak więc odwzajemniał pocałunki hrabiny z udawaną namiętnością, przymuszając się do tego. Jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie doświadczył. Modlił się, by jego członek stanął na wysokości zadania.

Tymczasem Giulia siedziała sztywno na krześle za przepierzeniem. Z odrazą patrzyła, jak Vincenzo rozbiera swoją towarzyszkę dziwnie niezgrabnymi rękoma. Przypomniła sobie podobną scenę przed laty w Mantui. Paolo Gonzaga również mścił się na mężczyźnie, ujeżdżając jego żonę. Zastanawiała

się, czy Vincenzo też będzie zmuszał hrabinę Falkenstein do takich obrzydliwych czynności, jakich Gonzaga zażądał od Leticii Pollai.

W tej chwili Giulia nienawidziła Vincenza całym swoim sercem. Jednocześnie miała przemożną ochotę wybiec z przepierzenia i wydrapać hrabinie oczy. Patrzyła na bujne kształty Rodegardy von Falkenstein i zastanawiała się, czy mężczyźni wolą takie kobiety. Ona sama w porównaniu z hrabiną była chuda jak szczapa. Zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek mogłaby się spodobać mężczyźnie. Uznała, że nie, i poczuła się zdruzgotana. „Jak to dobrze, że w oczach ludzi jestem kastratem” – pomyślała.

Tymczasem hrabina zręcznymi palcami postawiła wiotki dotąd członek Vincenza na baczność. Opadła ciężko na łóżko i rozłożyła w oczekiwaniu nogi. Vincenzo, który wreszcie poczuł w miarę silne pożądanie, położył się na niej i energicznym ruchem wszedł w jej kobiecość.

Giulia zamknęła oczy, a dłońmi zatkała sobie uszy, żeby nic nie widzieć i nie słyszeć. Ale dźwięki i tak do niej docierały, a wyobraźnia jeszcze pogarszała sprawę. Oczami duszy widziała baraszkuje w łóżku parę, a w jej głowie rozbrzmiewały krzyki podniecenia. Najchętniej zerwałaby się na nogi i uciekła, ale musiałyby przebiec obok pary kochanków. Nie mogła się na to zdobyć. Teraz nie tylko nienawidziła Vincenza, ale na dodatek jeszcze nim gardziła. „To takie samo zwierzę jak inni mężczyźni – pomyślała. – Zależy im tylko na tym, żeby dać upust chuci”.

Jednocześnie coś jej bezlitośnie podpowiadało, że po części sama jest winna zaistniałej sytuacji. Przez te wszystkie lata zwodziła i oszukiwała Vincenza, a tym samym skłoniła do tak niegodnej eskapady. Gdyby mu zaufała i wyznała swoją tajemnicę, to teraz ona, a nie ta gruba niemiecka krowa, leżałaby na tym łóżku, rozkoszując się jego dotykiem. Przez moment wyobrażała sobie, że czuje ciało Vincenza na swoim. Poczuła rozkoszne mrowienie w piersiach i udach, które rozeszło się po całym ciele. Szybko się zmytygowała. „Czyżbym była tak samo zepsuta jak ta hrabina, która pod nieobecność małżonka idzie z obcym mężczyzną do łóżka?” – pomyślała z obrzydzeniem.

Giulia nie miała pojęcia, że ten akt miłosny był dla Vincenza ciężką pracą. Co prawda doznał znikomej satysfakcji, ale jego członek trysnął spermą nazbyt wcześnie, żeby zaspokoić hrabinę.

Ciężko oddychając, sturlał się z kochanki, ona zaś podparła się na łokciach i popatrzyła na niego z gniewem.

– Powiedziano mi, że Włosi są ognistymi kochankami. Ale u was, mój panie Vincenzo, ten ogarek coś słabo płonie.

Zrobiła pogardliwą minę, dając mu wyraźnie odczuć swe niezadowolenie. Ryzykowała, przychodząc tutaj, i oczekiwała czego innego.

Vincenzo westchnął i założył spodnie, po czym pomógł jej wstać. Przez moment sprawiała wrażenie, że z powrotem wciągnie go do łóżka i rozcapierzonymi jak szpony palcami zmusi, aby zaspokoił jej pożądanie. Ale on przybrał tak odpychający wyraz twarzy, że splunęła mu pod nogi. Mimo to pozwoliła, żeby pomógł jej się ubrać i bez sprzeciwu wysłuchiwała czułości, które szeptał jej do ucha, jak to miał w zwyczaju. Giulia zauważyła, że Vincenzo nie patrzy przy tym na hrabinę, tylko na plecione przepierzenie, za którym ona siedzi, a jego twarz zdradza brak satysfakcji z dokonanej zemsty. Może nawet był zdegustowany tym, co zrobił. Giulia podejrzewała, że Vincenzo gardzi kobietą, która uległa jego sztuce uwodzenia. Mężczyźni zwykle winę za swoje grzechy rzucają na kobiety, o których łaski przedtem zabiegali. Słyszała to nieraz z ich ust. Miała nadzieję, że Vincenzo ma lepszy charakter, ale teraz czuła się rozczarowana. Gdy Vincenzo i Rodegarda von Falkenstein wyszli na zewnątrz, ona też już długo nie wytrzymała za przepierzeniem. Walcząc ze łzami, wybiegła stamtąd i potem przez dłuższy czas błądziła bez celu, póki jej rozczarowanie nie

przerodziło się w nieposkromiony gniew.

Gdy Vincenzo wrócił do małego domu przy Korngasse, zobaczył opróżniony talerz i niedopity kubek wina. Poznał po tym, że Giulio tu był i wszystko widział. Wcześniej Vincenzo o tym marzył, ale po dokonanej czynie zapragnął cofnąć czas. Żona Falkensteina go nie podniecała, za to sama myśl o Giulio wyzwaliała w nim namiętne uczucia. Tęsknił za bliskością kastrata. Chciał poczuć jego skórę przy swojej i wdychać jego delikatny, prawie kobiecy zapach.

Grzechem śmiertelnym jest, gdy mężczyzna pożąda kogoś, kto też urodził się jako mężczyzna. Ale w tym momencie Vincenzo był gotowy wziąć na siebie wszystkie kary piekielne, byle tylko móc choć raz kochać się z Giuliem. Prawdopodobnie to pragnienie nie zostanie nigdy spełnione. Wszystko zepsuł swym nieprzemyślanym czynem, chęcią uczynienia Giulia świadkiem swego triumfu nad Falkensteinem. Vincenzo spuścił głowę i zwiesił ramiona. Wyszedł z domu i udał się do najbliższej gospody, żeby znaleźć zapomnienie w winie.

W Hofburgu Giulia natychmiast poszła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko. W drodze do zamku postanowiła, że zapomni o Vincenzu i nawet jeśli spotka go w pałacu Kolobanów albo w jakimś innym miejscu, będzie traktować go tak, jakby był kimś zupełnie obcym. Chciała zagrzebać głęboko w pamięci jego samego i lata spędzone w jego towarzystwie, aby stał się dla niej jedynie odległym wspomnieniem. Ale im bardziej próbowała skierować myśli na inne sprawy, na przykład nowe pieśni, które przysłał jej przez lokaja mocno rozgniewany Piccolomini, tym bardziej Vincenzo zaprzętał jej głowę.

Znów porównała go z Paolem Gonzagą i musiała przyznać, że obaj ogromnie się różnili. Vincenzo bardzo czule obchodził się z kobietą i spółkował z nią tak, jak przystoi mężczyźnie, zgodnie z regułami Kościoła świętego. Paolo natomiast traktował swoją partnerkę jak przedmiot, czynił ją bezwolną niewolnicą i wykorzystywał w obrzydliwy sposób. Wprawdzie Vincenzo nie postąpił zbyt szlachetnie, mszcząc się na wrogu poprzez uwiedzenie jego żony, ale przynajmniej nie uczynił jej nic takiego, co musiałaby przemilczeć podczas spowiedzi. Pod tym względem Vincenzo, w przeciwieństwie do Paola Gonzagi, był człowiekiem honoru.

Giulia prychnęła na tę myśl. Jeśli tak dalej pójdzie, to znajdzie jeszcze tuzin kolejnych usprawiedliwień dla Vincenza i na koniec przybiegnie do niego i wybaczy mu ten okropny czyn, w który wciągnął ją jako naoczego widza. Wstała, otrząsnęła się i przeszła do większego pokoju, z którego nieprzerwanie docierały do niej kaszel Beppa i lamenty Assumpty. Służąca miała minę, jakby jej mąż w każdej chwili miał zejść z tego świata, ale Giulia odniosła wrażenie, że choroba się cofa.

Beppo był wyczerpany i wychudzony, ale nie miał już takich cieni pod oczami i dawał radę podnieść się na łóżku bez cudzej pomocy. Zagrożenie jeszcze nie minęło, ale jeśli Bóg zechce, na pewno wyzdrowieje. Mimo własnych zmartwień Giulia próbowała podnieść oboje na duchu.

Następne dni minęły spokojnie. Giulia śpiewała podczas mszy odprawianych w kaplicy dworskiej i u cesarzowej. Nie miała występów w mieście, ponieważ nie znalazł się nikt, kto by ją najął. Z powodu wyprawy wojennej rzadko odbywały się jakieś uroczystości. W wolnym czasie nauczyła się wielu pieśni, w tym kilku niemieckich, których nuty przysłał jej hrabia Koloban. Oprócz tego bardziej niż zazwyczaj troszczyła się o Beppa, na którego dobrze działał jej optymizm, nieco tylko udawany. Po dwóch tygodniach cichy Hofburg się ożywił z powodu spodziewanego przyjazdu cesarza. Maksymilian zostawił część swoich oddziałów na granicy, żeby pilnowały umocnień, a z resztą wrócił do Wiednia.

Cesarzowa po raz pierwszy od wymarszu wojska znów pogodnie się uśmiechała. Popędzała swoje dwórki, żeby przygotowały wszystko na przyjazd cesarza. Zarządziła uroczystość na jego cześć. Służba, która zdążyła nawyknąć do lenistwa, teraz żywo się krzątała. Wezwano nawet Assumptę, żeby pomogła w pracy. Zgodziła się z ulgą, bo dzięki temu mogła oderwać się od bezustannego siedzenia przy łożu chorego męża i zapomnieć na moment o rozpaczach.

W chwili przybycia cesarza Giulia towarzyszyła Marii Hiszpańskiej i jej świcie przy bramie wjazdowej do Hofburga. Maksymilian wjechał, mając u boku książąt Krzysztofa Wirtemberskiego i Albrechta Bawarskiego, których obecność symbolizowała zjednoczenie władców katolickich i

protestanckich. Widok ich dwóch obok siebie nie odniósł zamierzonego efektu, ponieważ Bawarczyk niechętnie grał swoją rolę, a na jego twarzy malowała się irytacja.

Giulia od początku poczuła niechęć do księcia Albrechta, chociaż pomyślała, że musi być człowiekiem wspaniałomyślnym i wrażliwym na sztukę, ponieważ nadwornym kapelmistrzem w Monachium uczynił wielce utalentowanego kompozytora Orlanda di Lasso. W ciągu następnych dni przekonała się, że wielki miłośnik sztuki i muzyki Albrecht Bawarski jest jednocześnie nieokrzesanym człowiekiem i bezwzględny ciemiężcą. Obraził ewangelickich gości cesarza, wymuszając na Maksymilianie, żeby w Hofburgu w czasie jego bytności odprawiane były tylko msze katolickie.

Giulia nie rozumiała, dlaczego cesarz mu ustąpił, bo na twarzy Maksymiliana wyraźnie malowała się złość na te bezczelne żądania. Krzysztof Wirtemberski i jego przyjaciele siedzieli na samym końcu kaplicy i próbowali ze spokojem przyjmować zaprowadzone zmiany. Zabrakło natomiast Falkensteina i jego najbliższego grona, chociaż ludzie ci w ten sposób okazali nieposłuszeństwo cesarzowi. Giulia była pewna, że hrabia najchętniej przydzieliłby księciu bawarskiemu do dyspozycji wilgotne pokoje, którymi na początku musiała się zadowolić wraz ze swymi towarzyszami. Ale Albrechtowi, jako jednemu z najważniejszych książąt w Cesarstwie, i jego świcie przysługiwał wytworny dom dla gości.

Księżę Albrecht słuchał mszy wyraźnie wzruszony i wielokrotnie spoglądał na Giulie. Gdy przebrzmiało ostatnie „amen”, wyprostował się i przywołał ją skinieniem ręki.

– Wspaniale śpiewasz, kastracie. Jeszcze nigdy nie słyszałem równie przyjemnego głosu.

– Wasza Wysokość jest dla mnie zbyt łaskawa.

Giulia skłoniła się nisko, żeby nie mógł spojrzeć jej w oczy. Nie chciała, aby dostrzegł w nich niechęć, jaką do niego czuje.

– Gdy skończą się twoje występy w Wiedniu, moją wolą jest usłyszeć twój śpiew w kościele Najświętszej Marii Panny u mnie, w Monachium.

Albrecht V nie pozostawił cienia wątpliwości, że ma być tak, jak sobie życzy.

Piccolomini podszedł do Giulii od tyłu i pchnął ją w kierunku księcia.

– Wasza Wysokość, uczynimy, jak sobie życzycie – zapewnił. – Skowronek z kościoła Matki Bożej Większej w Rzymie zaśpiewa także w waszym mieście dla chwały Boga Wszechmogącego.

Giulia zagotowała się w środku, a jednocześnie poczuła się tak bezradnie, jak rzadko kiedy. Papieski poseł traktował ją coraz bardziej jak osobistą własność i nie uważał za stosowne zapytać, czy zgadza się z jego decyzjami. Ale nie miała innego wyjścia jak ukryć niezadowolenie i oświadczyć księciu, że jego zaproszenie jest dla niej zaszczytem. Albrecht podał jej wyniośle rękę do pocałowania. Zadał jeszcze kilka pytań na temat repertuaru i widać było, że jej odpowiedzi mu się spodobały. W trakcie ich rozmowy podszedł do niego dworzaniek, aby coś mu powiedzieć, ale księżę odpędził go niecierpliwym ruchem ręki jak uciążliwego petenta.

Gdy znalazła się na zewnątrz, podszedł do niej hrabia Koloban.

– Księżę Krzysztof Wirtemberski chciałby z wami porozmawiać – powiedział cicho, nie chcąc, by ktoś usłyszał.

Dopiero teraz przypomniała sobie o spisku mającym na celu zamordowanie Wirtemberczyka. W swoim gniewie na Vincenza całkiem o tym zapomniała.

– Czy w obozowisku coś się stało?

– Nie tutaj – mruknął Koloban, po czym mówił dalej normalnym głosem: – Bardzo byłbym rad,

gdybyście po południu zaśpiewali u mnie w domu. Nie martwcie się, wróćcie punktualnie na wieczorną mszę Jej Cesarskiej Mości.

Giulia uznała, że hrabia chce jej umożliwić swobodną rozmowę z księciem w swoim pałacu. Po tym, jak osobiście zetknęła się ze spiskowcami i intrygami na dworze cesarskim, była ciekawa, co takiego Koloban i książę mają jej do powiedzenia.

Ponieważ z deklaracji Piccolominiego wynikało, że Giulia być może następnego popołudnia będzie musiała być do dyspozycji Albrechta Bawarskiego, na wszelki wypadek tuż po porannej mszy opuściła Hofburg i włączyła się bez celu po mieście. Obiad zjadła w małej gospodzie, gdzie serwowano proste, ale posilne jadło, i wypłała kubek wina. Zaproponowano jej też piwo, ale nie skorzystała. Ten gorzki trunek jakoś nie przypadł jej do gustu.

Przyszła do pałacu Kolobana o najwcześniejszej stosownej porze i zastała tam nielicznych, ale ważnych gości, wśród których znajdował się też niestety hrabia Falkenstein. Gospodarz poprosił ją cicho, żeby najpierw zaśpiewała kilka pieśni, a potem spotkała się z księciem. Serce Giulii zabiło mocniej, chociaż właściwie nie miała powodów, żeby się denerwować. Zaczepnęła powietrza i zaśpiewała gościom utwory, jakich sobie życzyli. Ci przyjęli jej występ z zadowoleniem i nagrodzili ją burzliwym aplauzem. Nawet Falkenstein przymusił się do oklasków. Później hrabia Koloban zaprowadził ją do pomieszczenia, w którym czekał już na nią Krzysztof Wirtemberski.

Obok księcia stał krzepki młody mężczyzna w wojskowym mundurze, a dłoń trzymał wyzywająco na rękojeści miecza. Popatrzył na Giulie z mieszaniną nieufności i zaciekawienia.

– Macie przy sobie broń?

Podszedł do niej, żeby ją przeszukać. Giulia się przestraszyła i odruchowo cofnęła się do drzwi, żeby uciec przed jego dotykiem.

Książę Krzysztof uniósł rękę.

– W porządku, Fuhrenberg. Casamonte z pewnością nie jest człowiekiem, który chciałby mnie wysłać do raju czy też do piekła.

– Ostrożności nigdy za dużo. – Fuhrenberg znów stanął na rozstawionych nogach obok księcia, żeby móc w każdej chwili wyciągnąć miecz i go bronić.

Na ustach jego pana pojawił się lekki uśmiech.

– Zachowujesz się tak, jakby ten młody mężczyzna ostrzegł mnie tylko po to, żeby pozyskać moje zaufanie i potem móc mnie łatwiej zabić. I to właśnie tu, w tym domu, gdzie nie ma żadnej możliwości, żeby uciec.

– Fanatycy rzadko dbają o własne bezpieczeństwo – stwierdził Fuhrenberg, nie zdejmując dłoni z rękojeści miecza.

Książę się uśmiechnął.

– Casamonte jest na pewno fanatykiem, ale fanatykiem muzyki, nie wiary.

Giulia uznała, że pora zakończyć bezpłodną dyskusję między księciem a jego przybocznym strażnikiem. Podeszła bliżej, skłoniła się przed Wirtemberczykiem i uśmiechnęła.

– Bardzo się cieszę, widząc was całych i zdrowych. A więc, dzięki Bogu, nic się nie stało.

– Wasza wiadomość dotarła do mnie wystarczająco wcześniej i dlatego nie doszło do zamachu. Dzięki ostrzeżeniu kilku ludzi wraz z moim dzielnym Fuhrenbergiem bacznie czuwało i nie spuszczało mnie z oka. Czasami było to dość uciążliwe, wierzcie mi. Ale z pewnością nie wzięliście tego z powietrza, bo kilka razy Bawarczycy podejrzanie podkradali się pod mój namiot.

Fuhrenberg gniewnie skinął głową.

– Pilnowaliśmy, żeby nie mogli zbliżyć się do Jego Księżęcej Mości.

– Może powinniśmy pozwolić, by podeszli bliżej i dzięki temu ich zlikwidować. Bo przez to cały czas musimy się mieć na baczności. – Krzysztof Wirtemberski nie krył, że przesadna ostrożność jego straży przybocznej jest dla niego dość uciążliwa. Uciszył gestem ręki Fuhrenberga, który chciał coś powiedzieć, i zwrócił się do Giulii: – Dziękuję wam za ostrzeżenie, Casamonte. Ten krok na pewno nie przyszedł wam łatwo, ponieważ w ten sposób postąpiliście wbrew planom Jego Świątobliwości.

– Nie sądzę, żeby Jego Świątobliwość aprobował morderstwo i zbrodnię. – Giulia mimo pewnych wątpliwości uczepliła się wiary w to, że Pius IV nic nie wie o spisku i że Piccolomini zaplanował go na własną rękę.

– Może i tak, w każdym razie bardzo się przysłużyliście dla zachowania pokoju w Cesarstwie Niemieckim.

Ksiązę poklepał Giulię z uznaniem po ramieniu i zignorował fuknięcie Fuhrenberga, któremu takie beztrioskie zachowanie nie przypadło do gustu.

– Nie chcę się wywyższać, ale moja śmierć tu, w Wiedniu, odbiłaby się falą w całym Cesarstwie i na nowo wstrząsnęłaby wzajemnymi relacjami między protestantami a katolikami. Była już przecież jedna wojna wywołana przez religię. Cesarz Karol V prowadził ją z księżętami zrzeszonymi w związku szmalkaldzkim. Chociaż zwyciężył, nie mógł narzucić protestantom swojej wiary. Każda kolejna próba nawracania na siłę skończyłaby się katastrofą dla cesarstwa. Musimy dojść do ładu także z Albrechtem Bawarskim, który wyssał katolicyzm z mlekiem matki, a protestantów bezwzględnie prześladował i wypędził ze swoich krajów.

Fuhrenberg zaśmiał się hardo.

– Jego poddanym przyniosło to niewielkie korzyści, bo po wygnaniu protestantów podniósł katolikom kilkakrotnie podatki, aby dochody księstwa pozostały na tym samym poziomie. Moim zdaniem ten Bawarczyk niedługo marnie skończy.

– Dla nas to sprzyjające okoliczności. Póki Albrecht walczy ze swoimi poddanymi, maleją jego wpływy w Cesarstwie, a cesarz ma z głowy masę kłopotów – stwierdził Krzysztof Wirtemberski, westchnął głęboko i poprosił Giulię, by dokładnie mu opowiedziała, co wie o planowanym zamachu.

Mogła mu tylko powtórzyć to, co podsłuchiwała. Mówiąc, odniosła wrażenie, że w pokoju robi się coraz mroczniej.

Fuhrenberg też to zauważył, bo rozejrzał się wokół tak wojowniczo, jakby nawet kaprysy pogody zagrażały bezpieczeństwu jego księcia.

– Można by pomyśleć, że już noc nastaje, a przecież niedawno minęło południe – powiedział ksiązę.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nisko, tuż nad dachami domów, zebrały się czarne jak smoła chmury i spowiły wszystko w ciemnościach.

– Nadciąga potężna burza – stwierdził.

Jakby na potwierdzenie jego słów błyskawica rozświetliła mrok. Po uliczkach poniósł się echem grzmot, który sprawił, że szyby zadrżały w oknach.

– Powinniśmy wrócić do Hofburga, zanim rozpada się na dobre – powiedział ksiązę i zaproponował Giulii towarzystwo swoje i Fuhrenberga.

Giulia pokręciła głową, a ksiązę uczynił gest, jakby chciał przepłoszyć jej wątpliwości.

– Nawet Piccolomini nie będzie mógł mieć do was pretensji, jeśli będziecie razem z nami uciekać przed burzą.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Giulia podporządkowała się woli księcia i razem z obydwoma mężczyznami przeszła do holu. Czekał tam na nich już Koloban z trzema służącymi, którzy nałożyli im na ramiona wodoodporne okrycia. Przez otwarte drzwi widać było, że leje jak z cebra. Giulia przyjęła z wdzięcznością ciężką pelerynę z filcu i nałożyła kaptur.

Koloban wyjrzał na zewnątrz z powątpiewaniem.

– Robi się coraz gorzej. Lepiej zostańcie pod moim dachem.

Giulia pokręciła głową.

– Kto wie, jak długo będzie trwać burza. Nie mogę się spóźnić na nieszpory.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła na zewnątrz, prosto w strugi deszczu. Księżę i Fuhrenberg ruszyli za nią.

Deszcz szumiał tak głośno, że nie mogli ze sobą rozmawiać. Biegli w milczeniu bezludnymi uliczkami, przyciskając do siebie peleryny i próbując omijać co większe kałuże na nierównym bruku. Giulia wyprzedziła swych dwóch towarzyszy o kilka kroków. Widząc puste ulice, poczuła się dziwnie. Gdyby ktoś chciał zamordować księcia, to taka niepogoda byłaby mu na rękę. Ledwo zdążyła o tym pomyśleć, gdy między dwoma grzmotami usłyszała brzęk metalu.

– Ten wysoki pośrodku – zawołał ktoś. – To musi być on! Ruszajcie, na nich!

Giulia krzyknęła:

– Uwaga, napad!

W tym samym niemal momencie z luki między dwoma domami wypadli czterej mężczyźni. Dwaj rzucili się na księcia, trzeci na Fuhrenberga, a ostatni z podniesionym mieczem ruszył na Giulie.

Ostrożnie się cofnęła, aby się nie potknąć, bo wtedy byłaby zupełnie bezbronna wobec nacierającego na nią mężczyzny. Poczuła żal, że nie ma w kieszeni pistoletu, który zostawiła w swoim pokoju w Hofburgu. W przyływie rozpaczliwej autoironii pomyślała, że przy tej pogodzie mógłby posłużyć jej jedynie do rzucenia nim w napastnika. Żeby lepiej widzieć bandytę, ściągnęła kaptur.

– To przecież kastrat. Zostaw go w spokoju! – zawołał jeden z zamachowców do jej przeciwnika.

Ten zaśmiał się pogardliwie, odwrócił i ruszył na księcia. Giulia w pierwszym odruchu chciała uciec, ale potem zawrzała gniewem. Nie po to ostrzegła Wirtemberczyka, żeby pozwolić, by usieczono go tu, na ulicy. Fuhrenberg był tak zajęty swoim przeciwnikiem, że nie mógł pójść na pomoc swojemu panu. Księżę bronił się skutecznie, ale wrogowie coraz bardziej spychali go na ścianę. Giulia rozejrzała się rozpaczliwie za czymś, co mogłoby posłużyć jej za broń. Ale w błotnistej mazi, w której grzęzły jej stopy, nie widać było nawet kamienia.

Ciężar mokrej peleryny nasunął jej pewien pomysł. Szybko ściągnęła ją z siebie i narzuciła na uzbrojone w miecz ramię mężczyzny, który właśnie chciał zadać księciu śmiertelny cios. Gwałtownym ruchem pociągnęła ciężki materiał z powrotem do siebie. Broń wypadła skrytobójcy z ręki i odleciała na odległość kilku metrów, po czym wylądowała ze ślizgiem u stóp Giulii, która odruchowo uniosła miecz i wymierzyła w jego właściciela. Mężczyzna nie wiedział, co ma zrobić. Oczami ciskał błyskawice, ale obawiał się ostrza wycelowanego w swoją szyję.

Giulia jeszcze nigdy nie trzymała broni tego rodzaju. Mięśnie napięły jej się boleśnie i ręce zaczęły drżeć. Kątem oka zobaczyła, że Fuhrenberg zranił śmiertelnie swojego przeciwnika, zadając mu pchnięcie w bok, po czym pospieszył na pomoc swojemu księciu. Jej przeciwnik dostrzegł, że się zdekoncentrowała, odskoczył do tyłu i dopadł konającego, żeby zabrać mu broń. Giulia wyczuła, że zaraz znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Obiema rękoma uniosła miecz i zadała cios.

Trafiła mężczyznę w biodro, nie czyniąc mu większej krzywdy. Zraniony krzyknął z wściekłością. W chwili gdy dorwał się do broni martwego już kamrata, dosięgnął go miecz Fuhrenberga, który spadł mu na kark jak z rąk kata. Giulia zobaczyła tryskającą krew i zwymiotowała.

Gdy się wyprostowała, było po wszystkim. Czterej napastnicy leżeli bez życia. Książę stał oparty o ścianę domu. Usta miał boleśnie wykrzywione i trzymał się za lewe ramię, gdzie podarty materiał rękawa coraz bardziej nasiąkał krwią. Deszcz spływał mu potokami po twarzy. Zaśmiał się i powiedział do Giulii:

– Teraz naprawdę uratowaliście mi życie, Casamonte. Po pierwsze, ostrzeżliście mnie w porę, a po drugie, odwróciliście uwagę jednego z szubrawców. Z tyłoma naraz bym sobie nie poradził. Gdy kiedyś będziecie mieli problemy, wiecie, do kogo możecie się zwrócić. Niech mnie diabli w piekle smażą, jeśli nie pomogę wam wszystkimi środkami, jakie mam do dyspozycji.

Tymczasem Fuhrenberg przeszukał trupy.

– Ci obwiesie nie mają przy sobie nic, co mogłoby świadczyć o tym, kto ich nasłał.

Książę wzruszył ramionami, a potem jęknął z bólu.

– Wiemy, kto ich nasłał. Ale nie możemy tego udowodnić i musimy się powstrzymać z oskarżeniami, żeby nie wszczynać niepokoju. – Spojrzał na Giulie i dodał: – Najlepiej będzie, jeśli wrócicie szybko do Hofburga, żeby nikt was nie wiązał z tą sprawą. Fuhrenberg opatrzy mi ranę i wezwie strażników miejskich, niech sprzątną stąd tych obwiesi.

Giulia upuściła na bruk miecz, który wciąż jeszcze trzymała w dłoni. Zaczęła biec szybko, jakby goniły ją furie. Wkrótce znalazła się w bramie zamkowej, potknęła się na oczach uśmiechniętych szyderczo strażników, wpadła do swego pokoju i ściągnęła z siebie mokre ubrania. Szczękając zębami, wsunęła się pod kołdrę i błagała Przenajświętszą Panią, aby to wszystko okazało się tylko koszmarnym snem.

Oficjalnie zamach na księcia Krzysztofa Wirtemberskiego pominięto milczeniem. Nie było żadnego dochodzenia i nikt nie szukał zleceniodawców. Ale i tak aż huczało od plotek. Żaden inny temat nie był w tych dniach roztrząsany równie mocno. Piccolomini nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jego starannie przemyślany plan spalił na panewce. Co gorsza, ludzie snuli przypuszczenia, które niebezpiecznie zbliżały się do prawdy. Wielu domyślało się kulisów czynu, ale nikt nie obwiniał go ani nie oskarżał. Nawet nieprzychylni protestantom nadworni katolicy dawali mu odczuć, że stał się *persona non grata*, a cesarzowa trzymała go na dystans.

Jeszcze większej dezaprobaty doświadczył bawarski książę, który przywiózł zamachowców do Wiednia. Jemu też nikt nie powiedział prosto w twarz, że to on ponosi odpowiedzialność za napaść na Wirtemberczyka. Ale panowie zaczęli go unikać i nie zapraszano go na żadne przyjęcia. W przeciwieństwie do papieskiego posła, który potrafił wykręcić się od odpowiedzialności biblijnymi cytatami i nabożnymi słówkami, Bawarczyk na każdą aluzję reagował wściekłością i uparcie nie przyznawał się do winy. Na koniec zarzucił Krzysztofowi Wirtemberskiemu, że zabił czterech dzielnych bawarskich żołnierzy. Ale jego oskarżenia brzmiały tak niewiarygodnie, że nawet osoby dotąd mu sprzyjające zaczęły powątpiewać w jego niewinność. Relacje między bawarskim despota a cesarzem poważnie się ochłodziły. Wyraźnie widać było, że Maksymilian darzy Albrechta V niechęcią. Mimo swego grubiaństwa Bawarczyk po kilku dniach zrozumiał, że nie jest już mile widziany na wiedeńskim dworze, i zapowiedział, że niebawem wyjedzie.

Giulia zastosowała się do rady księcia Krzysztofa i unikała rozmów o napadzie. Mimo to żyła w ciągłym strachu, że bawarski książę albo Piccolomini dowiedzą się, jaki był jej udział w udaremnieniu zamachu. Mniej bała się papieskiego posła niż Bawarczyka, bo Piccolomini nie mógł nic przedsięwziąć przeciwko niej, gdyż inaczej sam by się ujawnił. Ale po Bawarczyku można się było spodziewać, że zechce się na niej zemścić za śmierć swoich ludzi. Poczwała ulgę, usłyszawszy, że zamierza wyjechać. Jej radość nie trwała jednak długo, bo jeszcze tego samego wieczora, kiedy się o tym dowiedziała, de Vega kazał jej, by po wieczornej mszy udała się do papieskiego posła po nowe instrukcje.

Hiszpan najwidoczniej sądził, że chodzi o nowe pieśni dla cesarzowej, ale Giulia miała złe przeczucia. Serce biło jej mocno, gdy wchodziła do komnaty Piccolominiego. Otwarte skrzynie i kufry świadczyły, że papieski poseł zamierza opuścić Wiedeń. Akurat przeglądał zawartość skrzyń, więc dopiero po chwili zwrócił się do Giulii:

– Muszę wracać do Rzymu, żeby zdać relację Jego Świątobliwości – powiedział, nie patrząc na nią; w jego głosie zabrzmiały gniew i przygnębienie.

Musnąwszy ją niechętnym wzrokiem, wyjrzał na zewnątrz, jakby w ciemnościach nocy chciał dojrzeć coś, co pozwoliłoby mu zgłębić pewne tajemnice.

– Za trzy dni pojedziesz wraz z księciem bawarskim i jego świtą do Monachium – oznajmił. – Cesarzowa będzie wprawdzie rozczarowana, że tak szybko cię traci, ale Albrecht V jest wiernym synem Kościoła, więc należy to docenić i niepotrzebnie nie wzniecać jego gniewu.

Giulia się zawahała. Współpraca z Orlandem di Lasso wydała jej się nęcącą perspektywą, ale

przerażała ją myśl o podróży prosto do jaskini lwa. Rozum mówił jej: „Monachium jest daleko, księżę bawarski na pewno się nie dowie o twoich powiązaniach z Wirtemberczykiem”, ale intuicja ostrzegała ją, żeby tam nie jechać. Giulia próbowała rozpaczliwie wymyślić jakiś przekonujący pretekst, żeby uniknąć podróży na dwór Albrechta. Jeśli po prostu odmówi, będzie to podejrzane. Rozgniewa Piccolominiego, a tym samym też papieża, i nie będzie mogła wrócić do Państwa Kościelnego. Uznała więc, że najlepiej będzie spróbować na razie odroczyć termin wyjazdu, póki nastroje się nie uspokoją.

– Wybaczcie, *monsignore*, ale na razie nie mogę opuścić Wiednia. Mój służący jest ciężko chory. Lekarz uważa, że jeszcze przez dwa tygodnie powinien leżeć w łóżku. Gdy dojdzie do siebie, wówczas będę mógł wyruszyć do Monachium.

Piccolomini poczerwieniał z gniewu i uderzył dłonią w stół.

– Ty nędzny kastracie, masz się mnie słuchać, rozumiano? Księżę bawarski chce, żebyś jechał teraz, a więc pojedziesz. Jak się będziesz ociągał, to miej pewność, że już nigdy nikt nie zapłaci ci ani grosza za twój śpiew.

– Proszę was tylko o kilka dni zwłoki.

– Nie! Pojedziesz razem z księciem albo będziesz żałował swego nieposłuszeństwa aż po kres swoich dni.

Giulii nie mieściło się w głowie, że mogłaby zostawić w Wiedniu Beppę i Assumptę. Przez moment chciała rzucić się posłowi do stóp i błagać go, żeby pozwolił jej zostać. Jego twarz była jednak tak odpychająca, że nie miało sensu z nim rozmawiać. Wyglądał jak mężczyzna, który poniósł sromotną porażkę i teraz chwycił się każdej deski ratunku, żeby uchronić się przed pójściem całkiem na dno. W tym celu najwidoczniej gotowy był poświęcić wszystko i każdego, także ją. Stłumiła łzy, które napłynęły jej do oczu, skłoniła się lekko i opuściła pokój.

Szła korytarzami Hofburga, a w jej głowie szamotały się myśli jak spłoszone ptaki. Jeśli wyruszy w podróż sama, bez Assumpty, nie zdoła długo maskować swej prawdziwej płci. Ale nie może przecież zmusić służącej, by ta zostawiła chorego męża, bo jeszcze przeniesiono by go do jakiegoś hospicjum dla biedaków, aby tam skonał. Z kolei jeśli nie zastosuje się do rozkazu Piccolominiego, wówczas poseł na pewno zrealizuje swoją groźbę. Przez głowę przeleciała jej myśl, żeby prosić o pomoc Krzysztofa Wirtemberskiego. Księżę mógłby ją zabrać do swojej ojczyzny. Ale wówczas byłaby uważana za heretyczkę i nie mogłaby się pokazać ani w Państwie Kościelnym, ani w żadnym innym katolickim kraju. I choć łamała sobie głowę, żeby znaleźć wyjście z tej fatalnej sytuacji, nie potrafiła nic wymyślić.

Przypomniała sobie, z jakimi oczekiwaniami przybyła do Wiednia. To miał być początek naprawdę wielkiej kariery. Spodziewała się, że będzie w przyszłości występować na różnych dworach książęcych. A teraz groziło jej, że utraci wszystko. Vincenzo już ją porzucił, a ona mogła mieć pretensje tylko do siebie, że tak się stało. Teraz potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek. Musiała dokonać wyboru między posłuszeństwem, jakie winna była papieżowi i jego posłowi, a dobrem dwojga ludzi, którzy zawsze okazywali jej miłość i troskę. Gdyby mogła zostawić Beppę pod opieką Vincenza, wszystko dobrze by się ułożyło. Assumpta na pewno nie zechce puścić jej samej w podróż, ale Giulia nie pozwoli, by Beppo został zdany na łaskę losu. Biednej Assumpcie chyba pękłoby serce. I nie tylko jej. Giulia wiedziała, że nie zdobędzie się na takie okrucieństwo wobec wiernych sług. Przerażały ją jednak groźby Piccolominiego. Będzie skończona, jeśli on dotrzyma słowa i ogłosi ją *persona non grata*.

Pamiętała aż zanadto dobrze, jak jej się wiodło w Mantui po przegraniu zawodów wokalnych z Giacomem Bellonim. Wtedy nawet prości mieszczanie odwrócili się do niej plecami. Teraz też by tak było, a nawet jeszcze gorzej. Bez referencji wysoko postawionej osoby nie mogła liczyć na lukratywny angaż, a jeśli sprzeciwi się woli Piccolominiego oraz księcia bawarskiego, będzie mogła śpiewać wyłącznie na jarmarkach albo nawet nie pozostanie jej nic innego, jak zostać żebraczką. Poinformowała Assumptę o żądaniu Piccolominiego i swoich obawach.

Służąca popatrzyła na nią przerażona i się przeżegnała.

– Przenajświętsza Panienko! Ten wielki pan nie może przecież być aż tak okrutny. Nie, nie, na pewno źle go zrozumiałaś. Przecież kilka dni nie robi mu żadnej różnicy. Popatrz na Beppa. Czuje się już dużo lepiej. Zobaczysz, za tydzień znów będzie skakał jak żrebak. Wtedy wynajmiemy powóz i pojedziemy sobie spokojnie do Monachium.

Beppo usiadł i pokiwał głową.

– Assumpta ma rację. Twojej matce obiecaliśmy przed Bogiem, że nigdy cię nie zostawimy, i nie zamierzamy tego zrobić. Lekarstwa od lekarza wreszcie zaczęły działać i czuję się już dużo lepiej.

Istotnie, jego stan mocno się poprawił, ale wciąż jeszcze wyglądał na tak słabego, że Giulii niemal pękało serce. Ale oczy nie błyszczały mu już od gorączki i łatwiej mu było oddychać. Zapewne potrzeba jeszcze kilku tygodni, żeby mógł wyruszyć w podróż. Nagle Giulie olśniło, co mogłaby zrobić, chociaż nie do końca jej się to podobało. Podeszła do łóżka i chwyciła Beppa za rękę.

– Nie ma i nie będzie ludzi wierniejszych niż wy. Zawsze mogłam na was liczyć i ja też was nie zawiodę. Muszę jechać do Monachium, bo inaczej nigdzie nie dostanę angażu. Wtedy i wy będziecie pozbawieni środków do życia. Nie mogę wam tego zrobić. Ale wiem, kto nam pomoże. Jeszcze dzisiaj pójde do hrabiego Kolobana i poproszę go, żeby się wami zajął. Na pewno znajdzie dla was ciepłą izbę, w której ty, Beppo, wreszcie wyzdrowiejesz, a gdy znów będziesz zdalny do podróży, hrabia wsadzi was do powozu i każe zawieźć do Monachium. Księżę Albrecht na pewno da mi do dyspozycji służącego lub służącą, aby ktoś dbał o moje ubrania. Przez kilka tygodni poradzę sobie sama.

Zdawała sobie sprawę, że w jej głosie brakuje przekonania, ale musiała wierzyć, że to najlepsze rozwiązanie, i być silna jak nigdy dotąd.

Assumpta uniosła barki, jakby było jej zimno, choć w kominku palił się ogień.

– Nie lubię przebywać wśród tych obcych ludzi, których mowy nie rozumiem.

– W Wiedniu można spotkać ludzi, którzy mówią po włosku. Zostawię wam tyle pieniędzy, że starczy wam na życie i na lekarza, a hrabiemu Kolobanowi zwrócę koszty waszej podróży. Jestem przekonana, że będzie wam dobrze u tych ludzi. Jutro pójde tam najwcześniej, jak się da, i przekażę hrabiemu moją prośbę.

Giulia rzuciła okiem na lekarstwa Beppa i uznała, że przed podróżą uzupełni ich zapasy. Należało się to dzielnemu służącemu. Assumpta była zbyt bezradna, a na obcych służących Giulia nie chciała polegać. Przytuliła Assumptę i pocałowała ją w pomarszczony policzek.

– Wszystko będzie dobrze. Nie przejmuj się.

Życzyła jej dobrej nocy i ruszyła ku drzwiom, żeby udać się do swego pokoju. W progu jeszcze raz się obróciła. Assumpta patrzyła ponuro przed siebie, głośno pociągając nosem, w końcu ciężko wstała i poszła za swoją panią, żeby pomóc jej przy zdejmowaniu odzienia.

Następnego ranka Giulia w pierwszej kolejności poszła do lekarza i kupiła dużą ilość wyciągów roślinnych i maści. Filibert Scharrnagl obiecał, że przynajmniej dwa razy w tygodniu będzie zaglądał

do Beppa.

– Gdy wczoraj rano badałem waszego służącego – powiedział – miałem wrażenie, że niedługo znów stanie na nogi. Wydaje mi się, że możemy mówić o cudzie. Bóg Ojciec i Przenajświętsza Panienska zlitowali się nad nim.

Giulia uśmiechnęła się z ulgą.

– Gdyby człowiek nie wierzył w cuda, życie stałoby się zimne i puste. Dziękuję Matce Boskiej i wszystkim świętym za pomoc. Ale jest w tym i wasza zasługa. Wiele zrobiliście, aby doszło do tego cudu.

Scharrnagl podał jej dłoń.

– To był mój obowiązek. Życzę wam szczęśliwej podróży, Casamonte, i wielu sukcesów w Monachium. Książę Albrecht jest podobno znawcą sztuki i szczerze wynagradza tych, którzy przypadną mu do gustu.

– Bardzo by mnie to uradowało. A teraz zostańcie z Bogiem.

Giulia wzięła pakiecik z lekarstwami i opuściła małą, ciasną pracownię lekarza przy Stiegengasse. Będąc już na ulicy, spojrzała za siebie i zobaczyła Scharrnagla w małym oknie na drugim piętrze. Stał i patrzył w ślad za nią. Kiwnęła mu ręką i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku Hofburga. Gdy dochodziła do drzwi swego pokoju, z naprzeciwka wyszedł do niej służący, który zawsze przekazywał jej polecenia od Piccolominiego. Giulii mocniej zabiło serce. Spojrzała na niego w oczekiwaniu, ale on tylko zerknął na nią z ukosa i bez słowa poszedł dalej, jakby miał coś na sumieniu. Giulia poczuła niepokój i zaraz potem zapytała Assumptę, czy zaglądał do nich lokaj Piccolominiego.

Zdenerwowana służąca pokręciła głową.

– Wydawało mi się, że słyszę za drzwiami jakieś odgłosy, i wyszłam na korytarz. Stał tam ktoś, dokładnie na wprost. Gapił się ponad moim ramieniem na Beppa, jakby chciał go z miejsca wyrzucić z Hofburga. Zapytałam go, czego chce, ale on się odwrócił i szybko oddalił.

Giulia prychnęła jak mały kotek.

– Piccolomini chciał chyba sprawdzić, czy oddaliśmy już Beppa do hospicjum. Ale nie pozwolę, żeby wywierał na mnie naciski. Nie martw się, zaraz po obiedzie wyjdę, żeby załatwić wam jakieś lokum.

Assumpta i Beppo z powrotem się uspokoili i gdy Giulia kilka godzin później ruszyła w drogę do pałacu Kolobanów, życzyli jej powodzenia. W skrytości ducha miała nadzieję, że spotka tam Vincenza, ale nigdzie nie było go widać. Służący, który zaprowadził ją do jaśnie państwa, też nie potrafił powiedzieć, kiedy Vincenzo znów się pojawi.

Hrabia i hrabina przywitani Giulie z radością, ale i z domieszką smutku, bo wiedzieli, że przez długi czas nie zobaczą śpiewaka.

Po wymianie paru grzeczności Giulia przekazała swoją prośbę. Hrabina zerknęła na męża, a gdy ten skinął przyjaźnie głową, uśmiechnęła się do Giulii uspokajająco.

– Nie martwcie się już. W ogrodzie stoi niewielki domek z kominkiem i paleniskiem. Ci ludzie mogą tam zamieszkać, zanim będą mogli do was dojechać. Zadbam, by mieli dość opału i jedzenia. Nie chcę też waszych pieniędzy. Ale mam pewną prośbę.

Giulia pocałowała ją w rękę i spojrzała pytająco.

– Chętnie, jeśli tylko będę w stanie pomóc.

– Proszę, zaśpiewajcie dla mnie jeszcze raz. Gdy będę was wspominać, chcę pamiętać piękne

chwile, a nie myśleć o napadzie i próbie zabójstwa.

– Mówisz tak, jakby Casamonte jeszcze nigdy u nas nie śpiewał – napomknął Koloban.

Hrabina spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Ale jeszcze nigdy tylko dla mnie.

Koloban westchnął.

– Cieszę się, że nie jesteście mężczyzną, Casamonte. W przeciwnym razie chyba spłonąłbym z zazdrości. Och, wybaczcie! Nie chciałem was urazić, ale tu, w Wiedniu, nie jesteśmy przyzwyczajeni do przebywania w towarzystwie kas... osób takich jak wy.

– Wcale mnie nie uraziliście.

Giulia uśmiechnęła się do niego i przyjęła pozycję do śpiewu. Przez następne dwie godziny zatonała całkowicie w muzyce i powróciła do rzeczywistości, gdy skończyła ostatnią pieśń.

Koloban patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. Skłonił się i powiedział:

– Śpiewacie piękniej niż aniołowie!

Jego żona dygnęła przed Giulią jak przed cesarzem.

– Jesteście cudowni, Casamonte. Jakże żałuję, że musicie opuścić Wiedeń. Będę się modlić, byście znów tu do nas wrócili.

– Dziękuję wam.

Giulia na moment zamknęła oczy i głęboko westchnęła. Czuła się wspaniale, mając przyjaciół i admiratorów, którzy kochali muzykę dla jej walorów, a nie dlatego, że rozbrzmiewa ona dla chwały Pana. Gdy chciała się już pożegnać, Koloban sobie o czymś przypomniał.

– Poczekajcie chwilę – poprosił i wyszedł z pokoju. Wrócił z dwiema paczuszkami w dłoni. – Krzysztof Wirtemberski żałuje, że nie mógł się z wami pożegnać osobiście, ale opuścił Wiedeń, żeby uniknąć kolejnej kłótni z księciem bawarskim. Prosił, żeby wam to dać. – Podał Giulii najpierw większą z dwóch paczek, potem mniejszą. – A to prezent ode mnie i mojej żony, takie małe podziękowanie za wiele cudownych godzin, kiedy słuchaliśmy waszego śpiewu.

Giulia popatrzyła na oba prezenty i nie wiedziała, co powiedzieć. Oczy napełniły jej się łzami.

– Tak mi przykro, że muszę wyjechać z Wiednia.

– Nam też – odpowiedziała hrabina i podała jej jedwabną chusteczkę. – Zatrzymajcie ją. Niech wam zawsze o mnie przypomina.

– Dziękuję! Dziękuję za wszystko. Jesteście tacy dobrzy. Mało jest takich ludzi jak wy.

Giulia znów musiała otrzeć sobie łzy z oczu, hrabina również wyglądała na mocno wzruszoną.

„Czy jeszcze kiedyś będę gdzieś tak ciepło przyjmowana jak tutaj?” – pomyślała Giulia, idąc za służącym prowadzącym ją do wyjścia. Było jej bardzo ciężko opuszczać ten gościnny dom.

Godzinę później stała w dworskiej kaplicy, w tym samym miejscu co zawsze. Miała zaśpiewać do wieczornej mszy, która od przyjazdu księcia Albrechta odbywała się tu trzy razy w tygodniu. Albrecht V siedział z przodu, blisko cesarza, i z zadowoleniem przyglądał się Giulii, jakby była cennym przedmiotem, który niedawno nabył.

Następnego ranka, dzień przed wyjazdem, Giulie wyrwał ze snu przeraźliwy krzyk. Zaspana wyskoczyła z łóżka i zataczając się, pobiegła do drugiego pokoju. Assumpta leżała na Beppie i w rozpaczę waliła czołem w ścianę.

– Nie żyje! – krzyczała nieludzkim głosem. – A przecież wczoraj tak dobrze się czuł! Jak Bóg może być taki okrutny?

Giulia podniosła ją i objęła, próbując pocieszyć. Spojrzała przy tym na sztywną i bladą twarz Beppa, która wyglądała jak ulepiona z wosku. Mężczyzna miał zacięty wyraz twarzy, jakby do ostatniej minuty walczył ze śmiercią. Mimowolnie sięgnęła po butelkę z wyciągiem makowym, którą wczoraj przyniosła od lekarza. Była całkowicie pusta, jedynie na dnie pozostało kilka kropel. Nagle Giulia poczuła w głowie przeraźliwą pustkę. Czy Beppo sam wypił eliksir, który leczy w małych dawkach, a w dużych zabija, żeby nie być dla niej ciężarem? Nie mogła tego sobie wyobrazić. Gdy powiedziała mu i Assumpcie o małym domu w ogrodzie Kolobanów, Beppo naprawdę się uradował. Już zaczął wstawać na nogi, był w stanie przejść kilka kroków, a zamknięcie w grubych murach pałacu bardzo mu doskwierało.

Tak więc Giulia doszła do jedyne­go możliwego wniosku – ktoś musiał wieczorem wykorzystać krótką nieobecność Assumpty, wślizgnąć się do pokoju i otruć bezbron­nego, chorego mężczyznę za pomocą jego własnego lekarstwa. Ona i Assumpta uważały, że Beppo zasnął wczoraj głębokim, ozdrowień­czym snem, a w istocie był to sen śmiertelny. Giulia zacisnęła pięści i zęby, bo wyraźnie sobie przypom­niała, jak poprzedniego dnia spotkała na korytarzu lokaja. Nie chciała nikogo podejrzewać, ale wielu ludziom nie podobało się, że zamierzała zostać dłużej w Wiedniu ze względu na służącego.

Teraz już nie musiała przejmować się zdrowiem Beppa, ktoś uwolnił ją w okrutny sposób z troski o niego. Przemawiając uspokajająco do Assumpty, schowała dyskretnie buteleczkę do kieszeni. Miała nadzieję, że służąca nie dostrzeże braku lekarstwa. Giulia chciała, by kobieta pozostała w przekonaniu, że Beppo zmarł z woli Boga, a nie z własnej albo cudzej ręki. To by jeszcze bardziej przygnębiło zrozpaczoną po utracie męża kobietę.

Gdy Assumpta jako tako się uspokoiła i usiadła na brzegu łóżka, cicho łkając, Giulia oznajmiła:

– Sprowadzę księdza i dowiem się, gdzie możemy pochować Beppa.

Assumpta uniosła głowę i popatrzyła na Giulie, jakby właśnie sobie przypom­niała, że mimo śmierci męża ma swoje obowiązki. Wskazała na koszulę Giulii, pod którą można było dojrzeć zarys piersi. Pokręciła głową i powiedziała:

– Chcesz iść między ludzi tak odziana? Jak cię wróble zobaczą, będą z dachu ćwierkać, kim naprawdę jesteś. Pójdziesz teraz do swojego pokoju i się ubierzesz. Chodź, pomogę ci. Potem możesz wezwać księdza.

Giulia spojrzała po sobie i przestraszona pobiegła do swojej sypialni. Assumpta poszła za nią, pochlipując, i nie puściła jej na zewnątrz, póki nie była zadowolona z jej wyglądu.

W pokoju Piccolominiego gościł właśnie ksiądz, który natychmiast zaofiarował się, że pomoże Giulii i przeprowadzi konieczne ceremonie. Ta okoliczność oraz przesadnie zadowolona mina

Piccolominiego utwierdziły Giulie w przekonaniu, że Beppo nie targnął się na własne życie. Trudno byłoby jej żyć z myślą, że biedak popełnił samobójstwo, bo dla samobójców niebo jest zamknięte, nawet jeśli na ziemi byli porządnymi ludźmi. Uważała to za mocno niesprawiedliwe. Dlaczego człowiek wierny, uczciwy, który nikomu poza sobą samym nie wyrządził szkody, miał być skazany na wieczne potępienie? Morderca i rabuś, który dopiero w godzinie śmierci okazał skruchę, mógł zaś liczyć na Bożą łaskawość?

Giulia zastanawiała się, czy tylko Piccolomini przyczynił się do śmierci Beppa, czy może maczał w tym palce także książę Albrecht. Żaden z nich nie mógł wiedzieć o tym, że znalazła dobre lokum dla swoich służących, aby móc spokojnie wyjechać do Monachium. Lokaje Bawarczyka z pewnością dowiedzieli się, że z powodu choroby Beppa nie chce opuścić Wiednia, i mogli donieść o tym swemu panu. Dla takiego człowieka jak Albrecht V, niepotrafiącego znieść sprzeciwu, chory służący był przeszkodą, którą można bez problemu usunąć. A w przeciwieństwie do papieskiego posła miał do dyspozycji wielu ludzi gotowych bez wahania popełnić morderstwo.

Żeby nie zwariować od tych wszystkich podejrzeń, Giulia skierowała swoje myśli na pogrzeb. Żałośnie mały kondukt odprowadzał Beppa do grobu. Poza nią i Assumptą za trumną szli tylko ksiądz, grabarz i jego pomocnicy. Giulia najbardziej rozżalona była nieobecnością Vincenza. Jeszcze zanim poszła do Piccolominiego, wysłała służącego do pałacu Kolobanów, żeby go poinformował o śmierci Beppa. Ale Vincenzo nie przyszedł.

Padało, a zimny wiatr targał koronami drzew, strącając mokre liście. Ksiądz wymawiał swoje formułki szybko i niewyraźnie. Jeszcze zanim powiedział ostatnie „amen”, odwrócił się na pięcie i pospiesznie oddalił w kierunku plebanii. Giulia otarła sobie z twarzy deszcz i łzy i przytuliła rozdygotaną Assumptę.

– Nieważne, dokąd pojedziemy, Beppo na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Assumpta chwyciła jej dłonie, jakby były one dla niej jedynym oparciem.

– Ja i Beppo przeżyliśmy razem ponad dwadzieścia lat. Nie mogę uwierzyć, że to już koniec.

Giulii przychodziły na myśl różne słowa, ale żadne nie wydawało się w tym momencie odpowiednie. Patrzyła na grabarza, który postękiwał przy pracy i głośno narzekał na pogodę. Wręczyła mu kilka monet, żeby się wreszcie uciszył. Skłonił się nisko i szeroko uśmiechnął, najwidoczniej napiwek mocno go uradował. Gdy on i jego pomocnicy uciekli w końcu, chcąc się schronić przed deszczem, Assumpta złożyła kwiaty na małym wzgórku usypanym z ziemi, pod którym leżało ciało jej męża, i zaczęła się modlić w ojczystym języku. Giulia splotła dłonie i wtórowała jej żarliwie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Dlatego się wzdrygnęła, gdy do ich wspólnej modlitwy dołączył głos trzeciej osoby. Odwróciła się i zobaczyła za sobą Vincenza, który mimo złej pogody zjawił się tu z odkrytą głową, ubrany jedynie w koszulę i spodnie. Osłupiałym wzrokiem patrzył na grób. Gdy przebrzmiały ostatnie wersy długiej modlitwy, objął w milczeniu Assumptę i spojrzął przy tym na Giulie wzrokiem zbitego psa.

– Dopiero co otrzymałem wiadomość o śmierci Beppa. Gdybym wiedział, że z nim aż tak źle, przyszedłbym wcześniej.

Giulii wydawało się, że słyszy w jego głosie lekki wyrzut, i się zirytowała.

– Beppo czuł się dużo lepiej. Nic nie wskazywało na to, że tak nagle umrze.

Vincenzo wyciągnął rękę w kierunku Giulii, ale nie śmiał jej dotknąć.

– Wciąż jeszcze jesteś na mnie zły? Przez cały czas chciałem do ciebie przyjść i prosić cię o wybaczenie, ale się bałem, że mnie odrzucisz.

W jego słowach zabrzmiała taka rozpacz i szczerłość, że gniew Giulii momentalnie stopniał wbrew jej własnej woli. Odchyliła głowę i spojrzała mu w oczy, ale nie potrafiła długo wytrzymać jego błagalnego wzroku. Wyglądał naprawdę kiepsko. Wymięty, wychudzony, z podkrążonymi oczami, jakby sam był po ciężkiej chorobie. Giulii przeszło przez głowę, że jego aparycja jest raczej efektem nadużywania alkoholu i braku snu. No cóż, niektórzy mężczyźni już tak mają, że szukają zapomnienia w winie. Rozum przypominał jej o doznanym upokorzeniu, ale jej serce tak mocno biło dla Vincenza, że wyciągnęła w jego kierunku rękę.

– Nie rób mi tego już nigdy więcej, bo nasze drogi będą się musiały rozejść na zawsze – powiedziała.

Nie była pewna, czy chce go przestrzec, żeby nie stawiał jej w tak przykrych sytuacjach, czy raczej zażądać od niego, aby trzymał się z dala od innych kobiet.

Assumpta spojrzała na Giulie i pokręciła głową z dezaprobatą. Potem podeszła do Vincenza i powitała go z wyraźną ulgą.

– Jak to dobrze, że znów jesteście z nami, panie Vincenzo. Bałam się, że ja i panicz Giulio będziemy musieli podróżować dalej sami.

Vincenzo uśmiechnął się teraz prawie wesoło i poklepał ją po ramieniu.

– Nie bój się, będę troszczył się o was oboje. Danilo powiedział mi, że Monachium jest uroczym miasteczkiem. Na pewno się nam spodoba.

Nagle także dla Giulii podróż do Monachium przestała być taka przerażająca. Miała wrażenie, że właśnie przebudziła się z koszmaru i zaświeciło dla niej słońce. W myślach po raz ostatni pożegnała się z Beppem, a wszystkie przypuszczenia dotyczące jego śmierci zepchnęła w najdalsze zakamarki pamięci. Teraz miała stawić czoła przyszłości.

Gdy wrócili do Hofburga, na Dziedzińcu Szwajcarskim służący ładowali właśnie bagaże do powozów bawarskiego księcia. Był to widoczny znak, że ich czas w Wiedniu też się kończył.

Nikt z ich trojga nie dostrzegł barona Falkensteina, który wpatrywał się w nich wzrokiem pełnym nienawiści. Do uszu szambelana doszły niedawno plotki, że jego żona zadała się z Vincenzem. Zraniony małżonek przysiągł sobie w duchu, że krwawo zemści się na nim i na kastracie.

CZEŚĆ SZÓSTA

Vincenzo

Giulia otworzyła drzwiczki powozu i spojrzała w kierunku południowym. Wreszcie nie mieli przed sobą wysokich gór, których widok przyprawiał ją o coraz większą melancholię. Pod nimi błyszczało błękitne jezioro Garda, a za nim rozciągała się równina, przez którą przepływał Pad. Właściwie powinna być szczęśliwa, że znalazła się z powrotem w rodzinnych okolicach, a zimne północne kraje zostawiła za sobą.

Chcąc nie chcąc, pomyślała o Beppie, który już od wielu miesięcy spoczywał w obcej ziemi. Po jego śmierci Assumpta mocno się postarzała, dokuczały jej różne dolegliwości i ciągle mówiła o śmierci i niebie, gdzie miała nadzieję znów zobaczyć męża. Po raz kolejny Giulia pomyślała, że jako rzekomy kastrat zapłaciła dużą cenę za swe sukcesy.

Doskonale pamiętała brawa i nagrody, których ostatnio jej nie szczędzono. Musiała przyznać, że jedno i drugie sprawiało jej przyjemność. Gdy ostatniej jesieni opuścili Wiedeń, początkowo nic nie wskazywało, że ich dalsza podróż będzie pasmem takich sukcesów. Jej pobyt w Monachium był bardziej udany, niż się spodziewała. Albrecht V może i był nietolerancyjnym, szorstkim i małodusznym władcą, ale wobec tych, których sobie upodobał, okazywał wspaniałomyślność. Giulia miała to szczęście. Księżę najchętniej zatrzymałby ją na swoim dworze na stałe, podobnie jak Orlanda di Lasso, który był w Monachium kapelmistrzem.

Flamandczyk w niczym nie przypominał cenionego we Włoszech Palestriny. On i jego muzyka bardzo przypadły Giulii do gustu. W Monachium wykonywała niektóre jego dzieła – zarówno w kaplicy książęcego dworu, jak i w kościele Najświętszej Marii Panny. Wiele się przy tym nauczyła. W jej repertuarze oprócz nowych łacińskich pieśni znalazło się też kilka niemieckich, które tu, we Włoszech, będzie mogła śpiewać tylko dla własnej przyjemności. Di Lasso nauczył ją nie tylko pobożnych utworów, ale też kilku tekstów z mocno pikantną treścią, jakich mężczyźni lubią słuchać w swoim gronie podczas popijania wina. Nawet duchowni bili jej z zachwytem brawa, gdy je wykonywała, chociaż wiernych straszą piekielnymi mękami nawet za grzeszne myśli.

Giulia uśmiechnęła się do siebie. „Mężczyźni w każdym kraju są do siebie podobni – stwierdziła w duchu. – Nieważne, czy noszą odzienie mieszczanina, szlachcica czy sutannę”. Vincenzo nie był pod tym względem wyjątkiem, bo podczas dwuznacznych pieśni często akompaniował jej na lutni i mrugał do niej porozumiewawczo.

Przeniosła na niego spojrzenie. Najwygodniej jak mógł, rozsiadł się po drugiej stronie powozu. Teraz – mimo tych wszystkich zmartwień, których przysporzył jej w Wiedniu – panowała między nimi zgoda. Giulia uważała go za troskliwego i sympatycznego kompana.

Bardzo się starał, by uprzyjemnić jej i Assumpcie podróż i pobyt w różnych miastach. Giulii zdawało się, że stale próbuje zrekompensować jej te wszystkie okropne rzeczy, które działy się w Wiedniu. Wprawdzie nie potrafiła tego do końca zapomnieć, ale już mu wybaczyła i czuła się w jego obecności szczęśliwa i odprężona. Gdy była sama, dopadały ją jednak wątpliwości i lęki, których nie potrafiła sobie wyjaśnić. A przecież jak na razie nie spotkał na swej drodze drugiej takiej hrabiny Falkenstein i prawdopodobnie nie zadawał się z żadną z wielu kobiet, które robiły do niego piękne oczy albo nawet bezwstydnie mu się oferowały.

Mimo to Giulia kilka razy czuła zazdrość, widząc, że Vincenzo ma takie powodzenie u płci przeciwnej. Niewiele brakowało, a odsłoniłaby przed nim swoją naturę i sama rzuciła mu się na szyję. Ale bała się jego reakcji. Czy nie miałby do niej pretensji, że oszukiwała go przez tyle lat i kłamała mu prosto w oczy? A nawet gdyby jej to wybaczył, ich relacje nie byłyby już takie same. Jeśli mu powie, jak bardzo pragnie jego miłości, zniszczy być może przyjaźń, którą oboje z trudem zbudowali. Mężczyźni reagują często emocjonalnie i nieracjonalnie. Ich postępowaniem częściej rządzi zraniona duma albo próżność aniżeli zdrowy rozsądek. Na dodatek najczęściej nie traktują kobiet poważnie. Dlatego nie miała odwagi, by bezgranicznie zaufać Vincenzowi, a bez tego nie mogła przed nim zdjąć maski kastrata.

Nie było konieczności, żeby zmieniać aktualną sytuację. Nie chciała wystawiać na szwank ich relacji z powodu własnej zazdrości. Taki przyjaciel jak Vincenzo, z którym dzieliła miłość do muzyki i który trwał przy niej, kiedy tego potrzebowała, był darem od Boga. Każdego dnia dziękowała za to Matce Boskiej. Ale jednocześnie czuła gorycz, że nie może być dla niego nikim więcej.

Ostrzegał ją przed tym wewnętrzny głos, który ciągle jeszcze był silniejszy od jej tęsknoty za bliskością Vincenza. Podczas podróży nie widywała śpiewających publicznie kobiet, nie licząc heretyckich nabożeństw w Wiedniu i kilku brudnych Cyganek, które wykonywały proste piosnki na jarmarkach, aby przyciągnąć klientów do swych prymitywnych bud i zwrócić ich uwagę na egzotyczne zwierzęta, połykaczy ognia czy dziwne ludzkie potworki. Gdyby wyjawiała swoją tajemnicę Vincenzowi, nie mogłaby już prawdopodobnie doświadczać tego wspaniałego uniesienia, jakie wywoływali w niej swoją muzyką tacy kompozytorzy, jak Palestrina, Gabrieli czy Orlando di Lasso. Od tej pory zamknięte byłyby dla niej wielkie kościoły i katedry, w których śpiewała msze, chorały i psalmy. Nie, nie chciała i nie mogła tak ryzykować. A co gorsza, jedno fałszywe słowo Vincenza albo gest sympatii wykonany w obecności innych zdradziłyby ją i doprowadziły przed sąd kościelny, który znał tylko jedną karę dla czarownic, heretyków czy sodomitów: tortury i śmierć w ogniu.

Próbowała otrząsnąć się z melancholii, która znowu chciała zawładnąć jej duszą. Oparła się wygodniej o oparcie ławki i zaczęła wspominać sukcesy odniesione po wyjeździe z Monachium. Szlak ich podróży wiódł przez takie miasta, jak Salzburg, Bolzano i Trydent. Zmierzając na południe, zatrzymywali się na kilka tygodni w każdym z miast biskupich. Wszędzie była serdecznie witana, a niektórzy żegnali ją nawet ze łzami w oczach. Jedynie książe biskup Johann Jakob von Kuen-Belasy z Salzburga okazał się niezbyt wspaniałomyślny. Nie potrafił docenić jej sztuki i należycie go wycenić; własny kucharz znaczył dla niego więcej niż śpiewak.

Teraz jechała do Werony. Dowiedziała się od posłańca, że już tam na nią tęsknie czekają. Cieszyła się, że będzie mogła wystąpić w tym mieście, i zastanawiała się, czy nie powinna potem pojechać do Wenecji. Dostała polecenie od papieża, żeby wrócić do Rzymu najpóźniej w adwencie. Miała śpiewać tam podczas różnych uroczystości i ważnych mszy. Do tego czasu zostawił jej wolną rękę i poza kilkoma narzuconymi jej występami mogła dowolnie sobą dysponować. Postanowiła, że porozmawia z Vincenzem o dalszej podróży, i zamknęła oczy, żeby jeszcze trochę powspominać piękne chwile.

Z marzeń na jawie wyrwało ją gwałtowne dudnienie pojazdu. Przerazona wyjrzała przez okno i zobaczyła wąż tak głęboki, jakby prowadził do wnętrza Ziemi. Droga wiodła wąską, stromą serpentyną w dół, a woźnica miał problem z utrzymaniem zaprzęgu. Jego pomocnik skakał jak diabełek z pudełka, usiłując podłożyć pod koła blokadę i na czas się odsunąć. Czepiał się przy tym

powozu jak mała. Przesuwając się po drugiej stronie drzwiczek, wyszczerzył w uśmiechu kilka czarnych luk po spróchniałych zębach i powiedział do Giulii coś w zupełnie niezrozumiałym dialekcie. Giulia skinęła mu przyjaźnie głową.

– Obyśmy szybko znaleźli się w Weronie – powiedziała do Vincenza. – Tu, na południowym zboczu Alp, drogi są jeszcze gorsze, niż to zapamiętałam z naszej podróży do Niemiec. Całe ciało mam poobijane i bolą mnie wszystkie kości.

Assumpta, która nie mogła odwrócić wzroku od przepaści, skinęła gorliwie głową i się przeżegnała.

– Mam wrażenie, że przejeżdżamy tuż koło czeluści piekielnej. Jeśli woźnica zrobi błąd albo spod kół wysuną się kliny, spadniemy na dół i się roztrzaskamy.

Giulia usłyszała w głosie służącej tęsknotę za śmiercią i się otrząsnęła.

– Wolę wysiąść i dalej iść pieszo – oznajmiła.

Vincenzo roześmiał się trochę drwiąco, trochę pocieszająco.

– Droga do Werony zajęłaby ci pieszo co najmniej sześć dni, a powozem dotrzemy tam już jutro. Nie bądź strachliwy jak dziewczyna, Giulio. Wszystko będzie dobrze.

– A jeśli nie, to taka jest wola Boża – dodała Assumpta i przeżegnała się dwa razy.

– Mam nadzieję, że Bóg chce, abyśmy cali i zdrowi dotarli do Werony. – Giulia zaśmiała się dość płaczliwie.

Gdy za następnym zakrętem dojrzała dalszy, jeszcze niebezpieczniejszy kawałek drogi, przeraziła się na dobre. W ciągu następnych godzin tyle razy traciła oddech na widok wiszących nad nimi ścian skalnych i towarzyszących im z drugiej strony drogi głębin, że była równie wyczerpana, co uradowana, gdy wieczorem dotarli do małego miasteczka Dolcé, gdzie zamierzali przenocować.

Giulia miała teraz większe wymagania niż dawniej. Oczekiwała czystego pokoju i miękkiego, dobrze wywietrzonego łóżka. Cieszyła się, że niebawem będzie mogła odpocząć w zajęździe. Wysokie honoraria, jakie dostawała ostatnimi czasy, pozwalały jej wybierać najlepsze oberże w danej miejscowości. Gdy ich powóz wjechał na dziedziniec, z zajazdu wybiegło kilka usługowych dusz, żeby pomóc im wysiąść z powozu i wyładować bagaż – całkiem inaczej niż za dawnych czasów. Dziewka służebna w czystej czerwonej spódnicy i białej bluzce podała im wodę i suche ręczniki, żeby mogli sobie umyć twarze i ręce, inna wyniosła natomiast na powitanie tacę z kilkoma kubkami wina i talerzem pełnym racuchów.

Giulia zjadła racucha i popiła go tutejszym delikatnym i aromatycznym winem. Gdy Vincenzo rozmawiał z gospodarzem, przeszła się po starannie zamiecionym dziedzińcu i podziwiała okazały zajazd, jego białe ściany i płaski dach w rzymskim stylu, który swoim łagodnym, różowawym kolorem mocno różnił się od ciemnych dachów gontowych Północy. Giulia przyjrzała się ogródkowi, z którego czuć było znajome zapachy ziół, po czym przeniosła spojrzenie dalej, na gęsto porośłe zbocze, którego drzewa i krzewy przypomniały jej o dzieciństwie w Saletto. Tak, to bez wątpienia była Italia. Ale nie potrafiła się cieszyć, że znów jest w ojczyźnie. Miała wrażenie, że na jej rodzinny kraj pada ponury cień. A może to jej dusza była nim spowita.

Żałośnie wzdychając, weszła do zajazdu, gdzie rezolutna dziewczyna służebna zaprowadziła ją do pokoju. Vincenzo wybrał dla siebie sąsiednie pomieszczenie, a ona dostrzegła, że ich łóżka stoją po dwóch stronach jednej ściany. Mimowolnie pomyślała, że dzieli ich dużo grubszy mur niż ta konstrukcja z drewna i kamienia.

– Jesteście kastratem? – Służąca wyrwała Giulie z zamyślenia. – Bo wyglądacie jak kobieta, a

ubieracie się jak mężczyzna.

Giulia się wzdrygnęła. Robiła wszystko, żeby wyglądać jak najbardziej po męsku, ale w ostatnim czasie jej rysy stały się bardziej łagodne, a biodra i piersi krągłejsze. Przypomniła jej się Sebaldi, po którym nie widać było skutków kastracji i póki się nie odezwał, każdy był przekonany, że ma przed sobą normalnego mężczyznę. Ponieważ służąca nadal patrzyła z ciekawością, Giulia uśmiechnęła się do niej.

– Jestem śpiewakiem, nazywam się Casamonte.

Z tej odpowiedzi dziewczyna mogła wywnioskować to, co chciała. Żeby powstrzymać trzpiotkę od kolejnych pytań, Giulia zagadnęła ją o bagaż.

– Tu stoi, panie!

Dziewka wskazała ręką wielki skórzany kufer przy ścianie, który Giulia zamówiła w Monachium, ponieważ był wygodniejszy od jej starej, mocno sfatygowanej wskutek podróży drewnianej skrzyni.

Giulia dała dziewczynie monetę.

– Powiedz gospodarzowi, żeby za pół godziny podał kolację.

Dziewka skinęła głową i zniknęła. Na jej miejsce przysła Assumpta, żeby pomóc Giulii się przebrać. Twarz służącej była tak samo zgaszona i smutna jak w dniu, kiedy Beppo został pogrzebany. Giulia miała nadzieję, że jej służąca się ożywi, gdy znów znajdzie się wśród ludzi mówiących zrozumiałym dla niej językiem. Ale wyglądało na to, że się myliła. Assumpta w milczeniu wypełniała swoje obowiązki. Giulia również się nie odzywała. Bała się, że poruszy w niej czułą strunę, i zadowolona się tym, że Assumpta ubiera ją z taką jak zawsze starannością. Gdy była gotowa, służąca otworzyła przed nią drzwi. Giulia podziękowała jej uśmiechem i pogłaskała pocieszająco po pomarszczonym policzku.

Vincenzo wynajął dla nich na wyłączność salkę jadalną i już się w niej rozgościł. Służące mu nadskakiwały, ale nie zaniebrywały też Giulii. Jedna z nich obrzuciła ją taksującym spojrzeniem i najwidoczniej doszła do wniosku, że Vincenzo jest bardziej interesującym mężczyzną, bo flirtowała z nim, pochylała się tak, żeby mógł zajrzeć jej głęboko w dekolt, i w ogóle zachowywała się tak, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że jest gotowa obsłużyć go na osobności, w jego pokoju.

Zdegustowana Giulia machnęła tylko ręką na bezwstydną zachowanie kobiety. Vincenzo zauważył jej gest i wyciągnął z niego własne wnioski. Przez wiele miesięcy tłumił w sobie uczucia, usiłując być jedynie oddanym przyjacielem i towarzyszem Giulia Casamontego. Ukrył swą namiętność głęboko w sercu. Ciepłe, aromatyczne powietrze Włoch i ciężkie wino, które jak olej spływało mu przełykiem, sprawiły, że nie potrafił dalej się powstrzymywać. Reakcję Giulia zinterpretował jako zazdrość, a z trudem wzniesione w jego duszy mury zaczęły pękać. Roześmiał się z przesadną beztroską i przepił do kastrata. Ucieszył się niezmiernie, że ten odpowiedział mu uśmiechem, w którym dojrzał przychylność i zachętę. Ponieważ nie byli sami, starał się podczas posiłku być tylko i wyłącznie miłym interlokutorem.

Nieco później usiedli we troje na werandzie, patrzyli na niebo usiane gwiazdami i pili najlepsze wino z pobliskiej Valpolicelli. Wstawieni rozmawiali o przyjemnych stronach ich długiej podróży. Nawet Assumpcie poprawił się humor, ale jako pierwsza udała się na spoczynek, żeby móc wstać wczesnym rankiem. Zostawiła swoją panią, ponieważ Giulia wieczorami rozbierała się teraz bez jej pomocy, chcąc ją trochę odciążać.

Niecały kwadrans po odejściu Assumpty Vincenzo też zasugerował, że pora położyć się do łóżka. Giulia chętnie by jeszcze posiedziała, rozkoszując się cudowną atmosferą nocy, ale Vincenzo odesłał

służącą, która chciała im przyświecić, i sam wziął lampę do ręki. Ku zdziwieniu Giulii nie pożegnał się z nią na korytarzu, ale poprosił ją, by pozwoliła mu na chwilę wejść do jej pokoju.

– Zapalę ci lampę – powiedział z uśmiechem.

W jego głosie zabrzmiał dziwny ton, który zaniepokoił Giulię. Najchętniej by go odesłała, ale w ten sposób by go obraziła. A poza tym potrzebowała światła, a nie chciała po nocy wzywać dziewczki służebnej. Otworzyła więc drzwi i odsunęła się, żeby Vincenzo mógł zapalić knot lampy olejnej wiszącej pod sufitem. Gdy rozblęsnął płomień, postawił swoją lampkę na stole, zaciągnął zasłony i zamknął drzwi od środka.

– Wreszcie jesteśmy sam na sam, Giulio. Tak długo na to czekałem.

Spojrzał przy tym na nią z takim pożądaniem, że pomyślała, iż przejrzał jej maskaradę i chce, by oddała mu się w zamian za milczenie. Czuła, że całe jej ciało spina się do obrony. Z trudem przełknęła ślinę.

– Często już bywaliśmy sam na sam, Vincenzo.

– Tak, w ciągu dnia, w jadalniach albo salach bawialnych różnych zajazdów, gdzie w każdej chwili ktoś mógł wejść do środka. Ale dzisiaj nikt nam nie przeszkodzi, nawet Assumpta. Ta noc będzie należeć tylko do nas dwóch.

W oczach Vincenza zalśniło pożądanie.

– Czego chcesz ode mnie?

Serce Giulii waliło jak oszalałe. Czuła, jak rośnie w niej strach. Nienawidziła znajdować się w takich krytycznych sytuacjach.

Nagle Vincenzo ukląkł przed nią i chwycił ją za rękę.

– Giulio, kocham cię. Długo walczyłem z tym uczuciem. Ale już nie potrafię dłużej tak żyć. Pragnę dotykać twego ciała, czuć twoją dłoń na mojej skórze. Tak bardzo chciałbym cię wziąć w ramiona. Wiednę z miłości do ciebie, czy tego nie widzisz? Proszę, Giulio, nie odtrącaj mnie. Okaż mi swą przychylność! Czy to dla ciebie takie trudne?

Giulia zeszywniała. Przez moment miała nadzieję, że Vincenzo przejrzał jej maskaradę, ale on faktycznie nie kochał jej, ale tę nienaturalną istotę, którą odgrywała, którą musiała odgrywać. Ruchem brody wskazała na drzwi.

– Lepiej poszukaj zaspokojenia swoich żądz u tej młodej służącej, która dziś po południu tak do ciebie gruchała. Jak jej na imię? Ach tak, Filippa. Wyraźnie było widać, że jest gotowa oddać ci wszystko.

Vincenzo pokręcił gwałtownie głową.

– Nie chcę kobiety, Giulio. Chcę ciebie. Takiego, jakim stworzył cię Bóg, a nóż cyrulika okaleczył. Nie odrzucaj mojej miłości. Chcę, byś utulił moją tęsknotę. Zrobię wszystko, byś ty też znalazł spełnienie.

Przyciągnął Giulię do siebie, chcąc ją pocałować.

Przełknęła ślinę. Jego słowa nie brzmiały agresywnie ani natarczywie, lecz łagodnie i czule. Przez moment miała wrażenie, że mu ulegnie. Ale to, czego pragnął, napełniało ją odrazą. Była to grzeszna sodomia, nic innego. Odepchnęła go i spojrzała na niego gorejącymi z gniewu oczami.

– Chcesz mnie wykorzystać! Jak jakieś zwierzę! Ale ja się na to nie zgadzam. Odejdź, napawasz mnie odrazą. Nie chcę już nigdy oglądać cię na oczy!

Vincenzo miał na końcu języka zapewnienia, że kocha Giulia. Chciał mu powiedzieć, że niczego nie będzie próbował robić na siłę, że zadowolony jest tym, na co Giulio mu pozwoli. Ale spojrzenie w

twarz kastrata sprawiło, że utracił wszelką nadzieję. Opuścił ramiona, a łzy napłynęły mu do oczu.

– Myślałem, że jesteś moim przyjacielem, Giulio, i że czujesz do mnie coś więcej. Ale byłem dla ciebie najwidoczniej tylko zwykłym towarzyszem podróży. Depczesz teraz moją wierność i miłość, jakbym nagle stał się dla ciebie trędowaty. No cóż, żyj sobie dalej jak do tej pory, bez miłości. Ale już beze mnie. Odepchnąłeś mnie od siebie po raz ostatni.

W jego głosie wyczuwalna była rozpacz wymieszana z gorącą złością, że został tak szorstko odrzucony. Wypite wino sprawiło, że słowa Vincenza zabrzmiały melodramatycznie. Obrócił się gwałtownie plecami do Giulii i bez słowa opuścił pokój.

Na zewnątrz przystanął i zacisnął dłonie w pięści. Był gotowy oddać Giuliovi Casamontemu całą swą miłość i poświęcić resztę życia, a został odrzucony w sposób, jakiego nie potrafił zaakceptować. Przez chwilę chciał wrócić i powiedzieć Giuliovi prosto w oczy, jak bardzo nim gardzi. Ale miał świadomość, że sprawił mu już dość przykrości. Gotów byłby rzucić mu się do stóp, wic się u nich jak robak i błagać o przychyłność, ale nie pozwalała mu na to duma. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków i popatrzył na drzwi własnego pokoju.

Nie, nie mógł tu zostać. Nie chciał spędzić nocy pod tym samym dachem co Giulio, nie chciał tu zostawać ani chwili dłużej. Był tak mocno wzburzony, że nie wszedł nawet do swego pokoju, aby zabrać przynajmniej część rzeczy. Zbiegł po schodach, obudził parobka i kazał mu otworzyć drzwi na zewnątrz.

– Nie możecie zasnąć? – zapytał dobrotliwie mężczyzna, manewrując kluczem w zamku. – To pewnie dlatego, że dziś pełnia. Ja też nie mogę wtedy spać. Gdy będziecie chcieli z powrotem do środka, to zapukajcie, a ja wam otworzę.

Nie dostał odpowiedzi, więc wzruszył tylko ramionami. „Niektórzy podróżni bywają dość osobliwi – pomyślał. – Jak nie śpi w nocy, to jego sprawa. Byle tylko dał dobry napiwek, gdy będzie wracał”.

Ale Vincenzo nie wrócił już do zajazdu. Poszedł ulicą w kierunku południowym. Jasny księżyc rozświetlał mu drogę. Jakiś czas później mijał po prawej jezioro Garda, w którego wodach odbijały się gwiazdy i księżyc. Zszedł wtedy z głównej drogi. Nie obrał jeszcze celu wędrówki, ale nie chciał, żeby Giulio Casamonte dogonił go następnego dnia powozem. Przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie miał z nim nic wspólnego.

Giulia tej nocy nie zmrzyła oka. Początkowo, gdy Vincenzo zaproponował jej uprawianie sodomii, była przerażona, teraz jednak powoli zaczynały się w niej odzywać wyrzuty sumienia. Zarzucała sobie, że sama ponosi winę za tę obrzydliwą scenę. Już dawno temu powinna była mu powiedzieć, kim jest w rzeczywistości. Przecież znała Vincenza od dobrych kilku lat i długo z nim podróżowała. Był lojalnym, pomocnym towarzyszem. Zawsze troszczył się o wszystkie konieczne życiowe sprawy. Takiego człowieka nie odgania się od swojego progu złymi słowami. Poza tym pilnie potrzebowała zaufanej osoby. Należało się spodziewać, że Assumpta wkrótce nie będzie mogła towarzyszyć jej w wozach. Służąca z wiekiem coraz gorzej znosiła uciążliwości podróży.

Wprawdzie Giulia wciąż jeszcze była zła, że Vincenzo przez te wszystkie lata widział tylko jej męską powierzchowność i nigdy nie przyszło mu do głowy, że jest kobietą, ale z drugiej strony miała świadomość, że powinna zrobić pierwszy krok i wszystko mu wyznać. Tuż po północy odrzuciła całkowicie lęki i wątpliwości, podeszła do drzwi Vincenza i zapukała. W środku panowała cisza. Z dziwnym uczuciem w klatce piersiowej nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Gdy weszła do pokoju, stwierdziła, że zasłonki są rozsunięte, a łóżko puste. W pierwszej chwili pomyślała, że Vincenzo rzeczywiście poszedł do dziewczki służebnej Filippy, żeby u niej doznać rozkoszy, jakich odmówił mu kastrat Casamonte. Była wściekle zazdrosna i musiała się mocno powstrzymać, żeby nie wybuchnąć potokiem gniewnych słów.

Minęła dłuższa chwila, nim się uspokoiła. Zastanawiała się, co ma zrobić. Popatrzyła na puste łóżko i się do niego położyła. Gdy Vincenzo wróci, dowie się prawdy. Giulia była gotowa oddać się całkowicie w jego ręce, nieważne, czego od niej zażąda, bo za nic w świecie nie chciała go stracić.

Vincenzo nie wrócił jednak do rana. Giulia miała za sobą najgorszą noc w życiu. Czowała się zmęczona, rozczarowana i zraniona. Nienawidziła go za to, co jej zrobił, a jednocześnie bardzo za nim tęskniła. Wtem ktoś otworzył drzwi. Miała nadzieję, że to on. Ale do środka weszła Assumpta. Widząc swą panią w łóżku Vincenza, nie okazała zdziwienia, tylko zapytała z ulgą i uśmiechem na ustach:

– Czyżbyś wreszcie mu o wszystkim powiedziała?

Jej uśmiech skojarzył się Giulii z szyderczo wyszczerzoną trupią czaszką.

Zaszlochała.

– Obawiam się, że wszystko zepsułam. Vincenzo odszedł.

Assumpta zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Vincenzo odszedł? Nie może być. Przecież widziałam, jak na ciebie patrzy, gdy myśli, że nikt go nie obserwuje.

– On nie zakochał się we mnie, tylko w kastracie, w Giuliu Casamontem.

Assumpta pokiwała głową.

– Nie wyprowadziłaś go więc z błędu?

– Nie! Popełniłam wielkie głupstwo. Powiedział, że to nie taki wielki grzech, jeśli mężczyźni robią to ze sobą. A ja od razu się zezłościłam, bo chciał mnie potraktować po zwierzęcemu.

– Jego słowa na pewno cię przestraszyły, ale... – Assumpta wzruszyła ramionami i uniosła

bezradnie ręce. – Nie ma sensu się na to skarżyć. Po prostu stało się. Jestem pewna, że oboje niedługo znowu się pogodzicie. Wtedy już nie będzie pożądał ciebie w tak grzeszny sposób, chociaż gdy kobieta i mężczyzna żyją ze sobą, nie będąc w związku poświęconym przez Kościół, to też jest grzech. Ale przecież nie moglibyście się pobrać, bo musiałybyś zdradzić swą tożsamość.

Słowa Assumpty przywróciły Giulii nieco nadziei.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie twoje rady.

– Najpierw wróć do swojego pokoju i się ubierz. Jeśli ktoś cię tak zobaczy – pokazała piersi Giulii – twoja maskarada natychmiast wyjdzie na jaw. Potem zjemy śniadanie i pojedziemy dalej. Do tego czasu Vincenzo wróci, a jeśli nie, to na pewno spotkamy go po drodze.

Giulia skinęła głową i gdy tylko Assumpta sprawdziła, czy korytarz jest wolny, pobiegła do swojego pokoju. Szybko się wyszykowała i przeszła do sali jadalnej, mając nadzieję, że zastanie tam Vincenza. Ale na śniadaniu również go nie było. Filipy też chyba w nocy nie odwiedził, bo wyglądała na rozczarowaną i odpowiadała opryskliwie. Giulia czuła się podle i nie mogła przełknąć ani kęsa wspaniałego posiłku. Cały czas z nadzieją myślała, że spotka Vincenza gdzieś po drodze na dystansie kilku pierwszych mil.

Gdy wyruszyli, Giulia żałowała, że ma tylko jedną głowę i nie jest w stanie przyglądać się obu stronom drogi. Assumpta uspokajała ją, przekonując, że Vincenzo stoi gdzieś za najbliższym zakrętem i pomacha im na powitanie. Ale pokonywały milę po mili i nie było po nim ani śladu.

Gdy dotarli do Werony, Giulia znalazła się na krawędzi załamania. Musiała starać się z całych sił, żeby panować nad sobą podczas negocjacji z chciwym oberżystą, a nie było to łatwe. Zawsze zajmował się tym Vincenzo. Gdy podała swoje nazwisko, oberżysta – początkowo niechętny – zmienił się nie do poznania.

– To wy jesteście ten śpiewak Casamonte? To wspaniale!

Wylewnie zapewnił ją, że na jej przyjazd zostały już przygotowane najlepsze pokoje, najlepsze jedzenie i najlepsze wina. Potem przywołał młodego pacholka i kazał mu przekazać hrabiemu informację o przyjeździe śpiewaka Casamontego.

– Jakiemu hrabiemu? – zapytała Giulia, mając nadzieję, że gospodarz wymieni nazwisko Vincenza.

– Chodzi o szacownego starszego pana, który się dowiedział, że przyjedziecie do Werony. Poleciał mi, żeby natychmiast go poinformować, gdy się zjawicie – rzekł gospodarz.

Nadzieja Giulii prysła. Rozczarowana machnęła ręką.

– Jestem strudzony podróżą i chcę się położyć do łóżka – powiedziała.

– Proszę, zostańcie jeszcze trochę. Poczęstuję was dzbanem krzepiącego wina. Jaśnie pan zaraz przyjedzie. Będzie miał żal, jeśli was nie zastanie.

Gospodarz nie czekał na zgodę Giulii. Kazał dziewczce podać posiłek dla *messer* Casamontego. Dziewczyna dygnęła i pospiesznie się oddaliła.

Giulia nie chciała słyszeć o jedzeniu, ale Assumpta chwyciła ją rezolutnie za ramię i pchnęła do przodu.

– Zjesz teraz małe co nieco, bo inaczej jeszcze mi zasłabniesz. A może chcesz, żeby wezwano do ciebie lekarza?

O tym Giulia nie pomyślała. Zawsze cieszyła się doskonałym zdrowiem i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby kiedyś potrzebować doktora. Ten natychmiast by się zorientował, że ma do czynienia z kobietą. Po raz pierwszy zrozumiała, jak bardzo grozi jej zdemaskowanie. Z dnia na dzień jej kariera śpiewacza może zakończyć się w niesławie. Nie, nie wolno jej okazywać słabości,

zwłaszcza teraz, kiedy od środka zżera ją zmartwienie spowodowane zniknięciem Vincenza.

Assumpta poszła wraz z nią do przygotowanej jadalni i własnoręcznie ją obsłużyła. Giulia jadła, nie czując nawet smaku, a potem popiła lekkim winem wymieszanym z wodą. Nie skończyła posiłku, gdy gospodarz zapukał do drzwi i oznajmił przybycie hrabiego. W następnej chwili do jadalni wszedł starszy wiekiem arystokrata. Miał na sobie nieszczęśliwie modny srebrzystoszary kaftan i proste czarne spodnie z najlepszego materiału. Giulia stwierdziła, że kogoś jej przypomina, ale nie wiedziała kogo. Pociągła twarz arystokraty była blada i napięta. Wyglądał, jakby coś go dręczyło. Mimo to ze śmieszną niemal pedanterią przestrzegał zasad uprzejmości.

– *Buon giorno, messer Casamonte.* Dziękuję wam, że mnie przyjęliście po z pewnością mocno wyczerpującej podróży.

Giulia odsunęła talerz i gestem ręki kazała Assumpcie nalać gościowi wina.

– Gospodarz mówił mi, że chcieliście się ze mną pilnie spotkać.

– Jestem hrabia Biancavallo – przedstawił się staruszek. – Moja siostra, świętej pamięci hrabina wdowa di Falena, w swych listach nieraz zachwycała się waszym cudownym głosem, który bardzo jej pomógł w ciężkich godzinach. A teraz proszę, byście mnie także pomogli.

– Bardzo ubolewam, ale to nie będzie na razie możliwe. Wezwano mnie do opactwa Świętego Łazarza, żebym tam śpiewał.

Giulia miała nadzieję, że tym wyjaśnieniem zakończy rozmowę, ale gość nie dawał się zniechęcić.

– Tak, wiem, ale już to załatwiłem. Czcigodny pan Marcello Fibione, prepozyt w parafii Świętego Łazarza, zna mój problem i był gotów natychmiast dać wam urlop na kilka najbliższych tygodni. Oto jego pismo, które potwierdza moje słowa.

Giulia spojrzała na pergamin opatrzony kunsztowną pieczęcią i uniosła rękę w obronnym geście.

– Nie lubię, jeśli ktoś decyduje o tym, co mam robić, bez mojej wiedzy.

Gość załamał ręce.

– Jeśli usłyszycie, z jakiego powodu potrzebna jest mi wasza pomoc, będziecie mieli zrozumienie dla moich poczynań, jestem tego pewny. Chodzi o moją synową. Za dwa miesiące ma urodzić dziecko. Niestety, w ostatnich latach już kilka razy poroniła parę tygodni przed terminem, a niedługo będzie za stara na rodzenie. Proszę, pomóżcie jej, a zarazem i mnie. Chodzi o przetrwanie mojego rodu.

Giulia popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– W jaki sposób mógłbym wam pomóc? Nie jestem przecież lekarzem.

– Wasz głos wyrwał moją siostrę z czarnych czeluści melancholii i uczynił jej ostatnie lata życia przyjemnymi. Na pewno sprawicie, że Norina poweseleje i przestanie się bać. Wasz głos doda jej sił, żeby powiła zdrowe dziecko, wierzę w to mocno.

Giulia uświadomiła sobie, że hrabia Biancavallo nie ustąpi. Ponieważ prepozyt od Świętego Łazarza wyraził już zgodę, nie miała innego wyjścia, musiała przystać na tę prośbę.

– Obarczacie mnie odpowiedzialnością. Nie wiem, czy jej podołam.

Hrabia chwycił ją za rękę. We Włoszech mało który mężczyzna zrobiłby coś takiego.

– Bóg was wspomóż.

– Módlcie się lepiej do Przenajświętszej Panienki – wtrąciła Assumpta obcesowym tonem. – Ona pomaga w takich sprawach.

Jej również nie podobały się plany hrabiego.

Biancavallo skinął głową.

– Masz rację, dobra kobieto. Proszę, módl się do Matki Boskiej za moją synową i nienarodzonego wnuka. Niechże się zlituje nad nimi. Wrócę teraz do zamku, a po was, *messer Casamonte*, i po waszą służącą wyślę wygodny powóz, który was do mnie przywiezie. Około ósmej będzie tu stał przed drzwiami.

Pożegnał się przyjaźnie i z wyraźną ulgą wyszedł na zewnątrz.

Giulia popatrzyła w ślad za nim przez okno.

– Tego mi jeszcze brakowało – powiedziała tonem skargi. – Jeśli będziemy musiały przez kilka tygodni mieszkać w jakimś zabitym dechami zamku, Vincenzo nigdy nas nie odnajdzie.

Assumpta pokiwała głową jak staruszka.

– Może Vincenzo będzie tu o nas pytał. Wie przecież, gdzie chcieliśmy przenocować. Powiemy gospodarzowi, żeby skierował go do zamku hrabiego.

W odpowiedzi na jej słowa Giulia mocno ją ucałowała.

III

Przed pałacem Nespola w Rzymie jakiś młody człowiek przechadzał się niezdecydowanie i wpatrywał w pokryty brązem portal. Mężczyzna był niski i krępy, miał twarz prostego kmiotka o mocno rozbudowanej szczęce i oczach osadzonych blisko siebie. Ubranie świadczyło, że jest sługą jakiegoś arystokraty. Dziś nie zjawił się tu na polecenie swego pana, ale we własnej sprawie. Wyglądał jak osoba, która dobrze wie, co chce uzyskać. Po jakimś czasie machnął pięścią i cicho zaklął. Potem ruszył prosto w kierunku portalu. Uderzył kołatką osadzoną w paszczy niedźwiedzia.

Chwilę później drzwi się otworzyły i na zewnątrz wyjrzał odźwierny. Gdy zobaczył, że ma do czynienia z równym sobie, z jego twarzy zniknął służalczy wyraz.

– Czego chcesz?

– Muszę porozmawiać z Jego Eminencją – wycedził gość. – To bardzo ważne.

– Nie sądzę, żeby Jego Eminencja raczył rozmawiać z kimś takim jak ty – oznajmił odźwierny i chciał z powrotem zamknąć drzwi.

Młody mężczyzna postawił stopę na progu.

– Przychodzę od hrabiego Corrabiallego.

Odźwierny wiedział, że Gisiberto Corrabialli jest dobrym znajomym jego pana, więc odsunął się na bok.

– Czemu nie powiedziałaś tego od razu, głupku? Zaraz przekażę Jego Eminencji, że przyszedłeś.

Zostawił go w przedsionku i nie było go tak długo, że młody mężczyzna zaczął się niepokoić.

Gdy odźwierny wrócił, zachowywał się nieco uprzejmiej.

– Jego Eminencja jest gotowy cię przyjąć.

Młody mężczyzna skinął z ulgą głową i poszedł za odźwiernym na górę szerokimi, pięknymi, wygiętymi w łuk schodami. Chwilę potem znaleźli się przed kunsztownie ozdobionymi przez snycerza drzwiami. Odźwierny krótko zapukał i je otworzył, odsłaniając widok na przestronną i wytwornie urządzonej komnatę. Gość jednak nie w głowie miał patrzeć na ściany w kolorze delikatnego błękitu ani na obrazy świętych czy bogato zdobione meble, lecz wlepił niepewny wzrok w biskupa della Rocca, który przyglądał mu się z przyjaznym wyrazem twarzy.

– Czego sobie życzy ode mnie mój szanowny przyjaciel hrabia Saletto?

Gość przełknął nerwowo ślinę.

– Nie przychodzę z polecenia hrabiego Corrabiallego, Wasza Eminencjo, ale sam z siebie. Mam dla was ważną informację... – Przerwał ze zdenerwowania i spojrzał na biskupa błagalnym wzrokiem.

Della Rocca uniósł brwi.

– Mam nadzieję, że nie zmarnujesz mojego czasu. Jestem bardzo zajęty.

Gość wyczuł w jego słowach groźbę i jeszcze bardziej stracił pewność siebie.

– Chciałem do was przyjść już zeszłego lata, gdy dokonałem tego obrzydliwego odkrycia. Ale mój pan niespodziewanie wyjechał do swego hrabstwa i musiałem mu towarzyszyć. A później nie wrócił do Rzymu, tylko udał się do Urbino.

– Na pewno przyszedłeś tu nie po to, żeby opowiadać mi o podróżach swego pana – przerwał mu

della Rocca, który w jednej chwili spochmurniał.

– Nie, oczywiście, że nie, Wasza Eminencjo – pospiesznie zapewnił go przybyły mężczyzna. – Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego dopiero teraz do was przychodzę, chociaż od dawna wiem, że ciężko złamano przykazania Kościoła świętego. – Płytko i pospiesznie oddychając, mówił dalej: – Z pewnością przypominacie sobie uroczystość sprzed kilku laty w Saletto z okazji Dnia Świętego Hipolita. Sami wtedy kazaliście wystawić mszę skomponowaną przez mistrza Palestrinę.

Twarz biskupa jeszcze bardziej spochmurniała. Na temat tego koncertu krążyły różne plotki i wspomnienie o nim tylko go zirytowało. Gość wyczuł, że della Rocca chce go wyrzucić za drzwi, więc padł przed nim na kolana.

– Jestem Ludovico Moloni. Miałem wtedy śpiewać partię solową, ale chórmistrz, ojciec Lorenzo, zamknął mnie w piwnicy, a zamiast mnie wystąpiła Giulia Fassi, córka hrabiowskiego kapelmistrza.

Della Rocca jeszcze bardziej się zdenerwował.

– To podła plotka, którą sam z zazdrości puściłeś w świat.

Ludovico przestraszył się o własną skórę. Przez moment zastanawiał się, czy nie odstąpić, bo to, co miał do powiedzenia biskupowi, brzmiało nazbyt śmiało. Ale mimo upływu lat wciąż miał w sobie nienawiść za doznane poniżenie, dlatego zdecydował się mówić dalej.

– Znów widziałem Giulie Fassi. Chodzi w przebraniu mężczyzny i każe nazywać się Giuliem Casamontem. To ona jest tym słynnym kastratem. Przysięgam to wam! – wykrzyknął.

Biskup zaczął się śmiać, zakreślił palcem kilka kółek na wysokości czoła.

– Synu, czyś ty oszalał? Powinienem cię chyba kazać zamknąć w szpitalu dla wariatów.

Ludovico dość słyszał o biskupie, żeby wiedzieć, iż szybko wciela on w czyn swoje groźby.

– Nie! Nie, jaśnie panie, to czysta prawda. Musicie mi uwierzyć. Oczywiście ta czarownica zmieniła się przez te wszystkie lata. Ale od razu ją rozpoznałem. Przecież pochodzę z tej samej wsi. Wcześniej widywałem ją prawie codziennie i nieraz słyszałem, jak śpiewa.

Della Rocca pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Casamonte to kobieta? Nie, nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe, żeby kobieta miała tak boski głos.

Ludovico wyczuł niepewność w głosie biskupa i nabrał odwagi.

– To czarownica. Diabeł musiał obdarzyć ją takim głosem, a mnie go odebrał. Pamiętacie, że to o mnie mówiono, iż mam najlepszy głos spośród wszystkich chórzystów, jacy kiedykolwiek kształcili się w klasztorze Świętego Hipolita.

Biskup roześmiał się drwiąco.

– Skromność nie jest twoją cnotą, synu.

– Ale to najprawdziwsza prawda – uniósł się Ludovico.

Przez te wszystkie lata nosił w sobie żal, że został niesprawiedliwie potraktowany, i nie chciał teraz słuchać połajanek biskupa.

– Czyżby? To ty przecież jesteś tym chłopcem, który został przyłapany sam na sam w grzesznej sytuacji z innym chórzystą. – Della Rocca odzyskał dobry humor. Patrzył na Ludovica wzrokiem uczonego, który bada szczególnie obrzydliwego robaka. W końcu uśmiechnął się protekcyjnie i dodał: – Najwidoczniej mój przyjaciel Corrabialli wybaczył ci ten grzech, skoro jesteś u niego na służbie.

Twarz Ludovica wykrzywiła się ze złości.

– Jestem u niego tylko marnym lokajem. A mogłem studiować w Rzymie i Padwie i zostać jego

nowym kapelmistrzem. Ta diabelska wywłoka Giulia Fassi wszystko popsowała. Teraz jest bogata i sławna. Występuje nawet na dworze Ojca Świętego. To zgorszenie wołające o pomstę do nieba! Ile złego ma jeszcze wyrządzić ta czarownica?

– Jeśli to wszystko prawda, twoje oburzenie jest uzasadnione – przyznał przyjaźnie della Rocca. – Nie muszę ci chyba mówić, żebyś tego nie rozpowiadał. Jeśli masz rację i Casamonte faktycznie nie jest kastratem, za którego się podaje, wówczas byłby to skandal i blamaż dla mnie w oczach Ojca Świętego.

– Casamonte nie jest kastratem, tylko diabolicą, która powinna marnie skończyć na stosie! – zawołał z przekonaniem Ludovico.

– Ty tak twierdzisz, ale w twoim głosie brzmi silne pragnienie zemsty. Nie mogę działać tylko w oparciu o słowa człowieka zaślepionego gniewem, lecz potrzebuję przekonujących dowodów.

Della Rocca nie ukrywał, że pragnie, by ta delikatna sprawa została załatwiona dyskretnie. Przyjrzał się zaciętej twarzy Ludovica i postanowił, że dla własnego bezpieczeństwa zatrzyma go u siebie. Nie mógł dopuścić, by sprawa nabrała rozgłosu. Miał wrogów, którzy chętnie skorzystaliby z okazji, by mu zaszkodzić.

– Owszem, założmy, że ci wierzę. Ale musisz mi pomóc przechytrzyć tę czarownicę. Jeszcze dzisiaj wypowiesz służbę u hrabiego Corrabiallego i będziesz pracował dla mnie. Ale biada ci, jeśli mnie oszukałeś. Niech no się okaże, że Giulio Casamonte jest prawdziwym kastratem, a słono zapłacisz za to, że próbowałeś mnie oszukać.

Biskup powiedział te groźne słowa łagodnym tonem, a na jego twarzy malowała się dobrotliwa mina. Ale Ludovico zrozumiał, że della Rocca nie żartuje. Nie martwił się tym jednak, ponieważ był pewien swojej racji. Wstał, skłonił się i prawą dłoń przyłożył do serca.

– Jestem waszym oddanym sługą, Eminencjo.

Vincenzowi przypomniały się dawne lata, kiedy podobnie wędrował po kraju – bez pieniędzy w kieszeni i pieszo. Teraz robił to bez przyjemności. Gdy siadał na jakimś kamieniu milowym, co zdarzało się często, i ściągał buty, aby ulżyć poobcieranym nogom, tęsknił za wygodnym powozem, a przynajmniej za koniem. Tanie garkuchnie też już nie odpowiadały jego podniebieniu. Lata spędzone z Giuliem Casamontem najwidoczniej sprawiły, że zniewieściał i stał się wybredny.

Próbował traktować swą obecną sytuację jako pokutę i w pierwszych dniach podróży wstępował do każdego kościoła, który napotkał po drodze, żeby podziękować Bogu za uchronienie go przed grzechem sodomii. Podziwiał przy tym kastrata za jego siłę duchową, bo tylko dzięki Giuliovi nie doszło do zbliżenia. Gdy jednak w nocy leżał gdzieś na stogu siana i wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, nieraz marzył, że obejmuje Giulia i tuli go do siebie.

To marzenie było tak uparte, że prześladowało Vincenza nawet za dnia. W końcu postanowił całkiem odmienić swoje życie. Uznał, że wróci do domu i ożeni się z pierwszą lepszą dziedziczką, którą zaproponuje mu jego brat Andrea. Będzie z nią płodził dzieci, jak Bóg przykazał. Nosił w sobie to postanowienie, dopóki ze wzgórze nie dostrzegł Torre de' Busi, swego rodzinnego miasta. W tym samym momencie poczuł zgrozę na myśl, że miałby stanąć przed bratem, a ten zacząłby mu głosić kazanie, jaki styl życia jest stosowny dla członków rodu de la Torre. Milę przed miastem zawrócił do Werony. Nie wiedział, jak Casamonte go przyjmie, ale chciał przynajmniej przebywać blisko niego. Gdy jednak u Świętego Łazarza zapytał o Giulia, kościelny z ubolewaniem rozłożył tylko ręce.

– Messer Casamonte do nas nie przybył. Podobno dostał inny angaż. Niestety, nie wiem gdzie.

Vincenzo miał wrażenie, że dostał obuchem w głowę. W jego mniemaniu istniał tylko jeden powód, dla którego Giulio nie przybył do Werony – chciał uniknąć ich spotkania. Zrozpaczony szlachcic ukrył twarz w dłoniach i zaczął robić sobie wyrzuty. Jak bardzo musiał zranić przyjaciela, że ten zrezygnował z wysokiego honorarium i zaszczytu śpiewania u Świętego Łazarza!

Nie pytając o nic więcej, odszedł i bez celu włóczył się ulicami. Przypadkowo natknął się na grupkę niemieckich pielgrzymów. To spotkanie natchnęło go myślą, że Giulio jest na usługach papieża i wcześniej czy później będzie musiał wrócić do Rzymu. Postanowił, że tam na niego poczeka. Nie zastanawiając się długo, podszedł do pielgrzymów i przywitał ich po niemiecku.

Przywódcą pątników, chudy zakonnik w średnim wieku, rozpaczliwie próbował dogadać się po łacinie z gospodarzem zajazdu, w którym chcieli się zatrzymać. Gdy usłyszał ojczysty język, odetchnął z ulgą.

– Bogu niech będą dzięki, drogi przyjacielu. Przybywacie jak na wezwanie. Nie wiem, jak wytłumaczyć temu poczciwemu człowiekowi, że potrzebujemy noclegu i wyżywienia.

– Jeśli macie pieniądze, nie będzie problemu. A jeśli nie, musicie iść dalej, do schroniska dla niemieckich pielgrzymów, które znajduje się obok kościoła Świętego Karola.

– Myślałem, że tutaj jest schronisko dla pielgrzymów. Przed miastem pytałem o to pewnego mężczyznę i tak nas pokierował.

– Albo was nie zrozumiał, albo gospodarz mu płaci, żeby przysyłał tu podróżnych.

Vincenzo się roześmiał i poklepał zakonnika po ramieniu, po czym zaprowadził pielgrzymów do

schroniska, gdzie za kilka monet dostali jedzenie i nocleg. Ponieważ jeden z tamtejszych mnichów władał niemieckim, Vincenzo nie był już potrzebny. Ku jego rozbawieniu ludzie w schronisku potraktowali go jak Niemca. Podali mu miskę z warzywami i podpłomyk oraz wskazali łóżko w sypialni, gdzie mógł przenocować.

Vincenzo nie miał innych planów, więc został z niemieckimi pielgrzymami, którzy – jak się dowiedział – pochodzili z okolic Würzburga. W większości byli to mnisi i księża, którzy chcieli chociaż raz w życiu zobaczyć bazylikę Świętego Piotra i uczestniczyć tam we mszy świętej. Pozostali byli mieszczanami w średnim wieku, którzy przyłączyli się do mnichów i mieli nadzieję, że podróż do Rzymu zapewni im zbawienie, albo chcieli odpokutować za jakieś grzechy. Członkami grupy było też kilka szlachetnie urodzonych zakonnic, które najczęściej trzymały się jednak z boku.

Vincenzowi nie podobała się gadatliwość i wścibskość tych ludzi. Przebywanie z nimi szybko stało się dla niego uciążliwe. Postanowił, że rano ich opuści, ale nie chcieli mu na to pozwolić. Przy śniadaniu, które składało się z wodnistego białego barszczu, przywódca pielgrzymów poprosił go o towarzyszenie im do Rzymu i o świadczenie usług tłumacza. Ponieważ inni członkowie grupy poparli tę prośbę, Vincenzo przystał na nią po krótkiej chwili wahania. Przyjemniej było podróżować w towarzystwie. Dzięki temu nie będzie się musiał martwić o nocleg i wyżywienie, co nie nadwyręży jego i tak prawie pustej kiesy.

Złościł się trochę na siebie, że opuszczając Giulia Casamontego, nie zabrał z kufra sakwy, w której trzymał grubsze monety. Kusiło go, żeby pójść do banku i poprosić o wypłatę pieniędzy z konta Giulia. Casamonte upoważnił go do korzystania z tych pieniędzy, dlatego przez te wszystkie lata Vincenzo nie odłożył większej kwoty ani nie założył lokaty na własne nazwisko. Ale w obecnej sytuacji czułby się złodziejem, sięgając po majątek Giulia.

Podczas podróży Vincenzo zastanawiał się, czy jego spotkanie z grupą pielgrzymów nie było znakiem od Boga. Może powinien wyrzec się świata i służyć Kościołowi. Modlitwa pomogłaby mu zapomnieć o Giulio Casamontem. Dlatego uczestniczył w aktach pokutnych Niemców, zginał kolana przed niezliczonymi figurami świętych i pościł, żeby osiągnąć stan duchowego uniesienia, który miał go uwolnić od wszelkich cielesnych myśli. Nie udawało mu się jednak wyrwać z serca obrazu Giulia. Gdy byli już blisko Rzymu, Vincenzo zaczął się niecierpliwić; miał nadzieję, że wkrótce usłyszy coś o kastracie. Ponieważ opowiedział pielgrzymom o zbójcy Alessandrze Tomasim, jego towarzysze żyli w ogromnym strachu, że tuż przed celem podróży padną ofiarą bandytów. Mała grupa pieszych pielgrzymów z Niemiec w zapoconych szarych płaszczach nie stanowiła jednak dla zbójców atrakcyjnego łupu, zwłaszcza że straż papieskie patrolowały drogi i dawały podróżnym poczucie bezpieczeństwa. Vincenzo wiedział wprawdzie aż nazbyt dobrze, że Tomasi doskonale potrafi wodzić konnych strażników za nos, ale Niemcy na widok żołnierzy z papieskim herbem czuli ulgę i dziękowali świętemu, że uchronili ich przed wszystkimi niebezpieczeństwami podczas długiej podróży. Śpiewając psalmy, doszli wreszcie do Rzymu.

Vincenzo doprowadził ich do miejsca zbiórki niemieckich pielgrzymów i przekazał tam mnichom, którzy mieli się teraz o nich zatroszczyć. Sam już miał dość takich towarzyszy i po krótkim pożegnaniu opuścił ich, obiecując im bez przekonania, że niedługo wróci. Chciał odwiedzić mistrza Galileiego w nadziei, że ten pozwoli mu u siebie zamieszkać. Ale niestety kilka tygodni wcześniej kompozytor wraz ze swoją rodziną opuścił Rzym i udał się do Piacenzy, aby tam nauczać muzyki.

Dlatego Vincenzo nie miał innego wyjścia i musiał znaleźć sobie jakiś niedrogi zajazd. Leżąc na zapluskwionym sienniku, zatęsknił za przepelnionymi sypialniami w schroniskach dla pielgrzymów,

gdzie czuć było odór niedomytych ciał.

Następnego ranka zapłacił rachunek i w poszukiwaniu informacji o śpiewaku Casamontem przemierzał wszerz i wzdłuż święte miasto. Najpierw udał się do bazyliki Matki Bożej Większej, gdzie Giulio śpiewał podczas pierwszego pobytu w Rzymie. Chciał tam zasięgnąć informacji. Spotkał jedynie kościelnego myjącego podłogę, który był wyraźnie niezadowolony, że ktoś mu przeszkadza. Vincenzo z ciężkim sercem dał mu monetę, żeby dostać jakąkolwiek odpowiedź.

– Jaki Giulio? Nie znam nikogo takiego – mruknął kościelny po dłuższej chwili zastanowienia.

Vincenzo drżał z niecierpliwości.

– Śpiewał tutaj w zeszłym roku latem i brał udział w premierze *Missa Papae Marcelli*.

Pachołek wzruszył z ubolewaniem ramionami.

– Zeszłego lata mnie tu jeszcze nie było. Pracowałem wtedy w Trevi, pomagałem w klasztorze ściągać dziesięcinę.

– Ale przecież musi tu być ktoś, kto pamięta kastrata.

– Ach, macie na myśli kastrata. Słyszałem o nim, gdy zacząłem tu pracę. Podobno ma głos anioła.

Vincenzo skinął z ulgą głową.

– Tak, ma głos anioła. Proszę, powiedz mi, co o nim wiesz.

– Tylko tyle, że pojechał do Niemców. Nie sądzę, żeby czcigodni mnisi z chóru wiedzieli coś więcej. Musielibyście zapytać samego Ojca Świętego.

Ta uwaga miała być chyba żartem, ale nasunęła Vincenzowi pewien pomysł. Spiesznie pożegnał się z pachołkiem, który pomrukując, znów zabrał się do roboty. Vincenzo poszedł na Lateran, gdzie znajdowały się urzędy papieskie. Informacje, które tam otrzymał, również go nie zadowolily. Jego kiesa poniosła poważny uszczerbek, bo musiał zachęcić znudzonego pisarza, żeby ten wreszcie zechciał coś powiedzieć. Urzędnik raczył oznajmić, że Casamonte wciąż jeszcze jest na służbie u Jego Świątobliwości, ale obecnie podróżuje po kraju, żeby swoim głosem wielbić Pana. Vincenzo wyszedł z budynku mocno poruszony. Początkowo snuł się ulicami bez celu. Potem wstąpił do gospody i zamówił tam dzban taniego wina. Kwaśny trunek nie przypadł mu do gustu, ale mężczyzna był spragniony i chciał znaleźć zapomnienie, tak więc przewyciężył niesmak i opróżnił naczynie. Zamierzał już zamówić drugi dzban, gdy nagle uderzył się dłonią w czoło.

Przypomniał sobie, że w Rzymie mieszka ojciec Giulia. Ten na pewno udzieli mu informacji o kastracie. Relacje między synem a ojcem nie były szczególnie dobre, ale w stanie upojenia Vincenzowi wydało się to nieistotne. „Nawet jeśli Girolamo Casamonte nie wie, co się dzieje z jego synem, to może chociaż pożyczy mi jakieś pieniądze, abym mógł spokojnie poczekać na przyjazd Giulia – pomyślał. – Ojciec Święty musi go przecież w końcu wezwać z powrotem do Rzymu”.

Vincenzo próbował sobie przypomnieć, w którym domu uciech zamieszkał Girolamo Casamonte. Potrzebował dłuższej chwili, żeby przypomnieć sobie nazwisko szefowej tego przybytku. Ale kiedy pytał o dom Donatelli Rivaccio, nikt nie mógł go skojarzyć. Dopiero po jakimś czasie drogę wskazał mu pewien starszy mężczyzna, którego zaczął przy kościele Świętej Anny.

Po drodze Vincenzo otrzepał i obciągnął na sobie ubranie, które mocno ucierpiało w podróży. Miał nadzieję, że nikt nie zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Miał jednak szczęście, bo odzwierny – niski mężczyzna nie pierwszej młodości – skusił się na błyszczącą dziesięcioskudową monetę.

– Czym mogę służyć? – zapytał, ale nie zszedł Vincenzowi z drogi, gdyż odzienie przybysza wydało mu się nie dość wytworne.

– Jestem de la Torre – przedstawił się Vincenzo. – Chciałbym porozmawiać z *messer Casamontem*

albo z signorą Rivaccio.

– Casamonte? Nie znam nikogo takiego – stwierdził portier, kręcąc głową. – A co się tyczy signory Rivaccio, to już tu nie mieszka.

Vincenzo zrobił wielkie oczy.

– Ale ten dom przecież do niej należy?

– Należał do niej. Minionej jesieni go sprzedała. Teraz właścicielem jest *messer* Alcide Fiorelli, którego żona dalej prowadzi działalność i zatrudnia własne dziewczęta.

Vincenzo nie chciał się poddać. Wciąż miał cień nadziei, że czegoś się dowie.

– Czy wiesz, gdzie signora Rivaccio się przeprowadziła?

– Niestety nie. Powiedziała mi, że wyjeżdża z małżonkiem, *signore* Girolim, do Mantui. Nową panią poinformowała jednak, że wybiera się do Neapolu, a poborcy podatkowemu Matoniemu oznajmiła, że w ogóle wyjeżdża z Italii i zamierza otworzyć nowy dom u barbarzyńców na Północy.

Vincenzo nie dał się zbyć taką odpowiedzią i wymusił, żeby pozwolono mu zamienić kilka słów z obecną szefową zamtuza. Ale Clarissa Fiorelli nie potrafiła mu powiedzieć nic więcej poza tym, czego już dowiedział się od odźwiernego.

Skąd pani Fiorelli miała wiedzieć, że ojciec Giulii podczas intymnych chwil opowiedział żonie historię o fałszywym synu? Tym samym mocno przestraszył swoją małżonkę. Donatella Girolim wiedziała, że Święta Inkwizycja postępuje z wielką skrupulatnością. Jeśli któregoś dnia prawda wyszłaby na jaw, ona i jej mąż trafiliby do lochów i zostali poddani torturom. Tak więc sprzedała szybko dom i zatarła wszelkie ślady za sobą i mężem, żeby zacząć życie od nowa pod zmienionym nazwiskiem daleko poza Państwem Kościelnym.

Vincenzowi nie pozostało nic innego, jak pożegnać się niskim ukłonem przed następczynią Donatelli. Kilka domów dalej usiadł mocno rozczarowany na kikucie starożytnej kolumny. Miał dwie możliwości. Albo uda się w podróż, żeby szukać Giulia Casamontego, albo zostanie w Rzymie i poczeka, aż ten przyjedzie. Niestety, Vincenzo nie miał dość pieniędzy ani na jedno, ani na drugie. Uznał jednak, że tu, w mieście, łatwiej zdoła zarobić trochę grosza, żeby móc się utrzymać. W razie potrzeby obłupi ze skóry tych głupców, którzy sądzą, że mają szczęście w grze w kości, a nie wiedzą, z jakim zręcznym i sprytnym przeciwnikiem się mierzą. Ale ta myśl nieszczególnie podniosła go na duchu. Wolałby zatrudnić się jako pisarz w papieskiej administracji. Taka praca była wprawdzie poniżej godności szlachcica z rodu de la Torre, ale dzięki niej najszybciej dowiedziałby się o przyjeździe Giulia Casamontego. Dzisiaj było jednakże zbyt późno, żeby zapytać, czy znajdzie się dla niego posada. Vincenzo postanowił więc stanowczo, że następnego dnia pójdzie gdzie trzeba i zacznie ubiegać się o zatrudnienie.

Pobyty w zamku hrabiego Biancavallo był dla Giulii po części monotony, a po części ekscytujący. Synowa hrabiego okazała się nieśmiałą brunetką o wiotkich włosach i zapadłej twarzy. Liczne daremne ciążę mocno nadwyrężyły jej ciało i psychikę. Przypominała Giulii wystraszoną mysz, która widzi nad sobą podeszwę buta i boi się, że zaraz zostanie rozgnieciona. Norina Biancavallo zdawała sobie sprawę, że jej małżonek Roberto po kolejnej nieudanej ciąży uzna, że z jej winy jego ród może wygasnąć. Ponieważ nie mógł się z nią rozwieść, aby poślubić inną kobietę, która urodziłaby mu upragnionego potomka, wcześniej czy później postara się o to, by zostać wdowcem.

Giulia z wyrazu twarzy hrabiny domyślała się, co jej chodzi po głowie, i w duchu przyznawała jej rację. Młody hrabia patrzył na swoją żonę z pogardą, dając do zrozumienia, że chciałby się jej pozbyć. Był od niej dużo młodszy i ożenił się z nią tylko dla posagu. Teraz wyraźnie dawał jej odczuć, jak bardzo go rozczarowała. W zamku otwarcie smalił cholewki do panien służących i chełpił się, ile to bękartów już spłodził. Giulia szybko dostrzegła, że sama jego obecność napawa jego żonę niesamowitym lękiem. W takiej sytuacji należało się spodziewać, że znowu poroni.

Po kolejnym szczególnie drastycznym ataku paniki u brzemiennej hrabiny Giulia udała się do starego pana hrabiego.

– Wybaczcie – powiedziała – ale wezwaliście mnie tu, by mój śpiew uspokoił waszą synową. Ale sądzę, że to nie wystarczy.

Hrabia spochmurniał, słysząc te słowa. Ponury wyraz jego twarzy nie zniechęcił jednak Giulii.

– Chodzi o waszego syna – mówiła dalej. – Wasza synowa doznała w przeszłości tyle rozczarowań, że jej nerwy są mocno nadszarpnięte. Panicznie boi się znów zawieść swego małżonka. Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby hrabia Roberto opuścił zamek i czekał gdzieś poza nim na wiadomość o szczęśliwym rozwiązaniu.

Giulia próbowała wyrażać się dyplomatycznie, ale hrabia dobrze rozumiał, co miała na myśli. Poznała to po jego minie. Zrobił głęboki wdech i w końcu skinął głową.

– Najlepiej będzie, jeśli Roberto opuści zamek na kilka tygodni. Przyznaję, że liczne nieudane ciążę jego żony wzbudziły w nim obawy, iż nie doczeka się dziedzica. Zapewne i tym razem nie dowierza, że Norina szczęśliwie donosi dziecko. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł i się odwrócił.

Giulia wiedziała, o czym myśli hrabia, bo pokojówka młodej hrabiny powiedziała jej, że Roberto Biancavallo kilka lat temu zażądał od żony, aby ukryła przed ludźmi, że znów poroniła, a za swojego syna podała jednego z jego bękartów, który rósł właśnie w brzuchu służącej. Na nieszczęście owa dziewczka urodziła wtedy dziewczynkę.

Wiadomość, że stary hrabia chce odesłać syna, uradowała Giulie. Z ulgą dostrzegła, że sama wiadomość o wyjeździe Roberta uspokoiła brzemienną kobietę. Ale przed Giulie nadal stało trudne zadanie. Norina Biancavallo reagowała bardzo nerwowo na byle dźwięk, niemal zakopywała się w łóżku, które spowijał dym kadzidła palonego przez księdza. W prawie zupełnych ciemnościach błagała Przenajświętszą Panienkę o litość i wsparcie, aby mogła szczęśliwie powić dzieciątko.

Assumpta uważała, że takie zachowanie ciężarnej nie sprzyja zdrowiu. Zagroziła, że Giulia straci

głos w dusznym i zadymionym pomieszczeniu. Dopiero ta groźba sprawiła, że hrabina pozwoliła otworzyć chociaż jedno z okien, aby wpuścić do środka świeże powietrze. Ponieważ Norina Biancavallo wiedziała od teścia, że Giulia wybawiła jego siostrę mocą swego głosu od smutku i melancholii, domagała się prawie nieustannej obecności śpiewaka. Przy tym mało co słuchała pieśni, bo tak zajmowało ją własne cierpienie. Ciągłe dostawała ataków hysterii i Giulia nie mogła się skupić na śpiewie, a niebawem przejęła też rolę lekarza i pocieszyciela. Nie tylko uspokajała brzemienną hrabinę, ale też pilnowała przy posiłku. Kobieta musiała dobrze się odżywiać, aby dziecko w jej łonie prawidłowo się rozwinęło. Na szczęście Giulia miała wsparcie w pokojówce i ochmistrzyni, z którymi znalazła wspólny język. Służba również gorąco pragnęła, żeby urodził się dziedzic rodu, i czyniła wszystko dla dobra brzemiennej pani.

Ochmistrzyni doceniała starania Giulii i dbała, żeby pokój śpiewaka zawsze był posprzątnany i przytulny. Służąca regularnie wietrzyła pościel i każdego wieczora na stole pojawiały się świeże kwiaty. Giulii było przyjemnie z powodu tych drobiazgów, które dawały jej poczucie, iż jest tu mile widziana i ceniona. I chociaż troska o brzemienną hrabinę często była uciążliwa, to przynajmniej w ciągu dnia dawała jej zajęcie i nie pozwalała myśleć o własnych zmartwieniach. Ale za to nocą Giulia przechodziła tym większe męki. Bezustannie myślała o Vincenzu i miała do siebie pretensje, że nie potrafiła mu zaufać. Często budziła się rano i ciągle jeszcze widziała przed sobą obrazy z koszmarnych snów, w których Vincenzo znajdował się we wszelkich możliwych tarapatach. Często śnił jej się umierający albo nawet martwy, a gdy się potem budziła, musiała walczyć ze łzami.

Dopiero teraz, gdy już ostatecznie straciła Vincenza, pojęła, jak bardzo go kochała. Ale przedtem bawiła się z nim w oszukańczą grę, a potem zraziła go do siebie obraźliwymi słowami. Czasami zastanawiała się, gdzie może teraz być. W ciągu pierwszych kilku tygodni pobytu na zamku miała nadzieję, że przybędzie tu w ślad za nią. Z czasem jednak nabrała przekonania, że nie chce mieć z nią do czynienia, i nawet była w stanie to zrozumieć. Za bardzo go zraniła i sama odepchnęła od siebie. Ta myśl zawładnęła jej duszą i żeby się nią nie dręczyć, całe swe siły poświęcała dla dobra hrabiny.

Ku wielkiej radości teścia Norina przetrwała krytyczny okres. Nie pozwalała śpiewakowi odchodzić od siebie nawet na chwilę. Ochmistrzyni musiała rozkładać na noc łóżko polowe dla Giulii. Nadworny ksiądz ganił za to starego pana hrabiego. Mówił, że Casamonte urodził się jako mężczyzna i nie może spać w jednym pokoju z zamężną kobietą, bo to grzech. Ale gdy zauważył, że swoją krytyką ryzykuje utratę intratnej posady, wycofał się, stokrotnie przeprasząc, i tylko zalecił, żeby w sypialni hrabiny podczas pobytu śpiewaka obecna była pokojówka albo ochmistrzyni.

W tych dniach Giulii trudno było ukrywać prawdziwą płęć przed innymi kobietami, chociaż traktowały one bardzo pobłażliwie kaprysy i dziwactwa kastrata. Bez pomocy wiernej Assumpty jej tajemnica wyszłaby bez wątpienia na jaw. Giulia odetchnęła z ulgą, gdy nadeszła ciężka pora porodu i mogła się wycofać na dalszy plan.

Ściągnięto ze wsi akuszerkę, która od razu zaczęła komenderować. Najpierw kazała wyjść Giulii z pokoju, ale rodząca uparła się, żeby śpiewak został, a nawet chciała słyszeć jego głos, gdy dopadły ją już pierwsze skurcze.

Giulia wychowała się na wsi i już jako dziecko widziała, w jaki sposób na świat przychodzą szczenięta i cielaki. Była też świadkiem narodzin swego najmłodszego brata. Ale ani zwierzęta, ani jej chorowita matka nie zachowywały się tak histerycznie jak hrabina. Chociaż dzikie krzyki i jęki Noriny Biancavallo mocno targały jej nerwami, Giulia nieprzerwanie śpiewała. Próbowwała zapomnieć o tym, co dzieje się wokół niej, i skoncentrować się na pieśniach. Ale czas mijał, a

dziecko nie przychodziło na świat. Akuszerka była już wykończona, a krzyki rodzącej przerodziły się w bezsilne pojękiwanie.

Giulia zaśpiewała całe *Missa San Ippolito*, a potem *Missa Papae Marcelli*. Ochrypła, a w głowie czuła pustkę. Wydawało jej się, że nie da rady już dłużej wydobywać z siebie dźwięków, gdy wtem zabrzmiał ostatni, przenikliwy krzyk i poniósł się echem po zamku. Po chwili akuszerka trzymała w rękach dziecko. Natychmiast spojrzała na jego płeć, bo w zależności od tego, czy powity został chłopiec, czy dziewczynka, zależała wysokość jej wynagrodzenia.

Z ulgą uniosła głowę.

– To chłopiec! – zawołała i z radością pokazała noworodka na wpół przytomnej hrabinie. – Chwalcie Pana! Pobłogosławił was synem.

Norina Biancavallo skinęła głową i natychmiast zamknęła z powrotem oczy. Akuszerka zajęła się dzieckiem, a tymczasem ochmistrzyni wybiegła z pokoju, by przekazać staremu panu hrabiemu wiadomość o narodzinach wnuka. Niedługo potem Biancavallo wszedł do środka i z zadowoleniem spojrzał na małe zawiniątko z człowieczkiem o pomarszczonej czerwonej twarzą.

– Gdzie jest mamka? – zapytał ochmistrzynię, prawie nie zaszczyciwszy synowej spojrzeniem.

– Już czeka w kuchni, jaśnie panie.

Hrabia zmarszczył brwi.

– Co ona tam robi, skoro jest tu potrzebna?

– Dostała jeść dla wzmocnienia. Musi mieć dobre mleko, żeby wyżywić waszego wnuka.

– W takim razie przypilnuj, żeby porządnie się najadła – polecił hrabia, po czym zwrócił się do Giulii: – Dziękuję wam, Casamonte. Wasz głos ma naprawdę czarodziejską moc.

Dopiero w tym momencie przypomniał sobie o synowej, która leżała na mokrym łóżku cała złana potem i w zakrwawionej koszuli.

– Wypełniłaś swoje zadanie, moja droga.

W uszach Giulii słowa te zabrzmiały bezdusznie, jakby było mu obojętne, co się teraz stanie z matką jego wnuka. Hrabia nie zabawił długo w komnacie położnicy, lecz pospiesznie wyszedł. Giulia usłyszała, jak na korytarzu woła pisarza.

W tej chwili poczuła się zbędna i nie wiedziała, co ma zrobić. Spojrzała na dziecko, które właśnie było przewijane przez akuszerkę. W jednej chwili zapomniała o przykrych okolicznościach porodu.

– Czy mogę przez chwilę potrzymać maleństwo?

Akuszerka podniosła na moment wzrok, po czym podała jej chłopca, pilnując, żeby Giulia prawidłowo go trzymała. Giulia spojrzała na małą twarzączkę i do oczu napłynęły jej łzy. Prawdopodobnie nigdy nie będzie jej dane trzymać w ramionach własnego dziecka. „Och, Vincenzo, dlaczego cię odrzuciłam?” – pomyślała z rozpaczą.

Akuszerka dojrzała na jej twarzy żal i wzięła dziecko z powrotem.

– Na pewno musi być wam ciężko, że nigdy nie zdołacie spłodzić syna.

Giulia skinęła głową, próbując zapanować nad słabością.

– Tak właśnie jest – powiedziała. – Jeśli już mnie nie potrzebujecie, chętnie udam się do swego pokoju. Jestem zmęczony.

Akuszerka skinęła głową ze współczuciem.

– Wierzę wam. Śpiewaliście bite dwanaście godzin, żeby dziedzic przyszedł zdrowy na świat. Hrabia na pewno was za to sownie nagrodzi.

W tym momencie Giulia nie myślała o pieniądzach. Chciała być sama. Teraz, gdy pomyślnie

wykonała swoje zadanie, musiała się zastanowić nad przyszłością. Ponieważ zaproszenie do opactwa Świętego Łazarza wciąż było aktualne, uda się tam w pierwszej kolejności, nawet jeśli miałoby to jeszcze bardziej przypominać jej o Vincenzu. Mogła mieć tylko nadzieję, że muzyka da jej pocieszenie. W życiu nie pozostało jej nic innego oprócz pieśni.

Biskup della Rocca zlekceważył oskarżenia Ludovica Moloniego i nie przekazał sprawy Casamontego papieskiemu wymiarowi sprawiedliwości, odpowiedzialnemu za tego typu przypadki. W głębi duszy miał nadzieję, że wszystko samo rozejdzie się po kościach. Na własne uszy słyszał przecież śpiew Giulia Casamontego. Może dziewczynka zdołałaby osiągnąć czystość chłopięcego głosu, ale dojrzała kobieta na pewno nie dałaby rady konkurować z kastratem. To było sprzeczne z naukami Kościoła świętego, według których płeć żeńska nie ma dość rozumu, siły i woli.

Z tego powodu biskup był zadowolony, że wziął Ludovica do siebie na służbę. Chłopak okazał się w miarę zręczny, rzetelny, starał się dokładnie wykonywać polecenia swego pana i nie miał zbędnych skrupułów. Biskup napomknął mu kilka razy mimochodem o awansie, a to sprawiło, że młody mężczyzna służył z jeszcze większym oddaniem.

Tego ranka Ludovico wszedł do pokoju i stanął przed biurkiem swego pana. Della Rocca skinął mu życzliwie głową.

– Dzień dobry, Ludovico. Jaka dzisiaj pogoda? Mam nadzieję, że jest ładnie, bo zamierzam pojechać na wyścigi konne.

Ludovico przyklęknął i pocałował biskupa w rękę.

– *Buon giorno*, Wasza Eminencjo. Czy pamiętacie o śpiewaku Casamontem?

Della Rocca skinął głową, chociaż to bezpośrednie pytanie nieprzyjemnie go zaskoczyło.

– Pamiętam, pamiętam. Pilnuję sprawy z całą surowością.

Uśmiechnął się tak fałszywie, jak nieprawdziwe były jego słowa.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo. Chcę wam jeszcze powiedzieć, że od niedawna mamy nowego pisarza. Został zatrudniony z powodu znajomości niemieckiego i ciągle pyta o Casamontego. Ten mężczyzna każe się zwać Torelli, ale dowiedziałem się, że tak naprawdę to zubożały szlachcic Vincenzo de la Torre.

Biskup uniósł gwałtownie głowę.

– De la Torre? Czy chodzi o towarzysza i przewodnika kastrata Casamontego?

Ludovico skinął głową.

– Tak, to ten człowiek. Najwidoczniej ich drogi się rozeszły i teraz de la Torre chce się dowiedzieć, gdzie ten niby kastrat aktualnie przebywa. Hm, a ja wiem. Rozpytałem się, rozmawiałem o tym nawet z czcigodnym ojcem Spinellim z Kolegium Dominikańskiego.

Spojrzał triumfująco na swego chlebobawcę. Spinelli należał do papieskiej inkwizycji. Biskupa rozgniewała samowola Ludovica, ale wiedział, że teraz będzie musiał podjąć stanowcze kroki. Żeby zyskać czas do namysłu, kazał Ludovicowi opowiedzieć, czego ten dowiedział się o Giuliu Casamontem.

– Giulia Fassi przebywa teraz u hrabiego Biancavallo w pobliżu Werony. Swoim głosem czarownicy ma sprawić, aby jego synowa powiła zdrowego syna. W każdej chwili możemy ją tam areztować.

– Znam hrabiego. To szacowny człowiek i został mocno doświadczony przez wiele poronień swojej synowej. Jeśli zabierzemy stamtąd Casamontego, zanim Bóg ponownie zniweczy nadzieje

hrabiego, Biancavallo w swojej rozpaczy będzie mnie za to winił, bo łatwiej oskarżyć człowieka niż boską sprawiedliwość. Zatem poczekamy, aż Casamonte opuści zamek Biancavalla.

Ludovico zazgrzytał ze złości zębami, ale musiał przyjąć tę decyzję do wiadomości. Pomyślał, że nawet najdłuższa ciąża nie trwa dłużej niż dziewięć miesięcy, a potem nastąpi czas zemsty. Doszedł do wniosku, że musi kuć żelazo, póki gorące, aby biskup czuł się zmuszony pociągnąć tę bluźnierczą niewiastę do ziemskiej sprawiedliwości. Uśmiechnął się poddańczo i powiedział:

– Ponadto do moich uszu dotarły plotki z Wiednia, które stawiają Casamontego... – wypowiedział to nazwisko jak przekleństwo i natychmiast się poprawił: – ...które stawiają czarownicę Giulie Fassi w najgorszym świetle.

Della Rocca westchnął i podniósł wzrok. Stwierdził, że Ludovico czasem potrafi być męczący.

– I cóż to za niesamowite wieści?

– Hrabia Falkenstein, który przez wiele lat związany był z kacerstwem i dopiero kilka miesięcy temu wrócił na łono świętego Kościoła katolickiego, oskarża Giulie Fassi i Vincenza de la Torre o uprawianie sodomii.

Biskup roześmiał się głośno, przerywając Ludovicowi.

– Sodomii, powiadasz? No cóż, z tego wynika, że Casamonte to jednak rzezaniec, a nie jakaś Giulia Fassi! Czy to nie wystarczający dowód, że śpiewak faktycznie jest kastratem?

Ludovico jednak nie odpuścił.

– To może oznaczać też całkiem co innego. Mianowicie, że ów de la Torre i Giulia współżyją ze sobą jak mężczyzna z kobietą. Trzeba koniecznie sprawdzić to oskarżenie, ale to i tak nie wszystko. Giulia Fassi razem z tym de la Torre oczerniła kilku Bawarczyków jedynie słusznej wiary przed arcykacerzem Krzysztofem Wirtemberskim i w ten sposób przyczyniła się do ich śmierci. Poza tym Falkenstein zaklinał się, że Casamonte oraz jego towarzysz de la Torre wyznają luterzańską herezję i uczestniczyli w obrzydliwych rytuałach kacerzy.

„Ludovico ze swoim silnym głosem byłby świetnym oskarżycielem sądu inkwizycyjnego” – pomyślał della Rocca i westchnął. Zastanawiał się też, dlaczego Święte Oficjum mimo tych oskarżeń nie przedsięwzięło żadnych kroków przeciwko szlachcicowi de la Torre i Casamontemu. Odpowiedź na to pytanie znalazł dopiero kilka godzin później, po południu, w raporcie papieskiego posła Piccolominiego, który napisał, że Falkenstein jest niewiarygodny, jako że de la Torre przyprawił mu podobno rogi. Według plotek Casamonte był przy tym obecny. Ponieważ takie postępowanie w przypadku kastrata nie było czymś nadzwyczajnym, biskup uznał je za kolejny dowód, że Ludovico jest po prostu zaślepiony nienawiścią do Giulii Fassi i nie chce dostrzegać prawdy. Ponieważ jednak działania chłopaka zwróciły już uwagę władz, musiał szybko coś przedsięwziąć, żeby nie dopuścić do skandalu.

„Ludovico zapłaci za te wszystkie kłopoty, których mi przysporzył” – pomyślał della Rocca i postanowił, że wyśle go do Chin wraz z misjonarzami, którzy mają nawrócić tamtejszego cesarza. Ale najpierw należało rozwiązać problem Casamontego w taki sposób, żeby sobie samemu nie zaszkodzić. Biskup stwierdził w duchu, że zaszedł tak wysoko, bo zawsze był przygotowany na każdą ewentualność. A jeśli Casamonte to faktycznie Giulia Fassi? Na ten wypadek też trzeba być przygotowanym. Niestety, w raporcie z Wiednia nie było wzmianki, która popierałaby teorię Ludovica. Della Rocca nie uwierzył w zapewnienia Piccolominiego, że Casamonte nie miał pojęcia o planowanym zamachu na wirtemberskiego księcia. Czasem wystarczy przecież jedno przypadkiem zasłyszane słowo, by naprowadzić człowieka na trop. Jeśli Casamonte usłyszał coś o planowanym

napadzie i ostrzegł Wirtemberczyka, to należy przypisać ten czyn słabej i błędnej duszy kobiety; kastrat, który urodził się jako mężczyzna, nie uczyniłby czegoś takiego.

Gdy della Rocca wrócił po południu do pałacu, kazał przybocznemu służącemu wezwać Ludovica i kapitana papieskiej gwardii.

– Życzycie sobie, bym wezwał pana Gonzagę? – Lokaj skłonił się i chytrze zmrużył oczy.

Biskup pokręcił niechętnie głową.

– Nie, jego nie. On zanadto chełpi się po gospodach swoimi rzekomymi bohaterskimi czynami. Sprowadź Szwajcara. Na nich najbardziej można polegać.

Służący pospiesznie opuścił komnatę, a della Rocca się zamyślił. Uznał, że w tym wypadku priorytetem jest zachowanie tajemnicy. Nieważne, jak wszystko się skończy, byle nie dowiedział się o tym nikt poza wąskim kręgiem wtajemniczonych osób.

Giulia nie mogła opuścić zamku hrabiego Biancavallo tak szybko, jak się spodziewała. Hrabina po ciężkim porodzie wciąż była cierpiąca i tylko muzyka działała na nią kojąco.

Gdy Roberto Biancavallo wrócił, obejrzał nowo narodzonego syna i głośno wyraził swe zadowolenie, z twarzy jego małżonki wreszcie zniknęło nerwowe napięcie. Młody pan hrabia szybko znowu opuścił zamek, żeby zająć się obecną metresą. Po jego wyjeździe zapanował spokój i Giulia mogła wreszcie ruszyć w dalszą podróż.

Hrabia Biancavallo okazał się bardzo hojny. Giulia otrzymała od niego tak dużą sumę, że mogłaby za nią żyć bez trosk przez kilka lat. Podziękowała uprzejmie za ciężką sakwę i trzymając ją w ręku, zapragnęła zaszyć się wraz z Assumptą na jakiś czas w odległej górskiej wiosce, gdzie nikt by ich nie znał. Assumpta, której z upływem lat dawały się we znaki różne dolegliwości, źle znosiła wyczerpujące podróże. Zaslugiwała na coś lepszego niż życie w trasie i ciągłe wojaże niewygodnymi powozami, w których czasem tak trzęsie, że może z człowieka wytrząść duszę. Giulia z wdzięcznością pomyślała, że Assumpta służy jej wiernie przez tyle czasu, i postanowiła, że zadba, aby służąca miała piękną i spokojną starość.

Pożegnanie ze świeżo upieczoną matką i kobietami zamieszkującymi zamek było o wiele serdeczniejsze niż z hrabią. Ochmistrzyni przydźwigała olbrzymi kosz z żywnością i różnymi smakołykami, bo nie chciała, by śpiewakowi w drodze do Werony dał się we znaki głód. Ocierając łzy z oczu, powiedziała:

– Jedźcie z Bogiem, *messer Casamonte*. Podarowaliście nam najpiękniejszy prezent, jaki tylko mogliśmy sobie wymarzyć.

– Dziękujcie Bogu, nie mnie – odrzekła cicho Giulia.

Woźnica cmoknął językiem, a konie ruszyły lekkim kłusem. Giulia po raz ostatni pomachała na pożegnanie. Po chwili zamek został za nimi. Ani ona, ani Assumpta nie miały nastroju na rozmowę. Tygodnie spędzone w siedzibie hrabiego porządnie je wymęczyły, a teraz powóz był dla nich czymś w rodzaju miejsca zesłania. Vincenzo zawsze potrafił uprzyjemnić im podróż. Jego nieobecność dawała się dotkliwie odczuć, ale żadna z nich nie śmiała o tym wspomnieć.

Drogi prowadzące od zamku do Werony były tak złe, że na pokonanie trasy potrzebowali trzech dni. Podczas ostatniego postoju ich karoca stanęła obok innego pojazdu, który był już wyprzęgnięty, a mimo to ktoś siedział w środku. Giulie tak bardzo zaaferowały myśli o Vincenzu, że nie zauważyła młodego mężczyzny o prostackiej twarzy, który ostrożnie uniół skórzaną klapę w oknie i śledził ją wzrokiem. Assumpta dojrzała go przypadkiem i w zamyśleniu przetarła sobie czoło. Mężczyzna wydał się jej znajomy, ale ponieważ nie mogła sobie przypomnieć, kim może być, szybko przestała sobie nim zaprzętać głowę.

Ludovico nie spuszczał Giulii z oczu, póki nie weszła do zajazdu. Potem wystawił rękę na zewnątrz i kiwnął na człowieka w ubraniu woźnicy.

– Widziałeś tego zniewieściałego jegomościa? To Casamonte. Teraz twoja kolej.

Woźnica skinął głową i wszedł do zajazdu, po czym podszedł do Giulii, która właśnie obmywała twarz i ręce z kurzu. Uniosła niechętnie wzrok.

– Czego chcesz? – zapytała.

– To wy jesteście Giulio Casamonte?

– Tak mnie przynajmniej nazywają.

Woźnica ściągnął kapelusz z głowy i się skłonił.

– Przeor Świętego Łazarza przysłał mnie po was. Mój pan nie wiedział, czy hrabia Biancavallo da wam do dyspozycji powóz i kazał mi odebrać was z zamku.

– Jak widzisz, mamy czym jechać.

Giulia nie wiedziała, czego chce od niej ten człowiek. Woźnica skłonił się jeszcze raz i powiedział, żeby odesłała powóz hrabiego, a dalej on ją zawiezie.

Zdziwiła ją troska przeora, ale była zbyt zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać. Skinęła więc tylko głową. Była zadowolona, gdy mężczyzna wreszcie odszedł i zostawił ją z Assumptą. Ku uldze swojej służącej zjadła co nieco, po czym położyła się wcześniej do łóżka. Gdy rano siedziała w jadalni, przyszedł woźnica hrabiego, żeby się pożegnać. Giulia dała mu napiwek i życzyła szerokiej drogi. Spojrzała przez okno i stwierdziła, że drugi powóz stoi już przygotowany. Pomagierzy woźnicy właśnie pakowali do niego bagaż.

– Mam nadzieję, że w Weronie czeka na nas jakaś wiadomość od Vincenza – powiedziała do Assumpty i westchnęła.

Służąca machnęła ręką i pokręciła głową.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele. Vincenzo to wspomniały mężczyzna, ale obawiam się, że już nigdy go nie zobaczymy. Bardzo go uraziłaś, a mężczyźni nie zapominają tak łatwo jak kobiety. Taka już ich natura.

Giulia odsunęła talerz z niedojedzonym śniadaniem.

– Przez te wszystkie tygodnie spędzone u hrabiego Biancavallo podtrzymywałaś mnie na duchu myśl, że Vincenzo czeka na nas w Weronie, a przynajmniej że zostawił tam dla nas jakąś wiadomość.

– W Weronie dowiedziałaby się, gdzie przebywasz, i przyjechałby na zamek. Nie, nie, im wcześniej pogodzisz się z myślą, że go straciłaś, tym lepiej dla spokoju twojej duszy.

Assumpcie było przykro, że odbiera Giulii nadzieję. Uważała, że będzie lepiej, jeśli jej pani dotrze do Werony bez złudnych oczekiwań. Rozczarowanie byłoby dla niej jeszcze gorsze.

Giulia otrząsnęła się i zakończyła rozmowę, wstając i płacąc rachunek u gospodarza. Zaraz potem wsiadła do czekającego na nią powozu i pomogła Assumpcie zająć miejsce naprzeciwko siebie. Przez pierwsze mile obie siedziały w milczeniu, zatopione w myślach. W końcu powóz dojechał do skrzyżowania i skręcił na południe. Giulia nie zwróciła na to uwagi, ale Assumpta pomyślała: „Czemu woźnica nie jedzie w kierunku Werony?”. Uchyliła klapę przesłaniającą okno i wysunęła głowę na zewnątrz. Gdy ją cofnęła, na jej twarzy malowało się zdumienie.

– Wydaje mi się, że coś jest nie tak. Nie jedzie z nami tylko woźnica i jego dwóch pomocników. Na koźle siedzi jeszcze jeden mężczyzna, a tuż za nami podąża sześciu jeźdźców.

Giulia wzruszyła ramionami.

– Może w okolicy grasują szczególnie niebezpieczni zbójcy i przeor od Świętego Łazarza nie chce, byśmy podróżowały bez ochrony.

Te słowa nie przekonały jednak Assumpty do końca.

– Może i tak. Ale mam złe przeczucia.

Znów wyjrzała i z napięciem wbiła wzrok w kamień milowy na następnym skrzyżowaniu. Wprawdzie nie potrafiła zbyt dobrze czytać, ale teraz już była pewna, że nie jadą do Werony.

Przestraszona trąciła Giulie i pokazała ręką na zewnątrz.

– Proszę, wyrzyj. Porwano nas. To na pewno zbójcy. Będą chcieli dostać za nas okup.

Giulia z niedowierzaniem pokręciła głową, ale ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. W pierwszej chwili pomyślała, że Assumpta ma rację, ale gdy lepiej się przyjrzała, stwierdziła, że jeźdźcy przypominają raczej żołnierzy, a nie zbójców, chociaż nie mają na sobie mundurów. Żeby się upewnić, zapukała w małe drzwiczki od strony kozła. Woźnica nie zareagował. Zaniepokojona próbowała je otworzyć, ale stwierdziła, że są zaryglowane od zewnątrz.

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć – powiedziała zdezorientowana.

W tym momencie pomyślała, że może faktycznie zostały porwane przez zbójców. Jeśli chce się uratować, musi zachować zimną krew. Gdy niedługo potem zbliżyli się do jakiejś miejscowości, miała nadzieję, że zdoła zwrócić uwagę jej mieszkańców. Ale tuż przed wjazdem do wioski jeźdźcy zrównali się w powozem. Jeden z nich wycelował pistoletem w kierunku karocy.

– Głowy do środka! – wydał polecenie.

Giulia pomyślała o własnej broni, która znów leżała bezużytecznie w kufrze, ale i tak każda próba przeciwstawienia się dziesięciu mężczyznom byłaby z góry skazana na porażkę. Mogła tylko czekać na to, co nastąpi, i mieć nadzieję, że uda jej się wyjść z tej sytuacji bez większego szwanku. Najbardziej zależało jej na zachowaniu tajemnicy swojej płci. To było ważniejsze od pieniędzy, które napastnicy zechcą jej zapewne odebrać. A więc musiała zachowywać się spokojnie i nie dać się sprowokować. Z Tomasim też przeciw sobie poradziła.

Powóz jechał przez cały dzień. Nie robiono postojów nawet na opróżnienie pęcherza. Gdy Assumpta zawołała, że musi pójść w krzaki, jeden z jeźdźców kazał jej użyć nocnika schowanego w małej skrytce pod siedzeniem. Obie kobiety nie miały innego wyjścia, jak skorzystać z tej oferty. Potem Assumpta próbowała wylać zawartość nocnika na zewnątrz, a przy okazji opryskała jeźdźców. To ich rozwścieczyło i natychmiast zaryglowali okna powozu.

Giulia się zezłościła.

– Co narobiłaś? Rozgniewałaś ich i teraz nic nie będziemy widziały. Proszę, żebyś na przyszłość zachowywała się powściągliwie.

Assumpta wyszczerzyła tylko zęby.

– Co najmniej jeden z tych drani będzie musiał wieczorem oddać płaszcz do prania, jeśli nie chce, by jutro śmierdziało od niego jak z rynsztoka. Niech wiedzą, że nie pozwolimy im, by robili z nami, co tylko chcą.

Giulia uznała ten akt oporu za dziecinadę, ale nic już nie powiedziała, żeby jeszcze bardziej nie nakręcać rozsierdzonej służącej.

Powóz zatrzymał się dopiero, gdy słońce zachodziło. Dwaj mężczyźni z pistoletami w dłoni kazali Giulii i Assumpcie wysiąść. Bez słów zaprowadzono je do małej kaplicy zbudowanej z potężnych kamieni ciosanych z piaskowca, wepchnięto je do środka i zamknięto za nimi drzwi.

Wnętrze było tak ciasne, że mieściły się tutaj tylko dwa klęczniki, które nie zapewniały pozycji w miarę wygodnej do spania. Wyczerpana Assumpta przysiadła na jednym z nich, Giulia natomiast zaczęła się rozglądać za możliwością ucieczki. Ale jedyne drzwi zbite były z mocnego drewna, a przez wąskie okienka wysoko pod sufitem mógłby się prześlizgnąć co najwyżej kot. Assumpta również zaczęła się rozglądać.

– Ciekawa jestem, czy zostawią nas tu na śmierć z głodu i pragnienia – warknęła jak wściekły pies.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie drzwi się otworzyły i jeden z mężczyzn podał im tacę z chlebem, winem i serem. Drugi wstawił do pomieszczenia nocnik opłukany w strumieniu.

– Żebyście nie zafajdały kaplicy.

Giulia dostała gęsiej skórki. Zbójcy nie przejmowali by się tym, że one dwie zanieczyszczą kaplicę. Nie jechaliby też konno przez cały dzień tak otwarcie gośćmi. Z drugiej strony władze papieskie aresztowałyby je zupełnie oficjalnie, a eskorta ubrana byłaby w mundury. Giulia nie potrafiła rozwikłać tej zagadki, ale wyczuwała grożące im niebezpieczeństwo, w przeciwieństwie do Assumpty, która piekliła się bezustannie bez świadomości, jak poważna jest ich sytuacja.

Jakiś czas później obaj mężczyźni wrzucili im do środka koce. Zanim odeszli, jakiś trzeci osobnik stanął w drzwiach. Assumpta rozpoznała młodego człowieka o prostackiej twarzy, którego zeszłego wieczora widziała w oknie powozu.

– To zbójca, który na nas czatował – szepnęła do Giulii, ale nie dość cicho, bo mężczyzna usłyszał i uśmiechnął się ze złośliwym zadowoleniem.

Wszedł do środka i kazał dwóm pozostałym zamknąć drzwi od zewnątrz. Jeden natychmiast się wycofał, drugi natomiast miał wątpliwości.

– Powiedziano nam, że kastratowi nie może spaść włos z głowy i najlepiej, żebyśmy go w ogóle nie dotykali. To polecenie obowiązuje także ciebie, Ludovico.

Mężczyzna nazwany imieniem Ludovico machnął ze złością ręką.

– Znam rozkazy i jestem odpowiedzialny wobec Jego Eminencji za ich dokładne wykonanie. A teraz uciekaj stąd. Doskonale wiem, co mam robić.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Ludovico stanął z rękami skrzyżowanymi na piersi i zmierzył Giulie wzrokiem pełnym nienawiści. Jej pewna mina, wyprostowana postawa i eleganckie ubranie z drogiej tkaniny przypominały mu, że to jemu, a nie jej, powinna przysługiwać taka pozycja społeczna. Zapomniał przy tym, że musiałby poświęcić swoją męskość, żeby móc zostać cenionym kastratem.

– Czy mogę się dowiedzieć, kto mnie tu więzi i dlaczego?

Brzmienie głosu Giulii było dla Ludovica ciosem prosto w serce. Ta czarownica ucieleśniała w perwersyjny sposób osobę, jaką chciałby być, ale nie było mu dane. Z nienawiści zapomniał o wszystkich rozkazach, które wydał della Rocca. Biskup zastrzegł, że kastrat Casamonte nie może się dowiedzieć, kto go pojmał i z jakiego powodu. Ale osobą, która przed nim stała, była Giulia Fassi. Ludovico miał całkowitą pewność. Tej czarownicy należała się śmierć na stosie i wieczne męki w piekle. Zapragnął dać jej to do zrozumienia, żeby już dzisiaj cierpiała przynajmniej w wyobraźni.

– *Buona notte*, Giulio Casamonte. Czy może mam do ciebie mówić Giulia Fassi?

Ludovico rozkoszował się poczuciem władzy i przerażeniem, które pojawiło się na twarzy Assumpty. Gdy spojrzał na Giulie, z wściekłości zacisnął dłonie w pięści. Zamiast skręcać się ze strachu, patrzyła na niego z taką obojętnością, jakby rozmawiali o pogodzie.

Nie mógł wiedzieć, że opanowanie na jej twarzy było wynikiem wieloletniego przyzwyczajenia. Chociaż Giulia wyglądała na spokojną, to w środku aż się w niej gotowało. Rozpaczliwie próbowała się domyślić, kto wykrył jej prawdziwą tożsamość. Vincenzo nie mógł jej zdradzić, bo sam nie miał pojęcia, że ma do czynienia z kobietą. Może to ojciec się wygadał. Mógł powiedzieć o wszystkim swojej nowej żonie, a ta sprzedała komuś tę wiedzę. W tej chwili nic innego nie przychodziło Giulii do głowy. Ale nie miała zamiaru czegokolwiek potwierdzać ani zdradzić się choć mrugnięciem oka.

Zaczerpnęła powietrza i uniosła dumnie głowę.

– Chcę wiedzieć, kto mnie trzyma pod kluczem.

Ludovico zaśmiał się okropnie, maskując zaskoczenie.

– Gwardziści Ojca Świętego. Zobacysz, poniesiesz sprawiedliwą karę, ty diabelska dziwko.

„Już po wszystkim” – pomyślała Giulia. Oczami duszy zobaczyła stos i płomienie wokół siebie, a nawet miała wrażenie, że czuje ich gorąco. Najgorsze jej koszmary zaczęły przybierać realną postać. Mimo szalejących w jej wnętrzu emocji próbowała znaleźć jakieś wyjście. Ale sytuacja była chyba beznadziejna. Wprawdzie przebywali jeszcze na terenie Republiki Weneckiej, ale północne granice Państwa Kościelnego nie znajdowały się już daleko, a ona nie mogła liczyć na żadną pomoc z zewnątrz. Jediną szansą była ucieczka. Pojmanie zostało jednak zaplanowane tak precyzyjnie, że nie sądziła, iż zdoła wyprowadzić porywaczy w pole.

Ludovico spochmurniał. Oczekiwał, że Giulia będzie krzyczeć z przerażenia, błagać o litość, płakać, rzuci się przed nim na kolana. Ale ona pozostała obojętna i uparta jak wtedy, gdy była małą dziewczynką: wolała dostać lanie od matki niż zrobić mu tę przyjemność i unieść sukienkę, żeby mógł pod nią zajrzeć. Gdyby dała mu się wtedy dosiąść i pozwoliła rozładować rodzącą się w nim chęć, nie musiałby zabawiać się z Ambrogiem, kolegą z chóru, a potem unikałby wielu upokorzeń. Za to też każe jej zapłacić.

Nagle do głowy przyszedł mu pewien pomysł. Fassi nie była wprawdzie nazbyt piękna, ale i nie brzydka. Nawet męski strój nie dał rady zatuszować jej zgrabnych kształtów. Już otworzył usta, żeby jej zaproponować, że puści ją wolno, jeśli dobrowolnie mu się odda. Poczł przemożne pragnienie, by mieć ją pod sobą, bić, poniżać, póki nie zacznie błagać go o litość i czołgać się u jego stóp. Dopiero wtedy oddałby ją, śmiejąc się szyderczo, siepaczom inkwizycji i rozkoszowałby się jej strachem.

Ale gdy spojrział na lodowatą minę dziewczyny, zrozumiał, że nie pójdzie mu tak łatwo. Najpierw musiałby to dziewczusko porządnie przeczołgać i pokazać jej, gdzie raki zimują, żeby skłonna była pójść w jego objęcia w zamian za najmniejszą chociaż obietnicę ulżenia jej losowi. Teraz, gdy ją uwięził i mógł udowodnić, że nie jest kastratem, tylko bezbożną czarownicą, della Rocca nie odmówi mu niczego. Ludovico wyobraził sobie, jak ściga z niej ubranie przed obliczem biskupa, i uśmiechnął się szyderczo.

Giulia potrafiła zapanować nad nerwami, ale jej służąca drżała na całym ciele, a twarz miała szarą niczym zdeptana podłoga. Najwidoczniej wyczuła, że czeka je zły los. Ludovico rozpoznał Assumptę na pierwszy rzut oka. Niewiele zmieniła się przez te wszystkie lata. Nie to co Giulia, która przeszła taką metamorfozę, że tylko ktoś, kto wcześniej słyszał jej głos, mógł ją skojarzyć z tamtą dziewczynką z Saletto.

Nagle Assumpta przypomniała sobie, z kim mają do czynienia.

– Ludovico! Ludovico Moloni, twoja matka powinna była utopić cię w beczce zaraz po twoim urodzeniu.

Tym razem także Giulia straciła panowanie nad sobą. Okrzyk Assumpty sprawił, że się wzdrygnęła. Popatrzyła na śmiejącego się drwiąco mężczyznę. Tak, to dawny solista chóru chłopięcego przy klasztorze Świętego Hipolita w Saletto. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy w ciągu ostatniego czasu ponownie stanął jej na drodze. Ale najwidoczniej rozpoznał ją i Assumptę i doniósł na nie papieskim urzędnikom.

W tym momencie uświadomiła sobie, że nie ma ucieczki. U kresu tej podróży czeka ją więzienie inkwizycji, a potem stos, o ile tylko przeżyje tortury. Oczyma duszy zobaczyła przed sobą płomienie i

ogarnęła ją słabość, jakiej dotychczas nie znała. Mimowolnie zacisnęła dłonie w pięści. Póki jeszcze posiada choć odrobinę siły, ten obrzydliwy zdrajca nie zobaczy jej zastraszonej.

Tymczasem Ludovico wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

– A więc jeszcze mnie pamiętasz, ty stara czarownico – powiedział do Assumpty. – Teraz będziesz miała dość czasu, żeby mnie powspominać, gdy będziesz gniła w lochach papieskich. A ty, Giulio Fassi, zostaniesz ukarana znacznie gorzej. Mogę zaświadczyć, że rzuciłaś na mnie urok, żebym przedwcześnie dostał mutacji i nie mógł śpiewać. To twoja wina, że dzisiaj jestem tylko prostym lokajem, a nie szanowanym śpiewakiem. Za to również zapłacisz! Będę się z rozkoszą przyglądał twojej śmierci na stosie.

Giulia nie zareagowała na jego słowa, tylko patrzyła wyniośle. Podszedł do niej. Chciał ją szarpać i bić, aż zacznie krzyczeć. Ale wtedy przypomniał sobie o rozkazach i opuścił ręce, zły, że tak pochopnie odkrył swoje karty. Miałby więcej przyjemności, gdyby się z nią pobawił, narobił jej obietnic, a potem ich nie dotrzymał. Teraz stracił szansę, by dobrowolnie przysłała do niego do łóżka. A to właśnie byłoby ukoronowaniem jego zwycięstwa. Odwrócił się wściekły i uderzył pięścią w drzwi, żeby go wypuszczono na zewnątrz. Potem zawołał przywódcę jeźdźców.

– Wyślij gońca do Jego Eminencji, biskupa della Rocca. Niech przekaże mu wiadomość o pojmaniu Giulii...a Casamontego.

Chciał wymienić nazwisko Giulii Fassi, ale w porę się poprawił. Della Rocca nakazał dopilnować, by nikt z eskorty nie poznał prawdziwej płci jeńca, i Ludovico musiał wypełnić rozkaz.

Dzięki znajomości języków obcych Vincenzowi udało się zostać pisarzem w papieskim urzędzie. Ale przydzielono mu nudne zajęcie: kazano przepisywać zestawienia podatków i ewidencje inwentarza. Długie godziny pracy męczyły go podobnie jak i innych pisarzy. Koledzy już od pierwszego dnia stronili od niego, przełożeni zaś – pochodzący najczęściej z niższych warstw społecznych i najwidoczniej wyczuwający w nim człowieka szlachetnie urodzonego – szykanowali go i byli niezadowoleni, cokolwiek zrobił. Podwładni to wykorzystywali, przygryzali mu złośliwie i ciągle dawali mu odczuć, że jest niemile widziany. Jedynym pozytywnym aspektem pracy w tym miejscu był dostęp do wiadomości, które tu trafiały. Bez problemu mógł zapytać o Giulia Casamontego. Natychmiast by go poinformowano, gdyby śpiewak zbliżał się do Rzymu, nawet jeśli znajdowałby się o pięćdziesiąt mil od miasta. Ale mijały tygodnie, a żadne wieści o kastracie nie docierały do urzędu papieskiego.

Vincenzo znów przeżywał jeden z tych okropnych dni, jakich nie życzył nawet swojemu najgorszemu wrogowi. Zastanawiał się nawet poważnie nad rezygnacją z posady i utrzymywaniem się z hazardu. Jakiś dowcipniś dosypał mu mąki do atramentu i w kałamarzu zrobiła się gęsta czarna papka. Poszedł do studni, żeby go umyć, a tam zatrzymał go bezpośredni przełożony i skarcił grubiańsko, że oddalił się od miejsca pracy. Na dodatek kazał mu zapłacić za zmarnowany atrament, dopiero potem pozwolił mu na nowo napełnić kałamarz. Vincenzo próbował dociec, kto wyciął mu taki numer, żeby zacząć się na tego kogoś nazajutrz przed pracą i porządnie złoić mu skórę. Nagle w sali zrobiło się niespokojnie. Ale przez incydent z atramentem Vincenzo miał zaległości, musiał nadgonić robotę i początkowo nie zwracał uwagi na to, co się dzieje.

Wtem jakiś cień padł na arkusz papieru, który miał przed sobą. Uniósł wzrok i zobaczył oficera papieskiej gwardii. Minęła dłuższa chwila, nim rozpoznał w nim Paola Gonzagę. Kiedyś prawie dziewczęca, urodziwa twarz mężczyzny była oszpecona szeroką, zgrubiałą blizną, która ciągnęła się od czoła przez nos po brodę. Najwidoczniej stracił też prawe oko, bo miał je zasłonięte czarną przepaską. Vincenzo przypomniał sobie o zamieszkach w Mantui, które garbaty książę Wilhelm zdołał szybko stłumić. Podobno Paolo Gonzaga odegrał w tych wydarzeniach dużą, ale niezbyt sławną rolę. Vincenzo opuścił głowę, żeby papieski oficer nie dojrzał złośliwej satysfakcji na jego twarzy.

Paolo Gonzaga dopiero tego ranka dowiedział się o nowym zadaniu i nie znał szczegółów. Powiedziano mu tylko lakonicznie, że pojmano kastrata Giulia Casamontego za jakieś tam przestępstwa i w najbliższych dniach zostanie on przewieziony do Rzymu. Jemu natomiast wydano rozkaz aresztowania Vincenza de la Torre, wieloletniego przyjaciela Casamontego. Gonzaga nie wiedział, że miał to zrobić inny oficer gwardii, który jednak zachorował. Tak więc to Gonzaga zjawił się u biskupa della Rocca, żeby odebrać rozkazy. Pisarz biskupa, który był bardziej rozmowny niż jego pan, napomknął co nieco o zdradzie stanu, czarach i sodomii. Paolo Gonzaga był tak rozbawiony tym, że Vincenzo de la Torre woli tłusty zadek kastrata od naturalnie stworzonego przez Boga otworu kobiety i że pracuje w urzędzie jako nędzny pisarczyk, że zapomniał o rozkazie biskupa, aby dokonać aresztowania jak najbardziej dyskretnie. Stał przed pulpitem Vincenza i kiwnął na

czterech gwardzistów, którzy mu towarzyszyli, żeby podeszli bliżej.

– Popatrzcie no, człowiek szuka szlachcica, a znajduje nędznego gryziopiórka.

– Nie każdy jest na tyle pozbawiony skrupułów, żeby ożenić się z bogatą dziedziczką tylko po to, by kilka miesięcy później zamknąć ją w klasztorze z powodu jakichś wymyślonych oskarżeń.

Vincenzo uczynił w ten sposób aluzję do Giovanny Gonfale, która chciała zostać małżonką znaczącego mężczyzny, a za swe marzenie zapłacała płaczem i żalnością.

Paolo Gonzaga wzruszył tylko ramionami.

– Bezcelność nic wam w tej sytuacji nie pomoże.

Dopiero teraz Vincenzo zrozumiał, że Paolo Gonzaga przyszedł tu ze względu na niego. Zaczął się zastanawiać, czy któryś z kolegów nie doniósł na niego do władz. Ale o co takiego mógł go oskarżyć, skoro papieski kapitan osobiście przejął sprawę?

Vincenzo odłożył na bok pióro i zamknął kałamarz.

– Czego chcecie ode mnie?

W tym momencie był godnym potomkiem arystokratycznej rodziny, która posiadała godności i zaszczyty, gdy Gonzagowie byli jeszcze prostymi chłopami.

Gonzaga rozciągnął wargi w drwiącym uśmiechu.

– Jesteście aresztowani, Vincenzo de la Torre. A może powinienem was nazywać Torelli? Powinniście byli wybrać sobie inne nazwisko. To plami herb waszej rodziny.

– Podczas gdy wy przynosicie chlubę herbowi waszej rodziny – rzekł ironicznie Vincenzo, udając spokój, ale oczami próbował ogarnąć sytuację.

– O mnie ludzie przynajmniej nie mówią, że wbijałem bolec nie w ten otwór, co trzeba – odgryzł się Gonzaga.

Inni pisarze zaczęli się trącać i uśmiechać złośliwie. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się tłoczno, tyłu tu przyszło ciekawskich.

– Mówiłem przecież, że z tym człowiekiem coś jest nie tak – oświadczył jeden z nich z satysfakcją.

Tymczasem rozbawiony Vincenzo pokręcił głową.

– Ten zarzut jest mocno naciągany.

Gonzaga wyciągnął następnego asa z rękawa.

– Są świadkowie, którzy twierdzą, że uprawialiście sodomię z kastratem Casamonte. Ten kaleka już znajduje się w rękach inkwizycji. Aresztowano go pod Weroną i za kilka dni zostanie przywieziony do Rzymu. Może strażnik więzienny będzie tak wspaniałomyślny i wsadzi was do tej samej celi.

Słowa Gonzagi były dla Vincenza szokiem. „Giulio w rękach inkwizycji!” – ta myśl rozbrzmiewała mu w głowie. Nie mógł tego pojąć. Giulio był najmiłszym człowiekiem na ziemi i nikomu nie zrobiłby krzywdy, nawet musze. A mimo to wpadł w szpony świeckiej i kościelnej rzymskiej jurysdykcji. Vincenzo zaczął sobie wyobrazać, jak kastrat będzie męczony na torturach. Nawet silny, zdrowy mężczyzna nie jest w stanie długo znosić takich cierpień bez przyznania się do wszystkich zarzucanych mu czynów.

„Nie, tylko nie Giulio” – pomyślał z rozpaczą. W ułamku sekundy odzyskał zimną krew. Spojrzał na Gonzagę, który stał zadowolony z rękoma skrzyżowanymi na piersi i rozkoszował się triumfem. Czterej gwardziści trzymali wprawdzie ręce na rękojeściach mieczy, ale byli tak rozbawieni, jakby uczestniczyli w jakiejś komedii, z kolei pisarze nigdy nie traktowali Vincenza poważnie. Wiedział, że ma za sobą okno. Nie było zakratowane, za to wystarczająco duże dla zdesperowanego mężczyzny.

Jeśli będzie miał pecha, to podczas upadku połamie sobie wszystkie kości. Ale wolał to niż pójść z Gonzagą potulnie do więzienia jak by było prowadzone na rzeź. Opuścił ramiona i wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał się poddać. Gonzaga cofnął się o krok i kiwnął na niego, żeby wstał zza biurka. W tym momencie Vincenzo poderwał się błyskawicznie na nogi, pchnął go na gwardzistów i skoczył przez zamknięte okno, rozbijając szybę ramieniem. Szkło się rozprysło, a ołowiane łączenia szybek pękły z głośnym trzaskiem. Vincenzo obrócił się w powietrzu i spadł na ziemię wśród gradu szkła. Cudem nie odniósł prawie żadnych ran. Błyskawicznie poderwał się na nogi i zobaczył przed sobą konia Gonzagi, którego trzymał za cugle kompletnie skonsternowany gwardzista. Vincenzo zareagował instynktownie. Skorzystał, że żołnierz gapi się na niego z głupim uśmiechem, wyrwał mu cugle z rąk, wskoczył na siodło i piętami uderzył konia w boki. Zaskoczony gwardzista krzyknął dopiero, gdy zwierzę w pełnym galopie zniknęło za rogiem. Ale jeśli Vincenzo nie chciał zwracać na siebie uwagi, musiał zwolnić. Ściągnął cugle i jechał dalej lekkim kłusem albo nawet chodem. Dlatego przez następnych kilka minut wielokrotnie zmieniał kierunek, aż w końcu powoli udało mu się przejechać przez tłum ludzi i dotrzeć do Porta del Popolo. „Jak to dobrze, że nie dostałem posady po drugiej stronie Tybru, w Watykanie” – ucieszył się. Stamtąd nie dałby rady uciec tak łatwo. Teraz też jeszcze długo nie będzie bezpieczny. Prawdopodobnie Paolo Gonzaga wysłał już gwardzistów we wszystkie strony i kazał zamknąć bramy. Na tę myśl Vincenzo przyspieszył. Zignorował oburzone okrzyki kilku przechodniów. Jeśli go potem rozpoznają na podstawie opisu i podadzą gwardzistom kierunek jego ucieczki, to trudno. Zanim dotarł do północnej bramy miejskiej, sprawdził, co Gonzaga zostawił na koniu. Ucieszył się, znalazłszy w torbie przy siodle dwa naładowane pistolety z zamkami kołowymi, a także płaszcz jeździecki z godłem papieskim, który oficer zwinął w rulon z powodu gorącego dnia i przytroczył do siodła.

Vincenzo rozwiązał rzemienie, założył płaszcz i beczelnie pokłusował w kierunku bramy. Gwardziści, którzy jej pilnowali, byli zajęci rozmową i tylko pobieżnie rzucili okiem na jeźdźcę. Vincenzo pozdrowił ich z uśmiechem i cmoknął na karego Gonzagi, zachęcając go do kłusu. Za miastem przeszedł na jakiś czas w galop. Ale w ten sposób nie pozbędzie się prześladowców. Dlatego gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku, ściągnął koniowi cugle i pojechał na przełaj przez pole. Potem trafił na polną drogę, która prowadziła na północ, równoległe do gościńca. Ruszył nią lekkim kłusem, rozmyślając o swojej sytuacji.

Jedno było dla niego jasne – uwolni Giulia! Musiał jeszcze tylko wymyślić, jak. Ponieważ Gonzaga wygadał się, gdzie Giulia aresztowano, wiedział, jaką trasą będzie on przewożony do Rzymu. Mógł wyjechać naprzeciw wiozącym go żołnierzom, zacząć się i czekać na sposobny moment. Liczył na zaskoczenie, bo nikt, nawet Gonzaga, na pewno nie będzie się spodziewał, że spróbuje uwolnić więźnia, zamiast jak najszybciej zniknąć z terenu znajdującego się pod władzą papieża. Ale w pierwszej kolejności musiał zdobyć coś do jedzenia i inne ubranie. Mężczyzna na koniu w lekkich butach i bez czapki rzuca się w oczy, szczególnie jeśli jego płaszcz i siodło są tak cenne jak te, które zabrał Gonzadze.

Pogrążony w rozmyślaniach Vincenzo podjechał do lesistych wzniesień i zanurzył w ich chłodnym mroku. Było tu tak cicho, jak gdyby na świecie nie istnieli inni ludzie. Wreszcie poczuł się bezpieczny. Niebawem uczucie to okazało się zwodnicze. Gdy usłyszał przed sobą trzask gałęzi, było już za późno. Okrążyło go pół tuzina ironicznie uśmiechniętych łotrów, którzy wymierzili w niego flinty.

– Mówiłem wam, że się nam dzisiaj poszczęści. Nawet nie musieliśmy wychodzić na gościńiec! –

zawołał niski, łysy mężczyzna, który wydał się Vincenzowi nieco znajomy.

Nagle go sobie przypomniał. To Benedetto, prawa ręka herszta zbójców, Alessandra Tomasiego.

Vincenzo zaklął wulgarnie i podniósł ręce.

– Wpadłem z deszczu pod rynnę! – stwierdził.

Mężczyźni chwycili go za nogę, ściągnęli z konia i związali z szybkością, która zdradzała wieloletnią praktykę. Przeszukując torby przytroczone do siodła, znaleźli pistolety. Vincenzo na widok broni poczuł złość, że dał się pojmać i nawet nie próbował jej użyć. Może udałoby mu się jakoś umknąć zbójcom. Ale ich twarze i flinty wyglądały tak groźnie, że nie miałyby szans ujść cało. Tak więc nie pozostało mu nic innego, jak zdać się na swój talent negocjacyjny.

– Hej, ludzie, czego ode mnie chcecie? Jestem biednym człowiekiem. Nie mam przy sobie nawet dukata.

Benedetto roześmiał się drwiąco.

– Na pewno, zwłaszcza że jeździsz na takim koniu. Twój ogier jest pewnie z najlepszej hiszpańskiej hodowli.

– Gwiznąłem go, bo musiałem się szybko ulotnić z Rzymu.

Vincenzo miał nadzieję, że jeśli uznają go za osobę również wyjętą spod prawa, będą do niego bardziej przychylnie nastawieni.

Jego słowa zrobiły na nich wrażenie. Benedetto przyjrzał się uważnie koniowi w pełnym rynsztunku i zerknął krzywo na ubranie Vincenza.

– Rzeczywiście nie wyglądasz, jakbyś miał zamiar ruszać gdzieś w dalszą drogę. Co takiego się stało, żeś wsiadł na konia? Pogonił cię zazdrosny małżonek czy rozgniewana żona?

– Ani to, ani to. Ale sądzę, że lepiej będzie, jak porozmawiam o tym z waszym przywódcą.

Vincenzo wpadł na pomysł, który wydał mu się tak szalony, że sam się go przestraszył. Żeby uwolnić Giulia, sprzymierzyłby się jednak z samym diabłem, a Tomasi zdaniem większości ludzi był prawie tak zły jak szatan. Ale swego czasu okazał Giuliowi pewną życzliwość, a Vincenzo pragnął to wykorzystać.

Benedetto spojrział krótko na innych zbójców i stuknął Vincenza lufą flinty.

– A więc dobrze, zaprowadzimy cię do Tomasiego. Ale nie miej pretensji, jak obetnie ci uszy.

Zbójcy zaprowadzili Vincenza do swego obozowiska. Odniósł tam wrażenie, że ludziom Tomasiego nie wiedzie się szczególnie dobrze. Siedzieli pochmurni na ziemi, kłócili się stłumionymi głosami i patrzyli na swego przywódcę z wrogością.

Jeden ze zbójców podszedł do Tomasiego i zaczął się głośno domagać podziału łupów.

– Jeśli nie potrafisz załatwić lepszych okazji – powiedział do herszta – to najlepiej będzie, jak się rozstaniemy.

– A więc to tak? – zapytał spokojnie Tomasi, ale jego głos zabrzmiał tak groźnie, że większość zbójców aż się skuliła.

W tym momencie Benedetto pchnął do przodu pojmanego Vincenza. Niejeden złoczyńca ucieszył się, że napięta sytuacja została dzięki temu rozładowana. Kilku wskazało na Vincenza i zaśmiało się ordynarnie.

– Skąd wystraszeńście takiego paniczka? – zapytał jeden z nich.

Tomasi zerwał się na równe nogi.

– To przecież koń tego przeklętego Gonzagi! – zawołał.

Benedetto skinął głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Ten lalusz go chyba ukradł.

– Tak jest! – zawołał szybko Vincenzo. – Paolo Gonzaga chciał mnie aresztować. Udało mi się umknąć i pożyczyłem od niego tego konika, żeby szybciej gnać przed siebie.

Kilku zbójców roześmiało się na te słowa, Tomasi jednak zachował w stosunku do Vincenza ostry ton.

– Znam cię, chłopcze. Czy to nie ty przygrywałeś kiedyś kastratowi na lutni?

– Tak, to byłem ja. Vincenzo de la Torre, do usług. – Vincenzo uklonił się na tyle nisko, na ile pozwalały mu więzy. – A więc pamiętacie mojego przyjaciela Casamontego?

Zbój skinął głową, a jeniec poczuł, że kamień spada mu z serca.

– Co prawda was nie szukałem, ale teraz się cieszę, że was znalazłem. Moglibyście mi, a przede wszystkim Casamontemu, wyświadczyć wielką przysługę.

Jeden z mężczyzn wyciągnął zza pasa nóż i rzucił go w taki sposób, że ten wbił się w ziemię tuż koło stóp Vincenza.

– Znalazłeś nas, ale wątpię, żeby to był powód do radości – powiedział.

Tomasi machnął ręką i spojrzał nieufnie na Vincenza.

– Czego od nas chcesz? Nie myśl, że ktoś taki jak ty może nas sobie owinąć wokół palca. Już nieraz papieskie władze próbowały nas wykiwać.

Vincenzo najpierw odetchnął głęboko, a potem zaczął mówić.

– Sam jestem ścigany przez władze. Ja i mój przyjaciel Casamonte nie wiedzieć czemu ściągaliśmy na siebie nieprzychylność wielkich panów w Rzymie. Podczas aresztowania udało mi się uciec, ale Casamonte wpadł w ich ręce pod Weroną i ma zostać w najbliższym czasie przewieziony do Rzymu.

Tomasi zaśmiał się krótko i sucho.

– A co to ma wspólnego z nami?

Vincenzo mrugnął do niego poufale.

– No przecież chętnie zatrzymujecie powozy.

– Oszalałeś! Żołnierze papieża depczą nam prawie po piętach, a my mielibyśmy napadać na transport więźnia eskortowanego przez całą grupę jeźdźców?

Benedetto machnął niechętnie ręką i spojrzał wyzywająco na kapitana.

– Powieśmy tego faceta, to nie będziemy musieli słuchać dłużej jego głupiej gadaniny – zaproponował.

– Nie tak porywczo, przyjacielu. – Tomasi powiódł spojrzeniem po mężczyznach, którzy stali wokół niego. – Jest nas dwudziestu czterech śmiałków i nie brakuje nam ani prochu, ani ołowiu. Zanim rozwiążemy naszą bandę, zróbmy ostatni, śmiały psikus papieskim gwardzistom, aby pokazać, że nie chowamy się przed nimi jak tchórzliwe psy.

Mężczyzna, który go przedtem zagadnął, roześmiał się drwiąco.

– Co nam to przyniesie poza dwiema uncjami ołowiu między zebra? Papieska gwardia strzela piekielnie dobrze.

Tomasi skrzywił się w szerokim uśmiechu i stuknął Vincenza palcem wskazującym w klatkę piersiową.

– No właśnie, jakie korzyści nam to przyniesie?

– Jeszcze raz dacie żołnierzom porządnego kopa w tyłek... – powiedział niepewnie Vincenzo.

– I nadwyrężymy sobie przy tym palce u nóg – przerwał mu ów zbójca. – Nic z tego. Takie żarty nas nie bawią.

– Jeszcze ja tu jestem hersztem i rozkazuję – powiedział cicho Tomasi, ale takim tonem, że nawet Vincenzowi zjeżyły się włosy na głowie.

Uświadomił sobie, że potrzebuje silniejszej zachęty, żeby przekonać rozbójników.

– A co byście powiedzieli na sporą sumkę? Giulio Casamonte nie jest biednym człowiekiem. Sowiec by was wynagrodził.

Zbójcy nadstawili uszu. Stłoczyli się wokół Vincenza i zażądali, by wyłożył kawę na ławę. Jeden odciął mu nawet sakwę, czego do tej pory nie uczynił Benedetto, i zajrzał do środka. Znalazł tam kilka monet niewielkiej wartości i skrzywił się pogardliwie.

– Chyba nie jesteś szczególnie bogaty, skoro wyruszyłeś w podróż z zaledwie kilkoma soldami.

Vincenzo uśmiechnął się wyniośle.

– Najbliższy bankier da mi tyle pieniędzy, ile potrzebuję.

– A więc ile? – zapytał nagle Tomasi.

– Dość, by opuścić kraj – odpowiedział Vincenzo.

– Nie to mam na myśli – burknął herszt. – Chcę wiedzieć, na ile wyceniasz wolność twojego przyjaciela Casamontego. I oczywiście także swoją własną. Bo nie wypuścimy takiego ptaszka jak ty bez okupu.

Zbójcy się roześmieli, a w głowie Vincenza zapanował mętlik. Jaką sumę ma wymienić, żeby bandyta był gotów im pomóc? W każdym razie oby nie była większa od kwoty, którą Giulio posiada w banku. Vincenzo próbował sobie przypomnieć honoraria i prezenty pieniężne, które kastrat otrzymał w przeciągu ostatnich lat, oraz sumy, które własnoręcznie w jego imieniu wpłacił bankierom. Czy tyle wystarczy? W końcu wykręcił głowę i spojrzał Tomasiemu w oczy.

– Dziesięć tysięcy dukatów.

Herszt skinął głową z uznaniem.

– Niezła sumka. Wyłóż mi ją na stół, a ja uwolnię twojego skowronka.

Vincenzo przełknął ślinę. W ustach miał sucho.

– Jak mam wypłacić te pieniądze? Nie mogę się pokazać u naszego bankiera w Rzymie, bo aresztowano by mnie już przy bramie.

Zbójcy usłyszeli strach w jego głosie i się zaśmiali. Jeden machnął ręką i uczynił gest podrzynania gardła.

– W takim razie ty i twój rzeźniczek macie pecha.

Tomasi uniósł rękę i odgonił tych, którzy obstąpili Vincenza.

– Nie możesz pobrać pieniędzy przez posłańca? – zapytał.

– Potrzebowałbym dobrego papieru listowego, pieczęci, którą właśnie mi zabraliście, atramentu, a przede wszystkim posłańca, który nie wygląda na pierwszy rzut oka jak zbójca. – Vincenzo wciągnął głęboko powietrze do płuc i skinął głową. – Tak, to byłoby możliwe.

Tomasi zaczął przeżuwać końcówkę wąsa. Przez moment wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

– Z papierem i atramentem nie będzie problemu. Mamy dość podarków zostawionych przez wcześniejszych gości. Co się zaś tyczy posłańca... No cóż, jakiegoś znajdziemy. – Herszt obrócił się ku swoim ludziom i kazał im, żeby ruszyli za nim. – Pojedźmy teraz wszyscy do pieczary. Ponieważ i tak chcemy się niebawem rozstać, nie musimy zacierać śladów. Posadźcie tego czcigodnego *signore* na konia, ale mocno trzymajcie cugle. W końcu jest wart dziesięć tysięcy dukatów.

Śmiech zbójców wskazywał, że znów są w dobrym humorze. Także Tomasi wyglądał na zadowolonego, że po raz ostatni będzie mógł zagrać na nosie papieskim żołnierzom. Vincenza natomiast dręczyły sprzeczne uczucia. Co się stanie, jeśli Giulio w ostatnim czasie wydał większą sumę i na koncie zabraknie pieniędzy, żeby zaspokoić apetyt zbójców? A może już dawno temu cofnął jego pełnomocnictwo? W takiej sytuacji posłaniec Tomasiego nie dostanie żadnych pieniędzy, a może nawet zostanie pojmany i uwięziony. Teraz, gdy Vincenzo pozyskał zbójców dla swojej sprawy, uświadomił sobie, jakie jeszcze trudności i problemy może napotkać na drodze do uratowania kastrata. Potrafił sobie wyobrazić, co Tomasi i jego ludzie zrobią z nim, jeśli coś pójdzie źle. Ale nie będzie to nawet w połowie tak potworne jak to, co czeka Giulia, jeśli pozostanie on w rękach papieskich urzędników. Vincenzo próbował się domyślić, o co obaj są posądzani. Oskarżenie o uprawianie sodomii było według niego tylko pretekstem, ponieważ taki sam zarzut dałoby się postawić kilkudziesięciu dostojnikom kościelnym i wielu arystokratom, znanym i nieznanym mu osobiście. Nie, za tym musiało się kryć coś jeszcze. Coś, co było na tyle obciążające, że władze wydały nakaz aresztowania sławnego kastrata, i to na obszarze Republiki Weneckiej. Tego rodzaju incydent mógł doprowadzić do zbrojnego konfliktu, ponieważ między Państwem Kościelnym a miastem dołów panowały dość napięte stosunki.

Wątpliwości i obawy Vincenza rosły wraz z upływem dnia, a gdy zbójcy krótko przed nastaniem nocy dotarli do swojej dobrze ukrytej w górach pieczary, był bliski załamania. Zbójcy zamknęli go w krzywej chacie, która wyglądała, jakby miała się rozpaść, ale w rzeczywistości zbudowana była nadzwyczaj solidnie. Umeblowanie, biorąc pod uwagę okoliczności, można było nazwać nawet wystawnym, bo składało się z siennika, dwóch stołków i stołu zbitego z nieobrobionego drewna.

Niedługo później do środka wszedł Tomasi i położył przed Vincenzem skórzany węzełek. Otworzył go, a ze środka wysunęło się kilka arkuszy papieru używanego przez bankierów do prowadzenia korespondencji. Nawet pieczęcie i znaki wodne były prawdziwe.

Tomasi roześmiał się, widząc zdumienie na twarzy Vincenza.

– Używamy tych kartek, gdy nasi goście postanawiają podziękować nam za opiekę i wyżywienie. – Upewnił się, że żaden inny zbójca nie może go usłyszeć, i pochylił się w kierunku Vincenza. – Nie chcę pieniędzy w gotówce. Przekażesz je do banku w Genui, który ci wskażę. Rozumiesz?

Vincenzo skinął głową, chociaż nie wiedział, do czego zmierza zbójca. Usłuchał jednak jego rozkazu i pomodlił się w duchu do Przenajświętszej Panienki i wszystkich świętych, żeby hasło, którym miał potwierdzić swoją tożsamość, wciąż było ważne.

Tomasi wziął od niego gotowe pismo, przeczytał je, zrolował i skinął z zadowoleniem głową. Podał Vincenzowi osłonę na list, kazał na niej napisać adres bankiera i całość opieczetować. Następnie zawołał do środka Benedetta.

Zbójca wszedł mocno odmieniony. Na jego łysej czaszce spoczywała bujna, naturalnie wyglądająca peruka. Ubrany był staromodnie i na szaro. Wyglądał teraz jak urzędnik bankowy albo handlowiec, który postarzał się i zasuszył wśród pergaminu i atramentu. Najwidoczniej już nieraz służył za posłańca, bo przyjął służalczą i manieryczną postawę biuralisty.

Tomasi podał mu pismo i pożegnał się z nim, klepiąc go w ramię dla dodania odwagi.

– Genua – powiedział tylko, ale Benedetto najwidoczniej zrozumiał, o co chodzi, bo bez słowa podszedł do konia i mimo zapadającej nocy opuścił obozowisko zbójców.

Dla Vincenza zaczął się najgorszy okres w jego życiu. Dręczony wątpliwościami przewracał się z boku na bok na sienniku i tylko na chwilę udawało mu się zasnąć, a we śnie nawiedzały go okropne koszmary. Gdy zaczęło świtać, wstał rozbity i rozdrażniony. Zaczął chodzić po chacie w tę i w tę. Przez małą szparę widział, jak zbójcy wyciągają ukryte w pieczarze łupy i układają je przed chatą. Był głodny i miał wrażenie, że całkiem o nim zapomnieli. Ale w końcu przynieśli mu jednak coś do jedzenia i picia. Gdy z powrotem znalazł się sam, znów zaczęły męczyć go posępne myśli. W wyobraźni widział, jak wwożą Giulia do Rzymu, podczas gdy zbójcy wciąż jeszcze czekają na Benedetta. Potem roił sobie, że przez niego Giulio nie będzie mógł zapłacić strażnikom więziennym, aby lepiej go traktowali. Podobno nawet kaci chętnie przyjmowali łapówki i w zamian za pieniądze łagodniej traktowali swoje ofiary.

W końcu Vincenzo nie wytrzymał i zaczął walić pięściami w drzwi. Tomasi zajrzał do chaty, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Dlaczego to tyle trwa? – zawołał zniecierpliwiony jeniec. Miał ochotę chwycić zbójcę i mocno nim potrząsnąć. – Co będzie, jeśli żołnierze eskortujący Giulia Casamontego miną nas, zanim cokolwiek zrobicie, żeby go ratować?

– Jeszcze nas nie minęli – odpowiedział spokojnie Tomasi, zamknął drzwi i z powrotem założył rygiel.

Mijały godziny, a Vincenzo niemal odchodził od zmysłów. W końcu Benedetto wrócił. Zanim zsiadł z konia, pomachał dużą kopertą. Vincenzo usłyszał z chaty jego głos.

– Wszystko poszło dobrze. Bank zastosował się bez problemów do dyspozycji. Ale niewiele brakowało, bo lokata była tylko o trzydzieści dukatów wyższa niż zażądana kwota.

– Gdzie masz pieniądze? – zapytał go nieufnie jeden ze zbójców.

– Kazałem przenieść pieniądze do banku, który tylko ja znam – wyjaśnił z uśmiechem Tomasi. – To mój udział w naszych łupach. Wy dostaniecie to, co znajduje się w pieczarze.

Zbójca w pierwszym momencie się zdenerwował, ale zerknął na biżuterię i monety, które leżały na kocu, i się uspokoił. Jego kamracy pożądliwie garnęli się ku skarbowi. Szybko rozdzielili je między

siebie. Kilku z nich pewnie od razu chętnie opuściłoby obozowisko, ale mimo to siedzieli niezadowoleni wokół ogniska, burcząc niechętnie i klnąc. Złośliwy uśmiezek Benedetto, który wyciągnął pistolety, i zmrużone oczy kilku innych zbójców, którzy pozostali po stronie herszta, dawały im do zrozumienia, że mogą dostać kulę w plecy, jeśli będą się chcieli oddalić.

Następnego ranka Tomasi nakazał wreszcie wymarsz. Benedetto i inni zbójcy mieli konie. Tomasi wybrał dla siebie ogiera Paola Gonzagi, tak więc Vincenzo musiał biec pieszo. Nie skarżył się, bo mógłby tę drogę pokonać na kolanach albo nawet na rękach, skoro u jej kresu miało nastąpić uwolnienie Giulia.

Po drodze pojawił się jeden ze zbójców i powiedział coś cicho do Tomasiego. Herszt skinął z zadowoleniem głową i przywołał do siebie Vincenza.

– Renzo wypatrzył powóz, w którym wieziony jest kastrat ze służącą. Na powozie siedzi czterech mężczyzn, a eskorta składa się z sześciu jeźdźców. Niebawem powitamy ich jak się należy.

Vincenzo najchętniej wyściskałby Tomasiego z radości. Kilku zbójców zaniepokoiło się tymi dziesięcioma mężczyznami, z którymi przyjdzie im się zmierzyć.

– Może być trudno – mruknął jeden.

Tomasi zaśmiał się hardo.

– Jeśli z ciebie taki tchórz, możesz zostać. Inni pojedą ze mną wąwozem koło San Giustino. Tam znajdziemy najlepszą osłonę.

– ...i łatwo będziemy mogli zablokować drogę kilkoma ściętymi konarami, żeby musieli się zatrzymać – dodał Benedetto i już teraz zatarł dłonie.

Ludovico Moloni powinien odczuwać zadowolenie. W końcu udało mu się przecież schwytać Giulię Fassi i bez problemów dostarczyć na teren Państwa Kościelnego. Najpóźniej jutro dotrą do Rzymu, gdzie już czeka na niego sowita nagroda. Ale jakoś inaczej wyobrażał sobie zemstę. Zaprażył chwycić za szyję krnąbrną czarownicę i powoli zacisnąć palce. Jej spokój i wyniosłość doprowadzały go do wściekłości. Nieważne, co powiedział, jego słowa spływały po niej jak woda po kaczce.

Złościło go też, że za wcześnie dał jej do zrozumienia, iż to on ją zdemaskował i wydał. Powinien był udawać przyjaciela z dzieciństwa, obiecać ratunek, a w zamian zażądać od niej małej przysługi. Teraz było już na to za późno. Ciągłe jeszcze się zastanawiał, czy nie powinien przekazać jej swoim towarzyszom, żeby sobie na niej poużywali. Gdyby tak znalazła się pod dziesięcioma mężczyznami, wówczas niewiele zostałooby z jej dumy. Ale della Rocca wyraźnie zastrzegł, że nikt, nawet eskorta, nie może się dowiedzieć, kim naprawdę jest kastrat. Zagroził nawet torturami, gdyby Ludovico nie dotrzymał tajemnicy. Zdążył już poznać biskupa i wiedział, że dobrotliwa twarz duchownego to tylko maska, za którą kryją się ambicja i gotowość kroczenia po trupach do celu.

Zaskoczony okrzyk woźnicy wyrwał go z zamyślenia. Uniósł wzrok i zobaczył, że tkwią w wąwozie, który został zablokowany konarami drzew. Przez głowę przeleciała mu myśl o zbójcach, ale potem roześmiał się gniewnie. Nawet ten drań Tomasi nie odważy się zaatakować powozu chronionego przez sześciu papieskich gwardzistów.

Dwaj pomagierzy woźnicy zeszli z kozła, żeby odsunąć gałęzie na bok. W tym samym momencie rozległ się ostry krzyk. Powóz i jeźdźcy znaleźli się na muszce flint celujących z góry. Stał tam też mężczyzna w szerokim ciemnym płaszczu. Na głowie miał miękki kapelusz z piórami oraz szerokim rondem. Patrzył i się uśmiechał.

– Ręce precz od broni! – zawołał.

Ludovico usłyszał, że jeźdźcy przeklinają. Każdy z nich miał flintę przewieszoną przez plecy i w torbach przy siodle po dwa naładowane pistolety. Ale nie mogli sięgnąć po broń, gdyż zbójcy ukryci za skałami mierzyli prosto w nich; to byłoby samobójstwo.

Woźnica i jego dwaj pomocnicy unieśli ręce nad głowę. Ludovico rozejrzał się gorączkowo. Ze strzępów słów, które dotarły do niego z góry, zrozumiał, że zbójcy zamierzają uwolnić kastrata. Z wściekłości niemal się udusił. Jakże to tak? Są tak blisko Rzymu. Niedoczekanie, żeby czarownica uszła wolno. Zerknął na flintę woźnicy, która leżała na ławce w zasięgu jego ręki. Chwycił broń i podniósł ją, nie wiedząc nawet, czy będzie strzelał do bandytów, czy zabije Giulię. Zanim zrozumiał, że musiałby odpalić lont, zbójcy zaczęli strzelać. Wypaliły trzy albo cztery flinty. Ludovico został trafiony. Impet kuli podrzucił go, po czym strącił z powozu.

Wystrzał odbił się echem w wąwozie i spłoszył konie. Gdy jeźdźcy wreszcie zapanowali nad swoimi zwierzętami, zbójcy byli tuż przy nich z wycelowanymi flintami.

– Zsiadać z koni! – rozkazał herszt.

Gwardziści spojrzeli na swego kapitana, który mało nie pękł ze złości. Ponieważ nie wydał żadnego rozkazu, zsiadli z koni i dali się związać zbójcom. Kapitan zrozumiał, że bardziej przyda się

papieżowi żywy niż martwy i też się poddał.

Benedetto podszedł tymczasem do Ludovica, który leżał skulony obok powozu. Trącił go stopą.

– Nie żyje. Co za głupiec! Po co wyciągał broń, gdy celowało w niego kilka flint? – Roześmiał się, zrobił krok nad trupem i otworzył powóz. – Witaj, skowroneczku. Mam nadzieję, że nie masz do nas pretensji, że zakłóciliśmy twoją podróż do Rzymu.

Giulia nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na szczupłego młodego mężczyznę o zmierzwionych ciemnoblonde włosach, który zbliżał się właśnie do powozu i wyglądał na zmieszanego.

– Vincenzo! *Madonna mia!* Co za radość znów cię widzieć! Tyle mam ci do powiedzenia!

Dopiero ostrzegawcze chrząknięcie Assumpty przypomniało jej, że z radości zapomniała o zbójcach. Tomasi i jego ludzie wyglądali na całkiem zadowolonych z siebie, ale знаła tych ludzi dość dobrze i wiedziała, że ich nastrój w każdej chwili może się radykalnie zmienić. Gdyby się dowiedzieli, że kastrat, którego uwolnili, w rzeczywistości jest kobietą, źle by się to dla niej skończyło. Dlatego Giulia podała tylko Vincenzowi dłoń i odłożyła swoją spowiedź na czas, kiedy oboje będą sami.

Vincenzo wyczuł napięcie Giulii, pomyślał jednak, że jest ono efektem niewoli. Uśmiechnął się do przyjaciela, chcąc dodać mu odwagi, i powiedział:

– Cieszę się, Giulio, że znów cię widzę. Nie było łatwo cię uwolnić, ale jak widzisz, szczęście mi dopisało.

W ten sposób dodał sobie trochę zasługi, ale chciał ukazać się Giuliovi w jak najlepszym świetle.

Zbójcy dali mu tę satysfakcję. Część spośród nich usunęła barykadę z gałęzi. Benedetto wsiadł na kozła i cmoknął językiem na konie. Tomasi kazał Vincenzowi i Giulii zająć miejsce w powozie i ruszyli. Martwego Ludovica zostawili beztrosko w rowie przy drodze, ale gwardzistów zabrali ze sobą. Po niecałej mili skręcili ze szlaku w polną drogę, a po kilku godzinach dotarli do zbójckiej pieczary. Gwardziści, woźnica i jego pomocnicy byli wyczerpani długim marszem, a przez niewygodne i ciężkie buty co rusz się potykali. Gdy wreszcie znaleźli się przy chacie, usiedli w jej cieniu i pojękiwali. Pilnowało ich czterech rozbójników, którzy podobnie jak Benedetto zamierzali zostać w mocno uszczuplonej bandzie Tomasiego. Reszta zaczęła pakować swoje rzeczy.

Tomasi zawołał do siebie Giulie, która wraz z Assumptą trzymała się dotychczas na uboczu.

– Sądzę, że przyszła pora, by uczcić naszą udaną akcję – zawołał na tyle głośno, żeby usłyszeli go też pojmani. Podał Giulii kubek wina. – Jak widzisz, nie podaję ci w szkle. Twój głos jest na to zbyt potężny. Byłbym rad, mogąc go usłyszeć. W moim fachu człowiek rzadko ma okazję posłuchać prawdziwego artysty.

Giulia zrozumiała, że musi zaśpiewać, żeby zbójca pozostał w dobrym humorze. Tym razem było gotowa uczynić to z dużo większą ochotą niż podczas ich pierwszego spotkania. Gdy dostrzegła czuły wzrok Vincenza de la Torre, zapomniała o wszystkich doznanych ostatnio okropieństwach i zaczęła śpiewać pieśń, którą specjalnie dla niej napisał Vincenzo, a melodię skomponował Galilei.

Zbójcy rozsiedli się wokół niej i słuchali. Nawet jeńcy zapomnieli na jakiś czas o swoim nieszczęsnym położeniu. Ale zmieniło się to w jednej chwili, gdy Tomasi uniósł rękę, nakazując Giulii umilknąć. Obrócił się ku gwardzistom i kazał swoim ludziom, by ściągnęli z nich zbroje i ubrania. Jednocześnie wyznaczył sześciu zbójców o odpowiedniej budowie ciała, żeby wzięli te rzeczy. Chociaż zbójcy zamierzali opuścić Tomasiego, to ze zdziwieniem usłuchali jego rozkazu.

Gwardziści zaczęli dziko złorzeczyć, zwłaszcza gdy odebrana im została także bielizna i stali przed zbójcami kompletnie nadzy. Woźnicę oraz jego ludzi także spotkał ten los.

Tomasi kiwnął ręką na Benedetta.

– Przeprowadź tych typów przez wzgórza i po kilku milach puść ich wolno przy głównym szlaku.

Potem spotkamy się w wiadomym miejscu.

Łysy zbójca skinął głową i wyznaczył kilku kamratów, którzy pognali przed sobą gwardzistów jak bydło. Pozostali zbójcy patrzyli w ślad za nimi i nie wiedzieli do końca, co mają robić. Ten z nich, który z kilkoma innymi chciał utworzyć nową bandę, odwrócił się do Tomasiego, skrzywił się i lekko kopnął części zbroi, które przed nim leżały.

– Co to ma znaczyć? Nie mam ochoty biegać po okolicy w przebraniu papieskiego gwardzisty.

Tomasi roześmiał się gromko.

– Wrzuć te rzeczy do najbliższego bajora. Niechże myślą, że chcemy te zbroje wykorzystać. Dzięki temu gwardziści będą sprawdzać niewielkie grupy żołdaków, a nam łatwiej będzie uciec.

Nowy przywódca zbójców popatrzył na gwardyjską zbroję, zastanawiając się, czy mu się jednak nie przyda. W końcu ją zabrał i kazał swoim ludziom iść za sobą. Chociaż całe lata spędził w bandzie Tomasiego i obaj przeżyli wspólnie wiele niebezpiecznych sytuacji, odszedł bez pożegnania, zabierając swoich zwolenników.

Tomasi wiedział, że niektórzy z nich gotowi byłiby zdradzić nowego herszta choćby za kilka dukatów, ale się tym nie przejmował. Wszedł jeszcze raz do pieczary i wyniósł stamtąd duży toból, który rzucił Giulii i Vincenzowi pod stopy.

– Niech kastrat przebierze się za kobietę. Będzie się wtedy mniej rzucał w oczy. Ty też powinieneś założyć inny strój. Bo inaczej każdy papieski żołdak pozna cię z odległości stu kroków.

Assumpta pochyliła się i otworzyła toból. Na wierzchu leżała jasnoniebieska suknia i blond peruka. Chwyciła te rzeczy i wskazała chatę. Giulia skinęła głową i poszła za nią. Gdy były gotowe, służąca badawczo przyjrzała się Giulii. Jako kastrat przebrany za kobietę wyglądała zanadto urodziwie. Długie włosy nadały jej twarzy miękkiej nuty i podkreśliły wielkie ciemne oczy. Na szczęście suknia nie była mocno wydekoltowana, tak więc Giulia mogła zachować opaskę na piersiach. Mimo to jej kształty były niemal idealne. Vincenzo i zbójcy zdążyli się już przebrać, gdy obie kobiety wyszły na zewnątrz. Vincenzo miał na sobie zielony kaftan i żółte spodnie, Tomasi natomiast był cały na czarno. Obaj mieli się podawać za szlachciców, reszta zbójców zaś włożyła liberie lokajów.

– Przejedziemy kawałek konno – oświadczył kapitan. – Renzo weźmie starą przed siebie na siodło, a...

– Casamontego wezmę ja – zgłosił się Vincenzo.

Nie chciał utracić szansy wzięcia Giulia wreszcie w ramiona. Ponieważ kastrat nie zaprotestował, podsadził go na konia i sam wskoczył za nim na siodło. Jego zmysły natychmiast zareagowały na bliskość Giulia. Musiał się powstrzymać, żeby nie wydać z siebie jęku pożądania. Gdyby nie obecność zbójców i niesprzyjająca pora, zaciągnąłby Giulia do chaty. Tam rozebrałby go i wypuścił z ramion dopiero po doznaniu ulgi w pachwinach, w których czuł bolesne parcie. Ale w takich okolicznościach musiał tę chwilę przesunąć na później. Dotknął przelotnie wargami karku Giulia i poczuł, że ciało przyjaciela zadrżało.

– Już mi teraz nie umkniesz – szepnął mu do ucha.

– Może wcale nie chcę – odpowiedziała cicho Giulia, sama nie wiedząc, czego pragnie.

Miejsce na karku, gdzie pocałował ją Vincenzo, płonęło jak od ognia. Ale nie było to nieprzyjemne uczucie, podobnie jak mocny uścisk jego ramion. Jego bliskość ją oszałamiała. „Czy to

miłość?” – zadała sobie w duchu pytanie. A może to jej tak długo tłumiona kobiecość domagała się swoich praw?

Droga prowadziła przez porośnięte lasami wzgórza do doliny, na której końcu mieściło się małe gospodarstwo chłopskie. Stał tam duży, stary powóz z prawie zatartym herbem na drzwiach. Ku zdziwieniu Giulii zbójcy podeszli do budynku bez zachowywania jakiegokolwiek ostrożności. Gdy znaleźli się na podwórku, jakiś mężczyzna wystawił głowę ze środka i wyszczerzył się do nich.

– Wodzu, wszystko gotowe, tak jak rozkazaliście.

Zadowolony Tomasi skinął głową i kiwnął ręką na swych towarzyszy.

– Zaprzęgaście powóz. Ruszymy w drogę, gdy tylko Benedetto do nas dołączy. – Po czym zwrócił się do Giulii i jej towarzyszy: – Jeszcze przez kilka dni będziemy trzymać się razem i udawać prowincjonalnych szlachciców z Sabaudii, którzy po wizycie w Rzymie wracają do domu. Gdy tylko przekroczymy granice Patrimonium Petri, możecie jechać dalej swoją drogą.

Giulia i Vincenzo wymienili się niespokojnymi spojrzeniami. Oboje czuli się nieswojo, że muszą jeszcze dłużej przebywać ze zbójcami. Ale nie mieli wyboru, musieli się podporządkować. A taktyka Tomasiego okazała się skuteczna. Gdy po powrocie Benedetta i jego towarzyszy ruszyli w drogę, papieskie patrole lustrowały ich tylko pobieżnie wzrokiem.

Giulia nie miała pojęcia, że Francesco della Rocca zachował dla siebie wiedzę o jej prawdziwej płci i kazał ścigać jedynie zbójców, którzy uprowadzili kastrata Casamontego. Śmierć Ludovica biskup przyjął do wiadomości z ulgą, ponieważ wolał, by pewne rzeczy nie wyszły na jaw. Było to korzystniejsze dla jego kariery.

Na rozstaju dróg tuż przed Piombino zbójcy zostawili Giulie, Assumptę i Vincenza. Tomasi planował udać się do portu, a stamtąd statkiem do Genui, aby tam wypłacić swoje pieniądze. Z rozmów jego towarzyszy Giulia dowiedziała się przypadkiem, że wraz z resztą bandy zamierza wyjechać do hiszpańskich posiadłości w Ameryce i żyć tam jako posiadacz ziemski. Ucieszyła się, zobaczywszy, jak zbójcy znikają w kłębach kurzu, ponieważ do ostatniej chwili żyła w strachu, że zostanie przez nich zdemaskowana i zgwałcona. Ku jej uldze Tomasi zrezygnował nawet z przeszukania jej waliz, tak więc sakiewka, którą dostała od starego hrabiego, leżała wciąż jeszcze nierzuszona na swoim miejscu.

Także Vincenzo odetchnął, gdy zbójcy pożegnali się z nimi bez sentymentów. Zostawili im powóz, a nawet część prowiantu. Wspiął się niechętnie na kozła i zaproponował Giulii, by w najbliższym mieście zamienili ciężką karocę na coś lżejszego. Obawiał się, że jako szlachcic zanadto będzie rzucał się w oczy, robiąc za woźnicę.

Giulia przyznała mu rację. Po jego zatroskanej minie zorientowała się, że coś jeszcze ciąży mu na sercu.

– Co się stało? Jakież problemy? Mamy wszelkie powody do radości, a ty robisz minę, jakby umarła ci matka.

Vincenzo zeskoczył z kozła i stanął przed nią z opuszczonymi ramionami.

– Zamierzałem ci to powiedzieć już wcześniej, ale nie chciałem, by zbójcy zaczęli z ciebie drwić. Tomasi nie uwolnił cię z dobrego serca. Musiałem mu dać wszystkie pieniądze, które zdeponowałeś u swego bankiera w Rzymie.

Assumpta przysłuchiwała się z ciekawością jego słowom i teraz z zachwytem zaklaskała w dłonie.

– To były naprawdę dobrze ulokowane pieniądze! Nie ma co żałować tych kilku dukatów! Gdyby nie one, naszą biedną... naszego biednego Giulia czekałby srogi los w więzieniu. Tortury nawet z anioła wydobędą diabła, jak to się mówi.

Vincenzo obdarzył Assumptę przyjaznym uśmiechem i spojrzał lękliwie na Giulie.

– A więc nie jesteś na mnie zły?

– Nie, na Boga. Zrobiłeś to, co było jedynie słuszne. Jestem z ciebie bardzo dumny, Vincenzo. Nikt inny nie miałby dość odwagi, żeby pertraktować z tym diabłem Tomasim i skłonić go do pomocy. Zaryzykowałeś własnym życiem, żeby mnie uwolnić, i nigdy ci tego nie zapomnę. Vincenzo, ja... tak bardzo się cieszę, że znowu jesteś ze mną. Bardzo mi ciebie brakowało. Proszę, nie opuszczaj mnie już więcej. Nie będę ci dawać po temu powodów, uwierz mi...

Rozłożyła ramiona, żeby objąć Vincenza, ale szybko je opuściła na widok chłopca, który gapił się na nich z pola. Zaśmiała się ze sztuczną radością i mówiła dalej:

– Nie jesteśmy tak całkiem biedni. Ciągle jeszcze mam wynagrodzenie, które wypłacił mi hrabia Biancavallo. Ta suma wystarczy, żeby zacząć nowe życie z dala od Państwa Kościelnego.

Vincenzo odetchnął na te słowa z ulgą, Assumpta zaś wskazała na zachód, gdzie słońce stało nisko nad horyzontem.

– Najpierw musimy się rozejrzeć za jakimś schronieniem. Nie mam ochoty nocować pod gołym

niebem.

– Ja też nie. – Vincenzo się roześmiał, wskoczył na kozła i smagnął lejcami konie.

Po około dwóch milach dojrzeli okazały budynek, nad którego drzwiami wisiał szyld informujący, że podróżni znajdą w tym zajezdzie dobre jedzenie i nocleg. Nim zbliżyli się do niego, Vincenzo zajrzał z kozła do wnętrza pojazdu, odchylając małe okienko.

– Giulio, jak przedstawimy się w zajezdzie? Jako brat i siostra czy jako mąż i żona?

– Jako małżeństwo – zdecydowała Assumpta, nim Giulia zdążyła coś powiedzieć. – Jeśli będziecie udawać rodzeństwo, ludzie skłonni będą uznać, że jesteście parą uciekających kochanków.

Vincenzo nie chciał rozstrzygać tej kwestii bez wysłuchania kastrata, chociaż uważał, że propozycja Assumpty jest najlepsza.

– A ty jak uważasz? – zapytał go.

Giulia miała w głowie mętlik. Udawanie małżeństwa oznaczało, że ona i Vincenzo będą musieli zająć wspólny pokój. Bała się tego równie mocno, jak tego pragnęła. Ale Assumpta miała rację. Jako małżonkowie nie będą wzbudzać ciekawości, a w którymś momencie będzie musiała i tak powiedzieć Vincenzowi prawdę. Miała tylko nadzieję, że jej wyznanie nie wzbudzi w nim odrazy.

– Dobrze – roześmiała się cicho. – W takim razie udajmy męża i żonę.

Vincenzo skinął z zadowoleniem głową i pociągnął cugle prawą ręką. Konie skręciły posłusznie na dziedziniec zajazdu, gdzie wyszedł im naprzeciw usłużny chłopiec stajenny.

– Witajcie pod Żłotym Słońcem – przywitał podróżnych i przejął z rąk Vincenza lejce. – Dostaniecie tu wszystko, czego tylko pragnie wasza dusza.

Vincenzo powiódł wzrokiem po dziedzińcu i dostrzegł stojący w głębi mały dwukołowy pojazd, wystarczająco duży i wygodny, żeby pomieścić troje ludzi. Wskazał nań ręką.

– Czy ten powozik jest na sprzedaż?

Parobek zsunął czapkę na kark.

– Musiałbym zapytać gospodarza. Ale możliwe, że tak.

– W takim razie zawołaj go – zażądał Vincenzo.

Zeskoczył z kozła i otworzył drzwi powozu. Giulia i Assumpta wyszły na zewnątrz na nieco sztywnych nogach. Służąca zaczęła się uskarżać na obolałe członki, ale razem z Giulią ruszyła za dziewczką służebną do zajazdu. Gdy Vincenzo z gospodarzem negocjował wymianę karocy na mniejszy powóz, Assumpta pomogła Giulii zdjąć strój kobiecy i opaskę z piersi, którą dziewczyna ze strachu przed zbójcami nosiła bezustannie od wielu dni.

Służąca dotknęła biustu Giulii.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz już musiała tak ściśle obwiązywać piersi. To niezdrowo.

Giulia nic na to nie rzekła. Wciągnęła nosem powietrze i się skrzywiła.

– Wreszcie będę mogła się porządnie umyć. W towarzystwie zbójców było to niestety niemożliwe. Assumpta uśmiechnęła się i skinęła głową, jakby przyszła jej do głowy jakaś dobra myśl.

– Tak, dziecko, powinnaś się umyć. Poczekaj chwilę. Pobiegnę szybko do kuchni i przyniosę ciepłej wody.

Nim Giulia zdążyła coś powiedzieć, służąca zastawiła ją parawanem i wyszła szybko z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Na dole w kuchni dostała od dziewczki wiadro gorącej wody. Gdy pojękując z wysiłku, wspinała się po schodach, na korytarzu pojawił się Vincenzo, który właśnie dogadał się z gospodarzem. Usłyszał pojękiwania Assumpty i natychmiast zaproponował jej pomoc.

Na twarzy służącej pojawił się przebiegły uśmiezek.

– Dziękuję ci, Vincenzo. Jesteś dobrym chłopcem. Proszę, zanieś wiadro do waszego pokoju.

Pierwsze drzwi, zaraz przy schodach.

Vincenzo wziął od niej wiadro.

– Woda do mycia dla Giulia? Dba o siebie chłopak, prawda?

Assumpta skinęła gorliwie głową. Gdy Vincenzo znalazł się w połowie schodów, dogoniła go zrećcznie jak łasica i przytrzymała za rękaw.

– Proszę, bądź wobec niej delikatny. Jeszcze nigdy tego nie robiła.

Vincenzo popatrzył na kobietę, nie pojmując, co ma na myśli. Tymczasem ona dała mu ponaglącego kuksańca.

Wszedł do pokoju, który miał dzisiejszej nocy dzielić z Giuliem. Zobaczył nad parawanem czubek jego głowy i jak w transie podszedł bliżej.

Giulia nie uniosła wzroku, bo z przyzwyczajenia spodziewała się Assumpty.

– Postaw wodę na toaletce i rozłóż mi ręcznik.

Vincenzo obszedł parawan, postawił wiadro obok miski z wodą i z ciekawością popatrzył na rzekomego kastrata. To, co zobaczył, odebrało mu dech w piersiach. Ujrzał cudownie wygiętą linię pleców ze szczupłą talią i zgrabną pupą. Te kształty po prostu nie mogły należeć do mężczyzny!

W tym momencie Giulia zrozumiała, że to nie Assumpta stanęła za nią, i się odwróciła. Na widok Vincenza jedną dłoń przycisnęła do ust, żeby nie krzyknąć, a drugą próbowała zasłonić swą nagość.

Vincenzo wciągnął głęboko powietrze do ust.

– Czy ja... śnię, czy może jesteś duchem? – Obrócił się na pięcie, zamknął drzwi i z rozpostartymi ramionami podszedł do niej. – A więc Assumpta to właśnie miała na myśli.

Na twarzy Giulii malowały się sprzeczne uczucia. Vincenzo uśmiechnął się do niej uspokajająco, chwycił jej ręce i odciągnął łagodnie, ale zdecydowanie od miejsc, które próbowała przykryć. Tak, przed nim stała faktycznie kobieta, i to na dodatek przepiękna. Vincenzo poczuł taką ulgę, że zaczął się gromko śmiać.

Giulia prychnęła jak młoda kotka i spojrzała na niego gniewnie:

– Nie mam pojęcia, co takiego śmiesznego jest w moim wyglądzie.

– Och, w ogóle nic w nim nie ma śmiesznego. – Vincenzo chwycił ją w ramiona i przycisnął tak mocno do siebie, że nie mogła oddychać. – Po prostu jestem taki szczęśliwy, że jesteś kobietą. Utraciłem wiarę w siebie i złorzeczyłem Bogu i światu, bo zakochałem się w kastracie. Nie wiesz, jak bardzo z tym walczyłem. Ale to uczucie było silniejsze ode mnie. Coś we mnie zawsze musiało wiedzieć, że nie jesteś osobą, za którą się podajesz. Tylko ja, głupiec, tego nie zauważyłem.

Zawstydzona Giulia opuściła głowę.

– Powinnam ci była powiedzieć to wcześniej, ale się bałam, że mnie zostawisz. Przecież robiłam rzeczy, których Kościół surowo zakazuje, a nie chciałam zrobić z ciebie współnika moich grzechów.

– Nie miałaś do mnie zaufania? – zapytał Vincenzo bez cienia wyrzutu w głosie.

– Nie, nie o to chodzi! Wiedziałam, że mogę ci ufać. Ale nasze zachowanie mogło sprawić, że inni dowiedzieliby się prawdy. Za bardzo się bałam, że skończę na stosie, co faktycznie by się stało, gdybyś mnie nie uratował.

Vincenzo podniósł jej dłonie do swoich warg i pocałował je delikatnie.

– To już za nami. Teraz wreszcie znów możesz być sobą. Kochasz mnie choć trochę? Na tyle, żeby zostać moją żoną?

Zawstydzona Giulia skinęła głową. Tymczasem jego dłonie pieszczotliwie dotykały jej pleców i

wywoływały w niej nieznane dotąd uczucia. Aż nagle przestraszona krzyknęła:

– Przecież jestem cała brudna! Muszę się umyć!

Vincenzo wziął z uśmiechem mydło i szmatkę, zanurzył ją w wodzie i zaczął ostrożnie przecierać piersi Giulii.

– Pomogę ci przy myciu, a później mi się zrewanżujesz.

Giulia uniosła nieco przestraszone spojrzenie, ale potem oddała się cudownym uczuciom, które wywoływał w niej dotyk jego dłoni.

Niedługo potem leżeli oboje wyczerpani, ale szczęśliwi na łóżku, przyciśnięci mocno do siebie, trzymając się za ręce. Nagle Giulia spojrzała niepewnie na Vincenza.

– Mam nadzieję, że nie będziesz żałował, iż wybrałeś sobie za żonę córkę zwykłego kapelmistrza.

– Zyskałem więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Nie tylko żonę, ale też towarzyszkę życia z najpiękniejszym głosem we Włoszech. Będziesz przecież dalej śpiewać?

– Ale już nie jako Giulio Casamonte.

Giulia otrząsnęła się na wspomnienie ostatnich dni i tygodni swego życia jako kastrat. Potem odetchnęła głęboko i spojrzała na Vincenza.

– Och, tak, będę śpiewać, ale nie we Włoszech, gdzie porządne kobiety mogą to robić jedynie w domu, a tylko nierządnicę czynią to na jarmarku.

Zaintrygowany Vincenzo uniósł się na łóżku.

– Co znowu wymyśliłaś?

– Pojedziemy do Wirtembergii. Assumpta nie będzie wprawdzie zadowolona, gdy się dowie, że jeszcze raz będziemy musieli przeprowić się przez Alpy. Ale tym razem nie mamy powodów do niepokoju. Książę Krzysztof jest mi winien przysługę. Na pewno chętnie zatrudni mnie jako śpiewaczkę i kompozytorkę. I bardzo ubawi go to, że kobieta zagrała na nosie papieżowi i najmądrzejszym głowom katolickiego chrześcijaństwa.

– A więc ruszajmy do Wirtembergii – powiedział Vincenzo ze śmiechem i uznał, że są jeszcze inne rzeczy, które mogą dostarczyć mężczyźnie satysfakcji.

Na przykład piersi Giulii, których brodawki pod wpływem łagodnego dotyku jego palców stały się znów twarde i napięte.

KONIEC

[1](#) Schwarzenburg (niem.) oznacza czarny zamek (przypr. tłum.).